

LION FEUGHTWANGER

WOJNA ŻYDOWSKA

T O M I

PRZEŁOŻYŁ JACEK FRÜHLING

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

KSIĘGA PIERWSZA

RZYM

Sześć mostów sprzęgło z sobą brzegi Tybru. Kto przebywał na prawym brzegu, był bezpieczny. Ulice roily się tutaj od ludzi, po brodach ich można było poznać, że są Żydami; wszędzie widniały napisy żydowskie i aramejskie; z odrobiną znajomości greki można było sobie dać radę. Jeżeli jednak cudzoziemiec przekroczył jeden z mostów i odważył się stanąć na lewym brzegu Tybru, czuł się naraz w wielkim, obcym Rzymie beznadziejnie samotny.

Mimo to Józef, dotarwszy do mostu Emiliusa, odprawił małego Kornela, swego gorliwego przewodnika. Chciał wreszcie zacząć radzić sobie sam, już choćby po to, by wypróbować swoją obrotność i zręczność. Mały Kornel byłby chętnie towarzyszył w dalszym ciągu cudzoziemcowi. Józef patrzył, jak chłopiec ociągając się wracał przez most; z żartobliwym, miłym uśmiechem Żyd Józef wyciągnął ramię żegnając chłopca na modłę rzymską otwartą dłonią, a dziecko żydowskie Kornel, również uśmiechając się, mimo zakazu ojca odpowiedziało takim samym rzymskim pozdrowieniem. Józef skręcił później w lewo, wysoki dom zasłonił mu chłopca. Był sam. Teraz okaże się, jak dalece da sobie radę ze swoją łaciną.

Wie jedno: rozpościera się przed nim targowisko, na którym odbywa się handel wołami, na prawo widać wielki stadion, opodal, na Palatynie i za nim, tam gdzie roi się od ludzi, cesarz buduje swój nowy dom; uliczka na lewo prowadzi do Forum. A Forum i Palatyn to serce świata.

Dużo czytał o Rzymie, ale nie na wiele mu się to przydaje. Pożar, który wybuchł trzy miesiące temu, bardzo zmienił miasto. Zniszczył cztery dzielnice w centrum, trzysta gmachów publicznych, około sześciuset pałaców i willi, kilka tysięcy domów czynszowych. Istny to cud, że Rzymianie w ciągu tak krótkiego czasu tyle odbudowali. Nie lubi tych Rzymian, nienawidzi ich nawet, ale jednego nie może im odmówić: mają zdolności organizacyjne, mają swoją technikę. Technika. Kilkakrotnie powtarza w myśli to obce słowo. Nie jest głupi, uszczknie coś niecoś tym Rzymianom z tej ich techniki.

Kroczy energicznie naprzód. Z ciekawością i bijącym sercem wchłania atmosferę obcych domów i ludzi, od których dobrej woli zależy, czy pozwolą mu wypłynąć, czy nie.

W rodzinnym mieście, Jerozolimie, ten miesiąc tiszri jest jeszcze bardzo upalny nawet w ostatnim tygodniu; tutaj, w Rzymie, miesiąc ten nazywa się październik i dziś w każdym razie oddycha się świeżo i przyjemnie. Lekki wiatr rozwiewa mu włosy, nieco za długie jak na obyczaje panujące w Rzymie. Właściwie powinien mieć jakieś nakrycie głowy, w przeciwieństwie bowiem do Rzymian godzi się, żeby Żyd, a cóż dopiero na takim stanowisku jak on, chodził z głową nakrytą. Ale co tam, większość Żydów biega po Rzymie z gołą głową, zwłaszcza kiedy mają już za sobą mosty na Tybrze. Jego przywiązanie do wiary żydowskiej nie stanie się przez to mniej żarliwe.

Stoi teraz przed wielkim stadionem wyścigowym. Wszystko leży w gruzach, stąd bowiem rozpoczął się pożar. Mimo to kamienne części budowli pozostały nienaruszone. Ten stadion wyścigowy to olbrzym. Z jednego końca na drugi idzie się dziesięć minut. Stadiony w Jerozolimie i w Cezarei są niemałe, ale w porównaniu z tym ogromem robią wrażenie zabawek.

Wewnątrz stadionu pełno kamieni i drzewa, praca wre. Wszędzie snują się ciekawscy, dzieci i włóczędzy. Józef nie dostosował jeszcze całkowicie swego stroju do stolicy. Mimo to, kiedy tak kroczy młodzieńczy, wysmukły, postawny, bystrooki, robi wrażenie wytwornego pana, któremu obca jest wszelka małostkowość. Obiegają go sprzedawcy amuletów, pamiątek z podróży odtwarzających obelisk, który wznosi się obcy i uroczysty pośrodku stadionu.

Autoryzowany przewodnik chce mu pokazać wszystkie szczegóły — łożę cesarską, model przyszłej budowli. Ale Józef zbywa go niedbałym ruchem ręki. Kroczy sam wśród kamiennych ław, jak gdyby był tutaj stałym bywalcem podczas wyścigów.

Ławy dolne przeznaczone są niezawodnie dla arystokracji i senatu. Nikt nie wzbrania mu zająć jednego z tak bardzo pożądanых miejsc. Dobrze tu siedzieć w promieniach słońca. Józef oparł głowę na rękę, patrzy martwo na wznoszący się pośrodku obelisk.

Chcąc osiągnąć swój cel nie mógł wybrać lepszej pory od tych miesięcy bezpośrednio po pożarze. Ludzie są w dobrych humorach, przystępni. Energia, z którą cesarz zabrał się do odbudowy miasta, działa pobudzająco na wszystkich. Wszędzie panuje ruch, ludzie, pełni otuchy, robią interesy. Powietrze jest jasne i świeże, odmienne od ciężkiej, dusznej atmosfery Jerozolimy, której nie mógł już znieść.

Na stadionie siedząc na ławie senatu, w miłym słońcu rozleniwiającego popołudnia, wśród gwaru odbudowującego się Rzymu Józef rozważa namiętnie, a jednak chłodno, swoje szanse. Ma lat dwadzieścia sześć, rysuje się przed nim wielka kariera, pochodzi z wysokiego rodu, posiada gruntowne wykształcenie, zadatki na męża stanu, wściekłą ambicję. Nic, nie chce skisnąć w Jerozolimie. Jest wdzięczny ojcu, że w niego wierzy, że wyjednał mu wysłanie do Rzymu.

Inna sprawa, że misja jego tutaj jest mocno problematyczna. Z punktu widzenia prawnego Synedrion w Jerozolimie nie ma ani podstawy, ani tytułu, by w tej sprawie wysłać do Rzymu specjalnego pełnomocnika. Józef wyskrobał ze wszystkich zakamarków mózgu argumenty, którym wreszcie panowie w Jerozolimie, acz wzdragając się, ulegli.

A więc: trzech członkowie Synedrionu, którzy na rozkaz gubernatora Antoniusza Feliksa przed dwoma laty stanęli przed Trybunałem Cesarskim w Rzymie jako buntownicy, zostali bezprawnie skazani na ciężkie roboty. To prawda, że byli oni w Cezarei, kiedy Żydzi podczas zamieszek wyborczych zerwali i połamali insygnia cesarskie umieszczone przed rezydencją gubernatora, ale sami nie brali udziału w tym akcie buntowniczym. Skazanie tych trzech dostojnych starców było ze strony gubernatora samowolą, skandalicznym wybrykiem, obrażą całego narodu żydowskiego. Józef ujrzał upragnioną, niezwykle sposobność odznaczenia się. Znalazł nowych świadków niewinności owych trzech, ma nadzieję przeforsować u dworu cesarskiego ich rehabilitację albo co najmniej ułaskawienie.

Zorientował się, że Żydzi rzymscy nie będą się zbytnio wysilali, by mu w tej misji dopomóc. Fabrykant mebli Kajus Barcaarone, przewodniczący gminy agrypińskiej, u którego mieszkał i któremu przywiózł polecenia od ojca, chytrze, przyjaźnie i ostrożnie wyjaśnił mu sytuację. Stu tysiącom Żydów zamieszkałym w Rzymie dobrze się powodzi. Żyją z resztą ludności na pokojowej stopie. Patrzą z niezadowoleniem na to, że wroga Rzymowi nacjonalistyczna partia Zelotów zyskuje w Jerozolimie coraz większe wpływy. Ani myślą narażać swej wygodnej sytuacji przez wtrącanie się w stałe zatargi tych panów z Jerozolimy z Rzymem i administracją cesarską. Nie, Józef będzie musiał sam załatwić istotę sprawy.

Piętrzyły się przed nim kamienie, drzewo, cegły, kolumny i różnobarwne marmury. Budowla rosła niemal w oczach. Kiedy za pół godziny, za godzinę odejdzie stąd, gmach urośnie niewiele, może o jakąś tysięczną część przewidzianego wymiaru, ale właśnie przewidziana na tę godzinę część będzie osiągnięta. I on osiągnął coś przez ten czas. Jego pęd naprzód stał się gorętszy, bardziej palący, nieodparty. Każde uderzenie młota, każdy zgrzyt piły dochodzący z budowy godzi w niego, rani go, kiedy tak jak wielu innych włóczęgów i próżniaków siedzi sobie w słońcu. Będzie miał wiele roboty, nim wyciągnie z więzienia swoich trzech niewinnych, ale cel swój osiągnie.

Już nie wydaje się sobie taki mały i biedny jak pierwszego dnia. Jego respekt przed

mięsistymi, zamkniętymi w sobie twarzami Rzymian zmalą. Zauważył, że ci Rzymianie są niższego wzrostu niż on. Kroczy wśród nich wysmukły i postawny, kobiety w Rzymie zwracają ku niemu głowy podobnie jak kobiety w Jerozolimie i Cezarei. Irena, córka przewodniczącego gminy Kajusa, z pewnością wróciła do pokoju, choć nie było to na rękę ojcu, tylko dlatego, że był tam Józef. Ma piękną postać, bystry, giętki umysł. Mając lat dwadzieścia jeden zdobył wysoką godność rabiego akademii duchownej w Jerozolimie, opanował całkowicie rozgałęzioną dziedzinę prawnej i teologicznej interpretacji Pisma. A czy nawet nie przeżył dwóch lat jako wygnaniec, na pustyni, u essejczyka Ba-nusa, by spojrzeć na rzeczy bezstronnie, wejść w siebie, wysubtelnić intuicję? Brak mu jedynie najniższego szczebla drabiny: spajającej chwili. Ale chwila ta przyjdzie, przyjść musi.

Młody literat i mąż stanu Józef syn Mateusza zagryza wargi. „Poczekajcie, członkowie Synedrionu, nadęci mędrzy z eksedry Świątyni. Ponizaliście mnie, nie pozwalaliście mi podnieść głowy. Gdyby ojciec nie dodał czegoś do sumy przeznaczanej mi z funduszu Świątyni, nie byłbym w stanie tu przyjechać. Ale teraz siedzę w Rzymie jako wasz delegat. Zapewniam was, że to wykorzystam. Już ja wam pokażę, czcigodni rabbi jerozolimscy!”

Ludzie wewnątrz wielkiego stadionu zaczynają wołać coś do siebie, podnieśli się z miejsc, wyteżyli wzrok w jednym kierunku. Od strony Palatynu zbliżał się lśniący orszak — heroldowie, paziowie, świta, lektyki. Podniósł się i Józef, chciał popatrzeć. Zaraz wyrósł też jak spod ziemi przewodnik, ale tym razem Józef nie kazał mu odejść. Nie przyjechał ani cesarz, ani nawet komendant gwardii, lecz jakiś senator albo inny wielki pan, który kazał się oprowadzać przez architekta Celera po nowo budującym się stadionie.

Gawiedź, powstrzymywana przez policję oraz służbę architekta i jego towarzyszy, starała się dotrzeć bliżej. Zwinnemu przewodnikowi udało się przedrzeć wraz z Józefem do pierwszego szeregu. Po stroju paziów, likto-rów i lokai, w mężu, który kazał sobie pokazać stadion, poznał senatora Marulla. Józef sam orientował się nieco, kto to taki, gdyż jak we wszystkich prowincjach opowiadano również i w Jerozolimie najdziwniejsze historie o tym Marullu, jednym z ulubieńców dworu, który wtajemniczał cesarza we wszystkie arkana wyrafinowanych rozkoszy. Był podobno autorem pewnych widowisk o charakterze ludowym, na przykład zuchwałych rewii, które prezentował wielki komik Demetriusz Liban. Józef patrzył chciwie na głośnego senatora, który, rozparty niedbale w swej lektyce, słuchał wyjaśnień budowniczego, od czasu do czasu zbliżając do oka szlifowany szmaragd, miał bowiem krótki wzrok-

Uwagę Józefa zwrócił inny dostojnik, którego traktowano z największymi honorami. Ale czy był to w ogóle dostojnik? Wysiadł ze swej lektyki. Żle i niechlujnie ubrany, zaczął krążyć między piętrzącymi się materiałami budowlanymi. Był opasły, miał niedokładnie ogoloną, mięsistą czaszkę, ciężkie senne oczy kryły się pod wypukłym czołem. Słuchał wywodów budowniczego jednym uchem, podniósł w górę kawałek marmuru, obracał go w grubych palcach; zbliżył do oczu, powąchał, potem odrzucił, wyciągnął murarzowi narzędzia z ręki, pomacał je. Wreszcie usiadł na bloku, stękając zawiązał sznurowadło, które mu się rozluźniło, z niechęcią odrzucił pomoc lokaja. Tak, przewodnik znał i jego. Był to Klaudiusz Reginus.

— Wydawca? — zapytał Józef.

Może sprzedaje również książki, ale przewodnik nic o tym nie wie. Zna go jako nadwornego jubilera cesarza. Ten bardzo wpływowy człowiek, wielki finansista, wyglądał w swym stroju ubogo i, jak widać, nie przywiązywał większej wagi do liczebności i świętości swego orszaku. Bardzo to szczególne, gdyż urodził się jako niewolnik z ojca Sycylijczyka i matki Żydówki, a ludzie, którzy zrobili karierę, lubią zazwyczaj otaczać się blaskiem i przepychem. Nie ulega wątpliwości, że Klaudiusz Reginus, liczący lat czterdzieści dwa, ma za sobą bajeczną karierę. Nacechowane przedsiębiorczością rządu obecnego cesarza dawały okazję do wielu

grubych interesów, a Klaudiusz Reginus brał udział we wszystkich. Należała do niego znaczna część egipskiej i libijskiej floty handlowej przewożącej zboże, a jego silosy w Puteoli i Ostii są godne widzenia.

Senator Marull i jubiler Klaudiusz Reginus rozmawiali ze sobą głośno i bez żenady, tak że pierwszy szereg ciekawych, w którym stał Józef, słyszał każde słowo. Józef oczekiwał, że obaj mężowie, których nazwiska wymieniano z szacunkiem w kołach literackich całego świata, gdyż Klaudiusz Reginus uchodził w Rzymie za najwybitniejszego wydawcę, będą dzielić się ze sobą cennymi uwagami na temat estetyki nowej budowy stadionu. Słuchał z napięciem. Nie mógł nadążyć za ich szybką łaciną, ale orientował się, że w rozmowie nie chodziło ani o estetykę, ani o światopogląd. Mówili o cenach, kursach giełdowych, interesach. Usłyszał wyraźnie, jak senator zapytywał ze swej lektyki nosowym donośnym głosem, przekomarzając się wesoło:

— Klaudiuszu Reginie, czy zarabiasz także i na budowie wielkiego stadionu?

Jubiler, siedzący w słońcu na zwale kamieni z rękami opartymi na grubych udach, odpowiedział z całą beztrząską:

— Niestety nie, senatorze Marullu.

— Sądziłem, że przy dostawach na budowę stadionu nasz architekt dał ci zarobić.

Niedostateczna znajomość języka sprawiała, że Józef niewiele rozumiał z dalszej rozmowy. Przewodnik, sam słabo poinformowany, próbował pomagać. Nie ulegało wątpliwości, że zarówno Klaudiusz Reginus, jak i senator Marull nabyli w słabo zabudowanych dzielnicach na peryferiach miasta olbrzymie tereny; teraz, po wielkim pożarze, przybyły w śródmieściu obszerne place pod budynki publiczne; domy czynszowe wypierane były coraz bardziej na peryferie. Nie dało się obliczyć nawet w przybliżeniu, jak podniosła się wartość tamtejszych terenów.

— Czyż robienie interesów nie jest członkom senatu zabronione? — zapytał nagle Józef przewodnika.

Przewodnik spojrział na cudzoziemca ze zdumieniem. Usłyszawszy to kilka osób roześmiało się. Zaczęli również śmiać się inni, podawano sobie pytanie przybysza z pro-wincji z ust do ust i nagle cały stadion wybuchnął głośnym śmiechem.

Senator Marull zapytał o przyczynę tej wesołości. Dokoła Józefa utworzyła się pusta przestrzeń, nagle stanął oko w oko z obydwojma dostojnymi mężami.

— Coś ci się nie podoba, młodzieńcze? — zapytał grubas agresywnie, ale nie bez uśmiechu. Siedział na zwale kamieni oparłszy ręce o potężne uda, podobny do posągu jakiegoś króla egipskiego. Słońce nie prażyło zbyt mocno, wiał lekki wiatr, atmosfera dokoła była lekka i pogodna. Liczne audytorium przysłuchiwało się z zadowoleniem rozmowie obu dostojników z prowincjuszem.

Józef stał skromnie, ale nie czuł się bynajmniej zakłopotany.

— Jestem w Rzymie dopiero od trzech tygodni — powiedział po grecku z trudem dobierając słowa. — Czy to takie dziwne, że jeszcze się nie orientuję w warunkach mieszkaniowych tego wielkiego miasta?

— Skądże zatem przybywasz? — zapytał senator ze swej lektyki.

— Może z Egiptu? — wtrącił się Klaudiusz Reginus.

— Przybywam z Jerozolimy — odparł Józef i wymienił pełne nazwisko: — Jestem Józef syn Mateusza, kajdan świątyni Pańskiej.

— To niemało na Jerozolimę — oświadczył senator. Nie można było się zorientować, czy powiedział to serio, czy żartem. Architekt Celer nie ukrywał zniecierpliwienia, pragnął wyjaśnić swoje projekty. Były to wielkie projekty, pomysłowe i śmiałe, nie chciał, by mu przeszkadza

dzał ten niemrawy prowincjusz. Ale finansista Klaudiusz Reginus był z natury człowiekiem ciekawym. Rozsiadłszy się wygodnie na swym ogrzany przez słońce kamiennym bloku, wypytywał młodego Żyda. Józef informował go chętnie. Chciał opowiedzieć możliwie najwięcej rzeczy nowych i ciekawych, by nadać powagi i sobie, i swemu narodowi. „Czy zdarza się i w Rzymie, zapytał, że domy toczy trąd?” „Nie, odpowiedziano, to się nie zdarza.” „Ale w Judei, informował Józef, zdarza się to czasem. Nagle ukazują się na ścianach czerwone lub zielonkawe wgłębienia. Bywa, że trzeba rozebrać cały dom. Czasami może temu zapobiec kapłan, ale ceremonia nie jest prosta. Nakazuje usunąć schorzone kamienie, potem musi wziąć dwa ptaki, polano drzewa cedrowego, pęk szkarłatnej wełny i garść hyzopu. Krwią jednego z ptaków trzeba siedmiokrotnie opryskać dom, drugiego wypuścić na pole za miastem. Tym sposobem dom symbolicznie się oczyszcza.” Stojący dokoła słuchali z zainteresowaniem i bez szyderstwa, mieli bowiem zrozumienie dla rzeczy niezwykłych, lubili wszystko, co niesamowite.

Jubiler Klaudiusz Reginus patrzył poważnie swymi sennymi oczyma na żarliwego, szczupłego młodzieńca.

— Przybyłeś tu w interesach, rabbi Józefie — zapytał — czy też chcesz się przyjrzeć odbudowie naszego miasta?

— Przybyłem w interesach — odpowiedział Józef. — Muszę uwolnić trzech niewinnych. Takie sprawy uważane są u nas za interesy niecierpiące zwłoki.

— Obawiam się — odparł senator, lekko ziewając — że na razie jesteśmy zanadto pochłonięci odbudową, żeby znaleźć czas na zajmowanie się taką bagatelką, jak ci trzej niewinni. Architekt rzekł zniecierpliwionym tonem:

— Na oparcia w łoży cesarskiej używam serpentynu nakrapianego czernią i zielenią. Przysłano mi ze Sparty wyjątkowo piękny blok.

— W drodze do Rzymu widziałem nowe budowle w Aleksandrii — wtrącił Józef nie chcąc, by go wyeliminowano z rozmowy. — Ulice w Aleksandrii są szerokie, jasne i proste.

Architekt odparł lekceważąco:

— Aleksandrię potrafi odbudować pierwszy lepszy kamieniarz. Mają tam dosyć miejsca i płaski teren.

— Niech się pan uspokoi, mistrzu — rzekł wysokim dyszkantem Klaudiusz Reginus. — Nawet ślepy widzi, że Rzym to nie Aleksandria.

— Pozwólcie mi pouczyć tego młodzieńca — rzekł z uśmiechem senator Marull. Był podniecony, miał ochotę się popisać, co lubili również czynić cesarz Neron i liczni patrycjusze. Kazał odsunąć szeroko zasłony swej lektyki, by ukazać wszystkim swą chudą, wypielęgowaną twarz oraz czerwony senatorski szlak szaty. Oglądał człowieka z prowincji przez szmaragd.

— Tak, młodzieńcze — powiedział z pewną ironią — jesteśmy wciąż jeszcze w fazie odbudowy. Ale i bez nadmiernej fantazji możesz się już teraz zorientować, jak będzie wyglądało nasze miasto, jeszcze zanim rok ten się skończy. — Podniósł się nieco, wyciągnął nogę tkwiącą w czerwonym trzewiku na grubej podeszwie — takie trzewiki wolno było nosić tylko najwyższej arystokracji — uderzył w ton handlarza ulicznego: — Wolno mi powiedzieć bez przesady, że kto nie zna złotego Rzymu, ten właściwie nie wie, co to jest życie. Gdziekolwiek się znajdziesz w Rzymie, mój drogi, będziesz wszędzie w centrum, ponieważ nie mamy granicy i połykamy coraz więcej przyległych miejscowości. Słyszysz tutaj setki języków, możesz obserwować osobliwości wszystkich ludów. Mamy tu więcej Greków niż w Atenach, więcej Afrykanów niż w Kartaginie. Możesz tu znaleźć wszystkie produkty świata. Znajdziesz ładunki z Indii i Arabii w takich ilościach, że dojdiesz do przekonania, iż kraje te są całkowicie ogołoczone i jeżeli ludy ich zechcą pokryć zapotrzebowanie swojej własnej wytwórczości, będą musiały zwrócić się po nie do nas. Czego sobie życzysz, mój drogi? Wełny hiszpańskiej, chińskiego jedwabiu, sera

alpejskiego, pachnideł arabskich, leków z Sudanu? Otrzymasz nagrodę, jeżeli czegoś tu nie znajdziesz. A może pragniesz najnowszych wiadomości? Forum i Pole Marsowe są dokładnie poinformowane, kiedy w górnym Egipcie spadają ceny zboża, kiedy jakiś generał wygłasza nad Renem głupie przemówienie, kiedy nasz poseł na dworze króla Partów wywołuje niemiłe poruszenie przez głośnie kichnięcie. Żaden uczony nie może pracować bez pomocy naszych bibliotek. Mamy tyle posągów, co mieszkańców. Płacimy najwyższą cenę za cnotę i występki. Znajdziesz u nas wszystko, co potrafi wymyślić twoja fantazja; znajdziesz również wiele rzeczy, których nie umiałbyś sobie wyobrazić w najśmielszej fantazji.

Senator wychylił się ze swej lektyki; ludzie stojący dokoła słuchali go. Zachował do końca ironiczną pozę, na siadującą adwokata lub krzykliwego przekupnia z rynku ale słowa jego brzmiały ciepło, i wszyscy czuli, że ten wielki hymn na chwałę miasta jest czymś więcej niż parodią.

Słuchali, porwani tym, jak sławiono ich miasto z jego błogosławionymi cnotami i błogosławionymi występami miasto najbogatszych i najbiedniejszych, najżywotniejsze miasto na świecie. Kiedy senator skończył, oklaskiwali go długo, jak się oklaskuje w teatrze ulubionego aktora. A senator Marull już nie słuchał, już nie patrzył na Józefa. Znikł w głębi lektyki, skinąwszy na architekta kazał sobie objaśnić model nowej budowli. Jubiler Klaudiusz Regin nie odezwał się również ani słowem do Józefa. Kiedy jednak tłum porwał go za sobą, mrugnął zachęcająco w jego stronę; a przy tym mrugnięciu mięsista jego twarz nabrała dziwnie chytrego wyrazu.

W zamyśleniu, nie rozglądając się, niejednokrotnie trącany, przedzierał się Józef przez miejską cizbę. Nie rozumiał całej mowy senatora, ale słowa jego rozgrzały mu serce i uskrzydliły myśli. Wszedł na Kapitol, wchłaniał w siebie widok świątyń, ulic, pomników, pałaców. W złotym domu, który tam wzniesiono, rządził cesarz rzymski, z Kapitolu senat i lud rzymski ogłaszali postanowienia zmieniające oblicze świata. Tam w archiwach przechowywany był odlany w spiżu ład świata taki, jak nakazywał Rzym. Rzym to znaczy siła. Józef powtórzył kilkakrotnie słowo Rzym, potem przetłumaczył je na język hebrajski. To Gewurah brzmiało mniej groźnie. Z kolei przetłumaczył Rzym na język aramejski: Kocha, i w tym brzmieniu utraciło wszelką grozę. Nie, Józef syn Mateusza z Jerozolimy, kapłan, nie odczuwał strachu przed Rzymem.

Patrzył na miasto. Ożywiało się coraz bardziej, nadeszła pora popołudniowego ruchu. Krzyk, tłok, rwetes. Wchłaniał w siebie obraz miasta, ale za tym obrazem widział realniej niż rzeczywisty Rzym swe miasto rodzinne, eksedry Świątyni, w której zasiadał Synedrion. Realniej niż gwar Forum słyszał przeraźliwy dźwięk olbrzymiego rogu, który o wschodzie i zachodzie słońca obwieszczał od Jerozolimy aż po Jerycho, że oto dokonuje się codzienny obrzęd całopalenia na ołtarzu Jehowy. Józef uśmiechnął się. Tylko ten, kto się urodził w Rzymie, może zostać senatorem. Marull spogląda dziecinnie i wyniośle ze swej lektyki, wyciąga nogę obutą w czerwone trzewiki o wysokiej podeszwie, z czerwonymi rzemykami, które wolno nosić tylko czterystu senatorom. Ale Józef jest rad, że się urodził w Jerozolimie, mimo iż nie ma nawet pierścienia — atrybutu szlachty drugiego stopnia. Ten Rzymianin śmiał się z niego, ale on w głębi duszy śmiał się z jego rodaków. Tego, co mogą dać ludzie Zachodu, ich techniki, logiki, można się nauczyć. Natomiast nie można nauczyć się mocy jasnowidztwa i świętości Wschodu. Naród i Bóg, człowiek i Bóg stanowią tam jedność. Ale jest to Bóg. niewidzialny, nie można go dojrzeć ani się go nauczyć. Albo się go ma, albo nie ma. Józef posiadał to, czego nie zdoła dać żadna nauka; nie wątpił, że się nauczy i techniki, i logiki.

Zszedł z Kapitolu. Jego podłużne, namiętne oczy płonęły w bladej, opalanej, kościstej twarzy. Wiedziano w Rzymie o tym, że wśród ludzi Wschodu jest wielu opętanych przez Boga.

Oglądano się za nim. Jedni patrzyli szyderczo, inni może z zazdrością. Przeważnie jednak podobał się, zwłaszcza kobietom, kiedy tak kroczył zatopiony w ambitnych snach i marzeniach.

Kajus Barcaarone, przewodniczący gminy agrypińskiej, u którego Józef mieszkał, był właścicielem najlepiej prosperującej fabryki mebli artystycznych w Rzymie.. Jego główne magazyny mieściły się na drugim brzegu Tybru. Miał nieduży sklep w Suburze, dwa wielkie luksusowe sklepy pod arkadami Pola Marsowego. W dni powszednie nawet jego obszerny dom w dzielnicy żydowskiej, w pobliżu Bramy Trzech Ulic, był zapchany przedmiotami, którymi handlował. Dziś jednak, w wilię sabbatu, nie pozostało z tego ani śladu. Cały dom, przede wszystkim obszerna jadalnia zdawała się dziś Józefowi odmieniona. Zazwyczaj widać było stamtąd dziedziniec, dziś pokój oddzielony był od niego potężną zasłoną; Józefa ujęło to poszanowanie ojczystych obyczajów, ściśle przestrzeganych w Jerozolimie; wiedział, że dopóki zasłona pozostaje zaciągnięta, każdy, kto się zjawi w jadalni, będzie mile widzianym gościem. Natomiast kiedy zasłonę odsuwano, żeby wpuścić nieco świeżego powietrza, wtedy wieczerza rozpoczynała się, i ten, kto się zjawiał, przybywał za późno. Poza tym jadalnia nie była dziś oświetlona na modłę rzymską, lecz w myśl obyczaju żydowskiego: 'srebrne lampy, ozdobione girlandami fiołków, zwisały z sufitu. Na całej zastawie stołowej, na kubkach, solniczkach, flaszczykach na oliwę, ocet i korzenie, lśnił emblemat Izraela: winne grono. Wśród wielu sprzętów stały owinięte w słomę urny do ogrzewania; w sabbat nie wolno gotować, dlatego potrawy były zawczasu przyrządzone i zapach ich unosił się w jadalni. Widok tych urn poruszył serce Józefa bardziej niż cały blask i przepych komnaty.

Mimo tak swojskiego otoczenia, Józef odczuwał niezadowolenie. W skrytości ducha liczył na to, że jako kapłanowi, odznaczonemu zaszczytnym tytułem rabiego Akademii Jerozolimskiej, przydzielone mu zostanie miejsce na jednej z sof biesiadnych. Ale temu nadętemu Rzymianinowi sukces uderzył widać do głowy — po wielkim pożarze jego skład mebli rozwija się wprost wspaniale — i ani myślał mu wskazać jednego z miejsc honorowych. Uznał, że Józef winien siedzieć przy ogólnym stole wraz z kobietami i mniej dostojnymi gośćmi.

Dlaczego właściwie wszyscy stoją, dlaczego nikt nie podciągnie w górę zasłony i wieczerza się nie rozpoczyna? Już dawno Kajus położył ręce na głowach swych dzieci, błogosławiąc chłopców słowami: „Niechaj Bóg uczyni cię takim, jakimi byli Efraim i Menasse”, dziewczynce zaś mówiąc: „Niechaj Bóg uczyni cię taką, jakimi były Rachel i Lea.” Wszyscy się niecierpliwą i chcą jeść, na co się właściwie czeka?

'Nagle z podwórza rozlega się znajomy głos i oto spoza kotary wyłania się zażywny jegomość, którego Józef już widział: finansista Klaudiusz Reginus. Wita się żartobliwie na modłę rzymską z panem domu i jego sędziwym ojcem Aronem, rzuca również i mniej dostojnym gościom kilka miłych słów i, o dziwo, poznaje Józefa, który jest z tego bardzo dumny, spogląda na niego mrużąc ociężałe, senne powieki i swym wysokim głosem wita go tak głośno, że wszyscy to słyszą: •

— Dzień dobry, pokój z tobą, Józefie synu Mateusza, kapłanie.

Po tych słowach podniesiona zostaje kotara, Klaudiusz Reginus kładzie się bez ceremonii na środkową sofę, na honorowym miejscu. Kajus zajmuje drugie miejsce, stary Aron trzecie. Kajus, trzymając puchar napelniony winem Eszkoł, odmawia słowa sobotniej modlitwy, błogosławi wino, wielki puchar wędruje od ust do ust. Potem Kajus bierze chleb, łamie go, dzieli na kawałki. Wszyscy mówią „amen” i wreszcie zaczynają jeść.

Józef siedzi między otyłą panią domu i jej przystojną, szesnastoletnią córką Ireną, która nie spuszcza z niego łagodnych oczu. Przy wielkim stole siedzi jeszcze sporo osób. Mały Kornel i młodszy synek Kajusa, dwóch niepozornych studentów teologii, którzy obiecują sobie, że się tu dziś wieczorem najedzą do syta, a przede wszystkim młody człowiek o żółtej, opalanej, ostro

zarysowanej twarzy, który siedzi naprzeciw Józefa i od czasu do czasu na niego spogląda. Okazuje się, że również pochodzi z Judei, z na wpół greckiego miasta Tyberiady, że się nazywa Justus, tak, Justus z Tyberiady, i że jego sytuacja zarówno moralna, jak i społeczna podobna jest w zastanawiający sposób do sytuacji Józefa. Tak samo jak Józef studiował teologię, prawo i literaturę. Zajmuje się głównie polityką, mieszka tu jako agent króla tytularnego Agryppy. Choć pochodzi z mniej znakomitego rodu niż Józef, zdobył od dzieciństwa lepszą niż on znajomość łaciny i greki, poza tym przebywa tutaj od lat trzech. Młodzi panowie obwacują się nawzajem ciekawie, uprzejmie i z wielką nieufnością.

Na sofach biesiadnych toczy się głośna, beztraska konwersacja. Obie pełne przepychu synagogi w Rzymie spłonęły, natomiast trzy wielkie bóżnice na prawym brzegu Tybru pozostały nietknięte. Pożar obu przybytków pańskich był oczywiście bolesnym dopustem bożym, ale przewodniczący gmin na prawym brzegu Tybru byli z tego dosyć radzi. Każda z pięciu gmin rzymskich miała swego przewodniczącego. Współzawodniczyli z sobą, prowadzili ostrą walkę, w której bardzo ekskluzywna synagoga Welia przodowała nad położoną na przeciwległym brzegu Tybru liczną, lecz nie tak elitarną gminą agrypińską Kajusa. Bezzębny, prastary ojciec Kajusa pomstował najgłośniej na pyszałkowatych durniów z tamtego brzegu. Czy stary uświęcony zwyczaj nie każe wznosić synagogi na najwyższym placu w danej okolicy, tak jak świątynię w Jerozolimie, dominującą z wyżyny nad miastem? Ale oczywiście, Julian Alf, przewodniczący gminy Welia, chce mieć swoją synagogę w pobliżu Palatynu, nawet gdyby ją z tej racji wypadło postawić niżej. Bóg spalił za karę owe domy, przede wszystkim za to, że Żydzi z tamtego brzegu kupują sól u Rzymian, choć każdy wie, że dla nadania jej pięknego wyglądu nacierana jest świńskim tłuszczem. Sędziwy starzec wymyślał tak na wszystko i na wszystkich. O ile Józef mógł zrozumieć, jego bełkot gromił teraz tych, którzy ze względu na modę i na interesy zmieniali święte imiona hebrajskie na łacińskie i greckie. Syn jego Kajus, który zwał się kiedyś Chaimem, uśmiechał się dobrodusznie i wyrozumiale; właściwie dzieci nie powinny tego słuchać. Natomiast Klaudiusz Reginus śmiał się, klepał starego po ramieniu oświadczając, że się od urodzenia nazywał Reginus; urodził się jako niewolnik i pan jego tak go nazwał. Właściwie powinien nazywać się Melek. Matka tak go czasami wołała; nie będzie mieć nic przeciwko temu, jeżeli starzec zechce go tak nazywać.

Opalony, żółtawy Justus dotarł tymczasem do Józefa. Józef czuł przez cały czas, że jest obserwowany. Miał wrażenie, że Justus naigrawa się z niego w duchu, pokpiwa z jego konwersacji, wymowy, z jego jerozolimskich manier przy jedzeniu, z tego na przykład, jak kciukiem i trzecim palcem wsuwa do ust perfumowane wykałaczkę z drzewa sandałowego. I oto teraz Justus zapytuje go tonem diabła protekcjonalnym, wielkowiejskim:

— Bawisz tutaj w sprawach politycznych, rabbi Józefie synu Mateusza?

Józef nie potrafi się powstrzymać, musi temu szyderczemu młodzianowi dać do zrozumienia, że został tutaj delegowany w ważnej i doniosłej misji, informuje go więc o sprawie trzech niewinnych. Zapala się. Dla uszu sceptycznego grona rzymskiego mówi nieco zbyt patetycznie, mimo to w całym pokoju, na sofach i przy wielkim stole, robi się cicho, wszyscy przysłuchują się wymownemu młodzieńcowi, porwanemu własnym zapałem i sprawą, której broni. Józef czuje, jak marzycielsko spogląda ku niemu Irena, jak się złości kolega Justus, jak nawet Klaudiusz Reginus uśmiecha się przychylnie. To mu dodaje polotu, słowa jego stają się płomienniejsze, nabierają rozmachu, wiara w swe posłannictwo staje się żarliwsza. Nagle starzec przerywa mu gniewnie:

— W sabbat nie mówi się o interesach.

Józef, pokorny i przestraszony, milknie od razu. Ale w głębi ducha jest rad, czuje, że słowa jego podziałały.

Wreszcie wieczerza się skończyła. Kajus odmawia długą modlitwę, wszyscy rozpraszają się, pozostają tylko poważni mężowie. Teraz Kajus zaprasza również na sofę Józefa i Justusa. Zjawia się na stole skomplikowany aparat do mieszania wina. Z chwilą kiedy odszedł starzec, pozostali zdejmują z głów przepisowe nakrycia, wachlują się.

Czterej mężczyźni leżą więc sobie lub siedzą. Popijają wino, zajadają słodczyce i owoce, syci, zadowoleni, chętni do rozmowy. Pokój jest pełen łagodnego, żółtawego światła, które podciągnięto w górę, z ciemnego dziedzińca płynie ożywczy chłód. Dwaj starsi panowie gawędzą z Józefem o Judei, wypytyują go. Kajus był w Judei niestety tylko raz, dawno temu, jako młody człowiek, wraz z setkami tysięcy pielgrzymów przyniósł do świątyni jagnię ofiarne na Święto Paschy. Wiele potem widział. Pochody tryumfalne bogate widowiska na arenie i na wielkim stadionie, ale widok biało-złotej Świątyni w Jerozolimie i rozentuzjzmowanych setek tysięcy, wypełniających olbrzymi teren, pozostawił wrażenie czegoś najwspanialszego, co w życiu oglądał. Czy nie mają w Jerozolimie swej własnej świątyni dla pielgrzymów? Czy nie posyłają tam ofiar i darów? Czy nie oszczędzają przez całe życie na to, by zwłoki ich zostały wysłane do Judei i pogrzebane w ziemi ojców? Ale ci panowie w Jerozolimie robią wszystko, by człowiekowi starą ojczyznę obrzydzić. Dlaczego, u licha, nie umiecie żyć zgodnie z administracją rzymską? Z cesarskimi urzędnikami można sobie poradzić, to ludzie tolerancyjni, nieraz przekonaliśmy się o tym na własnej skórze. Ale nie, wy w Judei musicie zawsze upierać się, postawić na swoim, pieniactwo tkwi wam we krwi, pewnego pięknego dnia miarka się przebierze. „Przejdziecie na suchy chleb i wodę”, przetłumaczył sobie na język aramejski z uśmiechem, ale w gruncie rzeczy z wielką powagą.

Jubiler Klaudiusz Reginus stwierdza z uśmiechem, że Józef w myśl surowej etykiety jerozolimskiej nie opróżnia pucharu od razu, lecz stawia go dwukrotnie na stole. Klaudiusz Reginus zna dokładnie stosunki panujące w Judei, był tam nie dalej jak dwa lata temu. To nie wina urzędników rzymskich, że w Judei nie ma spokoju, nie są również temu winni ci panowie z Jerozolimy. Winni są jedynie i wyłącznie mali agitatorzy, Zeloci. Nie widząc innej drogi zrobienia kariery, podżegają do beznadziejnego powstania zbrojnego. Nigdy nie powodziło się Żydom lepiej, jak pod rządami błogosławionego cesarza Nerona. Mieli wpływy we wszystkich dziedzinach, wpływy te będą rosły, jeżeli znajdą w sobie dosyć rozsądku, żeby ich nie manifestować zbyt jaskrawo. Co jest ważniejsze: mieć władzę

czy się nią chwalić? — zakończył i przepłukał usta letnim winem.

Józef uznał, że nadeszła chwila, by powiedzieć słów kilka o Zelotach.

— Ci, co mieszkają w Rzymie — oświadczył — nie powinni zapominać, że w Judei rządzi nie tylko zimny rozum; serce ma tam również coś do powiedzenia. Człowiek potyka się tam na każdym kroku o godła rzymskiej suwerenności. Kajus Barcaarone przypomniał sobie z rozczuleniem Święto Paschy w Świątyni. Kiedy jednak trzeba patrzeć na to, jak brutalnie i cynicznie zachowuje się policja rzymska, której w Święto Paschy każą tam pilnować porządku, krew człowiekowi uderza do głowy. Niełatwo świętować wyzwolenie z niewoli egipskiej, jeśli, słuchając słów Pisma, czuje się nieustannie na karku pięść Rzymian. Zachowywać się spokojnie w Rzymie to nie sztuka, nawet i mnie nie przyszłoby to z trudem; ale jest to nie do zniesienia w kraju wybranym przez Boga, w którym Bóg ma swoją siedzibę, w Izraelu.

— Nie ma już teraz Boga w kraju Izrael, Bóg jest teraz w Italii — powiedział ktoś szorstko.

Wszyscy spojrzeli na człowieka o pożółkłej twarzy, który te słowa wygłosił. Trzymał w ręku puchar, nie patrzył na nikogo, to, co powiedział, było przeznaczone tylko dla niego samego. Nie było w tych słowach ani potępienia, ani szyderstwa; ustalwszy pewien fakt zamilkł. Zamilkli

wszyscy. Nie można było nic odpowiedzieć na te słowa. Nawet Józef poczuł z niechęcią, że tkwi w nich prawda. „Bóg jest teraz w Italii”, przetłumaczył zdanie na aramejski. Dotknęło go ono głęboko.

— Masz chyba rację, młodzieńcze — powiedział po chwili finansista Klaudiusz Reginus. — Trzeba ci wiedzieć — zwrócił się do Józefa — że nie jestem Żydem, jestem synem niewolnika sycylijskiego i matki Żydówki; pan mój nie kazał mnie swego czasu obrzezać, za co, szczerze mówiąc, zachowałem dla niego wdzięczność po dziś dzień. Jestem człowiekiem interesu, unikam, jeśli tylko mogę, stron ujemnych, biorę strony dodatnie, ilekroć je znajduję. Wasz Bóg Jehowa bardziej mi trafia do przekonania niż jego konkurencja. Sympatyzuję z Żydami.

Wielki finansista leżał z błogą miną na sofie trzymając w ręku puchar z letnim winem, sprytne, zaspane oczy skierował w stronę ciemnego dziedzińca. Na jego trzecim palcu widniała olbrzymia, matowa perła, od której Józef nie mógł oderwać oczu.

— Tak, rabbi Józefie — powiedział Kajus Barcaarone — to najpiękniejsza perła czterech mórz.

— Noszę ją tylko w sabbat — rzekł Klaudiusz Reginus.

„Gdybym ten wieczór zmarnował — rozważał Józef — gdybym nie skorzystał z błogiej sytości tego wpływowego człowieka i z sentymentalnego nastroju po smacznej wieczerzy, byłbym durniem i nie doprowadziłbym do pomyślnego końca sprawy moich trzech niewinnych. ”

— Ponieważ należysz do naszych sympatyków, Klaudiuszu Reginie — zwrócił się skromnie, ale stanowczo do finansisty — czy nie zechciałbyś zająć się sprawą tych trzech niewinnie skrzywdzonych?

Jubiler gwałtownym ruchem opuścił rękę trzymającą puchar.

— Cezarea — powiedział; w jego oczach pojawiły się nagle surowe błyski, głos nabrał groźnego brzmienia — to piękne miasto ze wspaniałym portem. Poważny eksport, znakomity rynek, olbrzymi zbyt na ryby. Gigantyczne możliwości. Wasza to wina, że się je wam wyrывa z rąk. To przez te wasze idiotyczne aspiracje. Wino wydaje mi się kwaśne, kiedy słyszę o tych Zelotach.

Józef, przerażony gwałtownością tak spokojnego na ogół człowieka, odpowiedział jeszcze skromniej, że oswobodzenie trzech niewinnych to sprawa czysto etyczna, nie mająca nic wspólnego ani z humanitaryzmem, ani z polityką.

— Nie chcemy posługiwać się argumentami politycznymi ani prawnymi. Wiemy, że coś osiągnąć można jedynie przez osobiste stosunki u dworu.

Powiedziawszy to spojrział pokornie i błagalnie na Klaudiusza.

— Czy ci twoi trzej są aby naprawdę niewinni? — zapytał wreszcie Klaudiusz mrużąc oczy.

Józef zapewnił go z namiętym zapałem, że kiedy wybuchły rozruchy, ci trzej znajdowali się na przeciwległym krańcu miasta. Ale Klaudiusz przerwał mu, nie chciał tego słuchać. Pragnął jedynie wiedzieć, do jakiej partii politycznej należała owa trójka.

— Czy przemawiali w Błękitnej Eksedrze? — zapytał. Błękitna Eksedra była miejscem zebrania Zelotów.

— Przemawiali — musiał przyznać Józef.

— No widzisz — rzekł Reginus, i sprawa była dla niego najwidoczniej przesądzona.

Justus z Tyberiady patrzył na piękną, gwałtowną i pożądliwą twarz Józefa. Józef poniósł wyraźną porażkę i Justus był z tego rad. Przyglądał się swemu młodszemu koledze, który go pociągał i równocześnie odpychał. Chciał być tym, czym był Justus: wielkim pisarzem, rozporządzającym wielkimi wpływami politycznymi. Rozporządzał takimi samymi środkami,

obrał taką samą drogę, miał takie same cele. Rozwijający się Rzym dojrzał do przyjęcia starej kultury Wschodu, podobnie jak sto pięćdziesiąt lat temu Wschód dojrzał do przyjęcia kultury greckiej. Przyczynić się do wewnętrznego osłabienia Rzymu przez kulturę Wschodu było zadaniem kuszącym, szczytną misją. Wietrząc podobną możliwość przybył przed trzema laty do Rzymu, jak teraz ten oto Józef. Ale jemu, Justusowi, szło to zarazem i łatwiej, i trudniej. Miał silniejszą wolę, wybitniejsze zdolności. Ale był zbyt wymagający, zbyt drażliwy. Wejrzał głęboko w polityczne i literackie życie stolicy, czuł wstręt przed kompromisami i tanimi efektami. Józef był widocznie mniej wybredny. Nie odstraszały go żadne chwytły, chciał wypłynąć za wszelką cenę. Zgrywał się, schlebiał, paktował. Komuś, kto się na tym zna, sprawiało przyjemność przyglądanie się takiemu brakowi wszelkich skrupułów. Jego własne żydostwo jest bardziej duchowe niż żydostwo Józefa, dojdzie między nimi do starć. Będzie to ostry wyścig, nie zawsze łatwo będzie zachować lojalność, ale Justus pozostanie lojalny. Da tamtemu wszelkie należne mu szanse.

— Radziłbym ci, Józefie synu Mateusza — powiedział — zwrócić się do aktora Demetriusza Libana.

Znowu wszyscy spojrzeli na młodzieńca o żółtawej cerze. Że też tamci nie wpadli na ten pomysł! Demetriusz Liban, najpopularniejszy komik stolicy, rozpieszczany ulubieniec dworu, Żyd, przy każdej okazji podkreślający swoje żydostwo, tak, to był właściwy człowiek, on mógł przeprowadzić sprawę Józefa. Cesarzowa widywała go chętnie, zapraszała co tydzień na swoje przyjęcia. Obaj zgodzili się: Demetriusz Liban, do niego należało się zwrócić.

Wkrótce potem towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Józef poszedł na górę do swojego pokoju. Szybko zasnął, bardzo zadowolony. Justus z Tyberiadz poszedł do domu sam; kroczył wolno i poważnie wśród nocnych ciemności. Uśmiechał się: przewodniczący gminy nie zdobył się nawet na to, żeby mu dać kogoś, kto by niósł przed nim pochodnię.

Bardzo wczesnym rankiem Józef, któremu towarzyszył niewolnik przewodniczącego gminy Kajusa Barcaarone, stawiał się przy Bramie Tyberyjskiej, gdzie go oczekiwał woźnica spółki transportowej trudniącej się przewozem towarów. Pojazd był mały, dwukołowy, dosyć ciasny i niewygodny. Padał deszcz. Mrukliwy woźnica obliczył, że jazda potrwa jakieś trzy godziny. Józef dygotał z zimna. Niewolnik, którego mu przydzielił Kajus przede wszystkim jako tłumacza, okazał się mało rozmowny i wkrótce zasnął. Józef otulił się szczelniej płaszczem. W Judei może być teraz jeszcze bardzo ciepło. Mimo to lepiej, że jest tutaj. Tym razem musi się dobrze skończyć — Józef wierzył w swe szczęście.

Żydzi w Rzymie stale łączą sprawę jego trzech niewinnych z polityką Zelotów, ze sprawą Cezarei. Zapewne, ma to znaczenie dla całego kraju, czy Żydzi przez lichwiarskie spekulacje zostaną odsunięci od władania Cezareą, ale Józef nie chce, żeby tę sprawę łączono z jego trzema niewinnymi. Uważa to za cyniczne. Jemu chodzi o zasadę etyczną, pomoc uwięzionym jest jednym z podstawowych postulatów nauki żydowskiej.

Chcąc być uczciwym, trzeba przyznać, że ci trzej niewinni nie znaleźli się przypadkowo w Cezarei podczas wyborów. Ze swego stanowiska ówczesny gubernator Antoniusz Feliks miał podstawy do ujęcia tej trójki. Ale Józef nie ma powodu zajmować się motywami, którymi kierował się, odwołany na szczęście, gubernator. Dla niego ci trzej są niewinni. Pomagać uwięzionym...

Wóz trzęsie. Patrzcie, patrzcie, to już teren cegielni. Jest to szarozółte pustkowie, otoczone słupami i płotami. Spod bramy patrzą na nich włóczący się żołnierze straży wartowniczej, nieufnie, z zaciekawieniem, zadowoleni, że coś się dzieje. Niewolnik pertraktuje z nimi, pokazuje dokumenty. Józef stoi z boku, czuje się nieswojo.

Prowadzą ich do zarządcy ponurą drogą. Dookoła słychać głuchy, monotony śpiew.

Przepis nakazuje, by śpiewano przy robocie. Dozorcy mają pałki i baty; spoglądają na obcego ze zdumieniem.

Zarządca jest niemile zdziwiony. Zwykle, kiedy ktoś przybywa z zewnątrz, zawiadamiają go o tym zawczasu. Wietrzy kontrolę, nieprzyjemności, nie rozumie łaciny Józefa albo jej nie chce rozumieć, mówi słabo po grecku. Żeby się z nim dogadać, trzeba się uciekać raz po raz do pomocy niewolnika. Zjawia się jakiś niższy funkcjonariusz, szepce mu coś do ucha i zarządca zmienia z miejsca zachowanie. Mówi szczerze, że stan zdrowia tych trzech nie jest najlepszy, obawiał się, że mimo to wysłano ich do pracy, ale okazuje się, że humanitarnie zostawiono ich w celi. Jest rad, że wszystko poszło tak dobrze. Odtajał, rozumie teraz łacinę Józefa o wiele lepiej, mówi również lepiej po grecku, staje się rozmowny.

Oto akta tych trzech. Z początku używano ich w Sardynii do pracy w kopalniach, ale to było ponad ich siły. Skazani na roboty przymusowe zatrudniani bywają poza tym przy budowie dróg, przy czyszczeniu kloak, pracują w młynach i przy pompach łaźni publicznych. Praca w cegielniach należy do najłżejszych. Zarządcy fabryki patrzą niechętnym okiem na Żydów skazanych na ciężkie roboty. Żydzi robią trudności z powodu wiktu, nie chcą pracować w sabbat. Zarządca może powiedzieć śmiało, że tych trzech skazańców traktował humanitarnie. Ale i humanitaryzm niestety ma swoje granice. W związku z odbudową miasta wymagania w stosunku do cegielni państwowej są ogromne. Żądana ilość cegieł musi być bezwarunkowo dostarczona, łatwo to sobie wyobrazić, że budowniczy rzymscy nie zadowolają się byle czym. Oficjalne minimum pracy wynosi teraz piętnaście godzin na dobę. Z ośmiuset do tysiąca ludzi umiera przeciętnie czterech tygodniowo. Zarządca jest rad, że ci trzej nie znaleźli się jeszcze dotychczas między nimi.

Zarządca przekazuje Józefa urzędnikowi. Znowu droga prowadzi przez cegielnię, obok dozorców z kijami i batami. Wśród gliny i skwaru rozlega się głuchy, jednostajny śpiew pochylonych, klęczących robotników, którzy jęczą pod brzemieniem ciężarów. Józefowi przychodzą na myśl słowa o faraonie, który uciskał Żydów w Egipcie: Egipcjanie bezlitośnie „trapili dzieci Izraela ciężarami. I ku gorzkości przywodził żywot ich robotami ciężkimi gliny i cegły, i wszelaką służbą, którą byli obciążeni w robotach około ziemie... I zbudowali miasta przybytków faraonowi Pithom i Raamses.” Jak można w przepychu i radości obchodzić Święto Paschy, jeżeli tutaj dzieci Izraela wciąż jeszcze dźwigają cegły, z których wrogowie budują swe miasta? Sandały Józefa oblepiła gruba warstwa gliny, wciskająca się między palce. Jednostajny, głuchy śpiew nie ustaje.

Dotarli wreszcie przed budynek, w którym zamknięci są skazani na ciężkie roboty. Żołnierz idzie po dozorcę więziennego. Józef, czekając w sieni, czyta napis nad drzwiami. Są to słowa pisarza współczesnego, Seneki, cieszącego się wielkim poważaniem: „Czy to niewolnicy? Tak, ale zarazem ludzie. Czy to niewolnicy? Tak, ale zarazem domownicy. Czy to niewolnicy? Tak, ale zarazem pośledniejsi przyjaciele.” Na stole leży niewielka książka. Są to wytyczne, które wyszły spod pióra pisarza Calumelli, rzeczoznawcy w sprawach dotyczących wielkich zakładów przemysłowych. Józef czyta: „Codziennie winien odbywać się apel skazanych na ciężkie roboty. Również codziennie musi być badane, czy kajdany są dość mocne, a cele odpowiednio zabezpieczone. Cele winny mieścić po piętnastu skazańców.”

Prowadzą go do owych trzech. Okna podziemnej celi umieszczone są bardzo wysoko, nie można ich dosięgnąć rękami. Prycze, w liczbie piętnastu, pokryte słomą, ciasno słoczone. Pomieszczenie, choć przebywa w nim w tej chwili tylko pięć osób: Józef, wartownik i trzech skazańcy — wydaje się nieznośnie ciasne.

Ci trzej siedzą w kucki jeden obok drugiego. Są na wpół nadzy, zwisają z nich łachmany, skóra ich ma barwę ołowiu. Nad kostkami nóg umocowane są pierścienie służące do

przytwierdzenia łańcuchów, na czole wypalone znamię w kształcie litery E. Głowy ogolone. Przy tych ogolonych głowach groteskowe wrażenie sprawiają olbrzymie, kłaczkaste, zmierzwione, żółtawosiwe brody. Józef zna ich imiona: Natan, Gadia, Jehuda. Gadię i Jehudę widywał rzadko i przelotnie, nic więc dziwnego, że ich nie poznaje, ale Natan ben Baruch, rabbi, członek Synedrionu, był jego nauczycielem; w ciągu czterech lat Józef spędzał z nim co dzień długie godziny, tego powinien by poznać. Natan był niegdyś dość tęgi, średniego wzrostu. Józef ma teraz przed sobą dwa szkielety średniego wzrostu i jeden bardzo wysoki. Trudno ustalić, który z tych kościotrupów średniego wzrostu mógłby być jego nauczycielem Natanem.

Pozdrowia ich. W nędznej celi dziwnie brzmią jego słowa wypowiedziane półgłosem: „Pokój z wami, dostojni rabbi.” Trójka spogląda na niego, Józef poznaje teraz swego dawnego nauczyciela po gęstych brwiach. Przypomina sobie, jaki gniew i strach ogarniał go na widok tego dzikiego wzroku i tych gęstych brwi. Ten człowiek dręczył niemiłosiernie dziesięcioletniego chłopca, kiedy dziecko nie mogło sobie poradzić ze skomplikowanymi formułami, upokarzał je szyderstwem, deptał je i poniewierał nim. Jakże często życzył wtedy temu ponuremu, mrukliwemu człowiekowi wszystkiego, co najgorsze. Ale teraz, na widok martwego spojrzenia suchych oczu, ma wrażenie, że kamień przytłoczył mu serce i litość dech mu zapiera.

Mówi długo i ogłędnie, zanim poprzez tępe zmęczenie słowa jego dotrą do świadomości skubańców. Nareszcie odpowiadają, pokaszlując, jękając się. Są u kresu sił. Bo choć nie można ich było zmusić do przekroczenia nakazów Jehowy, nie dozwolono, by nakazy te spełniali. Stracili więc zarówno to życie, jak i przyszłe. Czy ich będą batożyć, aż padną martwi na gliniastą ziemię, czy ich ukrzyżują, jak to przeklęte plemię zwykło czynić — „Pan dał, Pan odjął.” — Im prędzej nastąpi koniec, tym lepiej. Niechaj będzie pochwalone imię Pańskie.

Powietrze w ciasnym, na wpół ciemnym pomieszczenia jest duszne, przez wąskie szczeliny okien wdziera się deszcz, panuje straszliwy smród, z oddali dochodzi głuchy śpiew. Józefa ogarnia wstyd, że ma na sobie całe ubranie, że jest młody i pełen energii, że za godzinę będzie mógł wyjść stąd, z tej krainy gliny i grozy. Trzej skazańcy nie są w stanie myśleć o czymkolwiek, co wybiega poza krąg ich straszliwej codzienności. Nie ma sensu mówić im o jego misji, o staraniach, które zamierza poczynić w ich sprawie,

o polityce, o korzystniejszej konstelacji przy dworze. Najboleśniejsza jest dla nich niemożność trzymania się przepisów czystości, surowych nakazów dotyczących ablucyj rytualnych. Mieli niejednego dozorcę i wartownika; jedni byli surowsi, zabierali im filakteria, żeby się na nich nie powiesili, inni, łagodniejsi, pozwalali je zachować. Wszyscy dozorczy byli to jednak nie obrzezani świętokradcy, przekłeci. Było im obojętne, czy skazańców karmiono lepiej, czy gorzej, Żydzi bowiem nie jedli mięsa zwierząt, które nie zostały zabite zgodnie z przepisami rytualnymi. Żywili się więc odpadkami owoców i jarzyn. Naradzali się między sobą, czy wolno im brać przydzielane mięso i wymieniać je z innymi więźniami na chleb i jarzyny. Prowadzili na ten temat gwałtowne dyskusje, wreszcie doktor Gadia dowiódł na podstawie licznych argumentów, że jest to dozwolone. Ale w końcu zgodził się z tamtymi dwoma, że jest to dozwolone jedynie jako ratunek przed grożącą bezpośrednio śmiercią. Któż może jednak wiedzieć, czy Pan, niechaj imię Jego będzie pochwalone, wyznaczył ich śmierć na ten miesiąc czy na następny? A więc, mimo wszystko nie jest to dozwolone. Kiedy nie są zbyt zmęczeni i ogłuszeni, debatuja przy pomocy argumentów teologicznych, co jest dozwolone, a co nie, i wtedy przypominają sobie eksedrę Świątyni. Józef ma wrażenie, że debaty muszą być nieraz gwałtowne, że przeradzają się w dzikie kłótnie, ale przecież jedynie to trzyma ich jeszcze przy życiu. Nie, nie można było rozmawiać z nimi rozsądnie. Kiedy mówił o przyjaznej postawie cesarzowej wobec Żydów, odpowiadali, że jest rzeczą wątpliwą, czy w tym miejscu upadku i brudu wolno się w ogóle modlić. Nie mając kalendarza nie wiedzieli, czy nie naruszają sabbatu

przez nakładanie filakterii, a w dzień powszedni nie grzeszą przez nienakładanie ich.

Józef zrezygnował. Słuchał, a kiedy jeden z nich zacytował fragment z Pisma, odpowiedział mu innym fragmentem i, o dziwo, ożywili się, zaczęli się kłócić, wydobywać argumenty z bezsilnych gardzieli. Kłócił się razem z nimi. Był to dla nich wielki dzień. Ale nie wytrzymali napięcia i po niedługim czasie popadli z powrotem w odrętwienie.

Józef patrzył na siedzących w kucki w mętym świetle więzienia. Ci trzej, żałośni w swym brudzie, strąceni na dno, byli w Izraelu wielkimi ludźmi, nazwiska ich lśniły wśród ustawodawców prowadzących dysputy w eksedrach Świątyni. Pomagać uwięzionym! Nie, to śmieszne i bez znaczenia, czy Żydzi w Cezarei mają władzę, czy nie, to tylko kwestia pychy. Chodzi o to, by pomóc tym trzem. Widok ich wstrząsał nim, wywoływał płomienną reakcję. Był pełen zbożnego współczucia, które szarpało mu serce. Zdumiewało go i podnosiło na duchu, gdy widział, jak w swej nędzy i biedzie ściśle przestrzegają przepisów, jak się ich trzymają pazurami, jak jedynie te przepisy tchną w nich życie. Myślał o owych czasach, kiedy sam przebywał na pustyni, żył w świątobliwej ascezie u essejczyków, u nauczyciela swego Banusa, jak wtedy w najlepszych czasach nawiedzało go poznanie, nie przez rozum, lecz przez pogrążenie się w kontemplacji, przez Boga.

Uwolnić pojmanych! Zaciął wargi z niezłomnym postanowieniem stłumienia wszelkiej myśli o sobie w imię tych trzech nieszczęsnych. Poprzez żalony śpiew skazanych na ciężkie roboty słyszał wielkie hebrajskie słowa przykazania. Nie, nie przybył tutaj w pogoni za czczą sławą. Jehowa go przysłał. Wracał smagany szarym deszczem, nie czuł go, nie czuł również gliny, w której grzęzły jego nogi. Uwolnić pojmanych!

W Judei człowiek mający takie poglądy polityczne jak Józef nie może bywać ani na wyścigach, ani w teatrze. Raz tylko był na przedstawieniu w Cezarei, potajemnie i z nieczystym sumieniem. Jakież to bezwartościowe w porównaniu z tym, co dziś zobaczył w teatrze Marcella. W głowie mu szumiało od tańców, rubasznym krotochwil, baletu, od wielkiej patetycznej pantominy, od przepychu i ciągłych zmian na ogromnej scenie, która w ciągu kilku godzin ani na chwilę nie stała pustką. Siedzący obok niego Justus kwitował to wszystko lekceważącym ruchem ręki. Uznawał tylko groteskową rewię w tej postaci, którą słusznie lubił lud, słuchał tego wszystkiego tylko po to, żeby się wreszcie doczekać występu komika Demetriusza Libana.

Tak, komik zachował, mimo licznych niemiłych cech, ludzkie oblicze. Wyzwolony przez cesarza Klaudiusza, zdobył sztuką aktorską niebywały majątek oraz tytuł „pierwszego aktora epoki”. Cesarz Nero, którego kształcił w dykcji i sztuce aktorskiej, lubił go. Ciężki był w obejściu ten Liban, dumny ze swego żydostwa, a równocześnie przeźnie przyłoczony. Ani prośby, ani rozkazy cesarza nie potrafiły skłonić go, by wystąpił w sabbat lub w wielkie święta żydowskie. Debatował ustawicznie z uczonymi rabbi akademii żydowskich, czy naprawdę Bóg go odrzucił, ponieważ gra w teatrze. Dostawał ataków hysterii, kiedy kazano mu występować w kobiecym przebraniu, co było sprzeczne z nakazem Pisma, w myśl którego mężczyzna nie powinien nosić szat niewieścich.

Jedenaście tysięcy widzów zebranych w teatrze Marcella, zmęczonych produkcjami części pierwszej, które trwały kilka godzin, domagało się gwałtownie i wrzaskliwie rozpoczęcia groteski. Kierownictwo teatru zwlekało, oczekiwano bowiem zjawienia się cesarza lub cesarzowej w łoży, w której poczyniono wszystkie przygotowania. Ale publiczność, czekająca już pięć godzin, była przyzwyczajona, że w teatrze nawet dwór respektował jej prawa, więc krzyczano groźnie: „Zaczynać!”

Kurtyna się rozsunęła, rozpoczęła się komedia, w której występował Demetriusz Liban. Tytuł jej brzmiał: Pożar. Autorem był senator Marull. Bohaterem, którego grał Liban, był niewolnik Izydor z miasta egipskiego Ptolemaid, górujący nad swoim panem i całym swoim

otoczeniem. Grał niemal bez rekwizytów, nie przywdział maski, nie miał na sobie ani kosztownej szaty, ani koturnów; był po prostu niewolnikiem Izydorem z prowincji Egipt, sennym, smutnym, przemysłnym. Nic mu się stać nie może, w każdej sytuacji racja jest po jego stronie. W niezliczonych opresjach pomaga swemu ograniczonemu panu, który jest przy tym pechowcem, dostarcza mu pieniędzy i stanowisk, śpi z żoną swego pana. Pewnego razu, kiedy ów pan wymierzył mu policzek, oświadcza mu ze smutkiem, lecz stanowczo, że musi go niestety opuścić i nie wróci, dopóki pan jego nie rozwiesi na wszystkich placach publicznych plakatów i tą drogą nie przeprosi go za obelgę. Pan zakuwa niewolnika Izydora w kajdany, zawiadamia policję, ale oczywiście Izydorowi udaje się umknąć; Izydor ku niebywalej uciesze publiczności wodzi za nos policję, raz po raz wyprowadza ją w pole. Niestety w kulminacyjnym punkcie, kiedy pochwycenie Izydora zdawało się jednak nieuchronne, trzeba było przerwać widowisko, ponieważ pojawiła się cesarzowa. Cała publiczność podniosła się z miejsc, jedenaście tysięcy głosów powitało ładniutką blondynkę, która dziękowała podniesionym ramieniem z odwróconą ku publiczności dłonią. Pojawienie się jej było podwójną sensacją, gdyż w świetle jej znajdowała się przełożona westalek; nie zdarzyło się dotychczas, żeby mniszki ze sfer arystokratycznych oglądały ludowe groteski w teatrze Marcella.

Trzeba było zacząć widowisko od nowa. Józef ucieszył się: niesłychany, zuchwały realizm gry był dla niego czymś porywająco nowym, rozumiał teraz lepiej tekst. Nie odrywał płonących oczu od Libana, od jego śmiałych, smutnych ust, wyrazistych rąk, od całego jego ruchliwego, wyrazistego ciała. Przyszła teraz kolej na kuplet, słynny kuplet z widowiska muzycznego Pożar. W ciągu swego krótkiego pobytu w Rzymie Józef słyszał setki razy, jak go śpiewano, nucono, gwizdano. Aktor stał przy rampie w otoczeniu jedenastu kłownów, dźwięczały czyniele, ryczały trąby, piszczały flety. Liban śpiewał kuplet: „Kto tu rządzi? I kto za to beknie? Kto zapłaci za dziewczęta, a kto za syryjskie perfumy?” Publiczność zerwała się z miejsc, śpiewała, nawet bursztynowożółta cesarzowa w łoży poruszała wargami, a uroczysta przełożona westalek śmiała się do rozpuku. Ale teraz osaczono nareszcie niewolnika Izydora, nie było już mowy o wyrwaniu się, okrążyli go zwartym szeregiem policjanci, zapewniał, że nie jest niewolnikiem Izydorem, ale jak to udowodnić policjantom? Przez taniec. Tak, teraz nadeszła chwila — trzeba było zatańczyć. Izydor miał jeszcze na nogach kajdany. Musiał tańczyć, ukrywając te kajdany. To diablo trudne, a równocześnie komiczne i wstrząsające: człowiek, który tańczy o swoją wolność i swoje życie. Widok ten porwał Józefa tak samo jak całą publiczność. Każdy ruch aktora Libana ciągnął ku sobie głowy widzów, tak jak noga ciągnęła łańcuch. Józef czuł się arystokratą w każdym calu, bez zastrzeżeń pozwalał się obsługiwać niewolnikom, większość ludzi w teatrze także nie miała zastrzeżeń. Ludzie ci dowiedli bardzo wyraźnie na przykładzie dziesiątków tysięcy zabitych niewolników, że sobie nie życzą, by granica między panami i niewolnikami miała być zatarta. Ale teraz, widząc człowieka, który tańczy zakuty w kajdany, który udaje swego pana, byli wszyscy po jego stronie, a przeciw jego panu. Wszyscy wydawali radosne okrzyki, Rzymianie i cesarzowa, oklaskiwali zuchwalca, gdy ten znowu wystawił do wiatru policjantów i cicho, filuternie zanucił: „Kto tu rządzi? I kto za to beknie?”

Teraz widowisko stało się wprost zuchwałe. Pan Izydora rozlepił plakaty przepraszając swego niewolnika, na to, by go odzyskać. Ale tymczasem narobił głupstw, pokłócił się ze swymi lokatorami, którzy przestali płacić. Mimo to nie mógł ich z pewnych przyczyn eksmitować, wskutek czego drogie domy straciły na wartości. Mógł tu pomóc tylko i jedynie Izydor. Pomógł zaś w taki sam sposób, w jaki zdaniem ludu w podobnym wypadku pomógł cesarz wraz z patrycjuszami: podpalił dzielnicę, w której stały pozbawione wartości domy. Demetriusz Liban odegrał to z imponującym zuchwalstwem, każde zdanie zawierało aluzję do spekulacji terenami, do tych, którzy na odbudowie miasta zarabiali zawrotne sumy. Nikt nie został oszczędzony, ani

architekci Celer i Sewer, ani głośny stary polityk i literat Seneka ze swoją teoretyczną pochwałą ubóstwa i rozrzutnym trybem życia, ani finansista Klaudiusz Reginus, który na trzecim palcu nosił olbrzymią perłę, ale niestety nie miał pieniędzy na kupienie sobie odpowiednich rzemieni do sandałów, ani sam cesarz. Każde słowo trafiało w sedno, teatr szalał z radości. Kiedy przy końcu aktor Liban wezwał publiczność, by splądrować płonący na scenie dom, powstał tumult, jakiego Józef jeszcze nigdy nie widział. Kuszące wnętrze płonącego domu przy pomocy kunsztownej maszynierii zwrócono w stronę widzów. Tysiące runęły na scenę, rzuciły się na meble, naczynia, potrawy. Ludzie wrzeszczeli, deptali po sobie gniotąc się wzajemnie. A na placu przed teatrem, pod olbrzymią wytworną kolumnadą, na całym wielkim Polu Marsowym rozbrzmiewał refren: „Kto tu rządzi? I kto za to beknie?”

Kiedy Józef dzięki Justusowi otrzymał od Libana zaproszenie na wieczerzę, ogarnął go lęk. Był z natury człowiekiem śmiałym. Kiedy go przedstawiano arcykapłanowi lub królowi Agryppie czy gubernatorowi rzymskiemu, nie odczuwał zakłopotania. Ale dla aktora miał głębszy respekt. Ten Żyd Demetriusz Liban napełniał go podziwem: potrafił zmusić tysiące arystokratów i plebejuszów, Rzymian i cudzoziemców, by myśleli i odczuwali tak, jak on myśli i odczuwa.

Józef zastał aktora leżącego na sofie w wygodnym zielonym szlafroku; Liban podał mu leniwie upierścienioną rękę. Józef stwierdził ze zmieszaniem i podziwem, jak niskiego wzrostu jest ten człowiek, który wypełniał cały olbrzymi teatr Marcella.

Była to biesiada w wielkim gronie. Brał w niej udział młody Marull, syn senatora, jeszcze jakiś arystokrata, pewien Żyd z pochodzenia, członek zarządu synagogi Welia, niejaki doktor Licyniusz, bardzo afektowany i z miejsca Józefowi niesympatyczny.

Józef, choć znalazł się po raz pierwszy w domu rzymskim prowadzonym na wielką skalę, uporał się niespodziewanie zręcznie z mnóstwem szczegółów, do których nie był przyzwyczajony. Zastawa, sosy do ryb, korzenie przyprawiły o zawrót głowy. Ale wkrótce podpatrzył u leżącego na biesiadnej sofie niesympatycznego doktora Licyniusza rzecz najważniejszą: już po pół godzinie odsyłał to, co mu nie smakowało, wytwornym, wyniosłym ruchem głowy, zaś skinieniem palca kazał sobie podawać to, na co miał apetyt.

Aktor Liban jadł niewiele. Skarżył się na dietę, którą narzuca mu przekłety zawód, i to nawet w stosunku do kobiet; zrobił kilka sprośnych uwag, w jaki sposób pewni przedsiębiorcy teatralni za pomocą specjalnej maszynierii umieszczonej na ciałach swych artystów-niewolników zapobiegali oddawaniu się przez nich hulankom i rozpuście. Za wysokie łapówki jednak miękli wobec wysoko sytuowanych dam i zdejmowali na poszczególne noce mechanizm nakładany biednym aktorom. Potem zaczął nagle pokpiwać z kilku kolegów, zwolenników innego stylu, ze śmiesznych tradycji, z maski, z koturnów. Zerwał się, parodiował aktora Stratoklesa, chodził po pokoju w ten sposób, że się zielony szlafrok cały wzdymał; choć miał na nogach sandały bez obcasa, czuło się jakby namacalnie koturny i cały pompatyczny sposób bycia tamtego.

Józef zaczął zachwycać się nieśmiało dyskretnymi, a jednak wyraźnymi aluzjami Demetriusza Libana do osoby finansisty Klaudiusza. Aktor obrzucił go spojrzeniem i zapytał:

— A więc ten moment podobał się panu? To mnie cieszy, nie wywołał bowiem takiego efektu, jakiego się spodziewałem.

Józef, pałający ogniem, ale opanowany, opowiadał, jak go całe widowisko poruszyło. Widział miliony niewolników, ale teraz dopiero poczuł po raz pierwszy i dowiedział się, czym właściwie jest niewolnik. Aktor wyciągnął do Józefa upierścienioną rękę. Jest to dla niego wielka satysfakcja, że kogoś, kto właśnie przybył z Judei, tak porwała jego gra. Józef musiał mu opowiedzieć, jak każdy szczegół na niego działa. Zamyślony aktor słuchał zajadając powoli jakąś zbawienną dla zdrowia sałatę.

— Przybywasz z Judei, doktorze Józefie, prawda? — zmienił wreszcie temat rozmowy. — O, ci moi biedni Żydzi — powiedział z wyrzutem i rezygnacją. — Zatruwają mi życie, jak mogą. W synagodze hebrajskiej przeklinają moje imię tylko dlatego, że korzystam z darów danych mi przez Boga, i straszą mną dzieci. Czasami krew mnie zalewa, tak mnie złości ich ciasnota. Kiedy mają coś do załatwienia w rezydencji cesarskiej, potrafią do mnie trafić i trajkotać do znudzenia. Wtedy tolerują Demetriusza Libana.

— Mój Boże — powiedział młody Marull — przecież wiadomo, że Żydzi wiecznie utyskują.

— Wypraszam sobie — zawołał nagle aktor i zerwał się gniewnie — wypraszam sobie, żeby w moim domu obrażano Żydów. Jestem Żydem!

Antoniusz Marull poczerwieniał. Próbował się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało, wyjąkał kilka słów przeproszenia. Demetriusz wcale go nie słuchał.

— Judea — powiedział — kraj Izraela, Jerozolima. Nigdy tam nie byłem, nigdy nie widziałem Świątyni. Ale kiedyś jednak tam pojedę i ofiaruję jagnię na ołtarzu. — Jego szaroniebieskie, smutne oczy w bladej, lekko nabrzmiałej twarzy były pełne tęsknoty.

— Stać mnie na więcej niż to, co widziałeś — zwrócił się do Józefa z ważną, tajemniczą miną. — Mam pewien pomysł. Jeżeli mi się to uda, wtedy istotnie zasłużyłbym na tytuł, który noszę, i mógłbym być „pierwszym aktorem epoki”. Wiem dokładnie, jak mam to zrobić. To tylko kwestia odwagi. Módl się, rabbi Józefie synu Mateusza, żebym się zdobył na tę odwagę.

Antoniusz Marull objął go poufale za szyję.

— Drogi Demetriuszu — prosił — powiedzże nam wreszcie, co to za pomysł. Mówisz nam o nim już po raz trzeci. — Demetriusz jednak był nadal zamknięty w sobie.

— Cesarzowa także nalega, żebym mój pomysł wyjawiał — powiedział z beczelnym uśmiechem. — Ale ani mi to w głowie — zakończył. — Opowiedz mi o Judei — zwrócił się znowu do Józefa. Józef począł opowiadać

o Świącie Paschy, o Świącie Drzew, o służbie w Dniu Pojednania, kiedy to arcykapłan jedyny raz w roku nazywa Jehowę Jego rzeczywistym imieniem, pada na kolana przed niewidzialnym Bogiem, a pięćdziesiąt tysięcy skroni dotyka kamiennej posadzki Świątyni. Aktor słuchał z zamkniętymi oczyma.

— Tak, i ja kiedyś usłyszę to imię — powiedział. — Z roku na rok odkładam podróż do Jerozolimy, aktor ma niewiele lat rozkwitu, musi umiejętnie gospodarować tymi latami. Kiedyś jednak wsiądę na okręt. A jak się postarzeję, kupię sobie dom i kawałek ziemi pod Jerozolimą.

Słuchając aktora Józef doszedł szybko do konkluzji: teraz można znaleźć do niego drogę, teraz jest w dobrym nastroju.

— Czy wolno mi opowiedzieć jeszcze coś o Judei, Demetriuszu? — zapytał. I opowiedział o swoich trzech niewinnych. Miał przed oczyma cegielnię o wilgotnych, zimnych kazamatach i szkielety tych trzech, przypomniał sobie, jak go poznał stary nauczyciel Natan. Aktor zakrył ręką czoło, zamknął oczy. Józef mówił. Słowa jego były barwne i lotne.

Kiedy skończył, zapadło milczenie. Po chwili doktor Licyniusz z synagogi Welia powiedział:

— Bardzo interesujące. — Ale aktor skarcił go gwałtownie; chciał się wzruszać i wierzyć. Licyniusz bronił się. — Gdzież jest dowód, że ci trzej są naprawdę niewinni? Rabbi Józef syn Mateusza mówi oczywiście z najgłębszego przekonania, ale dlaczego jego zeznania mają być bardziej wiarogodne od tych, które złożył gubernator Antoniusz Feliks i które cesarski sąd rzymski uznał za prawdziwe? — Józef, patrząc na aktora z pełnym zaufaniem i powagą, odpowiedział skromnie:

— Proszę się przyjrzeć tym trzem ludziom. Są w cegielni Tibur. Proszę z nimi pomówić. Jeżeli po takiej rozmowie będziesz jeszcze wierzył w ich winę, Demetriuszu, nie powiem już o tej sprawie ani słowa.

Aktor chodził tam i z powrotem. Nie miał już mętnych oczu, znikł z nich leniwy wyraz.

— To mądra rada — zawołał. — Cieszę się, rabbi Józefie, żeś do mnie przybył. Pojedziemy do Tibur. Chcę zobaczyć tych trzech. Pomogę im, rabbi Józefie synu Mateusza. — Stał naprzeciw Józefa i, choć był niższy od niego, zdawał się o wiele wyższy. — Czy wiadomo ci, że ta wyprawa wiąże się z moim pomysłem?

Był poruszony, ożywiony, sam mieszał wina, dla każdego miał miłe słówko. Piło się niemało. O późnej godzinie ktoś zaproponował grę: rzucali teraz czterema sześcianami z kości słoniowej. Demetriuszowi przypomniało się nagle, że zachowały się z pewnością kostki hebrajskie, którymi bawił się jako dziecko. Były to dziwne kostki. Osadzone na osi, której górna część służyła za uchwyt, tak że mogły obracać się dookoła jak fryga. Józef wiedział, o jakie kostki chodzi. Zaczęło się szukanie, po chwili kostki znaleziono. Były z gruba ciosane, prymitywne, można było nimi obracać w pocieszny sposób. Grali z zadowoleniem. Nie wysoko, ale Józefowi stawki te wydały się czymś niebywałym. Wygrawszy trzy razy pod rząd, odetchnął z ulgą.

Było tych kostek cztery. Na każdej widniały litery: nun, gimel, he i szin. Szin był rzutem najgorszym, nun najlepszym. Żydzi fanatycy potępiali tę grę, zdaniem ich litera szin jest równoznaczna ze starą podobizną boga Saturna, litera nun z podobizną bogini Noga-Istar, zwanej przez Rzymian Wenus. Po każdym obrocie wrzucano kostki do puli, każdy z graczy mógł sobie wybrać kostkę, jaką chciał. W ciągu gry Józef wielokrotnie wyrzucał szczęśliwą literę nun. Byстрым wzrokiem zorientował się, że jedna z kostek za każdym razem ukazuje literę nun; wynika to zapewne stąd, że kostka ta jest z jednej strony nieznacznie uszkodzona.

Gdy Józef to zauważył, złodowaciał. Jeżeli tamci zorientują się, że dzięki uszkodzonej kostce udało mu się tyle razy wyrzucić literę nun, to chyba cały rezultat dzisiejszego wieczoru pójdzie na marne i Józef straci względy wielkiego człowieka. Zaczął grać bardzo ostrożnie. Zmniejszył ilość wygranych. To, co mu pozostało, wystarczyło wszakże, by mógł od tej chwili żyć w Rzymie niczego sobie nie skąpiąc.

— Czy będzie to wielkie zuchwalstwo, Demetriuszu — zapytał aktora, kiedy gra dobiegła końca — jeżeli poproszę, byś mi te kostki darował na pamiątkę? — Aktor roześmiał się. Na jednej z kostek wskrobał niezdarnie pierwszą literę swego imienia.

— Kiedy pojedziemy do trzech niewinnych? — zapytał Józefa.

— Za pięć dni — zaproponował Józef z pewnym wahaniem.

— Pojutrze — oświadczył aktor.

W cegielni przyjęto Demetriusza Libana wspaniale. Oddział wartowniczy oddał pierwszemu aktorowi epoki hałaśliwe honory, które były przywilejem ludzi najwyższego stanu. Dozorcy, wartownicy tłoczyli się przy bramach, wyciągali na powitanie prawe ramiona z otwartą dłonią. Zewsząd rozlegały się okrzyki:

— Witaj, Demetriuszu Libanie!

Niebo było błękitne i słoneczne, pochyleni ku ziemi skazańcy nie wyglądali tak żałośnie, w ich monotony śpiew wpadał zewsząd refren głośnego kupletu: „Kto tu rządzi? I kto za to beknie?” Józef szedł obok aktora z zakłopotaną miną. Bardziej jeszcze niż entuzjazm tysięcy zebranych w teatrze porывał go widok uwielbienia okazywanego Demetriuszowi Libanowi w tym siedlisku krańcowej nędzy i rozpacz.

Jednak w podziemnych, wilgotnych, zimnych kazamatach odświeżony tynek, którym cegielnia dziś się pokryła, odpadł od razu. Wysokie, wąskie okna, smród, monotony śpiew. Ci

trzej siedzieli w kucki jak wtedy, wychudzeni, z przepisowym pierścieniem żelaznym u nóg, z wypaloną na czaszce literą E, z kłaczastymi brodami, odcinającymi się groteskowo od na pół ogolonych głów.

Józef robił wszystko, by ich nakłonić do mówienia. Z tym samym przyjaznym wysiłkiem jak wtedy, kiedy był tu po raz ostatni, wydobywał z nich słowa rozpaczy i beznadziejnego poddania się losowi.

Aktor, lekko poruszony, przełykał ślinę. Patrzył na starców wychudzonych i złamanych, przyglądał się, jak ruszały się ich wystające grdyki, jak z trudem wyrzucali z siebie słowa skargi. Uszy jego wciągały chciwie ich surowy urywany bełkot. Byłby się chętnie przeszedł po celi, ale była za ciasna i za niska, więc, do głębi przejęty i podniecony, stał w miejscu. Oczyma wyobraźni widział, jak ci trzej prawodawcy Izraela wkraczają uroczyście, przybrani w białe szaty do eksedry Świątyni. W oczach stanęły mu łzy. Nie otarł ich, spływały po lekko nabrzmiałych policzkach. Stał bez ruchu. Potem powoli, zacisnąwszy zęby, podniósł upierścienioną rękę i rozdarł swą szatę, jak to czynią Żydzi na znak wielkiej żałoby. Potem usiadł obok trzech nieszczęsnych, przysunął się do ich śmierdzących łachmanów. Cuchnący ich oddech uderzał mu w twarz, brudne brody łaskotały jego skórę. Zaczął mówić z nimi po aramejsku; nie mając wprawy zacinał się i jękał. Ale rozumieli jego słowa, odpowiadały bardziej ich nastrojom i sytuacji aniżeli słowa Józefa. Współczuły ich małej, żalostnej codzienności, były bardzo ludzkie. Płakali i błogosławili go, kiedy odchodził.

W drodze powrotnej Demetriusz Liban długo milczał, zanim przemówił. Czym jest wielki patos jednorazowego nieszczęścia, płonącego Heraklesa, zamordowanego Aga-memnona, wobec pelzającej, powoli zżerającej ciało i serce, rozpaczliwej nędzy tych trzech? Jak nieskończona i straszna musiała być droga, którą ci wielcy mężowie Syjonu, niosący pochodnię wiedzy, zostali doprowadzeni do całkowitego niemal unicestwienia.

W mieście, przy bramie Tibur, żegnając się z Józefem, dodał jeszcze:

— Czy wiesz, co jest najstraszliwsze? Nie to, co mówili, lecz sposób, w jaki się miarowo kołysali. Do tego są zdolni tylko ludzie, którzy stale siedzą na ziemi i prawie ciągle trzymani są w ciemności. Słowa mogą kłamać, ale te ruchy są przerażająco prawdziwe. Muszę nad tym pomyśleć. Kryje się tu możliwość mocnych efektów.

Tej nocy Józef nie położył się; siedział w swym pokoju i pisał memoriał o trzech niewinnych. Oliwa w lampie wypaliła się, knot również. Dolał oliwy, założył nowy knot i pisał dalej. Pisał bardzo mało o sprawie Cezarei, więcej o nędzy trzech starców, bardzo wiele o sprawiedliwości. Pisał, że od wiek wieków sprawiedliwość jest dla Żydów największą cnotą. Potrafią znieść nędzę i ucisk, ale nie mogą. znieść niesprawiedliwości, czczą każdego, nawet swego ciemieżcę, jeżeli przywraca prawa. „Niechaj prawo płynie jak rzeka — brzmia słowa proroka — a sprawiedliwość jak nigdy nie wysychający potok. ” Inny prorok powiada: „Czasy będą wtedy złote, kiedy i na pustyni panować będzie prawo. ” Józef spalał się cały, mądrość starców płonęła w jego własnym ogniu. Knot w lampie przygasał, a on siedział i pisał. Przed bramami przejeżdżały z turkotem wozy ciężarowe, którym nie wolno było pojawiać się w dzień na ulicach. Nie zwracał na to uwagi, pisał i wyglądał swój memoriał.

W trzy dni później goniec Demetriusza Libana wręczył Józefowi list, w którym aktor wzywał go w krótkich i suchych słowach, by się przygotował do stawienia się pojutrze o dziesiątej u cesarzowej w jego towarzystwie.

Cesarzowa! Józefowi aż dech zapało. Dookoła stały na wszystkich ulicach jej popiersia, którym oddawano cześć boską. Co ma jej powiedzieć? Jakimi słowy przemówić, jak trafić do głębi duszy tej kobiety, która życiem i myślą góruje ponad innymi? Kiedy się nad tym zastanawiał, wiedział, że znajdzie właściwe słowa. Była przecież kobietą, a czuł lekką, cichą

pagardę dla wszystkich kobiet i wiedział, że właśnie dlatego ją zdobędzie.

Przeczytał swój rękopis. Głośno, gestykulując żywo, tak, jak by to uczynił odczytując go w Jerozolimie. Napisał memoriał po aramejsku, teraz tłumaczy go nie bez wysiłku na język grecki. Wie o tym, że jest to język pełen błędów, nieporadny. Może to niedobrze złożyć cesarzowej rękopis rojący się od błędów. A może właśnie te jego błędy wydadzą się jej naiwne i mile.

Nie rozmawia z nikim o mającej się odbyć audyencji, krąży po ulicach. Odwraca się na widok znajomych, biegnie do fryzjera, kupuje perfumy, wpada z najwyższej otuchy w najgłębszą depresję.

Na popiersiach cesarzowa ma niskie, jasne, piękne czoło, podłużne oczy, niezbyt małe usta. Nawet jej wrogowie przyznają, że jest urodziwa, wielu twierdzi, że działa uwodzicielsko na każdego, kto ją widzi po raz pierwszy. Jakże on, skromny człowiek z prowincji, ostoi się przed nią? Musi z kimś omówić to wszystko. Biegnie do domu. Wdaje się w rozmowę z Ireną, zobowiązuje zaszczyconą tym zaufaniem dziewczynę do dyskrecji — musi powiedzieć jej coś bardzo ważnego. Wyrzuca z siebie wszystko na raz. Opowiada, jak sobie wyobraża spotkanie z cesarzową, co jej powie. Wypróbowuje przed Ireną słowa i ruchy.

Następnego dnia niosą go we wspaniałej lektyce Deme-triusza Libana do cesarskiego pałacu. Na przedzie biegną liktorzy, którzy torują drogę wielkiemu orszakowi. Na widok lektyki ludzie przystają, wydają okrzyki na cześć aktora. Józef widzi na ulicach białe i malowane popiersia cesarzowej. Jasne włosy barwy bursztynu, blada piękna twarz, bardzo czerwone usta. „Poppea, myśli Józef, poppea — to znaczy laleczka, małe dziecko.” Józef myśli o słowie żydowskim: tinoketh. I jego tak kiedyś nazywano: tinok. Nietrudno będzie poradzić sobie z cesarzową.

Sądząc z opisów Józef oczekuje, że zastanie cesarzową wzorem wschodnich księżniczek spoczywającą na stosie okazałych poduszek, w otoczeniu trzymających wachlarze niewolników, służebnic z wonnościami, przybraną w wytworne szaty. Tymczasem ujrzał ją siedzącą na wygodnym krześle, ubraną skromnie, niemal jak matrona, w długiej szacie zwanej stola; co prawda stola ta była sporządzona z wyklętego w Judei materiału, z cieniutkiej, przezroczystej gazy. Cesarzowa nie była również prawie wcale uszminkowana, fryzurę miała gładką z przedziałkiem; włosy spięte z tyłu w węzeł. Nie przypominało to niczym wież na głowie, wysadzanych klejnotami, jakie się zazwyczaj widywało u pań z najwyższych sfer. Cesarzowa robiła wrażenie zupełnie młodej dziewczyny, uśmiechała się do obu mężczyzn czerwonymi, pełnymi wargami; wyciągnęła do nich białą, dziecianną rękę. Tak, słusznie nazywała się Poppea, dziecko, tinoketh. Była istotnie zachwycająca. Józef nie wiedział, co ma mówić.

Powiedziała:

— Proszę, siadajcie, moi panowie.

Ponieważ aktor usiadł, Józef poszedł za jego przykładem. Nastąpiła chwila milczenia. Włosy cesarzowej miały istotnie żółtawą barwę bursztynu, jak to opiewał cesarz w swych wierszach, ale rzęsy i brwi jej zielonych oczu były ciemne. Józef pomyślał w szalonym pośpiechu: jest przecież zupełnie inna niż na popiersiach, to dziecko, ale dziecko, które od niechcenia może człowieka kazać wyprawić na tamten świat. O czym z takim dzieckiem mówić? Poza tym ma być diabelnie mądra.

Cesarzowa przyglądała mu się bez żenady. Z wielkim trudem, lekko się pocąc, usiłował zachować pokorny i żarliwy wyraz twarzy. Ściągnęła leciutko usta i oto nagle przestała wyglądać jak dziecko, przeciwnie, robiła wrażenie doświadczonej i szyderczej kobiety.

— Przybywasz z Judei? — zapytała Józefa. Mówiła po grecku, głos jej miał brzmienie nieco ostre, ale czyste. — Opowiedz mi — prosiła — co myślą w Jerozolimie o Armenii? —

Było to pytanie naprawdę zaskakujące. Bo chociaż kluczem polityki rzymskiej na Wschodzie było rozstrzygnięcie sprawy armeńskiej, Józef uważał, że Judea jest sama przez się zbyt ważna, aby można było patrzeć na nią tylko w związku z czymś tak barbarzyńskim jak Armenia. Właściwie w Jerozolimie wcale nie myślano o Armenii, a w każdym razie on nie myślał o niej, nie wiedział więc, co na takie pytanie odpowiedzieć.

— Żydom w Armenii powodzi się dobrze — oświadczył po długim milczeniu nieco głupawo.

— Naprawdę? — zapytała cesarzowa.

Uśmiechnęła się teraz szeroko, wyraźnie ubawiona. Pytała dalej w ten sam sposób, bawił ją ten młody człowiek o podłużnych, namiętych oczach, który widocznie nie ma pojęcia, co się wokół jego kraju rozgrywa.

— Dziękuję — rzekła, kiedy Józef skończył wreszcie z trudem skomplikowane zdanie na temat stosunków panujących na granicy partyjskiej — teraz jestem o wiele lepiej poinformowana.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem do Demetriusza Libana. Jakąż śmieszną latorośl ze Wschodu jej przyprowadził. Jest niemal skłonna uwierzyć, że naprawdę tylko z dobrego serca występuje w obronie swoich trzech niewinnych. Potem bardzo przychylnie i uprzejmie zwróciła się do Józefa:

— Proszę mi opowiedzieć o swych protegowanych.

Siedziała wygodnie na krześle; szyja jej była matowo - biała, nogi i ramiona przeświecały przez cienką gazę wytwornej szaty.

Józef wyciągnął memoriał. Kiedy zaczął odczytywać go po grecku, przerwała mu słowami:

— Co też ci przyszło do głowy? Mówże po aramejsku.

— Ale zostaną całkowicie zrozumiane? — zapytał głupio Józef.

— A któż ci powiedział, że chciałabym zrozumieć cię całkowicie — odrzekła cesarzowa.

Józef wzruszył ramionami raczej wyniośle niż z urazą, a potem zaczął czytać swą mowę w pierwotnej wersji aramejskiej; cytaty ze starych ksiąg wypowiadał beztrząs po hebrajsku. Nie potrafił jednak skupić się, czuł, że jego słowom brak rozmachu, patrzył bez przerwy na cesarzową, naprzód pokornie, potem trochę głupawo, potem z zainteresowaniem, wreszcie wręcz zuchwale. Nie wiedział, czy słucha, nie miał pojęcia, czy go rozumie. Kiedy skończył, zapytała niemal bezpośrednio po jego ostatnich słowach:

— Czy znasz Kleo, żonę mojego gubernatora w Judei?

Do uszu Józefa doszło ze specjalną wyrazistością słowo „mojego”. Jak to brzmi: mój gubernator w Judei! Wyobrażał sobie, że słowa takie muszą robić wrażenie, jak gdyby były wykute w kamieniu, posągowe, a tymczasem siedzi tu przed nim dziecko i mówi z uśmiechem: „Mój gubernator w Judei”, jak gdyby to było czymś samo przez się zrozumiałym. Odpowiadało to rzeczywistości: Gessius Florus był jej gubernatorem w Judei. Józef otrząsnął się: tym mu nie zaimponuje!

— Nie znam żony gubernatora — odparł i dodał zuchwale: — Czy mogę oczekiwać odpowiedzi na mój memoriał?

— Przyjęłam go do wiadomości — odrzekła cesarzowa.

Czy można było zgadnąć, co te słowa znaczą?

Aktor uznał, że nadeszła właściwa chwila, aby się wtrącić.

— Rabbi Józef nie ma czasu na zajmowanie się sprawami społecznymi — pomógł swemu pupilowi. — Uprawia literaturę.

— Ach! — zawołała Poppea, nagle poważna i zamyślona — literatura hebrajska. Znam ją mało. To, co znam, jest piękne, ale bardzo trudne.

Józef skupił wszystkie siły. Musi tego dokonać, musi rozgrzać tę damę, która siedzi tutaj wytworna i szydercza. Zaczął opowiadać, że jedynym jego dążeniem jest przyswojenie Rzymianom żydowskiej literatury pięknej.

— Przywozicie ze Wschodu perły, korzenie, złoto i rzadkie zwierzęta — mówił z zapalem — ale na jego najpiękniejsze skarby, na księgi, nie zwracacie uwagi.

Poppea zapytała, jak Józef wyobraża sobie udostępnienie Rzymianom literatury żydowskiej.

— Odsłoń mi coś z tych skarbów — powiedziała i spojrzała nań badawczo zielonymi oczami.

Józef spuścił powieki, jak to czynili bajarze w jego ojczyźnie, i zaczął opowiadać. Wziął pierwszy lepszy temat, jaki mu się nasunął, mówił o królu izraelskim Salomonie, o jego mądrości, potędze, budowlach, Świątyni, o jego kobietach, o tym, jak jest ubóstwiany, jak go odwiedziła królowa Etiopii, jak mądrze rozstrzygnął spór o dziecko. Opowiadał o dwóch książkach niezwykle głębokiej treści, które Salomon napisał; jedna o mądrości nosiła tytuł Eklezjasta, druga o miłości była zatytułowana Pieśń nad Pieśniami. Józef zacytował kilka strof z Pieśni nad Pieśniami, częściowo po grecku, częściowo po aramejsku. Nie było to łatwe. Teraz nie zamykał już oczu; tłumaczył nie tylko ustami, lecz starał się wyrazić namiętne wiersze przy pomocy gestów, westchnień i całego ciała. Cesarzowa pochyliła się nieco naprzód. Ramiona miała oparte o poręcz, usta na pół rozchyłone.

— To piękne pieśni — powiedziała, kiedy Józef skończył zadyszany. Po czym zwróciła się do aktora: — Przyjaciel twój jest miłym młodzieńcem.

Demetriusz Liban, który czuł się nieco zepchnięty na drugi plan, skorzystał z okazji, żeby się znowu wysunąć na czoło.

— Skarb żydowskiego piśmiennictwa jest niewyczerpany — oświadczył. — Ja również sięgam do niego często dla odświeżenia mojej sztuki.

— Byłeś wspaniale ordynarny, Demetriuszu — powiedziała cesarzowa z pełnym uznaniem — w roli niewolnika Izydora. Tak się uśmiełam.

Demetriusz Liban siedział z twarzą lekko skrzywioną. Cesarzowa wiedziała doskonale, że nie pragnął od niej słyszeć tego rodzaju uwag. Ten młody, zuchwały i głupawy człowiek z Jerozolimy nie przynosił mu szczęścia.

Cała audyencja była fiaskiem, nie powinien był się o nią starać.

— Ale, ale — ciągnęła cesarzowa — winieś mi jeszcze odpowiedź, Demetriuszu, wspominasz ciągle o wielkim pomysle rewolucyjnym, który ci się kłębi w głowie. Czy nie zechciałbyś go wreszcie ujawnić? Mówiąc otwarcie, nie bardzo już w niego wierzę.

Aktor siedział z miną ponurą, rozdrażnioną.

— Nie mam powodu do nieujawniania mego pomysłu — powiedział zaczepnie. — Pozostaje w związku z tym, o czym przez cały czas mówimy. — Zrobił niewielką, znaczącą pauzę, potem dodał od niechcienia: — Chciałbym zagrać Żyda Apellę.

Józef przestraszył się. Apella był postacią stworzoną przez złośliwy rzymski dowcip ludowy, paskudnym obskurantem, wstrętnym, odrażającym typem. Wielki poeta Horacy wprowadził przed pół wiekiem tę postać do literatury. A teraz Demetriusz Liban chciałby?... Józefa ogarnęło przerażenie.

Jeszcze bardziej przeraziła go cesarzowa. Jej matowo-biała twarz pokryła się rumieńcem. Jej witalność i żywe, wielostronne zainteresowania wywoływały podziw i lęk.

Aktor delektował się wrażeniem swoich słów.

— Na scenach naszych — oświadczył — ukazywano Greków i Rzymian, Egipcjan i barbarzyńców, ale Żyda jeszcze nikt nie ukazał.

— Tak — rzekła cicho i z wysiłkiem cesarzowa — to pomysł dobry i niebezpieczny. — Wszyscy troje siedzieli przez czas jakiś w milczeniu, zamyśleni.

— Pomysł zbyt niebezpieczny — powiedział wreszcie aktor ze smutkiem, żałując już, że się z nim zdradził. — Obawiam się, że nie będę go mógł przeprowadzić. Nie powinienem być o nim mówić. Byłoby pięknie grać Żyda Apellę nie jako głupiego błazna, którego robi z niego lud, lecz jako prawdziwego człowieka z całym jego smutkiem i komizmem, z jego postami i niewidzialnym Bogiem. Jestem prawdopodobnie jedynym aktorem na świecie, który by to potrafił. Byłoby to wspaniałe, ale zbyt niebezpieczne. Augusta wie coś niecoś o nas, Żydach, ale jakże niewielu w Rzymie ma o nich jakiegokolwiek pojęcie. Potrafiliby się śmiać, tylko śmiać, to, co we mnie najlepsze, stałoby się złośliwym pośmiewiskiem. Byłoby to krzywdą dla wszystkich Żydów. — A po krótkiej pauzie zakończył: — No i mógłbym za to odpowiadać przed moim niewidzialnym Bogiem.

Józef siedział jak skamieniały. Wplątał się w szaleńcze i wielce wątpliwe sprawy. Odczuł na własnej skórze, jak wstrząsająco może podziałać takie widowisko. Oczyma lotnej wyobraźni ujrzał, jak Demetriusz Liban stoi na scenie, jak tchnie życie w postać Żyda Apelli, tańcząc, podskakując, modląc się, mówiąc setkami języków swego wyrazistego ciała. Cały okrąg ziemski wie, jak nieobliczalne bywają kaprysy rzymskiej publiczności teatralnej. Nikt nie zdoła przewidzieć, jakie skutki, aż po granicę partyjską, mogło mieć takie przedstawienie.

Cesarzowa wstała. Charakterystycznym ruchem skrzyżowała ręce na karku, poniżej splecionych w węzeł włosów, odsłaniając ramiona. Zaczęła chodzić po komnacie, wlokąc za sobą tren swej wytwornej szaty. Kiedy się podniosła, obaj mężczyźni porwali się z miejsc.

— Nie mów nic, milcz, proszę o to — powiedziała uniesiona i porwana. — Nie bądź tchórzem, skoro raz przyszedł ci do głowy dobry pomysł. — Stanęła przed aktorem, niemal czule położyła mu ręce na ramionach. — Teatr rzymski to nuda — biadała — albo jest grubiański i pospolity, albo tonie w skostniałej tradycji. Drogi Demetriuszu, zagraj dla mnie Żyda Apellę — prosiła. — Namawiaj go, młodzieńcze — zwróciła się do Józefa. — Proszę mi wierzyć, że wszyscy się czegoś nauczą, jeśli on zagra Żyda Apellę.

Józef stał milcząco w kłopotliwej niepewności. Błądł i czerwienił się na przemian. Miałże namawiać Demetriusza? Wiedział, że aktor pragnie całą swą istotą obnażyć swe żydostwo przed oczyma tego ogromnego Rzymu. Wystarczy jedno jego słowo, a kamień zacznie się toczyć. Dokąd się potoczy, tego nie wie nikt.

— Jesteście nudni — stwierdziła kapryśnie cesarzowa.

Znowu usiadła. Obydwaj mężczyźni stali jeszcze; Demetriusz, przyzwyczajony do kontrolowania swojej postawy, przybrał pozę brzydką i bezradną.

— Mówże, mów — przynaglała cesarzowa Józefa.

— Bóg jest teraz w Italii — rzekł Józef.

Aktor spojrział na niego, Józef stwierdził, że słowa te ugodziły go, zrzuciły z niego ciężki balast wątpliwości. Zdanie to poruszyło również cesarzową.

— Złote słowa — powiedziała klaszcząc w dłonie. — Jesteś rozsądnym człowiekiem — dodała i zanotowała sobie nazwisko Józefa.

Józef był przybity, ale i uszczęśliwiony. Nie wiedział, co podszeptało mu te słowa. Czyżby sam wymyślił to zdanie? Czy wypowiedział je już kiedyś przedtem? W każdym razie było to właściwe słowo we właściwej chwili. To całkowicie obojętne, czy wymyślił je on, czy ktoś inny; chodzi o to, w jakich okolicznościach pewne słowa zostaną wypowiedziane. Zdanie: „Bóg jest w Italii”, teraz dopiero nabrało życia, od tego momentu zaczęło wywierać wpływ.

Czy jednak w ogóle wywarło jakiś wpływ? Aktor stał wciąż jeszcze z niezdecydowaną miną albo przynajmniej udawał niezdecydowanie.

— Demetriuszu, powiedzże: tak — rzekła cesarzowa. — Jeżeli go skłonisz, żeby powiedział: tak — zwróciła się do Józefa — twoi trzej niewinni będą wolni.

Oczy Józefa zapłonęły wielkim blaskiem. Pochylił się głęboko, zdjął tkliwie z poręczy fotela spoczywającą na niej rękę cesarzowej, złożył na niej długi pocałunek.

— Kiedy zagrasz mi Żyda? — zapytała cesarzowa Demetriusza.

— Nic nie przyrzekłem — bronił się aktor trwożliwie i z pośpiechem.

— Niechaj Augusta da mu na piśmie swą zgodę w sprawie naszych pupilów.

Cesarzowa uśmiechnęła się z uznaniem na te słowa: „mu” i „naszych”. Wezwała sekretarza.

— Jeżeli aktor Demetriusz Liban — dyktowała — zagra Żyda Apellę, sprawię, by trzej Żydzi, skazani na ciężkie roboty w cegielni Tibur, zostali wypuszczeni na wolność.

Kazała sobie podać tabliczkę, umieściła pod tekstem literę P, wręczyła tabliczkę Józefowi patrząc na niego szyderczo zielonymi, jasnymi oczyma. Odpowiedział na to spojrzenie z pokorą, ale zarazem z taką mocą, że szyderstwo znikło z wolna z jej oczu i jasność ich zmaćniała się.

Józef po tej audiencji poczuł się w siódmym niebie. Liczne rzesze czciły posąg cesarzowej, wielkiej, boskiej pani, która z uśmiechem kazała zamordować swą przeciwniczkę, cesarzową matkę, i z uśmiechem zmusiła senat i lud, by padł przed nią na kolana. On zaś mówił z tą największą damą świata jak z pierwszą lepszą, przeciętną dziewczyną — Jaldah — tinoketh. Wystarczyło, że popatrzył w jej oczy przeciągle, a przyrzekła wolność owym trzem mężom, czego Synedryon w Jerozolimie nie zdołał osiągnąć pomimo całej swej mądrości i sztuki rządzenia.

Jak na skrzydłach krążył wśród Żydów po prawym brzegu Tybru. Patrzano nań z szacunkiem, szeptano na jego widok: „To rabbi Józef syn Mateusza z Jerozolimy, kapłan cieszący się łaskami cesarzowej.” Irena słała mu pod nogi swe uwielbienie niby dywan. Minęły czasy, kiedy to podczas wieczerzy przed sabbatem siadywał pomiędzy pośledniejszymi gośćmi. Teraz Kajus Barcaarone czuł się zaszczycony, kiedy Józef zajmował przy jego stole poczesne miejsce na sofie. Nie dość na tym. Chytry starzec, tak zazwyczaj ostrożny i powściągliwy, dawał Józefowi wgląd w pewne trudności, które przed innymi pieczołowicie ukrywał.

Jego wielka fabryka mebli szła w dalszym ciągu doskonale, ale niebezpieczeństwo, które wyczuwał już od lat, rysowało się coraz wyraźniej, w miarę jak rozpowszechniła się w Rzymie moda używania postaci zwierząt do dekoracji wnętrz i sprzętów; ornamentami takimi ozdabiano w licznych wariantach nogi stołów oraz wszelkiego rodzaju płaskorzeźby. Tymczasem Pismo głosiło: „Nie czyn sobie żadnego obrazu.” Żydom nie wolno więc było odtwarzać żywych postaci. Kajus Barcaarone unikał zatem dotychczas wprowadzania ornamentów zwierzęcych. Ale konkurenci jego wykorzystywali to z coraz większą bezwzględnością, twierdząc, że wytwory jego są przestarzałe; z bólem patrzył, jak zaczynają odpadać liczni niegdyś klienci. Wyrzeczenie się ornamentów zwierzęcych teraz, po wielkim pożarze, kosztowało Kajusa Barcaarone setki tysięcy. Szukał wyjścia, uciekał się do wybiegów. Podkreślał, że przecież sam nie używa mebli ze swego magazynu, że je sprzedaje innym, zasięgał rad, opinii licznych teologów; uczeni rabbi w Jerozolimie, Aleksandrii i Babilonie oświadczyli, że produkowanie budzących zastrzeżenia ornamentów byłoby w tym wypadku grzechem do darowania, nawet rzeczą dozwoloną. Mimo to Barcaarone ociągał się. Nie mówił z nikim o tych opiniach. Wiedział jednak, że jeżeli opierając się na nich przejdzie do porządku dziennego nad zastrzeżeniami ortodoksów, stanowisko jego w gminie agrypińskiej zostanie poważnie zachwiane. A ojciec jego, sędziwy Aron, widząc taki liberalizm syna mógłby ze zgrzyoty, uchowaj Boże, umrzeć. Ten człowiek tak na pozór pewny

siebie był pełen wątpliwości i trosk.

Józef nie przestrzegał zbyt ściśle rytuału. Słowa jednak: „Nie czyn sobie obrazu...” były czymś więcej niż przykazaniem, były zasadniczą prawdą żydostwa. Obraz ryty i słowo wykluczały się wzajemnie. Józef był literatem we wszystkich fibrach duszy. Był przywiązany do tych niewidzialnych słów. Uważał je za najcudowniejsze na świecie; choć pozbawione widocznej postaci, działały mocniej niż każda postać. Tylko ten mógł naprawdę osiąść święte, niewidoczne słowo Boże, kto nic plamił go dostępnym dla zmysłów kształtem, kto z głębi serca rezygnował z pustego, lichego obrazu. Słuchał wywodów Kajusa Barcaarone z kamienną twarzą, odrzucał je. Ale to właśnie pociągało starego. Tak, Józef miał wrażenie, że Kajus byłby go chętnie przyjął za zięcia.

Tymczasem zaczęła powoli przenikać wiadomość, że uwolnienie trzech niewinnych związane jest z jakimś warunkiem. Dowiedziawszy się, jaki to warunek, Żydzi przestali się radować. Co takiego? Aktor Demetriusz Liban ma grać Żyda Apellę, i to może w teatrze Pompejusza, przed czterdziestu tysiącami ludzi. Żyd Apella. Słyszając to przezwisko, w którym Rzym zawarł swą niechęć do tych, co przywędrowali na prawy brzeg Tybru, Żydzi dostawali dreszczów. Przezwisko to odegrało fatalną rolę podczas pogromów, za panowania cesarza Tyberiusza i Klaudiusza. Było związane z rzezią i rabunkiem. Czy nienawiść, która na razie drzemie, nie może każdej chwili wybuchnąć? Czy nie byłoby zarazem głupotą i zuchwalstwem dotykać tego, co spoczywa? Liczne złe przykłady świadczyły o tym, na co zdolna jest się porwać w afekcie rzymska publiczność teatralna. Zamiar Demetriusza Libana, by ukazać na scenie Żyda Apellę, był bezgranicznym zuchwalstwem.

Surowi spośród uczonych żydowskich rzucili się na aktora z jeszcze większą zaciekłością. Czy nie było dostatecznie wielkim grzechem występować na scenie, wślizgiwać się w skórę i szaty innego człowieka? Czy Bóg, niechaj pochwalone będzie imię Jego, nie dał każdemu własnej twarzy i własnej skóry? Czy chęć zmienienia jej nie jest jawnym buntem? A cóż dopiero przedstawianie Żyda, który wyrósł z nasienia Abrahama, wybrańca, ukazywanie go na pośmiewisko nie obrzezanych? To grzech śmiertelny, zuchwalstwo, które niechybnie sprowadzi nieszczęście na głowy wszystkich. Żądano potępienia Demetriusza Libana, rzużenia nań klątwy.

Liberalni rabbi bronili aktora z zapalem. Czy to, co zamierza, nie ma na celu uratowania trzech niewinnych? Czy nie jest to jedyny środek ratunku? Czy jednym z najwyższych nakazów Pisma nie jest pomaganie uwięzionym? Czy wolno powiedzieć aktorowi: „Nie czyn tego, niechaj tych trzech zgnije, jak zgniły tysiące ich przodków w cegielniach Egiptu.”

Prowadzono gwałtowne dyskusje. Na dysputach teologicznych przeciwstawiano jedno zdanie Biblii drugiemu. Interesujące to zagadnienie pochłaniało wszystkie żydowskie wyższe uczelnie. Spierano się na ten temat w Jerozolimie, w Aleksandrii, w gronie rabbich Babilonu, na dalekim Wschodzie. Była to sprawa jak gdyby stworzona dla teologów i prawników, by mogli na niej ćwiczyć swój umysł.

Sam Demetriusz Liban ukazywał każdemu tragiczny konflikt między swoim sumieniem religijnym i artystycznym. W głębi duszy był od dawna zdecydowany grać Żyda Apellę za wszelką cenę. Wiedział również dokładnie, jak to robi. Jego libreciści, z subtelnym, zjadliwym senatorem Marullem na czele, skomponowali żywą akcję i ciekawe sytuacje. Niejeden groteskowy i budzący grozę pomysł zawdzięczał machinalnemu, pełnemu rezygnacji kiwaniu się trzech niewinnych w kazamatach. Chciał dać śmiałą mieszaninę tragizmu i komizmu. Ostrożnie produkował pewne sceny w knajpach ludowych dzielnicy handlowej i dzielnicy spichrzów oraz w barakach, żeby przekonać się, jak działają na widza. Ale raz po raz ogarniał go smutek, że jednak nie będzie mógł zapewne wystąpić, ponieważ zabrania mu tego sumienie. Stwierdzał z

zadowoleniem, że stopniowo cały Rzym zaczął mówić o tym, czy aktor Demetriusz Liban zagra Żyda Apellę. Gdziekolwiek pojawiła się jego lektyka, ludzie wznosili radosne okrzyki, klaskali w dłonie wołając: „Bądź pozdrowiony, Demetriuszu Libanie, zagraj nam Żyda Apellę.”

Rozmawiał z cesarzową, na jak mętne i śmiałe puścił się przedsięwzięcie i jak ciężkie ma skrupuły. Cesarzowa śmiała się, patrzyła rozbawiona na wahania aktora. Cegielnia Tibur otrzymała instrukcję zalecającą dobre traktowanie skazanych na ciężkie roboty, żeby przypadkiem nie wyzionęli ducha. Poppea oczekiwała opinii ministerstwa próśb i zażeń. Uwolnienie tych trzech to nic wielkiego, ale polityka wschodnia Rzymu jest skomplikowana i Poppea, rodowita rzymianka, była gotowa zrezygnować z amnestii, gdyby przemawiały przeciw niej choćby najmniejsze względy natury politycznej. Jeżeli będzie to potrzebne, przekreśli z uśmiechem swą obietnicę.

Na razie bawiło ją zachęcanie aktora do realizacji jego planu. Opowiadała mu, że opozycja kół arystokratycznych senatu występuje już przeciw amnestii. Niechże się więc zdecyduje. Po co przedłużać niepotrzebnie cierpienia tych trzech biedaków? Powiedziała z uśmiechem:

— Kiedy zagrasz nam Żyda Apellę, Demetriuszu?

Minister Filip Talas, szef wydziału wschodniego kancelarii królewskiej, wzywa masażystę po raz drugi, żeby mu roztarł ręce i nogi. Jest wczesna jesień, słońce niedawno zaszło, nikt nic marznie, ale ministrowi zimno dokucza. Niski człowieczek o sępm nosie leży na łożu opatulony poduszkami i kołdrami, ma przed sobą grzałkę do ogrzewania rąk, nogi ogrzewa druga grzałka. Masażysta niewolnik masuje bojaźliwie starczą, pomarszczoną, wyschniętą skórę, na której występują wyraźnie niebieskie żyły. Minister klnie i grozi. Masażysta stara się nie dotknąć blizn na plecach starca; wie, że blizny te są pozostałością uderzeń bata, które minister Talas otrzymywał, kiedy jeszcze był niewolnikiem w Smyrnie. Lekarze próbowali na setki sposobów usunąć te blizny, dokonali operacji, słynny specjalista Skrybon Larg zastosował wszystkie swoje maści, ale blizny pozostały.

Jest dzisiaj zły, czarny dzień, cała służba w domu ministra Talasa to już odczuła. Sekretarz wie, czemu przypisać ten zły humor, ogarnął on ministra, kiedy mu przedłożono list z ministerstwa próśb i zażeń, krótkie zapytanie formalne. Urzędnicy w tym ministerstwie, przede wszystkim gruby, przebiegły Junius Thrax, chętnie ominęliby ministra Talasa, ponieważ go nie lubią. Ale za panowania obecnego cesarza wydział wschodni stał się punktem centralnym całej polityki państwa i wiedzą o tym, jakie straszliwe awantury zwykł był robić Filip Talas, kiedy w jakiejś sprawie mającej związek z jego resortem nie zapytano go o zdanie. Więc panowie z ministerstwa nie załatwili definitywnie pewnego ponaglenia, które nadeszło z gabinetu cesarzowej przed zasięgnięciem opinii ministra.

Nie jest to ważna sprawa. Chodzi o paru starych Żydów skazanych na ciężkie roboty w związku z rozruchami w Cezarei. To widocznie nowy kaprys cesarzowej; który to z rządu? Chce udzielić zbrodniarzom amnestii; jej cesarska mość ma dziwną słabość do żydowskiej hołoty. „Przekłeta kurwa”, myśli sobie minister i gniewnie trąca łokciem masażystę. Prawdopodobnie pochodzi sama z jakiegoś skurwienia się z Żydami, mimo że nosi arystokratyczne nazwisko. Ci pyszni arystokraci rzymscy są. od niepamiętnych czasów zgangrenowani, zdolni do wszelkich występków i zepsuci do szpiku kości.

Tak czy inaczej, niewiele można poradzić na ten kaprys cesarzowej. Dałyby się zastosować tylko bardzo ogólnikowe argumenty; sytuacja na Wschodzie wymaga jak największej energii nawet w sprawach na pozór błahych.

Mały człowieczek o sępm nosie złości się. Odprawia masażystę — ten idiota przecież i tak mu nie pomoże. Kładzie się na bok, podciąga wychudzone kolana aż do klatki piersiowej i, w

najgorszym humorze, rozmyśla.

Wiecznie ci Żydzi, wszędzie stają człowiekowi na drodze.

Dzięki sukcesom marszałka polnego Korbulona, polityka wschodnia na granicy partyjskiej jest, trzeba to stwierdzić z zadowoleniem, aktywna. Cesarz ma ambicje stać się nowym Aleksandrem, rozszerzyć sferę wpływów państwa aż po Indus. Rozważane są wielkie, tajemnicze wyprawy na Daleki Wschód, o których Rzym marzy wiek cały. Dla poprzedniej generacji były one dziecinną fantazją, obecnie weszły w stadium poważnych rozważań. Autorytatywne czynniki wojskowe opracowały plany, ministerstwo finansów oświadczyło po sumiennym zbadaniu, że znajdą się środki na ich realizację.

Śmiały projekt nowej wyprawy na wzór wypraw Aleksandra ma tylko jeden słaby punkt: prowincję Judeę. Leży ona na linii marszu, nie można rozpocząć wielkiego dzieła, zanim się tego wątpliwego punktu odpowiednio nie umocni. Członkowie gabinetu cesarskiego uśmiechają się, kiedy minister Talas zaczyna o tym mówić, uważają jego nienawiść do Żydów za manię prześladowczą. Ale Filip Talas zna Żydów, nie darmo tyle lat przebywał niegdyś w Azji. Wie, że nic można żyć z nimi w zgodzie, że są narodem fanatycznym, zabobonnym, wściekle zarozumiałym, że nie będzie spokoju, dopóki nie zostaną poskromieni, a ich zuchwała stolica nie będzie zrównana z ziemią. Gubernatorzy ciągle dają się zwodzić ich pojednawczym zapewnieniom, ale zawsze okazuje się później, że obietnice były kłamliwe. Ta paskudna mała prowincja nigdy nie poddała się lojalnie panowaniu Rzymu, jak to uczyniły inne, większe i potężniejsze kraje. Ich Bóg nie może znaleźć wspólnego języka z innymi bogami. Od śmierci ostatniego króla, rezydującego w Jerozolimie, wrzenie w Judei właściwie nie ustaje. Będzie tam niespokojnie, dojdzie do wojny. Nie można przedsięwziąć wyprawy wzorem Aleksandra, dopóki Jerozolima nie zostanie zburzona.

Minister Talas wie, że są to refleksje słuszne. Ale wie również, iż nie tylko z tego powodu bebechy mu się przewracają, kiedy słyszy o Żydach. Wspomina przeszłość. Jak stał się własnością kulturalnego Greka — posłużył za dodatek do cennego świecznika; jak wypłynął dzięki swej pamięci i swym zdolnościom językowym; jak go jego pan kazał kształcić; jak dostał się do środowiska tych, którzy mieli być przyjęci do służby cesarskiej; jak potem, kiedy szef kancelarii cesarza Kajusa go egzaminował, tłumacz żydowski Teodor Zacheus naigrawał się z jego braku znajomości aramejskiego, wskutek czego omal nie stracił dostępu do kancelarii cesarskiej. A był to w dodatku drobny błąd, można by w ogóle się spierać, czy to potknięcie się uznać za błąd. Ale ten parszywy Żyd nie dyskutował, tylko poprawiał. Talas powiedział nablion, Żyd poprawił nablą, uśmiechając się przy tym w nikczemny, wstrętny sposób. Cóż byłoby, gdyby po tylu latach mozołu i kosztów Rzym nie przyjął go na służbę, co by z nim zrobił jego pan? Kazałby go zasmagać na śmierć. Na wspomnienie, w jaki sposób Żyd się uśmiechał, ogarniały ministra strach i wściekłość.

Nie tylko jednak osobiste uprzedzenia, ale zdrowy instynkt polityczny usposabiał go przeciw Żydom. Świat był rzymski, świat zażywał pokoju dzięki jednolitemu systemowi rzymsko-greckiemu. Tylko Żydzi buntowali się, nie chcieli uznać błogosławieństw tej potężnej organizacji, łączącej narody. Dopóki ten zarozumiały, uparty naród nie zostanie ostatecznie wdeptany w ziemię, nie będzie można utorować wielkiej drogi handlowej do Indii, którego zadaniem było szerzenie kultury greckiej na Dalekim Wschodzie.

Niestety, dwór nie doceniał żydowskiego niebezpieczeństwa. W pałacu cesarskim wiał wiatr pomyślny dla Żydów. Forytował ich Junius Thrax, jego opasły kolega z resortu sprawiedliwości. Tkwili również w administracji finansów. W ciągu ostatnich trzech lat dwudziestu Żydów wciągnięto na listę szlachty. Pchali się na scenę, do literatury. Czyż nie czuło się po prostu namacalnie, jak swoimi bzdurnymi, zabobonnymi książkami doprowadzają państwo

do rozkładu? Klaudiusz Reginus rzuca na rynek moc tego śmiecia, które przybywa drogą morską. Na myśl o Klaudiuszu minister podciąga nogi jeszcze wyżej. Choć człowiek ten jest mu wstrętny, czuje przed nim respekt. A poza tym Reginus ma w swej skrzyni wspaniałą, różową perłę bez skazy. Chętnie by ją od niego odkupił. Jest przekonany, że gdyby ją nosił na palcu, skóra jego stałaby się mniej sucha. Perła oddziaływałaby zapewne skutecznie na blizny. Ale ten parszywy Żyd jest bogaty, pieniądź nie zęci go, nie odstąpi mu perły.

Minister Talas rozważa. Niepokoje w Cezarei. Reginus i jego pierścień. Czy zmobilizować senat? Można powołać się na wojnę z Partami. A jednak słowo brzmi: nablion.

Nagle rzuca się na wznak, wyciąga, patrzy zaczerwienionymi, suchymi oczyma w sufit. Bóle brzucha minęły, znikły również dreszcze. Ma pomysł, wspaniały pomysł. Nie, nie będzie się zajmował drobiazgami. Cóż osiągnie, jeżeli zdechną te trzy psy w cegielni Tibur? Niechaj sobie Żydzi zabiorą swych ulubieńców. Niech ci trzej zamarynują się w czosnku albo w swoich urnach sabbatowych. Wymyślił coś lepszego. Za zwolnienie tych trzech wystawi Żydom rachunek bardziej słony, niżby sobie to potrafił wykalkulować urzędnik z ministerstwa finansów. Edykt, edykt w sprawie Cezarei. Zwiąże sprawę Cezarei z amnestią tych trzech. Jutro znowu przedłoży cesarzowi edykt w sprawie Cezarei. Czeką na podpis od siedmiu miesięcy, przy tej sposobności otrzyma go. Nie można zadośćuczynić wszystkim żądaniom Żydów. Nie można wydać im trzech przestępców i jeszcze na dokładkę Cezareę. Albo to, albo tamto. Ponieważ cesarzowa sobie tego życzy, jej szacowni męczennicy zostaną zwolnieni. Ale z Cezarei będą musieli zrezygnować raz na zawsze.

Wzywa sekretarza, każe sobie przynieść swój memoriał w sprawie Cezarei. O ile sobie przypomina, memoriał jest krótki i lapidarny. Cesarz to lubi, nie chce długo dręczyć się polityką, interesują go inne sprawy. Nawiasem mówiąc, cesarz jest pojętny, ma rozum bystry i przenikliwy. Byle go tylko skłonić do dokładnego przeczytania memoriału, podpis pod edyktem jest zapewniony. Sprawa tych trzech skazanych na ciężkie roboty nie może być załatwiona, zanim nie zostanie rozstrzygnięty cały problem Cezarei. Tak, tym razem cesarz musi się zdecydować. Żądanie uwolnienia tych trzech było błogosławionym pomysłem Poppei.

Zjawił się sekretarz, przynosi memoriał. Talas odczytuje go. Tak, przedstawił rzecz jasno i przekonywająco.

Ludność Cezarei, nie licząc niewolników, stanowią: czterdzieści procent Żydów i sześćdziesiąt procent Greków i Rzymian. Ale w magistracie Żydzi mają większość. Są bogaci, zaś ordynacja wyborcza uzależnia prawo głosu od sytuacji materialnej. Prawo wyborcze utrzymało się na takich zasadach w obu prowincjach: Syrii i Judei. Dłaczegóż ci, którzy pokrywają lwią część potrzeb gminy, nie mają również decydować o użytkowaniu swoich pieniędzy? Ale w Cezarei prawo wyborcze nakłada na większość ludności wyjątkowe ciężary, gdyż Żydzi wykorzystują swą władzę w magistracie z niebywałą samowolą. Nie używają pieniędzy publicznych na potrzeby ludności, lecz przekazują znaczne sumy do Jerozolimy na Świątynię i cele religijne. Nic dziwnego, że przy wyborach dochodzi zawsze do krwawych zamieszek. Grecy i Rzymianie myślą z goryczą, że kiedy miasto zostało założone za panowania Herodesa, oni byli jego pierwszymi mieszkańcami, że zbudowali port, z którego dochodów miasto żyje. W Cezarei rezyduje przecież rzymski gubernator i tyranizowanie Greków i Rzymian przez Żydów w stolicy prowincji jest po prostu nie do zniesienia. Przesadne roszczenia Żydów zostały w dostatecznej mierze uwzględnione przez nadanie Jerozolimie całkowitej autonomii. Nie można temu wiecznie niezadowolonemu narodowi czynić dalszych koncesji. Historia Cezarei, pochodzenie i religia większej części ludności, jej rdzeń i siła nie są żydowskie. Miasto Cezarea, na którym opiera się spokój i bezpieczeństwo całej prowincji, nie będzie mogło pojąć tego, jeżeli tę najbardziej lojalną i wierną państwu część ludności pozbawiać się będzie w dalszym ciągu

śluszenie jej należnych praw wyborczych.

Minister Talas nie przemilczał w swym mądrym i podstępny memoriale argumentów, które wytaczali Żydzi. Wskazał na to, że w razie zmiany ordynacji wyborczej ludność rzymsko-grecka otrzymałaby prawo dysponowania wszystkimi podatkami uiszczanymi przez Żydów, co w praktyce byłoby równoznaczne z daleko idącym wyłączeniem kapitałów żydowskich. Ale dowiódł bardzo zręcznie, że byłoby to zło niewielkie w porównaniu z olbrzymią niesprawiedliwością, jaką jest faktyczne uzależnienie od małej garstki bogatych Żydów stolicy prowincji tak ważnej dla całokształtu polityki wschodniej, jaką jest Judea.

Przeczytał memoriał raz jeszcze, sprawdził starannie rękopis: argumenty jego były przekonujące. Uśmiechnął się.

Tak, uczyni Żydom mniejsze ustępstwo: uwolni trzech skazanych na ciężkie roboty, żeby im w zamian wyrwać to większe: piękne miasto portowe Cezareę.

Zawołał służbę, zaczął kłać. Kazał wynieść grzałki z węglem, poduszki. Co sobie myślą ci idioci, czy chcą, żeby się zadusił w tym skwarze? Biegał tam i z powrotem na chudych nogach, kościste ręce nabrały życia. Domagał się gwałtownie audiencji u cesarza nazajutrz rano. Miał teraz jasno wytkniętą drogę, nie mogło się nie udać.

Nie spieszył się, mógł rozkoszować się na zimno swoją zemstą. Od czasu, kiedy tłumacz żydowski Teodor Zacheus uśmiechnął się po raz ostatni, minęło kilka dziesiątków lat. Nablion! Zacheus umie czekać. Z chwilą gdy edykt pozbawiający Żydów Cezarei przywilejów i władzy zostanie podpisany, po co go zaraz obwieszczą? Niechaj sobie leży spokojnie miesiące lub nawet rok, aż będzie się można dokładnie zorientować, jaki jest przebieg pierwszej fazy wyprawy szlakiem Aleksandra.

Tak, jutro rano zaproponuje cesarzowi uregulowanie sprawy Cezarei w tej formie. Jest pewien, że właśnie w ten sposób uda mu się ją przeforsować. Uśmiecha się. Jeszcze przed wieczną dyktuje odpowiedź na zapytanie ministerstwa próśb i zażaleń, dotyczącą ponaglenia gabinetu cesarzowej w sprawie amnestii trzech żydowskich skazańców przebywających w cegielni Tibur. Opasły Junius Thrax zdziwi się, kiedy zobaczy, że minister Talas nie ma co do zwolnienia tych trzech żadnych, ale to żadnych zastrzeżeń.

Przy wieczery goście ministra stwierdzają, że ten nieznośny starzec potrafi być naprawdę wesoły.

Józef podobał się coraz bardziej Demetriuszowi Libanowi. Aktor nie należał już do najmłodszych, życie jego i sztuka zabrały mu wiele sił, był przekonany, że zapal tego młodzieńca z Jerozolimy może go na nowo rozpalić. Czy to nie za sprawą Józefa wyciągnął wreszcie na światło dzienne wielki i niebezpieczny pomysł ukazania na scenie Żyda Apelli? Coraz częściej wciągał Józefa do swego domu, ten zaś pozbył się prowincjonalnych manier, dzięki bystrości umysłu przyswoił sobie giętką mądrość życiową stolicy, stał się światowcem. Obcując z licznymi literatami, których poznał przez aktora, podpatrywał ich chwytły, a nawet ich zawodowy żargon. Rozmawiał na tematy polityczne z wybitnymi osobistościami, wymieniał z nimi myśli i poglądy na świat, miewał przygody miłosne z kobietami, które mu się podobały, z niewolnicami i damami z kół arystokratycznych.

Żył więc przyjemnie, cieszył się uznaniem. Mimo to często, kiedy był sam, ogarniało go niezadowolenie. Wiedział oczywiście, że uwolnienie trzech niewinnych nie może nastąpić z dnia na dzień. Ale mijały tygodnie, miesiące, a on wciąż czekał, podobnie jak czekał w Judei. Zżerało go to, zmuszał się siłą, by nie wypaść z roli człowieka pełnego najlepszej myśli.

Klaudiusz Reginus prosił go, żeby mu przysłał memoriał, który zrobił na cesarzowej takie wrażenie. Józef przesłał rękopis, czekał w napięciu na wypowiedź wielkiego wydawcy. Ale Reginus milczał. Józef czekał cztery długie tygodnie — Reginus się nie odzywał. Czy Klaudiusz

dał rękopis do przeczytania Justusowi? Na myśl o chłodnym, kostycznym koledze Józef doznał niemiłego uczucia.

Wreszcie Reginus zaprosił go na obiad. Jedynym gościem oprócz Józefa był Justus z Tyberiady. Józef skupił się, wyteżył w przeczuciu ostrej wymiany zdań. Nie czekał długo. Zaraz po przekąskach gospodarz oświadczył, że przeczytał memoriał Józefa. Forma jest godna uwagi, dowodzi niepośledniego talentu, natomiast treść i argumenty są słabe. Justus również wyraził swego czasu, na żądanie króla

Agryppy, swą opinię w sprawie skazańców. Byłoby bardzo uprzejmie, gdyby chciał się nią podzielić z obecnymi. Józefowi zadrżały kolana. Opinia całego Rzymu wydała mu się nagle małej wagi w porównaniu z opinią jego kolegi Justusa z Tyberiady.

Justus nie dał się prosić. Sprawa tych trzech może być traktowana jedynie w związku ze sprawą Cezarei, a sprawa Cezarei może być rozpatrywana tylko w związku z całokształtem rzymskiej polityki orientalnej. Odkąd marszałek Korbulon objął dowództwo na Wschodzie, Rzym robił niekiedy ustępstwa natury formalnej, ale nigdy natury rzeczowej. Pomimo całego uznania dla zdolności stylistycznych Józefa, Justus nie sądzi, by w kancelarii cesarskiej memoriał jego mógł odegrać rolę decydującą. Rozstrzygnąć tam mogą raczej raporty i wykazy urzędu finansowego oraz sztabu generalnego. W swoim memoriale złożonym w kancelarii dla spraw Wschodu na polecenie króla Agryppy Justus oświetlił przede wszystkim prawną stronę kwestii Cezarei. Przytoczył jako przykład miasto Aleksandrię, w którym Rzym nie dopuścił do matactw uprawianych przez elementy wrogie Żydom. Ale Justus obawia się, że minister Talas, zażarty antysemita, któremu zapewne Grecy mieszkający w Cezarei dają łapówki, będzie mimo wszystkich argumentów prawnych tolerował i popierał machinacje ludności nie-żydowskiej. Niestety ze stanowiska całokształtu rzymskiej polityki orientalnej niebezpiecznie.

Justus usiadł wyprostowany na swej sofie biesiadnej. Mówił ostro, logicznie, przekonywająco. Józef słuchał w pozycji leżącej, założywszy ręce pod głowę. Nagle wstał, pochylił się nad stołem w stronę Justusa i rzekł napastliwie:

— To nieprawda, że w sprawie męczenników osadzonych w cegielni Tibur chodzi o politykę. Chodzi o sprawiedliwość i ludzkość. Przybyłem tutaj tylko w imię tej sprawiedliwości. Odkąd jestem w Italii, mówię to ludziom prosto w oczy.

Wolą moją, domagającą się sprawiedliwości, przekonałem cesarzową.

Reginus zwracał mięsistą głowę raz w stronę jednego, to znów w stronę drugiego. Patrzył na bladą, opaloną twarz Józefa oraz na żółte, wychudłe oblicze Justusa.

— Czy wiecie, moi drodzy — powiedział swym dyszkantem — że jesteście do siebie podobni?

Obydwaj stropili się i zmierzyli wzajemnie spojrzeniem. Jubiler miał rację: nienawidzili się.

— Powiem wam w zaufaniu, moi drodzy — ciągnął dalej Reginus — że sprzeczenie się o rzecz już przesądzoną. Tak, sprawa Cezarei została rozstrzygnięta. Ogłoszenie edyktu nastąpi może dopiero po pewnym czasie, ale edykt jest podpisany i wysłany do generalnego gubernatora Syrii. Masz rację, rabbi Justusie. Sprawa Cezarei została rozstrzygnięta niepomysłnie dla Żydów.

Obaj młodzi ludzie patrzyli z najwyższym zdumieniem na Klaudiusza Reginusa, który utkwiał przed siebie senny wzrok. Byli tak zdruzgotani, że zapomnieli nawet o swojej sprzeczce.

— To najgorszy cios zadany Żydom od przeszło stu lat — powiedział Józef.

— Obawiam się, że z powodu tego edyktu niemało krwi się poleje — rzekł Justus.

Milczeli opróżniając puchary.

— Czuwaj, rabbi Józefie — powiedział Reginus — żeby twoi Żydzi zachowali się roztropnie.

— Łatwo jest dawać rady tu w Rzymie — odparł Józef ze szczerą goryczą.

Siedział skulony, zmęczony, do cna wyczerpany. Oświadczenie tego wstrętnego grubasa nappełniło go takim smutkiem, że w sercu jego nie było nawet miejsca na poniżające uczucie, iż taki jest teraz wraz ze swoją misją śmieszny. Rywal jego miał oczywiście rację, przewidział wszystko, a to, co sobie umyślił Józef, rozwiało się jak dym; sukces zaś jego był, jak się okazało, złudzeniem.

— I właśnie teraz, przed ogłoszeniem edyktu — oświadczył Klaudiusz Reginus — opublikuję twój memoriał, rabbi Justusie. Musisz go usłyszeć — zwrócił się z niespodziewaną, werwą do Józefa — jest to małe arcydzieło. — Po tych słowach poprosił Justusa, by mu odczytał jeden z rozdziałów. Rozdział ów przykuł uwagę Józefa mimo przygnębienia, jakie nim owładnęło. Tak, wobec tych dobitnych, przejrzystych zdań, jego żalosa, patetyczna gadanina nic osiągnąć nie mogła.

Skapitulował, zrezygnował. Postanowił wrócić do Jerozolimy, objąć skromny urząd w służbie Świątyni. Źle spał tej nocy, następnego dnia snuł się po mieście w zupełnej depresji. Jadł mało i bez apetytu, nie odwiedził pewnej dziewczki, imieniem Lucylla, z którą się na ten dzień umówił. Byłoby lepiej, gdyby nie przyjeżdżał do Rzymu, lecz siedział w Jerozolimie nie wiedząc nic o tych złowrogich i groźnych posunięciach, które się tu gotują przeciw Judei. Znał dobrze miasto Cezareę, jego porty, dzielnice wielkich spichrzów, jego stocznie, synagogi, sklepy i burdele. Nawet budowle wzniesione tam przez Rzymian, choć wysmiewane i wyszydzane: rezydencja gubernatora, olbrzymie posągi bogini Rzymu i pierwszego cesarza, pomnażały sławę Judei, dopóki miastem rządzą Żydzi. Ale z chwilą gdy rządy przypadną Grekom i Rzymianom, gdy stolica stanie się rzymska, wszystko zmieni się gruntownie, wtedy Żydzi w całej Judei, a więc i w Jerozolimie, staną się jedynie elementem tolerowanym we własnym kraju. Myśląc o tym Józef miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Smutek i gniew wypełniały jego serce i tkanki jego skóry, czuł się po prostu chory.

Kiedy Demetriusz Liban zakomunikował mu uroczyście, że zagra Żyda Apellę, żeby oswobodzić trzech męczenni-ków, Józefa opromienił po raz pierwszy pełny blask odniesionego sukcesu. Żydzi rzymscy zareagowali na decyzję aktora spokojniej, niż należało oczekiwać. Może dlatego, że była zima i widowisko nie miało na razie być publiczne, lecz odbyć się w małym teatrze prywatnym położonym w ogrodach cesarskich. Złorzeczył właściwie tylko sędziwy Aron. Przeklinał zawzięcie bezbożny zamiar aktora, piorunował na całą zuchwałą generację ulegającą nowej modzie.

Żyd Apella był pierwszym widowiskiem ludowym ze śpiewami, zaprezentowanym przez cesarski teatr prywatny. Teatr ten mieścił zaledwie tysiąc osób, wysokie sfery towarzyskie Rzymu zazdrościły tym, którzy otrzymali zaproszenia. na premierę. Przybyli ministrowie in corpore. Chudy Talas, opasły, dobroduszny Junius Thrax z ministerstwa próśb i zażaleń oraz dowódca gwardii Tigellinus. Zjawiała się również pełna ciekawości i radości życia przełożona westalek. Nie zapomniano oczywiście o Klaudiuszu Reginusie. Żydów było niewielu: wytworny Julian Alf, przewodniczący gminy Welia, oraz jego syn; Józef z trudem wystarał się również o zaproszenie dla Kajusa Barcaarone i jego córki Ireny.

Kurtyna niknie w zapadni. Na scenie stoi Żyd Apella, człowiek w średnim wieku, z długą, spiczastą brodą, która zaczyna już płowieć. Mieszka w małym mająteczku, w Judei. Razem z żoną i wielką ilością dzieci gnieździ się w jednej izbie. Połowę mizernych zarobków zabierają mu potentaci w Jerozolimie, pokazną część reszty zarobków pochłaniają kasy Rzymian w Cezarei. Po śmierci żony emigruje. Zabiera z sobą mały zwój z wersetami Pięcioksięgu, który umieści u węgła swego domu, bierze filakteria, urnę do ogrzewania potraw w sabbat, świecznik zapalany w przeddzień sabbatu, całą dzieciarnię i swego niewidzialnego Boga. Ciągnie na

Wschód, do kraju Partów. Buduje sobie domek, przybija do węgła mały zwój z wersetami Pięcioksięgu, opasuje się filakteriami, staje z twarzą zwróconą ku Zachodowi, ku Jerozolimie, tam gdzie stoi Świątynia, i modli się. Odżywia się nędznie, nie na wiele mu starczy, ale zadawała się małym, nawet od czasu do czasu posyła coś do Jerozolimy na rzecz Świątyni. Ale zjawia się nagle jedenastu kłownów. Są to Partowie, szydzą z niego. Zdejmują znad drzwi mały zwój, odbierają mu filakteria, znajdują w nich zapisany pergamin, naigrawają się ze śmiesznych bogów tego człowieka. Chcą go zmusić, by czcił ich bogów, promiennego Ormuzda i ponurego Arymana; kiedy się opiera, szarpia go za brodę i za włosy dopóty, dopóki nie padnie na kolana. Jest to bardzo komiczne. Nie uznaje ich bogów widzialnych, oni zaś nie uznają jego Boga niewidzialnego. Na wszelki wypadek zabierają mu tę trochę pieniędzy, które sobie oszczędził, rzucają je na ołtarze swoich bogów. Z siedmiorga jego dzieci zabijają troje. Grzebie tych troje, potem snuje się pośród trzech małych mogił, siada i śpiewa starą pieśń: Nad rzekami Babilonu tam siedzieliśmy i płakaliśmy. W ruchach jego jest coś chwiejnego, groteskowego i smutnego. Potem umywa ręce i znów udaje się na wędrowkę, tym razem na Południe, do Egiptu. Zostawia domek, który sobie zbudował, ale zabiera zwój z wersetami Pięcioksięgu, filakteria, urnę do ogrzewania, świecznik, pozostałe przy życiu dzieci oraz swego niewidzialnego Boga. Buduje sobie nowy domek, bierze sobie nową żonę, lata płyną, zdobywa na nowo pieniądze, na miejsce trojga zabitych dzieci rodzi mu się czworo nowych. Kiedy się teraz modli, staje twarzą w stronę Północy, tam gdzie leży Jerozolima i Świątynia. Nie zapomina o tym, by posyłać co rok ofiarę należną krajowi Izrael. Ale również i na Południu wrogowie nie dają mu spokoju. Znowu zjawia się jedenastu kłownów. Tym razem są to Egipcjanie. I oni żądają, by się modlił do ich bogów, do Izydy i Ozyrysa, do byka, barana i krogulca.

Nadchodzi wszakże rzymski gubernator i rozkazuje, żeby mu dali spokój. Bardzo to śmieszne, kiedy kłowni odchodzą zawiedzeni. Apella jest w swej radości jeszcze śmieszniejszy niż przedtem. Znowu kiwa się w swoisty sposób; tym razem tańczy przed Bogiem, przed półką ze świętymi księgami. Podnosi groteskowo nogi aż po spłowiałą brodę, jego szata, cała w łachmanach, rozwiewa się, wychudzoną, brudną ręką uderza w bębenek. Kiwa się, wszystkie jego kości sławią niewidzialnego Boga. Tańczy tak przed księgami, jak kiedyś tańczył król Dawid przed Arką Przymierza. Patrycjusze rzymscy na widowni śmieją się do rozpuku; wśród tego śmiechu można wyraźnie rozróżnić piskliwy chichot ministra Talasa. Ale większość widowni czuje się trochę nieswojo, kilku zaś widzów żydowskich patrzy z przerażeniem na skaczącego, tańczącego i kiwającego się człowieka na scenie. Myślą o lewitach trzymających straż ze srebrnymi trąbami na wysokich stopniach Świątyni, o arcykapłanie stojącym przed Bogiem w dostojnych szatach i klejnotach rytualnych. Czy to, co robi na scenie ten człowiek, nie jest świętokradztwem? Nawet gubernator rzymski nie ma już władzy, by ochronić Żyda. Egipcjan jest zbyt wielu, liczba jedenastu kłownów pomnożyła się jedenastokrotnie. Sączą do cesarskich uszu zatrute oszczerstwa, tańczą, kłują, szczypią, wypuszczają z łuków małe mordercze strzały, znowu zabijają mu troje dzieci i żonę. Żyd Apella znowu rozpoczyna wędrowkę ze zwojem, filakteriami, urną, świecznikiem, dziećmi i swoim niewidzialnym Bogiem. Tym razem przybywa do Rzymu. Teraz widowisko staje się już całkiem ryzykowne i zuchwałe. Kłowni nie mają odwagi atakować go z bliska, tłoczą się na brzegu sceny. W końcu jednak, skacząc jak małpy włączają na dach jego domu, wdzierają się do wnętrza, szukają, gdzie jest zwój z wersetami Pięcioksięgu, a gdzie urna do ogrzewania potraw. Parodiują, jak się ustawia do modlitwy, tym razem w kierunku Wschodu, tam gdzie wznosi się Jerozolima i Świątynia. Jedenastu czołowych kłownów ma na twarzy zuchwałe maski. Bez trudu można poznać ministra Talasa, wielkiego senatora Kasjusza Longina, filozofa Senekę oraz innych bardzo potężnych wrogów Żydów i żydostwa. Tym razem jednak nie mogą zrobić Żydowi Apelli nic złego, gdyż

chronią go cesarz i cesarzowa. Wyczekują jednak, żeby sam ukazał swą piętę Achillesa, żeby sam wpadł w pułapkę. Ukazuje ją. Poślubia niewolnicę, która została wykupiona z niewoli. Docierają do niej i napełniają jej serce jadem szyderstwa. Śpiewają kilka bardzo złośliwych kupletów na temat obrzezańca, jego czosnku, jego smrodu, jego postów i jego urny do ogrzewania potraw. Dochodzi do tego, że żona wyszydza go przed dziećmi za to, że jest obrzezany. Wówczas Apella wypędza ją i pozostaje sam ze swoimi dziećmi i swym niewidzialnym Bogiem, pod opiekuńczymi skrzydłami cesarza rzymskiego. Zrezygnowany, pełen tęsknoty, kiwając się śpiewa starą pieśń: Nad rzekami Babilonu tam siedzieliśmy i płakaliśmy. Z oddali parodiuje go półgłosem jedenastu kłownów.

Widzowie patrzą i nie wiedzą, czy mają się weselić, czy smuć. Wszyscy spoglądają w stronę łoża cesarskiej. Cesarzowa mówi głośno swym czystym, dziecinnym głosikiem, że chyba żaden utwór współczesny nie zainteresował jej tak jak ten. Wypowiada komplementy pod adresem senatora Marulla, który z fałszywą skromnością zaprzecza, jakoby był autorem tekstów. Cesarz zachowuje się z rezerwą. Jego nauczyciel literatury, Seneka, tyle mu naopowiadał o tradycji, że na razie nie wie, co począć z nowoczesną techniką tego widowiska. Cesarz jest młody, ma jasne włosy i nieco obrzmiałą, inteligentną twarz. Spogląda trochę otępiąłym wzrokiem na widownię, której nie wolno opuścić teatru, dopóki on się nie podniesie. Można Żydzi na widowni stoją zmieszani. Klaudiusz Reginus pojękując wiąże sznurowadło i bełkoce coś niezrozumiale. Józefa szarpia sprzeczne uczucia gniewu i uznania. Razi go jaskrawy realizm, z którym ten Żyd Apella został ukazany na scenie, ale to, że znalazł się ktoś, kto potrafił z taką bezwzględnością pomieszać śmieszności Żydów z ich tragicznym losem, napełnia go i niezadowolaniem, i podziwem. Właściwie odczuwa tak większość widzów. Ludzie nie są zadowoleni, a Żydzi na widowni wyraźnie zatroskani. Naprawdę zadowolony jest jedynie minister Talas.

Cesarz wzywa go wraz z ministrem sprawiedliwości Juniusem Thraxem do swej łoży i oświadcza im w zamyśleniu, że jest bardzo ciekaw, jak Żydzi przyjmą pewną decyzję. Cesarzowa zawiadamia Józefa przed opuszczeniem łoży, że uwolnienie jego trzech niewinnych nastąpi w dniu jutrzejszym.

Nazajutrz, zaraz po wschodzie słońca, trzech męczennicy zostali uwolnieni. W dzielnicy willowej Tibur, w domu Juliana Alfa, przewodniczącego gminy Welia, wykąpano ich pod okiem lekarzy, nakarmiono i odziano w kosztowne szaty. Potem kazano im wsiąść do pięknego pojazdu Juliana Alfa. Wzdłuż całej drogi z Tibur do Rzymu stały grupy Żydów. Kiedy przejeżdżał pojazd z liktorami na przedzie i wielkim orszakiem z tyłu, Żydzi wypowiadali błogosławieństwa przepisane po wyratowaniu z wielkiego niebezpieczeństwa i wołali: „Bądźcie błogosławieni, którzy przybywacie, czcigodni rabbi, pokój z wami.”

Przy bramie Tibur zebrały się olbrzymie tłumy. W miejscu otoczonym przez policję i wojsko oczekiwali oswobodzonych męczenników przewodniczący pięciu gmin żydowskich, podsekretarz stanu Polyb z ministerstwa próśb i zażaleń, mistrz ceremonii cesarskiej, a przede wszystkim pisarz Józef syn Mateusza oraz aktor Demetriusz Liban. Oczywiście i tutaj największą sensację wzbudzał aktor, ale wszyscy bez wyjątku, Rzymianie i Żydzi, pokazywali sobie wysmukłego młodzieńca o szczupłej, fanatycznej twarzy, śmiało zarysowanym nosie i namiętnych oczach. To rabbi Józef syn Mateusza, który uzyskał amnestię tej trójki. Była to dla Józefa wielka godzina. Wyglądał młodo i poważnie, był podniecony, ale zachowywał godność i powagę; nawet przy boku aktora robił duże wrażenie.

Nareszcie podjechał pojazd wiozący trzech skazańców. Pomagano im wsiąść. Byli bardzo osłabieni, kiwali się machinalnie z boku na bok. Patrzyli martwo na tyle twarzy, na wspaniałe, uroczyste białe szaty, w otępieniu słuchali przemówień wygłaszanych na ich cześć.

Ludzie patrzyli z przerażeniem na ich półogolone czaszki z wypaloną literą E, na ślady kajdan na puszczelach. Wielu płakało. Aktor Demetriusz Liban ukląkł, dotknął głową ulicznego pyłu, ucałował nogi mężów, którzy cierpieli za Jehowę i kraj Izrael. Lud zwykł podziwiać go jako komika, ale nikt nie uważał, że jest śmieszny teraz, leżąc przed tymi trzema w pyle i prochu, całując ich stopy i płacząc.

W najbliższy dzień sabbatu odbyło się w synagodze agrypińskiej uroczyste nabożeństwo. Najstarszy spośród trzech odczytał rozdziały Pisma przeznaczone na ów sabbat. Z trudem wydobywał słowa z gardła; ogromna synagoga była zapchana ludźmi, liczne, milczące szeregi wypełniały całą ulicę. Józefa wezwano do rytuału podniesienia zwoju Tory. Stał na podium z poważną miną, obiema rękami podniósł zwój wysoko, odwrócił się, by go ukazać oczom wszystkich, patrzył namiętnym wzrokiem na nieprzebrane tłumy. Spojrzenia Żydów rzymskich skierowane były ku płonącemu wewnętrznym ogniem młodzieńcowi, dzierżącemu wysoko święty zwój z wersetami Pięcioksięgu.

Owej zimy oddawano trzem męczennikom wielkie honory. Stopniowo wracali do normalnego stanu, ich wygolone czaszki pokryły się skąpo odrastającymi włosami, blizny i rany od kajdan zagoiły się dzięki lekom Skrybona Larga. Wrywano ich sobie, wożono z jednej gminy do drugiej, od jednego żydowskiego potentata do drugiego. Przyjmowali te objawy czci obojętnie, jako należny im hołd.

W miarę powracania do sił stali się rozmowniejsi. Okazało się, że męczennicy byli kłótliwymi, fanatycznymi, swarliwymi starcami. Wszystko wydawało im się zbyt mało pobożne i niezgodne z przepisami. Kłócili się ze sobą i ze wszystkimi, snuli się wśród Żydów rzymskich, jak gdyby byli w Jerozolimie i wszyscy ci Żydzi im podlegali; wydawali polecenia i zakazy. Wreszcie Julian Alf zwrócił im uprzejmie, ale stanowczo uwagę, że jego synagoga Welia nie podlega ich Świątyni. Przekleli go, chcieli na niego rzucić klątwę i wypowiedzieć mu powszechny bojkot. Wszyscy byli radzi, kiedy wreszcie zaczęły kursować statki i można było tych trzech wsadzić w Puteoli na okręt płynący do Judei.

Choć Józef spełnił swoje zadanie, pozostawał jednak w Rzymie. Znowu widział wyraźnie przed sobą cel, w którym przybył do tego miasta. Celem tym było zdobycie Rzymu. Uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że miał przed sobą tylko jedną drogę: literaturę. Nęcił go wielki temat zaczerpnięty z dziejów ojczyznoego kraju. Od lat pociągała go w starych księgach historia walki o wolność Makabeuszów przeciw Grekom. Teraz dopiero zrozumiał, co go tutaj przygnało. Rzym dojrzał już do przyjęcia mądrości i tajemnicy Wschodu. Zadaniem jego było ukazanie światu pełnego patosu i bohaterstwa rozdziału dziejów Izraela. Niechaj wszyscy poznają i zobaczą, że kraj Izrael jest krajem wybranym, że mieszka w nim Bóg.

Nie mówił z nikim o swym zamierzeniu. Na zewnątrz prowadził tryb życia młodzieńca z dobrego towarzystwa. Ale wszystko, co widział, słyszał i przeżywał, łączył ze swym zamierzeniem. Można zrozumieć jedno i drugie — Wschód i Zachód. Można z pewnością przedstawić historię Makabeuszów z ich wiarą i cudami w wyrazistej, bezwzględnej formie, której żądała teoria wyznawana przez prozaików młodszego pokolenia. Opierając się o stare księgi przeżywał udręki przodków, które ci wzięli dobrowolnie na swe barki, nie chcąc naruszać nakazów Jehowy. Na Forum, pod kolumnami Liwii, na Polu Marsowym, w łaźniach publicznych, w teatrze wchłaniał w siebie technikę owego Rzymu, który oczarowywał jego mieszkańców; wymyślali na niego wszyscy i wszyscy go kochali.

Zakosztował do dna wielkich pokus miasta, kiedy zdarzyła się okazja pozostania w nim na zawsze. Kajus Barcaarone chciał wydać za niego swą córkę Irenę. Na życzenie matki brany był pod uwagę w charakterze zięcia młody doktor Licyniusz z synagogi Welia. Ale serce ojca nie chciało tego związku, Irena zaś patrzyła na wychudzoną, fanatyczną twarz Józefa z tym samym

marzycielskim entuzjazmem, jak pierwszego dnia. Odkładano małżeństwo i wystarczyło, żeby Józef powiedział słowo, a mógłby zostać zięciem rzymskiego bogacza. Było to pociągające, równoznaczne ze spokojnym życiem na szerokiej stopie, uznaniem i dostatkiem. Ale oznaczało również jakąś martwość, jakieś ograniczenie swobody. Czy cel, który by osiągnął, nie był zbyt nikły?

Ze zdwojonym zapalem rzucił się na księgi, pracował z olbrzymią sumiennością nad swoją Historią Makabeuszów. Jak sztubak kuł gramatykę łacińską i grecką, ćwiczył się w najtrudniejszych formułach. Przepracował tak całą wiosnę, aż wreszcie poczuł, że dojrzał do rozpoczęcia własnego dzieła.

Nadeszło jednak wydarzenie, które wstrząsnęło nim od podstaw.

Tej wiosny bowiem, bardzo nagle i bardzo młodo, zmarła cesarzowa Poppea. Pragnęła umrzeć młodo, zanim przekwitnie, mówiła często o śmierci, teraz spełniło się jej pragnienie. Jeszcze po śmierci dała dowód swej sympatii dla Wschodu: w testamencie zarządziła, żeby zwłoki jej nie zostały spalone, lecz zgodnie ze zwyczajami Wschodu zabalsamowane.

Cesarz uczynił ze swego smutku i swej miłości gigantyczne widowisko. Olbrzymi kondukt żałobny kroczył przez miasto. Orkiestry, płaczki, chóry żałobne. Nie kończąca się procesja przodków, którzy teraz przyjmowali cesarzową w swój poczet jako ostatnią. Wyciągnięto w tym celu maski woskowe zmarłych praojców. Nieśli je aktorzy, przebrani we wspaniałe szaty owych nieżyjących konsulów, przewodniczących gmin, ministrów; przed każdym z tych nieboszczyków liktorzy nieśli godła: topór i pęki różg. Potem cały orszak przesunął się raz jeszcze; groteskowy ten pochód składał się z tancerzy i aktorów, którzy parodiowali kroczących przed nimi. Znajdowała się wśród nich także zmarła cesarzowa. Demetriusz Liban nie wyrzekł się oddania swej protektorce tej ostatniej okrutnej przysługi. Żydzi, patrząc na podskakujący boleśnie śmieszny konterfekt swej potężnej opiekunki, wyli ze śmiechu i z rozpacz. Dalsza część konduktu składała się ze służby cesarskiej, z ogromnej ilości urzędników, niewolników, wyzwolenców, potem ciągnęli oficerowie gwardii przybocznej. Bezpośrednio za nimi ukazała się zmarła niesiona przez czterech senatorów. Siedziała, jak to lubiła za życia, w fotelu, ubrana, jak zazwyczaj, w szatę dostojną na pozór, a w istocie bezwstydnie przezroczystą, kunsztownie zabalsamowana przez żydowskich lekarzy, w obłoku wonnych kadzideł. Za nią kroczył cesarz z zasłoniętą głową, w prostej, czarnej szacie, bez żadnych oznak władzy. Orszak zamykał senat, za którym płynęły fale ludu rzymskiego.

Kondukt zatrzymał się przed trybuną wzniesioną na Forum. Przodkowie wysiedli ze swych pojazdów, zajęli miejsca na krzesłach z kości słoniowej, cesarz wygłosił mowę pogrzebową. Józef patrzył na Poppeę. Siedziała w swym fotelu, jak wówczas kiedy przed nią stanął, włosy jej miały barwę bursztynu, uśmiechała się nieco szyderczo. Cesarz skończył. Rzym żegnał swoją cesarzową po raz ostatni. Dziesiątki tysięcy ludzi z podniesionymi rękami. Przodkowie podnieśli się również ze swych miejsc, wyciągnęli ręce z otwartą dłonią. Stali tak wszyscy przez długą chwilę. Tylko zmarła siedziała.

Józef dotychczas stale unikał Justusa. Dziś odszukał go. Obaj spacerowali pod kolumnadą Pola Marsowego. Justus wyraził opinię, że teraz, po śmierci Poppei, Talas i jego towarzysze nie będą chyba długo zwlekać z opublikowaniem edyktu. Józef wzruszył ramionami. W milczeniu przechadzali się wśród wytwornisiów spacerujących pod kolumnadą. Kiedy znaleźli się przed pięknym sklepem Kajusa Barcaarone, Justus przystanął i powiedział:

— Jeżeli teraz Żydom z Cezarei odebrane zostaną podstępnie ich prawa, nikt nie będzie się temu dziwił. Żydzi nie mogą mieć racji w tej sprawie. Jeżeli wystąpią ze skargami choćby częściowo usprawiedliwionymi, Rzym wysłucha ich i udzieli pomocy. Czy nie ułaskawiono pańskich trzech niewinnych? Rzym jest wielkoduszny, traktuje Judeę łagodnie, łagodniej niż inne

provincje.

Józef zbladł. Czy człowiek ten ma słuszność? Czyżby jego tryumf — oswobodzenie tych trzech — był dla całokształtu polityki żydowskiej szkodliwy, ponieważ w ten sposób Rzym, okazując łagodność w sprawie mniejszej wagi, osłodzi twardą decyzję w sprawie zasadniczej? Patrzył z roztargnieniem na meble wystawione na sprzedaż przed sklepem Kajusa Barcaarone.

Nie odpowiedział nic, pożegnał się po chwili. Słowa Justusa ubodły go do żywego. To nie może być prawda. Józef ma swoje próżnostki, któż ich nie ma, ale w sprawie trzech niewinnych powodował się sercem, nie pogorszył losu swego narodu kierując się względami osobistymi, w imię drobnego sukcesu.

Z nową zaciekłością zabrał się do dzieła. Pościł, odprawiał pokutę, przysiągł, że zanim nie ukończy dzieła, nie dotknie kobiety. Pracował. Zamykał oczy, by wnikać w treść swej książki, otwierał je, by ją ustawić we właściwym świetle. Opowiadał światu cudowne dzieje walki o wolność swojego narodu. Cierpiał wraz z męczennikami swego dzieła, zwyciężał z nimi. Wraz z Judą Makabeuszem poświęcił na nowo Świątynię.

Był pełen ogromnej, łagodnej wiary. Wlewał w swe dzieło wiarę, umiłowanie wolności, tryumf, wszystko to, co wyczuł w starych księgach. Dopóki pisał, był wybranym bojownikiem Jehowy.

Zapomniał o Cezarei.

Zaczął żyć jak dawniej, bywał, szukał kobiet i znajdował je, starał się zwrócić na siebie uwagę. Odczytał swą książkę o Makabeuszach przed wybranym gronem młodych literatów — gratulowano mu. Posłał swe dzieło wydawcy Klaudiuszowi Reginusowi, który oświadczył bez namysłu, że je opublikuje.

Równocześnie w wydawnictwie Klaudiusza Reginusa ukazało się dzieło Justusa: O idei żydostwa. To, że zarówno Reginus, jak Justus nie uprzedzili go o tym ani słowem, odczuł Józef jako podstępna nielojalność. Zarzucał książce Justusa chłód i brak polotu. Ale w głębi duszy to, co sam stworzył, wydawało mu się w porównaniu z oryginalnymi, zwartymi, przekonywającymi rozmyślaniami tamtego pompatyczną bzdurą. Porównywał portret Justusa, widniejący na karcie tytułowej jego książki, ze swoim własnym. Przeczytał małe dziełko Justusa po raz drugi i trzeci. Własne pisarstwo wydało mu się dziecinne, beznadziejne.

Lecz, o dziwo, nie tylko Irena, ale i żona doktora Licyniusza, i przychylni mu czytelnicy, zamieszkali na prawym brzegu Tybru, i literaci, i młodzi snobi z wytwornych łaźni na lewym brzegu uznali książkę o Makabeuszach za dobrą. Sława Józefa rosła, jego żydowską książkę o wojnie rozumiano jako interesujący nawrót do bohaterkich epopei. Młodzi literaci szukali jego towarzystwa, miał już naśladowców, uchodził za pioniera nowej szkoły. Wielkie domy zwracały się doń z prośbą odczytania w kręgu ich gości fragmentów dzieła. Na prawym brzegu Tybru książka stała się podręcznikiem, z którego uczono dzieci w szkołach. Tymczasem dzieła Justusa z Tyberiady nikt nie znał i nie czytał. Buchalter wydawnictwa Klaudiusza Reginusa opowiadał Józefowi, że sprzedano 190 egzemplarzy książki Justusa, podczas gdy jego dzieła rozeszło się cztery tysiące dwieście egzemplarzy, zapotrzebowanie ze wszystkich prowincji, zwłaszcza wschodnich, stale rośnie. Justus opuścił chyba Rzym, w każdym razie w owych miesiącach sukcesów literackich Józef nie spotkał go ani razu.

Zima minęła, wczesna wiosna przyniosła wspaniałą demonstrację potęgi rzymskiej, od dawna przygotowywany tryumf Rzymu nad Wschodem; dumne preludium do pochodu w stylu Aleksandra. Sąsiednie państwo Partów pod panowaniem króla Wologasesa, jedyne oprócz Rzymu znane mocarstwo na świecie, zmęczone długą wojną, zrezygnowało ze spornego terytorium, którym była Armenia. Sam cesarz zamknął z uroczystym ceremoniałem świątynię Janusa na znak, że pokój zapanował na ziemi. Potem uczcił wspaniałym widowiskiem to

pierwsze zwycięstwo nad Wschodem, który miał być na nowo zdobyty. Król Armenii Tyrydat musiał stanąć przed nim, by z jego ręki otrzymać koronę, jako lennik. Przez długie miesiące pielgrzymował monarcha wschodni na Zachód z olbrzymim orszakiem, otoczony konnymi wiozącymi bogate dary, złoto i mirrę, by złożyć hołd cesarzowi rzymskiemu. Cały Wschód obieżyły legendy o trzech królach, którzy ruszyli w drogę, by oddać cześć gwiazdzie wstającej na Zachodzie. Nawiasem mówiąc, ministerstwo finansów w Rzymie bardzo się trapiło, jak znaleźć pokrycie kosztów, które oczywiście obciążały kasę cesarską.

Kiedy wreszcie orszak króla Tyrydata znalazł się na italskiej ziemi, wezwano senat i lud do wzięcia udziału w ceremonii hołdu. Na wszystkich ulicach tłoczyli się ciekawi. Żołnierze gwardii cesarskiej tworzyli szpaler. Wzdłuż tego szpaleru jechał król Wschodu w stroju swego kraju, z tiarą na głowie i krótką szablą perską u boku; ale broń była unieszkodliwiona przez przybicie szabli do pochwy. Przemierzył Forum, wszedł po stopniach na estradę, na której tronował cesarz rzymski, pochylił czoło ku ziemi. Cesarz zdjął mu tiarę i zamiast niej nałożył diadem. Potem wojsko uderzyło lancami w tarcze, wydając potężne okrzyki, w których ćwiczyło się całymi dniami: „Bądź pozdrowiony, cesarzu, władco i boski imperatorze!”

Na trybunie przy ulicy Świętej, ciągnącej się za Forum, goście honorowi z prowincji, wśród nich Józef, przyglądali się widowisku. Głęboko poruszony patrzył na upokorzenie Tyrydata. Walka między Wschodem i Zachodem toczyła się od wiek wieków. Swego czasu Persowie odepchnęli Zachód daleko, później jednak Aleksander wyparł Wschód na przeciąg wielu stuleci. W ostatnich dziesięcioleciach, zwłaszcza kiedy sto lat temu Partowie zmiotli z powierzchni ziemi wielką armię rzymską, wydawało się, że Wschód jest znowu w ofensywie. W każdym razie Wschód odczuwał swą duchową przewagę; Żydów napełniała znowu nadzieja, że na Wschodzie pojawi się Mesjasz i że w myśl starych przepowiedni Jerozolima stanie się stolicą świata. A teraz Józef patrzy własnymi oczyma, jak Tyrydat, brat najpotężniejszego władcy na Wschodzie, tarza się w prochu i pyłe przed Rzymem. Państwo Partów było daleko, wyprawy wojenne w celu ujarznienia go związane były z olbrzymimi trudnościami; żyli jeszcze wnukowie tych, którzy pobili na głowę wielkiego generała rzymskiego Kra-susa i jego armię. Mimo to Partowie poszli na ten żalony kompromis. Ich książę zgodził się, by mu gwoździami przybito szablę do pochwy. Za tę cenę otrzymał pewną autonomię oraz diadem, co prawda tylko pożyczony. Skoro tak potężny władca zadowalał się tym, czyż nie było szaleństwem ze strony małej Judei wierzyć, że można stanąć do walki z rzymską potęgą? Judea była łatwo osiągalna, otoczona prowincjami nasiąkniętymi rzymskim duchem, od przeszło stu lat Rzym wyszkolił tam swoją administrację i swoją technikę wojenną. Gadanina Zelotów w Błękitnej Eksedrze Świątyni w Jerozolimie jest czystym szaleństwem. Judea, jak inni, musi się podporządkować istniejącemu na świecie łaadowi. Bóg jest w Italii, świat jest rzymski.

Nagle znalazł się obok niego Justus.

— Król Tyrydat mamie wygląda przy twoich Makabeuszach, rabbi Józefie — powiedział.

Józef spojrział na niego. Justus miał żółtą cerę, sceptyczny, nieco gorzki wyraz twarzy, wyglądał znacznie starzej niż Józef, choć tak nie było. Kpił z niego czy o drogę pytał? Co miały znaczyć jego słowa?

— Ja również uważam — odrzekł — że szabla przygwożdżona do pochwy jest mniej sympatyczna od wyciągniętej.

— Ale w wielu wypadkach tak jest mądrzej, a niekiedy nawet bardziej heroicznie — odparł Justus — szkoda doprawdy, że tak utalentowany człowiek jak ty wyrósł na takiego szkodnika.

— Ja szkodnikiem? — oburzył się Józef. Krew uderzyła mu do głowy, że ktoś tak

jasno i bez osłonek sformułował mgliste, dręczące wyrzuty, które czasem czynił sobie nocą. — Książka moja o Makabeuszach — oświadczył — dowiodła Rzymowi, że my, Żydzi, jeszcze jesteśmy Żydami, a nie Rzymianami. Czy to szkodliwe?

— Chyba teraz cesarz cofnie swój podpis pod edyktem w sprawie Cezarei? — zapytał Justus łagodnie.

— Edykt nie został jeszcze ogłoszony — odparł Józef z uporem. — „Są ludzie — zacytował — którzy wiedzą, co Jowisz szepnął Junonie do ucha.”

— Obawiam się — rzekł Justus — że teraz, kiedy Rzym załatwił sprawę z Partami, nie będziesz długo czekał na ogłoszenie edyktu.

Siedzieli na trybunie, dołem przeciągała kawaleria w galowych mundurach; jeźdźcy trzymali się na koniach swobodnie, tłum oklaskiwał, oficerowie patrzyli wyniośle przed siebie, nie odwracając wzroku ani w prawo, ani w lewo.

— Nie powinieneś robić sobie iluzji — rzekł Justus niemal pogardliwie. — Wiem, że dałeś w swym dziele klasyczny opis naszych walk wolnościowych, jesteś żydowskim Tytusem Liwiuszem. Tylko, widzisz, kiedy współcześni Grecy czytają dziś o zmarłym Leonidasie, jest to niewinna rozrywka akademicka. Kiedy jednak Zeloci w Jerozolimie czytają opisane przez ciebie dzieje Żyda Makabeusza, oczy im płoną i rozglądają się za bronią. Czy uważasz to za pożądane?

Dołem przejeżdżał konno człowiek z przygwożdżonym do pochwy mieczem. Wszyscy na trybunie powstali. Lud wydawał entuzjastyczne okrzyki.

— Cezarea — powiedział Justus — została nam ostatecznie wydarta. W pewnym stopniu ułatwiłeś to Rzymowi. Czy chcesz dostarczyć im jeszcze więcej argumentów na to, żeby i z Jerozolimy uczyniono rzymskie miasto?

— Cóż może dziś zrobić pisarz żydowski? Nie chcę, by Judea rozplynęła się w Rzymie — rzekł Józef.

— Pisarz żydowski — odparł Justus — musi przede wszystkim uświadomić sobie, że nie można dziś zmienić świata żelazem i złotem.

— Żelazo i złoto stają się duchem, kiedy się ich używa dla celów duchowych — odrzekł Józef.

— Piękne zdanie do zamieszczenia w księdze, panie Liwiuszu, skoro nie możesz przytoczyć żadnych faktów — rzekł szyderczo Justus.

— Co ma uczynić Judea, żeby nie zginąć? — zapytał Józef. — Makabeusze zwyciężyli, ponieważ gotowi byli umrzeć dla idei i swych przekonań.

— Nie mogę dopatrzeć się sensu w umieraniu za ideę — odparł Justus. — Oddawać życie za przekonania to rzecz wojaków. Powołaniem pisarza jest przekazać innym swe przekonania. Nie sądzę, żeby niewidzialny Bóg Jerozolimy był dziś równie sprawiedliwy jak Bóg twoich Makabeuszów. Nie sądzę, by przez śmierć dla niego wiele się osiągnęło. Budowanie niewidzialnego domu dla tego niewidzialnego Boga to straszliwy wysiłek. W każdym razie na pewno nie jest to takie łatwe, jak to sobie wyobrażałeś, rabbi Józefie. Książka twoja może wnieść do Judei nieco ducha rzymskiego, ale nie wniesie ani odrobiny ducha żydowskiego do Rzymu.

Rozmowa ta pochłaniała Józefa bardziej, niż tego chciał. Na próżno mówił sobie, że przez Justusa przemawia jedynie zawiść, wywołana tym, że jego książki, w przeciwieństwie do książek Józefa, nie miały powodzenia. To, co mu Justus zarzucił, utkwilo głęboko, nie może tego wyrwać z serca. Odczytał książkę o Makabeuszach, przywołał na pomoc wszystkie wielkie uczucia, których doznawał w owe samotne noce, kiedy pisał swoją księgę. Na próżno. Trzeba się z tym Justusem rozprawić. Nie może tak być dalej.

Postanowił uważać sprawę Cezarei za ostrzeżenie. Od roku wymachują przed nim tym głupim edyktem. Tylko sprawa Cezarei jest powodem, że myśli Justusa można uznać za słuszne,

zaś jego za niesłuszne. Dobrze. Gdyby istotnie sprawa miała zostać rozstrzygnięta na niekorzyść Żydów, podda się, przyzna, że nie miał racji. Wtedy księga jego o Makabeuszach pozbawiona będzie właściwego żydowskiego ducha, wtedy Justus stanie się człowiekiem wielkim, a on pyszałkiem, który chce zrobić karierę.

Snuł się przez szereg dni w męczącym oczekiwaniu. Wreszcie nie mógł już dłużej znieść tego napięcia. Wyciągnął kości do gry. Jeżeli padną pomyślnie, decyzja będzie korzystna dla Żydów. Rzuca kości, padają niepomyślnie. Rzuca raz jeszcze. Znowo rezultat niepomyślny. Próbuje po raz trzeci. Tym razem wynik jest pomyślny. Ogarnia go przerażenie. Niechający, naprawdę niechający rzucił wyszczerbioną kostkę.

Jak zawsze chce wracać do Judei. W ciągu tych osiemnastu miesięcy, spędzonych w Rzymie, wspomnienie o Judei zamgliło się znacznie, nie widzi jej — musi wracać, żeby zaczerpnąć stamtąd siły.

W pośpiechu gotuje się do podróży. W dniu jego odjazdu połowa ludności żydowskiej stoi przy Bramie Trzech Ulic, skąd rusza powóz, który ma go odwieźć na statek stojący w Ostii. Trzy osoby towarzyszą mu dalej: Irena, która została żoną doktora Lieyniusza, aktor Demetriusz Liban, pisarz Justus z Tyberiady.

W drodze Demetriusz mówi o tym, że i on wyruszy kiedyś do Syjonu, i to na zawsze. Długo czekać nie będzie.

Przypuszcza, że nie będzie grać dłużej niż siedem, osiem lat. Potem zobaczy nareszcie Jerozolimę. Marzy o Świątyni promieniejącej nad miastem, o jej olbrzymich tarasach oraz białych złożonych eksedrach. Śni o lśniącej matowo zasłonie, ukrywającej Święte Świętych, o tej najwspanialszej tkaninie świata. Zna z częstych opowiadań każdy szczegół świętego przybytku. Lepiej może od niejednego, kto go oglądał własnymi oczyma.

Przybyli do portu Ostia. Zegar słoneczny wskazuje godzinę ósmą. Józef liczy jak dziecko, z trudem, uparcie. Od wyjazdu jego z Judei minął rok, siedem miesięcy, dwanaście dni, cztery godziny. Nagle ogarnia go fizyczna tęsknota za Jerozolimą, chciałby dmuchać w żagle statku, żeby płynąć prędzej.

Przyjaciele stoją na brzegu. Irena jest poważna i cicha, Justus szyderczy i smutny; Demetriusz podnosi w górę rękę, pochyla się naprzód. To nie tylko pozdrowienie pożegnalne, skierowane do Józefa. Pozdrowia cały daleki, utęskniony kraj.

Ludzie giną mu z oczu, z kolei niknie Ostia, Rzym, Italia. Józef jest na pełnym morzu, płynie do Judei.

Tym samym statkiem jedzie tajny kurier, zawozi gubernatorowi Judei rozkaz obwieszczenia miastu Cezarei decyzji cesarskiej w sprawie ordynacji wyborczej.

KSIĘGA DRUGA

GALILEA

Trzynastego maja, o godzinie dziewiątej rano, gubernator Gesjusz Florus przyjął delegację miasta Cezarei i zakomunikował jej decyzję cesarską w sprawie ordynacji wyborczej; decyzja ta odebrała Żydom władzę w stolicy ich kraju. O godzinie dziesiątej decyzja została ogłoszona przez rzecznika rządu z trybuny wielkiego Forum. W warsztatach braci Zakynth pracowano już nad tym, aby dosłowny tekst edyktu odlać w brązie; w tej formie edykt miał być po wieczne czasy przechowywany w archiwach miejskich.

Grecko-rzymską ludność ogarnął niebывały entuzjazm. Ustrojono w mieście monumentalne rzeźby przy wjeździe do portu, słupy z podobiznami bogini Rzymu i założyciela monarchii, portrety panującego cesarza porozwieszano na rogach ulic. Ulicami przeciągały orkiestry i chóry, w porcie dawano bezpłatnie wino, niewolnicy otrzymali jednodniowe zwolnienia.

W dzielnicach żydowskich, natomiast, od tak zazwyczaj hałaśliwych i gwarnych domów wiało ciszą i pustką; sklepy były pozamykane, strach przed pogromem unosił się nad rozpalonymi ulicami.

Następnego dnia, a był to sabbat, Żydzi udający się do synagogi ujrzeli przed bramą dowódcę greckich oddziałów szturmowych składającego tam ofiarę z ptaków. Była to rozmyślna zniewaga, ofiarę z ptaków bowiem składali trędowaci, w Małej Azji Żydów zaś uważano za potomków trędowatych Egipcjan. Służba synagogi wezwała Greków, by sobie poszukali innego miejsca dla składania ofiar. Grecy odpowiedzieli szyderczo, że minęły czasy, kiedy to Żydzi w Cezarei mogli pyskować, ile wlezie. Urzędnicy żydowscy zwrócili się do policji, ta wszakże oświadczyła, że musiałaby otrzymać odnośne instrukcje. Kilku bardziej zapalczywych Żydów nie chciało patrzeć beczynnym na zuchwałą grecką ceremonię i spróbowało usunąć siłą tygiel ofiarny. Zabłyły sztylety i noże, doszło do starcia, byli zabici i ranni. Wreszcie zainterweniowały rzymskie wojska, ujęły wielu Żydów jako naruszających spokój podżegaczy i skonfiskowały Grekom tygiel ofiarny. Żydzi — kto tylko mógł — uciekali z Cezarei ze swym ruchomym dobytkiem; święte zwoje umieszczone zostały w bezpiecznym miejscu.

Wypadki w Cezarei, edykt i jego następstwa sprawiły, że mała wojna podjazdowa, którą Judea prowadziła od stu lat przeciw protektoratowi rzymskiemu, rozgorzała w całym kraju z nową siłą; podsycalo ją szaleńcze rozgoryczenie. Dotychczas obie partie zwolenników porządku — arystokratyczna: „Niezlomnie Prawych” Saduceuszów, i mieszczańska: „Prawdziwie Wiernych Pismu” Faryzeuszów — potrafiły paraliżować akty gwałtu przeciw Rzymianom. Teraz, po edykcie w sprawie Cezarei, górę wzięła trzecia partia, partia Zelotów.

Coraz więcej ludzi z obozu „Prawdziwie Wiernych Pismu” skłaniało się na ich stronę, nawet podskarbi synagogi, rabbi Eleazar ben Szymon, oficjalnie do nich przystąpił. Wszędzie widniało godło Makabeuszów, inicjały zdania hebrajskiego: „Któż jak Ty wśród bogów, o Panie!” hasła wzywającego do powstania. W Galilei wypłynął nagle agitator Nachum, syn powieszzonego przez Rzymian przywódcy patriotów Judy Makabeusza.

Niemal od dziesięciu lat słuch o nim zaginął, uważano, że nie żyje, i oto dziś wędrował przez miasta i wsie północnej prowincji, wszędzie gromadząc koło siebie tłumy ludzi.

— Na cóż jeszcze czekacie — zaklinał fanatycznie niemych i rozgoryczonych słuchaczy. — Sama obecność nie obrzezanych kała nasz kraj. Pułki ich depcą po kamiennej posadzce Świątyni, ohydny dźwięk ich trąb wdziera się w świętą muzykę. Jesteście wybrani, by służyć

Jehowie, nie możecie modlić się do cezara, który żre wieprzowinę. Pomyślcie o gorliwych wyznawcach Pana, Elim, Pinchasie, o Judzie Makabeuszu. Czy rodzimi wyzyskiwacze nie uciskają was dostatecznie? Czy pozwolicie na to, żeby obcy rabowali wam błogosławieństwa, które Jehowa dla was przeznaczył, czy wolno wam dopuścić do tego, żeby urządzano igrzyska i zabawy ze zwierzętami? Nie dajcie się zastraszyć tchórzostwem „Prawdziwie Wiernych Pismu”. Nie padajcie plackiem przed żądzą zysku „Niezlomnie Prawych”, którzy głaszczą rękę ciemieży, ponieważ strzeże ich worków ze złotem. Czas dopełnił się. Królestwo Niebieskie jest bliskie. Ubodzy są tam równi pasibrzuchom. Mesjasz narodził się, czeka tylko na to, żebyście się ruszyli, wtedy się ukáže. Zabijajcie tchórzów z Synedrionu w Jerozolimie! Zabijajcie Rzymian!

Zbrojne oddziały Zelotów, jak się zdawało wytrzebione, znowu wyłoniły się w całym kraju. W Jerozolimie doszło do dzikich demonstracji. Na prowincji napadano na Rzymian, którzy mieli odwagę wyjść na szosę bez osłony wojskowej; porywano ich jako zakładników. Wobec tego, że cesarska administracja skarbowa właśnie teraz bezwzględnie ściągała pewne zaległości podatkowe, pojawili się na ulicach nowi zwolennicy Zelotów ze skarbonkami, zebrząc i błagając przechodniów: „Dajcie litościwy grosik na biednego, nieszczęsnego gubernatora.” Gesjusz Florus postanowił odpowiedzieć na to z całą surowością, żądał, by mu wydano podżegaczy. Władze miejscowe oświadczyły, że nie mogą ich znaleźć. Gubernator wydał rozkaz, by wojsko przeszukało Górny Rynek i sąsiednie ulice, które przypuszczalnie były główną siedzibą Zelotów. Rewizje domowe przerodziły się w zwyczajne rabunki. Żydzi bronili się, z dachów poszczególnych domów posypały się strzały. Wśród Rzymian byli również zabici. Rozwścieczeni żołnierze wlekli przed sąd winnych i niewinnych. Wystarczało samo stwierdzenie, że ktoś należy do Zelotów. Posypał się grad wyroków śmierci. Prawo wzbraniało dokonywać egzekucji na obywatelach rzymskich inaczej niż przez ścięcie głowy mieczem. Gesjusz Florus kazał Żydów haniebnie rozpinać na krzyżu, nawet takich, którzy należeli do stanu szlacheckiego i nosili złoty pierścień, atrybut szlachty rzymskiej drugiego stopnia.

Kiedy miano uśmiercić dwóch członków Synedrionu, zjawiała się przed członkami sądu doraźnego w otoczeniu tłumu wiernych księżniczka Berenika, siostra króla tytularnego Agryppy. Za wyratowanie z choroby uczyniła śluby, że będzie chodzić z krótko ostrzyżonymi włosami i bez jakichkolwiek klejnotów. Była piękną kobietą, bardzo kochaną w Jerozolimie i mile widzianą na dworze rzymskim. Chód jej znany był na całym świecie. Poczynając od granicy niemieckiej aż po Sudan, od Anglii po rzekę Indus nie można było zrobić kobiecie większego komplementu niż powiedzieć, że chodzi jak księżniczka Berenika. Teraz wielka dama kroczyła pokornie na wzór tych, którzy błagają o opiekę, bosą, czarną szatę przewiązywał jedynie sznur, krótko ostrzyżona głowa była nisko pochylona. Skłoniła się przed przewodniczącym sądu prosząc o łaskę dla obu kapłanów. Członkowie sądu byli z początku uprzejmi, dowcipkowali z galanterią. Kiedy jednak księżniczka nie ustępowała, ochłodli, stali się lakoniczni, w końcu wręcz brutalni. Srodze upokorzona Berenika musiała odejść z niczym.

W owych pięciu dniach między 21 i 26 maja zginęło w Jerozolimie przeszło trzy tysiące osób, wśród nich tysiąc kobiet i dzieci.

Miasto wrzało głuchym oburzeniem. Dotychczas przystępowali do Zelotów przeważnie chłopcy i proletariusze, teraz przyłączało się do nich coraz więcej mieszczan. Mówiono, krzyczano wszędzie coraz głośniejsze, że pojutrze, nie, jutro, kraj powstanie przeciw rzymskiej przemocy. Rada Żydowska, Kolegium Arcykapłańskie i Synedrjon przyglądali się z troską groźnemu obrotowi sprawy. Wszystkie warstwy wyższe chciały porozumienia z Rzymem, bały się wojny.

„Niezlomnie Prawi”, rekrutujący się przeważnie z arystokratów i ludzi bogatych, piastujących najwyższe urzędy państwowe, obawiali się, że wojna z Rzymem przeobrazi się nieuchronnie w rewolucję przeciwko ich własnej władzy i panowaniu. Od dawna bowiem

wyniosłe i uporczywie odrzucali skromne żądania chłopów dzierżawców, drobnych rzemieślników i proletariuszy. Jeżeli chodzi o „Prawdziwie Wiernych Pismu”, o partię rabbinów Świątyni Jerozolimskiej, o uczonych i demokratów, do których lgnęły szerokie masy ludowe, to wierzyli oni, że sprawę przywrócenia państwu starej wolności należy powierzyć Bogu, i przestrzegali przed wszelkim aktem gwałtu, dopóki Rzymianie nie zmuszą ich do naruszenia jednego z sześciuset trzynastu nakazów Mojżesza.

Przywódcy obu partii zwrócili się do króla Agryppy, który bawił w Egipcie, z prośbą o pośrednictwo między powstańcami a rządem rzymskim. Królowi temu Rzymianie pozostawili istotną władzę jedynie w Transjordanii i w kilku miastach Galilei; w Judei ograniczyli ją do nadzoru nad Świątynią. Lecz Agryppa nosił jeszcze tytuł królewski, uchodził wśród Żydów za ich reprezentanta, był lubiany. Na prośbę rządu żydowskiego ruszył śpiesznie do Jerozolimy zamierzając przemówić osobiście do mas.

Na plac przed pałacem Makabeuszów przybyły dziesiątki tysięcy, żeby go usłyszeć. Ludzie stali stłoczeni, za pałacem wznosiły się stare mury miejskie nad doliną, przez którą przerzucony był wąski most. W oddali rysowały się białe i złote kontury zachodniej eksedry Świątyni. Tłum powitał króla przygnębiony, w napięciu, z pewną nieufnością. Po chwili przez szpaler witających ją członków sądu wyszła z bramy pałacu księżniczka Berenika. Miała na sobie czarną szatę, ale nie był to strój błagającej o pomoc i zmiłowanie, lecz szata z ciężkiego brokatu. Spod krótko ostrzyżonych włosów podłużna jej, szlachetna twarz spoglądała jeszcze śmielej niż zazwyczaj. Kiedy wyszła z pałacu, wszyscy zamilkli, podobnie jak modlący się, którzy w dzień nowiu czekają na ukazanie się księżyca. Księżyc ukryty za chmurami był niewidoczny, teraz jednak wypłynął, co ich napełniło radością. Księżniczka schodziła powoli po schodach do swego brata; kiedy tak szła, ciężki brokat, którym była okryta, falował i wzdymał się.

A kiedy podniosła w stronę ludu obie ręce z obróconymi dłońmi, tłum przejęty do głębi zaczął wołać:

— Bądź pozdrowiona, władczyni Bereniko, która przyszłaś do nas w imieniu Pana.

Potem król rozpoczął mowę. Wywodził w przekonujących słowach, jak beznadziejne jest porywanie się na rzymski protektorat. Wytworny pan podnosił i opuszczał ramiona, całym ciałem wyrażał bezmyślność przedsięwzięcia. Czy wszystkie ludy ziemi nie liczą się z faktami dokonanymi? Czy nie uczynili tak Grecy, którzy niegdyś potrafili stawić czoło całej Azji, Macedończycy, w których kraju Aleksander Wielki zasiał niegdyś zalążek światowego mocarstwa? A dziś? Czy dwa tysiące żołnierzy rzymskich nie wystarczą na obsadzenie obu tych krajów? Galię zamieszkiwało trzysta pięć różnych szczepów, rozporządzała wspaniałymi naturalnymi twierdzami, posiadała wszystkie surowce. A czyż nie wystarczyło tysiąc dwustu ludzi, to jest tylu, ile kraj miał miast, by stłumić wszelką myśl o oporze? Dwa legiony potrafiły utrzymać rzymski porządek w olbrzymim, bogatym Egipcie, kraju o starej kulturze. Na uporanie się z Niemcami, którzy, jak wiadomo, są brutalniejsi od dzikich zwierząt, wystarczyłyby cztery legiony, a na całym obszarze z tamtej strony Renu i Dunaju podróżowało się spokojniej i bezpieczniej niż w Italii.

— Czy nie znacie — zapytał król potrząsając ze smutkiem głową — miernika swojej własnej słabości i siły Rzymu? Powiedzcie mi, gdzie jest wasza flota, wasza artyleria, gdzie są źródła waszych finansów? Świat jest rzymski; skąd weźmiecie sprzymierzeńców, kto wam udzieli pomocy? Może bezludna pustynia?

Król Agryppa przemawiał do swoich Żydów jak do dzieci. Ściśle biorąc, podatki, których Rzym się domaga, nie są tak wysokie: — Pomyślcie tylko: samo miasto Aleksandria płaci w ciągu miesiąca więcej podatków niż cała Judea w ciągu roku. I czy Rzym nie daje wam czegoś w zamian za te podatki? Czy nie zbudował wspaniałych dróg, nowoczesnych wodociągów, czy nie

stworzył szybko pracującej, dobrze wykształconej administracji? — Zaklinał zebranych szerokim gestem: — Statek stoi jeszcze w porcie. Bądźcie rozsądni. Nie wyruszajcie w straszliwą burzę na własną zagładę.

Mowa króla wywarła wrażenie. Wielu wołało, że nie są przeciwnikami Rzymu, lecz tylko Gesjusza Flora. Wówczas to sprytnie uderzyli Zeloci. Młody, wytworny rabbi

Eleazar domagał się w wymownych słowach, żeby król pierwszy podpisał ultimatum wystosowane do Rzymu, z żądaniem natychmiastowego odwołania gubernatora. Agryppa próbował wykrętów, gry na zwłokę. Eleazar domagał się jasnej odpowiedzi, król nie chciał jej dać. Coraz więcej ludzi wołało: „Podpis! Ultimatum! Precz z Gesjuszem Florem!” Nastrój zmienił się. Rozległy się okrzyki, że król idzie ręką w rękę z gubernatorem — obaj chcą wycisnąć *p* z ludu wszystkie soki. Kilku młodzieńców napierało już gwałtownie na króla. Ledwie udało mu się schronić do pałacu pod osłoną swojej świty. Następnego dnia opuścił miasto bardzo rozgoryczony i udał się do swych bezpiecznych prowincji transjordańskich.

Po tej porażce feudałów i rządu radykałowie parli przy pomocy wszystkich środków do ostatecznej rozgrywki. Od czasu utworzenia monarchii, od stu lat, cesarz i senat rzymski posyłali co tydzień ofiarę Jehowie i jego Świątyni. Rabbi Eleazar, podskarbi Świątyni, polecił teraz pełniącym służbę kapłanom, żeby tej ofiary nie przyjmowali. Na próżno zaklinał go arcykapłan wraz z kolegium, by w tak niesłychany, sposób nie prowokował władzy sprawującej protektorat. Rabbi Eleazar odesłał z szyderstwem cesarską ofiarę.

Dla żydowskiego drobnomieszczactwa, dla chłopów i proletariuszy było to hasło do otwartej rebelii przeciw własnym panom feudalnym. Garnizon rzymski był słaby. Zeloci w niedługim czasie opanowali wszystkie ważne punkty strategiczne w mieście. Podpalili urząd skarbowy, wśród tryumfalnych wrzasków zniszczyli listy podatkowe i wykazy hipoteczne, zburzyli i zrabowali domy wielu znieawidzonych arystokratów, otoczyli wojska rzymskie w pałacu Makabeuszów. Rzymianie z wielką odwagą bronili tej ostatniej, mocno obwarowanej placówki. Ale sytuacja ich była beznadziejna. Kiedy Żydzi zagwarantowali im bezpieczny odwrót, jeżeli złożą broń, przyjęli tę propozycję z radością. Obie strony potwierdziły umowę przysięgą i uściskami dłoni. Zaledwie jednak oblężeni złożyli broń, Zeloci rzucili się na bezbronnych i rozpoczęli masakrę. Rzymianie nie stawiali oporu, nie błagali o życie, wołali tylko: „Przysięga! Umowa!” Wykrzykiwali to chórem coraz słabiej, wreszcie tylko jeden powtarzał w kółko: „Przysięga! Umowa!” Ale i on wkrótce zamilkł. Zdarzyło się to 7 września, 20 dnia miesiąca *elul* wedle kalendarza żydowskiego, w sabbat.

Kiedy minęło oszołomienie dokonany czynem, miasto ogarnął głęboki smutek. Jak by na potwierdzenie tego niemiłego uczucia, nadeszły wkrótce wieści, że w wielu miastach o ludności mieszanej Grecy napadali na Żydów. W samej Cezarei zamordowano w ów czarny sabbat dwadzieścia tysięcy Żydów, pozostałych wypędził gubernator do doków, oświadczając, że uważa ich za niewolników. W odpowiedzi Żydzi splądrowali dzielnice greckie we wszystkich miastach, w których stanowili większość. Żydzi i Grecy, zamieszkali na wybrzeżu, w Samarii, na granicy Galilei, nienawidzili się wzajemnie od wieków i żywili do siebie pogardę. Żydzi byli dumni ze swego Boga Jehowy, przekonani, że Mesjasz przyjdzie tylko do nich, chodzili pyszni i wyniosli w przeświadczeniu, że należą do narodu wybranego. Grecy śmieli się z ich oblędnych, zaśniedziałych przesądów, z komicznych, barbarzyńskich obyczajów żydowskich, sąsiad starał się jak najbardziej dokuczyć sąsiadowi. Od dawna dochodziło między nimi do krwawych starć. Teraz rabunki, mordy i pożogi srożyły się aż poza granice Judei; kraj był pełen nie pogrzebanych trupów.

Wobec takiego stanu rzeczy przełożony Gesjusza Flora, Cestiusz Gallus, gubernator generalny Syrii, postanowił zrobić nareszcie porządek w Judei. Był to stary sceptyk, który

uważał, że człowiek rzadziej i mniej gorzko żałuje tego, czego nic zrobił, niż tego, co uczynił. Skoro jednak sprawa wygląda aż tak niedobrze, nie wolno okazać słabości. Jerozolimę należy poskromić z całą energią.

Cestiusz Gallus zmobilizował dwunasty legion oraz dalsze pułki piechoty syryjskiej. Potem zażądał od państw lennych poważnego kontyngentu żołnierzy. Żydowski król tytularny Agryppa, chcąc okazać Rzymowi swą wierność sojuszniczą, wystawił dwa tysiące kawalerzystów, trzy pułki strzelców i osobiście stanął na ich czele. Cestiusz Gallus ustalił program ekspedycji karnej z uwzględnieniem każdego najdrobniejszego szczegółu. Nie zapomniał również o przygotowaniu meldunków o zwycięstwie, nadawanych za pomocą płonących słupów. Kiedy wkroczy do Jerozolimy jako sędzia i mściciel, Rzym winien dowiedzieć się o tym już tego samego dnia.

Runął na zbuntowany kraj od północy. Zgodnie z programem, zdobył „miasto mężów” Zebulon, obrabował je i puścił z dymem. Następnie zgodnie z programem, obrabował i spalił miasto nadbrzeżne Joppe. Zrabowane, spalone miasta, pomordowani ludzie znaczyli jego drogę, aż wreszcie, zgodnie z programem, stanął 27 września pod Jerozolimą.

Tutaj jednak coś się zacięło. Wyliczył sobie, że 9 października znajdzie się w posiadaniu fortu Antonia, 10 października zawładnie Świątynią. Tymczasem był już 14 października, a fort Antonia trzymał się jeszcze. Zeloci zawahali się przed uzbrojeniem olbrzymiej ilości pielgrzymów, którzy przybyli z okazji Święta Szafasów, miasto pękało z nadmiaru wojsk ochotniczych. Nadszedł dzień 27 października. Cestiusz Gallus stał już miesiąc pod Jerozolimą i ciągle jeszcze telegrafisci z przygotowanymi słupami czekali daremnie, trzęsąc się ze strachu, że coś źle funkcjonuje w ich aparacie i że zostaną ukarani. Cestiusz ściągnął nowe posiłki; kazał bez względu na wielkie ofiary poustawiać pod murami wszystkie maszyny oblężnicze, przygotowywał na 2 listopada decydujący szturm przy pomocy takich środków, że, wedle ludzkich przewidywań, powodzenie było niewątpliwe.

Żydzi trzymali się dzielnie. Cóż jednak znaczyła odwaga osobista wobec górującej organizacji Rzymian? Na co na przykład mógł się zdać wzruszający wypadek trzech starców, którzy pierwszego listopada, w przeddzień szturm, sami udali się pod mury, by podpalić rzymską artylerię? W biały dzień zjawili się nagle przed rzymskim wartownikiem trzej sędziwi Żydzi z oznaką Zelotów, opaską wojskową, na której wypisane były inicjały Makabeuszów i hebrajskie słowa: „Któż jak Ty wśród bogów, o Panie!”

Z początku myślano, że to parlamentariusze, że przynoszą posłanie od oblężonych; nie byli to jednak parlamentariusze; drżącymi starymi rękami miotali w kierunku machin płonące strzały. Był to istny oblęd! Cóż począć z oblężanymi? I zdumieni Rzymianie, żartując, litując się niemal, położyli ich trupem.

Tego samego dnia okazało się, że byli to owi trzej członkowie Synedrionu, Gadja, Jehuda i Natan, skazani swego czasu przez sądy cesarskie na ciężkie roboty, później ułaskawieni. Rzymianie powoływali się ciągle na tę amnestię jako na dowód dobrej woli, chcieli na tym przykładzie udowodnić, że zamieszki nie zostały spowodowane surowością rzymską; wszystkiemu winien jest żydowski nieustanny upór. Również „Niezlomnie Prawi” oraz „Prawdziwie Wierni Pismu” przytaczali w dyskusjach amnestię jako dowód rzymskiej wielkoduszności. Trzej męczennicy nie chcieli pokazywać się w rodzinnym mieście, służyć za żywy przykład szlachetności zacieklego wroga. Serca ich należały do Zelotów. Byli fanatycznymi pedagogami. Zdecydowali się zatem na ten zbożny, heroiczny czyn, mający świecić narodowi przykładem.

Przywódcy Makabeuszów wiedzieli, rzecz prosta, doskonale, że samym duchem bojowym niewiele można zdziałać przeciw rzymskim maszynom oblężniczym. Zdecydowani

utrzymać miasto bez najmniejszej nadziei, że im się to uda, przyglądali się przygotowaniom do ostatecznego szturm, który miał nastąpić nazajutrz.

Nie nastąpił. W nocy Cestiusz Gallus wydał rozkaz przerwania oblężenia i rozpoczęcia odwrotu. Zdawał się chory i przybity. Co się stało? Nikt nie wiedział. Nagabywano pułkownika Paulina, adiutanta Cestiusza Galla. Wzruszał ramionami. Generałowie kręcili głowami. Cestiusz nie zakomunikował im, dlaczego wydał takie rozkazy, dyscyplina zabraniała pytać. Armia ruszyła do odwrotu.

Żydzi patrzyli na ten odwrót armii oblężniczej z początku zaskoczeni, nie wierząc własnym oczom, potem z ulgą, wreszcie z niesłychanym entuzjazmem. Ociągając się, ciągle jeszcze pełni obawy, że to manewr taktyczny, rozpoczęli po jakimś czasie pościg za wrogiem. Był to dla Rzymian ciężki odwrót. Od strony Jerozolimy napierali gwałtownie powstańcy. Na obszarze północnym, którą wypadała Rzymianom droga, niejaki Szymon bar Giora, przywódca oddziałów partyzanckich w Galilei, zorganizował zacieklą wojnę podjazdową. Ten Szymon bar Giora obsadził po szybkim marszu okrążającym wąwóz Beth Choron. Nazwa tego wąwozu pobrzmiwała miło w uszach bojowników żydowskich. Tutaj Pan zatrzymał słońce na to, by generał Jozue odniósł zwycięstwo dla Izraela, tutaj Juda Makabeusz pobił triumfalnie Greków. Udał się również manewr Szymona bar Giory; Rzymianie doznali porażki, jakiej nie ponieśli w Azji od czasu wojen z Partami. Po stronie Żydów było niespełna tysiąc zabitych. Rzymianie stracili pięć tysięcy sześćset osiemdziesięciu żołnierzy piechoty i trzystu osiemdziesięciu kawalerzystów. Wśród zabitych był gubernator Gesjusz Florus. Cała artyleria, sprzęt wojenny, złoty orzeł — godło legionu, zasobna kasa wojenna, wszystko to wpadło w ręce Żydów.

Stało się to 3 listopada wedle kalendarza rzymskiego,
8 dnia miesiąca *dios* według kalendarza greckiego, 10 dnia
miesiąca *marcheszwan* według kalendarza żydowskiego, w dwunastym roku panowania cesarza Nerona.

Na stopniach wiodących do Świątyni stali uroczyście lewicy ze swymi instrumentami, a za nimi, w świętym przybytku, zgromadzili się kapłani wszystkich dwudziestu czterech stopni.

Po niespodziewanym zwycięstwie nad Cestiuszem Gallem arcykapłan Anan, mimo że stał na czele partii „Niezlomnie Prawych”, musiał odprawić nabożeństwo dziękczynne. Wydarzenia dni ostatnich ściągnęły na ulice miasta licznych przybyszów, których olśniewał i przytłaczał surowy przepych. Niby przyływ morza przelewają się fale ludzkie przez olbrzymie, białe, złożone eksedry Świątyni wołając: „To dzień Pana. Weselmy się i radujmy!” Raz po raz poprzez sto dwadzieścia trzy przepisowe odmiany tekstu powtarzały się słowa: „Chwalcie Pana!”

Józef stał na samym przodzie w swej białej szacie rytualnej z niebieskim pasem wytłaczanym w kwiaty. Rozentuzjasmowany, jak wszyscy, poruszał w takt górną częścią korpusu. Nikt nie odczuwał głębiej od niego, jak wspaniałe było to zwycięstwo, osiągnięte przez legion żydowski nad legionem rzymskim, owym arcydziełem techniki i precyzji, arcydziełem, które, choć składały się nań tysiące, działało zgodnie, jak gdyby kierowane mózgiem jednego człowieka. Beth Choron, Jozue, cud. Było to wspaniałe potwierdzenie jego poczucia, że w ciężkiej opresji, w jakiej malazła się Jerozolima, sam rozum nie wystarczy. Bardzo wielkich czynów nie dyktuje rozum, pochodzą one bezpośrednio z natchnienia bożego. Tysiące, zgromadzone u stóp schodów, patrzyły i słuchały wzruszone, z jaką żarliwością śpiewa dziękczynne hymny ten młody żarliwy kapłan.

Pomimo jednak całego entuzjazmu nie mógł nakazać myślom, by nie zajmowały się pytaniem, jakie skutki dla niego osobiście będzie miało nieprzewidziane zwycięstwo Makabeuszów.

Jerozolima nie zdążyła go uczcić za sukces odniesiony w sprawie trzech niewinnych. W tydzień zaledwie po jego powrocie wybuchły zamieszki. Ale dzięki sukcesowi, który odniósł w Rzymie, zdobył popularność; umiarkowany rząd nie mógł dłużej ignorować młodego arystokraty; choć widywano go często w Błękitnej Eksedrze Zelotów, dano mu urząd i tytuł sekretarza służby Świątyni. Zbyt mało! Teraz, po wielkim zwycięstwie, szanse jego potężnie wzrosły. Muszą nastąpić zmiany na urzędach. Nastrój ludności zmusza rząd, by dopuścił do władzy kilku ludzi z obozu Makkabi. Jutro lub pojutrze mają się zebrać wszystkie trzy ciała ustawodawcze. Jest rzeczą wykluczoną, by go pominięto przy rozdzielaniu nowych urzędów.

Śpiew „Chwalmy Pana” nie ustawał. Józef rozumiał teraz, dlaczego rząd wszystkimi środkami starał się dotychczas zapobiec wojnie z Rzymem. Jeszcze wczoraj, po wielkim zwycięstwie, niektórzy całkiem rozsądni ludzie uciekli w wielkim popłochu z miasta w ślad za gubernatorem generalnym Cestiuszem Gallem, żeby go zapewnić, że nie mają nic wspólnego z podstępny napadem partyzantów na armię cesarską. Uciekł z miasta stary bogacz Chanan, właściciel wielkich składów na Górze Oliwnej, rzucił swój dom i uciekł podsekretarz stanu Zebulon, kapłani Cefaniah i Herodes zbiegli na przeciwległy brzeg Jordanu, na terytorium króla Agryppy. Po zwycięstwie nad Cestiuszem uciekło również wielu essejczyków, zaś owi sekciarze, zwący się chrześcijanami, opuścili miasto gremialnie.

Józefa nie pociągała ani mdła pobożność jednych, ani naga mądrość drugich.

Nabożeństwo skończyło się. Józef przepychał się przez masy, które wypełniły dziedziniec Świątyni. Większość miała na ramieniu opaski, oznakę Zelotów. Ludzie tłoczyli się dookoła zdobytych machin wojennych, dotykali ciężkich i lekkich katapult i walących mury taranów, które mogły wyrzucać na wielką odległość swe potężne pociski. W łagodnych promieniach listopadowego słońca rozradowany tłum targował się dobrodusznie o łupy, o szaty, broń, namioty, konie, muły, dobytek domowy, klejnoty, wszelkiego rodzaju pamiątki, różgi i topory liktorskie. Z zaciekawieniem i złośliwą satysfakcją pokazywano sobie rzemienie do wiązania jeńców, które nosił przytroczone u pasa każdy żołnierz rzymski. Miennicy przy Świątyni mieli pełne ręce roboty przy wymianie obcych pieniędzy, które zabrano poległym.

Józef znalazł się wśród podnieconej, gwałtownie dyskutującej grupy żołnierzy, mieszczan i kapłanów. Chodziło o złotego orła z podobizną cesarza, godło bojowe dwunastego legionu, które zdobyto. Oficerowie oddziałów partyzanckich chcieli umieścić orła na zewnętrznych murach Świątyni, na widocznym miejscu, obok trofeów Judy Makabeusza i Herodesa. Ale „Prawdziwie Wierni Pismu” nie chcieli do tego dopuścić — podobizny zwierząt były wyraźnie zabronione przez zakon. Zaproponowano wyjście kompromisowe: orzeł zostanie umieszczony w skarbcu Świątyni do dyspozycji rabiego Eleazara, podskarbiego Świątyni, który sam należał do Zelotów. Nie, na to nie chcieli zgodzić się oficerowie. Ludzie niosący orła przystanęli, ociągali się, i oni woleliby, żeby zdobycz nie utonęła w skarbcu Świątyni. Położyli na ziemi grube drzewce, na którym osadzony był orzeł. Budzące postrach godło armii wyglądało z bliska ciężko i niezgrabnie, również widniejąca pod nim podobizna cesarza była brzydka, toporna i nie budziła najmniejszej grozy. Żołnierze kłócili się z sobą gwałtownie. Nagle w Józefie odezwało się natchnienie — jego młody, dźwięczny głos, którym domagał się posłuchu, przedarł się przez wrzawę i krzyki. Orzeł nie powinien być umieszczony ani na murach, ani w skarbcu Świątyni. Trzeba go zniszczyć, porąbać na kawałki. Niech zniknie z powierzchni ziemi. Ta propozycja przypadła wszystkim do serca. Zrealizowanie jej co prawda nie było proste. Orzeł był solidnej roboty; całą godzinę strawiono na to, by go porąbać i by każdy mógł zabrać z sobą kawałek złota. Józef, bohater sprawy trzech niewinnie skazanych z Cezarei, zdobył sobie nowe sympatie.

Józef odczuwa zmęczenie, ale nie jest w stanie pójść teraz do domu, kręci się w dalszym

ciągu w obrębie Świątyni. Któż to nadchodzi, przed kim ludzie rozstępują się posłusznie? Młody oficer średniego wzrostu, nad krótką, starannie utrzymaną brodą i okazałym prostym nosem błyszczą wąskie, ciemne oczy. To Szymon bar Giora, przywódca partyzantów w Galilei, zwycięzca. Prowadzą przed nim śnieżnobiałe zwierzę, z pewnością jako ofiarę dziękczynną. Ale Józef stwierdza z niemiłym zdziwieniem, że bar Giora ma na sobie zbroję. Czy chce w tym żelastwie podejść do ołtarza, którego żelazo nigdy nie dotknęło ani w czasie wznoszenia go, ani później? Nie wolno mu tego czynić.

— Nazywam się Józef syn Mateusza — powiada. Młody oficer wie, kto to taki, składa mu ukłon pełen szacunku i serdeczności.

— Idziesz złożyć ofiarę? — zapytuje Józef.

Szymon potwierdza z uśmiechem. Jest w tym uśmiechu godność i ufność. Józef pyta dalej:

— Z bronią?

Szymon czerwieni się.

— Masz rację — mówi.

Każę ludziom prowadzącym zwierzę zaczekać, dopóki nie zrzuci zbroi. Zwraca się do Józefa raz jeszcze, mówi ciepło i głośno, żeby go wszyscy słyszeli:

— Byłeś pierwszy, rabbi. Kiedy wyciągnąłeś z więzienia tych trzech niewinnych, poczułem, że niemożliwe stało się możliwe. Bóg jest z nami, rabbi Józefie.

Żegna go przyłożeniem ręki do czoła; oczy jego promienieją pobożnością, odwagą i szczęściem.

Józef szedł przez łagodnie wznoszące się w górę ulice nowych dzielnic miasta, minął bazar Kramarzy, rynek Kowali, ulicę Garncarzy. Stwierdził raz jeszcze z zadowoleniem, że w nowych dzielnicach wre życie, że kwitnie w nich handel i przemysł. Miał tutaj tereny, które by chętnie odkupił od niego fabrykant szkła Nachum ben Nachum. Już się na tę transakcję zdecydował. Teraz, po wielkim zwycięstwie, zmienił zdanie. Szklarz Nachum czeka na decyzję. Józef pójdzie teraz do niego i powie, że się rozmyślił. Sam zbuduje sobie dom w nowej dzielnicy.

Fabrykant szkła Nachum ben Nachum siedział przed swoim sklepem na poduszkach skrzyżowawszy nogi. Nad wejściem wisiało wielkie winne grono z kolorowego szkła, godło Izraela. Wstał, żeby powitać Józefa, poprosił go, żeby usiadł. Józef usiadł na poduszkach nie bez pewnego wysiłku. Odzwyczaił się od takiego sposobu siedzenia.

Nachum ben Nachum był okazałym, tęgim mężczyzną pod pięćdziesiątkę. Miał piękne, żywe oczy — słynęli z nich mieszkańcy Jerozolimy — czerstwą twarz okalała gęsta, prostokątna broda, lekko tylko przyprószona siwizną. Był ciekaw decyzji Józefa, ale nie zdradzał się z tą ciekawością, zaczął mówić o polityce. Może to dobrze, że raz wreszcie znajdują się u steru ludzie młodzi — skoro Zeloci zwyciężyli, wielcy mędracy sprawujący rządy w eksedrach Świątyni muszą się z nimi zjednoczyć. Mówił z ożywieniem, ale godnie i stanowczo.

Józef słuchał go z uwagą. Zaciekawiał go stosunek Nachuma ben Nachuma do całokształtu spraw po wielkim zwycięstwie pod Beth Choron. To, co mówił, było niewątpliwie wyrazem opinii mieszczan jerozolimskich. Jeszcze tydzień temu wszyscy byli przeciw Zelotom. Teraz zapomnieli o tym, teraz byli przekonani, że już dawno należało dopuścić do władzy Makabeuszów.

Z domu wyszedł rabbi Nittai, starszy mrukliwy pan, spowinowacony z Józefem przez jego matkę. Rabbi Nittai był również krewnym fabrykanta szkła, który go wciągnął do swoich interesów. Wprawdzie rabbi Nittai nie znał się na nich, ale fakt przyjęcia do firmy człowieka uczonego, dopuszczenia go do zysków, „do żłobu”, jak się nieco pogardliwie wyrażano, podnosił rolę i znaczenie firmy. Tak tedy rabbi Nittai, milczący, opryskliwy, mieszkał w domu Nachuma.

Uważał za wielką łaskę, że pozwala fabrykantowi prowadzić firmę pod nazwą „doktor Nittai i Nachum”. Przyjmowanie pieniędzy od Nachuma uważał również za łaskę. Jeżeli nie prowadził dyskusji w Akademii Jerozolimskiej, siedział w słońcu przed domem i kiwał się trzymając przed sobą zwój Pisma świętego; mrużąc śpiwnie pod nosem, rozważał zawarte w Piśmie argumenty i kontrargumenty. Nikomu nie wolno było mu przeszkadzać, kto bowiem przerywa studiowanie Pisma, żeby powiedzieć: „patrz, jak piękne jest to drzewo, patrz, jak piękny jest ten krzew” — ten nigdy nie będzie uczonym.

Tym razem nie był pochłonięty studiowaniem Pisma Nachum zapytał go więc, czy nie jest również za tym, żeby Zeloci znaleźli się w rządzie. Rabbi Nittai zmarszczył czoło i odparł szorstko:

— Nie czyńcie z nauki łopaty — żeby nią kopać. Pismo istnieje nie po to, by wysnuwać z niego wnioski polityczne.

W sklepie i w hucie szklanej Nachuma panował wielki ruch. Łupy zdobyte na Rzymianach przyniosły miastu dużo pieniędzy, ludzie chętnie kupowali jego szkła cieszące się wielką sławą. Nachum witał kupujących z godnością, częstował ich trunkami chłodzonymi w śniegu oraz łakociami. Wielkie, wspaniałe zwycięstwo, prawda? Interesy idą, dzięki Bogu, świetnie. Jeżeli się to utrzyma, będzie można wkrótce zbudować magazyny równie wielkie jak te, które mają pod Cedrami Góry Oliwnej bracia Chanan. „Kto żyje z pracy rąk własnych, stoi wyżej od tego, kto się boi Boga”, cytował trochę ni przypięt, ni przyłatał. Ale osiągał swój cel: rabbi Nittai złościł się.

Nittai mógłby odpowiedzieć innymi kontrcytatami, ale milczał, kiedy bowiem wpadał w podniecenie, wychodził na jaw jego akcent babiloński i Józef zwykł z niego za to pokpiwać.

— Wy, babilończycy, zburzyliście Świątynię — mówił, a rabbi Nittai nie znosił kpinek. Nie brał udziału w rozmowie, nie studiował również, tylko siedział w słońcu i marzył. Od czasu, kiedy przeniósł się do Jerozolimy z Nehardei, swojego ojczystego miasta w Babilonii, zaczęto często wylosowywać kapłanów, do których należał, do pełnienia służby w Świątyni. Niejednokrotnie los kazał mu składać na ołtarzu kawałki zwierzęcia przeznaczonego na ofiarę. Ale szczyt jego marzeń, by wysypać na ołtarz nieco kadzidła ze złotej misy, nigdy się nie spełnił. Zawsze, ilekroć odezwał się psalterion — instrument o stu dźwiękach, oznajmiający, że została złożona ofiara całopalna, zazdrościł głęboko kapłanowi, któremu przypadła w udziale ta łaska. Miał wszelkie warunki, nie był obciążony żadną ze stu czterdziestu ułomności cielesnych, które kapłana czynią niezdolnym do służby bożej. Ale nie był już młody. Czy Jehowa sprawi, by los pozwolił mu jeszcze na złożenie ofiary całopalnej?

Tymczasem Józef zakomunikował fabrykantowi swą decyzję zachowania terenów dla siebie. Nachum przyjął tę wiadomość bez cienia gniewu.

— Oby ta decyzja przyniosła szczęście nam obu, drogi mój rabbi — powiedział uprzejmie.

Zjawił się młody Efraim, najmłodszy, czternastoletni syn Nachuma. Miał na ramieniu opaskę z inicjałami Makabeuszów. Był to chłopiec piękny i żwawy, dziś pełen ognia i niezwykłego ożywienia. Widział na własne oczy bohatera Szymona bar Giorę. Czarne, podłużne oczy płonęły olśniewającym blaskiem w ciemnej, rozognionej twarzy. Może źle zrobił, że uciekł z warsztatu. Ale czyż mógł nie być tego uroczystego dnia w Świątyni? Został szczerze wynagrodzony: zobaczył Szymona bar Giorę. Józef zamierzał już odejść, kiedy nadszedł z kolei najstarszy syn Nachuma, Aleksas. Aleksas, rosły i tęgi jak ojciec, miał taką samą jak ojciec gęstą, czworokątną brodę; świeżą cerę. Ale oczy patrzyły smutnie, kiwał raz po raz głową; ręka, która gładziła brodę, była popękana i stwardniała od dotykania gorącej masy szklanej. Brak mu było spokoju ojca, miał stale zatroskany wyraz twarzy. Na widok Józefa ożywił się. Józef nie może

teraz odejść. Musi mu dopomóc w przekonaniu ojca, że należy, póki czas, opuścić Jerozolimę.

— Byłeś w Rzymie — zwrócił się do Józefa — znasz Rzym. Powiedz sam, czy to, co robią teraz Zeloci, nie prowadzi nieuchronnie do klęski? Posiadam rozległe stosunki, mam w związku z interesami przyjaciół w Nehardei, w Antiochii i w Batnie. Przysięgam na życie moich dzieci, że najdalej za trzy lata w każdym mieście za granicą będę mógł otworzyć sklep wcale nie gorszy od tego tutaj. Namawiaj mego ojca, aby opuścił ten niebezpieczny teren.

Efraim ofuknął brata, piękne jego oczy pociemniały.

— Nie zasługujesz na to, żeby żyć w tych czasach. Wszyscy patrzą na mnie spode łba, ponieważ jesteś moim bratem. Idź, idź do tych swoich pozeraczy wieprzowiny, Jehowa wypuść cię ze swoich ust.

Nachum bronił chłopca, ale niezbyt energicznie. Niechętnie słuchał Aleksasa. To prawda, że dzikie metody Zelotów przejmowały go czasami lękiem; odrzucał je wraz z „Niezlomnie Prawymi”. Teraz jednak, kiedy cała niemal Jerozolima przyznaje rację Makabeuszom, nie należy mówić tak jak Aleksas.

— Nie słuchaj mego syna Aleksasa, rabbi Józefie — powiedział. — Dobry z niego syn, ale zawsze ma swoje własne zdanie, odmienne od zdania innych. Chodzi mu wiecznie po głowie mnóstwo zwariowanych pomysłów.

Józef wiedział, że fabryka Nachuma zawdzięcza swój rozkwit właśnie tym zwariowanym pomysłom Aleksasa. Nachum ben Nachum prowadził swój warsztat tak samo, jak to czynili jego ojciec i dziadek. Zawsze to samo fabrykował, to samo sprzedawał. Poprzestawał na rynku jerozolimskim. Chodził na giełdę, zwaną Kippah, robił przy pomocy notariuszy skomplikowane umowy kupna-sprzedaży, troszczył się, by je składano w archiwum państwowym. Czynienie czegoś ponadto uważał za szkodliwe. Kiedy w Jerozolimie założono drugą hutę szklaną, nie byłby się ze swoimi prymitywnymi metodami ostał wobec obrotnej konkurencji. Wtedy wdał się w to Aleksas. W hucie Nachuma pracowano dotychczas niemal bez wyjątku samymi tylko rękami. Aleksas zmodernizował zakład; używano teraz wyłącznie długiej rurki do wydymania szkła i wydymano przez nią piękne, okrągłe przedmioty, podobnie jak to czyni Bóg, który ciało ludzkie napęlnia swoim tchnieniem. Aleksas dodał ponadto do wyrobu szkła wielkie ilości sproszkowanego kwarcu. Założył bardzo rentowną filię w górnym mieście, sprzedawano tam wyłącznie przedmioty luksusowe. Wysyłał wyroby firmy na wielkie rynki zbytu w Gazie i Cezarei, uczestniczył w targach dorocznych, które odbywały się w Batnie, w Mezopotamii. Wszystkie te innowacje wprowadzał niespełna trzydziestoletni Aleksas w ciągłej walce z ojcem.

I dziś Nachum piorunował na syna za jego przemądrzałe, tchórzem podszyte wypowiedzi. Po tej klęsce Rzymianie nie ruszą na Jerozolimę. A gdyby nawet mieli ruszyć, wyrzuci się ich za morze. W każdym razie on, wielki kupiec Nachum ben Nachum, nie opuści nigdy swej huty szklanej, nie porzuci Jerozolimy. Kształtowano szkło ręką, wydymano je przez rurki i Jehowa błogosławił dzieło. Od wieków przebywamy w Jerozolimie trudniąc się wyrobem szkła, pozostaniemy tu nadal i nadal będziemy się trudnili wyrobem szkła.

Siedzieli na poduszkach, na pozór spokojni, ale obaj byli podnieceni, gniewnie gładzili czworokątne czarne brody. Efraim spoglądał dzikim wzrokiem na brata; tylko respekt przed ojcem powstrzymywał go, żeby się nie rzucił na Aleksasa. Józef patrzył to na jednego, to na drugiego. Aleksas siedział spokojny i opanowany, uśmiechał się nawet, ale Józef widział dobrze, jak mu jest gorzko i smutno na duszy. Aleksas miał niewątpliwie rację, ostrożność jego zdawała się jednak wobec oporu ojca i wiary chłopca zimna i małoduszna.

Aleksas wysunął nowy rozsądny argument.

— Jeżeli Rzymianie zatrzymają nasze transporty piasku z rzeki Belus, możemy pozamykać huty szklane. Oczywiście ty, rabbi Józefie, musisz, jako polityk, pozostać w

Jerozolimie. Ale tacy zwyczajni kupcy jak my...

— Wielcy kupcy — poprawił go łagodnie Nachum gładząc brodę.

— ... najlepiej chyba zrobią, jeżeli czym prędzej opuszczą Jerozolimę.

Nachum nie chciał dłużej tego słuchać i bez ceremonii zmienił temat rozmowy.

— Rodzina nasza — oświadczył Józefowi — odznacza się uporem we wszystkim.

Kiedy dziadek mój, niechaj imię sprawiedliwego będzie błogosławione, umarł, miał jeszcze dwadzieścia osiem zębów, a kiedy umarł mój ojciec, niechaj imię sprawiedliwego będzie błogosławione, miał jeszcze trzydzieści zębów. Przekroczyłem pięćdziesiątkę i mam jeszcze trzydzieści dwa zęby oraz prawie czarne włosy, które wcale nie wypadają.

Kiedy Józef chciał się pożegnać, Nachum poprosił go, żeby poszedł z nim do warsztatu i wybrał sobie podarunek: święto zwycięstwa pod Beth Choron trwa jeszcze, a przecież nie ma święta bez podarku.

Piec był nieznośnie rozżarzony, w warsztacie pełno dymu. Nachum chciał gwałtem narzucić Józefowi przepyszny, ogromny puchar w formie jaja, rzeźbiony tak misternie, że zdawał się otoczony z zewnątrz szklaną siatką. Nachum zaśpiewał strofę piosenki: „Jeśli dziś mam mój wspaniały puchar, nic to, że jutro się rozprysnie.” Ale Józef zgodnie z wymaganiami przyzwoitości odrzucił kosztowny dar i zadowolił się upominkiem o wiele skromniejszym.

Efraim nie mógł sobie odmówić, żeby w upale i dymie nie wszcząć z bratem Aleksasem nowej, gwałtownej dyskusji politycznej.

— Czyś był na uroczystym nabożeństwie Hallel? — zaatakował go ostro. —

Oczywiście nie byłeś! Jehowa poraził cię ślepotą. Ale teraz nie dam sobie nic wmówić. Wstępuję do gwardii obywatelskiej!

Aleksas wykrzywił usta. Odpowiedział zapalczywemu chłopcu tylko milczeniem i zakłopotanym uśmiechem. Tak chętnie opuściłby Jerozolimę wraz z żoną i dwojgiem małych dzieci, ale całym sercem Ignął do swojej rodziny, do swego pięknego, niemądrego ojca Nachuma oraz do nie mniej pięknego, niemądrego brata Efraima — on jeden miał tu rozum. Będzie musiał pozostać, żeby ich ustrzec przed najgorszym.

Józef mógł nareszcie wyjść. Zostawiwszy za sobą drzwi, nad którymi wisiało winne grono, z rozkoszą wciągnął w płuca świeże powietrze po żarze i dymie warsztatu. Aleksas odprowadził go kawałek.

— Widzisz — powiedział — jak szerokie kręgi zatacza głupota. Jeszcze przed tygodniem ojciec mój był zaciekłym przeciwnikiem Makabeuszy. Bądźże chociaż ty rozsądny, rabbi Józefie. Cieszysz się ogólną sympatią. Postaw na kartę trochę tej sympatii i pozostań rozsądny. Jesteś całą naszą nadzieją. Chciałbym z całego serca, żeby jutro w kancelarii Ciosowej powołano cię do zarządu Świątyni.

Józef pomyślał w duchu: „Chciałby mnie uczynić równie niesympatycznym jak on sam.” Żegnając się z nim Aleksas powiedział ponuro:

— Wolałbym, żeby to zwycięstwo zostało nam oszczędzone.

Józef udał się do eksedry Świątyni na pół godziny przed wyznaczonym początkiem zebrania. Członkowie ciała ustawodawczego byli tam już zebrani niemal w komplecie. Członkowie Kolegium Arcykapłańskiego mieli na sobie szaty niebieskie, członkowie Synedrionu biało-niebieskie, członkowie Wielkiego Synedrionu czerwono-niebieskie. Dziwne nieco wrażenie robił wśród nich odziany w zbroję Szymon bar Giora, którego otaczało kilku jego oficerów.

Zaledwie Józef wszedł, podbiegł doń jego przyjaciel Amram. Niegdyś zwolennik „Niezlomnie Prawych”, przyłączył się ostatnio do Zelotów. Odkąd Józef osiągnął zwolnienie trzech męczenników, darzył go namiętą sympatią.

Józef z pewnością bardzo ucieszy się z tego, co mu teraz Amram zakomunikuje.

Partyzanci galilejscy pochwycili rzymskiego kuriera i odebrali mu ważny, jak się zdaje, list. Szymon bar Giora pokazał go rabbi Amramowi, którego wysoko cenił. W piśmie tym pułkownik Paulin, adiutant Cestiusza, donosił pilnie i poufnie jednemu z przyjaciół o kłęsce dwudziestego legionu. Nie było rozsądnego powodu, pisał, by wydać ów nieszczęsny rozkaz odwrotu. Szef jego stracił po prostu nerwy. Winą tego nerwowego załamania było dziwne i gorzkie zrządzenie losu, drobiazg: samobójstwo owych trzech zwariowanych skazańców z Tibur. Starzec wierzył przez całe życie jedynie w rozum. Głupia i bohaterska śmierć tych trzech załamała go. Wystawienie regularnej armii przeciw takim fanatykom i obłąkańcom było nonsensem. Walka jest daremna. Zrezygnował z niej.

Józef przeczytał raport. Mimo chłodnego dnia listopadowego poty wystąpiły na niego pod mycką kapłańską. List był dla niego wielkim, wspaniałym potwierdzeniem. W owych czasach powątpiewał niekiedy, czy aby czyn, którego dokonał w Rzymie, był słuszny. Kiedy Rzymianie, nawet „Niezlomnie Prawi”, przytaczali wciąż ulaskawienie tych trzech jako dowód łagodności administracji cesarskiej, wydawało się, że Justus miał rację ze swoją oschłą matema-tyką. Teraz jednak stało się jasne, że czyn Józefa był zbawienny. Tak, rabbi Justusie z Tyberiady, postawa moja była może niemądra, ale czyż skutki nie usprawiedliwiły jej wspaniale?

Arcykapłan Anan otworzył sesję. Niełatwe miał dziś zadanie. Stał na czele „Niezlomnie Prawych”, przewodził skrajnemu skrzydłu arystokratów, którzy pod osłoną rzymskiej broni twardo i wyniosłe opierali się jakimkolwiek ulgom dla drobnomieszczaństwa, chłopów i proletariuszy. Ojciec jego i trzej bracia jeden po drugim zajmowali stanowisko arcykapłana, najwyższą godność w Świątyni i państwie. Obdarzony jasnym umysłem, chłodny, lojalny, był właściwym człowiekiem do pertraktowania z Rzymem; teraz ta pojednawcza polityka załamała się haniebnie, kraj stał w przededniu wojny, a może już w jej ogniu. Co teraz powie i uczyni arcykapłan Anan? Stał spokojnie jak zwykle w swej szacie koloru hiacyncu, nie nadwierał swego głębokiego głosu; kiedy zaczął mówić, od razu zrobiło się cicho. Był istotnie człowiekiem odważnym. Jak gdyby nigdy nic się nie stało, powiedział:

— Jestem niemile zdziwiony, widząc w tym przybytku Szymona bar Giorę. Wydaje mi się, że żołnierz winien rozstrzygać jedynie w polu. Jakie mają być dalsze losy tej Świątyni i tego kraju, to na razie jeszcze sprawa Kolegium Kapłanów, Synedrionu i Wysokiego Synedrionu. Proszę więc Szymona bar Giorę i jego oficerów, żeby się oddalili.

Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki przeciw arcykapłanowi. Przywódca partyzantów rozglądał się dokoła, jak gdyby nie rozumiał, o co chodzi. Ale Anan ciągnął dalej swym niezbyt donośnym, lecz głębokim głosem:

— Skoro Szymon bar Giora jest już tutaj, to chciałbym go zapytać, jakiej to władzy złożył zrabowane Rzymianom pieniądze?

Rzeczowość pytania podziałała druzgocąco. Oficer, czerwony jak rak, odpowiedział lakonicznie:

— Pieniądze znajdują się w ręku podskarbiego Świątyni.

Wszyscy zwrócili głowy w kierunku młodego, wytwornego rabbiego Eleazara, który obojętnie spoglądał przed siebie. Po chwili Szymon bar Giora, złożywszy krótki ukłon, oddalił się.

Ledwie wyszedł, rabbi Eleazar dał upust swemu podnieceniu. Lud nigdy nie zrozumie, jak arcykapłan mógł w tak lekceważący sposób wykluczyć z obrad bohatera spod Beth Choron. Zeloci nie chcą dłużej znosić płytkiego racjonalizmu tych mędrców. Małoduszni, wyrachowani, twierdzili ustawicznie, że stawianie czoła Rzymianom jest niemożliwością. A gdzież jest teraz dwunasty legion? Bóg opowiedział się wyraźnie za tymi, którzy dłużej czekać nie chcieli — uczynił cud.

— Rzym ma dwadzieścia pięć legionów — zawołał jeden z młodych arystokratów — czy sądzisz, rabbi, że uczyni jeszcze dalszych dwadzieścia pięć cudów?

— Nie mów takich rzeczy poza obrębem tych murów — grzmiał groźnie Eleazar — ludzi już nie bawią takie żalosne dowcipy. Sytuacja wymaga, by stanowiska w zarządzie Świątyni zostały na nowo obsadzone. Wszyscy ci, którzy nie należą do Zelotów, zostaną zmieceni z powierzchni ziemi, jeżeli w tworzącym się rządzie obrony narodowej nie zaproponują Szymonowi bar Giorze odpowiedzialnego stanowiska.

— Nie mam zamiaru ofiarować Szymonowi bar Giorze stanowiska w rządzie — oświadczył arcykapłan Anan. — Czy któryś z czcigodnych rabbi myśli o tym?

Szare jego oczy zaczęły powoli krążyć po sali, wąska podłużna twarz pod złoto-niebieskim diademem kapłańskim miała wyraz obojętny. Nikt się nie odezwał.

— Jak wyobrażasz sobie zużytkowanie pieniędzy przekazanych przez Szymona bar Giorę? — zapytał Anan podskarbiego Świątyni.

— Pieniądze te są przeznaczone wyłącznie na cele obrony narodowej — odparł rabbi Eleazar.

— Nie na inne cele rządowe? — zapytał Anan.

— Nie znane mi są inne cele rządowe — odpowiedział rabbi Eleazar.

— Przez śmiałe pociągnięcie twojego przyjaciela — rzekł arcykapłan — wytworzyły się warunki skłaniające nas do ustąpienia zarządowi Świątyni pewnych naszych prerogatyw. Ale rozumiesz chyba, że skoro zakres naszych zadań wydaje ci się tak ciasny, nie możemy dzielić z tobą naszych kompetencji.

— Lud domaga się rządu obrony narodowej — upierał się młody Eleazar.

— Rząd taki powstanie — odparł arcykapłan — obawiam się jednak, że będzie musiał zrezygnować z udziału w nim rabiego Eleazara ben Szymona. W okresach kryzysu istniały w Izraelu rządy — ciągnął dalej — w których nie zasiadał ani żaden finansista, ani żaden żołnierz, składały się wyłącznie z kapłanów i mężów stanu. Rządy te nie należały w Izraelu do najgorszych. — Zwrócił się do zebranych: — Przepisy dają rabbiemu Eleazarowi ben Szymonowi samodzielne prawo decydowania o zasobach pieniężnych zarządu Świątyni. Kasy rządowe są puste, zasoby pieniężne rabiego Eleazara zwiększyły się dzięki łupom zdobytym pod Beth Choron co najmniej o dziesięć milionów sestercji. Przechacni rabbi, czy życzyście sobie, żebyśmy kooptowali do zarządu rabiego Eleazara?

Wielu podniosło się wzywając do umiarkowania.

— Nie cofnę jako też nie dodam ani słowa — rzekł arcykapłan głębokim głosem. — Pieniądze w tych ciężkich czasach to rzecz ważna, ale kooptowanie do rządu pewnego temperamentu rabiego Szymona uważam za niepotrzebne obciążenie. Argumenty za i przeciw są jasne. Przystępujemy do głosowania.

— Głosowanie jest niepotrzebne — powiedział rabbi Eleazar, którego twarz poszarzała z podniecenia. — Odmówiłbym udziału w tym rządzie. — Wstał i nie żegnając się z nikim opuścił milczące zgromadzenie.

— Nie mamy ani pieniędzy, ani żołnierzy — rzekł zamyślony rabbi Jannai, zarządzający finansami Synedrionu.

— Mamy za sobą — odrzekł arcykapłan — Boga, prawo i rozsądek.

Ustalono program działalności rządu na okres najbliższych tygodni. Gremium złożone z kolegium kapłanów, Synedrionu i Wielkiego Synedrionu doszło po dokładnym zbadaniu sytuacji do przekonania, że Judea nie jest w stanie wojny z Rzymem. Akcje powstańcze były dziełem jednostek, władze nie ponoszą za nie odpowiedzialności. Jednak wobec takiego stanu rzeczy centralny rząd żydowski w Jerozolimie musi ogłosić mobilizację. Respektuje jednakże pas

nadbrzeżny, Samarię, pozostającą pod bezpośrednią administracją Rzymu, i surowo zabrania wszelkich działań, które mogłyby być interpretowane jako napaść. Program rządu pozostaje w dalszym ciągu ten sam: zbrojny pokój.

Trudno było przeciwstawić się chłodnej, spokojnej postawie starca. Okazało się od razu, że mimo zwycięstwa pod Beth Choron „Niezlomnie Prawi” i „Prawdziwie Wierni Pismu” pozostaną przy władzy. Józef poszedł na zebranie z nadzieją w sercu. Wiedział, że nastąpi podział ziemi: z pewnością przypadnie mu jakaś część, tym razem potrafi już manewrować między sytymi, a jednak wiecznie nienasyconymi możliwymi tego świata i uszczknąć coś dla siebie. Uprawiała go do tego choćby nieposkromiona pasja. Teraz jednak, podczas debaty nad programem narodowym, odbiegała go nadzieja, jak wino wycieka z dziurawej beczki. Czuł pustkę w mózgu. Kiedy się tu pojawił, był pewien, że potrafi powiedzieć coś ważnego, co tych ludzi poruszy i skłoni do powierzenia mu przodującego stanowiska. Teraz był przeświadczony, że przeminie i ten dzień, i ta wielka sposobność, że będzie musiał nadal pozostać tym, kim był dotychczas — gorliwym karierowiczem.

Dla przeprowadzenia zbrojnego pokoju w siedmiu obwodach kraju mianowano komisarzy ludowych z dyktatorskimi pełnomocnictwami, po dwóch na każdy okręg. Józef siedział ospale na swym miejscu w jednym z dalszych rzędów. Co go to obchodzi? Nikomu przecież nie przyjdzie do głowy wysunąć jego kandydatury.

Miasto Jerozolima wraz z peryferiami jest obsadzone, Idumea, Tamna, Gofna również zostały obsadzone. Teraz chodzi o obsadzenie okręgu położonego na północnej granicy, o bogaty okręg rolniczy Galileę. Tam mieli Zeloci najwięcej zwolenników. Tam była kolebka ruchu wolnościowego, tam oddziały partyzanckie były najsilniejsze. Padła propozycja wysłania do tej prowincji starego rabbi Jannaia, człowieka zrównoważonego, rzeczowego, najlepszego finansisty Synedrionu. Józef otrząsnął się z drętwy. Wspaniały kraj ze swymi bogactwami, ze swoimi powolnymi, zamyślonymi ludźmi. Dziwna, trudna, skomplikowana prowincja. I chcą ją oddać temu starcowi? Jest niewątpliwie znakomitym teoretykiem, zasłużonym ekonomistą, ale nie jest właściwym człowiekiem dla Galilei. Józef chciał krzyknąć: nie! podniósł się nieco z miejsca, ale nie powiedział nic, czując, że to daremne. Westchnął tylko, jak zwykli czynić ludzie, którzy mieliby dużo do powiedzenia, ale ugryźli się w język.

Jego brak opanowania wywołał uśmiechy siedzących przy nim. Był jeszcze ktoś, kto spostrzegł oburzenie i gniew młodzieńca, a potem rezygnację, ten się jednak nie uśmiechnął. Siedział o kilka rzędów przed Józefem. Zupełnie przypadkowo zauważył ów gwałtowny gest, zazwyczaj bowiem żółtawe jego, pomarszczone powieki zasłaniały oczy. Był to najwyższy w kraju sędzia, uczony w Piśmie, rabbi Jochanan ben Zakkai, rektor Akademii Jerozolimskiej; niskiego wzrostu, bardzo stary, robił wrażenie mumii. Podczas przerwy, która nastąpiła po jednogłośnie wyborze Jannaia na stanowisko komisarza, podniósł się. Na małej twarzy, pooranej tysiącami zmarszczek, oczy lśniły żywym i jasnym blaskiem. Powiedział:

— Na drugiego komisarza Galilei proponuję rabiego Józefa syna Mateusza.

Józef, na którego skierowały się teraz wszystkie spojrzenia, siedział nieruchomo. Dziesięciokrotnie zakosztował tego dnia pełnego, nadziei wyczekiwania i rezygnacji; w wyobraźni zaznał spełnienia pragnień i rozczarowania; teraz wymienienie jego nazwiska już go nie poruszyło. Siedział z pustką w głowie, jak gdyby była mowa o kimś trzecim.

Propozycja zaskoczyła zebranych. Dlaczego łagodny i powściągliwy rabbi Jochanan ben Zakkai, poważny ustawodawca, wysunął kandydaturę tego młodzieńca? Nie odznaczył się na żadnym odpowiedzialnym urzędzie od czasu sukcesu, zresztą bez wielkiego znaczenia, w sprawie trzech niewinnie skazanych, cieszy się względami mas i kokietuje głośno swymi sympatiami dla Błękitnej Eksedry. Czyżby rabbi uważał za wskazane dać staremu Jannaiovi

młodego doradcę, którego imię uważają również Zeloci? Chyba tak być musi. Propozycja była słuszna. Ogień Zelotów szybko wygasa, kiedy się ich tylko wyposaży w urzędy i godności. Należy przypuszczać, że rabbi Józef stanie się w Galilei łagodniejszy niż to bywało w Rzymie i Jerozolimie; wodnistej mądrości starego teoretyka w dziedzinie finansów, Jannaia, może wyjść na dobre lekka domieszka młodego wina, jakim był ten zapalczywy Józef.

Józef obudził się tymczasem z odrętwienia. Czy przed chwilą ktoś wymienił jego nazwisko? Kto? Jochanan ben Zakkai, czcigodny rabbi. Jako dziecko, czuł czasami nie bez drżenia błogosławiącą rękę tego łagodnego starca na swej głowie. W Rzymie dowiedział się, że starzec nawet tam uchodzi za najmądrzejszego człowieka w świecie. Jochanan osiągnął to bez żadnych wysiłków ze swej strony, po prostu przez oddziaływanie swojej istoty. Taki cichy sposób bycia, pozbawiony wielkich ambicji, był Józefowi obcy, niepokoił go, drażnił i przygnębiał, Józef najchętniej schodził wielkiemu mędrcom z drogi. A teraz ów uczonego rabbi wysunął jego kandydaturę.

Przyjęcie propozycji przez zebranie silnie go poruszyło. Mężowie, którzy mu powierzyli mandat, byli mądrzy i dobrzy. On również będzie mądry i dobry. Pójdzie do Galilei nie jako jeden z Zelotów, bez wygórowanych ambicji. Będzie spokojny i pokorny, w przekonaniu, że nawiedzi go dobry duch.

Wraz ze starym Jannaikiem pożegnał się z arcykapłanem. Anan stał przed nim chłodny i trzeźwy jak zazwyczaj. Wytyczne jego są jednoznaczne. Galilea jest najbardziej zagrożona. Chodzi o to, żeby bezwarunkowo zachować spokój w tym mieście.

— W wypadkach wątpliwych raczej nie róbcie nic, aniżeli mielibyście przedsięwziąć jakieś ryzykowne posunięcia, czekajcie na instrukcję z Jerozolimy, miejcie zawsze wzrok skierowany na Jerozolimę. Galilea posiada silną straż obywatelską, zadaniem waszym, czcigodni rabbi, jest trzymanie tych sił do dyspozycji Jerozolimy.

Zwrócił się do Józefa i spoglądając na niego bez zyczliwości powiedział:

— Powierzono ci odpowiedzialny urząd. Mam nadzieję, że nie okaże się to pomyłką.

Józef słuchał instrukcji arcykapłana uprzejmie, niemal z pokorą. Ale docierały jedynie do jego ucha. Dopóki jest w Jerozolimie, musi niewątpliwie słuchać arcykapłana. Z chwilą jednak przekroczenia granic Galilei będzie odpowiadał tylko przed jednym jedynym człowiekiem — przed samym sobą.

Wieczorem Anan powiedział do Jochanana ben Zakkai:

— Miejmy nadzieję, że nie pośpieszyliśmy się zbyt, posyłając tego Józefa syna Mateusza do Galilei. Dla niego nie istnieje nic poza ambicją.

— Być może — odparł Jochanan ben Zakkai — są ludzie bardziej pewni niż on. Może w ciągu długich lat wyda się nam czasem, że działa tylko we własnym interesie. Ja jednak, dopóki żyć będę, nie przestanę wierzyć, że w rezultacie to, co czynił, czynił jedynie dla naszego dobra.

Nowy komisarz, Józef syn Mateusza, przemierzał wszerz i wzdłuż swoją prowincję. Pora deszczów była w tym roku pomyślna, dzięki łasce Jehowy cysterny napełniły się; w górach Galilei leżał śnieg, strumienie górskie spadały z radosnym hukiem. W dolinach chłopcy przykłękali na ziemi, obwąchiwali ją, żeby się dowiedzieć, jaka będzie pogoda. Tak, był to kraj bogaty, żyzny, różnorodny ze swoimi dolinami, górami ze swym jeziorem Genezaret, z rzeką Jordan, brzegiem morskim, ze swymi dwustu miastami. Prawdziwie rajski ogród rozpościerał się w czarująco jasnym powietrzu. Józef wciągał je w piersi z rozkoszą. Tak, dopiął celu, zaszedł bardzo wysoko; to wspaniałe być panem tej prowincji. Kto przybywa do tego kraju z takimi pełnomocnictwami jak on, ten, o ile mu nie brak talentów, szeroko i na zawsze rozstawi swoje imię.

Ale już po upływie kilku dni zaczęło go trawić głębokie niezadowolenie, rosnące z dnia na dzień. Studiował akta, grzebał się w archiwach, wzywał przed swe oblicze kierowników obwodów, pertraktował z burmistrzami, kapłanami, przewodniczącymi synagog i szkół. Próbował organizować, dawał instrukcje, potakiwano mu uprzejmie, wykonywano jego zlecenia, czuł jednak wyraźnie, że było to robione bez wiary, a instrukcje jego nie odnosiły skutku. Te same sprawy wyglądały inaczej w Jerozolimie, inaczej w Galilei. Kiedy do Jerozolimy nadchodziły ustawiczne skargi, jak bardzo kraj cierpi wskutek przytłaczających podatków, wzruszano ramionami, przytaczano cyfry, wyśmiewano się z zażaleń Galilei, traktując to jako stałe biadolenie, i w dalszym ciągu ściągano podatki pod ochroną rzymskich żołdaków. Józef, zagryzając wargi, porównuje rzeczywistość galilejską z cyframi jerozolimskimi. Widzi teraz chmurnymi oczyma, że skargi galilejskich chłopów, rybaków, rzemieślników, robotników portowych i fabrycznych nie są czymś biadoleniem. Żyją w błogosławionym kraju, ale winne latorośle tego kraju rosną nie dla nich. Tłuszcz tego kraju idzie do Cezarei, do Rzymian, oliwa do wielkich dostojników w Jerozolimie. A podatki od płodów ziemi! Jedna trzecia zboża, połowa wina i oliwy, jedna czwarta owoców. A potem dziesięcina i coroczne pogłównne na Świątynię, podatki ściągane na pielgrzymki. Wreszcie opłaty za sól, opłaty drogowe i mostowe. Podatki, potop podatków!

Sprawy finansowe należą do kolegi Jannaia. Ale Józef nie może brać za złe Galilejczykom, że spoglądają ponuro na uczonych rabbi ze Świątyni Jerozolimskiej, którzy przy pomocy chytrej, zawikłanej interpretacji Pisma zabierają im to, co najlepsze. W Rzymie i Jerozolimie Józef nauczył się uspokajania niezadowolonych drogą drobnych koncesji, poważnych i łagodnych przemówień, uroczystych manifestacji i tanich zaszczytów. Ale tutaj nie zajdzie się w ten sposób daleko.

W Jerozolimie mają dla ludzi z Galilei pogardliwe wydęcie warg; to wieśniacy, prowincjusze, bez wykształcenia i wytwornych manier. Już w pierwszym tygodniu odkłada Józef do lamusa tę tanią wyniosłość. To prawda, że ludzie tutejsi, opieszali w wypełnianiu nakazów, niewiele sobie robią z uczonej interpretacji Pisma. Ale są równocześnie dziwnie surowi i fanatyczni. Za żadną cenę nie chcą zadowalać się obecnym stanem rzeczy. Twierdzą, że państwo i życie muszą być gruntownie zmienione; wtedy słowa Pisma mogą się wypełnić. Wszyscy w tym kraju umieją na pamięć księgę proroka Izajasza. Poganiacze bydła rozmawiają o wiecznym pokoju, robotnicy o królestwie bożym na ziemi; niedawno pewien tkacz przyłapał go na niezupełnie dosłownym zacytowaniu Ezechiela. Są to ludzie powolni, ociężali, na pozór spokojni i pokorni. Ale w duchu nie mają ze spokojem nic wspólnego, są gwałtowni, wszystkiego się spodziewają i na wszystko są gotowi. Józef czuje wyraźnie: to ludzie dla niego. Ich głucha, dzika wiara jest trwalszym fundamentem dla człowieka i wielkiego przedsięwzięcia niż naga uczoność i układny sceptycyzm Jerozolimy.

Stara się żarliwie znaleźć zrozumienie u ludzi Galilei. Nie chce być tutaj dla Jerozolimy, lecz dla nich. Kolega komisarz, sędziwy rabbi Jannai, nie wchodzi mu w drogę. Interesują go tylko sprawy związane z administracją finansów. Osiadł w Sepphoris, spokojnej stolicy kraju, z całą masą aktów, zajmuje się uporządkowaniem finansów dobrodusznie, ale uporczywie i wytrwale. Resztę pozostawia młodszemu koledze. Choć Józef może robić, co mu się podoba, nie rusza z miejsca. Zrzucił z siebie całą uczoną pychę, całą dumę arystokratów i kapłanów, rozmawia z rybakami, z robotnikami w stoczni, z chłopami i rękodzielnikami jak z równymi sobie. Ludzie są uprzejmi, czują się zaszczyceni, ale w ich słowach i zachowaniu wyczuć można powściągliwość.

Galilea ma innych przywódców. Józef nie chce tego przyjąć do wiadomości, nie chce z tymi mężami mieć do czynienia, ale zna ich dobrze z nazwiska. Są to przywódcy oddziałów

zbrojnych, nie uznawanych przez Jerozolimę; przywódca chłopów Jan z Giskali oraz niejaki Zapita z Tyberiady. Józef widzi, jak rozpalają się oczy jego rozmówców, kiedy tylko padnie któreś z tych nazwisk. Chętnie spotkałby się z tymi ludźmi, posłuchał, co mówią, dowiedział się, jak rozpoczęli swoją działalność. Ale brak mu doświadczenia, czuje się do tego niezdolny, jałowy. Ma swój urząd i swój zaszczytny tytuł, a może i władzę, ale siłę mają tamci.

Zapracowuje się. Coraz gwałtowniej rośnie w nim chęć zdobycia tej Galilei. Jednakże kraj zamknął się przed nim. Siedzi tu już pięć tygodni, ale nie posunął się ani o krok dalej niż pierwszego dnia.

Pewnego wieczora Józef włóczy się po ulicach niewielkiego miasta Kapharnaum, które jest ośrodkiem Zelotów. Nad ubogim, zaniedbanym domem łopocze chorągiew; właściciel knajpy daje znać w ten sposób, że nadeszło nowe wino. Józef stykał się już często z Galilejczykami na posiedzeniach i w różnych komisjach, w synagogach i szkołach; teraz chciałby zobaczyć ich przy winie, więc wchodzi do knajpy.

Pomieszczenie jest niskie, nędzne, ogrzane prymitywnie przy pomocy wiadra z palącym się nawozem. Wśród oparów smrodliwego dymu rysują się sylwety zebranych mężczyzn — jest ich z górą dwunastu. Na widok dobrze ubranego gościa zebrani w knajpie lustrują go z rezerwą, ale bez niechęci. Zjawia się gospodarz, pyta, czym może służyć, oświadcza, że gość dobrze dziś trafił. Przejeżdżał jakiś kupiec z karawaną, zamówił moc jadła, zostało jeszcze trochę drobiu duszonego w mleku. Przepisy zabraniają surowo spożywania mięsa z mlekiem, ale ludność wiejska Galilei uważa, że drób to nie mięso, i nie odstępuje od zwyczaju gotowania go i duszenia w mleku. Kiedy Józef oświadcza, że przysmaku tego jeść nie będzie, pada kilka dobrodusznych dowcipów. Pytają go, kim jest, u kogo nocuje, poznają po mowie, że pochodzi z Jerozolimy. Józef odpowiada uprzejmie, ale nieco mgliście; nie wie, czy go poznano.

Gospodarz siada obok niego, zaczyna gadać. Na imię mu Teofil, ale nazywa się teraz Giora, to znaczy „obcy”, należy bowiem do sympatyków i zamierza przejść na wiarę żydowską. W Galilei istnieją liczne więzy pokrewieństwa między ludnością żydowską i nieżydowską, niewidzialny Jehowa ma tu wielu zwolenników. Teofilowi Giorze uczeni rabbi, w myśl przepisów, odradzali również przejścia na żydowską wiarę; dopóki nie jest Żydem, nie traci zbawienia duszy, nawet nie stosując sześciuset trzynastu nakazów. Kiedy jednak przyjmie na siebie te obowiązki, wówczas w razie przekroczenia nakazów duszy jego grozić będzie niebezpieczeństwo; prawo jest surowe i uciążliwe. Teofil Giora nie był jeszcze obrzezany, słowa doktorów wywarły na nim wrażenie, ale pociągała go właśnie ich surowość.

Teraz w knajpie, podnieceni obecnością przybysza z Jerozolimy, zaczęli powoli, nieco głupawo, mówić o swej głównej trosce, o twardym ucisku rządu. Ot na przykład stolarz Chalafta musiał sprzedać ostatnią winnicę. Sprowadzał kozy z tamtej strony Jordanu; Rzymianie obłożyli je wysokim cłem; chciał je przeszmulgować, ale złapano go na gorącym uczynku. Cokolwiek człowiek robi, zawsze źle na tym wychodzi, kiedy ma z celnikami do czynienia. Biada temu, kto towar deklaruje, oraz temu, który tego nie czyni. Teraz ukarali go grzywną dziesięciokrotną, ponieważ zdarzyło się to po raz drugi, musiał więc sprzedać winnicę tkaczowi Azarii; inspektor rynku z Magdali kazał opieczętować jego trzecie krosna, ponieważ zalegał z podatkiem od rzemiosła. Wszyscy mężczyźni w tym bogatym kraju chodzą obdarci, żyją nędznie. Było w Galilei dużo drobiu, za kozie mleko płaciło się niedrogo, ale obecni w knajpie mlaskali pożądliwie, gdy Giora opowiadała o drobiu duszonym w mleku. Jadali podobne przysmaki tylko w wielkie święta. Człowiek dręczy się i pracuje nie dla własnego brzucha, lecz żeby napęlić kałduny w Cezarei i Jerozolimie. Czasy są ciężkie.

Czy czas wypełnił się? Już agitator Juda Makabeusz głosił to w Galilei i stworzył partię Zelotów, ale Rzymianie go ukrzyżowali. Teraz syn jego Nachum wędruje po kraju, głosząc to

samo. Pojawił się również w Galilei prorok Theuda, czynił cuda, przeniósł się później do Jerozolimy, oświadczając, że rozstąpią się przed nim wody Jordanu. Ale Rzymianie ukrzyżowali go za zgodą członków Synedrionu.

Hodujący oliwki chłop Teradion wyraził pogląd, że może prorok Theuda był istotnie oszustem. Stolarz Chalafta kiwnął ponuro głową:

— Oszustem? Może na jego rozkaz Jordan naprawdę nie byłby się rozstąpił. Ale nawet wtedy nie byłby oszustem. Byłby zwiastunem. Kiedyż bowiem czas ma się wypełnić, jeżeli nie teraz, kiedy Gog i Magog na nowo szykują się, by runąć na Izrael, jak to jest napisane u Ezechiela i w *Targum Jonathan*?

Tkacz Ataria rzekł chytrze:

— Ów Theuda z pewnością nie może być prawdziwym Mesjaszem, gdyż wedle słuchów, które mnie doszły, jest Egipcjaninem, a przecież Egipcjanin nie może być Mesjaszem.

Wino było dobre, płynęło obficie — ludzie w knajpie zapomnieli o przybyszu z Jerozolimy. Otoczeni smrodliwym dymem, idącym od kubła z żarzącym się nawozem, mówili z ozywieniem i żarliwością, że Mesjasz musi przyjść dziś, jutro, a na pewno jeszcze w tym roku. Mesjasz może być niewątpliwie Egipcjaninem, twierdzi uporczywie stolarz Chalafta. Czyż nie jest napisane o żelaznej miotle, wymiatającej wszystko, co zgniłe, z Izraela i ze świata? Czy Mesjasz nie jest tą żelazną miotłą? Jeżeli nią jest, to czy Jehowa pošle Żyda, żeby bił Żydów, czy nie będzie wolał posłużyć się kimś, kto nie jest obrzezany? Dlaczego więc nie obrzezany nie ma być Mesjaszem?

Kramarz Tarfon biadał niewyraźną, charkoczącą gwarą:

— O jej, to będzie z pewnością Żyd, bo czyż rabbi Dossa ben Natan nie poucza, że zbierze razem wszystkich rozproszonych, że później, o jej, zostanie zabity, będzie leżał nie pogrzebany na ulicy w Jerozolimie, a imię jego będzie Mesjasz ben Józef. A jakże człowiek nie będący Żydem może nazywać się Mesjasz ben Józef?

Do rozmowy wmieszał się gospodarz Teofil Giora; stanął po stronie stolarza Chalafty. Bolało go, że cudzoziemiec nie może zostać Mesjaszem. Ponuro obstawał uparcie przy swoim: Mesjaszem może być tylko ktoś, kto nie jest Żydem. Czy nie jest powiedziane w Piśmie, że zwinie niebo jak zwój pergaminu, że wpierw spadnie kara na zbrodnicze miasto — rzeź i pożoga.

Wielu przytakiwało mu, niektórzy przeciwstawiali się. Wszyscy byli wzburzeni. Wolno, zawodząc żałością, mówili wszyscy na raz, omawiali z pasją ponure i sprzeczne z sobą prorocтва. Ci Galilejczycy wierzyli niezachwianie w Mesjasza. Każdy jednak inaczej go sobie wyobrażał, każdy widział go dokładnie, wiedział, że ma rację, podczas gdy inni jej nie mają, każdy szukał dla swego obrazu Mesjasza potwierdzenia w Piśmie.

Józef słuchał w napięciu. Miał wrażliwy wzrok i powonienie, ale nic sobie nie robił z gryzącego, wstrętne śmierdzącego dymu. Patrzył na tych ludzi wałkujących argumenty w swych zakutych łbach, widział niemal naocznie, jak je wygrzebywali, z jakim trudem przetapiali je w słowa. Dawniej, kiedy mieszkał na puszczy u pustelnika Banusa, słowa proroków obiecujących zbawienie brzmiały w uszach głośno i nieustannie, wciągał je w siebie wraz z otaczającym go powietrzem. Ale w Jerozolimie obietnice przybladły, słowa Pisma mówiące o Mesjaszu stały się dlań obce i dalekie. Czcigodni mędrcy Świątyni patrzyli niechętnie na naginanie tych prorocत्व do chwili obecnej. Wielu podzielało pogląd wielkiego ustawodawcy, tanaity Hillela, że Mesjasz już dawno się pojawił w osobie króla Chizkiahu. Z Osiemnastu Prośb skreślili prośbę o przyjście Mesjasza: ilekroć Józef badał siebie, stwierdzał, że od lat ani w jego postępkach, ani w jego myślach nie było miejsca na nadzieję, iż przyjdzie Mesjasz. Teraz w ciemnej, zadymionej knajpie ucieleśniło się czekanie na Mesjasza: ono było szczęściem i udręką, kamieniem węgielnym

całego życia. Słuchał słów tych ludzi całym sercem, poglądy tych prostaczków, tych tkaczy, kramarzy, stolarzy, chłopów hodujących oliwki, wydawały mu się bardziej ważne niż przemądrzałe komentarze mędrców jerozolimskich. Czy Mesjasz przyniesie różdżkę oliwną, czy miecz? Rozumiał doskonale, że ci ludzie w knajpie gorączkują się coraz gwałtowniej z powodu sprzeczności zawartych w ich potężnej wierze i choć tak pobożni, coraz groźniej skaczą sobie do oczu.

Doszło wreszcie do tego, że stolarz Chalafta chciał rzucić się na kramarza Tarfona z pięściami. Wtedy nagle odezwał się ktoś z młodszych:

— Dajcie spokój, czekajcie, uważajcie, on „widzi”.

Wszyscy spojrzeli w kierunku ławy obok kubła ogrzewającego pomieszczenie. Siedział tam garbus, blady, chudy i jak się zdawało, krótkowidz. Dotychczas prawie się nie odzywał. Teraz spoglądał spod przymkniętych powiek poprzez kłęby dymu, mrużąc oczy, jak gdyby chciał zobaczyć coś, co się wymyka z jego pola widzenia, znów je otwierał szeroko i mrugał.

Ludzie w knajpie zaczęli go rozpytywać:

— Akawia, czy widzisz? Powiedz nam, co widzisz?

Wytwórca sandałów Akawia, wysilając w dalszym ciągu wzrok w określonym kierunku, rzekł głosem zachrypniętym od wina i dymu, bardzo pokornie i bardzo dialektycznie:

— Tak, widzę go.

— Jak wygląda? — dopytywali się ludzie.

— Nie jest wysoki, ale barczysty.

— Czy to Żyd?

— Myślę, że nie. Nie ma brody. Ale kto może odczytać z twarzy, czy ktoś jest Żydem?

— Czy jest uzbrojony? — zapytał Józef.

— Nie widzę miecza — odrzekł jasnowidz — ale zdaje mi się, że tak.

— Jakim językiem mówi? — zapytał Józef.

— Porusza ustami — odparł Akawia — ale nie mogę dosłyszeć. Wydaje mi się, że się śmieje — dodał z powagą.

— Jakże może się śmiać, kiedy jest Mesjaszem? — zapytał z niezadowoleniem stolarz Chalafta.

Jasnowidz odparł:

— Śmieje się, ale jest mimo to straszny.

Przetarł oczy, oświadczył, że nic już więcej nie widzi. Czuł się zmęczony i głodny, odpowiadał opryskliwie. Wypił dużo wina, zażądał drobiu gotowanego w mleku. Gospodarz udzielił Józefowi informacji na temat wytwórcy sandałów Akawii. Jest bardzo ubogi, ale rokrocznie pielgrzymuje do Jerozolimy i składa w Świątyni jagnię ofiarne. Jako kalece, nie wolno mu przestępować wewnętrznych kruzganków. Ale Ignął do Świątyni całym sercem i służył jej całym swym mieniem, orientował się w wewnętrznych eksedrach lepiej od niejednego, który tam bywał. Może właśnie dlatego, że nie wolno mu patrzeć na Świątynię, Jehowa pozwala mu widzieć co innego.

Ludzie w knajpie nie mówili już o Mesjaszu. Rozwodzili się nad tym, jak Zeloci wzrosli na siłach, o ich organizacji, uzbrojeniu. Dzień, w którym uderzą, wkrótce nadejdzie. Akawia, znowu ożywiony, pokpiwał sobie z nie obrzezanego gospodarza mówiąc, że kiedy ów dzień nadejdzie, będzie musiał przy wielkiej ablucji również w to uwierzyć. Potem przebywający w knajpie znowu zwrócili się w stronę przybysza z Jerozolimy i zaczęli dworować sobie z niego głupawo, ale bez niechęci. Józef pozwalał na to, śmiał się razem z nimi. Wreszcie zażądali, żeby był ich gościem i jadł z nimi drób gotowany w mleku. Najbardziej nalegał wytwórca sandałów Akawia. Wrzeszczał z uporem:

— Jedz, człowieku, jedz. — Józef będąc w Rzymie nie przestrzegał obyczajów, za to w Jerozolimie trzymał się ściśle zakazów i nakazów. Tu była Galilea. Po chwili namysłu zaczął jeść.

Na główną kwaterę wybrał sobie Józef Magdalę, miłą, rozległą miejscowość nad jeziorem Genezaret. Kiedy jeździł po jeziorze, widział na południu białe kontury najpiękniejszego w kraju miasta. Ale nie leży ono w zasięgu jego władzy, rządzi nim król Agryppa. Miasto nazywa się Tyberiada. Siedzi w nim Justus, mianowany przez króla gubernatorem. Rządzenie miastem nie jest sprawą łatwą. Przeszło jedna trzecia ludności to Grecy i Rzymianie, forytowani i rozpuszczeni przez króla, nie można jednak zaprzeczyć, że rabbi Justus utrzymuje porządek. Kiedy Józef po przybyciu do Galilei złożył mu wizytę, uprzejmie go rewizytował. O polityce nie wspomniał ani słowem. Wygląda na to, że nie uznaje całkowicie pełnomocnika Jerozolimy. Józefa drażni to głęboko. Marzy z goryczą o tym, żeby okazać Justusowi to rozdrażnienie.

W górze nad Tyberiadą lśni majestatycznie pałac króla

Agryppy, gdzie rezyduje Justus. Na wybrzeżu wznoszą się okazałe wille i sklepy. W Tyberiadzie nie brak jednak ludzi ubogich: rybaków, marynarzy, tragarzy, robotników. Grecy i Rzymianie w Tyberiadzie to bogacze; Żydzi to proletariusze. Roboty jest dużo, podatki są wysokie, biedak odczuwa w mieście jeszcze dotkliwiej aniżeli na wsi, czego mu nie dostaje. Liczba niezadowolonych jest w Tyberiadzie niemała. We wszystkich knajpach słychać wymyślanie na Rzymian i króla Agryppę. Rzecznikiem tych niezadowolonych jest sekretarz Wspólnoty Rybaków. Powołuje się na Izajasza: „Biada wam, którzy przyłączacie dom do domu, a rolę do roli przyczyniacie.” Justus usiłuje tłumić ten nastrój wszystkimi środkami, ale władza jego kończy się na granicach Tyberiady i gubernator nie może przeszkodzić temu, żeby zbrojne oddziały Zapity nie tworzyły w pozostałej części Galilei punktów oparcia oraz temu, żeby z tych obszarów nie przybywało na jego teren coraz więcej ludzi.

Józef spogląda bez niechęci na wzrost zwolenników Zapity oraz na to, że jego bandy grasują po terenach podległych zwierzchnictwu Jerozolimy. Ludzie Zapity domagają się od gmin podległych Józefowi datków pieniężnych na sprawę narodową, a w razie oporu urządzają ekspedycje karne, mające cechy napadów rabunkowych. Policja Józefa interweniuje rzadko, sądy jego traktują pojmanych łagodnie.

Józef cieszy się ogromnie, kiedy pewnego dnia zjawia się u niego Zapita — Galilea zaczyna mu ufać, przychodzi do niego. Czuje, że wkrótce wyrwie również i Justusa z jego dumnej powściągliwości. Ale mądrze ukrywa tę radość. Przygląda się Zapicie. Jest mocny, krępy, jedno ramię zwisa mu bezwładnie. Ma rzadką brodę, małe, obłąkane oczy. Józef rozmawia z nim, pertraktują samymi tylko półsłówkami. Łatwiej porozumieć się z nim niż z Justusem. Nic nie zostaje ustalone na piśmie, ale po odejściu Zapity obydwaj wiedzą, że nastąpiło między nimi porozumienie bardziej wiążące niż jakakolwiek zawiała umowa. Ludzie Zapity, jeśli czują się niepewnie w Tyberiadzie, mogą teraz z całym spokojem chronić się pod skrzydła Józefa, wiedząc, że zostaną potraktowani łagodnie. Józef nie będzie już w pocie czoła wyciskał od skąpego rabbi Jannai pieniędzy na fundusz wojenny; to, czego mu nie da Jannai, dostanie od Zapity.

Tak się też stało. Józef dopiął wreszcie tego, że Justus rozmawia z nim o polityce. Domaga się energicznie na piśmie, żeby ci panowie z Jerozolimy nie sabotowali na przyszłość jego wysiłków w kierunku zlikwidowania band grasujących na terenie Galilei. Sędziwy rabbi Jannai stawia Józefowi kilka niemiłych pytań. Józef udaje zdziwienie — Justus ma najwyraźniej halucynacje. Po rozstaniu się z Jannaim uśmiecha się z zadowoleniem. Cieszy się na walkę, która go czeka.

Zostaje ustalony termin wymiany zdań z Justusem. Razem z sędziwym rabbi Jannaim

Józef cwałuje na swoim pięknym rumaku przez starannie utrzymane ulice Tyberiady; ludność przygląda mu się z zaciekawieniem. Wie, że dobrze wygląda na koniu, minę ma obojętną, nawet nieco wyniosłą. Cwałują przez wzgórza w kierunku pałacu Agryppy. Przed wejściem lśni bielą i przepychem olbrzymi posąg cesarza Tyberiusza, od którego imienia miasto zostało nazwane. Pod arkadami również pełno posągów. Józefa to razi. Nie jest przywiązany do starych zwyczajów, ale serce ma pełne niewidzialnego Boga Jehowy i porusza go do głębi, że w kraju Jehowy każą mu oglądać zabronione posągi i obrazy. Tylko Bóg-Stwórca ma prawo kształtować postać. Ludziom pozwolił nadawać postaciom imiona, ale kształtowanie ich jest zuchwałstwem i pychą. Obrazy i rzeźby dookoła znieważają niewidzialnego Boga. Cichy niepokój, jaki stwarza poczucie winy, rozwił się,

Józef, pełen podniecenia, czuje, że ma przewagę nad Justusem. Justus to reprezentant wodnistej polityki, on, Józef, przychodzi jako żołnierz Jehowy.

Justus, zdecydowany wróg uroczystych ceremonii, stara się odjąć spotkaniu charakter urzędowy. Trzej mężowie spożywają śniadanie w pozycji leżącej. Justus mówi z początku po grecku, potem przechodzi uprzejmie na aramejski, choć widać, że mu znacznie trudniej porozumiewać się w tym języku. Powoli wkracza w dziedzinę polityki. Rabbi Jannai jest jak zwykle dobrodusznie jowialny. Józef broni swej własnej polityki namiętniej, niż tego chciał. Na to, by nie dopuścić do nieprzewidzianych ataków partii dążącej do wojny, trzeba jej okazywać względy.

— Sądysz, że należy działać na rzecz pokoju? — zapytuje Justusa ze zjadliwą ironią.

— Oświadczam autorowi książki o Makabeuszach, że w polityce praktycznej poczynania Makabeuszów, bez względu na cel, do jakiego dążą, wydają mi się nadal niewłaściwe.

— Czy najdokuczliwsi Makabeusze nie siedzą tutaj, w twojej Tyberiadzie? — zapytał uprzejmie rabbi Jannai.

— Niestety, zasięg mojej władzy nie pozwala na aresztowanie Zapity — przyznał Justus z całą szczerością. — Raczej wy moglibyście to zrobić. Ale, jak już pisałem, łagodność waszych sądów sprawia, że szeregi Zelotów tak rosną na moim terenie.

— To i dla nas nie taka prosta sprawa — tłumaczy się rabbi Jannai. — Ostatecznie ludzie ci nie są pospolitymi rozbójnikami.

Józef wtrącił się do rozmowy.

— Ludzie ci powołują się na słowa mędrców — mówi twardo i zaczepnie. — Wierzą, że spełni się czas i Mesjasz wkrótce nadejdzie.

— Uczono nas — odpowiada Justus półgłosem, ale zawzięcie — „kochaj pracę, gardź nauczaniem, trzymaj się z dala od władzy”.

Cytat ten poruszył Józefa. Czyżby Justus chciał go osadzić?

— Ogniskiem niepokojów jest twoja Tyberia — mówi ostro.

— Ogniskiem niepokojów jest twoja Magdala — odpowiada grzecznie Justus. — Nie, nic na to nie poradzę, że sądy twoje puszczają wolno moich złodziei. Jeżeli jednak w dalszym ciągu będziesz zwiększać swój fundusz wojenny łupami tych złodziei, rabbi Józefie — oświadczaj jeszcze uprzejmiej — nie ręczę, czy król nie zechce odebrać sobie tych łupów przemocą.

Rabbi Jannai obruszył się.

— Czy masz w swej kasie pieniądze Zapity, rabbi Józefie?

Józef wścieka się. Ten przekłety Justus musi mieć wspaniałą służbę wywiadowczo-spiegowską; pieniądze były dostarczane po kryjomu. Oświadczają wymijająco, że pieniądze na oddziały galilejskie otrzymuje również z Tyberiady, ale nie przypuszcza ani na chwilę, by pochodziły z łupów bandy Zapity.

— Proszę mi wierzyć, że tak jest — mówi przyjaźnie Justus. — Bardzo cię proszę, byś nie popierał tej hołoty tą drogą. Obowiązek służbowy nie pozwala mi tolerować, byś buntował moją Tyberiadę. — Mówi znowu po grecku, co wskazuje, że jest wzburzony.

Rabbi Jannai traci nagle dotychczasowy spokój. Zrywa się z miejsca i żywo gestykulując woła do Józefa:

— Czy masz pieniądze Zapity? Czy masz pieniądze Zapity? — I nie czekając na odpowiedź Józefa zwraca się do Justusa: — Jeżeli te pieniądze pochodzą z Tyberiady, zostaną ci odesłane — obiecuję.

Dotarłszy do rogatek obaj komisarze rozstają się.

— Zwracam ci uwagę — oświadczył Jannai lodowatym tonem — że nie rezydujesz w Magdałi jako jeden z Zelotów, lecz jako komisarz Jerozolimy. Wypraszam sobie podobne wybryki i groteskowe pomysły — zawołał doniosłym głosem.

Józef, blady z wściekłości, nie mógł na to nic odpowiedzieć. Uświadomił sobie jasno, że przecenił swoje siły. Ten rabbi Jannai ma dobry węch. Jeżeli się odważył zbesztać go jak sztubaka, to jego pozycja musi być diablo chwiejna. Należy czekać, nie trzeba jeszcze wdawać się w walkę z Justusem. Jerozolima odwoła go przy najbliższej okazji; Justus będzie się uśmiechał tym bezwstydnym uśmiechem, który Józef zna tak dobrze.

Nie powinien się uśmiechać, Józef potrafi mu zabronić. Co ten Justus wie o Galilei? Józef uważa, że ma już sporo doświadczenia, nie boi się galilejskich przywódców, nie czuje się wobec nich skrępowany. Zapita przybył do niego z własnej woli, a tego drugiego, Jana z Giskali, wezwie do siebie. Okaże się, że nie Jerozolima, lecz triumwirat: Jan z Giskali, Zapita i Józef, ma w kraju prawdziwą władzę. Wkrótce nadejdzie chwila, w której nie będzie można używać określeń: „banda zbójów” i „hołota”. Józef nie ma wcale zamiaru zrywać kontaktu z Zapitą. Przeciwnie, ze wszystkich zbrojnych organizacji, uznanych i nie uznanych, stworzy na terenach rządzonych przez Jerozolimę jeden wielki związek. Nie jako komisarz Jerozolimy, lecz jako przywódca partii Zelotów.

Jan z Giskali, szef dobrze uzbrojonych galilejskich oddziałów, był wyraźnie uradowany, kiedy Józef wezwał go do siebie. W pobliżu swego rodzinnego miasta, małej górskiej miejsciny Giskala, czyli Gusz-Chalaw, od której przejął swe imię — w rejestrach figurował jako Jochanan ben

Lewi — miał niezbyt dochodowe gospodarstwo, produkujące przede wszystkim oliwę i figi. Barczysty, powolny, dobroduszny, bardzo sprytny, umiał zjednywać sobie serca Galilejczyków. Podczas wyprawy Cestiusza zorganizował w górnej Galilei podstępny, zażartą wojnę podjazdową przeciwko Rzymianom. Był w ciągłych rozjazdach, znał każdy zakątek kraju. Józef nie mógł zrozumieć, dlaczego dotąd się z nim jeszcze nie spotkał. Jan, barczysty, o twarzy opalonej, krótkiej bródce i spłaszczonym nosie, siedział teraz naprzeciw niego. Pomimo całej chytryści wyglądał na człowieka dobrodusznego i szczerego.

Nie zwlekając więc, wystąpił z konkretnym projektem. W całym kraju król Agryppa poustawiał serty zboża — niewątpliwie dla Rzymian. Jan chce zarekwirować to zboże dla swoich zbrojnych oddziałów; uważa to za krok konieczny i prosi, żeby Józef wyraził swą zgodę. Pod wpływem worków z pieniędzmi i presji ze strony arystokratów — skarży się — Jerozolima odżegnuje się od jego zbrojnych oddziałów. Jan ma wrażenie, że Józef jest inny niż stąpający na palcach mędrca ze Świątyni.

— Rabbi Józefie, należysz sercem do Zelotów. Czuje się to na trzy mile. Podporządkowałbym ci chętnie moje oddziały — mówi ciepło i wręcza Józefowi listę członków swej organizacji. Obejmuje ona osiemnaście tysięcy ludzi. Józef wyraża zgodę na rekwizycję zboża.

Nie lęka się burzy, którą rekwizycja z konieczności wywoła. Jeżeli bez skrupułów wykorzysta swe stanowisko, jeżeli zdobędzie rzeczywistą władzę w Galilei, to może Jerozolima nie odważy się go odwołać. A gdyby nawet, to od niego zależy, czy się do tego odwołania zastosuje. W napięciu niemal radosnym czekał, co się stanie.

Jan z Giskali był również zadowolony z rozmowy z Józefem. Należał do ludzi odważnych, nie pozbawionych humoru. Cała Galilea wiedziała, że to on rekwiruje zboże króla Agryppy. On zaś udawał niewiniątko. Wszystko odbywało się na rozkaz komisarza z Jerozolimy. Całkiem oficjalnie udał się na teren wroga, do Tyberiady, leczyć swój reumatyzm. Wiedział, że gdyby Justus chciał coś przeciw niemu przedsięwziąć, ludzie jego wezmą Tyberiadę szturmem. Justus śmiał się. Choć czyny tego przywódcy chłopskiego wydawały mu się godne potępienia, podobało mu się jego postępowanie.

Równocześnie wysłał do Jerozolimy i Sepphoris notę pełną oburzenia. Dysząc wściekłością zjawił się u Józefa rabbi Jannai. Oczywiście zboże musi być natychmiast zwrócone. Józef przyjął szalejącego Jannaia bardzo uprzejmie. Niestety zboże nie może być zwrócone, ponieważ zostało sprzedane. Nic nie wskórawszy rabbi Jannai musiał pożegnać wzruszającego uprzejmie ramionami Józefa. Pozostała mu tylko niewielka pociecha: Józef przekazał do Jerozolimy okazałą część kwoty należnej za zboże.

Do najulubieńszych środków agitacyjnych Zelotów w Tyberiadzie należała walka z bezbożnością warstwy rządzącej, z jej tendencjami asymilacyjnymi w stosunku do Greków i Rzymian. Kiedy Zapita znowu zjawił się

u Józefa, ten powiedział mu, że i on patrzy z największym oburzeniem na rzeźby lśniące prowokacyjnie przed cesarskim pałacem. Ponury Zapita wznosił jeszcze wyżej jedno ramię, otworzył szeroko wąskie oczy, opuścił po chwili po-wieki, zaczął nerwowo szarpać brodę. Józef drażnił go dalej. Zacytował wieszczkę: „Cielec jest w kraju, Jehowa drzuca go. Wykonała go ręka ludzka, więc nie może być bogiem. ” Cekał na to, żeby Zapita uzupełnił ów cytat słowami: „Dlatego cielec musi być starty na proch. ” Zapita uśmiechnął się, pominął te słowa milczeniem, i półgłosem, raczej do siebie niż do Józefa, wypowiedział dalsze zdanie proroka: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę. ” Potem stwierdził rzeczowym tonem:

— W każdym razie nadal protestujemy przeciw zbrodniczej swawoli. Bylibyśmy wdzięczni komisarzowi Jerozolimy, gdyby on również poruszył tę sprawę w Tyberiadzie.

Zapita nie był tak szczery jak Jan z Giskali, ale można było zdać się na jego przejrzyste aluzje. „Kto sieje wiatr, zbiera burzę. ” Nie porozumiewając się z rabbim Jannai, Józef poprosił Justusa o dalszą rozmowę.

Józef przybył tym razem do Tyberiady skromnie, tylko z jednym służącym. Justus wyciągnął do niego rzymskim zwyczajem otwartą dłoń, opuścił ją po chwili z uśmiechem, wypowiedział hebrajskie pozdrowienie: „Pokój. ” Potem obaj panowie usiedli naprzeciw siebie. Jeden wiedział niemało o drugim, patrzyli na siebie z niekłamaną wrogością. Obaj zdobyli coś w życiu, posiadali władzę nad ludźmi i ich losami; postarzeliby się, rysy ich stały się twardsze, ale bladobrazowy Józef i żółtobrazowy Justus byli nadal do siebie podobni.

— Kiedy rozmawialiśmy ze sobą ostatnim razem — rzekł Józef — cytowałeś proroka Izajasza.

— Tak — odparł Justus — Izajasz uczył, żeby mała Judea nie wdawała się w walkę ze swoim potężnym przeciwnikiem.

— Tak, uczył tego — rzekł Józef — ale pod koniec życia schronił się do wydrążonego drzewa cedrowego i został przepiłowany.

— Lepiej przepiłować jednego człowieka niż cały kraj — odpowiedział Justus. — Czego ty właściwie chcesz, rabbi Józefie? Usiłuję odkryć logiczny związek między twoimi

zarządzeniami. Ale albo jestem za głupi, żeby je zrozumieć, albo też wszystko miało jedno na celu: Judea za namową nowego przywódcy Makabeuszów, Józefa syna Mateusza wypowiedzie wojnę Rzymowi.

Józef opanował się. Jeszcze z czasów rzymskich znał manię prześladowczą Justusa, który uważał go za podżegacza wojennego. Ale Józef nie jest podżegaczem. Nie chce wojny, choć się jej nie boi. Poza tym uważa metody Justusa nawet z jego punktu widzenia za fałszywe. Ustawiczne domaganie się pokoju prowadzi do wojny z taką samą nieubłaganą konsekwencją, jak ustawiczne wzywanie do wojny. Przeciwnie, trzeba przez mądre ustępstwa odebrać zwolennikom wojny wszystkie preteksty.

— Czyż my tego nie robimy w Tyberiadzie? — zapytał Justus.

— Nie — odparł Józef. — Wy w Tyberiadzie tego nie czynicie.

— Słyszę — rzekł Justus uprzejmie.

— Wy w Tyberiadzie — odparł Józef — macie na przykład Ów pałac królewski z podobiznami ludzi i zwierząt, co jest przedmiotem nieustannej irytacji całej prowincji, stałym bodźcem do wojny — Justus spojrział na niego, potem roześmiał się szeroko.

— Przybyłeś tutaj po to, żeby mi to zakomunikować? — zapytał.

Józefa ogarnęła dzika furia na te idiotyczne rzeźby i obrazy.

— Tak — odpowiedział.

Justus poprosił go, by poszedł za nim. Oprowadził go po : ałym pałacu. Pałac ten słusznie uchodził za najpiękniejszą judowlę w Galilei. Przeszli przez sale, dziedzińce, przedsienie i ogrody. Tak, wszędzie widniały rzeźby i malowidła ściennie, były zrosnięte z budowlą. Król Agryppa oraz jego przodkowie ściągnęli tu i zgromadzili wielkim nakładem wysiłku, pieniędzy i smaku liczne piękne rzeczy z całego wiata, częściowo bardzo stare i głośne dzieła sztuki. W jednym z dziedzińców, wyłożonym brązowym piaskowcem, Justus zatrzymał się przed niewielką rzeźbą: egipskiej roboty, ze śladami zniszczenia, przedstawiała gałąź i siedzącego na niej ptaka. Było to dzieło bardzo surowe, nawet nieco sztywne, ale choć ptaszek jeszcze spoczywał, widziało się lekkość jego lotu, do którego podnosił skrzydła. Justus, zachwycony, stał chwilę przed rzeźbą. Potem, jak by budząc się, powiedział tkliwie:

— Czy mam to usunąć? — I wskazując dookoła dodał: — I to? I to? W takim razie cała budowla straciłaby swój sens.

— A więc zburz ją w takim razie — rzekł Józef. W głosie jego było tyle bezgranicznej nienawiści, że Justus nic nie odpowiedział.

Już następnego dnia wezwał Józef przywódcę band, Zapitę. Ten zapytał od razu, czy Józef osiągnął coś u władców Tyberiady.

— Nie — odparł Józef — mają serca twarde jak kamień.

Jego zaś władza nie sięga niestety poza granice miasta. Zapita szarpał gwałtownie brodę. Dziś wypowiedział zdanie, które ostatnim razem przemilczał: „Cielec Samarii winien być starty na proch.”

— Gdyby ludzie w Tyberiadzie — oświadczył Józef —• chcieli usunąć to, co tak drażni ich oczy, będę miał dla nich zrozumienie.

— Czy znajdą również u ciebie azyl? — dopytywał się

Zapita.

— Może i azyl — odparł Józef.

Józef stał po odejściu Zapity z niezdecydowaną miną. Ten Zapita to mocny chłop mimo swego kalectwa, nie będzie się zbyt cackać. Jeżeli wraz ze swymi ludźmi wedrze się do pałacu, to chyba nie tylko posągi zostaną usunięte. Piękna to budowla, stropy ma z drzewa cedrowego i złota, pełno w niej kosztowności. Należy niewątpliwie do króla Agryppy i

niewątpliwie pozostaje pod ochroną Rzymian. Przez jakiś czas panował w kraju spokój, Jerozolima ma nadzieję, że dojdzie z Rzymem do jakiegoś porozumienia. Wytwórca sandałów Akawia widział Mesjasza w zadymionej knajpie w Kapharnaum. Mesjasz nie miał przy sobie miecza. Pewni ludzie w Rzymie czekają tylko na to, by rząd w Jerozolimie przedsięwziął coś, co mogłoby być uznane za atak. To, co Józef teraz powiedział, może ruszyć z miejsca ciężki kamień, trzymany dotychczas mocno przez liczne ręce.

Następnej nocy zdobyto szturmem pałac króla Agryppy. Ta przestronna budowla miała mocne fundamenty, niełatwo było zrównać ją z ziemią. I nie udało się to w całej pełni. Wszystko odbyło się przy słabym świetle księżycy i, o dziwo, bez wielkiego krzyku. Liczni napastnicy walili z zaciekłością w mocne kamienie, niektórzy gołymi rękami. Deptali również z furią po klombach z kwiatami. Ze specjalną złością niszczyli urządzenia wodociągowe. Biegali jak opętani, żeby zagarnąć kosztowne dywany i tkaniny złote, zdobiące stropy, i misternie inkrustowane blaty stołów. Justus zorientował się szybko, że wojska jego są za słabe, żeby interweniować z powodzeniem, i zabronił stawiania oporu. Ale Zeloci pozabijali już setki żołnierzy i greckich mieszkańców miasta, którzy zrazu, gdy rozpętała się burza, chcieli bronić się przed rabunkiem. Pałac płonął jeszcze przez cały dzień.

Zdobycie pałacu w Tyberiadzie wywołało osłupienie w całej Galilei. Władze w Magdali, przestraszone, domagały się od Józefa wytycznych, zajęcia stanowiska. Józef milczał uparcie. Potem, ni z tego, ni z owego, nazajutrz po pożarze, ruszył do Tyberiady, by w imieniu rządu w Jerozolimie złożyć Justusowi kondolencje z powodu tak wielkiego nieszczęścia i zaoferować mu pomoc. Zastał go snującego się bezradnie wśród ruin. Justus nie zażądał od swego króla żadnych wojsk, nic nie przedsięwziął przeciw Zapicie i jego ludziom. Zawsze tak czynny, energiczny, tym razem opuścił ręce. I teraz zobaczywszy Józefa nie obrzucił go ani szyderstwem, ani zgryźliwymi uwagami. Głosem ochryplym z podniecenia i troski powiedział:

— Nie wiesz wcale, czegoś narobił. Można było ostatecznie przejść do porządku nad wstrzymaniem ofiary, nawet nad atakiem na Cestiusza, nawet nad edyktem w sprawie Cezarei. Ale to, co się tutaj stało, znaczy nieodwołalnie wojnę. — Z wściekłości i ze smutku miał łzy w oczach. — Pycha cię zaślepia — powiedział.

Zapita oddał Józefowi większość łupów zdobytych w pałacu: złoto, szlachetne drzewo, odłamki posągów. Józef szukał gorączkowo ptaszka na gałęzi z brunatnego kamienia, ale go nie znalazł; pewnie był zrobiony z bezwartościowego materiału, który łatwo uległ zniszczeniu.

Wiadomości z Tyberiady były dla wielkich mędrców z Jerozolimy potężnym ciosem. Za pośrednictwem pokojowo usposobionego pułkownika Paulina uzyskano już na pół wiążące przyrzeczenie rządu cesarskiego. Rzym oświadczył, że zadowolony jest wydaniem paru przywódców: Szymona bar Giory, rabbi Eleazara, jeśli Judea zachowa spokój. W Jerozolimie panowała radość, że można będzie pozbyć się podżegaczy. Teraz bezmyślny czyn dokonany w Tyberiadzie wszystko zniweczył.

Zeloci, którzy znaleźli się w ślepym zaułku, odetchnęli. Ich miejsce spotkań, Błękitna Eksedra, stała się głównym ośrodkiem Judei. Przeparli powołanie do rządu rabbi Eleazara. Wyniosły młodzieniec, delektując się upokorzeniem innych, kazał się długo prosić, zanim przyjął nominację. Błękitna Eksedra nie mogła oczywiście pozostawić na urzędzie buntowniczego gubernatora Galilei, który tak jawnie postępował wbrew instrukcjom swego rządu. Rabbi Jannai złożył osobiście sprawozdanie Synedrionowi, domagając się odwołania i ukarania przestępcy, Józefa syna Mateusza. Zeloci, nie mając odwagi bronięcia go, wstrzymali się od głosu. Wśród członków rządu tylko jeden wypowiedział się na korzyść Józefa — stary, łagodny uczonec rabbi Jochanan ben Zakkai. Oświadczył:

— Nie wydawajcie wyroku na nikogo, kto jeszcze nie dotarł do końca.

Ojciec Józefa, szczupły, porywczy Mateusz, był teraz tak samo zrozpaczony, jak swego czasu uszczęśliwiony nominacją syna. Zaklinał go, by przybył do Jerozolimy, stawiał się i usprawiedliwił, zanim dekret o odwołaniu dotrze do Galilei. Pozostawanie Józefa w Galilei równa się pewnej zagładzie jego najbliższych. W sercu miał śmiertelny smutek, nie chciał być pogrzebany, zanim zobaczy raz jeszcze syna swego Józefa.

Otrzymawszy ten list Józef uśmiechnął się. Ojciec był starcem, którego bardzo kochał, ale ten starzec brał wszystko zbyt lekko i ponuro, on zaś w głębi serca był pełen otuchy. I tym razem sprawy wyglądały inaczej w Galilei niż w Jerozolimie. Od czasu zniszczenia podobizn ludzi i zwierząt w Tyberiadzie, Galilea jest dla niego pełna entuzjazmu. Wiadomo w całym kraju, że bez jego aprobaty nigdy by do tego czynu nie doszło. Obalił mur wznoszący się między nim a ludem, stał się teraz dla kraju drugim Judą Makabeuszem, jak go swego czasu zwykł był szyderczo nazywać Justus. Ma posłuch u zbrojnych oddziałów. Nie on jest zależny od Jerozolimy, lecz Jerozolima od niego. Może pozwolić sobie na to, by podrzeć na strzępy dekret odwołujący go z Jerozolimy.

Tej nocy miał straszny sen. Wszystkie ulice pełne były rzymskich legionów. Widział, jak je zalewają, jak maszerują wolnym krokiem w ścisłym ordynku. Szło ich tysiące, w szeregach po sześciu, ale miało się wrażenie, że stanowią jedno ciało. To było uosobienie wojny; olbrzymia machina działająca ze ślepą precyzją; przeciwstawianie się jej nie miało najmniejszego sensu. Widział równy krok legionów bardzo wyraźnie, ale najbardziej przerażające było to, że go nie słyszał. Jęczał. Miał przed sobą jedną jedyną potworną nogę w olbrzymim bucie żołnierskim; but podnosił się, deptał, znowu się podnosił, znowu deptał, nie można przed nim uciec, za pięć minut, za trzy rozdepcze go. Józef siedział na swoim koniu Strzale. Zapita, Jan z Giskali, wszyscy patrzyli na niego ponuro i wyzywająco, czekali, by wyrwał miecz z pochwy. Sięgnął po miecz, ale nie mógł go wyciągnąć. Miecz był przygwożdżony do pochwy. Jęczał. Justus z Tyberiadz uśmiechał się szyderczo, Zapita szarpał z wściekłością brodę, stolarz Chalafta podniósł w górę swe potężne pięści. Józef starał się wyrwać miecz z pochwy, trwało to wiecznie — miecz nie dawał się wyrwać. Wytwórca sandałów Akawia mrucał: Jedz, człowieku! Musisz jeść! — noga w olbrzymim bucie podnosiła się, deptała, znowu się podnosiła i znowu deptała, była coraz bliżej.

Kiedy Józef się obudził, lśnił już promienny, chłodny ranek zimowy. Koszmarna wizja żołnierskiego buta ulotniła się wraz z potwornym oczekiwaniem, kiedy but się podniesie, a kiedy znów opadnie. Wszystko, co się stało, dobrze się stało. To nie Jerozolima go tu przysłała; uczynił to sam Bóg. Bóg chce wojny.

Z wielkim zapałem zabrał się do przygotowywania świętej wojny. Jak mógł w Rzymie jeść z obcymi przy jednym stole, spać z nimi w jednym łóżku? Teraz, podobnie jak inni, czuł obrzydzenie do wyziewów ich skóry — zatrwały kraj. Może rzymska administracja kraju jest dobra, może dobre są ich drogi i wodociągi, ale ten święty kraj Judea, jeśli się żyło w nim inaczej niż po żydowsku, uważał człowieka za trędowatego. Ogarnęła go pasja podobna tej, z jaką niegdyś pisał swoją książkę o Makabeuszach. Stworzył ją w przewidywaniu własnej przyszłości. Siły jego rosły. Pracował niezmordowanie dzień i noc. Ulepszał administrację, gromadził zapasy, wprowadzał dyscyplinę do oddziałów wojskowych, wzmacniał obwarowania. Przemierzał miasta Galilei, jej ogromne, ciche obszary, góry, doliny, brzegi rzek, jezior i mórz, winnice, gaje oliwne i figowe. Jeździł po kraju na Strzale, młody, pełen sił, promieniejący wesołością i nadzieją. Powiewał przed nim sztandar z godłem Makabcuszów: „Któż jak Ty wśród bogów, o Panie!” Postać jego, słowa i sztandar rozpałały młodzież Galilei.

Słuchając przemówień Józefa, jego płomiennych, pełnych wiary słów o zniszczeniu Edomu, buchających z niego jak kamienie i ogień z wnętrza góry, wielu wołało, że w Izraelu

narodził się nowy prorok. „*Marin, Marin*, pan nasz, pan nasz!” — wołali ludzie z namiętym oddaniem; gdziekolwiek się zjawiał, całowali jego ręce i płaszcz.

Ruszył konno do Meronu w Górnej Galilei. Było to niewielkie miasto, słynące jedynie ze swych drzew oliwnych, swego uniwersytetu i starych grobów. Tu spoczywali ustawodawcy, surowy Szammai i łagodny Hillel. Mieszkańcy Meronu uchodzili za żarliwych w wierze. Mówiono, że z grobów tych mędrców wyrasta głęboka mądrość i wiedza boska. Może dlatego Józef udał się do Meronu. Przemawiał w starej synagodze, ludzie słuchali go w milczeniu. Doktorzy i studenci, stanowiący większość słuchaczy, byli tu cichsi niż gdzie indziej. Kiwali się, bacznie nasłuchując, wzdychali z przejęciem. I nagle, kiedy Józef zamilkł po długim, wyczerpującym zdaniu, w milczenie to wdarł się jakiś blady, zupełnie młody człowiek i powiedział:

— Oto on.

— Kimże to mam być? — zapytał gniewnie Józef.

Młodzieniec o nieco głupawych oczach wiernego psa powtarzał w kółko: — To ty nim jesteś, tak, ty! — Okazało się, że mieszkańcy tego miasteczka uważali młodzieńca za proroka Jehowy; nie dalej jak tydzień temu zostawili w nocy otwarte drzwi swoich domostw, gdyż przepowiedział, że owej nocy przyjdzie do nich Mesjasz.

Słyszając tę gadaninę Józef poczuł dreszcze. Pełen gniewu, głośno zwymyślał młodzieńca. W skrytości ducha odrzucił od siebie jako bluźnierstwo myśl, że mógłby być owym Mesjaszem. Coraz głębiej jednak napępiała go wiara w boskość swego posłannictwa. Ci, którzy nazywali go wybawcą, są dziećmi i głupcami. Ale jest powołany do przygotowania królestwa Mesjasza.

Ludzie z Meronu nie dawali się odwieść od tego, że widzieli Mesjasza. Kazali polewać miedzią ślady kopyt Strzały, miejsca te były dla nich bardziej święte niż groby mędrców. Józef złościł się, śmiał, krzyczał na głupców. Ale czuł się coraz bardziej związany z tym, co ma nadzieję, z coraz większą tęsknotą wyglądał, czekał chwili, gdy ujrzy Mesjasza na własne oczy.

Kiedy przybyła komisja z Jerozolimy przywożąc mu dekret odwołujący, oświadczył z uśmiechem, że musi to być pomyłka; dopóki nie otrzyma oficjalnej, nie budzącej wątpliwości decyzji, będzie zmuszony dla uchronienia kraju od zamieszek zastosować wobec panów z Jerozolimy areszt ochronny. Ci panowie z Jerozolimy zapytali go, kto upoważnił go do wypowiedzenia wojny Rzymowi. Odparł, że działa z polecenia Boga. Ci panowie z Jerozolimy zacytowali słowa: „Kto się na Mnie powołuje, a Jam go nie upoważnił, jest godzien śmierci.” Nie przestając się uśmiechać, pełen uprzejmej wyniosłości, wzruszył Józef ramionami: — Trzeba zaczekać, aż się okaże, kto mówi w imieniu Pana, a kto nie. — Promieniał. Był pewien siebie i swego Boga.

Połączył swą milicję z żołnierzami Jana z Giskali i ruszył pod Tyberiadę. Justus oddał mu miasto bez oporu. Znowu siedzieli naprzeciw siebie, tym razem miejsce starego Jannaia zajmował barczysty, chytry, na pozór dobroduszny Jan z Giskali.

— Idź spokojnie do swego króla Agryppy — powiedział fustusowi. — Jesteś mądrym człowiekiem, zbyt mądrym, by toczyć wojnę o wolność. Tu trzeba mieć wiarę i ucho czule na głos wewnętrzny.

— Możesz, rabbi Justusie — powiedział uprzejmie Józef — zabrać wszystkie pieniądze i wszystko, co ma wartość pieniężną, a co należy do króla. Proszę tylko o pozo-stawienie aktów państwowych. Możesz odejść spokojnie.

— Nie mam nic przeciwko tobie, Janie — rzekł Ju-tus — wierzę w twój głos wewnętrzny. Ale twoja sprawa jest przegrana niezależnie od przyczyn rozumowych, już choćby dlatego, że przywódcą twoim jest ten człowiek. — Nie patrzył na Józefa, ale głos jego był pełen pogardy.

— Nasz rabbi Józef — rzekł uśmiechając się Jan z Gissali — nie dogadza ci, jak się wydaje. Ale znakomity

z niego organizator, wspaniały mówca, urodził się na przywódcę.

— Twój rabbi Józef to łajdak — rzekł Justus z Tyberiady.

Józef nie odparł ani słowa. Pobity Justus był pełen goryczy i niesprawiedliwy, nie opłaca się z nim prawować ani spierać.

Józef, uszczęśliwiony, kroczył wśród galilejskiej zimy podniesioną głową. Jerozolima nie odważyła się zastoso-wać wobec niego przemocy i kiedy po kilku tygodniach zno-u zaczął posługiwać się tytułem komisarza rządu central-nego, odpowiedzią było głucho milczenie. Bez trudu utrzy-mywał swe granice, bronił ich przed Rzymem, rozszerzał je, zagarnął spod władzy króla Agryppy zachodni brzeg jeziora Genezaret; ufortyfikował swoje miasta. Organizował wojnę. Święte powietrze ojczyzny, owiewając go swym tchnieniem, podszeptowało mu zaskakujące, wielkie pomysły.

Rzym milczał, nie było wieści z Rzymu. Pułkownik Paulin zerwał całkowicie stosunki ze swoimi przyjaciółmi w Jerozolimie. To pierwsze zwycięstwo było bardzo łatwe. Rzymianie poprzestali na Samarii i miastach nadbrzeżnych, gdzie w oparciu o większość składającą się z Greków mieli zapewnioną władzę. Wojska króla Agryppy również unikały potyczek. W kraju panowała cisza.

Ktokolwiek posiadał jakieś mienie ruchome, o ile nie Ignął sercem do Zelotów, starał się umieścić swój dobytek na obszarach, na których władzę sprawowali Rzymianie. Podczas jednej z takich ucieczek ludzie Józefa napadli na żonę niejakiego Ptolemeusza, intendenta króla Agryppy. Stało się to w pobliżu wsi Dabarita. Dama miała ze sobą niemały bagaż, kosztowne przedmioty, pochodzące niewątpliwie z dobytku króla. Łup był pokaźny, ci, którzy go zdobyli, cieszyli się na udział w nim. Spotkało ich dotkliwe rozczarowanie. Józef kazał odstawić wszystko na rzymskie terytorium wraz z uprzejmym listem adresowanym do rąk własnych pułkownika Paulina.

Nie po raz pierwszy postępował w podobny sposób. Jego ludzie sarkali, poskarżyli się Janowi z Giskali. Doszło do zacieklej debaty między Janem, Zapitą i Józefem. Józef zwrócił uwagę, że w dawnych wojnach Rzymianie i Grecy często dawali sobie nawzajem takie dowody rycerskości. Ale Jan szalał. Jego szare, nabiegłe krwią oczy lśniły złowrogo, krótka bródka wysunęła się gwałtownie naprzód; wyglądał jak góra, która się nagle poruszyła. Wrzeszczał:

— Czyś ty oszalał? Czy sądzisz, że urządzamy tutaj igrzyska olimpijskie? Ośmielasz się zawracać ludziom głowę rycerskością, kiedy trzeba bić Rzymian? To wojna, mój panie, to nic nie wspólnego z imprezą sportową. Tu nie chodzi o wieniec z dębowych liści. Sześć milionów ludzi nie chce dłużej oddychać powietrzem zadżumionym przez Rzymian, duszą się! Rozumiesz, mój panie? — Józef nie potrafił okiełznać zacieklego rozgoryczenia tego człowieka. Jan był zdziwiony, czuł się dotknięty, pokrzywdzony. Spojrzał na Zapitę. Ten stał z ponurą miną, nie mówiąc ani słowa, nie ulegało jednak wątpliwości: Jan wypowiedział tylko to, co czuł Zapita.

Cała trójka była zbyt rozsądna na to, żeby przez podobne spory narażać na szwank stojące przed nimi zadanie. Wykorzystali zimę, by w miarę sił rozbudować obronę Galilei.

Cisza panująca w kraju stawała się coraz bardziej przyniatająca. Józef wierzył mocno w swoje szczęście, pewien, że mu nic nie grozi. Czasami jednak poprzez tę radosną pewność docierały do jego uszu przepojone nienawiścią słowa Justusa. Choć dni jego były wypełnione po brzegi pracą, słyszał często w słowach swych urzędników i oficerów, poprzez zgłębienie zgromadzeń ludowych: „Twój rabbi Józef to łajdak.” Słowa te, ich dźwięk i brzmienie, mozolny akcent aramejski, pogardę i rezygnację, z jaką były wypowiedziane, przechowywał głęboko w sercu.

W samym środku świata leżał Izrael. Jerozolima leżała w samym środku kraju. Świątynia mieściła się w samym środku Jerozolimy. Święte Świętych znajdowało się w środku Świątyni,

było pępkiem świata. Aż do czasów króla Dawida Jehowa wędrował w namiocie, mieszkał w naprędcie skleconej chacie. Król Dawid postanowił zbudować Mu dom. Kupił pole Arawny, prastarą świętą górę Syjon. Zdążył jednak tylko założyć fundamenty; nie było mu dane zbudować Świątyni, gdyż w licznych swych bitwach przelał wiele krwi. Dopiero syn jego Salomon dostąpił zaszczytu dokonania wielkiego dzieła. Budował przez lat siedem. Ani jeden robotnik nie umarł podczas tej pracy, ani jeden nie zachorował, żadne narzędzie nie zostało uszkodzone. Ponieważ przy świętej budowie nie wolno było używać żelaza, Bóg zesłał królowi cudownego robaka, zwanego *szamir*, który rozłupywał kamienie. Często zdarzało się, że się same układały na właściwym miejscu bez ludzkiego współdziałania. Wspaniale i święcie wystrzelał w górę ołtarz ofiarny, obok niego błyszczała miedziana kadź do umywania rąk kapłanów, zwana morzem, spoczywająca na dwunasta bykach. W eksedrach strzelały w niebo dwa dziwne drzewa z brązu, zwane Jachin i Boaz. Wnętrze było wybite drzewem cedrowym, posadzka wyłożona cyprysowymi deskami; drzewo zakrywało całkowicie kamień. Pod każdą ścianą stało po pięć świeczników. Święte Świętych zaś było oddzielone zasłoną, stały tam olbrzymie skrzydlate postacie cherubów, wyrzeźbione z drzewa dzikich oliwek; ptasie ich głowy patrzyły złowrogo. Ogromnymi złotymi skrzydłami chroniły arkę Jehowy, która towarzyszyła Żydom w wędrówce przez pustynię. Budowla ta stała przeszło lat czterysta, zanim jej nie zburzył Nabuchodonozor i nie zabrał świętych naczyń do Babilonu.

Wróciwszy z niewoli babilońskiej, Żydzi zbudowali nową Świątynię. W porównaniu z pierwszą wyglądała żałośnie. Aż zjawił się wielki król Herod, i w osiemnastym roku swego panowania zaczął odnawiać Świątynię. Przy pomocy tysięcy robotników poszerzył wzgórze, na którym budowla się wznosiła, podmurował je potrójnym tarasem. Zużył tyle kunsztu i pracy, by dokonać swego dzieła, że Świątynia mogła uchodzić bezspornie za najpiękniejszą budowlę Azji, wielu uważało ją za najpiękniejszą budowlę świata. Świat to oko, twierdzono w Jerozolimie, biało jest morzem, ziemia tęczówką, a Jerozolima źrenicą oka, zaś obraz odbijający się w źrenicy to Świątynia.

Nie zdobyły jej ani pędzel malarza, ani dłuto rzeźbiarza. Działała jedynie dzięki harmonii kształtów i doborowi materiałów. Otaczały ją zewsząd potężne eksedry, dawały ochronę przed deszczem i cień przed słońcem; tłumy przechadzały się po nich. Najpiękniejsza była eksedra, w której obradował Synedrion. Była tam synagoga, liczne sklepy, stragany, gdzie sprzedawano zwierzęta mające być złożone w ofierze, poświęcone i niepoświęcone wonności, mieściła się bójnia zwierząt ofiarnych oraz miennice dokonujące wymiany pieniędzy.

Kamienna krata oddzielała wszystko, co świeckie, od tego, co święte. Napisy greckie i łacińskie zabraniały groźnie przejścia, pod karą śmierci nie wolno było postawić tam kroku nikomu, kto nie był Żydem. Coraz ciaśniejszy stawał się krąg tych, którym wolno było posuwać się dalej. Wstęp do świętych krużganków był wzbroniony chorym, kalekom oraz takim, którzy przebywali w pobliżu trupów. Kobietom wolno było wchodzić tylko na jeden obszerny dziedziniec, nie miały jednak tam prawa wstępu w okresie menstruacji. Krużganki wewnętrzne były zastrzeżone dla kapłanów, ale tylko dla nie obciążonych żadnym kalectwem czy ułomnością.

Świątynia wznosiła się nad miastem na swych tarasach cała w bieli i w złocie, w oddali wyglądała jak szczyt góry okryty śniegiem. Dachy jej były pełne ostrych strzał ze złota, by nie mogło ich zanieczyścić ptactwo. Dziedziniec i eksedry wyłożone były kunsztowną mozaiką. Wszędzie znosiły się tarasy, bramy, słupy, przeważnie z marmuru; wszystko było pokryte złotem i srebrem lub najszlachetniejszym metalem, spiżem korynckim, owym jedynym stopem, który przy pożarze Koryntu powstał z roztopionych szlachetnych metali. Nad bramą prowadzącą do Świętego Przybytku Herod kazał umieścić emblemat Izraela, winną latorośl. Była bujna, cała ze

złota, grona miała wielkości człowieka.

Głośne na cały świat dzieła sztuki zdołały wewnątrz Świątyni. Był tu siedmioramienny świecznik. Siedem lamp świecznika symbolizowało siedem planet, miały to być: słońce, księżyc, Merkury, Wenus, Mars, Jowisz i Saturn. Był stół, a na nim dwanaście chlebów pokładnych; te wyobrażały koło zwierzyńcowe i rok. Była tu kadzielnica, do której sypano trzynaście rodzajów kadzideł, jakie daje morze, bezludna pustynia i zaludniona ziemia, co miało uzmysłwić, że wszystko pochodzi od Boga i dla Boga istnieje.

Wewnątrz Świątyni, w miejscu najbardziej chronionym, głęboko pod ziemią mieścił się skarbiec, w którym przechowywano złoto i kosztowności całej ziemi. Spoczywała tu również szata arcykapłana, święta obwiązka, klejnoty Świątyni oraz tiara ze złotą obwódką, nosząca imię Jehowy.

O szatę ową toczył się między Rzymem i Jerozolimą długotrwały spór, zanim wolno ją było umieścić na stałe w skarbcu Świątyni; w sporze tym przelano wiele krwi.

W sercu Świątyni, znowu za kotarą z purpury, mieściło się Święte Świętych. Było puste i ciemne, z nagiej ziemi sterczał tylko goły kamień, odłamek skały *Szethiah*. Tu, twierdzili Żydzi, przebywa Jehowa. Nikomu nie wolno było przekraczać tego miejsca. Tylko raz do roku, w dniu, w którym Jehowa jednał się ze swoim ludem, wchodził tu arcykapłan. Wszyscy Żydzi na kuli ziemskiej pościli owego dnia, eksedry i dziedzińce były zapchane ludźmi. Czekali, żeby arcykapłan wezwał Jehowę po imieniu. Imienia bowiem Jehowy nie wolno było wymawiać, sama próba zasługiwała na karę śmierci. Tylko owego dnia arcykapłan zwracał się do Boga po imieniu. Niewielu mogło słyszeć imię padające z ust kapłana, ale wszyscy wierzyli, że je słyszeli, i setki tysięcy kolan zginało się na kamiennej posadzce.

Było dla świata tajemnicą, o której wiele mówiono, co też czczone jest tak uroczyście za kotarą. Żydzi twierdzili, że Jehowa jest niewidzialny, nie ma więc jego obrazu. Ale świat nie chciał wierzyć, że pomieszczenie jest po prostu puste. Składano ofiary Bogu, był tam Bóg w widocznej postaci. Bogiem tym był niewątpliwie Jehowa. Uparci Żydzi ukrywali go tylko po to, żeby go im nie odebrano i nie zdobyto dla innych. Wrogowie Żydów, przede wszystkim zjadliwi, oświeceni Grecy, twierdzili, że przedmiotem najwyższej czci jest w rzeczywistości ośła głowa. Ale szyderstwo nie działało. Zarówno mądrzy Rzymianie, jak ponurzy, nieokrzesani barbarzyńcy milkli i wpadali w zadumę, kiedy była mowa o żydowskim Bogu, groźne Święte Świętych pozostawało dla świata tajemnicą i postrachem.

Żydzi na całej kuli ziemskiej uważali Świątynię za swoją istotną ojczyznę, za niewyczerpane źródło siły. Nad Ebro nad Indusem, nad Morzem Brytyjskim, czy w górnym biegu Nilu, wszędzie, gdziekolwiek się modlili, zwracali się warzą w kierunku Jerozolimy, gdzie stała Świątynia. Wszyscy z radością w sercu składali Świątyni ofiary, pielgrzymowali do niej albo przynajmniej planowali, że kiedyś, na Święto Paschy, złożą jej w ofierze jagnię. Kiedy im się w czymś poszczęściło, dziękowali Niewidzialnemu w Świątyni, kiedy znajdowali się w opałach, wzywali Jego pomo-y. Tylko w zasięgu Świątyni ziemia była czysta, ci, którzy lieszkali za granicą, przesyłali tutaj swoich zmarłych, żeby rzynajmniej po śmierci znaleźli się tam, dokąd należą. Rozproszeni po świecie mieli tutaj swoją ojczyznę.

Wiadomość o zdobyciu pałacu w Tyberiadzie dotarła do Rzymu pod nieobecność cesarza, który przebywał w Grecji, chcąc się tam zajmować wyłącznie sztuką, powierzył na czas swej nieobecności w Rzymie prowadzenie spraw państwowych ministrowi dworu Klaudiuszowi Helowi. Ten zwołał natychmiast radę gabinetu. Zebrało się trzydziestu siedmiu dostojników piastujących wysokie urzędy dworskie. Wiadomość o tym, że w Judei panuje na nowo wzbudzenie, poruszyła ich głęboko. Dziesięć lat temu depesza taka byłaby mało ważną wiadomością z mało ważnej prowincji. Obecnie ugodziła rząd w jego najsłabszy punkt, zagroziła

jego najważniejszemu planowi, nowej wyprawie na wzór pochodu Aleksandra.

To tych trzydziestu siedmiu dostojników dało śmiałości projektowi solidne podstawy. Stworzyli bazy w południowej Arabii torując drogę wodną do Indii, zebrali środki pieniężne na pochód do Etiopii oraz na jeszcze śmielszą od niego wyprawę do Kaspijskiej Bramy. Zgodnie z planem wojennym marszałków Korbulona i Tyberiusza Aleksandra, wojska znajdowały się w pogotowiu marszowym. Legion dwudziesty drugi oraz wszystkie oddziały, które można było wycofać z Niemiec, Anglii i Dalmacji, były już w drodze na Wschód, legion piętnasty maszerował na Egipt. I oto nagle cały wspaniały plan obalała wybuchająca raz po raz rebelia, i to właśnie na obszarze leżącym na ich szlaku. Jakże chętnie uwierzono by zapewnieniom władz miejscowych, że niebawem prowincja sama się uspokoi. I oto okazuje się, że to nie taka łatwa sprawa, że na stłumienie powstania trzeba będzie poświęcić bardzo wielu ludzi i bardzo wiele cennego czasu.

Ministrowie nie byli w swej większości Rzymianami. Byli żarliwymi Grekami, pragnęli gorąco, żeby ich Grecja, ich Wschód stał się bazą państwa. Ci doradcy i dowódcy wojenni nowego Aleksandra pienili się ze złości, że przez ten idiotyzm wspaniała wyprawa odwlecze się albo nawet może nigdy nie dojdzie do skutku.

Na zewnątrz pozostawali spokojni i uroczyści. Wielu z nich byli to synowie i wnuki niewolników i właśnie dlatego, dorwawszy się do władzy, zachowywali żelazną godność starorzymskich senatorów.

Klaudiusz Hel komentuje hiobową wieść z Judei, jej znaczenie dla wielkich projektów orientalnych. Klaudiusz Hel urodził się jako niewolnik. Wygląda ponuro i wspaniale, z twarzy jego bije niezłomna energia. Nosi sygnet cesarza. Kto inny na jego miejscu byłby towarzyszył cesarzowi do Grecji, to niebezpieczne wystawiać Nerona przez tak długi okres na oddziaływanie obcych wpływów. Ale Klaudiusz Hel wolał pozostać w Rzymie. Jest prawie pewien, że jakiś przedsięwzięty przez niego krok nie spodoba się cesarzowi. Zapewne Klaudiusz Hel umrze młodo wdychając złoty pył albo otwierając sobie żyły. Nie jest to cena zbyt wysoka za to, że się panowało nad światem.

Mówi spokojnie, lakonicznie, bez upiększeń. Zbyt lekko traktowano te zamieszki, teraz trzeba będzie spojrzeć na nie poważniej.

— Wszyscy pomyliliśmy się — przyznaje bez osłonek. — Z jednym jedynym wyjątkiem. Proszę tego, który się nie pomylił, o wypowiedzenie swego zdania.

Choć zebrani nie znoszą kościstego Filipa Talasa o sępiem nosie, spoglądają z szacunkiem na szefa wydziału wschodniego. Ostrzegał od samego początku, żeby się nie dać uśpić podstępnej, kliwej gadaninie Jerozolimy. Był trochę śmieszny z tym swoim wiecznym strachem przed Żydami i z tą swoją starczą nienawiścią. Teraz okazało się, że oko nienawiści widziało lepiej niż tolerancyjny sceptycyzm pozostałych.

Minister Filip Talas niczym nie okazał swego zadowolenia. Siedział jak zawsze zgarbiony, skulony, niepokaźny. Ale w duchu nie posiadał się ze szczęścia, miał wrażenie, że lawet jego blizna z okresu niewolnictwa jest mniej widoczna. Teraz, po zrządzonym przez łaskawych bogów spłądowaniu pałacu w Tyberiadzie, po tym nowym bezgranicznie zuchwałym złamaniu wszystkich obietnic, dojrzał czas wielkich porachunków. Nie można już poprzestać na łagodnych sądach, na powieszeniu kilku tysięcy buntowników, na kilku milionach grzywny. Muszą to teraz wszyscy przyznać. Minister Filip Talas oświadcza:

— Jerozolima winna być zburzona.

Nie podniósł głosu, głos mu również nie zadrzał. Ale była to największa chwila w jego życiu i jeżeli będzie nawet musiał pójść do grobu, umrze zadowolony. Tryumfował: *Nablion*, tak,

tak, wbrew uwadze tłumacza Zacheusza, *Nablion!* Widział pułki spadające na zuchwałą Jerozolimę, widział, jak szarpią brody jej mieszkańców, jak ich zabijają, palą domy, burzą mury, równają z ziemią pyszną Świątynię. Ale żaden ślad tej wizji nie znalazł wyrazu w jego głosie, kiedy mrukliwie, jako coś zrozumiałego samo przez się, stwierdził:

— Jerozolima winna być zburzona.

Zapanowała cisza, po chwili przerwało ją westchnienie. Klaudiusz Hel zwrócił swą piękną, opaloną twarz ku Reginusowi i zapytał, czy cesarski dyrektor połowu pereł ma coś do powiedzenia. Klaudiusz Reginus nie miał nic do powiedzenia. Teraz nie pozostawało nic innego, jak tylko odwołać się do armii.

Klaudiusz Hel zreasumował. Przewidując zgodę zebranych poprosi cesarza, by jak najprędzej rozpoczął wyprawę na Judeę. Dotychczas można było stale wyposażać kurierów udających się do Grecji w zatknięty na lancy wieniec laurowy, zwiastujący szczęście; tym razem, chcąc okazać jego cesarskiej mości, jak poważnie Rzym ocenia sytuację, każe zatknąć na lancy kuriera pióro, zwiastujące nieszczęście.

Idąc za radą Klaudiusza Hela senat kazał otworzyć świątynię Janusa, na znak, że w państwie wybuchła wojna.

Urzędujący senator Marull z pewną ironią wyraził Klaudiuszowi swe ubolewanie, że nie może dokonać tej ceremonii w związku ze świetniejszą po temu okazją. Świat zaznawał pokoju przez cały rok. Toteż Rzym był zaskoczony, kiedy teraz z trzaskiem otworzyły się ciężkie wierzeje świątyni Janusa i pojawił się obraz boga o dwóch twarzach, boga zwątpienia, który mówi: „Znany jest początek, ale nikt nie zna końca.” Wielu poczuło niemiły dreszcz, kiedy się dowiedzieli, że bardzo dobrotliwy, bardzo wielki Jowisz ich Kapitolu udał się na wojnę z niesamowitym, niewidzialnym bogiem.

W dzielnicach zamieszkałych przez drobne mieszczaństwo panowało zadowolenie, że nareszcie cesarz zabrał się ostro do Żydów. Gnieździł się wszędzie, już się rozpierali w całej dzielnicy handlowej; cieszą się, że będzie można dać upust nienawiści do konkurenta pod płaszczykiem patriotyzmu. W knajpach opowiadano sobie stare historyjki o tym, że Żydzi czczą oślą głowę, że w Święto Paschy ofiarowują temu świętemu osłu greckie dzieci. Bazgrano na murach synagogi plugawe napisy, pogrożki. W łaźni Flory bito obrzezanych i wyrzucano ich za drzwi. W jednej z garkuchni przy ulicy Subura zażądano od Żydów, by jedli wieprzowinę, opornym otwierano przemocą usta, pakowano w nie straszne, zakazane jadlo. W pobliżu Bram Trzech Gwiazd jacyś ludzie wdarli się do składu, w którym mieściły się koszerne sosy rybne, porozbijali butelki, wysmarowali Żydom ich zawartością włosy i brody. Trzeba stwierdzić, że policja wkrótce położyła kres tym wybrykom.

Panowie senatorzy, dyplomaci, przedstawiciele wysokiej finansjery krzątali się gorliwie. Trzeba było stworzyć niezliczoną ilość nowych stanowisk, w powietrzu unosił się zapach łupu. Starzy, wysłużeni generałowie nabrali animuszu. Krążyli dokoła, szpiegowali się nawzajem z błyskiem w oczach. Forum rozbrzmiewało podnieconym śmiechem,

ruch panował pod kolumnadami Liwii, na Polu Marsowym, w łaźniach. Każdy miał swego kandydata, swoje osobiste interesy; nawet przełożona westalek kazała codziennie nosić się na Palatyn i przedstawiała tam ministrom swoje życzenia.

Ceny złota, kosztownych tkanin oraz niewolników spadły na giełdach w Delos i w Rzymie, bo przecież będzie można zdobyć w Judei ogromne ilości tego wszystkiego. Natomiast wzrosła cena zboża — wojsko będzie potrzebowało wielkich ilości prowiantu. W stocznicach panowało ożywienie, pracowano gorączkowo w warsztatach okrętowych Rawenny, Puteoli i Ostii. W domach Klaudiusza Reginusa i Juniusa Thraxa, w pałacu senatora Marulla uwijali się kurierzy. Mężowie ci patrzyli na wojnę z Judeą ze szczerym smutkiem. Skoro jednak można było

przy tym robić interesy, dlaczego inni mieliby ciągnąć zyski?

Między Żydami panowały niepokój i żałoba. Wiedziano dokładnie, co się dzieje w Jerozolimie, jaką rolę odgrywa tam Józef. Czy jest do pomyślenia, żeby ten człowiek, który żył razem z nimi, ubierał się jak oni, mówił jak oni, wiedział, czym jest Rzym, czy jest możliwe, żeby ten rabbi Józef syn Mateusza stanął na czele awantury pozbawionej jakichkolwiek widoków? Klaudiusz Reginus wściekał się najbardziej na panów z Synedrionu. Jak mogli posłać do Galilei tego małego pisarzynę? Takim ludziom należy dać się wyszumieć w literaturze, a nie dopuszczać ich do wielkiej polityki. Wielu Żydów zajmujących w Rzymie wybitne stanowiska śpieszyło wyrazić rządowi swoje oburzenie z powodu postawy zajętej przez tych fanatycznych zbrodniarzy z Galilei. Rząd dawał trzęsącym się ze strachu uspokajające zapewnienia. Pięć milionów Żydów rozsianych po całym kraju, z wyjątkiem Judei, są lojalnymi poddanymi, płacą olbrzymie podatki. Rząd nie zamierza ich dyskryminować.

Wiadomości z Galilei były ciężkim ciosem dla aktora Demetriusza Libana. Był zmartwiony i równocześnie podniesiony na duchu. Zaprosił paru zaufanych przyjaciół Żydów, za szczelnie zamkniętymi drzwiami recytował im kilka rozdziałów książki o Makabeuszach. Wiedział od początku, jak wielki ogień wewnętrzny płonie w tym młodym doktorze Józefie. Ale teraz nikt nie wie lepiej od niego, jak głupia i beznadziejna jest wojna z Rzymem. Na razie Liban jest jedynym człowiekiem, na którym niepokój w Judei odbił się w dotkliwy sposób. Na ulicach bowiem znowu rozbrzmiewały obelżywe, prowokujące słowa o Żydzie Apelli. Nie dawano mu spokoju, żeby wreszcie zagrał publicznie tę rolę. W razie oporu będą mu równie namiętnie wymyślać, jak go dotąd oklaskiwali.

Wielka masa Żydów rzymskich była wstrząśnięta, zbita z tropu, zrozpaczona. Czytali w księgach: „Słyszę krzyki kobiety rodzącej, kobiety leżącej w bólach. Rozciąga córka syjońska ręce swoje, nie wie, kto by ją cieszył.” Czytali, a serca ich napełniał strach. Zamykali domy, wyznaczali posty, modlili się we wszystkich synagogach. Nikt w Rzymie nie zakłócał tych obrzędów.

Była wśród Żydów rzymskich garstka, uważająca powstanie Judei za błogosławieństwo, za spełnienie starych prorocत्व o zbawicielu. Do garstki tej należała Irena, żona doktora Licyniusza. W milczeniu słuchała wymyślań męża na tych obłąkanych zbrodniarzy, ale w głębi duszy radowała się. Uczucie jej nie zawiodło, zawsze wiedziała: Józef jest wielkim mężem w Izraelu, jednym z grona proroków, żołnierzem Jehowy.

Kurier z piórem na lancy, głoszącym niepomysłne wieści, osiągnął cesarza w stolicy jednej z prowincji greckich, w pogodnym, pełnym odświętnego gwaru Koryncie,

Młody władca nigdy chyba nie czuł się tak szczęśliwy. Grecja, najkulturalniejszy kraj świata, nosiła go na rękach, szczerze rozentuzjasmowana jego sztuką, uprzejmością, życzliwością dla ludzi. A poza tym świadomość, że cała podróż grecka jest tylko wstępem do przedsięwzięcia o wiele większego! Do połowy świata, nad którą panował, dołączy drugą, szlachetniejszą, mądrzejszą połowę! Uczyni obie części świata bogatymi i szczęśliwymi pod znakiem jego cesarskiego imienia!

Dziś ukoronował podróż rzymską wielkim przedsięwzięciem. Złotą łopatą zapoczątkował przebiecie Przesmyku Ko-rynckiego. Jutro uczci uroczyste rozpoczęcie budowy tego kanału. Sam napisał wiersze, które zakończą uroczystość, a w których bóg kroczy potężnie i każe orłu rozpostrzeć skrzydła do wielkiego lotu.

Owego dnia, zaraz po powrocie cesarza z inauguracji prac nad budową kanału, do pałacu w Koryncie przybył kurier z wiadomościami z Judei. Cesarz przeczytał raport, rzucił go na stół, przykrywając nim rękopis wiersza napisanego ku uczczeniu uroczystości. Wzrok jego padł na strofę: „Ten, który każe krążyć oceanom i obraca słońce wedle swej woli.”

Wstał wysunąwszy naprzód dolną wargę. To zawiść bogów! Patrzą niechętnym okiem na jego aleksandryjski pochod. „Ten, który każe krążyć oceanom i obraca słońce wedle swej woli.” Te końcowe strofy miały sens jedynie jako prolog do wyprawy. Teraz nie mają sensu. Gesjusz Florus, gubernator Judei, zlekceważył sobie sprawę. Oczywiście odwoła go w niełasce. Ten mięczak nie nadaje się dla tej zuchwałej Judei.

Cesarz zastanawia się. Kogo ma posłać do Judei? Jerozolima to najmocniejsza twierdza całego Wschodu, lud tamtejszy — wie to od Poppei — jest fanatyczny i uparty. Wojna musi być prowadzona ostro. Nie może trwać długo-

Dłużej niż na rok nie pozwoli pod żadnym pozorem odłożyć wyprawy aleksandryjskiej. Judei potrzeba człowieka twardego i zdecydowanego. Pozbawionego fantazji. Musi to być człowiek, który powierzoną sobie władzę zwróci wyłącznie przeciw Jerozolimie, a nie przeciw cesarzowi.

Gdzie znajdzie takiego człowieka? Wymieniają mu kilka nazwisk. Niewiele. Po dokładniejszym zbadaniu będzie ich jeszcze mniej. Wreszcie pozostanie jeden: Mucjan.

Cesarz z niezadowoleniem przymyka oczy. Z senatorem Mucjanem należy także postępować ostrożnie. Cesarz dobrze go pamięta. Przysadzisty pan, zniszczony nadużyciem rozkoszy, twarz poorana zmarszczkami, lecz starannie wypielęgnowana. Utyka lekko, więc nosi laskę, zazwyczaj jednak trzyma jedną rękę za plecami, co cesarza denerwuje. Cesarz nie znosi również drgawek przebiegających mu wciąż po twarzy. Niewątpliwie Mucjan posiada jasny, przenikliwy rozum, upora się w niedługim czasie z buntowniczą prowincją. Ale ten człowiek nieokiełznany, trawiony ambicją, raz już obalony, teraz znów u progu władzy, może się łatwo dać skusić niebezpiecznym eksperymentom.

Cesarz wzdycha niechętnie, siada znowu nad rękopisem, gładzi go z posępną miną. „Ten, który kieruje słońcem.” I właśnie najlepsza strofa musi odpaść. Teraz nie może sobie już pozwolić na powierzenie finału aktorowi, sam musi odegrać boga. Nie, nie trzeba Mucjanowi dawać takiej władzy, nie należy nikogo wystawiać na próbę. Jest późna noc. Nie potrafi się skupić, by wypełnić luki powstałe przez skreślenie strof wygłaszanych przez boga. Odsuwa rękopis. W szlafroku przekrada się do pokoju swej przyjaciółki Kalwii. Zachmurzony, z kroplami potu na obrzmiałej twarzy, ekko wzdychając, siada na jej łóżku. Raz jeszcze waży irgumenty za i przeciw. To i owo przemawia za Mucjanem. — Więc go pošlij — mówi Kalwia. To i owo mówi przeciw Mucjanowi. — Więc go nie posyłaj. — Może jednak będzie można znaleźć kogoś innego. Cesarz nie chce

o tym więcej myśleć. Dostatecznie długo wałkował argumenty, teraz wszystko zależy od natchnienia, od szczęścia, od jego szczęścia. Będzie się od tej chwili zajmował jedynie uroczystościami. Jutro, po skończonych uroczystościach, poweźmie decyzję.

Rzym czeka na nią z napięciem!

Decyzja zapadła, zanim uroczystości się skończyły. Natchnienie nawiedziło cesarza w garderobie, gdzie siedział w ciężkiej masce i wysokich trzewikach boga czekając na swój występ. Tak, mianuje Mucjana, ale doda mu kogoś, by go kontrolował. Wie już kogo. W otoczeniu jego obją się wciąż pewien stary generał; przez całe życie ledwo powąchał wysokiego urzędu, ledwo wypłynął na szczyt, zaraz zjeżdżał w dół na łeb, na szyję. Ten stały pech wytworzył dokoła niego zapaszek komizmu. Nazywa się Wespazjan. Wygląda raczej na kupca wiejskiego niż na generała, ale odznaczył się w wyprawie na Anglię i uchodzi za doskonałego żołnierza. Zirytował kiedyś cesarza. Zawsze z największym wysiłkiem ukrywał, jak ciężko mu. przychodzi słuchanie cesarskich recytacji, niedawno jednak, jakieś trzy dni temu, zasnął po prostu. Co gorsza: podczas gdy cesarz wypowiadał piękne wiersze Danae o liściach kołysanych wiatrem, zachrapał niedwuznacznie. Cesarz z początku chciał go ukarać, ale w gruncie rzeczy litował się nad

biedakiem, którego bogowie pozbawili organów potrzebnych do wchłaniania w siebie wzniosłych myśli. Dotychczas nic przeciwko niemu nie przedsięwziął. Nie dopuszczał go tylko przed swe oblicze. Dziś i wczoraj cesarz widział go przechodząc na czele orszaku: stał przygnębiony, daleki, lecz zawsze oddany. Tak, to jego człowiek. Temu nie przyjdą do głowy zuchwałe myśli. Pośle go do Judei. Wtedy ta gęba zejdzie mu na długo z oczu, a poza tym ten przebiegły, kanciasty jegomość nadaje się doskonale na to, by nie spuszczać z oka tego elegancika Mucjana. Cesarz rozdzieli pełnomocnictwa, zamianuje Mucjana gubernatorem generalnym Syrii, Wespazjana zaś marszałkiem Judei. Jeden nie będzie miał pełnomocnictw wojskowych, drugi politycznych, więc będą się wzajem szpiegować.

Mimo ciężkiej, gorącej maski boga cesarz uśmiecha się. To istotnie doskonale rozwiązanie, zrodzone z natchnienia. Wchodzi na scenę, wypowiada grzmiące słowa boga. Rola się skróciła, ale cesarz ma wrażenie, że nigdy nie recytował jej w sposób tak skończenie doskonały. Zasłużył na oklaski.

Generał Wespazjan wrócił z uroczystego obchodu do swego domku na przedmieściu, który wynajął od kupca Lachosa na czas pobytu w Koryncie. Zdjął płaszcz i strój galowy, skłął służącego za to, że nie dość pieczołowicie złożył te odświętne, szaty. Potem przywdział porządne, nieco znoszone ubranie domowe, nie zapominając o ciepłej bieliźnie, był bowiem chłodny dzień przedwiośnia, a generał miał bądź co bądź lat pięćdziesiąt osiem i reumatyzm znowu mu się dawał we znaki.

Nasrożony, z głębokimi zmarszczkami na szerokim czole ponurą miną na okrągłej, chłopskiej twarzy, kręcił się po domu. Pomimo zaciśniętych szerokich ust sapał głośno gniewnie, uroczystość miała dla niego przebieg bardzo nieuroczysty. Gdziekolwiek się zwrócił, zapadało lodowate milczenie, ledwie odpowiadano na jego ukłony, a ochmistrz Dworu Gortyn, ten lizus i świntuch, na pytanie, czy istnieją widoki, by mógł jego cesarskiej mości złożyć czołobitność, odrzekł w swym zuchwałym, greckim dialekcie prowincjonalnym:

— Niech pan sam zjada swoje nieczystości!

Ścisłej biorąc, naprawdę nie pozostawało mu nic innego.

Że też musiała mu się zdarzyć trzy dni temu ta idiotyczna historia. Po tym, co się stało, kosztowna podróż do Grecji okazała się bezcelowa. W dodatku całe to wydarzenie podczas recytacji cesarza nie było znów takie straszne. To prawda, że zasnął. Ale nie chrapał, to bezczelna potwarz tego psubrata ochmistrza dworu. Po prostu ma z natury taki głośny oddech.

Stary generał „zabijał ręce”, żeby się ogrzać. Tak czy inaczej, na pewno nie będzie dopuszczony przed cesarskie oblicze, dojrzał to dziś w teatrze nawet bez okularów. Niech się cieszy, że mu za rzekome chrapanie nie wytoczono procesu o obrazę majestatu. Najlepiej będzie wrócić do swego majątku w Italii.

Właściwie to wcale nie tak źle, że będzie mógł w spokoju dokonać żywota. Z własnej inicjatywy nie byłby pozbierał starych kości i nie pojechał w ślad za cesarzem do Grecji, żeby jeszcze raz spróbować szczęścia. Zrobił to tylko dlatego, ponieważ jejmość Cenis, jego przyjaciółka, nie dawała mu spokoju. Nigdy nie chciano mu pozwolić, żeby żył jak chłop na wsi. Ciągłe go podjudzano, póki nie wdrapał się na górę, po czym szczęśliwie znowu nie spadł na dół.

Zaczął się to jeszcze w okresie jego młodości, przez te przekłete chłopskie zabobony matki. Ta rześka chłopka uznała za szczęśliwy omen, że w dniu jego narodzin stary, święty dąb Marsa wypuścił od korzenia nowy, niezwykle bujny pęd. Zdaniem jej, syn zrządzeniem losu osiągnie w życiu więcej niż jego przodkowie: dzierżawcy podatków, bankierzy prowincjonalni i oficerowie liniowi. Jeżeli o niego chodzi, to od dzieciństwa znajdował radość w gospodarowaniu na wsi. Najchętniej zostałby przez całe życie w majątku rodziców; miał chłopski zmysł do interesów, umiał spieniężać produkty rolne. Ale rezolutna matka nie ustępowała dopóty, dopóki

mu nie przeszczepiła niezłomnej wiary w jego wielką przyszłość i wbrew jego woli nie wciągnęła go do kariery wojskowo-politycznej.

Myśląc o wszystkich niepowodzeniach, które mu ta kariera przyniosła, stary generał sapał coraz głośniejszymi, coraz mocniej zaciskał wargi. Trzy razy z rzędu powinęła mu się noga. Wreszcie, po długich mękach i wysiłkach, dochrapał się burmistrzostwa stolicy. Przez dwa miesiące wszystko szło wspaniale. Jego policja funkcjonowała, na imprezach sportowych! w teatrach służba bezpieczeństwa działała bez zarzutu, rynek był zaopatrzony znakomicie, ulice rzymskie utrzymane we wzorowym porządku. Ale potknął się właśnie o to. Pewnego razu cesarz Klaudiusz, chcąc pokazać posłom zagranicznym swą stolicę, wpadł na niefortunny pomysł ruszenia przez jedną z niewielu źle utrzymanych bocznic i cały uroczysty orszak ugrzązł w błocie. Nie namyślając się długo cesarz skinął na burmistrza Wespazjana, który z urzędu mu towarzyszył, i kazał jego galowy strój wysmarować od góry do dołu błotem i końskimi pyrami.

Wspominając to generał wykrzywił swą chytrą, chłopską twarz, uśmiechnął się złośliwie. Ta afera mimo wszystko ma przebieg pomyślny. Po pierwsze, musiał wtedy wyglądać zabawnie z rękawami ubabranymi błotem i cesarz zapamiętał sobie ten żałośnie komiczny widok jako wesołą przygodę. W każdym razie Wespazjan nie odczuł cienia niełaski, wręcz przeciwnie. Nigdy nie przywiązywał większej wagi do godności osobistej, a od tego czasu świadomie stawił z niewinną miną w najwyższym kolegium, w senacie, wnioski tak błazeńsko służalcze, że nawet to zgromadzenie, które z niejednego pieca chleb jadło, nie wiedziało, czy śmiać się, czy płakać. W każdym razie wnioski te przyjmowano.

Kiedy teraz, po tylu latach, zastanawiał się nad tym, czego dokonał, a czego zaniedbał, nie mógł sobie zarzucić braku konsekwencji. Poślubił Domitillę, porzuconą przyjaciółkę patrycjusza Kapelli; przez mętne interesy i stosunki tego bardzo obrotowego jegomościa nawiązał kontakt z ministrem Narcyzem, faworytem cesarza Klaudiusza. To był człowiek bliski jego sercu. Mógł porozumiewać się z nim swobodnie po łacinie. Żądał prowizji, ale dawał też zarabiać drugiemu, o ile ten drugi miał głowę na karku. Były to dobre czasy, kiedy Narcyz wysłał go jako generała do niespokojnej Anglii. Tam wrogami nie byli snobi-dworacy, zwalczający człowieka przy pomocy ciemnych intryg, lecz najprawdziwsze dzikusy, do których można było strzelać, tam należało zdobywać i zdobywało się rzeczy namacalne: ziemię, lasy, wyspy. W owym okresie generał był najbliższy spełnienia się proroctwa świętego dębu. Kiedy wrócił, urządzono mu tryumfalny wjazd i przyznano na przeciąg dwóch miesięcy najwyższy urząd państwowy.

Generał dmuchał w palce, by je rozgrzać, zacierał ręce. Oczywiście potem, po tych dwóch miesiącach, kiedy to wdrapał się bardzo wysoko, tym głębiej się stoczył. Tak mu już było sądzone. Przyszedł nowy cesarz, zjawili się nowi ministrowie, popadł w niełaskę. Tymczasem zmarła matka; teraz kiedy jej niezachwiana wiara przestała być dla niego bodźcem, miał nadzieję, że do końca swoich dni będzie żył w pracowitym spokoju. Osiadł na wsi, bez cienia zawiści o swego brata Sabina, który wdrapał się wysoko i trzymał się kurczowo swego stanowiska.

Ale w życie jego weszła jejmość Cenis. Pochodzi z dołów, jest córką niewolnika, cesarzowa matka Antonia kazała kształcić inteligentną dziewczynę i zrobiła z niej swą sekretarkę. Ma zrozumienie dla dążeń Wespazjana, dla trybu życia, który sobie upodobał. Tak samo jak on, nie przywiązuje najmniejszej wagi do uroczystości i dostojności i tak jak on, delectuje się rubasznym dowcipem i żołnierską chytryością, tak samo jak on, liczy szybko i trzeźwo, jak on, śmieje się z jego sztywnego brata Sabina i złości na

niego. Ale Wespazjan wkrótce stwierdził z westchnieniem, a jednak uszczęśliwiony, że mocna wiara matki w jego przeznaczenie zakorzeniła się w Cenis o wiele głębiej niż w nim. Dręczyła go dopóty, dopóki, jęcząc i przeklinając na czym świat stoi, nie pożegnał spokojnego życia, nie rzucił się w hałaśliwy wir Rzymu. Tym razem zdobył tytuł gubernatora prowincji

Afryka. Urząd ten był dlań najgorszy ze wszystkich, jakie w owych niedobrych latach piastował. Bogata bowiem prowincja — zarówno masy, jak i snobi z wyższych sfer — chciała mieć gubernatora reprezentacyjnego, a nie takiego nieokrzesanego chłopca. Gdziekolwiek się pojawił, dochodziło do awantur. W mieście Hadramet obrzucono go zgniłą rzepą. Nie wziął sobie tej rzepy do serca, tak samo jak kiedyś końskich pyr cesarza Klaudiusza, niestety jednak demonstracja ta miała bardzo dotkliwe skutki: odwołano go z urzędu. Był to ciężki cios, zainwestował bowiem cały swój majątek w tej prowincji, uwikławszy się w ciemne interesy, z których gubernator mógł wyciągnąć bardzo wiele pieniędzy, osoba prywatna ani grosza. Wróciwszy do swoich dóbr, stanowiących wspólną własność jego i brata, musiał zaciągnąć olbrzymią pożyczkę hipoteczną u nadętego Sabina na to, by się pozbyć najbardziej palących długów. W ciągu całego roku ten wesoły z natury człowiek miał tylko raz okazję do śmiechu. Prowincja Afryka wystawiła mu ironiczny kamień pamiątkowy z napisem: „Uczciwemu Gubernatorowi.” Jeszcze dziś się uśmiechał na myśl o tym jedynym, pozytywnym rezultacie swej działalności w Afryce.

Od tego czasu wszystko poszło na opak. Założył firmę spedycyjną, a także, w oparciu o rezolutną Cenis, zaczął zajmować się pośrednictwem w przydzielaniu urzędów i tytułów szlacheckich. Ale dał się złapać na mocno wątpliwej spekulacji i znowu tylko dzięki interwencji swego niemiłego pana brata, uniknął ciężkiej kary. Miał teraz lat pięćdziesiąt osiem, nikt nie pamiętał, że ciągnął kiedyś przez Forum w tryumfalnym rydwanie i pełnił godność konsula. Gdziekolwiek się pokazał, uśmiechano się i mówiono o zgniłej rzepie. Nazywano go jedynie spedytorem. Brat Sabin, pełniący funkcję prezydenta policji rzymskiej, krzywił się, kiedy padało jego imię, i mówił kwaśno:

— Dajcie spokój. Kiedy mowa o tym spedytorku, zaraz śmierdzi końskimi pyrami.

Teraz, po niemiłej przygodzie w Grecji, wszystko było raz na zawsze skończone. Właściwie dobrze się stało; przynajmniej tę nędzną resztkę życia będzie mógł spędzić wedle swoich upodobań. Zaraz jutro uda się w drogę powrotną. Przedtem musi jeszcze zakończyć w Koryncie rachunki z kupcem Lachesem, który mu wynajął dom. Zachowuje się tak, jak gdyby robił dymisjonowanemu generałowi wielką łaskę za grube pieniądze tolerując go w swoim domu. Wespazjan cieszy się na to, że temu wytwornemu, mizdrzącemu się Grekowi, który go oszukuje i okrada, jak może, da nauczki na brutalną, rzymską modłę. Załatwiwszy się z tym, wróci zadowolony do Italii, pomieszka pół roku w swoim majątku pod Cosa, drugie pół roku w swoim majątku pod Nursia, będzie hodował muły i pielęgnował oliwki, będzie popijał wino i dowcipkował z sąsiadami, a po południu zabawiał się z Cenis lub z jedną ze swoich służebnic. A potem, za lat pięć czy dziesięć, kiedy spalą jego zwłoki, Cenis przeleje wiele szczyrych łez, Sabin będzie rad, że się wreszcie pozbył kompromitującego brata, pozostali goście będą szeptać z uśmiechem o końskich pyrach i zgniłej rzepie. Tak, potężne młode pędy świętego dębu wysiliły się na próżno.

Tytus Flawiusz Wespazjan, eks-komendant legionu rzymskiego w Anglii, eks-konsul Rzymu, eks-gubernator Afryki, dymisjonowany, w niełasce u dworu, człowiek mający milion sto tysięcy sestercji długów, wezwany przez ochmistrza

Gortyna do zjadania własnego łajna, zakończył swój bilans. Był zadowolony. Pójdzie teraz do stoczni, będzie się użerać z tym greckim szachrajem o koszty podróży powrotnej. Potem poklepie Cenis po tyłku i powie: „No, stara, dobiliśmy do portu. Teraz już mnie nie wyciągniesz spod pieca, nawet gdybyś nie wiedzieć jak pyskowała.” Tak, w gruncie rzeczy był rad. Pojękując, z zadowoleniem narzucił na siebie płaszcz.

W przedśionku wyszedł mu naprzeciw kupiec Laches, niezwykle uprzejmy, cały w ukłonach i duserach. Kroczył za nim majestatycznie, z twarzą uroczystą, kurier cesarski niosąc

obwieszczający szczęście wawrzyn zatknięty na końcu lancy.

Kurier wysunął naprzód lancę, oddał honory i powiedział:

— Posłanie jego cesarskiej mości do konsula Wespazjana.

Wespazjan, który już dawno nie słyszał swego wyblakłego tytułu, zaskoczony wziął zapieczętowane pismo, raz jeszcze spojrzął na lancę kuriera. Tkwił w niej wawrzyn, nie pióro; nie mogło więc chodzić o to nieszczęsne zdrzemnięcie się podczas recytacji. Bardzo nieuroczyście złamał pieczęć w obecności zaciekawionego Lachesa i kuriera. Rozchylił wargi, cała okrągła, szeroka chłopska czaszka pokryła się zmarszczkami, uśmiechnął się. Klepnąwszy kuriera szorstko po ramieniu, zawołał:

— Laches, stary łobuzie, daj temu drabowi trzy drachmy na piwo. Nie, dwie wystarczą!
— Wymachując listem wbiegł na piętro, poklepał swą przyjaciółkę Cenis po tyłku, ryknął: — No, stara, dopłynęliśmy do portu!

Cenis i on zwykle wiedzieli najdokładniej i bez słów, co drugie myślało i czuło. Mimo to nie mogli się teraz nagadać. Trzymali się za ramiona, śmiali się do siebie, biegali po pokoju. Nic sobie z tego nie robili, że może ich ktoś usłyszeć, musieli dać upust temu, co ich poruszało.

Na pioruny Jowisza! Opłaciła się ta podróż. Podbicie buntowniczej prowincji Judei to dobra rzecz, jak by stworzona dla talentów Wespazjana. Niechaj genialni stratedzy Korbulon lub Tyberiusz Aleksander bawią się takimi utopiami, jak wyprawa w stylu Aleksandra. Wespazjan zasłaniał uszy płaszczem, kiedy była mowa o tych lekkomyślnych, imperialistycznych projektach. Ale wyprawa na Judeę trafiła staremu generałowi do serca. Poczekają panowie marszałkowie. Wespazjan teraz górą! Błogosławieni ci Żydzi! Brawo, brawo! Dawno powinni się byli zbuntować.

Wespazjan nie posiada się z radości. Cenis poleca Lache-sowi zamówić ulubione potrawy Wespazjana, choćby nie wiedzieć ile kosztowały. Niechaj Laches postara się również na popołudnie o smakowitą, niezbyt chudą dziewczynę, z którą Wespazjan mógłby się zabawić. Zdaje się jednak, że Wespazjan nie myśli o takich błahostkach, gdyż zabrał się do roboty. Nie jest to już stary chłop, lecz generał, dowódca biorący się do swego zadania z całą trzeźwością. Pułki syryjskie są po świńsku rozpuszczone, pokaże tym bykom, czym jest rzymska dyscyplina. Rząd zechce mu zapewne narzucić piętnasty legion, który obecnie wysłano do Egiptu. Albo legion dwudziesty drugi, ponieważ i tak znajduje się on w pogotowiu marszowym w związku z tą zwariowaną wyprawą na modłę Aleksandra. Ale Wespazjan nie da się tym zbyć. Trzeba będzie użerać się z gabinetem wojskowym o każdego żołnierza. A gdy zajdzie potrzeba, nie zawaha się walić pięścią w stół i mówić tym panom jasno i wyraźnie prawdę w oczy. „Moi panowie, oświadczy, nie mamy tu do czynienia z prymitywnymi dzikusami, jakimi są Niemcy, tu chodzi o naród militarnie doskonale zorganizowany.”

Dziś jeszcze zamelduje się w pałacu. Z uśmiechem wpycha stare kości w mundur galowy; jeszcze trzy godziny temu był przeświadczony, że go już nigdy nie włoży.

W rezydencji cesarskiej przyjmuje go ochmistrz dworu Gortyn. Podnosi ramię, z rozpostartą dłonią wita go oficjalnie. Następuje krótka sztywna rozmowa. Tak, jego cesarska mość przyjmie pana generała mniej więcej za godzinę. A prefekt gwardii? Pan prefekt gwardii będzie natychmiast do jego dyspozycji. Przechodząc obok ochmistrza dla odbycia konferencji z prefektem gwardii Wespazjan rzuca od niechcenia:

— No, mój chłopcze, któż teraz będzie zjadał własne łajno?

Zbyt szybko minęła ta pomyślna dla Józefa zima.

Pracował gorączkowo. Szydził z techniki Rzymian, ale nie gardził jej naśladowaniem. Nagromadził w Rzymie doświadczenia, miał nowe pomysły. Wyrwał ze swego serca wszystko, co małostkowe, wszystkie wysiłki skierował tylko na jedno: na przygotowanie obrony. Wiara

jego rosła. Czy Babilon, Egipt, Królestwo Seleukidów nie były mocarstwami równie potężnymi jak Rzym? A mimo to Judea potrafiła stawić im czoło. Czymże są najsilniejsze armie wobec tchnienia Boga? Rozsiewa żołnierzy po kraju jak puste źdźbła, maszyny wojenne wrzuca do morza jak puste łupiny orzechów.

W miastach, w eksedrach synagogi, w miejscach wielkich zebrań, na torach wyścigowych Tyberiady i Sepphoris, a także pod gołym niebem gromadził Józef wokół siebie masy, wołające: „*Marin, Marin*, pan nasz!” Stał przed nimi chudy, wąski w ramionach, z płonącymi oczyma, żywo gestykulując wyrzucał z siebie potężne słowa otuchy. Jehowa uświęcił ten kraj, teraz zżera go rzymski trąd, toczy rzymski robak. Robak musi być rozdeptany, usunięty z powierzchni, starty na proch. W imię czego ci Rzymianie rozpychają się po świecie z taką butą? Mają swoją armię, swoją śmieszna „technikę”. Można dokładnie zmierzyć te ich legiony. Każdy z nich liczy dziesięć tysięcy żołnierza, ma po dziesięć kohort, sześćdziesiąt kompanii oraz sześćdziesiąt pięć dział. Izrael ma swego boga Jehowę. Ten Bóg jest niewidzialny, zmierzyć go nie można. Ale pod jego tchnieniem kruszą się maszyny oblężnicze, a legiony topnieją. Rzym jest potęgą. Ale potęga ta już należy do przeszłości, gdyż wyciągnęła zuchwałą rękę przeciw Jehowie i jego wybrańcom, przeciw jego przodkom i dziedzicom, przeciw Izraelowi. Czas wypełnił się, Rzym jest przeszłością, za to państwo Mesjasza przyjdzie, już nadchodzi. Nadejdzie dziś, jutro, może już nadeszło. To nie do pomyślenia, żeby was, z którymi Jehowa zawarł przymierze, zaledwie tolerowano w tym jego kraju, panami zaś byli pożeracze wieprzowiny. Niech sobie przewożą swoje legiony na okrętach i przez pustynię. Wierzcie i walczcie. Mają swoje kompanie i swoje maszyny, wy macie Jehowę i jego zastępy.

Zima minęła. Wspaniałą wiosna lśniła nad winnicami, oliwkami, morwami i gajami figowymi Galilei. Brzeg jeziora Genezaret dookoła miasta Magdala, w którym Józef miał ciągle jeszcze swą kwaterę główną, był ciężki od kwiecica i woni. Ludzie oddychali łatwo i dobrze. W tych to promiennych dniach wiosennych przyszli Rzymianie.

Naprzód wdarły się do kraju z północy i od strony wybrzeża ich straż przednie, nie unikając spotkania z przednimi oddziałami Józefa. Potem zwały się całe trzy legiony na koniach i z wozami; w skład ich wchodziły liczne kontyngenty wojsk wystawionych przez państwa lenne. Na przedzie kroczyły lekko uzbrojone pułki strzelców oraz oddziały wywiadowcze. Po nich następowały jednostki broni ciężkiej. Za nimi szli saperzy, których zadaniem było zasypywanie wyrw w drogach, usuwanie zarośli i wszelkiego rodzaju przeszkód hamujących ruch zbrojnych oddziałów. Dalej ciągnęły tabory marszałka i sztabu generalnego, gwardia naczelnego dowódcy i on sam. Z kolei parła naprzód kawaleria i artyleria, toczyły się potężne maszyny oblężnicze, zwane taranami, i oglądane z podziwem działa, balisty i katapulty. Potem niesiono godła rzymskich legionów, orły, którym oddawano cześć boską. Teraz dopiero postępowała właściwa armia w szeregach po sześciu. Pochód zamykały tabory poszczególnych oddziałów, za którymi posuwały się naprzód kolumny prowiantowe, jechali prawnicy oraz płatnicy. Na samym końcu kroczył zastęp osób cywilnych: dyplomaci, miennicy, niezliczona ilość kupców, byli to przeważnie jubilerzy i maklerzy niewolników, licytatorzy spodziewanych łupów, kurierzy prywatni dyplomatów oraz wielkich kupców. Nie brakowało również kobiet.

Kiedy nadciągnęli Rzymianie, w kraju zrobiło się cicho. Wielu ochotników rozbiegło się. Armia maszerowała wolno, nieustępliwie. Wespazjan oczyszczał Galileę planowo — ląd stały, wybrzeże i morze.

Pacyfikacja zachodniego brzegu jeziora Genezaret była właściwie sprawą króla Agryppy, ten skrawek ziemi bowiem z miastem Tyberiada i Magdalą należał do niego. Ale wytworny król odznaczał się wygodną dobroduszością, nie miał ochoty do gwałtów związanych nieuchronnie ze zgnieceniem powstania. Wespazjan spełnił więc prośbę tego zaprzyjaźnionego z Rzymem i

oddanego mu władcy i przerzucił ciężar ekspedycji karnej na barki własnej armii. Tyberiada poddała się bez oporu. Mocno obwarowane miasto Magdala próbowało się bronić. Ale nie mogło się długo przeciwstawiać rzymskiej artylerii; zdrada we własnych szeregach dokonała reszty. Kiedy Rzymianie wtargnęli do miasta, wielu spośród powstańców uciekło na olbrzymie jezioro Genezaret. Zawładnęli całą niewielką flotą rybacką, Rzymianie byli więc zmuszeni ścigać ich na czółnach. Wywiązała się groteskowa bitwa morska i Rzymianie śmiali się do rozpuku, natomiast Żydzi ponieśli bardzo wielkie straty w ludziach, ponieważ nieprzyjaciel obsadził okoliczne brzegi. Rzymianie przewracali lekkie czółna, a potem urządzali na swych ciężkich tratwach pasjonujące polowania na tonących. Żołnierze spoglądali ciekawie na miotania się rozbitków, robili zakłady, czy poszczególni powstańcy będą woleli zginąć w jeziorze, czy też z ich ręki. Zastanawiali się, czy zabijać ich strzałami z łuków, czy też czekać, aż zaczną się czepiać ich ciężkich czółen i wtedy odcinać im ręce. Piękne jezioro, głośnie z bogactwa barw, było tego dnia jednostajnie czerwone, brzegi, słynne z błogich zapachów, śmierdziały przez długie tygodnie trupami, dobra woda straciła swą przejrzystość; ryby za to utyły w ciągu najbliższych miesięcy i bardzo Rzymianom smakowały. Natomiast Żydzi oraz król Agryppa przez długie lata wstrzymywali się od jedzenia ryb z jeziora Genezaret. Wśród Żydów śpiewano później pieśń, która rozpoczynała się od następujących słów:

Pod Magdala od krwi czerwone jezioro,
Pod Magdala trupami zasłane wybrzeże.

Dokładne obliczenie ustaliło wreszcie, że podczas bitwy na jeziorze zginęło cztery tysiące dwustu Żydów. Przyniosło to kapitanowi Sulpicjanowi cztery tysiące dwieście sestercji, założył się bowiem, że liczba zabitych przewyższy cztery tysiące. Gdyby się okazała niższa, musiałby zapłacić cztery tysiące sestercji oraz tyle sestercji, o ile mniej byłoby trupów niż przewidziane cztery tysiące.

W dwa dni później Wespazjan powołał swoich oficerów na naradę wojenną. O większości mieszkańców można było ustalić, czy się zachowywali spokojnie, czy też nie. Co jednak miało się stać z pojmanymi uchodźcami, którzy z całej

Galilei uciekli do warownego miasta? Było ich około trzydziestu ośmiu tysięcy. Stwierdzenie, w jakim stopniu każdy był rebeliantem, sprawiłoby zbyt wiele kłopotu. Byli zanadto podejrzani, żeby ich puścić wolno, a trzymanie ich długo w niewoli byłoby zbyt uciążliwe. Z drugiej strony wydali się na pastwę Rzymian z najlepszą wiarą i Wespazjan uważał, że wyrznięcie ich nie byłoby *fair*.

Jednakże oficerowie zasiadający w jego radzie wojennej doszli po pewnych deliberacjach do zgodnego przeświadczenia, że w stosunku do Żydów wszystko jest dozwolone i jeżeli nie da się połączyć jednego z drugim, to trzeba przed tym, co godziwe, dać pierwszeństwo temu, co pożyteczne. Po pewnym ociąganiu się Wespazjan podzielił ten pogląd. Wprawdzie zapewnił jeńców w mętnej, trudnej do zrozumienia greckiej mowie, że doznają opieki, ale postawił im do dyspozycji tylko jedną szosę, prowadzącą do Tyberiady. Jeńcy uwierzyli chętnie w to, w co uwierzyć chcieli, i wycofali się we wskazanym kierunku. Rzymianie obsadzili jednak szosę i nie pozwolili, by ktokolwiek skręcał w jakąś boczną drogę. Gdy owych trzydzieści osiem tysięcy dotarło do miasta, skierowano ich na wielki tor wyścigowy. Tkwili tu czekając w napięciu, co też przywódca rzymski im powie. Po niedługim czasie zjawiał się Wespazjan. Dał polecenie, by wydzielono chorych oraz osoby powyżej lat pięćdziesięciu pięciu. Wielu pchało się do tych wydzielonych w przypuszczeniu, że pozostali będą musieli iść pieszo, a ich odtransportują do ojczyztego kraju na wozach. Pomylili się. Kiedy selekcja została zakończona, Wespazjan kazał pozabijać wydzielonych, gdyż nie nadawali się do niczego innego. Spośród pozostałych kazał wybrać sześć tysięcy najsilniejszych i wraz z uprzejmym listem przesłał ich do Grecji Cezarowi

do pomocy przy budowie Kanału Korynckiego. Resztę kazał sprzedać na rachunek armii z przetargu jako niewolników. Kilka tysięcy darował Agryppie.

W ciągu tych zamieszek sprzedano z licytacji sto dziewięć tysięcy Żydów jako niewolników. Cena niewolników zaczęła gwałtownie spadać, w prowincjach wschodnich obniżyła się przeciętnie z dwóch tysięcy do tysiąca trzystu sestercji za sztukę.

W wieży za murami niewielkiej, mocnej twierdzy górskiej Jodfat przypatrywał się Józef, jak nadciąga z kolei legion dziesiąty. Oddziały pomiarowe wymierzały już miejsce na obozowisko. Józef znał te rzymskie obozy. Wiedział, że legiony miały w tworzeniu takich obozów doświadczenie sięgające stuleci. Wiedział, że w dwie godziny po rozpoczęciu robót wszystko będzie gotowe. Tysiąc dwieście namiotów dla każdego legionu, drogi, wały, bramy i wieże dokoła — dobrze umocnione miasto.

Józef patrzył z ponurą miną, jak Rzymianie wolno zataczali wielkie koło, jak poobsadzali okoliczne góry, jak z wielką ostrożnością posunęli się ku przepaści i dolinom. Kleszcze zostały zamknięte.

Oprócz Jodfatu tylko dwa punkty z całej Galilei znajdowały się w rękach Żydów: Góra Tabor oraz Giskala, którą dowodził Jan. Jeżeli Rzymianie zdobędą te trzy punkty, droga do Jerozolimy stanie przed nimi otworem. Przywódcy postanowili bronić twierdzy, dopóki się da, sami zaś w ostatniej chwili przebieć się do stolicy. Było tam sporo milicji, ale mało przywódców i organizatorów. Widząc, że dziesiąty legion również stoi przed jego twierdzą, Józef odczuwał coś w rodzaju gniewnej radości. Generał Wespazjan nie był tak nerwowy jak Cestiusz Gallus, a przy tym dysponował nie jednym, lecz trzema pełnowartościowymi legionami: piątym, dziesiątym i piętnastym. Józefowi trudno będzie zdobyć trzy złote orły, które z sobą niosą. Ale twierdza Jodfat ma potężne mury i wieże, leży wysoko na stromej górze, Józef zaś rozporządza ogromnymi zapasami żywności, jego ludzie, zwłaszcza ludzie Zapity, są w dobrej formie. Marszałek Wespazjan będzie się musiał dobrze natężyć, zanim zdobędzie te mury i zabierze święte zwoje z ich domu modlitwy.

Wespazjan nie atakował. Wojsko jego obozowało beczynnie jak kłoda, ale tak jak kłoda mocne. Zapewne miał zamiar czekać, aż Józef albo spróbuje wyłamać się ze swej nory, albo zdechnie z wycieńczenia.

Drogami okrężnymi doszło do Józefa pismo z Jerozolimy. Ojciec Mateusz donosił mu, że stolica nie nadeśle posiłków. Wprawdzie rabbi ben Szymon gwałtownie domagał się tego, ale są ludzie, którzy byliby radzi, gdyby Jodfat padło, zwłaszcza gdyby Józef przypłacił to życiem. Niech więc odda twierdzę, która bez pomocy z zewnątrz nie utrzyma się nawet przez dwa tygodnie. Józef rozważał przekornie. Jest maj. Gdyby Jodfat utrzymało się do lipca, może Rzymianie nie zdążyliby wyruszyć jeszcze w tym roku na Jerozolimę. Czy ci tam w eksedrach Świątyni tego nie rozumieją? Jeżeli nie, to Józef uratuje zaślepione miasto wbrew jego woli. Odpisał ojcu, że utrzyma Jodfat nie przez dwa tygodnie, lecz przez siedem razy po siedem dni. Siedem razy po siedem: słowa te nasunęły mu się same. Z taką bajeczną pewnością siebie musieli niegdyś obwieszczać swe widzenia prorocy. Ale list Józefa nie dotarł do ojca. Rzymianie przejęli go, panowie z generalnego sztabu śmiali się z nadętego żydowskiego komendanta; to wykluczone, żeby Jodfat mogło utrzymać się tak długo.

Zaczął się drugi tydzień, a Rzymianie wciąż jeszcze nie przypuszczali szturmów. Miasto było dobrze zaprowiantowane, ale zaczynało brakować wody w cysternach. Było upalne lato, obłożonych dręczyło rosnące z każdym dniem pragnienie. W poszukiwaniu wody wykradali się z miasta podziemnymi przejściami, których zawity system drążył górę. Każda taka próba była karkołomnym przedsięwzięciem. Kto wpadł Rzymianom w ręce, tego rozpinali na krzyżu.

Dowództwo nad egzekucjami sprawował kapitan Lukian. Był to w gruncie rzeczy

człowiek dobroduszny, ale nie znosił upałów i był wskutek tego często w złym humorze. A gdy wpadł w zły humor, kazał swoje ofiary przywiązywać do krzyża, co było równoznaczne ze śmiercią powolniejszą i w gorszych męczarniach. Kiedy był w lepszym humorze, kazał swoim katom przybijać skazańcom ręce do krzyża, wtedy umierali prędzej.

Co wieczora żalosne procesje wspinały się na wzgórze. Każdy ze skazańców dźwigał swój krzyż, poprzeczna belka opierała się na karku, wkrótce przywiążą im rozpostarte ręce do tych belek. Noc chłodziła zwisające ciała, ale noce były krótkie, a kiedy tylko wschodziło słońce, pojawiały się muchy oraz robactwo. Dookoła gromadziły się ptaki, bezpańskie psy czekały na żer. Mężczyźni na krzyżu wypowiadali przedśmiertne wyznanie wiary: „Słuchaj, Izraelu, Jehowa jest naszym Bogiem, Jehowa jest jedyny.” Powtarzali te słowa dopóty, dopóki usta ich zdolne były je wypowiadać; wykrzykiwali je od krzyża do krzyża. Wkrótce formułkę hebrajską przyswojono sobie w rzymskim obozie; stała się ulubionym tematem różnego rodzaju dowcipów. Lekarze wojskowi przeprowadzali obliczenia statystyczne, jak długo umiera człowiek przybity do krzyża, a jak długo ten, który jest przywiązany. Domagali się w tym celu jeńców dwojakiego rodzaju: wyjątkowo silnych i wyjątkowo słabych; stwierdzili, że skwar letni przyczynia się walcie do przyspieszenia zgonów. Na wszystkich wzgórzach dokoła stały krzyże, co wieczora rozpinano na nich nowych skazańców. Rzymianie nie mogli dać

każdemu osobnego krzyża, choć okolica była bogata w lasy.

Drzewo było im potrzebne na budowę wałów oblężniczych i podkopów przeciwko upartemu miastu. Wyrąbali wszystkie lasy dookoła i porobili z nich wały. Pracowali pod ochroną przemysłnych konstrukcji z wilgotnych skór zwierzęcych, które unieszkodliwiały ziejące ogniem pociski oblężonych. Załoga z Jodfat zazdrościła Rzymianom, że mogą w tym celu używać wody. Robili wypadki, czasami udawało im się podpalić wieże oblężnicze wroga. Ale Rzymianie w szybkim tempie naprawiali szkody; wały" i przejścia pod-pełzały coraz bliżej miasta.

Co wieczór Józef obserwował nieprzyjaciela z wież. Jeżeli podkopy dotrą do pewnego określonego punktu na północy, wówczas Jodfat będzie stracone, nawet gdyby Jerozolima przysłała wojska na odsiecz. Józef wodził wzrokiem dokoła. Wszędzie na stokach gór widniały krzyże, drogi były obrzeżone krzyżami. Skazańcy wisieli z pochylonymi naprzód głowami. Józef patrzył, zaczął machinalnie liczyć krzyże. Wargi miał suche i popękane, podniebienie wyschnięte, oczy zaczerwienione; nie brał dla siebie większej miary wody niż inni.

20 czerwca, 18 dnia miesiąca, *siwan* wedle rachuby żydowskiej, wały dotarły do owego niebezpiecznego punktu na północy. Józef wyznaczył na ten dzień nabożeństwo. Kazał zebranych głośno wyznawać grzechy. Wierni, otuleni płaszczami modlitewnymi z purpurowo-niebieskim szlakiem, bili się w piersi z całej siły i wołali żarliwie: „O Adonai, grzeszyłem, popełniałem błędy i zuchwalstwa przed Twoim obliczem.” Józef stał na przedzie jako kapłan i jak tamci wołał żarliwie: „O Adonai, grzeszyłem, popełniałem błędy i zuchwalstwa.” Czuł, że jest brudny, poniżony i zdruzgotany. Kiedy wygłaszał trzecie zdanie — wyznanie grzechów — podniósł nagle głowę instynktownym odruchem.

Z tylnych rzędów poczuł skierowane na siebie złe, uporczywe spojrzenie małych, obłąkanych oczu, zobaczył usta, usta te nie powtarzały wraz z chórem: „Zgrzeszyłem, popełniałem błędy” — lecz mówiły nieubłaganie: „Toś ty grzeszył, toś ty popełniał błędy.” Były to usta Zapity. Kiedy Józef pod koniec nabożeństwa wraz z innymi kapłanami wypowiadał słowa błogosławieństwa, kiedy z podniesionymi rękami, rozstawiwszy palce, stał przed zebranymi, którzy pochylili głowy aż do ziemi, nad błogosławiącymi kapłanami bowiem unosił się duch boży, zobaczył znowu tę samą parę oczu utkwionych w siebie. Twarz Zapity sztywnała niedwuznacznie: „Zamknij usta, Józefie synu Mateusza. Wolimy zdechnąć bez twych błogosławieństw, Józefie synu Mateusza.”

Józef był zdumiony. Nie unikał niebezpieczeństw, cierpiał pragnienie i głód jak najniżsi rangą żołnierze. Zarządzenia jego okazały się skuteczne i słuszne. Bóg był wyraźnie z nim, Józef bronił miasta dłużej, niż ktokolwiek byłby uznał za możliwe., Czego chce ten Zapita? Józef nie ma do niego żalu, nie odczuwa gniewu. Człowiek ten jest zaślepiony, bluźni.

Wypad dokonany następnego dnia przez Józefa na nieprzyjacielski wał od północy był pełen dzikiego fanatyzmu. Lepiej umrzeć w walce niż na krzyżu. Ta potężna tęsknota, chęć poniesienia śmierci w walce pozwoliła Żydom, mimo gęstego gradu pocisków, dotrzeć do punktu najbardziej zagrożonego. Położyli trupem broniących go, podpalili wały oblężnicze i maszyny wroga. Rzymianie cofnęli się. Nie tylko tutaj, lecz również na południu, gdzie nie napierano na nich zbyt silnie. Załoga Jodfatu dowiedziała się wkrótce, jaka była tego przyczyna: Wespazjan został trafiony, wódz rzymski jest ranny. Miasto szalało z radości, Józef kazał rozdać podwójne miary wody. Był to piąty tydzień. Jeżeli uda mu się wytrzymać do siódmego tygodnia, będzie to już schyłek lata i Jerozolima zostanie na ten rok uratowana.

Minął piąty tydzień, zanim Rzymianie zabezpieczyli na nowo punkt na północy. Tymczasem jednak ustawili pod murem swoje maszyny oblężnicze, tak zwane tarany. Były to potężne bale niby maszty okrętowe, mające na przedzie silne okucia w kształcie głowy baraniej. Bal ten, w połowie swojej długości ujęty liną, wisi na belce poprzecznej spoczywającej na dwóch tęgich palach. Cały zastęp żołnierzy odciąga ów taran w tył, a następnie rzuca go naprzód tłukąc o mur żelazem okucia. Żaden najgrubszy nawet mur nie mógł przez czas dłuższy oprzeć się sile tej maszyny.

Teraz wreszcie, gdy tarany popracowały przez jakiś czas, Wespazjan uznał, że twierdza dojrzała do generalnego ataku. Rozpoczął się wczesnym rankiem. Niebo zaciemniło się od pocisków, groźnie i nieprzerwanie ryczały trąby legionów, ze wszystkich wyrzutni leciały równocześnie ogromne kule kamienne, w górach rozlegały się echa machin oblężniczych. Na wałach pracowały trzy wieże wysokości siedemnastu metrów, okute żelazem, a na nich maszyny szybkostrzelne, katapulty, balisty i tym podobne wyrzutnie. Podsunęli się również bliżej łucznicy, dziurownicy i procarze. Oblężeni byli bezbronni wobec tych opancerzonych kolosów. Pod ich ochroną wyłaziły niesamowite, olbrzymie żółwie, utworzone z kohort rzymskich wojsk wyborowych; te oddziały niosły ponad głowami tarcze, ciasno złączone niby cegły w murze, dzięki którym żaden pocisk nie mógł ich dosięgnąć. Wieże pancerne pracowały w ścisłej zgodzie z żółwiami, kierowały swe pociski ku miejscom w murze wybranym przez żółwie i obrońcy byli zmuszeni wycofywać się stamtąd. Szturmujący dokonali już w murze pięciu równoczesnych wyłomów i zaczęli przerzucać pomosty. W tym momencie jednak, kiedy Rzymianie nie mogli strzelać, nie chcąc narażać własnych ludzi, obrońcy chlusnęli na szturmujących wrzącą oliwę, która wsączyła się pod żelazo pancerzy; ponadto zasypali przerzucane pomosty śliskim greckim sianem, wskutek czego szturmujący zaczęli ześlizgiwać się w dół.

Noc zapadła, ale szturm Rzymian nie ustawał. Przez całą noc waliły głośno pociski, pracowały równocześnie wieże oblężnicze i wyrzutnie. Trafieni koziołkowali groteskowo z murów. Rozlegały się wrzaski, stękania i jęki. Noc była pełna tak potwornego huku, że przywódcy polecieli walczącym na murach, by pozatykali sobie uszy woskiem. Józef słuchał wrzawy i zgiewu z dziką satysfakcją. Był to dzień czterdziesty szósty; utrzyma miasto siedem razy po siedem dni. Potem nadejdzie dzień pięćdziesiąty i nastąpi cisza. Może cisza ta to będzie śmierć. Bez względu na to, co się stanie, szczęśliwy w tym zgiewu, rozkoszował się z góry ciszą owego pięćdziesiątego dnia, mając w pamięci słowa: „Naprzód szaleje burza, ale później zjawia się wśród ciszy.

Jednemu z obrońców udało się tej nocy zrzucić z góry na taran olbrzymi głaz z taką siłą, że mu ów łeb barani odtrącił, sam zaś natychmiast poskoczył w dół, łeb w ręce chwycił, wdarł się

z nim znowu na mur i pięciokrotnie trafiony, wijąc się z bólu, runął w dół poza obręb muru. Był to Zapita.

Józef pochylił się nad konającym. Zapita nie może zejść ze świata, zanim nie odpokutuje za bluźnierstwo. Dokoła stało dziesięciu mężów, którzy zwrócili się do konającego z następującymi słowami: „Słuchaj, Izraelu, jedyny i wieczny jest nasz Bóg Jehowa, niechaj ten człowiek idzie na śmierć ze skruchą.” Zapita targał rozpaczliwie brodę, poruszał ustami, ale Józef widział, że nie były to słowa skruchy. Pochylił się nad nim niżej. Konający mrugał złowrogo i boleśnie małymi obłąkanymi oczkami, usiłował coś powiedzieć. Józef zbliżył ucho do jego wyschniętych warg; nie

mógł nic zrozumieć, ale było wyraźne, że Zapita chce rzucić jakieś pogardliwe słowa. Józef był zdziwiony i pełen troski, że ten zaślepieniec trwa nadal w uporze. Powziąwszy błyskawiczną decyzję powiedział cicho i namiętnie:

— Słuchaj, Zapita, nie dopuszczę, żeby Rzymianie stanęli tego lata pod Jerozolimą. Utrzymam miasto jeszcze trzy dni. Nie przebiją się do Jerozolimy, jak to postanowiliśmy zgodnie. Przetrwam tu aż do czwartego ranka.

Mężowie otaczający Zapitę wrzeszczeli: „Słuchaj, Izraelu.” Józef patrzył na Zapitę uporczywie, niemal błagalnie. Zapita musi uznać swoją winę, musi umrzeć pojednany. Ale nabiegłe krwią oczy Zapity skryły się pod powiekami, ukazując białka, podbródek opadł. Józef złożył obietnicę trupowi.

Od tego dnia Józef prawie nie sypiał. Był ciągle na murach. Twarz mu płonęła, powieki bolały, podniebienie miał spuchnięte, ogłuchł niemal od ciągłego zgiełku, ochrypl. Ale się nie oszczędzał. Wytrzymał trzy dni, aż nadeszła północ dnia czterdziestego dziewiątego, wtedy zapadł w kamienny sen.

O świcie, pierwszego lipca, w pięćdziesiąty dzień od rozpoczęcia oblężenia, Rzymianie zdobyli twierdzę Jodfat.

Józef spał niecałe dwie godziny, kiedy go obudzono z krzykiem: „Już są tutaj!” Zaspany chwycił, co mu wpadło pod rękę: mięso, chleb, pas kapłański wyszywany w kwiaty, swoją nominację na komisarza, kości, które mu kiedyś darował aktor Demetriusz Liban. Wskoczył na ulicę tonącą w porannej mgle. Ludzie, którzy znaleźli się przy nim, pociągnęli go z sobą; skryli się w podziemnym przejściu, rozszerzającym się w dość obszerną pieczarę.

Było ich w tej pieczarze kilkunastu, znajdował się tu również jeden ciężko ranny; mieli żywność, ale tylko jed

no wiadro wody. W dzień nie tracili nadziei, w nocy okazało się, że o ucieczce nie ma co marzyć. Przejście podziemne było kręte, powikłane, można było wyjść przez nie tylko do miasta, którego strażę rzymskie czujnie pilnowały.

Następnego dnia ranny skonał. Na trzeci dzień skończył się zapas wody, na czwarty żołnierze, wyczerpani długim oblężeniem, byli wszyscy bez wyjątku chorzy i na pół obłąkani z pragnienia.

Piątego dnia Józef leżał w kącie pieczary. Podłożył pod głowę niebieski pas kapłański, okrył twarz szatą, czekał, aż przyjdą Rzymianie i zatłuką go. Wnętrznosci go paliły, próbował raz po raz przetykać ślinę, choć wiedział, że to niemożliwe, puls walił jak szalony, czuł łamanie w kościach. Zamknięte powieki tarły rozpalone oczy, w ciemności tańczyły przed nim punkty i koła, rosły, kurczyły się, lśniły, pochłaniały nawzajem. Słodka i silna była pokusa przyspieszenia śmierci, pozbawienia się życia. Jedną pozostawała nadzieja: może przedtem będzie można się napić. Może Rzymianie, zanim go ukrzyżują, pozwolą mu zwilżyć gardło. W Jerozolimie istnieje stowarzyszenie litościwych niewiast, które skazanym na ukrzyżowanie dają na drogę napój z wina i mirry. Byłaby to dobra śmierć. Odsuwa z głowy szatę, uśmiecha się suchymi wargami.

Widzi przed sobą wyraźnie wielką cysternę z wydawaną na miarę wodą, z wielką, ogromną ilością wody. Wobec tego, że Rzymianie są już tutaj, nie trzeba przecież oszczędzać wody. Że też dotąd nie przyszło mu to do głowy! Widzi siebie w drodze do cysterny. Wielu jest na tej drodze. Ale on przedziera się przez tłum rozkrzyczanych Żydów i Rzymian, którzy tłoczą się na ulicy, jest przecież dowódcą; tłum rozstępuje się przed nim. Józef, straszliwie spragniony, idzie prosto do cysterny. Pić! Dokoła cysterny nie ma już straży. Ale jakiś człowiek stoi i nie pozwala mu pić.

„Odejdź, proszę, Zapito. Jeżeli nie pozwolisz mi pić, zabiję cię. Czy byłem kiedy tchórzem? Czy żądałem dla siebie specjalnych względów wśród padających pocisków i pożarów? Nie podnoś tak głupio zdrowym ramieniem baraniej głowy. Wiem przecież, że nie żyjesz. Nikczemny kłamca z ciebie, Zapito, choćbyś stokrotnie umarł. Odejdź!”

Bolesne, daremne przełykanie śliny drażni Józefowi spuchnięte gardło, odrywa go od jego widziadeł. Znowu naciąga szatę na twarz. Chce to wszystko odrzucić precz. Kiedy był na pustyni, czynił pokutę, potrzebne mu były widzenia; teraz chce, żeby w jego mózgu panowały jasność i porządek. Ani myśli zdychać tylko dlatego, że od kilku dni nie pił wody. Zapewne, człowiek, który przez kilka dni nie wypije ani kropli, musi zginąć, to fakt bezsporny, ale nie on! Tak, inni zdechną w końcu z pragnienia. Ale on? Nie, to niemożliwe. Ma jeszcze za wiele do zrobienia, tyle czasu stracił. Gdzie są kobiety, których nie miał, gdzie jest wino, którego nie pił, gdzie są cuda ziemi, których nie widział, książki, których nie napisał? Właściwie dlaczego nie wziął wtedy tej Poppei? Miała na sobie suknię z tkaniny cieniutkiej jak pajęczyna, przeświecały przez nią włosy. Były z pewnością koloru bursztynu. Iluż kobiet nie tknął! Widzi uda, piersi, twarze...

Nie są to twarze, lecz stosy owoców, piętrzące się na rynkach, okrągłe, soczyste owoce, figi, jabłka, olbrzymie winogrona. Chce się w nie wgryźć, żuć je, przełykać; kiedy jednak po nie sięga, każdy owoc ma znowu nikczemne, żółtawobrazowe oblicze, które zna tak dobrze. „Nie, przeklęty psie, nie umrę, tej przyjemności ci nie zrobię. Jesteś żalonym pedantem, mądrą małpą ze swoimi posągami, całą swoją symetrią i swoim systemem. Chcesz mówić o Judei? Co ty o tym wiesz? Byłeś kiedyś przy tym? Brałeś w tym udział? Przecież ty nie masz krwi w żyłach, łajdaku. Jeżeli

Judea rozbiła na miazgę twój przeklęty pałac bożków, to miała rację, po dziesięćkroć, i ja rozbijam go razem z nią. Nie myśl, że fantazuję, nie, mam straszne pragnienie, ale wiem doskonale, że to nikczemne siedząc w Rzymie naigrawać się z Makabeuszów. To cyniczne, nędzne! Jesteś żalowaną postacią, Justusie z Tyberiady.”

W głowie huczą liczne głosy: „*Marin, Marin!*” I jeden wśród nich cienki, pokorny: „To ten!”

Nie, nigdy nie pozwolił temu głosowi zapanować nad sobą, nigdy nie popadał w pychę, nie bluźnił. To kusiciel wystawia teraz jego słabość na próbę i sprawia, że Józef znowu słyszy ten głos. Tak, to na pewno tylko zuchwały podstęp kusiciela, który chce odwrócić od niego oblicze Jehowy.

Z wielkim trudem klęka, bije czołem o ziemię, wylicza w męce wszystkie grzechy. Mówi dumnie: „O Adonai, nie grzeszyłem, nie błędziłem. Daj mi pić, święciłem Twoje imię. Chcę wody. Nie pozwól swemu słudze zginąć z pragnienia; służyłem ci uczciwie, musisz mi dać wody.”

Nagle w pieczarze rozległ się głos, chrapliwy, znany Józefowi głos rzymskiego oficera. Otaczający go żołnierze zaczęli nim potrząsać. Nie ulega wątpliwości, że to głos bardzo rzeczywisty. Mówi po grecku, wiadomo mu, iż dowódca galilejski znajduje się w pieczarze i jeżeli ci, co są w niej zamknięci, poddadzą się, zostaną ułaskawieni.

— Dajcie mi pić — rzekł Józef.

— Macie godzinę do namysłu — odpowiedział głos. — Za godzinę wykurzymy was z tej pieczary.

Na twarzy Józefa pojawił się błogi uśmiech. Zwyciężył. Przechytrzył zmarłego Zapitę i zuchwałego, żyjącego Justusa, który mu bronił owoców, gdy konał z pragnienia. Teraz napije się i będzie żył.

Ale wśród otoczenia Józefa kilku nie chciało słyszeć o poddaniu się. Pamiętając o zajściach w Magdali, sądzili, że

W razie pochwycenia ich, Rzymianie co najwyżej oszczędzą Józefa do chwili pochodu tryumfalnego, ale pozostałych ukrzyżują lub sprzedadzą jako niewolników. Postanowili walczyć. Na pół obłąkani z pragnienia, zastąpili Józefowi drogę. Woleli raczej zabić go aniżeli dopuścić do tego, by się poddał Rzymianom.

Józef chciał tylko jednego: pić! Czy Rzymianie naprawdę oszczędzą ich, czy nie, to dalsza sprawa. Tak czy inaczej, napoją go, a ci dumie mu nie pozwalają. Przecież to obłąkańcy, oszalałe psy. Byłoby śmieszne, gdyby po tylu mękach sam pozbawił się życia nie zwilżywszy ust. Ze wszystkich zakamarków wyczerpanego mózgu zbierał siły, żeby się tamtym przeciwstawić, żeby pić, żeby żyć.

Długo ich przekonywał, daremnie. Ledwie potrafił wykrztusić ze siebie ostatnią propozycję: niechaj każdy nie zabija się sam, niech jeden drugiego zabije, będzie to mniejszy grzech. Uznali słuszność jego słów, przyjęli propozycję i to ich uratowało. Kazali mianowicie rozstrzygać losowi, kto ma kogo zabić, rzucali kostki, które podarował Józefowi Demetriusz Liban. Jeden prosił drugiego o przebaczenie, umierali więc z wyznaniem grzechów na wargach. Kiedy Józef pozostał samowtór, ruszył po prostu przejściem prowadzącym z pieczary do Rzymian. Ten drugi stał przez chwilę nieruchomo, potem popęzł za nim.

Zaprowadzono Józefa do pułkownika Paulina. Wyciągnął ku niemu ramię z rozpostartą dłonią, przywitał go radośnie, jak sportowiec zwyciężonego przeciwnika. Józef nie oddał ukłonu. Waląc się z nóg poprosił:

— Wody!

Dano mu pić. Dokonał najpobożniejszego czynu w życiu, zmusił się do wypowiedzenia słów: „Bądź błogosławiony, Boże nasz, Jehowo, któryś stworzył wszystko przez swoje słowo.” Potem dopiero zaczął pić. Uszczęśliwiony zwilżał wargi, usta, gardło, domagał się coraz więcej wody, żałował, że chwilami dla zaczerpnięcia oddechu musi przerywać picie. Uśmiechał się szeroko, głupawo i pił dalej. Żołnierze stojący dokoła niego uśmiechali się dobrodusznie, patrzyli.

Pozwolono Józefowi umyć się nieco, oczyścić odzież, nakarmiono go, zaprowadzono związanego do kwatery dowódcy. Droga wiodła przez cały obóz. Wszędzie tłoczyli się żołnierze, każdy chciał zobaczyć nieprzyjacielskiego wodza. Wielu uśmiechało się dobrodusznie; a więc to jest człowiek, który im przez siedem tygodni przysparzał tyle kłopotu? Dzielny chłop! Niektórzy, rozżaleni śmiercią kolegów, grozili, wymyślali. Inni dowcipkowali pokpiwając sobie z tego, że wygląda tak młodo i taki jest wychudzony.

— No, Żydku, kiedy zawiśniesz na krzyżu, ptaki i muchy nie będą miały wyzerki.

Józef, choć zaniedbany, ze zmierzwionymi włosami, zarośnięty, brudny, szedł wśród tej całej cizby ze spokojem. Groźby i dowcipy nie miały się go, niejeden z żołnierzy spuszczał wzrok przed jego smutnymi, rozgorączkowanymi oczami. Kiedy jeden z żołnierzy opłuł go, nie powiedział ani słowa, poprosił tylko, mając ręce związane, żeby otarło ślinę, gdyż nie przystoi, żeby tak stanął przed dowódcą.

Droga przez obóz była długa. Namioty, namioty, zaciekawieni żołnierze. Potem ołtarz

obozowy. Przed nim niezgrabne, złote, wrogie, potężne orły trzech legionów. I znowu namioty. Józefowi, straszliwie osłabionemu, trudno było utrzymać się na nogach, ale siła woli pozwalała kroczyć po drodze hańby z podniesioną głową.

Kiedy wreszcie dotarł do namiotu, zobaczył obok pułkownika Paulina tylko jednego młodzieńca. Miał na sobie odznaki generalskie, był krępy, przysadzisty, twarz miał okrągłą i szczerą, krótki podbródek, silnie naprzód wysunięty w kształcie ostrego trójkąta. Józef zorientował się od razu, że to jest Tytus, syn marszałka. Młody generał przysunął się do niego o kilka kroków.

— Przykro mi — powiedział uprzejmie — że miałeś takiego pecha, rabbi Józefie. Biłeś się wspaniale. Nie docenialiśmy was, Żydów, świetni z was żołnierze. — Widząc wyczerpanie Józefa kazał mu usiąść.

— Skwarne macie lato — powiedział. — Ale tu w namiocie panuje miły chłód.

Tymczasem spoza kotary przedzielającej namiot wszedł sam Wespazjan. Ubrany po domowemu, zjawił się wraz z okazałą, rezolutną damą. Józef podniósł się, spróbował złożyć rzymski ukłon. Marszałek zwolnił go od tego obowiązku dobrodusznym gestem.

— Proszę się nie trudzić. Diabło młodo wyglądasz, mój Żydku. Ile masz lat?

— Trzydzieści — odparł Józef.

•— Widzisz, Cenis — rzekł Wespazjan uśmiechając się — jak daleko zajść można w tym wieku.

Jejmość Cenis przyglądała się Józefowi dość niezyczliwie.

— Ten Żyd nie bardzo mi się podoba — oświadczyła bez ogródek.

— Nie znosi Żydów — tłumaczył Wespazjan Józefowi — bardzo się przestraszyła, kiedyście mi rozwalili nogę kamienną kulą. Alarm był zresztą przesadny — nie ma już śladu.

Kiedy jednak zbliżył się do Józefa, było widoczne, że jeszcze trochę kuleje.

— Pozwól, niech cię dotknę — powiedział Wespazjan

i obmacał go jak niewolnika. — Chudy, chudy — stwierdził sapiąc ciężko musieliście niejedno wycierpieć. Ale mogliście to kupić taniej. Zdaje się, mój młodzieńcze, że masz bujną przeszłość. Opowiadano mi o tym. Znam historię twoich trzech, rzekomo niewinnych, którzy później tak zdenerwowali naszego Cestiusza Galla.

Był zadowolony. Myślał w duchu, że gdyby nie ci trzej starcy, ten zuch, gubernator Cestiusz, nie byłby zapewne odwołany i on, Wespazjan, nie stałby tu teraz.

— Jak sądzisz, młodzieńcze? Czy mam ruszyć na Jerozolimę jeszcze w tym roku? Chętnie przyjrzałbym się waszemu Wielkiemu Sabbatowi w Świątyni. Ale tyś zatrzymał mnie tak długo z tym swoim Jodfatem. Rok ma się już ku końcowi. A jeśli ci w Jerozolimie będą tacy zaciekli, jak wy tutaj, to sprawa może się długo przeciągnąć.

Powiedział to mimochodem, żartobliwie. Ale Józef widział jasne, bystre oczy w szerokiej, pooranej bruzdami chłopskiej twarzy Wespazjana, słyszał jego ciężki oddech

i nagle, wiedziony wieszczą intuicją, zrozumiał: ten Rzymianin w skrytości ducha nie chce iść na Jerozolimę. Wcale mu na szybkim zwycięstwie nad Judeą nie zależy. Nie wygląda na takiego, który łatwo oddaje to, co raz dostało się w jego ręce. Chce utrzymać swoją armię, swoje trzy wspaniałe, znakomicie wyćwiczone legiony. Z chwilą zakończenia wyprawy zabiorą mu je bez długich ceregieli i przestanie być marszałkiem. Józef nie miał wątpliwości: ten generał nie chce w tym roku ruszyć na Jerozolimę.

świadość ta dodała mu nowego bodźca. Odczuwał jeszcze we wnętrzościach wstrząsające przeżycia w pieczarze. Wiedział, że teraz dopiero rozpoczyna się dla niego wyścig o życie, świadomość, że Rzymianie wcale się do Jerozolimy nie kwapią, dawała mu niesłychany atut. Powiedział cicho, ale stanowczo:

— Mówię ci, generale Wespazjanie, że w tym roku nie ruszysz do Judei. W przyszłym zapewne również nie. — Wytężając wzrok, powoli, jak by wygfzebując z siebie słowa, dodał: — Jesteś przeznaczony do większych czynów.

Wszyscy byli zaskoczeni tą niespodziewaną odpowiedzią. Ten żydowski oficer, który bił się nienagannie, wyraża się w dziwny sposób. Wespazjan zmrużył oczy, przyjrzał się swemu jeńcowi.

— Patrzcie państwo — rzekł drwiąco — a więc prorocy w Judei nie wymarli?

Szyderstwo to jednak brzmiało łagodnie, była w nim zachęta, życzliwość. Ta Judea kryła wiele rzeczy godnych uwagi. W jeziorze Genezaret żyje ryba, która krzyczy głośno; wszystko, co sadzą na polach sodomskich, czernieje i rozpada się w popiół. Morze Martwe unosi każdego, bez względu na to, czy umie pływać, czy nie. Wszystko tu jest bardziej dziwaczne niż gdziekolwiek na świecie. Dłaczegóż ten młody Żyd, choć był dobrym politykiem i żołnierzem, nie miał być także po trosze błaznem, a po trosze kapłanem?

Tymczasem mózg Józefa pracował w szalonym tempie. Wobec tego Rzymianina, który trzymał w ręku jego życie, nagle ożyły znowu od dawna poniechane słowa, słowa ociężałych, pospolitych ludzi z szynku w Kaphamaum. Wyprężył się skwapliwie, przecież chodziło o jego życie; zobaczył nagle jasno i wyraźnie to, co tamci zaledwie glucho przeczuwali.

— Niewielu jest proroków w Judei — odparł — i wypowiedzi ich są mętne. Głosili nam, że Mesjasz pochodzi z Judei. Źle ich rozumiejąc, wszczęliśmy wojnę. Teraz, kiedy stoję przed tobą, konsulu Wespazjanie, w twoim namiocie, pojąłem znaczenie ich słów. — Skłonił się bardzo uniznienie, ale głos jego pozostał spokojny i umiarkowany. — Mesjasz przyjdzie z Judei, ale nie jest Żydem. Ty nim jesteś, konsulu Wespazjanie.

To zawrotnie zuchwałe kłamstwo zdumiało wszystkich znajdujących się w namiocie. Słyszeli o Mesjaszu. Cały Wschód o nim gadał. Mesjasz był półbogiem, ta część ziemi oddawała się marzeniom, że zmartwychwstanie, by pomścić na Rzymie ujarzmiony Wschód. Istota ciemna, tajemnicza, pobudzająca nieco do drwin, jak wszystkie wytwory wschodnich zabobonów, ale pociągająca i groźna.

Cenis wstała, usta miała na wpół otwarte. Jej Wespazjan — Mesjaszem? Przypomniała jej się historia świętego dębu. Trudno przypuścić, żeby Żyd coś o tym wiedział. Patrzyła na Józefa nieufnie, z zakłopotaniem. To, co powiedział, było wielkie i pocieszające, szło całkowicie po linii jej nadziei; mimo to ten człowiek ze Wschodu wydawał jej się niepokojący.

Młody generał Tytus, fanatyk dokładności, lubił utrwalać szczegółowo i dokładnie ludzkie wypowiedzi; przyzwyczyił się machinalnie stenografować rozmowy. Teraz pisał również. W pewnej chwili we wzroku jego pojawił się wyraz zdziwienia. Byłby to dla niego zawód, gdyby ten młody, dzielny żołnierz okazał się oszustem. Nie, naprawdę nie wyglądał na oszusta. Może mimo prostego i naturalnego sposobu bycia był opętany, jak tyłu na Wschodzie? Może długie głodowanie i pragnienie doprowadziły go do obłądu?

Wespazjan patrzył swymi chytrymi, chłopskimi oczyma w pełne szacunku oczy Józefa. Józef długo wytrzymał to spojrzenie. Pocił się, choć w namiocie nie było zbyt gorąco, więzy wżerały się w ciało, szata drapała. Mimo to nie spuścił oczu przed Wespazjanem. Wiedział, że jest to chwila decydująca. Może Rzymianin odwróci się po prostu z gniewem albo ze wstrętem, może każe go zawlec na krzyż albo na statek wiozący niewolników do kopalni egipskich. A może jednak Rzymianin mu uwierzy. Musi mu uwierzyć. Czekaając na odpowiedź modlił się w duszy żarliwie: „Boże, spraw, żeby mi Rzymianin uwierzył. Jeżeli nie uczynisz tego dla mnie, uczyn to dla Twej Świątyni. Jeżeli bowiem Rzymianin uwierzy, jeżeli istotnie w tym roku nie ruszy na miasto, wtedy w następnym roku może miasto Twoje i Twoja Świątynia dadzą się uratować. Musisz sprawić,

Boże, żeby Rzymianin uwierzył. Musisz, musisz. ” Stał tak, modląc się, niespokojny o swoje życie, wytrzymując wzrok Rzymianina, w niesłychanym napięciu, i czekał na odpowiedź.

Rzymianin powiedział tylko:

— No, no, nie tak gwałtownie, młodzieńcze.

Józef odetchnął. Ten człowiek nie odwrócił się, nie kazał go zabrać. Józef wygrał.

Półgłosem, szybko, pełen otuchy ciągnął dalej:

— Proszę, uwierz mi. Jeżeli nie przebiełem się do Jerozolimy, jak było naszym zamierzeniem, jeżeli wytrzymałem do końca w Jodfat, to dlatego jedynie, by ci to powiedzieć.

— Bzdury — mruknął Wespazjan — przebicie się do Jerozolimy było niemożliwe.

— Otrzymywałem z Jerozolimy listy i wysyłałem tam listy — wtrącił Józef — a więc i sam byłbym się przedostał.

Siedzący przy stole Tytus rzekł z uśmiechem:

— Przechwyciliśmy twoje listy, rabbi Józefie.

Do rozmowy wmieszał się skromnie pułkownik Paulin:

— W jednym z przechwyconych listów było napisane: „Utrzymam twierdzę Jodfat siedem razy po siedem dni. ” Śmiałyśmy się z tego; ale Żydzi istotnie utrzymali twierdzę siedem tygodni.

Wszyscy popadli w zadumę. Wespazjan uśmiechnął się do Cenis.

— No, Cenis — powiedział — ten młodzieniec ze swoimi trzema niewinnymi stał się właściwie przyczyną, że w ostatniej chwili bóg Mars nie zblamował się doszczętnie z tym swoim dębem, który puścił nowy pęd.

Marszałek jest człowiekiem światłym. Ale dlaczego nie miałby wierzyć w znaki, jeżeli to nie krzyżuje jego planów? Niejednokrotnie mylono się w tłumaczeniu sobie tych znaków, z drugiej strony istnieją wiarygodne świadectwa o zdumiewającej nieomyślności pewnych jasnowidzów. A co się tyczy niewidzialnego Boga Żydów, który przebywa w Jerozolimie w swoim ciemnym najświętszym przybytku, to dlaczego miałby puszczać mimo uszu słowa, które ten Bóg żydowski mu przekazuje, a które są tak zgodne z jego własnymi planami? Dotychczas sam dokładnie nie wie, czy ma ruszyć na Jerozolimę, czy nie. Rząd nalega, musi być gotów z wyprawą jeszcze w lecie. Ale byłoby naprawdę nie szczęściem nie tylko dla niego, lecz i dla państwa, gdyby ta armia wschodnia, którą tak dobrze wymusztrował, po zbyt szybkim zwycięstwie znowu została rozbita i przeszła w niepewne ręce. Właściwie ten drab wyświadczył mu ze swoim niezdołym Jodfatem nie tyle jaką przysługę i Bóg, który przez niego przemawia, nie jest złym doradcą.

Józef zakwitł jak wyschnięte pole po deszczu. Bóg jest miłosierny; nie ulega wątpliwości, że marszałek mu wierzy. Dlaczegoż by zresztą nie? Ten, który przed nim stoi, jest naprawdę owym mężem, o którym powiedziane było, że przyjdzie z Judei, żeby sprawić sąd nad światem. Czyż nie jest napisane w Piśmie: „Liban wpadnie w ręce potężnego męża? ” Czy hebrajskie słowo *adir*, czyli potężny, nie znaczy tyle, co cesarz, imperator? Czy na określenie tego barczystego, chytrego, jasno myślącego człowieka można znaleźć słowo lepsze, bardziej właściwe?

Głęboko schylił głowę przed Rzymianinem, przykładając rękę do czoła. Słowa o Mesjaszu oraz stare, ponure słowa o tym, że Jehowa pobije Izrael, by go wybawić od win, są jednoznaczne; ten Rzymianin zjawił się po to, by je spełnić. Jak oliwka daje oliwę, kiedy się ją wyciska, tak Izrael daje ze siebie to, co w nim najlepsze, kiedy się go ciśnie, a ten, który to czyni, zwię się Wespazjan. Tak, Józef znalazł ostatni, rozstrzygający argument. Doznał uczucia głębokiego spokoju, poczuł w sobie siłę. Potrafi obronić swą tezę przed najbardziej wytrawnym rabbinem Akademii Jerozolimskiej. Pieczara Jodfat była pełna hańby i cierpienia, ale tak jak owoc

ludzki rodzi się we krwi i kale, tak i ona wydała dobry owoc. Wstąpiła w niego nadzieja.

Ale Cenis krążyła niezadowolona dokoła jeńca.

— Przez tego człowieka przemawia strach przed krzyżem — dogadywała. — Ja posłałabym go do Rzymu albo do Koryntu. Cesarz winien go sądzić.

— Nie posyłajcie mnie do Rzymu — błagał Józef — od was zależy decyzja o moim losie i o losie nas wszystkich.

Był wyczerpany do ostateczności, ale było to błogie wyczerpanie, gdyż nie odczuwał już strachu. Tak, w głębi ducha czuł, że ma przewagę nad Rzymianinem. Stał przed Rzymianinem, wypowiadał śmiało słowa pochlebstwa, korzył się przed nim, ale już miał wrażenie, że nim kieruje. Rzymianin był nieświadomie różgą w ręku Boga, natomiast Józef stanowił świadomie pobożne narzędzie Jehowy. To, co odczuwał spoglądając po raz pierwszy z wyżyn Kapitolu na Rzym, spełniło się w dziwny sposób. Trzyma w ręku losy Rzymu. Wespazjan to człowiek, którego wybrał Bóg, ale Józef jest człowiekiem, który ma nim kierować wedle woli boskiej.

Marszałek powiedział skrzeczącym głosem, w którym brzmiała groźba:

— Żydku, uważaj. Stenografuj dobrze, synu mój Tytusie. Może będziemy mieli kiedyś ochotę wziąć go za słowo. — Czy możesz mi powiedzieć — zwrócił się do Józefa — kiedy stanę się tym cudownym Mesjaszem?

— Tego nie wiem — odparł Józef i nagle wybuchnął: — Trzymajcie mnie do tego czasu w kajdanach. Pozbawcie życia, gdyby to miało trwać za długo. Służyłem wiernie Zelotom, dopókim wierzył, że Bóg jest w Jerozolimie, a mężowie jerozolimscy są jego pełnomocnikami. Będę ci wiernie służył, konsulu Wespazjanie, odkąd wiem, że Bóg jest w Italii, ty zaś jesteś jego pełnomocnikiem.

Wespazjan rzekł:

— Biorę cię jako jeńca do mojej służby osobistej. — A kiedy Józef chciał mu przerwać, dodał: — Nie ciesz się przedwcześnie, mój Żydku. Możesz nosić dalej swój pas kapłański, ale będziesz nosił również kajdany, dopóki się nie okaże, co w twoim proroctwie było prawdziwe.

Marszałek napisał do cesarza i senatu, że w tym roku musi zadowolić się utrwaleniem osiągniętych zdobyczy.

Na posterunkach wyznaczonych przez Cestiusza Galla telegrafiści czekali wciąż na wiadomość o upadku Jerozolimy. Wespazjan kazał wycofać posterunki.

KSIĘGA TRZECIA

CEZAREA

W najbliższym otoczeniu Wespazjana traktowano Józefa nieźle. Dowódcy służył za doradcę w sprawach dotyczących zwyczajów żydowskich i stosunków osobistych poszczególnych Żydów; chętnie go widział przy sobie. Ale okazywał, że nigdy w pełni nie ufa jego informacjom, kazał je często sprawdzać, niejednokrotnie boleśnie go wykpiwał i upokarzał. Józef przyjmował szyderstwa i upokorzenia z układną skromnością i na wszelkie sposoby starał się okazać użyteczny. Stylizował odezwy dowódcy do ludności żydowskiej. Pełnił funkcje rzeczoznawcy w razie sporu między władcami okupacyjnymi a urzędnikami żydowskimi, wkrótce współpraca jego stała się nieodzowna.

Wśród Żydów uchodził za tchórzliwego sprzedawczyka, choć ze wszystkich sił trudził się dla nich i kłopotał.

W Jerozolimie nienawiść do niego musiała być śmiertelna. Wprawdzie do strefy okupowanej przez Rzymian docierały ze stolicy tylko niejasne słuchy, nie ulegało jednak wątpliwości, że ludzie spod znaku Makabeusza byli tam nieograniczonymi panami, wprowadzili rządy terroru i osiągnęli rzucenie na Józefa klątwy. Wśród dźwięków trąb obwieszczono: „Niechaj Józef syn Mateusza, niegdyś duchowny, będzie przeklęty, zdruzgotany i obłożony anatamą. Niechaj go nikt nie ratuje od ognia, ruiny, wody, od czegokolwiek, co go może unicestwić. Niechaj każdy odrzuci jego pomoc. Niechaj księgi jego będą uznane za księgi fałszywego proroka, dzieci jego za bękarty. Niechaj każdy myśli o nim przy wypowiedaniu dwunastej spośród Osiemnastu Prośb — prośby o przekleństwo na głowę donosicieli i zdrajców. Jeżeli będzie szedł drogą, niechaj każdy trzyma się od niego w odległości siedmiu kroków, jak od trędowatego.”

W wyjątkowo jaskrawy sposób wyraziła swą pogardę dla Józefa gmina Meron w Galilei Górnej, jakkolwiek leżała na obszarze obsadzonym przez Rzymian i krok tego rodzaju był niebezpieczny. Tu w Meronie ktoś zawołał kiedyś: „Oto on!”, tu ludzie z Meronu kazali zalać miedzią ślady kopyt jego konia Strzały i miejsca te uznawali za święte. Teraz zataczali wokół głównej ulicy łuk, ponieważ kiedyś na powitanie Józefa zasypali ją kwieciami i zielenią. Na miejscu będącym niegdyś główną ulicą zasiali w uroczystej ceremonii trawę, by zarosła droga, po której stapał zdrajca, i pamięć o nim wygasła.

Józef zagryzł wargi, zmrużył oczy. Jego poczucie godności osobistej okrzepło pod wpływem doznanej obelgi. Przybył w orszaku Wespazjana do Tyberiady. Tutaj dokonał decydującego czynu w swoim życiu, przez te ulice przeciągał wielki i płomienny na Strzale, bohater i przywódca swego kraju. Stwardniał. Z dumą dźwigał teraz po ulicach Tyberiady kajdany, nie zważał na ludzi, którzy nań pluli, którzy go omijali z daleka. Nie wstydził się losu, który z dyktatora Galilei uczynił go niewolnikiem Rzymian, pogardliwie poklepywanym po ramieniu.

Przed jednym wszakże sztuczna jego duma nie potrafiła się opancerzyć. Przed pogardą Justusa, który patrzył na niego niewidzącymi oczyma. Justus urywał rozpoczęte zdanie, kiedy Józef wchodził do pokoju, odwracał opaloną twarz. Józef chciał się wytłumaczyć. Przecież ten człowiek tyle wie o ludzkim sercu, więc musi go zrozumieć. Ale Justus nie dopuścił do tego, by Józef skierował doń choćby jedno słowo.

Król Agryppa zabrał się do odbudowy swego zburzonego pałacu. Józef dowiedział się, że Justus prawie całe dni spędza na rozległym placu. Ciągłe wchodził na wzgórze, na którym

wznoszono nowy pałac, szukał sposobności spotkania się z Justusem. Wreszcie zastał go samego. Był jasny dzień zimowy. Justus siedział na występie muru; kiedy Józef zaczął mówić, spojrział w górę i zakrył głowę płaszczem, jak by mu się zimno zrobiło. Józef nie wiedział, czy go słyszy. Mówił do niego, prosił, zaklinał, starał się wytłumaczyć. Czy potężny błąd nie jest więcej wart niż wątpliwa prawda? Czy nie trzeba doznać uczuć Makabeuszy, zanim się je odrzuci?

Justus milczał. Kiedy Józef skończył, podniósł się śpiesznie, nieco niezdarnie. Bez słowa minął stojącego przed nim w błagalnej postawie. Józef spoglądał w ślad za nim upokorzony, rozgoryczony, patrzył, jak tamten z trudem przełazi przez ogromne kamienie, opuszcza miejsce budowy, nad którym unosił się zapach wapna i świeżego drzewa.

Justus miał wielu wrogów w Tyberiadzie. Rozsądek nie był tu popularny ani wśród rzymsko-greckiej ludności, ani wśród Żydów. A Justus był rozsądny. Dopóki pełnił funkcję komisarza miasta, pośredniczył między Żydami i ludnością nieżydowską, dążąc do utrzymania pokoju. Bez powodzenia. Żydzi uważali, że jest zbyt grecki, Grecy, że jest zbyt żydowski. Grecy brali mu za złe, że nie wystąpił ostrzej przeciw Zapicie i nie przeszkodził zburzeniu pałacu; wiedząc jednak, że król Agryppa ceni wysoko swego sekretarza, po zdobyciu miasta nadal milczeli. Ale teraz, ośmieleni obecnością rzymskiego marszałka, wnieśli skargę, w której twierdzili, że jeżeli powstanie w Galilei przybrało takie rozmiary, to Żyd Justus jest głównym tego winowajcą.

Król Agryppa, starając się w tych niepewnych czasach dać Rzymianom jeszcze większe dowody oddania, nie miał odwagi stanąć w obronie swego urzędnika. Pułkownik Longin zaś, najwyższy sędzia w armii Wespazjana, wyznawał zasadę, że lepiej skazać niewinnego niż dać ujść winnemu. Sprawa wyglądała więc niedobrze dla Justusa. Sam Justus, pełen pogardy dla ludzi, wyniosły, zgorzkniały, bronił się bez rozmachu. Niech go sobie król opuszcza. Justus wie, kto ponosi winę za całe zło, które spadło na Galileę. Temu błyskotliwemu, powierzchownemu dryblasowi wszystko, co czyni, przynosi szczęście. Niechaj go sobie teraz Rzymianie głaszczą i rozpieszczą. Wszystko jest marnością. Justus był przepojony gorzkim fatalizmem.

Ze względu na króla Agryppę pułkownik zabrał się do sprawy bardzo sumiennie. Wezwał Józefa na świadka. Mając teraz w rękę losy Justusa, Józef miotał się szarpany wątpliwościami. Justus przeniknął wzrokiem najbrudniejszy zakątek jego serca, od niego teraz zależy, czy ten człowiek ma zniknąć na zawsze, czy nie. Justus potrafił znaleźć wystarczające wytłumaczenie na wszystko i dla każdego. Tylko nie dla niego. Dla niego miał jedynie milczenie i pogardę. Józef wyzbył się nadmiernej dumy, ćwiczył się w pokorze, chodził w kajdanach, ale pogarda przebija nawet pancerz żółwia. Jakże łatwo raz na zawsze usunąć tego, który go tak boleśnie dotknął i znieważył. Nie trzeba nawet kłamać, wystarczy, jeżeli zeznania Józefa będą letnie.

Zeznanie jego było namiętne i dla Justusa pomyślne. Z wielką siłą przekonania i mocnymi argumentami dowodził, że nikt konkretniej nie bronił sprawy pokoju i Rzymu aniżeli rabbi Justus, Ci, co go oskarżają, to kłamcy albo durnie.

Pułkownik Longin przedłożył zeznanie marszałkowi. Wespazjan zaczął sapać. Dobrze obserwował swego jeńca i wietrzył, że tych dwóch ludzi łączy jakieś szczególne, na wskroś osobiste więzy. Poza tym ten rabbi Justus jest typowym literatem i filozofem, nie należy więc do ludzi niebezpiecznych. Marszałek umorzył sprawę, oddał Justusa do dyspozycji jego pana, króla Agryppy.

Król Agryppa przyjął srodze doświadczonego sekretarza bardzo uprzejmie, czuł, że zawinił wobec niego. Justus zdawał sobie jasno sprawę, jak mu jest niewygodny. Uśmiechał się szyderczo — znał ludzi. Zaproponował swemu panu, że uda się do Jerozolimy dla zabezpieczenia tam praw Agryppy; poza tym wyraził gotowość działania na rzecz pokoju zimą, kiedy wojna przycichła. Wobec tego, że w Jerozolimie rządzą teraz Zeloci, było to przedsięwzięcie zarówno

beznadziejne, jak i niebezpieczne. Nikt się nie spodziewał, by sekretarz króla wrócił żywy.

Justus zaopatrzył się w fałszywe papiery. Kiedy wyruszał, na drodze jego stał Józef. Justus minął go w milczeniu, nawet nań nie spojrzawszy.

Podczas targów, odbywających się późnym latem w Cezarei, zobaczył Józef wydymacza szkła Aleksasa z Jerozolimy, syna Nachuma. Przypuszczał, że jak większość Żydów, będzie go obchodził z daleka. Ale, o dziwo, Aleksas podszedł do niego, przywitał się z nim. Kajdany i ciężąca na Józefie anatema nie powstrzymały go od wdania się z nim w rozmowę.

Aleksas kroczył obok Józefa postawny i jak zawsze ożywiony, ale oczy jego stały się mętniejsze i bardziej zatroskane. Wykradzenie się z Jerozolimy było połączone z niebezpieczeństwem, gdyż Zeloci zbrojnie przeciwstawiali się opuszczaniu miasta i udawaniu się na obszar zajęty przez

Rzymian. Tak, w Jerozolimie panowały się obłęd i brutalna przemoc. Po usunięciu wszystkich niemal elementów umiarkowanych Zeloci żarli się między sobą. Szymon bar Giora zwalczał Eleazara, Eleazar Jana z Giskali, Jan Szymona. Byli zgodni tylko w jednym: w zwalczaniu rozsądku. Biorąc rzecz trzeźwo, niebezpieczeństwo tej wyprawy do Cezarei nie pozostawało w żadnym stosunku do korzyści, gdyż Aleksas nosił się z niezłomnym zamiarem powrotu. Był zdecydowany mieszkać dalej w tym mieście, które dusiło się w bezsensie i ślepej nienawiści Makabeuszów. Była to z jego strony głupota. Ale kochał ojca i braci, nie mógł żyć bez nich, nie chciał ich opuścić w nieszczęściu. W ostatnich dniach nie był jednak w stanie znieść obłędu tego miasta. Musiał znowu odetchnąć świeżym powietrzem, musiał zobaczyć na własne oczy, że istnieje świat rozsądniejszy.

Właściwie stanie tutaj z Józefem i gawędzenie z nim było wzbronione; kiedy w Jerozolimie dowiedzą się o tym, Makabeusze nigdy mu tego nie darują. Józef jest też niemało winien, że sprawy tak się potoczyły. Mógł niejednemu zapobiec w Galilei. Ale też i niejedno znowu naprawił. W każdym razie Aleksas uważa za wielką zasługę, za zwycięstwo rozsądku, że Józef nie zginął w Jodfat razem z innymi, że przeszedł do Rzymian z pochyloną głową. „Lepszy żywy pies niż zdechły lew” — zacytował.

— W Jerozolimie myślą oczywiście inaczej — ciągnął dalej z goryczą i opowiedział, jak Jerozolima przyjęła upadek twierdzy Jodfat. — Całe miasto wzięło udział w dzikiej i wspaniałej uroczystości żałobnej dla bohatera, który tak nieprawdopodobnie długo bronił twierdzy.

Aleksas opowiadał szczegółowo, jak w domu starego Mateusza w sposób uroczysty, w obecności arcykapłanów i członków Synedrionu przewrócono łóżko, w którym sypiał Józef. Potem ojciec jego Nachum ben Nachum, w rozdartej szacie, z głową posypaną popiołem, wręczył starymu Mateuszowi z polecenia mieszczaństwa w przepisany koszu z wikliny żałobną potrawę z soczewicy. Cała Jerozolima była obecna, kiedy stary Mateusz po raz pierwszy odmówił modlitwę Kadisz wypowiadając słowa, które wolno wypowiedzieć tylko wtedy, kiedy w Izraelu umarł ktoś wielki.

— I co dalej? — zapytał Józef.

Aleksas uśmiechnął się złowieszczym uśmiechem. Opowiedział, że oczywiście, kiedy się dowiedziano, iż Józef żyje i zdał się na łaskę Rzymian, nastąpiła tym gwałtowniejsza zmiana nastroju. Przyjaciel Józefa z lat młodości, doktor Amram, postawił wniosek skazania Józefa na banicję, tylko niewielu członków Synedrionu, wśród nich rabbi Jochanan ben Zakkai, miało odwagę wypowiedzieć się przeciw temu. Kiedy ze stopni prowadzących do Świątyni Przybytku ogłoszono anatemę i banicję Józefa, eksedry Świątyni były przepełnione jak w Święto Paschy.

— Tak już jest na świecie — powiedział do Józefa z serdecznym uśmiechem ukazując rząd dużych, zdrowych zębów na tle czarnej, kwadratowej brody — kto się opowie po stronie rozsądku, musi cierpieć.

Rozstał się z Józefem. Okazały, tęgi, zatroskany, kroczył wśród kramów; Józef zobaczył później, że kupił u handlarza trochę kwarcu w proszku i gładził czule delikatny pyłek; długo musiał się zapewne obywać bez tego cennego dla swej sztuki tworzywa.

Józef wspominał często tę rozmowę. Uważał już w Jerozolimie, że Aleksas ma sąd jaśniejszy niż jego ojciec Nachum, ale sercem był po stronie głupiego Nachuma, a przeciw mądrymu Aleksasowi. Teraz wszyscy byli przeciw niemu, z wyjątkiem mądrego Aleksasa. Kajdany, do których, jak mu się zdawało, już nawykł, gniotły, tarły dotkliwie skórę. Z pewnością kaznodzieja miał rację: lepszy żywy pies niż zdechły lew. Czasami jednak żałował, że nie zginął w Jodfat razem z innymi.

Markus Licyniusz Krasus Mucjanus, gubernator generalny Syrii, biegł gorączkowo po obszernych salach swego pałacu w Antiochii. Był przekonany, że tym razem Wespazjan nie znajdzie już wymówki, żeby dalej zwlekać z wyprawą. Po wytępieniu elementów umiarkowanych przez Zelotów buntownicy żarli się między sobą. W Jerozolimie toczyła się wojna domowa, wiadomości były jasne i pewne. Nie miało sensu nie wykorzystać tej szansy. Wespazjan musi wreszcie wyruszyć, rozpocząć oblężenie miasta, zdobyć je, zakończyć wojnę. Mucjan czekał z ogromnym napięciem na raport z posiedzenia rady wojennej, która teraz, ku końcowi zimy, miała opracować wytyczne kampanii wiosennej. Raport ten leżał przed nim. Znaczna większość członków rady wojennej, nie wyłączając syna Wespazjana, młodego generała Tytusa, uważała, że należy niezwłocznie maszerować na Jerozolimę. Ale spedytor, ten bezwstydnym, nieokrzesany gbur, ten od końskich pyr, znalazł nowy wybieg. Wewnętrzne walki między Żydami, dowodził, doprowadzą w niedługim czasie do tego, że zdobycie miasta pociągnie za sobą o wiele mniejsze ofiary aniżeli teraz. Marsz na Jerozolimę w chwili obecnej byłby daremnym przelewem krwi najlepszych rzymskich legionistów, której trzeba oszczędzać. Wespazjan jest więc za tym, żeby czekać i na razie okupować nie zajęte dotychczas obszary na południu. Sprytny jest ten Wespazjan. Skąpy był, ale nie w swoich wymówkach. Ten nie odda tak prędko dowództwa.

Potężny Mucjan, z laską za plecami i wyciągniętą naprzód kościstą głową, biegł wściekły tam i z powrotem. Nie był już młody, przekroczył pięćdziesiątkę. Życie pełne wspaniałych grzechów, których nigdy nie żałował, wypełnione było studiami nad niewyczerpaną różnorodnością dziwów natury, wzlotami i upadkami, bogactwem i biedą. Teraz, jeszcze w pełni sił, zostawszy panem tej do głębi podniecającej, prastarej Azji, kipiał ze złości, że młody przerafinowany cesarz każe mu dzielić tak wspaniałą kąsek z tym wstrętnym gburem. Już prawie rok znosi obok siebie tego chytrego spedytora, zmuszony obcować z nim jak równy z równym. Ale ma już tego dosyć. Oczywiście orientował się w zamiarach marszałka równie dobrze, jak w zamiarach cesarza. Ten chłop nie będzie mu dłużej zagrażał drogi. Mucjan wyruszy wreszcie ze swojej Azji, za wszelką cenę położy kres tej bezmyślnej wojnie żydowskiej.

W pośpiechu i wielkim gniewie podyktował Mucjan cały stos listów: do cesarza, do ministrów, do zaprzyjaźnionych senatorów. Trudno zrozumieć, dlaczego marszałek jeszcze dziś, na początku lata, po tylu przygotowaniach, wiedząc, iż przeciwnik jest osłabiony przez spory wewnętrzne, wciąż jeszcze uważa, że Jerozolima nie dojrzała do wzięcia jej szturmem. Mucjan nie chce snuć gorzkich rozważań, jak bardzo to mało energiczne prowadzenie wojny zaszkodziło planom wyprawy szlakiem Aleksandra. Ale jedno jest pewne: jeżeli strategia ociągania się będzie kontynuowana, prestiż cesarza, senatu i armii może się zachwiać na całym Wschodzie.

Listy te dotarły do Rzymu w chwili bardzo niekorzystnej dla zamierzeń Mucjana. Prowincje zachodnie bowiem zameldowały właśnie o sprawach znacznie ważniejszych i bardziej niemiłych. Gubernator Lyonu, niejaki Vindex, zbuntował się; podobno ma za sobą sympatię całej Galii i Hiszpanii. Depesze brzmiały niepokojąco. W tych warunkach jedynie minister Talas

wysłuchał raportu Mucjana. Starzec uważał, że generał Wespazjan obraża go osobiście, odkładając na tak długo zburzenie Jerozolimy. Odpowiedział Mucjanowi ze zrozumieniem, potakiwał mu całym sercem.

Z tą odpowiedzią w ręku gubernator generalny postanowił sam rozmówić się ze spedytorem, pojechał więc do Cezarei, do głównej kwatery Wespazjana.

Marszałek przyjął go z uśmiechem, wyraźnie ucieszony. Wespazjan, Tytus i Mucjan leżeli przy stole, ton rozmowy był serdeczny. Powoli, przy deserze, przeszli do polityki. Mucjan podkreślił, że jest daleki od mieszania się do cudzych spraw; to Rzym, to rzymscy ministrowie nalegają na zakończenie wyprawy. Jeżeli o niego chodzi, całkowicie rozumie motywy marszałka, ale z drugiej strony życzenie Rzymu wydaje mu się tak ważne, że gotów jest dać żołnierzy ze swoich legionów syryjskich, gdyby Wespazjan ruszył na Jerozolimę. Młody generał Tytus, żądny okazania wreszcie swych talentów wojskowych, przyłączył się z ożywieniem do tych słów:

— Uczyni to, ojczcie, uczyni! Oficerowie moi palą się do tego, cała armia pali się, żeby podbić Jerozolimę.

Wespazjan patrzył z zadowoleniem, jak na rozsądnej, zniszczonej rozpustą, chciwością i ambicją twarzy Mucjana pojawił się wyraz aprobaty dla jego syna Tytusa, aprobaty będącej mieszaniną sympatii i namiętnego zaciekawienia. Marszałek uśmiechnął się. Choć bardzo kochał syna, nie powiedział mu jednak ani słowa o istotnych motywach, które nim kierowały. W głębi duszy był przekonany, że chłopiec zna je równie dobrze jak ten chytry Mucjan albo jego Żyd Józef. Cieszyło go jednak, że Tytus zareagował tak gwałtownie. Tym łatwiej przyszło mu zamaskować motywy osobiste argumentami rzeczowymi.

Później, kiedy zostali z Mucjanem sam na sam, Mucjan wyciągnął list ministra Talasa. Wespazjan poczuł respekt dla takiej zawziętości. Człowiek ten był odrażający, ale mądry — można z nim mówić szczerze. Rzekł więc:

— Daj spokój, ekscelencjo. Wiem, chcesz mnie zaznaczyć teraz z opinią jakiegoś wpływowego w Rzymie sralucha, który cię zapewnia, że Rzym zginie, jeżeli natychmiast nie ruszę na Jerozolimę.

Przysunął się do Mucjana, dyszał mu teraz prosto w twarz; trzeba było całej uprzejmości Mucjana, żeby się nie cofnąć. Wespazjan powiedział jowialnie:

— Nawet gdybyś mi pokazał jeszcze dziesięć takich listów, łaskawco, ani mi się śni!

Podniósł się, stękając pogładził ramię, które nękał artretyzm, jeszcze bliżej przysunął się do gubernatora i dodał poufale:

— Słuchaj, Mucjanie. Jedliśmy już chleb z niejednego pieca, nie ma potrzeby, byśmy odgrywali przed sobą komedię. Mnie wino przemienia się w ocet, kiedy muszę oglądać twoją twarz, przez którą przebiegają drgawki, i twoją laskę za plecami, ty dostajesz mdłości słysząc moje sapanie i wachając zapach mojej skóry. Mam rację, co?

Mucjan odpowiedział uprzejmie:

— Proszę, mów dalej.

Wespazjan ciągnął więc:

— Niestety jednak jesteście wprzęgnięci do jednego dyszla. Był to diablo chytry pomysł jego cesarskiej mości. Czy jednak nie powinniśmy być równie chytry? Wielbłąd i bawół źle się czują przy jednym dyszlu, można wygrywać przeciwko sobie z powodzeniem Greków i Żydów, ale my dwaj, stare wygi, które się tyle w życiu napatrzyły, czyż nie możemy się pogodzić?

Mucjan mrugał gwałtownie i nerwowo powiekami.

— Śledzę uważnie bieg twoich myśli, konsulu Wespazjanie — powiedział.

— Czy masz wiadomości z Zachodu? — zapytał Wespazjan bez ogródek, nie spuszczać z niego spojrzenia jasnych oczu.

— Masz na myśli Galię?

— Widzę, że jesteś zorientowany — odparł Wespazjan z uśmiechem. — Daj spokój z listem swego rzymskiego popiecznika. Rzym ma teraz kłopoty.

— Ze swoimi trzema legionami niewiele dokonasz — rzekł Mucjan cierpko. Odłożył laskę, otarł grzbietem małej, wypielęgnowanej dłoni pot z górnej wargi.

— Racja — odparł jowialnie Wespazjan. — I właśnie dlatego proponuję ci umowę. Twoje cztery legiony niewiele są warte, ale razem z moimi trzema wyborowymi będziemy ich mieli siedem. Trzymajmy te siedem legionów w kupie, aż Zachód lepiej zorientuje się w sytuacji.

Wobec milczenia Muczana perswadował mu w dalszym ciągu:

— Zanim sytuacja na Zachodzie się wyjaśni i tak się mnie nie pozbędziesz. Bądźże rozsądny.

— Dziękuję ci za szczere i konkretne wywody — odparł Mucjan.

W ciągu następnych tygodni trzymały Muczana w Judei rzekomo naukowe zainteresowania, pracował bowiem nad wielkim dziełem, nad geografią i etnografią imperium, a Judea pełna była osobliwości. Młody Tytus towarzyszył gubernatorowi w jego wycieczkach, stenografując często wypowiedzi tubylców. Było tu źródło Jerycho, które w dawnych czasach nie tylko zniszczyło plody ziemi i owoce drzew, lecz działało również zabójczo na płodność kobiet i w ogóle przynosiło zagładę wszystkiemu, co żywe, aż prorok Elizeusz przy pomocy modlitw i sztuki kapłańskiej oczyścił je, i źródło zaczęło działać wprost przeciwnie. Mucjan obejrzał również Jezioro Asfaltowe, zwane Morzem Martwym, które potrafi unieść na sobie najcięższe przedmioty i wyrzuca je od razu na powierzchnię, kiedy się je gwałtownie zanurza. Mucjan kazał to sobie zademonstrować, kazał wrzucać do wody ze związanymi na plecach rękami ludzi nie umiejących pływać, patrzył z zainteresowaniem, jak się utrzymują na powierzchni. Potem objechał okolice Sodomy, szukał śladów ognia zesłanego z nieba, zobaczył w jeziorze zamglone kontury pięciu zatopionych miast, zrywał owoce, które barwą i kształtem przypominały owoce jadalne, ale które jednak, gdy się je zrywało, rozsypywały się w proch i popiół.

Pytał o wszystko, wszystko chciał wiedzieć, notował i kazał notować. Pewnego dnia znalazł notatki pisane własną ręką, choć wiedział dokładnie, że ich nie robił. Okazało się, że są one dziełem Tytusa. Młodzieniec ten umiał tak dokładnie wżyć się w charakter cudzego pisma, że ci, których pismo podrabiał, nie potrafili odróżnić falsyfikatu od oryginału. Mucjan poprosił Tytusa, żeby mu napisał linijek charakterem pisma ojca. Tytus uczynił to; istotnie nie sposób było stwierdzić, że to falsyfikat.

Najdziwniejszym jednak ze wszystkiego, co Mucjan widział i przeżył w owych tygodniach spędzonych w Judei, pozostał dla niego jeniec wojenny, uczony kapłan, generał Józef syn Mateusza. Już pierwszego dnia w Cezarei pojmany Żyd wpadł gubernatorowi w oko, kiedy w kajdanach snuł się po ulicach miasta. Wespazjan zbył półsłówkami pytania dotyczące Józefa. Ale nie mógł przeszkodzić temu, żeby zaciekawiony Mucjan nie wdał się z tym kapłanem Józefem w rozmowy. Czynił to często. Wkrótce zauważył, że Wespazjan uważa swego jeńca za rodzaj wyroczni, że w wypadkach wątpliwych kieruje się jego wskazaniem, oczywiście nie dając poznać jeńcowi, jaką do nich przywiązuje wagę. Zainteresowało to Muczana, uważał bowiem marszałka za trzeźwego racjonalistę. Mówił z Józefem o różnych rzeczach na ziemi i niebie i zdumiewał się, jak przedziwnie mądrość wschodnia zmienia grecką wiedzę o świecie Żyda Józefa. Znał duchownych wszelkiego rodzaju, kapłanów Mitry i Aumu, barbarzyńskich kapłanów angielskiej Sulis i niemieckiej Rosmerty, ale ten kapłan Jehowy, choć zewnętrznie tak mało różniący się od Rzymianina, pociągał go bardziej niż inni.

Równocześnie nie zaniedbywał niczego, żeby w miarę możliwości wyprowadzić na czyste wody swój stosunek do marszałka. Wespazjan miał rację. Dopóki sytuacja na Zachodzie i w

Rzymie jest niejasna, obydwaj panowie na Wschodzie, gubernator w Syrii i naczelny dowódca w Judei, mają wspólne cele. Wespazjan ustalił z całą swoją rubaszną szczerością, do jakich granic może dojść w praktyce ta wspólnota celów. Żaden z nich nie przedsięwzięmie bez zgody drugiego ważnych kroków w dziedzinie politycznej czy wojskowej; w swoich oficjalnych raportach do Rzymu będą intrygować przeciw sobie, odtąd jednak w sposób ściśle między sobą ustalony.

Wespazjan, nie odznaczający się hojną ręką, był zaniepokojony, jaki to podarunek pożegnalny wyprosi sobie na podróż powrotną rozrzutny i chciwy gubernator. Mucjan zażądał jednego: jeńca, Żyda Józefa. Marszałek, z początku zaskoczony taką skromnością wymagań, już byłby się zgodził. Ale zaraz się rozmyślił. Nie, nie odda swego Żyda.

— Wiesz przecie — rzekł uśmiechając się jowialnie — że spedytor jest skąpy.

Gubernator osiągnął przynajmniej tyle, że Wrapazjan zgodził się na to, by Tytus pojechał z nim na czas jakiś do Antiochii. Marszałek zorientował się z miejsca, że Tytus ma być czymś w rodzaju zakładnika, gwarantem, iż Wespazjan dotrzyma umowy. Ale to go nie uraziło. Dał Mucjanowi eskortę, która go odprowadziła na statek płynący do Antiochii. Przy pożegnaniu Mucjan powiedział uprzejmie:

— Konsulu Wespazjanie, syn twój Tytus posiada wszystkie zalety, nie odziedziczył twoich wad.

Wespazjan sapał długo, wreszcie odpowiedział:

— Niestety, ekscelencja nie ma Tytusa.

Wespazjan oglądał w dokach Cezarei jeńców wojennych, którzy mieli zostać sprzedani z przetargu. Kapitan Fronto, któremu jeńcy podlegali, kazał sporządzić ich pobieżną listę. Było ich około trzech tysięcy. Każdy miał zawieszoną na szyi tabliczkę, na której widniał jego numer, wiek, waga, choroby oraz kwalifikacje i specjalne uzdolnienia. Handlarze snuli się dokoła, kazali jeńcom wstawać, przysiąść, podnosić ręce i nogi, otwierali im usta, obmacywali ich. Handlarze narzekali; towar jest kiepski, przetarg jutrzejszy będzie marny.

Wespazjan miał przy sobie kilku oficerów, Cenis oraz Żyda Józefa, który był mu potrzebny do lepszego porozumiewania się z jeńcami. Marszałkowi należało się z łupu dziesięciu niewolników, których chciał sobie wybrać, zanim cały towar znajdzie się na rynku. Cenis potrzebowała fryzjerki i dobrze się prezentującego chłopca, który by mógł podawać do stołu. Praktyczny Wespazjan natomiast chciał wybrać paru mocnych chłopów, by używać ich jako parobków w swoich włoskich posiadłościach.

Był w dobrym humorze, dowcipkował na temat niewolników żydowskich.

— Są diabelnie uciążliwi ze swoimi sabbatami, świętami, skomplikowanymi przepisami dotyczącymi stawy i z całym tym kramem. Jeżeli się toleruje wykonywanie przez nich tak zwanych przepisów religijnych, wtedy trzeba się przyglądać, jak przez pół życia leniuchują. Jeżeli się tego nie toleruje, stają się oporni. Właściwie nadają się tylko do tego, żeby ich sprzedawać innym Żydom.

— Pytałem sam siebie — zwrócił się nagle do Józefa — czy nie powinienem odprzedać cię twoim rodakom. Ale dawali mizerne ceny, zapewne mają nadmiar proroków.

Józef uśmiechnął się cicho i skromnie. Ale w głębi duszy daleko mu było do śmiechu. Ze strzępów rozmów, które podchwycił, wywnioskował, że jejmość Cenis, która go nie znosiła, próbowała za plecami Wespazjana odprzedać go gubernatorowi generalnemu. Uprzejmy, interesujący się literaturą Mucjan z pewnością nie pozwalałby sobie wobec niego na tak brutalne dowcipy, jak to czynił marszałek. Ale Józef czuł się jakoś związany z tym Wespazjanem. Bóg przykuł go do niego, przy nim jedynie mógł liczyć na wielką szansę. Uśmiech, z jakim wysłuchał żartów Wespazjana, że chce go sprzedać, był blady i wymuszony.

Dotarli do grupy kobiet. Podano im właśnie jedzenie; chciwie, a jednak dziwnie ospale

łykały zupę z soczewicy, żuły suchy chleb. Był pierwszy prawdziwie upalny dzień. Panował zaduch i smród. Kobietom starszym, których można było używać tylko do pracy, zostawiono odzież, młodsze były całkowicie nagie, znajdowała się wśród nich zupełnie młoda dziewczyna, smukła, ale nie chuda. Nie jadła, siedziała na ziemi skrzyżowawszy nogi, ze skulonymi ramionami; rękami objęła kostki nóg, pochylała się naprzód, by ukryć swą nagość. Siedziała tak, bardzo widać onieśmielona, patrząc na przyglądających się mężczyzn wielkimi oczyma z uwagą, gniewem i wyrzutem. Dziewczyna wpadła Wespazjanowi w oko. Sapiąc z gorąca, podszedł do niej pomijając inne kobiety. Chwycił ją za ramię, rozprostował jej siłą. Straszliwie przerażona, spojrzała na niego.

— Wstań! — wrzasnął kapitan Fronto.

— Niech sobie siedzi — rzekł Wespazjan.

Pochylił się, wziął w rękę drewnianą tabliczkę wiszącą na jej szyi, odczytał głośno: „Mara córka Lakisza, woźnego teatralnego w Cezarei, lat czternaście, dziewica.”

— No tak — rzekł i wyprostował się stękając.

— Wstaniesz wreszcie, ty suko? — syknął dozorca. Widocznie ze strachu nie zrozumiała, co do niej mówi,

— Myślę, Maro, żeś powinna wstać — powiedział Józef łagodnie.

— Dajcie jej spokój — rzekł półgłosem Wespazjan.

— Chodźmy dalej — odezwała się Cenis. — A może chcesz ją do nas wziąć? Nie wiem, czy się nadaje na dziewczkę do krów. — Cenis nie miała nic przeciwko temu, że Wespazjan lubił się zabawić, ale wołała sama wybierać przedmioty tych zabaw. Dziewczyna podniosła się. Miała twarz owalną, delikatną, jasną, długie, krucze włosy, usta o pełnych wargach i duże zęby. Stała bezradna, naga, młoda, żałosna, poruszając nieznacznie głową.

— Proszę zapytać, czy ma jakieś niezwykle talenty — zwrócił się Wespazjan do Józefa.

— Konsul Wespazjan zapytuje, czy jesteś biegła w jakiejś sztuce — rzekł Józef do dziewczyny przyjaźnie i oględnie. Mara, dysząc gwałtownie, spojrzała na Józefa swymi podłużnymi oczyma. Nagle przyłożyła rękę do czoła, skłoniła się nisko, ale nie odpowiedziała.

— Kiedyż my stąd pójdziemy? — powtórzyła Cenis.

— Myślę, że powinnaś nam odpowiedzieć, Maro — namawiał Józef ciepło i serdecznie.

— Konsul Wespazjan zapytuje, czy jesteś biegła w jakiejś sztuce — powtórzył cierpliwie.

— Umie na pamięć bardzo wiele modlitw — odparła Mara. Mówiła lekko, głos miała niski, przyjemny.

— Co ona mówi? — zapytał Wespazjan.

— Umie się modlić — odparł Józef.

Obecni roześmieli się, z wyjątkiem Wespazjana.

— No tak — powiedział.

— Czy mam przysłać ekscelencji tę dziewczynę? — zapytał kapitan Fronto. Wespazjan wahał się.

— Nie — odparł wreszcie — potrzeba mi robotników do pracy na roli.

Wieczorem zapytał Józefa:

— Wasze kobiety dużo się modlą?

— Nasze kobiety nie mają obowiązku się modlić — wyjaśnił Józef. — Obowiązkiem ich jest stosowanie się do zakazów, nie do nakazów. Mamy trzysta sześćdziesiąt pięć nakazów — ile jest dni w roku, i dwieście czterdzieści osiem zakazów, tyle ile człowiek ma kości.

— To niemało — rzekł Wespazjan. — Sądzisz, że jest naprawdę dziewicą? — zapytał po chwili.

— Prawo nasze karze śmiercią nieczystość kobiety — rzekł Józef.

— Prawo — wzruszył Wespazjan ramionami. — Może ta dziewczyna dba o to twoje prawo, ale moi żołnierze z pewnością nic sobie z tego nie robią. Byłoby to nie lada osiągnięcie, gdybym ich nawet pod tym względem nauczył dyscypliny. To wina tych kobiet, mają oczy jak krowy, jak gdyby Bóg wie co się za nimi kryło. Zapewne nic się nie kryje, jak zawsze w waszym kraju. Wszystko jest u was patetycznym zgrywaniem się; kiedy się człowiek bliżej przypatrzy, nie ma za tym nic. Jakże z twoją przepowiednią, mój proroku? — zapytał naraz złośliwie. — Gdybym był posłał cię do Rzymu, byłbyś zapewne od dawna osądzony i harowałbyś w kopalniach Sardynii, zamiast tu gawędzić z miłą dziewczyną żydowską.

Józef niewiele sobie robił z żartów marszałka. Od pewnego czasu zauważył, że nie tylko on jest związany, ale że i Wespazjan nie może się obejść bez niego.

— Gubernator generalny Mucjan — odparł z czelną miną — zapłaciłby co najmniej tyle, ile by kosztowało dwunastu górników, gdybyś mnie jemu odstąpił, konsulu Wespazjanie. Nie sądzę, żeby mi się w Antiochii źle wiodło.

— Zaczynasz być zuchwały, mój Żydku, rozpuściłem cię! — rzekł Wespazjan.

Józef zmienił ton.

— Życie moje byłoby rozbite — powiedział namiętnie, z pokorą i przekonaniem — gdybyś mnie był odesłał. Wierz mi, konsulu Wespazjanie, jesteś wybawcą, Jehowa przysłał mnie do ciebie, żebym ci to ciągle przypominał. Jesteś wybawcą — powtórzył uparcie, żarliwie, zaciekle. Wespazjan spoglądał szyderczo, ale bez protestu. Nie umiał przeszkodzić temu, by płomienne zapewnienia tego człowieka nie wsączały się w jego starą krew. Złościło go, że raz po raz słyszy z ust Żyda takie prorocтва. Zbyt się przyzwyczaił do tego tajemniczego, pewnego siebie głosu, zbyt się związał z tym Żydem.

— Jeżeli Bóg się nie pośpieszy, mój Żydku — szydził — to Mesjasz, kiedy wreszcie nadejdzie, będzie bardzo chwiejnie stał na nogach.

Józef, nie zdając sobie sprawy, skąd bierze tę pewność siebie, odparł cicho, z niezachwianą wiarą:

— Jeżeli, zanim lato osiągnie szczyt, nie stanie się coś, co z gruntu zmieni twoją sytuację, konsulu Wespazjanie, to wtedy, proszę, sprzedaj mnie do Antiochii.

Wespazjan chłonał te słowa z rozkoszą. Ale nie chciał tego okazać i zmienił temat:

— Wasz król Dawid kazał kłaść sobie do łóżka dziewczęta gorącej krwi. Nie był wybredny, nie gardził tymi przysmakami. Mam wrażenie, że wszyscy nimi nie gardzicie. Powiedz mi, Żydku, jak to tam u was jest? Miałbyś pewno niejedno do powiedzenia.

— Mówią u nas — odrzekł Józef — że kiedy mężczyzna obcował z kobietą, Bóg nie przemawia przez niego, zanim nie minie siedem odmian księżyca. W czasie pisania mej księgi o Makabeuszach nie dotknąłem kobiety. Po objęciu władzy naczelnej w Galilei nie dotknąłem kobiety.

— Ale niewiele ci to pomogło — zakończył Wespazjan.

Następnego dnia marszałek kazał nabyć dla siebie z licytacji Marę córkę Lakisza. Tego samego wieczora przyprawiono mu ją. Zgodnie z prawem wojennym miała jeszcze na głowie wieniec, obowiązujący tych, których pod dzidą sprzedawano z licytacji, ale z polecenia kapitana Fronto wykąpano ją, namaszczone olejkami i przybrano w szatę z przezroczystej tkaniny. Wespazjan lustrował ją od stóp do głów swym jasnym, surowym wzrokiem.

— Głupcy — zaklął — mózgi obrośnięte tłuszczem! Wystroili ją jak hiszpańską kurwę — zżymał się. — Za coś takiego nie byłbym zapłacił nawet stu sestercyj.

Dziewczyna nie rozumiała, co mówi starzec. Za wiele się na nią zważyło, stała teraz przełknięta i otepiała. Józef przemówił do niej w jej rodzimym języku aramejskim, łagodnie, ostrożnie; odpowiedziała nieśmiało swym niskim głosem. Wespazjan przysłuchiwał się tej

rozmowie prowadzonej w obcym, gardłowym narzeczu. Wreszcie Józef zwrócił się doń:

— Wstydzi się, bo jest naga. Nagość to u nas wielki grzech. Kobiecie nie wolno ukazywać się nago, nawet jeżeli, zdaniem lekarza, mogłoby to uratować jej życie.

— Bzdura — rzekł Wespazjan.

Józef ciągnął dalej:

— Mara prosi ekscelencję, żeby jej kazał dać czworokątną szatę z jednej sztuki. Mara prosi ekscelencję, żeby jej kazał dać siatkę na włosy i perfumowane sandały na nogi.

— Dla mnie i tak dość ładnie pachnie — rzekł Wespazjan. — Ale dobrze. Niech ma. Odesłał ją, niech dziś do niego nie wraca.

— Mogę poczekać — oświadczył poufale Józefowi. — Nauczyłem się czekać. Chętnie odkładam dobre rzeczy, zanim ich zakosztuję. Dotyczy to jedzenia, łóżka, wszystkiego. Ja także dość długo czekałem, zanim mi dano ten urząd.

Pojękując potarł bolące ramię, potem ciągnął tonem jeszcze bardziej poufałym:

— Czy ty właściwie widzisz coś nadzwyczajnego w tej żydowskiej dziewczynie? Jest bojaźliwa, głupia, nie sposób się z nią dogadać. Bardzo to miłe, że jest nie rozbudzona, ale można tutaj, do licha, znaleźć ładniejsze kobiety. Bóg raczy wiedzieć, co człowieka w takiej bestyjce pociąga.

Mara pociągała również i Józefa. Znał te kobiety z Galilei, były powolne, trwożliwe, smutne, kiedy jednak ogarnął je płomień, stawały się rozkoszne i namiętne.

— Powiedziała — oświadczył Rzymianinowi z niezwykłą szczerością — że przeszła na suchy chleb i wodę. Chyba słusznie. Ta Mara córka Lakisza nie będzie miała powodu do wypowiedania słów błogosławieństwa, kiedy dostanie nową szatę.

Wespazjan rozżłościł się.

— Mój Żydek robi się sentymentalny? Kiedy człowiek chce wziąć do łóżka dziewczynę, wymagacie przygotowań, niczym do wyprawy wojennej. Powiedziałem ci, proroku, naucz ją trochę rozumu. Pomów z nią jutro przed południem. Ale nie zawracaj mi głowy, że twoja cnota proroka nie poniesie przy tym szwanku.

Następnego dnia przyprowadzono Marę do Józefa. Ubrana była w czworokątną szatę z jednej sztuki, jak tego wymagał obyczaj, ciemnobrązową w czerwone pasy. Instykt nie zawiódł marszałka. Czysty owal jej twarzy, niskie, jasne czoło, podłużne oczy, soczyste, wypukłe usta silniej przemawiały teraz, gdy miała na sobie suknię niż wtedy, kiedy była naga i odświętnie przystrojona.

Józef wypytywał ją ostrożnie. Ojciec zginął wraz z całą rodziną. Mara wyraziła przypuszczenie, że stało się to dlatego, ponieważ życie jego było grzeszne; ona również zostanie za te grzechy ukarana. Lakisz ben Szymon był odźwiernym teatru w Cezarei. Zanim objął tę posadę, radził się wielu kapłanów i rabbich; nie bez ociągania się pozwolili mu w ten sposób zarabiać na chleb. Byli jednak tacy, którzy w swej pobożności piorunowali na tę jego funkcję. Mara wierzyła owym pobożnym mężom, nasłuchiwała się mów Makabeuszy, zajęcie jej ojca było grzeszne, a więc ona także jest potępiona. A teraz stała naga przed nie obrzezanym. Rzymianie delectowali się jej nagością. Dlaczego Jehowa nie pozwolił jej umrzeć, zanim się to stało? Cicho skarżyła się swym głębokim głosem, słowa płynęły pokornie z pełnych warg, siedziała przed Józefem młoda, słodka i dojrzała. „Winnica jej kwitnie” — pomyślał. Poczł nagle wielkie pożądanie, kolana poczęły mu drżeć, doznał takiego samego uczucia, jak wówczas, kiedy leżał w pieczarze w Jodfat. Patrzył na dziewczynę, nie odwróciła podłużnych, urzekających oczu, rozchyliła usta, popłynął z nich ku niemu czysty, świeży oddech. Pożądał jej bardzo. Ciągnęła dalej:

— Co mam czynić, rabbi? Wielka to pociecha i wielka łaska, że Bóg pozwala mi słuchać

waszego głosu.

I uśmiechnęła się. Uśmiech ten sprawił Józefa w dziką, bezgraniczną wściekłość. Próbował rozerwać krępujące go więzy. I sam jeszcze musi w tym dopomagać, musi oddać tę dziewczynę na pastwę temu żarłocznemu Rzymianinowi, tej bestii!

Mara podniosła się nagle. Nie przestając się uśmiechać snuła się po pokoju w swych plecionych, perfumowanych sandałach.

— W sabbat chodziłam zawsze w perfumowanych sandałach. To zasługa, która będzie policzona u Boga, jeżeli się człowiek w sabbat dobrze ubiera. Czy postąpiłam słusznie żądając od Rzymianina perfumowanych sandałów?

— Słuchaj, Maro córko Lakisza, dziewico, dziewczyno moja — powiedziawszy to, starał się wytłumaczyć jej ostrożnie, że oboje przysłani zostali do tego Rzymianina w tym samym celu. Mówił dalej o Esterze, którą Bóg wysłał do króla Ahaswera, by ratowała swój naród, i o Irenie u króla Ptolemeusza. — Zadaniem twoim jest, żebyś się podobała Rzymianinowi, Maro.

Ale Mara lękała się. Ten nie obrzezany, który będzie sądzony w dolinie Hinon, ten zuchwały starzec! Budzi w niej wstręt i grozę. Józef z wściekłością w sercu przeciwko sobie i przeciwko tamtemu namawiał ją w oględnych, czułych słowach, przygotowywał ten kąsek dla Rzymianina.

Następnego ranka Wespazjan opisywał brutalnie i szczerze, jak to było z Marą. Że się trochę bała i wstydziła, to mu się raczej podobało; ale ona przecież drżała na całym ciele, omal nie zemdląła, później przez długi czas leżała nieruchoma i sztywna. Jest starym człowiekiem, ma lekki reumatyzm, to dla niego zbyt wyczerpujące.

— Mam wrażenie — powiedział — że ta dziewczyna jest po brzegi wypełniona przesądnymi wizjami; kiedy jej się dotknę, demony ją pożerają czy co, u licha! Zresztą musisz to lepiej wiedzieć, mój Żydku. Słuchaj no, może ty ją trochę oswoisz? Chcesz? Ale, ale, jak się mówi po ara-mejsku: „Bądź czuła, moje dziecko, nie bądź głupia”, albo coś w tym rodzaju?

Kiedy Józef zobaczył Marę, była istotnie jak skamieniała i zamknięta w sobie. Słowa wychodziły z jej ust machinalnie, zdawała się martwa, rzekłbyś, uszminkowany trup. Kiedy Józef chciał się do niej zbliżyć, cofnęła się i jak trędowata krzyknęła bezradnie i z przerażeniem:

— Jestem nieczysta, nieczysta!

Zanim lato doszło do zenitu, nadeszły ważne wiadomości z Rzymu. Powstanie na Zachodzie udało się, senat zdetronizował cesarza; Nero, August Piąty, popełnił samobójstwo, dając otoczeniu wielkie widowisko. Panami świata byli teraz dowódcy armii. Wespazjan uśmiechał się. Daleki od patetyczności, podniósł jednak wyżej głowę. To dobrze, że poszedł za głosem wewnętrznym i zwlekał z zakończeniem wyprawy. Miał teraz trzy potężne legiony, razem z legionami Mucjana — siedem. Chwyił Cenis za ramię i powiedział:

— Nero nie żyje. Mój Żyd nie jest głupcem, Cenis.

Spoglądali na siebie, kiwali równomiernie ciężkimi cielskami, uśmiechali się.

Usłyszawszy wiadomość o śmierci cesarza Nerona, Józef podniósł się wolno. Był człowiekiem jeszcze młodym, miał lat trzydzieści jeden, ale na swój wiek przeżył bardzo wiele. Stał teraz, oddychał z ręką na piersi, usta miał lekko rozchylone. Wierzył, że jest w nim Jehowa, grał bardzo wysoką grę i nie przegrał jej. Spętana ręką z trudem nałożył na głowę myckę kapłańską, wypowiedział słowa błogosławieństwa: „Bądź błogosławiony, Jehowo, Boże nasz, któryś nam pozwolił dożyć tego dnia.” Potem wolno, ociężale podniósł naprzód prawą nogę, potem z kolei lewą i zaczął tańczyć, jak tańczą przed ludem arcykapłani w Świątyni w Święto Czerpania Wody. Przytupywał, kajdany brzęczały, skakał, znów przytupywał, próbował klasnąć w dłonie, klepnąć się po biodrach. Mara, która weszła do namiotu, była niebywale zdumiona, przerażona. Nie przestawał, tańczył dalej, szalał, krzyczał:

— Gardź mną, Maro córko Lakisza. Gardź mną, tak jak Michał córka Saula wzgardziła swoim mężem Dawidem, gdy tańczył przed Panem. Nie bój się. Arcytancerz nie jest szatanem, to król Dawid tańczy przed Arką Przymierza. — W taki to sposób rabbi Józef syn Mateusza, kapłan, dawał wyraz radości, że Bóg nie okrył wstydem jego proroctwa.

Wieczorem Wespazjan rzekł do Józefa:

— Rabbi Józefie, możesz teraz zdjąć kajdany.

— Jeżeli pozwolisz, konsulu Wespazjanie — odparł Józef — będę je nosił nadal. Chcę je nosić dopóty, dopóki nie rozerwie mi ich cesarz Wespazjan.

Wespazjan uśmiechnął się:

— Śmiałek z ciebie, mój Żydzie — rzekł.

Idąc do domu Józef pogwizdywał cicho. Czynił to rzadko, tylko wtedy, kiedy mu było wyjątkowo błogo na duszy. Pogwizdywał kuplet niewolnika Izydora: „Kto tu rządzi? I kto za to beknie?”

Kurierzy pędzili z Antiochii do Cezarei, z Cezarei do Antiochii. Z Włoch i Egiptu nadchodziły gorączkowe wieści. Senat i gwardia obwołały cesarzem sędziwego generała Galbę, cierpiącego na podagrę, mrukliwego, kapryśnego starca. Nie będzie długo cesarzem. O tym, kto zostanie nowym cesarzem, zadecydują armie: reńska, dunajska, wschodnia. Gubernator generalny Egiptu Aleksander Tyberiusz zaproponował nawiązanie ściślejszego kontaktu między nim i obu panami Azji. Zameldował się nawet zgorzkniały brat Wespazjana, prefekt policji Sabin, wysuwając mgliste propozycje.

Było wiele do roboty. Wespazjan nie miał czasu na uczenie się dla Mary aramejskiego języka. Do pioruna i na Jowisza! Niech ta kurwa nauczy się być tkliwą po łacinie. Ale Mara się nie nauczyła. Z trudem tylko udało się zapobiec, by się nie przekłuła strzałą, którą spinała włosy.

Taki brak zrozumienia gniewał marszałka. Czuł się w jakiś niejasny sposób wdzięczny żydowskiemu Bogu, nie chciał, żeby ta dziewczyna oddaliła go od tego Boga. Nie ufał Józefowi w tej sprawie; próbował więc przez innego pośrednika wyciągnąć z niej, co właściwie tak ciąży jej sercu. Kiedy się dowiedział, był zaskoczony. To małe nic było pełne takiej samej naiwnej pychy, jak jego Żyd. Wespazjan uśmiechnął się szeroko, nieco złośliwie. Wiedział, w jaki sposób pomoże sobie, dziewczynie i Żydowi.

— Wy, Żydzi — oświadczył Józefowi jeszcze tego samego dnia w obecności Cenis — jesteście naprawdę wypełnieni po brzegi zuchwałymi, barbarzyńskimi przesądami. Proszę sobie wyobrazić, rabbi Józefie, ta mała Mara jest przekonana, że stała się nieczysta, ponieważ wzięłam ją do łóżka. Rozumiesz to?

— Tak — odparł Józef.

— W takim razie jesteś chytrzejszy ode mnie — rzekł Wespazjan. — Czy jest sposób, żeby jej przywrócić czystość?

— Nie — brzmiała stanowcza odpowiedź.

Pociągnąwszy nieco smakowitego wina Eszkol Wespazjan oświadczył ze spokojem:

— Ale ja znam sposób. Gdyby się z nią ożenił Żyd, to wedle jej zapewnień, stanie się znowu czysta.

— Dziecinna gadanina — oświadczył Józef.

— Wcale nie gorszy przesąd od pierwszego — rzekł Wespazjan pojednawczo.

— Z trudem znajdziesz Żyda, który by się z nią ożenił, konsulu Wespazjanie. Prawo tego zabrania.

— Znajdę jakiegoś — odparł dobrodusznie Wespazjan.

Józef obrzucił go pytającym spojrzeniem.

— Ciebie, Żydku — uśmiechnął się Wespazjan.

Józef zbladł. Wespazjan przywołał go jowialnie do porządku:

— Nie masz dobrych manier, mój proroku! Mógłbyś powiedzieć przynajmniej: dziękuję.

— Jestem kapłanem — rzekł Józef ochryplym, zgaszonym głosem.

— Diabło wrażliwi są ci Żydzi — powiedział Wespazjan do Cenis. — To, czego dotknął któryś z nas, już im nie smakuje. A przecież i cesarz Nero, i ja poženiliśmy się z kobietami porzuconymi przez innych. Co, stara?

— Pochodzę z rodu Hasmonejczyków — rzekł Józef bardzo cicho. — Ród mój sięga króla Dawida. Gdybym poślubił tę kobietę, straciłbym na zawsze prawa kapłańskie; dzieci z takiego związku są nielegalne, pozbawione praw. Jestem kapłanem — powtórzył półgłosem, uparcie.

— Jesteś kupą gówna — zakończył lakonicznie Wespazjan. — Jeżeli będziesz miał dziecko, chciałbym je za dziesięć lat zobaczyć/ Wtedy zbadamy, czy to twój syn, czy mój.

— Poślubisz ją? — zapytała Cenis z zainteresowaniem.

Józef milczał.

— Tak czy nie? — zainterpelował gwałtownie Wespazjan.

— Nie mówię ani tak, ani nie — odparł Józef. — Bóg, który przeznaczył, by marszałek został cesarzem, natchnął marszałka tym życzeniem. Chylę głowę przed Bogiem. — I skłonił się głęboko.

Następnych nocy Józef spał niedobrze. Kajdany wrzynały mu się w ciało. Proroctwo jego spełniło się, i to go podniosło we własnych oczach, ale tym głębiej powalił go kawał Rzymianina. Przypomniał sobie nauki Banusa eszej-czyka na pustyni. Żądza cielesna przepędza ducha bożego; było dla niego rzeczą zrozumiałą, że wyrzekął się kobiet, dopóki proroctwo jego się nie spełniło. Dziewczyna Mara podobała się i jego sercu, i jego skórze. Musi teraz za to zapłacić. Jeżeli poślubi tę dziewczynę, która wskutek dostania się do niewoli i stosunku z Rzymianinem stała się nierządnicą, będzie potępiony przez Boga i zasłuży na karę publicznej chłosty. Znał dokładnie przepisy, nie uznawały wyjątków, wyłgiwań się, interpretacji. „Winna latorośl nie powinna owijać się dokoła cierniowej gałęzi,” tak brzmią groźne słowa. A zdanie: „Przeklęty, kto łączy się ze zwierzęciem”, uzupełnia autentyczny komentarz rabbich, że kapłan, który się zadaje z nierządnicą, nie jest lepszy od tego, kto łączy się ze zwierzęciem.

Ale Józef przełknął tę całą truciznę. Wysoka gra wymaga wysokiej stawki. Związał się z tym Rzymianinem, weźmie na siebie hańbę.

Wespazjan zużył wiele czasu i zachodów, by nacieszyć się do syta udanym kawałem. Delektował się nim. Kazał udzielić sobie dokładnych informacji o zawitym, skomplikowanym żydowskim prawie małżeńskim, o ceremoniale zaręczyn i ślubu, który był w Galilei inny niż w Judei. Pilnował, żeby wszystko odbywało się ściśle według rytuału.

Rytuał wymagał, by zamiast zmarłego ojca opiekun pertraktował z narzeczoną o cenę kupna narzeczonej. Wespazjan oświadczył, że uważa się za opiekuna. Było w zwyczaju, że narzeczonej płaci dwieście zuzów, jeśli narzeczonej jest dziewczycą, sto, jeśli jest wdową. Wespazjan kazał wpisać w dokumencie jako cenę kupna za Marę sto pięćdziesiąt zuzów i nalegał, żeby Józef wystawił mu skrypt dłużny na tę sumę. Powołał na świadków ślubu rabbich i studentów szkół w Tyberiadzie, Magdali, Sepphoris oraz notablów okupowanych obszarów. Wielu wzbraniało się uczestniczyć w tej ohydnej komedii. Marszałek nałożył na nich kary, a gminy ich obłożył kontrybucją.

Cała ludność została wezwana przez heroldów do uczestniczenia w uroczystości. Dla oblubienicy sprowadzono z Tyberiadzie najkosztowniejsze krzesło, w którym niesiono ją w orszaku, jak to nakazywał zwyczaj przy ślubach wielkich panów. Kiedy Mara na krzesło ślubnym, ozdobionym wieńcami mirtowymi, opuściła dom Wespazjana, marszałek powiedział:

— Daj Boże, żebyś tu nie wróciła.

Potem poprowadzono ją przez miasto; krzesło nieśli najwybitniejsi Żydzi Galilei, również przybrani mirtem. Na czele orszaku szły dziewczęta z pochodniami, za nimi studenci niosąc alabastrowe dzbany pełne wonnych olejków. Drogę zroszono winem i oliwą, zarzucono ją orzechami i pieczonym ziarnem. Śpiewano: „Uroczą gazelo, nie potrzeba ci bielideł, maści ani ziół.”

Na wszystkich ulicach tańczono, sześćdziesięcioletnie ma trony musiały hasać, tak samo jak sześćoletnie dziewczynki, musieli nawet tańczyć sędziwi rabbi trzymając w ręku gałązki mirtu, Wespazjan życzył sobie bowiem, by jego ślubną parę uczczono wedle starych obyczajów.

Tak prowadzono Józefa przez miasto. Była to długa droga, nie mniej dręcząca od tej, którą szedł przez obóz rzymski, kiedy po raz pierwszy przywiedziono go do Wespazjana. Wreszcie stanął z Marą pod baldachimem ślubnym, zwanym *chuppah*. Baldachim był z białego płótna przetykanego złotem, z góry zwisały winogrona, figi i oliwki. Wespazjan i liczni oficerowie oraz żydowski notable Galilei byli świadkami ślubu Józefa i Mary. Słyszeli, jak zajadle i zaciekle wypowiada formułę, brzmiącą w jego ustach bluźnierczo: „Oto jesteś mi poślubiona zgodnie z przepisami Mojżesza i Izraela.” Ziemia nie zapadła się, kiedy kapłan wypowiadał te dla niego zakazane słowa. Owoce zawieszane w namiocie kołysały się łagodnie. Dokoła rozległ się śpiew: „Ogrodem zamkniętym jesteś, siostró moja, oblubienico moja! Źródło zamknięte, zdrój zapieczętowany!” Mara patrząc bezwstydnie i miłośnie na bladą twarz Józefa odpowiedziała słowami: „Niech przyjdzie miły do ogrodu swego a mech je rozkoszne owoce swoje.” Wespazjan kazał sobie wszystko tłumaczyć, uśmiechał się z zadowoleniem.

— Jedno wypraszam sobie, mój drogi — rzekł do Józefa — żebyś mi tylko za prędko nie uciekł z ogrodu.

Księżniczka Berenika, córka Agryppy Pierwszego, siostra Agryppy Drugiego, porzuciła swe medytacje na pustyni i wróciła do Judei. Namiętnie oddając się każdemu uczuciu, cierpiała fizycznie, kiedy Rzymianie pustoszyli miasta Galilei, uciekła na pustynię południową. Gorączkowała, odsuwała ze wstrętem jadło i napoje. Umartwiała się, włosy miała zmierzwiłone, ciało jej zżerała włosienica. Wystawiała je na skwar południa i chłód nocy. Żyła tak tygodniami, miesiącami, sama, pogrążona w głębokiej skrusze; nie widywał jej nikt prócz pustelników, braci i siostr essejskich.

Kiedy jednak w niewytłumaczony sposób wieść o przedziwnych wypadkach w Rzymie, o śmierci Nerona, o zamieszkach pod panowaniem Galby dotarła na pustynię, księżniczka z taką samą namiętnością, jak niegdyś w bezdenne morze pokuty, rzuciła się w otchłań polityki. Już od dawna skłonności jej ulegały gwałtownej zmianie; to zagłębiała się w Piśmie świętym, władczo i z pasją szukając Boga, to znowu całą siłę jej śmiałego i obrotnego umysłu pochłaniał zamęt w rządzeniu państwem i podległymi prowincjami.

Już w podróży zaczęła pracować, knuła coś, wysyłała i odbierała niezliczoną ilość listów i depesz. Na długo przed dotarciem do Judei była świadoma nici przebiegających od Wschodu na Zachód i podziału władzy w państwie; miała gotowe plany i zajęła stanowisko w różnych sprawach. Należało rozważyć wiele czynników: armia nadreńska, armia naddunajska, wojska na Wschodzie; senat, bogacze w Rzymie i w podległych prowincjach; odrębność i władza gubernatorów Anglii, Galii, Hiszpanii, Afryki, wysokich urzędników w Grecji, nad Morzem Czarnym; osoba skąpego, mrukliwego starca cesarza, liczni cisi, a także i głośni kandydaci na jego następców. Im więcej zamieszania w świecie, tym lepiej. Zamieszki te już sprawiły, że Jerozolima i Świątynia pozostały nietknięte. Może uda się znowu przesunąć punkt ciężkości rządów światem na Wschód, tak żeby świat nie był kierowany z Rzymu, lecz z Jerozolimy.

Księżniczka waży, liczy, szuka punktu, w którym mogłaby ingerować. Na Wschodzie, na

jej Wschodzie, władzę dzierżą trzej ludzie: władca Egiptu Tyberiusz Aleksander, władca Syrii Mucjan, marszałek Judei Wespazjan. Przybyła więc teraz do jego głównej kwatery, żeby sobie tego marszałka obejrzyć. Jest w stosunku do niego pełna uprzedzeń. Nazywają go spedytorem, tym od pyr końskich, ma to być podstępny, zakuty, ordynarny i nieokrzesany chłop. W każdym razie w Judei rządził surowo i krwawo. Myśląc o nim wykrzywia ze wstrętem pełne wargi. Niestety, trzeba często o nim myśleć, znalazł się na świeczniku; ma szczęście. Cały Wschód jest pełen gadaniny o boskich znakach i prorocत्वach, wskazujących na niego.

Wespazjan ociąga się długo, wręcz niegrzecznie, ze złożeniem księżniczce uszanowania. I on zjawia się wreszcie, pełen uprzedzeń. Słyszał o tej wielkiej damie, o jej kapryсах, przesadnych upodobaniach, wcale nie braterskich stosunkach z bratem. Snobistyczny, pretensjonalny sposób bycia tej wschodniej damy budzi w nim odrazę. Robienie jednak z niej wroga byłoby nonsensem. Ma wielkie stosunki w Rzymie, uchodzi za bardzo piękną, jest potwornie bogata. Nawet jej nieokiełznana furia budowania — wraz z bratem zasiała cały Wschód pałacami — nie uszczupliła zbytnio jej bogactwa.

Berenika ubrała się na jego przyjęcie poważnie i uroczyście. Duża jej, szlachetna głowa, opalona jeszcze przez słońce, wykwita po królewsku z pofałdowanej, szerokiej szaty. W krótkich, niesfornych włosach nie ma klejnotów, rękawy z brokatu opadają na piękne, wąskie ręce; widać na nich jeszcze ślady z czasów, kiedy przebywała na pustyni. Po kilku słowach wstępu steruje prosto do celu.

— Dziękuję ci, konsulu Wespazjanie, że tak długo oszczędzałeś miasto Jerozolimę.

Głos ma głęboki, pełny, niski, ale jest w nim nieustanne, nerwowe drżenie, brzmi również niezupełnie czysto, jest zmatowany lekką, podniecającą chrypką. Wespazjan lustruje tę kobietę swym twardym, jasnym wzrokiem, potem, sapiąc, odpowiada z rezerwą:

— Szczerze mówiąc, nie oszczędzałem Jerozolimy. Oszczędzałem swoich żołnierzy. Jeżeli twoi rodacy, księżniczko, będą dalej tak postępować, to mam nadzieję, że będę mógł zdobyć miasto bez większych ofiar.

Berenika odpowiada uprzejmie:

— Proszę, mów dalej, konsulu Wespazjanie. Miło mi słuchać twego sabińskiego dialektu.

Berenika mówi swobodnie po łacinie, bez jakiegokolwiek akcentu.

— Tak — powiada Wespazjan jowialnie — jestem starym wieśniakiem. Ma to swoje dobre strony, ale również i złe. Oczywiście dla ciebie, księżniczko.

Księżniczka podniosła się. Słynnym, lekko kołyszącym się krokiem podeszła do marszałka, stanęła tuż przed nim.

— Właściwie dlaczego jesteś taki opryskliwy, konsulu Wespazjanie? Zapewne opowiadano ci o mnie Bóg wie co. Nie powinieneś w to wierzyć. Jestem Żydówką, wnuczką Herodesa i Marii Hasmonejki. Póki twoje legiony stoją w kraju, jest to sytuacja nieco trudna.

— Rozumiem to, księżniczko Bereniko — odparł Wespazjan — że marzysz o różnego rodzaju uroczych powikłaniach, dopóki w Rzymie przebywa sędziwy cesarz, który nie desygnował następcy. Ubolewałbym, gdybym był zmuszony uważać cię za wroga.

— Brat mój Agryppa udał się do Rzymu dla złożenia hołdu cesarzowi Galbie.

— Syn mój Tytus pojechał do Rzymu w tym samym celu.

— Wiem — rzekła spokojnie Berenika. — Syn twój składa hołd cesarzowi Galbie, jakkolwiek z przechwyconych listów dowiedziałeś się, że ten cesarz chciał cię zamordować przy pomocy naślanych zbirów.

— Jeżeli bardzo sędziwy władca — odparł Wespazjan z jeszcze większym spokojem — siedzi na bardzo chwiejnym tronie, trudno się dziwić, że wymachuje rękami dokoła, żeby zachować równowagę. To rzecz naturalna. Kiedy oboje doczekamy się jego wieku, zapewne

będziemy postępować tak samo. Do czego właściwie zmierzasz, księżniczko Bereniko?

— A do czego ty zmierzasz, konsulu Wespazjanie?

— Wy, ludzie Wschodu, chcecie zawsze, aby przeciwnik pierwszy odkrył karty.

Ożywiona, zmienna twarz księżniczki zajaśniała nagle wielką, śmiałą nadzieją.

— Chcę — powiedziała swym głębokim, urzekającym głosem — żeby ten prastary, święty Wschód brał należny mu udział w rządzeniu światem.

— Na mój chłopski rozum zostało to powiedziane nazbyt ogólnikowo. Obawiam się, że każde z nas chce osiągnąć wręcz przeciwny cel. Jeżeli o mnie chodzi, to chcę położyć kres marnotrawstwu, które z wielkim gestem wdarło się do państwa ze Wschodu. Stwierdziłem, że plany wschodnie cesarza Nerona i jego wschodni sposób myślenia narzuciły państwu miliardowe długi. Wydaje mi się, że to zbyt wygórowana cena za ten wasz święty Wschód.

— Czy po śmierci cesarza Galby — zapytała. Berenika bez ogródek — armia wschodnia nie będzie próbowała wpłynąć na nominację nowego cesarza?

— Jestem za prawem i sprawiedliwością — odparł Wespazjan.

— Wszyscy jesteśmy za tym, tylko że poglądy, co jest prawem i sprawiedliwością, bywają czasem rozbieżne.

— Byłbym ci naprawdę wdzięczny, księżniczko, gdybyś mi powiedziała jasno i wyraźnie, czego właściwie chcesz.

Na twarzy Bereniki pojawił się wyraz skupienia. Po chwili powiedziała półgłosem z dziką mocą:

— Chcę, żeby Świątynia Jehowy nie została zburzona.

Wespazjan otrzymał mandat ujarzmienia Judei przy pomocy wszelkich środków, które mu się wydadzą słuszne. Przez krótką chwilę miał ochotę odpowiedzieć: „Utrzymanie panowania nad światem niestety nie zawsze pozwala oszczędzać zabytki sztuki.” Widząc jednak jej skamieniałą twarz, napięcie, z jakim wyczekiwała odpowiedzi, zaskrzeczał tylko:

— Nie jesteśmy barbarzyńcami.

Nie odpowiedziała nic. Powoli, pełna smutnych wątpliwości, zatopiła spojrzenie swych podłużnych oczu w jego źrenicach. Zrobiło mu się nieswojo. To chyba całkowicie obojętne, czy ta Żydówka uważa go za barbarzyńcę? Rzecz dziwna, nie było mu to obojętne. Czuł w jej obecności owo niejasne zmieszanie, którego doznawał czasami w obecności swego Żyda Józefa. Starając się zapanować nad nim, powiedział:

— Proszę nie apelować do mojej ambicji, księżniczko, jestem już na to za stary.

Berenika uznała, że spedytor jest człowiekiem twardym, trudnym i, pomimo całej swej szczerości, diablo podstępny.

— Pokaż mi portret swego syna Tytusa, konsulu Wespazjanie — poprosiła. Posłał gońca po obraz. Przyglądała mu się z zainteresowaniem, wypowiedziała wiele słów, które powinny mile zabrznieć w uchu ojca. Ale stary Wespazjan znał się na ludziach i widział doskonale, że wcale jej się ów wizerunek nie podoba. Rozstali się uprzejmie. Rzy-

mianin i Żydówka mieli pełną świadomość, że się nawzajem nie znoszą.

Kiedy Józef syn Mateusza odwiedził Berenikę na jej życzenie, księżniczka wyciągnęła rękę i jak by broniąc się zawołała:

— Proszę nie podchodzić bliżej. Proszę stać w miejscu. Niechaj nas dzieli siedem kroków.

Józef zbladł. Trzymała się w takiej odległości od niego, jak gdyby był trędowaty.

Berenika zaczęła:

— Czytałam dwukrotnie twoją książkę, rabbi Józefie.

Józef odpowiedział:

— Któż nie pisałby chętnie i z entuzjazmem, kiedy chodzi o przedstawienie takich protoplastów, jak nasi?

Berenika pogładziła niecierpliwie krótkie, niesforne włosy. To prawda, człowiek ten jest z nią spokrewniony.

— Ubolewam, kuzynie mój Józefie — powiedziała — że jesteśmy krewnymi. — Mówiła spokojnie, wibrująca w jej głosie chryпка była ledwie dosłyszalna. — Nie rozumiem, jak mogłeś po upadku Jodfat pozostać przy życiu. Od tej chwili nie ma w Judei nikogo, kto by nic odczuwał wstrętu na sam dźwięk imienia Józefa syna Mateusza.

Józef przypominał sobie, jak Justus z Tyberiady oświadczył: „Twój rabbi Józef to łajdak.” Ale podobne słowa w ustach kobiety nie rozgoryczyły go.

— Z pewnością mówią o mnie wiele złego — rzekł — nie przypuszczam jednak, żeby ktoś powiedział, iż ze mnie tchórz... Proszę się zastanowić, że umrzeć nie jest czasem rzeczą trudną. Śmierć była łatwa i stanowiła wielką pokusę. Trzeba było siły woli, aby żyć. Trzeba było odwagi. Pozostałem przy życiu, ponieważ wiedziałem, że jestem narzędziem Jehowy.

Berenika wykrzywiła wargi, cała jej twarz była szyderstwem i pogardą.

— Krąży po Wschodzie pogłoska, jakoby pewien prorok żydowski przepowiedział, że Rzymianin jest Mesjaszem. Czy to ty jesteś tym prorokiem? — zapytała.

— Wiem — rzekł Józef potulnie — iż Wespazjan jest tym człowiekiem, o którym mówi Pismo.

Berenika wychyliła się poza wytyczoną przez siebie granicę siedmiu kroków. Dzieliła ich cała przestrzeń komnaty oraz misa z węglem drzewnym, był bowiem chłodny dzień zimowy. Przyglądała się temu człowiekowi; był nadal zakuty w kajdany, ale wygląd miał schludny.

— Muszę sobie dokładnie obejrzyć tego proroka — szydziła — który na rozkaz Rzymianina przełknął posłusznie to, co tamten wypluł. Dostałam mdłości z pogardy, kiedy usłyszałam, jak zmuszono rabbich z Sepphoris, by przypatrywali się temu „ślubowi”.

— Tak — rzekł potulnie Józef — przełknąłem i to.

Zgarbił się nagle i zmalął. Coś innego przygniatało go i poniżało bardziej niż poślubienie tej dziewczyny. Wtedy, pod baldachimem ślubnym, złożył wotum, że nie dotknie Mary. Ale potem przyszła do niego, usiadła na łóżku, młoda, o gładkiej skórze, gorąca, pełna oczekiwania. Wziął ją. Musiał ją wziąć, jak wtedy, po wydostaniu się z pieczary, musiał pić. Mara nie opuszczała go odtąd. Jej ogromne oczy patrzyły nań z równą tkliwością i wtedy, kiedy ją brał, i wtedy, kiedy ją później, brutalnie i z pogardą, odtrącał. Berenika miała po stokroć rację. Nie tylko przełknął to, co Rzymianin odrzucił, ale nawet w tym zasmakował.

Józef odetchnął, kiedy Berenika zmieniła temat. Mówiła teraz o polityce, piorunowała na marszałka.

— Nie chcę, żeby ten cham rozsiadał się w centrum świata. Nie chcę. — Jej niski głos kipiał namiętnością. Józef stał spokojny, opanowany. Ale patrzył z ironią na jej bezsilność. Dobrze to widziała.

— Odejdź, kuzynie Józefie — rzekła — powiedz mu to. Tylko mnie nie zdradź. Może otrzymasz zapłatę jeszcze hojniejszą, niż była nią owa niewolnica.

Ta młoda i piękna para stała rozdzielona od siebie całą szerokością komnaty. Każde z nich miało własny cel na oku. Stali naprzeciw siebie pełni wzajemnej nienawiści, a jednak pokrewni duchem.

— Gdybym oświadczył marszałkowi, kuzynko Bereniko — odpowiedział Józef szyderstwem na szyderstwo — że jesteś jego przeciwniczką, uśmiełby się.

— Rozśmiesz więc swego rzymskiego pana — rzekła Berenika. — Prawdopodobnie trzyma cię w tym celu. Ja, kuzynie Józefie, dobrze sobie umyję ręce i długo będę się kąpać, tylko

dlatego, że spędziłam czas jakiś z tobą.

W drodze powrotnej Józef uśmiechał się. Wołał, żeby go taka kobieta jak Berenika zwymyślała, niż żeby miała spoglądać na niego obojętnie.

W kwaterze głównej Wespazjana w Cezarei zjawił się, przyjęty przez władze rzymskie z honorami, sędziwy mędrzec żydowski, bardzo małego wzrostu, bardzo szanowany, Jochanan ben Zakkai, rektor Akademii Jerozolimskiej, sędzia najwyższy Judei, rabbi jerozolimski. Drżącym głosem poinformował Żydów Cezarei o okropnościach rozgrywających się w żydowskiej stolicy. O tym, jak ludzie stojący u steru pozabijali wszystkich niemal umiarkowanych, arcykapłana Anana, większość arystokratów, również wielu spośród „Prawdziwie Wiernych Pismu”, jak teraz Makabeu-sze zwalczają się nawzajem ogniem i mieczem. Ustawili działa nawet w eksedrach Świątyni i ludzie, którzy chcieli złożyć swą ofiarę na ołtarzu, zostali trafieni ich pociskami. Na potwierdzenie swych słów starzec powtarzał od czasu do czasu starym obyczajem: „Oczy moje to widziały.” On także wykradł się z Jerozolimy, co było rzeczą wielce niebezpieczną. Kazał rozpowiedzieć, że umarł, uczniowie jego wynieśli go w trumnie pod mury Jerozolimy, by go tam pochować.

Prosił marszałka o rozmowę, Wespazjan wezwał go natychmiast do siebie. Sędziwy, poźółkły rabbi żydowski stał teraz przed Rzymianinem. Niebieskie oczy o uderzająco młodzieńczym wyrazie silnie kontrastowały ze zmiętą twarzą, okoloną niewielką, spłowiałą brodą. Powiedział:

— Przybyłem, konsulu Wespazjanie, żeby pomówić z tobą o pokoju i poddaniu się. Nie stoi za mną żadna władza. Władzę sprawują w Jerozolimie Zeloci; ale prawo nie zostało uśmiercone i przynoszę ci pieczęć najwyższego sędziego. To niewiele. Ale nikt nie wie lepiej od Rzymu, że wielkie państwo może się utrzymać tylko przez prawo, ustawy i pieczęcie, a więc może to i niemało.

Wespazjan odparł:

— Cieszę się, że mówię z człowiekiem, który nosi najbardziej czcigodne nazwisko w Judei. Zostałem tu jednak wysłany, by działać mieczem. Traktować o pokój może tylko cesarz w Rzymie wraz ze swoim senatem.

Jochanan ben Zakkai kiwał starą, małą głową. Chytrze, cicho, w tonie wschodnich pouczeń, wywodził:

— Są tacy, którzy się mienią cesarzem. Ale tylko z jednym chciałbym wymienić pieczęcie i dokumenty. Czy Liban padł za przyczyną Galby? Tylko ten, za czyją przyczyną padnie Liban, jest mocarzem, *adirem*. Liban nie padł za przyczyną Galby.

Wespazjan obrzucił starca nieufnym spojrzeniem i zapytał:

— Mówiliście z moim jeńcem, Józefem synem Mateusza?

Jochanan ben Zakkai zaprzeczył, nieco zdziwiony. Wespazjan rzekł ze skrucą, głupawo;

— Proszę wybaczyć, istotnie z nim nie mówiliście.

Usiadł, zmałał, nie powinien był tak z góry spoglądać na starego.

— Powiedzcie mi, proszę, co dajecie i co chcecie za to wziąć?

Jochanan wyciągnął zwiędłe ręce i powiedział:

— Daję ci, konsulu Wespazjanie, list zaopatrzonej pieczęcią, że Synedrion i rabbi jerozolimscy podporządkują się rzymskiemu senatowi i ludowi rzymskiemu. Za to proszę o jedno: zostaw mi niewielkie miasto, bym w nim założył uniwersytet i mógł swobodnie nauczać.

— Na to, żebyście mi na nowo wysmażali najbardziej ponure recepty przeciw Rzymowi?
— uśmiechnął się Wespazjan.

Jochanan zrobił się jeszcze mniejszy, jeszcze bardziej filigranowy.

— Cóż chcesz, konsulu Wespazjanie? Będę sadził wątłą latorośl z potężnego drzewa

Jerozolimy. Daj mi, powiedzmy, miasteczko Jawneh, niech tam powstanie mały uniwersytet. — Perswadował Rzymianinowi z całą energią, odmalowywał gestami, jak niewielką rolę będzie odgrywał jego uniwersytet. Będzie taki mały, maleńki. Mówiąc to otwierał i zamykał swą mikroskopijną dłoń.

Wespazjan odparł:

— Pięknie, przekażę wasz projekt Rzymowi.

— Nie przekazuj, konsulu Wespazjanie. Chciałbym mieć do czynienia tylko z tobą. —

Potem powtórzył z uporem: — Tyś jest *adirem*.

Wespazjan podniósł się. Stał przed rabbim tęgi, barczysty, niby chłop ze wsi.

— Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego upodobaliście sobie właśnie mnie. Stary z was, mądry i, jak się wydaje, względnie uczciwy człowiek. Może zechcecie mi to wytłumaczyć? Czy nie byłoby trudne do zniesienia, żeby

w kraju, który wasz Bóg Jehowa wam obiecał, ja właśnie miałbym być *adirem*? O ile wiem, spośród wszystkich narodów wy, Żydzi, najbardziej lękacie się zetknięcia z innymi.

Jochanan miał oczy zamknięte.

— Kiedy — poucał — po klęsce Egipcjan w Morzu Czerwonym zaintonowano pieśń tryumfalną, Jehowa rzekł: „Stworzenia moje toną, a wy śpiewacie pieśń tryumfalną?”

Marszałek przysunął się do maleńkiego uczonego całkiem blisko, dotknął lekko i poufale jego ramienia i zapytał chytrze:

— Ale jednemu chyba nie zaprzeczysz: nie uznajecie nas za prawdziwych, pełnowartościowych ludzi, co?

Jochanan, w dalszym ciągu nie otwierając oczu, odrzekł cicho, jakby z oddali:

— W Święto Szafasów poświęcamy Bogu siedemdziesiąt wołów na odkupienie tych, którzy nie są Żydami.

Wespazjan rzekł z niespotykaną u niego uprzejmością:

— Jeśli, rabbi Jochananie, nie jesteście zbyt zmęczeni, to poproszę o jeszcze jedno pouczenie.

— Chętnie ci odpowiem, konsulu Wespazjanie — rzekł rabbi.

Wespazjan oparł ręce na stole. Poprzez stół zapytał, z napięciem czekając na odpowiedź:

— Czy człowiek, nie będący Żydem, posiada nieśmiertelną duszę?

Jochanan odparł:

— Istnieje sześćset trzynaście nakazów, których my, Żydzi, winniśmy się trzymać. Tego, kto nie jest Żydem, obowiązuje tylko siedem memento. Skoro ich się trzyma, Duch Święty wstępuje weń również.

— Jakież to mementa? — zapytał Rzymianin.

Jochanan podniósł w górę zmarszczone brwi, jego niebieskie oczy patrzyły jasno i bardzo młodzieńczo w szare oczy Wespazjana.

— Zawierają sześć „nie” i jedno „tak” — powiedział. — Ma być sprawiedliwy, nie wolno mu wypierać się Boga, służyć bożkom, cudzołożyć, dręczyć zwierząt, zabijać i kraść.

Pomyślawszy chwilę Wespazjan rzekł z ubolewaniem:

— W takim razie słabe są widoki, żeby zamieszkał we mnie Duch Święty.

Rabbi ciągnął tonem przepojonym pochlebstwem:

— Czy zdaniem twoim, konsulu Wespazjanie, byłoby to wielce niebezpieczne dla Rzymu, gdybyśmy w moim małym uniwersytecie w Jawneh uczyli tego rodzaju rzeczy?

Wespazjan odparł z pewną przechwałką:

— Bezpieczne czy niebezpieczne, wielkie czy małe, ale dlaczego właściwie miałbym wam iść na rękę?

Stary przybrał chytry wyraz twarzy, podniósł filigranową rękę, przeciął nią powietrze i prawił dalej, jak gdyby wygłaszał dysertację na modłę wschodnią:

— Dopóki nie jesteś **adirem**, konsulu Wespazjanie, nie masz powodu zdobywać Jerozolimy, gdyż na to, aby zostać **adirem**, może będą ci potrzebne twoje wojska. Skoro jednak zostaniesz mianowany, może nie będziesz miał czasu na zdobycie Jerozolimy. Może byłoby jednak w twoim interesie zjawić się w Rzymie, jeżeli nie ze zdobytą Jerozolimą, to przynajmniej z tytułem prawnym do niej. Może ten tytuł prawny wart drobnej koncesji, o którą cię proszę.

Zamilkł, zdawało się, iż jest wyczerpany. Wespazjan słuchał jego wywodów z wielką uwagą.

— Gdyby inni wasi mężowie byli tacy chytry jak wy — zakończył rozmowę z uśmiechem — zapewne nie znalazłbym się w takiej sytuacji, żebyście wy mnie mianowali **adirem**.

Były grzechy, dla których rabbi pomimo całej swej łagodności nie miał pobłażania; Józefowi serce zabiło mocniej, kiedy go wezwał do siebie. Ale Jochanan nie przestrzegął odległości siedmiu kroków. Józef pochylił się nisko, ręką dotykając czoła, starzec pobłogosławił swego ulubionego ucznia.

Józef powiedział:

— Użyłem dwuznacznie słów proroka, zgrzeszyłem językiem. Powstało z tego wiele zła.

Starzec rzekł:

— Jerozolima wraz ze swą Świątynią dojrzała do upadku przed twoim czynem. Bramy Świątyni otwierają się, wystarczy, aby ktoś dmuchnął. Kierujesz się pychą nawet w ocenie własnej winy. Chcę z tobą mówić, rabbi Józefie, mój uczniu — ciągnął dalej. — W Jerozolimie sądzą, że masz chwiejne serce, rzucono na ciebie anatemę. Ale ja wierzę w ciebie i chcę z tobą mówić.

Słowa te orzeźwiły Józefa jak rosa orzeźwia pole, otworzył szeroko serce przed Jochananiem.

— Państwo jest stracone — powtórzył starzec. — Jednak nie państwo nas jednoczy. Państwa zakładali również inni i rozpadały się, przyjdą nowe państwa i również się rozpadną. Państwo to nie najważniejsza sprawa.

— Cóż jest najważniejsze, mój ojcze?

— Spójni nie tworzy ani naród, ani państwo. Sensem łączącej nas spójni nie jest państwo; jest nim prawo etyczne. Dopóki trwają nauki i prawo, mamy spójnię mocniejszą od państwa. Prawo trwa dopóty, dopóki istnieje głos, który je obwieszcza. Dopóki rozlega się głos Jakuba, ramiona Ezawa pozostają bezsilne.

Józef zapytał nieśmiało:

— Czy słyszę ten głos, ojcze?

— Inni sądzą — odparł Jochanan — że Józef syn Mateusza wyrzekł się swego żydostwa. Ale choć sól rozpuszcza się w wodzie, nie przestaje istnieć, a kiedy woda wyparuje, sól pozostaje.

Te słowa starca podniosły Józefa na duchu i napełniły go taką pokorą, że przez długi czas nie mógł wypowiedzieć słowa. Potem szeptem, nieśmiało przypomniał swemu nauczycielowi:

— Czy zechcecie powiedzieć mi, ojcze, jakie są wasze plany?

— Tak, teraz ci powiem. Rezygnujemy ze Świątyni. Na miejscu widzialnego domu bożego chcemy wznieść niewidzialny, chcemy otoczyć tchnienie Boga murami ze słów zamiast murów z granitu. Czym jest tchnienie Boga? Nauką i prawem. Nie można nas rozłączyć, dopóki mamy język i papier, by pisać na nim prawa Zakonu. Dlatego prosiłem Rzymianina, żeby pozwolił mi założyć uniwersytet w mieście Jawneh. Mam wrażenie, że się zgodzi.

— Plan wasz, ojciec, wymaga pracy wielu pokoleń.

— Mamy czas — odparł starzec.

— Ale czy Rzymianie nam nie przeszkodzą? — zapytał Józef.

— Oczywiście będą próbowali nam przeszkodzić. Siła nie ufa duchowi. Ale duch jest elastyczny. Nic nie można zamknąć tak mocno, żeby coś jednak nie przeniknęło. Burzą nam państwo i Świątynię; na ich miejsce budujemy naukę i prawo. Zabraniają nam słów — porozumiewamy się za pomocą znaków. Zabraniają nam pisać — wymyślamy sobie szyfry. Zamykają nam proste drogi, ale Bóg nie stanie się mniejszy nawet wtedy, kiedy jego wyznawcy będą musieli iść do niego przemyślnymi drogami okrężnymi.

Starzec zamknął oczy, otworzył je po chwili i rzekł:

— Nie jest nam dane dokończyć dzieła, ale nakazano nam, byśmy go nie porzucali. Oto do czego zostaliśmy wybrani.

— A Mesjasz? — zapytał Józef czepiając się ostatniej nadziei. Rabbi mówił z coraz większym trudem, ale zebrał siły; przekazanie wiedzy ukochanemu uczniowi było sprawą ważną. Dał Józefowi znak ręką, żeby się schylił, szepnął mu na ucho zwiędłymi ustami:

— Jest rzeczą wątpliwą, czy Mesjasz w ogóle kiedykolwiek przyjdzie. Ale wierzyć w to trzeba. Nigdy nie wolno liczyć na to, że Mesjasz przyjdzie, ale trzeba zawsze wierzyć, że się tak stanie.

Józef wracał zgnębiony. Wiara tego wielkiego starca nie miała więc w sobie nic promiennego, co by mu pomogło; był w niej jakiś wysiłek, jakaś chytryść, zawsze związana z kacerstwem i zawsze się przeciw kacerstwu broniąca. Była ciężarem. Choć zdawali się tak od siebie różni, droga od Jochanana ben Zakkai do Justusa z Tyberiady nie była daleka. Józef czuł się przybity.

Rabbi słyszał wiele złego o małżeństwie Józefa. Kazał Marze przyjść do siebie i miał z nią rozmowę. Dokoła niej unosił się zapach perfumowanych sandałów.

— Kiedy się modlę, zawsze wkładam te sandały — powiedziała. — Chcę stawać przed Bogiem przepojona wonnościami. — Umiała na pamięć liczne modlitwy, zapisywanie modlitw było niedozwolone, musiały płynąć z serca, trzeba je było nosić w sercu. Mówiła do niego z całą ufnością: — Słyszałem, że odległość ziemi od nieba wynosi pięćset lat, że jedno niebo odległe jest od drugiego także o pięćset lat. Mimo to, kiedy stoję w synagodze za słupem i szepczę, wydaje mi się, jak gdybym szeptała Jehowie do ucha. Czy to pycha i grzech, czcigodny rabbi, jeżeli wierzę, że Jehowa jest mi tak bliski, jak ucho bliskie jest ust?

Jochanan ben Zakkai śledził z zainteresowaniem myśli, które kłębiły się za jej niskim jak u dziecka czołem, dyskutował z nią poważnie, jak z którymś z rabbich w eksedrach Świątyni. Kiedy odchodziła, położył na jej głowie swą łagodną, zwiędłą rękę i pobłogosławił ją starym powiedzeniem: „Niechaj Jehowa uczyni cię taką, jaką była Rachela i Lea.”

Doszło do jego uszu, że Józef, nie obawiając się już protestu Wespazjana, pragnie rozwieść się z Marą. Rozwód nie był rzeczą trudną. Pismo mówi jasno i prosto: „Jeżeli żona nie znajduje łaski w oczach męża, ponieważ przekonał się, że jest zhańbiona, niechaj wręczy jej list rozwodowy i usunie ją ze swego domu.” Jochanan rzekł:

— Istnieją dwie rzeczy, których echa nie słyszy się uchem nawet na milę, a których dźwięk mimo to płynie z jednego końca świata na drugi. Dzieje się to wtedy, kiedy rąbią drzewo, póki rodzi owoce, oraz wtedy, kiedy wzdycha kobieta, usunięta przez męża, którego kocha.

Józef upierał się:

— A czyż nie przekonałem się, że jest zhańbiona?

Jochanan odparł:

— Nie, nie przekonałeś się; była zhańbiona, zanim ją wzięłeś za żonę. Zbadaj własne

sumienie, rabbi Józefie. Nie będę twoim świadkiem, jeżeli zechcesz dać tej kobiecie list rozwodowy.

Stosunek Wespazjana do cesarza Galby nie był tak zupełnie prosty, jak to przedstawiał księżniczka Berenice. Tytus pojechał do Rzymu nie tylko, aby złożyć hołd, lecz przede wszystkim po to, by uzyskać wysokie godności państwowe, których mu jeszcze brakowało. Cel ostateczny sięgał jeszcze wyżej. Brat Wespazjana, sztywny, mrukliwy Sabin, dał do zrozumienia, że nie jest wykluczone, iż stary, bezdziejny cesarz, chcąc się związać z armią na Wschodzie, usynowi syna Wespazjana. List w tej sprawie zakończył na razie uciążliwe pertraktacje między Wespazjanem i Mucjanem. Raz po raz jeden zapewniał wielkodusznie drugiego, iż nie myśli o zdobyciu władzy. W istocie rzeczy każdy wiedział doskonale, że nie czuje się dostatecznie silny do wzajemnej walki; list Sabina wskazał im teraz pożądane wyjście.

Ale jeszcze zimą przysłała wiadomość, która przekreśliła wszystkie te plany. Przy poparciu gwardii rzymskiej i senatu władza przeszła w ręce Ottona, pierwszego męża Poppei, którego Wschód nie brał pod uwagę. Stary cesarz został zamordowany, młody miał odwagę, zdolności, uznanie i sympatię wielu. Nie było wiadome, czy Tytus będzie kontynuował swą podróż i złoży hołd nowemu panu, czy też powróci. Tu na Wschodzie ludzie nie byli gotowi do przeciwstawienia się młodemu cesarzowi, a poza tym, któż miał być wybrańcem Wschodu? Likwidacja starego Galby nastąpiła zbyt prędko, nie doszło jeszcze do porozumienia. Wojska Wespazjana zarówno jak i Mucjana złożyły przysięgę nowemu cesarzowi Ottonowi.

Nikt jednak nie wierzył w trwałość nowych rządów. Otto mógł być pewien wojsk rzymskich, ale nie miał kontaktu z armiami prowincji. Tron młodego cesarza nie trzymał się mocniej niż tron starego Galby.

Księżniczka Berenika otrzymywała codziennie szczegółowe raporty z Rzymu. Po umartwieniach na pustyni rzuciła się ze zdwojoną namiętnością w wir polityki. Korespondowała z cesarskimi ministrami i senatorami, z gubernatorami i generałami Wschodu. Nie można dopuścić, żeby po raz drugi postawiono Wschód wobec faktów dokonanych. Teraz, jeszcze tej wiosny, musi być gotów do zdobycia stolicy. Nie wolno dopuścić do rozdwojenia, musi mieć jednego pana. Panem tym ma być Mucjan. Przede wszystkim trzeba sobie zabezpieczyć wyraźną zgodę Mucjana, skoro zamierza się go wysunąć jako pretendenta przeciwko marszałkowi.

Z całym przepychem, otoczona wielką świtą, ruszyła Berenika do Antiochii. Ostrożnie krążyła dokoła Mucjana.

Ten doświadczony człowiek umiał jako znawca ocenić zalety żydowskiej księżniczki. Jej urodę, hart ducha, smak, bogactwo, namiętne przejmowanie się polityką. Tych dwoje ludzi, którym bliskie były wszystkie muzy, porozumiało się bardzo szybko. Jednakże Berenika nie potrafiła narzucić Mucjanowi swej woli. Otworzył przed nią duszę. Tak, to prawda, jest ambitny, żądny sławy. Nie jest również tchórzem, ale odczuwa pewne zmęczenie. Zdobycie Rzymu stąd, ze Wschodu, to przedsięwzięcie diabła ryzykowne. Nie jest człowiekiem odpowiednim do takiego zadania. Umie pertraktować z dyplomatami, senatorami, gubernatorami, wybitnymi ekonomistami. Dziś jednak miarodajni są niestety wojskowi, jego zaś mierzi paktowanie z tymi feldfeblami, którzy się dochrapali władzy. Nie spuszczał z księżniczki mądrego, smutnego, nienasyconego spojrzenia.

— Wypalanie oka tym Polifemom traci wdzięk na dłuższą metę. Niebezpieczeństwo i osiągnięte korzyści nie pozostają tu we właściwym stosunku. W obecnej sytuacji Wespazjan jest istotnie właściwym człowiekiem. Ma potrzebną brutalność i dzikość, żeby być popularnym w naszych czasach. Przyznają, że w gruncie rzeczy jest mi równie wstrętny jak tobie, księżniczko. Ale stanowi tak czyste wcielenie ducha czasu, że przez to samo staje się niemal sympatyczny. Zrób go cesarzem, księżniczko Bereniko, a mnie pozwól, bym w spokoju skończył pisać historię

naturalną imperium.

Berenika nie ustępowała. Walczyła nie tylko słowami, hojną ręką rzucała pieniądze, żeby stworzyć przychylny nastrój dla swego kandydata. Namawiała Mucjana coraz gwałtowniej, dodawała mu bodźca, schlebiała. Człowiek tak żywy duchem jak on nie powinien się droczyć, ociągać. Odpowiedział z uśmiechem:

— Gdyby tak wielka dama, jak wasza wysokość, była istotnie po mojej stronie, zaryzykowanie tej zuchwałej gry mogłoby mnie mimo wszystko pociągać. Ale ty nie jesteś wcale po mojej stronie, księżniczko, jesteś tylko przeciwko Wespazjanowi. — Berenika zaczerwieniła się, nie chciała tego przyznać, mówiła dużo i zrećnie, chcąc mu te uprzedzenia wyperswadować. Słuchał uprzejmie, udawał, że dał się przekonać. Kiedy jednak mówił z nią dalej poufale i dość ciepło, zauważyła, że laską swą kreśli na piasku jakieś słowa. Były to słowa greckie, z pewnością nie dla niej przeznaczone, ale umiała je rozszyfrować: „Jednemu bogowie dają zdolności, drugiemu szczęście.” Odczytawszy to straciła zapał, z którym dotąd mówiła.

Kiedy w dodatku przybył do Antiochii Józef syn Mateusza, Berenika była przeświadczona, że jej wyprawa do Mucjana skończy się niepowodzeniem. Wyczuła od razu i słusznie, że Wespazjan wysłał Józefa, by pokrzyżować jej plany.

Józef przystąpił do swego zadania delikatnie. Zachowywał się tak, żeby tamten o niego zabiegał. Mucjan był rad, że znowu słyszy dziwny, namiętny, przekonywający głos żydowskiego proroka. W ciągu długich godzin wypytywał go o zwyczaje i obyczaje jego ludu. Przy tej okazji rozmowa zesłała na żydowskich królów i Józef opowiedział Mucjanowi historię o Saulu i Dawidzie.

— Saul był pierwszym królem w Izraelu, ale u nas niewielu nosi imię Saula, natomiast bardzo wielu imię Samuela. Uważamy Samuela za większego od Saula.

— Dlaczego?

— Ten, kto udziela władzy, jest większy od tego, który ją sprawuje. Ten, kto mianuje króla, jest większy niż król.

Mucjan uśmiechnął się.

— Jesteście wszyscy strasznie zarozumiali.

— Może — przyznał Józef zgodniej — Ale czy i tobie siła kierująca z ukrycia nie wydaje się subtelniejsza, bardziej uduchowiona, bardziej pociągająca od tej, która pyszni się przed oczyma całego świata?

Mucjan nie powiedział ani tak, ani nie. Józef ciągnął dalej, a słowa jego były mądrością okupioną licznymi ciężkimi doświadczeniami:

— Władza ogłupia. Nigdy nie byłem głupszy niż wtedy, kiedy sprawowałem władzę. Samuel jest większy od Saula.

— Najsympatyczniejszy w waszej historii jest mi młody Dawid — rzekł Mucjan z uśmiechem. — Szkoda — westchnął — że projekt mianowania Tytusa następcą tronu nie doszedł do skutku.

Wkrótce po przybyciu Józefa do Antiochii Berenika pożegnała się z Mucjanem. Zrezygnowała ze swych nadziei. Pojechała na spotkanie brata, którego oczekiwano w Galii w najbliższych dniach. Przebywał dotychczas w Rzymie, ale doszedłszy do przekonania, że Otto nie będzie panował dłużej niż kilka tygodni, postanowił w porę, bez zwracania na siebie uwagi, ulotnić się z Rzymu, żeby nie zaciągać zobowiązań wobec nowego cesarza. Berenika odetchnęła dowiedziawszy się, że znowu ujrzy brata, za którym gorąco tęskniła; radość złagodziła gorycz niepowodzenia.

— Słodka moja księżniczko — rzekł na pożegnanie Mucjan — teraz, kiedy się rozstajemy, nie mogę pojąć, dlaczego dla ciebie nie zgodziłem się pretendować do tronu.

— I mnie to trudno zrozumieć — odparła Berenika.

Spotkała się z bratem w Tyberiadzie. Pałac był odbudowany, lśnił nad miastem i morzem piękniej niż kiedykolwiek. Niektóre sale, pozbawione okien, zbudowano z kamienia z Kapadocji tak przezroczystego, że było w nich jasno mimo pozamykanych drzwi. Wszystko miało w sobie lekkość, nic nie było przeładowane wedle panującej wówczas w Rzymie mody. Istne arcydzieło architektury stanowiła sala jadalna. Kopułę miała tak wysoką, że zmęczony wzrok z trudem docierał do jej stropu wykładanego kością słoniową; strop ten był ruchomy, można było z niego skrapiać ucztujących pachnącą wodą i zasypywać ich kwiatami.

Brat i siostra szli przez pałac trzymając się za ręce, uszczęśliwieni, że są razem. Wiosna rozpoczęła się, dni stawały się już dłuższe, para pięknych ludzi szła z podniesionymi głowami przez przestronne sale; brat i siostra ze znużeniem napawali wzrok lekkością budowli, jej niepospolitym pięknem. Agryppa opowiadał z lekkim szyderstwem o nowych pałacach, które widział w Rzymie, o ich potwornych rozmiarach i pustce, o ich niegustownie nagromadzonym przepychu. Otto przyznał pięćdziesiąt milionów na wykończenie złotego domu Nerona, ale i on nie dożyje chyba chwili, kiedy pałac będzie gotów. Berenika wykrzywiła wargi.

— Ci rzymscy barbarzyńcy potrafią tylko gromadzić. Zdaje im się, że jest szczytem sztuki budowlanej wmurować jakiś wyjątkowo rzadki kawał marmuru w inny wyjątkowo rzadki kawał takiegoż marmuru, nałożyć na to możliwie jak najwięcej złota. Umieją tylko rządzić.

— Niemala to umiejętność — zauważył Agryppa.

Berenika przystanęła.

— Czy naprawdę muszę cierpieć tego Wespazjana? — biadała. — Jak możesz mi go narzucać, bracie? Jest taki nieokrzesany i szorstki, sapie jak zdyszany pies.

Agryppa opowiadał z ponurą miną:

— Kiedy byłem teraz u niego w Cezarei, kazał mnie po częstować rybami i podkreślał wciąż, że pochodzą z jeziora Genezaret. A kiedy nie chciałem jeść tych zdechłych ryb, szydził ze mnie gorzko. Miałem na myśli niejedną ciętą odpowiedź, ale ugryzłem się w język.

— Drażni mnie do ostatecznych granic — oburzała się Berenika. — Kiedy słyszę jego niezdarne, ciężkie dowcipy, mam wrażenie, że otacza mnie rój komarów. I to my mamy dopomóc, żeby ten człowiek został cesarzem!

Agryppa perswadował:

— Cesarz, którego mianuje Zachód, porozbija nam tu wszystko na miazgę. Marszałek jest mądry i umiarkowany. Weźmie, co mu będzie potrzebne, resztę zostawi nam. — Wzruszył ramionami. — Armia wynosi cesarza na tron, armia przysięga na Wespazjana. Pokaż, że jesteś moją mądrą siostrą — prosił.

Wiść o zamordowaniu Galby dotarła do młodego Tytusa w Koryncie, jeszcze przed jego przybyciem do Rzymu. Dalsza podróż byłaby nonsensem. Przeświadczony, że Galba go zaadoptuje, odczuł boleśnie jego przedwczesny zgon. Nie chciał składać hołdu temu Ottonowi, na którego miejscu widział w marzeniach siebie samego. Pozostał w Koryncie, przeżył w tym mieście, znanym z lekkiego trybu życia, dwa szalone tygodnie, wypełnione kobietami, chłopcami, nadużyciem wszelkiego rodzaju rozkoszy. Potem wyrwał się i mimo nie sprzyjającej pory roku powrócił do Cezarei.

Na statku paliły go, nie dawały spokoju ambitne marzenia babki. Generał Tytus, choć młody, miał za sobą burzliwe życie. Wzloty i upadki ojca, od konsula do spedytora, od pełnego blasku i zaszczytów stanowiska do przytłaczającej biedy, wyłobiły swe piętno na jego losie. Wychował się razem z księciem Brytanikiem, zasiadał do stołu z tym młodym, promiennym kandydatem do tronu, jadał te same co on potrawy. Kiedy cesarz Nero otruł Brytanika, Tytus także zapadł na zdrowiu. Znał przepych Palatynu i nagi dom miejski swego ojca, ciche życie na

wsi i awanturnicze wyprawy nad granicę niemiecką i angielską. Kochał ojca, jego trzeźwy rozsądek, dokładność i zdrowy chłopski rozum, często jednak nienawidził go za prostacki sposób bycia, za wyrachowanie i brak godności. Tytus potrafił znosić tygodniami, miesiącami największe trudy i braki, potem nagle ogarniała go dzika żądza zbytku i rozpusty. Był czuły na pełne spokoju dostojeństwo starorzymskich rodzin szlacheckich. Hieratyczny przepych prastarych rodów królewskich Wschodu przemawiał mu do serca. Z namowy stryja Sabina ożenił się bardzo młodo; poślubił zasuszoną, surową dziewczynę z wielkiego rodu, Marcję Furnillę. Urodziła mu córkę, ale nie stała się przez to bliższa jego sercu; siedziała w Rzymie ponura i żalosna, nie pisywał do niej.

Stary Wespazjan przyjął syna uśmiechnięty, z nie pozbawionym satysfakcji ubolewaniem.

— Życie nasze idzie widać po tej samej linii, mój synu, raz w górę, raz w dół. Musimy na przyszłość być przezorniejsi i mądrzej pokierować sprawą. Zbawca przyjdzie z Judei. Jesteś młody, mój synu, nie wolno ci skompromitować mojego Żyda.

Agryppa i jego siostra wystosowali zaproszenia na uroczystą inaugurację nowego pałacu w Tyberiadzie. Marszałek, który nie czuł sympatii do księżniczki, posłał swego syna.

Zlecenie to było Tytusowi miłe. Kochał kraj zwany Judeą. Lud był tu stary i mądry: robił od czasu do czasu coś bezmyślnego, ale wierzył instynktownie w życie pozagrobowe, w to, co wieczne. Dziwny, niewidzialny Bóg Jehowa pociągał i przygniatał młodego Rzymianina. Imponował mu również król Agryppa, jego elegancja, jego melancholijna mądrość; chętnie pojechał do Tyberiady. Zachwycił go zarówno król, jak jego pałac, natomiast księżniczka sprawiła mu wielkie rozczarowanie. Został jej przedstawiony bezpośrednio przed udaniem się do stołu. Nawykł szybko nawiązywać kontakt z kobietami. Berenika słuchała jego pierwszych zdań łaskawym uchem; nic poza tym. Uznał, że jest zimna i wyniosła; onieśmielał go jej niski, nieco ochrypy głos. Mało się nią zajmował podczas jedzenia, za to tym więcej uwagi poświęcił reszcie towarzystwa. Był wesoły, opowiadał zabawnie, słuchano go życzliwie i z uwagą. Zapomniał o księżniczce, podczas długiej uczyt zamienili ze sobą zaledwie kilka pytań i odpowiedzi.

Uczta się skończyła. Berenika podniosła się. Miała na sobie oryginalną szatę z jednej sztuki, jak to było w tym kraju zwyczajem, z opadającego w ciężkich fałdach kosztownego brokatu. Skinęła Tytusowi głową z obojętną uprzejmością i zaczęła schodzić ze schodów, oparłszy lekko rękę o ramię brata. Tytus odruchowo patrzył w ślad za nią. Wdał się w żartobliwie zacieklą debatę na tematy techniki wojskowej. Nagle przerwał rozpoczęte zdanie, w ciekawych, niespokojnych oczach pojawił się ostry wyraz, utkwiał wzrok w powoli kroczącą księżniczkę. Usta o drobnych zębach, półotwarte, wyglądały na tle szerokiej twarzy nieco głupawo. Kolana mu drżały. Niegrzecznie przerwał rozmowę, pośpieszył za rodzeństwem.

Jak ta kobieta chodzi! Nie, ona nie chodzi, właściwie istnieje tu tylko jedno słowo, greckie, homerowskie: sunie. Użycie wielkiego, homerowskiego określenia w życiu codziennym było oczywiście śmieszne, ale dla sposobu poruszania się tej kobiety nie było innego wyrazu.

— Dokąd tak spieszysz, generale? — zapytała swym głębokim głosem.

Dotychczas głos ten odpychał go, teraz miał w sobie coś kuszącego i podniecającego. Powiedział, że pośpiech jest konieczny dla żołnierza; nie było to zbyt fortunne, na ogół dawał lepsze odpowiedzi. Zachowywał się jak chłopak, głupio, niespokojnie. Berenika zauważyła doskonale, jakie na nim wywarła wrażenie, uważała, że jest miły i ma pewien rubaszny wdzięk.

Gawędzili o fizjonomistyce i grafologii. Było to bardzo modne zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Berenika pragnęłaby ujrzeć pismo Tytusa. Tytus wyciąga swą tabliczkę woskową w złotych ramkach, śmieje się łobuzersko, pisze. Berenika dziwi się: to przecież w każdym szczególe pismo jego ojca. Tytus przyznaje, że zrobił kawał; właściwie stracił już własny charakter pisma, tyle razy naśladował, jak piszą inni. Ale niech teraz ona pokaże mu swoje

pismo. Księżniczka odczytuje, co napisał Tytus. Jest to fragment współczesnego eposu: „Orły legionów i serca ich rozpinają swe skrzydła do lotu.” Księżniczka poważnie, waha się przez chwilę, ściera jego słowa, potem pisze: „Lot orłów nie może zakryć tego, co niewidzialne w Najświętszym Przybytku.” Młody generał przyglądał się pismu. Jest szkolnie poprawne, nieco dziecinne. Zastanawia się, nie ściera słów księżniczki, pisze pod nimi: „Tytus, chciałby zobaczyć to, co niewidzialne w Najświętszym Przybytku.” Podaje jej woskową tabliczkę i rysik. Berenika pisze: „Nie wolno, aby Świątynia w Jerozolimie została zburzona.” Bardzo już mało miejsca na niewielkiej tabliczce. Tytus pisze: „Świątynia w Jerozolimie nie będzie zburzona.”

Chce zabrać tabliczkę. Berenika prosi, żeby ją zostawił. Kładzie mu rękę na ramieniu, pyta, kiedy wreszcie skończy się ta potworna wojna. Najgorsze jest to szarpiące serce, beznadziejne oczekiwanie. Szybki koniec, to koniec łagodny. Niechże wreszcie zdobędzie Jerozolimę. Tytus, któremu to pochlebiło, odpowiada:

— To nie zależy ode mnie.

Berenika — jak mógł ją uważać za zimną i wyniosłą — mówi błagalnie i przekonywująco:

— Ależ nie, to zależy od ciebie, generale!

Po odejściu Tytusa Agryppa zapytał siostry, jakie młody generał zrobił na niej wrażenie.

— Ma miękkie, niesympatyczne usta, nie uważasz?

Berenika uśmiecha się:

— Uważam, że niejedno jest w tym chłopcu niemiłe.

Jest w niejednym podobny do swego ojca. Ale zdarzało się podobno, że kobiety żydowskie dawały sobie radę z barbarzyńcami. Na przykład Estera z Ahaswerem. Albo Irena z Ptolemeuszem Siódmym.

Agryppa rzekł na to — Berenika wyczuła w jego żarcie przestrozę:

— Ale nasza prababka Maria przypłaciła głową podobną zabawę.

Berenika wstała i oddalając się z wolna, powiedziała bardzo cicho, ale z wielką pewnością siebie, niemal z tryumfem:

— Nie martw się, kochany bracie, ten chłopiec nie każe mi ściąć głowy.

Zaraz po powrocie do Cezarei Tytus przypuścił szturm do ojca, by nareszcie rozpoczął oblężenie Jerozolimy. Domagał się tego z niespotykaną u niego gwałtownością. Nie zniesie tego dłużej. Wstyd mu przed oficerami. Takie ociąganie się można sobie tłumaczyć jedynie słabością. Prestiż Rzymu na Wschodzie jest zagrożony, ostrożność Wespazjana graniczy z tchórzostwem. Jejmość Cenis, słuchając tych słów z niezadowoleniem, zapytała:

— Czego ty właściwie chcesz, Tytusie? Czy jesteś naprawdę taki głupi, czy tylko udajesz?

Tytus odpowiedział szorstko: Cenis nie może brać mu za złe tej godnej pożałowania zaborczości; trudno żądać od niej zrozumienia dla żołnierskiego honoru. Wespazjan podszedł do syna i powiedział:

— Ale od ciebie, mój chłopcze, żądam, byś jak najspieszniej przeprosił Cenis.

Cenis zachowała spokój.

— Tytus ma rację, istotnie nie mam wielkiego zrozumienia dla wygórowanej godności. Godność jest wśród młodzieży zawsze bardziej popularna niż rozsądek. Ale to powinien by rozumieć, że tylko bałwan oddałby armię w takiej sytuacji.

Wespazjan zapytał:

— Podburzyli cię w Tyberiadzie, mój chłopcze? Tak ci pilno do tronu? Mam dopiero sześćdziesiątkę. Dziesięć lat będziesz jeszcze musiał być cierpliwy.

Po odejściu Tytusa Cenis zaczęła piorunować na tę hołotę w Tyberiadzie. To oczywiście

Żydzi kryją się za Tytusem. Cicho stąpający król, zarozumiała jak paw Berenika, niemiły, oślizły Józef. Wespazjan lepiej by zrobił, gdyby zerwał z tą całą wschodnią bandą i po rzymsku, szczerze zaczął pertraktować z Mucjanem. Marszałek słuchał z uwagą. Potem rzekł:

— Jesteś mądrą i rezolutną kobietą, moja stara. Ale jeśli chodzi o Wschód, nie masz dobrego węchu. Bez pieniędzy i bez moich cwanych Żydów nie mógłbym ruszyć z miejsca na tym Wschodzie. Na tym Wschodzie drogi najbardziej kręte są najprostsze.

Nadeszła wieść, że armia północna obwołała cesarzem swego przywódcę, Witella. Otto został obalony. Senat i lud rzymski uznał Witella za nowego cesarza. Świat spoglądał z napięciem w stronę Wschodu, nowy władca, z natury flegmatyczny i wielki hulaka, wzdrygał się, ilekroć słyszał nazwisko wschodniego przywódcy. Wespazjan udawał, że tego wszystkiego nie dostrzega. Spokojnie, bez ociągania się kazał swoim legionom złożyć przysięgę nowemu cesarzowi. Niechętnie, z ociąganiem poszli za jego przykładem gubernator Tyberiusz Aleksander w imieniu Egiptu, gubernator Mucjan w imieniu Syrii. Ze wszystkich stron napierano na Wespazjana. Ale on udawał, że nie rozumie, o co chodzi, pozostawał lojalny.

Cesarz, chcąc zapewnić sobie ochronę, ściągnął z Zachodu do stolicy mocne oddziały: cztery legiony znad dolnego

Renu, dwa z Moguncji oraz czterdzieści sześć pułków pomocniczych. Wespazjan czekał mrużąc oczy. Był dobrym żołnierzem, wiedział, że ze stu tysiącami zdemoralizowanych żołdaków nie można długo utrzymać się w takim mieście jak Rzym. Wojska najemne, które zrobiły Witella cesarzem, spodziewają się nagrody. Pieniądzy było niewiele, poza tym Wespazjan znał nastroje panujące w armii i wiedział, że nie zadowoliliby się pieniędzmi. Ma za sobą wyczerpującą służbę w Niemczech, teraz jest w Rzymie, liczy na krótszą służbę i wyższy żołd, należny gwardii stołecznej. Witell może umieścić w garnizonie rzymskim najwyżej dwadzieścia tysięcy żołnierzy, ale co pocznie z resztą? W armiach wschodnich krążyły coraz bardziej uporczywe pogłoski, jakoby Witell chciał te wojska, w uznaniu ich zasług, przenieść na piękny, ciepły Wschód. Już przy zaprzysiężeniu legiony wschodnie bardzo cieniem głosem wydawały przepisowe okrzyki na cześć nowego władcy; teraz okazywały otwarcie swe rozgoryczenie. Żołnierze gromadzili się, wymyślali, że ten, kto by spróbował wysłać ich do barbarzyńskich Niemiec czy przeklętej Anglii, spotkałby się z niemałym oporem. Władcy Wschodu słuchali tego z zadowoleniem. Nagabywani przez swoich oficerów, ile jest prawdy w pogłoskach o przegrupowaniach w armii, milczeli, wzruszali ramionami z dającym do myślenia ubolewaniem. Z Rzymu nadchodziły coraz bardziej ponure wieści. Finanse znajdowały się w beznadziejnym nieładzie, życie gospodarcze zamierało w całej Italii, nie wyłączając stolicy, dochodziło do grabieży, źle zorganizowany, gnuśny dwór gospodarował rozrzutnie, państwu groziło zejście na psy. Oburzenie na Wschodzie rosło. Tyberiusz Aleksander i król Agryppa podsycali je pieniędzmi i rozmyślnie szerzonymi pogłoskami. Cały wielki obszar od Nilu do Eufratu szumiał od prorocत्व na temat Wespazjana. Cudowna przepowiednia, którą zakomunikował marszałkowi, w obecności świadków, wzięty do niewoli generał żydowski Józef syn Mateusza, była na wszystkich ustach: „Zbawca przyjdzie z Judei.” Kiedy Józef szedł ulicami Cezarei ciągle jeszcze zakuty w kajdany, towarzyszyły mu szacunek i trwożliwe szepty.

Czarownie jasne i wspaniałe było tej wiosny powietrze na wybrzeżu Morza Żydowskiego. Wespazjan spoglądał jasnymi, szarymi oczyma na lśniąca toń, warował, czekał. Stawał się w owym czasie coraz bardziej milczący, jego kamienna twarz stała się jeszcze bardziej kamienna, bardziej władcza, sztywne ciało prężyło się, zdawał się rosnać. Studiował depesze z Rzymu. W całym państwie panuje chaos, finanse zachwiane, armia zdemoralizowana, bezpieczeństwo obywateli przestało istnieć. Zbawca nadejdzie z Judei. Zaciśnął wargi, przemógł się, niechaj sprawy dojrzeją, będzie czekał cierpliwie.

Cenis krążyła wokół barczystego marszałka, przyglądała mu się. Nigdy dotąd nie miał przed nią tajemnic, nagle teraz stał się skryty, niepojęty. Była bezradna. A bardzo go kochała.

Napisała niemądry, zatroskany, babski list do Mucjana. Przecież cała Italia czeka na to, żeby armia wschodnia ruszyła na ratunek ojczyzny. A Wespazjan nie robi nic, nie mówi ani słowa, nie rusza się. W Italii zwalczyłyby z pewnością tę dziwną flegmę, ale w tej przeklętej, niesamowitej Judei nikt nie potrafi z niczym dojść do ładu. Prosi Mucjana usilnie, jak Rzymianka Rzymianina, żeby jakoś w swój rozsądny i energiczny sposób potrząsnął Wespazjanem.

List ten został napisany w końcu maja. W początkach czerwca Mucjan przybył do Cezarei. I on zauważył zmianę, która zaszła w marszałku. Stwierdził z zazdrosnym respektem i zdumieniem, że człowiek ten stawał się większy, w miarę jak zbliżały się wielkie ewenementy. Nie bez podziwu pokpiwał sobie z jego mocy, ciężkości, barczystości.

— Jesteś filozofem, mój przyjacielu — powiedział. — Proszę jednak usilnie, żebyś nie filozofował zbyt długo.

Wycelował laską w niewidzialnego przeciwnika. Nęciło go zakłócanie dufnego spokoju marszałka intrygami, trapiła dawna zazdrość. Ale było już za późno. Armia przysięgła tamtemu, mógł maszerować tylko w cieniu tamtego. Starał się o to, żeby pogłoski o wymianie wojsk syryjskich i żydowskich na wojska zachodnie ugruntowały się. Już podano ścisły termin. Legiony miały ruszyć z początkiem lipca.

W połowie czerwca zjawił się u Wespazjana Agryppa. Był znowu w Aleksandrii u swego przyjaciela i krewnego Ty-beriusza Aleksandra. Cały Wschód, zapewniał marszałka, przeciwstawia się Witellowi. Egipt i obie armie, zgnębione wieściami z Rzymu, czekają w szalonym napięciu, żeby natchniony przez Boga zbawca zabrał się wreszcie do dzieła. Wespazjan nie odpowiedział nic, spoglądał na Agryppę, milczał uporczywie. Wtedy Agryppa powiedział z niespotykaną u niego energią:

— Są ludzie, którzy mają niezłomną wolę poparcia boskiego zamiaru. O ile mi wiadomo, egipski gubernator Tyberiusz Aleksander postanowił dać rozkaz, by wojska jego pierwszego lipca złożyły przysięgę Wespazjanowi.

Wespazjan opanował się, nie mógł jednak ściszyć oddechu, który się stał zastraszająco gwałtowny i szybki. Przeszedł się parę razy w tę i w tamtą stronę, potem tonem, w którym była raczej podzięką niż groźbą, powiedział:

— Królu Agryppo, gdyby tak było, musiałbym uważać krewnego pańskiego Tyberiusza Aleksandra za zdrajcę stanu.

Podszedł do króla zupełnie blisko, położył mu obie ręce na ramionach, sapnął prosto w twarz i powiedział z niezwykłą serdecznością:

— Przykro mi, że pokpiwałem z ciebie, ponieważ nie chciałeś jeść ryb z jeziora Genezaret.

Agryppa odparł:

— Proszę na nas liczyć, cesarzu Wespazjanie, liczyć na całe nasze serce i cały nasz majątek.

Lipiec zbliżał się. Wszędzie na Wschodzie krążyły pogłoski, że cesarz Otto przed zadaniem sobie śmierci zaklinał na piśmie Wespazjana, by objął po nim dziedzictwo i ratował imperium. Pewnego dnia Wespazjan istotnie znalazł takie pismo w swojej korespondencji. Nieboszczyk Otto żądał od dowódcy armii wschodniej, by go pomścił na tym nicponiu Witellu, zaprowadził porządek, nie dopuścił do upadku Rzymu. Wespazjan odczytał pismo z uwagą. Powiedział swemu synowi Tytusowi, że jest naprawdę wielkim artystą; człowiek odczuwa nieklamany lęk przed jego sztuką. Wespazjan obawia się, że pewnego ranka obudzi się i znajdzie dokument, w którym mianuje Tytusa cesarzem.

Nadszedł czwarty tydzień czerwca. Napięcie stało się nie do zniesienia. Cenis, Tytus, Mucjan, Agryppa, Berenika — wszyscy przestali panować nad nerwami, domagali się od Wespazjana, żeby się wreszcie zdecydował. Był niewzruszony. Dawał wymijające odpowiedzi, uśmiechał się, dowcipkował, czekał.

W nocy z 27 na 28 czerwca Wespazjan wezwał do siebie w wielkiej tajemnicy Jochanana ben Zakkai.

— Jesteście bardzo uczeni, zacny rabbi — rzekł. — Proszę, pouczajcie mnie dalej o charakterze waszego narodu i jego wierze. Czy istnieje prawo podstawowe, zasada, wspólny mianownik, do którego można by sprowadzić wasze przerażająco liczne nakazy?

Rabbi kiwał głową z zamkniętymi oczyma i opowiadał:

— Sto lat temu było u nas dwóch doktorów światowej sławy, doktor Szammai i doktor Hillel. Pewien człowiek, nie będący Żydem, przyszedł do Szammaia z tym, że przeszedłby na naszą wiarę, gdyby Szammai uświadomił go o jej istocie i przez cały czas potrafił utrzymać się na jednej nodze. Doktor Szammai rozgniewał się i kazał mu iść precz. Człowiek nie będący Żydem poszedł do Hillela. Doktor Hillel powiedział mu:

— Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe. To wszystko.

Wespazjan rozmyślał przez chwilę, potem rzekł:

— Zasady takie są dobre, ale trudno przy ich pomocy utrzymać w porządku wielkie państwo. Mając takie zasady zrobilibyście lepiej, gdybyście pisali księgi, a nam pozostawili politykę.

— Wypowiadasz pogląd, konsulu Wespazjanie — powiedział Żyd — który twój sługa Jochanan ben Zakkai wyznaje od dawna.

— Sądzę, czcigodny rabbi — ciągnął Rzymianin — że jesteście w tym kraju najwybitniejszym człowiekiem. Zależy mi na tym, żebyście pojęli moje motywacje. Proszę mi wierzyć, że bywam świnia względnie rzadko, tylko wtedy, kiedy to nieodzowne. Otóż pozwólcie sobie powiedzieć, że nie mam nic, ale to nic przeciwko waszemu krajowi. Tylko że przezorny gospodarz stawia dokoła swej posiadłości płot. Musimy wznieść płot dokoła państwa. Judea jest naszym płotem przeciwko Arabom i Partom. Niestety, kiedy się was zostawia samych, nie jesteście dość silną oporą. Musimy więc tutaj stanąć my. To wszystko. Co poza tym robicie, nie interesuje nas. Zostawcie nas w spokoju, a damy wam wtedy spokój.

— To bardzo niemiłe — rzekł Jochanan obrzucając Wespazjana spojrzeniem swych młodzieńczych oczu w zwiędłej, pomarszczonej twarzy — że płot ten właśnie przebiega przez nasz kraj. Jest bardzo szeroki i mało naszego kraju

nam pozostaje. Ale pięknie, stawiajcie swój płot. Tylko że i nam potrzebny jest płot. Inny płot, broniący prawa. To, o co cię niedawno prosiłem, konsulu Wespazjanie, jest właśnie takim płotem. Wygląda skromnie i nędznie, kiedy go porównać z waszym: kilku uczonych i mały uniwersytet. My nie przeszkadzamy waszym żołnierzom, wy nam dajcie uniwersytet w Jawneh. Taki małeńki uniwersytet — zakończył, znowu demonstrując drobnymi rękami jego znikome rozmiary.

— Mam wrażenie, że projekt wasz jest niezły — rzekł wolno Wespazjan.

Podniósł się, nagle nastąpiła w nim zmiana. Jochanan, obdarzony niezawodnym instynktem, zorientował się w lot w tej zmianie. Dotychczas stary, zgodny wieśniak sabiński rozmawiał ze starym, zgodnym uczonym jerozolimskim, teraz Rzym mówił do Judei.

— Przygotujcie się — rzekł marszałek — na przyjęcie pojutrze dokumentu wyrażającego zgodę na wasze żądanie. Zechciej mi później, przezacny rabbi, wręczyć pismo kapitulacji opatrzone pieczęcią Synedrionu.

W dwa dni później Wespazjan zwołał uroczyste zgromadzenie na Forum w Cezarei.

Odkomenderowano na nie władze obszaru okupowanego przez Rzym oraz delegacje wszystkich pułków. Oczekiwano powszechnie, że teraz nareszcie nastąpi tak utęsknione przez wojsko proklamowanie Wespazjana cesarzem. Zamiast tego zjawił się na trybunie mówców marszałek wraz z Jochananem ben Zakkai. Zabrał głos wysoki urzędnik z departamentu sprawiedliwości, potem herold obwieścił potężnym głosem, że buntownicza prowincja uznała swój błąd i wraca komie pod opiekę senatu i ludu rzymskiego. Na znak tego rabbi Jochanan ben Zakkai wręczy teraz marszałkowi dokument i pieczęć Synedrionu Jerozolimskiego. Wojna żydowska, której prowadzenie powierzono dowódcy Tytusowi Flawiuszowi Wespazjanowi, została w ten sposób zakończona. Ostateczna pacyfikacja Jerozolimy jest już wyłącznie akcją policyjną. Żołnierze spoglądali na siebie zdziwieni, zawiedzeni. Oczekiwali, że powitają swego dowódcę jako cesarza, że los ich zostanie zapewniony, że może nawet otrzymają jednorazową gratyfikację. Zamiast tego, mieli być teraz świadkami aktu prawnego. Wiedzieli jako Rzymianie, że dokument i zajmowanie się prawem to rzecz ważna, ale nie rozumieli sensu tego dokumentu. Tylko nieliczni, Mucjan, Cenis, Agryppa, właściwie pojmowali znaczenie ceremonii. Rozumieli, że Wespazjanowi, zwolennikowi porządku, zależy na tym, żeby, zanim powróci do Rzymu jako cesarz, otrzymał od strony przeciwnej pismo i pieczęć na dowód, że spełnił powierzone mu zadanie.

A więc żołnierzom przeciągnęły się miny, dawali głośno wyraz niezadowoleniu. Wespazjan wszakże utrzymywał w swych oddziałach dyscyplinę. Kiedy więc zażądano od nich, żeby zawarcie pokoju powitali bardzo uroczyście, większość zdobyła się nawet na radosny wyraz twarzy, przepisany w takich wypadkach przez regulamin wojskowy. Armia przedefilowała przed małym rabbinem z Jerozolimy. Przeciągnęły przed nim godła bojowe i sztandary. Legiony rzymskie oddawały mu hołd wyciągając przed siebie ramię.

Czy Józef nie widział już kiedyś czegoś podobnego? Widział kiedyś przed obliczem Nerona wschodniego króla, przyjmowanego w Rzymie z honorami, ale szabla jego była przybita do pochwy. Teraz armia rzymska oddawała hołd mądrości żydowskiego Boga, ale dopiero po złamaniu miecza Judei. Józef oglądał to widowisko z kąta wielkiego placu w ostatnich szeregach, między szarymi ludźmi i niewolnikami. Trącano go, napierano na niego, wrzeszczano. Utkwił wzrok przed siebie nie ruszając się z miejsca.

Sędziwy człowiek stał na trybunie; kiedy po jakimś czasie było widoczne, że jest zmęczony, podano mu fotel. Raz po raz przykładął rękę do czoła, dziękował, kłaniał się. Od czasu do czasu kiwał pomarszczoną głową uśmiechając się leciutko.

Po skończonej ceremonii armia nie posiadała się z wściekłości. Mucjan i Agryppa byli pewni, że marszałek umyślnie podsycił oburzenie wojska. Zaklinali go, by się proklamował władcą, twierdząc, że owoc już przejrzał. Kiedy i tym razem udawał naiwnego i ociągał się, wysłali jako straż przednią Józefa syna Mateusza.

Była chłodna, miła noc, od morza wiał świeży wiatr, ale Józef płonął, dygotał z podniecenia. Tak, Rzymianin zostanie cesarzem głównie dzięki jego pomocy. Nie wątpił, że uda mu się doprowadzić wahającego się do powzięcia decyzji. To wahanie i ociąganie było oczywiście chytrym droczeniem się. Podobnie jak szybkobiegacze dziesięć dni przed wyścigiem chodzą w sandałach z ołowiu, by trenować nogi, tak pretendent do tronu rozmyślnie utrudniał sobie sprawę wykretami i nieszczerą odmową, żeby w końcu tym pewniej cel osiągnąć.

Józef okazał Wespazjanowi całe swoje oddanie, usiłował natchnąć go wiarą w lepsze jutro, namiętnie przekonywał marszałka, jak wspaniałą przyszłość mu gotuje chcąc zmusić go, by skłonił się przed Bogiem i przeznaczeniem i powiedział: Tak!

Ale Wespazjan pokazał, że nie da sobą kierować. Ten człowiek był istotnie wyniosły i niewzruszony jak skała. Nie chciał sam z siebie postawić najmniejszego kroku, chciał, żeby go

do ostatniej chwili popychano i posuwano.

— Dureń z ciebie, mój Żydku — powiedział. — Niech sobie wasi kacykowie na Wschodzie lepią korony z krwi i błota; to nie dla mnie. Jestem rzymskim chłopem, ani mi to w głowie. U nas o osobie cesarza decyduje armia, senat i lud, a nie gwałt i przemoc. Cesarz Witell ma za sobą prawo. Nie jestem rebeliantem. Jestem zwolennikiem prawa i porządku. — Józef zacisnął zęby. Mówił z całym przekonaniem i oto znowu słowa jego rozbiły się o twarde pancerz tego upartego człowieka. Chciał naprawdę rzeczy niemożliwej: czegoś, co było równocześnie prawem i bezprawiem. Dalsze naleganie nie miało sensu, pozostawało jedynie zrezygnować z całego planu.

Józef nie mógł zdobyć się na decyzję, by już odejść, Wespazjan go nie odprawiał. Obaj siedzieli milcząc w ciemnościach przez długie pięć minut. Józef wyczerpany i zrezygnowany, Wespazjan spokojny i pewny siebie.

Nagle marszałek znów podjął rozmowę, ważąc każde słowo. Rzekł półgłosem:

— Możesz powiedzieć swemu przyjacielowi Mucjanowi, że się nie podporządkuję, że ustąpiłbym tylko pod najsłabszym przymusem.

Józef, dysząc ciężko, spojrzał na niego i zapewnił raz jeszcze:

— Ale pod przymusem ustąpiłbyś jednak?

Wespazjan wzruszył ramionami:

— Rzecz prosta, niechętnie dałbym się zabić. Sześćdziesiąt lat dla tak krzepkiego chłopca jak ja to żaden wiek.

Józef pożegnał się możliwie najprędzej. Wespazjan wiedział: Żyd pójdzie natychmiast do Mucjana, on sam, niestety, o radości! będzie jutro zmuszony zostać cesarzem. Był człowiekiem trzeźwym, surowo zabraniał Cenis i sobie rozsmakowywać się w czymś, dopóki nie osiągnął celu. Teraz delectował się nim. Sapał ciężko. Nie miał jeszcze czasu przebrać się po domowemu, stąpał po chłodnej, kamiennej posadzce pokoju w ciężkich butach żołnierskich. „Tytus Flawiusz Wespazjan, cesarz, władca, bóg”, uśmiechał się szeroko, potem znowu przybrał surowy wyraz twarzy. „No tak” — powiedział. Zaczął wymieniać po łacinie i w narzeczu wschodnim słowa: Cezar, *Adir*, Imperator, Mesjasz. To właściwie śmieszne, że pierwszy aklamował go ten jego Żyd. Trochę go to gniewało, poczuł się mocniej skuty z tym człowiekiem, niżby chciał.

Wzięła go chęć obudzenia Cenis, która tak długo dzieliła z nim wzloty i upadki, powiedzenia jej: „No tak, dopiąłem swego.” Ale chęć ta trwała tylko krótką chwilę. Nie, musiał być teraz sam, nie mógł patrzeć na żadnego człowieka.

Z wyjątkiem jednego, który nic o nim nie wiedział, o którym on nic nie wiedział. Zmarszczki na jego twarzy wygładziły się: twarz ta wyrażała zarazem złość i uszczęśliwienie. Wśród nocy posłał do domu Józefa gońca z rozkazem, by przyszła do niego Mara córka Lakisza z Cezarei.

Józef wrócił właśnie do domu po rozmowie z Mucjanem w podniosłym nastroju, zdawał sobie sprawę, że to dzięki jego współdziałaniu Rzymianin jutro zostanie cesarzem.

Tym głębszy wydał mu się teraz własny upadek. Było hańbą i rozczarowaniem, że Rzymianin w taki sposób upokarzał człowieka, który go natchnął wielką ideą. Zuchwały nieobrzezaniec nie pozwoli mu się podnieść z błota, w jakie pogrążyło go to małżeństwo. Powtarzał w myśli wszystkie przezwiska, którymi obrzucano marszałka; parszywy spedytor, chłop od końskich pyr. Dodawał najplugawsze wymysły po aramejsku i po grecku.

Mara, nie mniej od niego przestraszona, zapytała półgłosem:

— Józefie, panie mój, czy mam umrzeć?

— Głupiaś — rzekł Józef.

Siedząc przed nim skulona, biała jak płótno, żalonna, w cienkiej koszuli, powiedziała:

— Krew, która miała pojawić się przed trzema tygodniami, nie pojawiła się. Józefie, mężu mój, którego mi dał Jehowa, słuchaj: Jehowa pobłogosławił moje łono. — Ponieważ milczał, dodała zupełnie cicho, pokornie, pełna oczekiwania: — Nie chcesz mnie w swoim domu?

— Idź — odrzekł.

Padła na ziemię. Po chwili podniosła się i powłokła ku drzwiom. On zaś, widząc, że chce pójść tak, jak stoi, dodał szorstko, rozkazująco: — Włóż swoje najlepsze szaty.

Uśluchała lękliwie, z ociąganiem się. Lustrując ją, zauważył, że ma na sobie zwykłe obuwie.

— Włóż również perfumowane sandały! — krzyknął.

W owej godzinie, kiedy była u niego, Wespazjan czuł się bardzo zadowolony, wchłaniał ją w siebie wszystkimi zmysłami. Wiedział, że to nastąpi jutro, że jutro zostanie proklamowany cesarzem. Wtedy opuści na zawsze ten Wschód, uda się tam, gdzie jest jego miejsce, osiadzie w Rzymie, by zaprowadzić porządek i ład. W gruncie rzeczy pogardzał Wschodem, ale z jakąś domieszką protekcyjnej miłości. W każdym razie Judea przypadła mu do smaku. Obcy, przynoszący szczęście, zgwalcony kraj był odpowiednim dla niego podnóżkiem, okazał się bardzo odpowiedni na to, by go podbić i ciągnąć zeń zyski. Również i Mara córka Lakisza odpowiadała mu właśnie dlatego, że była taka cicha i pełna budzącej pogardę łagodności. Stłumił nieco swój skrzeczący głos, położył na owłosionej piersi jej głowę, lśniąca w świetle księżyca, pokrzywionymi przez artretyzm palcami głaskał jej krucze włosy, szeptał tkliwie po aramejsku tych kilka słów, których się nauczył: „Bądź czuła, moja dziewczyno, nie bądź głupia, moja gołąbko.” Powtórzył to kilka razy, bardzo łagodnie, ale nieco pogardliwie. Zasypiał. Był miłe zmęczony, kazał jej umyć się, ubrać, zawołał swego kamerdynera, polecił, by ją wyprowadził, w minutę później zapomniał o niej i zasnął zadowolony, w oczekiwaniu nadchodzącego dnia.

Noc była bardzo krótka. Mara wróciła do Józefą o świcie. Chód miała ciężki, twarz gąbczastą, jakby zrobioną z wilgotnego, marnego materiału. Ściągnęła z siebie suknię. Powoli, z wielkim wysiłkiem podarła ją na strzępy. Potem wzięła ukochane, perfumowane sandały, zaczęła je powoli rozrywać paznokciami i zębami. Józef czuł do niej nienawiść, ponieważ nie skarżyła się, nie robiła mu wyrzutów. Myślał tylko o jednym: „Uciec od niej, uciec. Nic nie zdziałam, dopóki będę oddychał tym samym powietrzem, co ona.”

Kiedy Wespazjan opuszczał sypialnię, żołnierze pełniący wartę oddali mu honory, przywitani ukłonem, zastrzeżonym wyłącznie dla cesarza. Wespazjan uśmiechnął się:

— Zwariowaliście, chłopcy?

Ale już wyrósł jak spod ziemi oficer pełniący służbę wraz z innymi oficerami; oni także powitali go jak cesarza. Wespazjan skrzywił się gniewnie. Z kolei jednak ustawiło się w szeregu kilku pułkowników i generałów z Mucjanem na czele. Cały gmach napełnił się nagle żołnierzami, żołnierze wypełnili rozległy plac przed domem i coraz głośniej powtarzali okrzyki witające cesarza, wywołując entuzjazm mieszkańców miasta. Tymczasem Mucjan zaklinał marszałka w gwałtownym i niezwykle zręcznym przemówieniu, by nie pozwolił ojczyźnie utonąć w błocie. Pozostali wspierali to przemówienie namiętnymi okrzykami, tłoczyli się coraz zuchwałej, potrząsali bronią, grozili, że nie darmo są rebeliantami; zamordują go, jeżeli nie stanie na ich czele. Wespazjan użył swego ulubionego zwrotu:

— No, nie tak gorąco, chłopcy. Jeżeli koniecznie nalegacie, nie powiem nie.

Jedenastu żołnierzy pełniących wartę ukarał trzydziestoma razami i wynagrodził siedmiuset sestercjami za nieprzepisowe ukłony powitalne. Mogli się wykupić od razów za trzysta sestercji. Pięciu żołnierzy, którzy przyjęli zarówno razy, jak sestercje, awansował na feldfebli.

Józefowi powiedział:

— Dziękuję, mój Żydku, teraz możesz zdjąć kajdany. — Józef niechętnie podniósł rękę do czoła; był pełen gniewu i buntu.

— Spodziewałeś się czegoś więcej? — szydził z niego Wespazjan. Wobec milczenia Józefa dodał opryskliwie: — Otwórzże usta! Nie ja przecież jestem prorokiem. — Od dawna odgadł, czego Józef chce, ale bawiło go, że zmusi Żyda, by sam o to poprosił. Wmieszał się jednak dobroduszny Tytus:

— Rabbi Józef czeka z pewnością, żeby zeń zerwać okowy. W ten sposób wyzwalamo ludzi, niesłusznie trzymanyh w niewoli.

— Pięknie — rzekł Wespazjan wzruszając ramionami. Pozwolił, by zerwanie kajdanów odbyło się z wielką ceremonią.

Józef odzyskawszy wolność pochylił się głęboko i zapytał:

— Czy od tej chwili wolno mi nosić nazwisko rodowe cesarza?

— Jeżeli sobie po tym coś obiecujesz — rzekł Wespazjan — nie mam nic przeciw temu. I Józef syn Mateusza, kapłan z Jerozolimy, nazywał się odtąd Flawiusz Józef.

KSIEGA CZWARTA

ALEKSANDRIA

Stolica Wschodu, egipska Aleksandria, ciągnęła się wzdłuż morza w kształcie długiego, wąskiego prostokąta. Było to po Rzymie największe miasto znanego świata i niewątpliwie w świecie tym najbardziej nowoczesne. Miała dwadzieścia pięć kilometrów w obwodzie. Siedem szerokich ulic przecinało ją wzdłuż, dwanaście wszerz. Domy były wysokie i obszerne, wszystkie zaopatrzone w bieżącą wodę.

Położona na styku trzech części świata, na skrzyżowaniu Wschodu i Zachodu, na szlaku do Indii, stała się Aleksandria najważniejszym punktem handlowym kuli ziemskiej. Był to jedyny bezpieczny port na całym wybrzeżu azjatyckim i afrykańskim, ciągnącym się na przestrzeni dziewięciuset kilometrów od Joppe aż do Paratonium. Piętrzyły się tutaj złoto, kość słoniowa, szylkret, korzenie arabskie, perły Perskiego Morza, indyjskie drogie kamienie, chińskie jedwabie. Przemysł, stosujący najnowocześniejszą technikę, dostarczał znanych w całym świecie płócien aż do Anglii, wyrabiał cenne dywany i gobeliny, sporządzał stroje dla szczepów arabskich i indyjskich; fabrykował szlachetne szkła, słynne pachnidła. Zaopatrywał cały świat w papier, poczynając od najcieńszego, na którym pisały swe listy wytworne damy, kończąc na najbardziej pospolitym do pakowania.

Aleksandria była miastem pracowitym. Nawet ślepcy mieli tu zajęcie, a wyniszczeni starcy nie próżnowali. Była to praca przynosząca owoce, których miasto nie ukrywało. Kiedy na ciasnych ulicach Rzymu oraz na stromych ulicach Jerozolimy wszelki ruch kołowy był przez cały dzień wzbroniony, przestronne bulwary Aleksandrii rozbrzmiewały turkotem dziesiątek tysięcy pojazdów; nie kończące się szeregi wytwornych zaprzęgów ciągnęły przez dwa szerokie korsa. Na tle rozległych parków rysowały się imponująco rezydencja dawnych królów, muzeum, wspaniałe biblioteki, mauzoleum ze szklaną trumną i szczątkami Aleksandra Wielkiego. Obejrzenie tych osobliwości zajmowało cudzoziemcowi parę tygodni. Były poza tym teatry, tor wyścigowy, wyspa Faros, ukoronowana białą, głośną w całym świecie latarnią morską, olbrzymie składy przemysłowe i urządzenia portowe, bazylika, giełda, która ustalała światowe ceny, była dzielnica rozrywkowa, wreszcie przepyszna miejscowość kąpielowa Kanopus.

Żyło się w Aleksandrii łatwo i dobrze. W niezliczonych garkuchniach i knajpach podawano słynne miejscowe piwo jęczmienne. We wszystkie dni dozwolone przez ustawę odbywały się widowiska w teatrach, w pałacu sportów i na arenie. Bogacze dawali wyrafinowane, zbytkowne przyjęcia w swych pałacach miejskich, w willach w Eleusis i Kanopus, na luksusowych jachtach. Wzdłuż ciągnącego się na przestrzeni dwudziestu kilometrów kanału, który łączył Aleksandrię z kąpieliskiem Kanopus, mieściły się szeregi jądłodajni. Jeżdżono po kanale barkami; kajuty miały łatwe do zaciągania zasłony. Wszędzie na brzegu stały na kotwicy takie barki w cieniu fasoli egipskiej. Tu w Kanopus umiejscowiono elizejskie pola Homera; drobnomieszczanie wszystkich prowincyj marzyli o orgiach uprawianych w Kanopus, odkładali pieniądze na podróż do Aleksandrii.

Bogactwo miasta służyło również i rozkoszom szlachetniejszej natury. Muzeum prześcigało zbiory sztuki Rzymu i Aten, w przebogatej bibliotece zatrudnionych było na stałe dziewięciuset urzędników. Zakłady naukowe Aleksandrii były lepsze od szkół Rzymu. Może stolica państwa górowała wiedzą wojskową, znajomością prawa i ekonomii, ale w innych dyscyplinach przodowała akademia w Aleksandrii. Rzymskie rodziny warstwy rządzącej forytowały lekarzy, którzy studiowali anatomię w Akademii Aleksandryjskiej. Za radą

miejscowych medyków miasto stosowało humanitarny rodzaj egzekucji posługując się szybko działającym ukąszeniem specjalnie w tym celu hodowanej jadowitej żmii.

Mieszkańcy Aleksandrii byli pomimo nowoczesnego trybu życia przywiązani do tradycji. Uważali, że świątynie ich i miejsca kultu są wyjątkowo święte, a modły tam odprawiane wyjątkowo skuteczne, nie zrywali z odziedziczoną po ojcach staroegipską magią, trzymali się kurczowo przeżytych zwyczajów. Jak przed wiekami czcili swoje święte zwierzęta: byki, krogulce, koty. Kiedy jakiś żołnierz rzymski niechcący zabił kota, żadna siła ludzka nie potrafiła uratować go od kary śmierci.

Tak żyło owe milion dwieście tysięcy ludzi, przerzucając się od pracy do rozkoszy, od rozkoszy do pracy, w ciągłej pogoni za nowym, w upartym przywiązaniu do minionego. Byli bardzo kapryśni, zmienni w swych uczuciach, chciwi na pieniądze, inteligentni, nieposkromienie zuchwali, obdarzeni żywym, złośliwym dowcipem, zamiłowaniem do sztuk pięknych; wszystkie pory ich skóry były przesiąknięte polityką. Napływali do miasta ze wszystkich stron świata, ale wkrótce zapominali o swej ojczyźnie i stawali się aleksandryjczykami. Aleksandria była miastem Wschodu i Zachodu, miastem szkół filozoficznych, pogodnej sztuki, wyrachowanego handlu, wścieklej pracy, pieniądziej się rozkoszy, najstarszych tradycji, najbardziej nowoczesnych form życia. Mieszkańcy jej byli bezgranicznie dumni ze swego miasta. Nic sobie z tego nie robili, że ich nieokiełznany, pyskawy patriotyzm lokalny wzbudzał wszędzie gniew i niezadowolenie.

Pośród tej wspólnoty żyła grupa ludzi jeszcze dawniej tu osiadła, bogatsza, bardziej wykształcona, bardziej zadzierająca nosa niż tamci: byli to Żydzi. Mieli za sobą burzliwe dzieje. Siedemset lat temu dzielni wojownicy żydowscy wywalczyli dla króla Psammeticha wielkie zwycięstwo, po czym osiedli w tym kraju. Później Aleksander Macedoński i Ptolemeusz osiedlili ich setki tysięcy. Obecnie było w samej Aleksandrii prawie pół miliona Żydów. Ich wyznaniowa izolacja, bogactwa i arogancja doprowadzały raz po raz do dzikich pogromów. Nie dalej jak przed trzema laty, kiedy wybuchł bunt Judei, pięćdziesiąt tysięcy Żydów zginęło w Aleksandrii podczas okrutnej rzezi. Dziś jeszcze w dzielnicy Delta, będącej ich główną siedzibą, leżały kupy gruzów. Nie usuwali ich rozmyślnie, nie usuwali śladów krwi z murów swych świątyń. Byli dumni z tych napadów, uważali je za potwierdzenie swej potęgi. W istocie bowiem to oni rządili Egiptem, jak kiedyś rządził nim pod skrzydłem faraona Józef syn Jakuba. Marszałek Tyberiusz Aleksander, gubernator generalny Egiptu, był z pochodzenia Żydem. Przewodzący ludzkie prowincje, adwokaci, fabrykanci tekstylii, dzierżawcy podatków, handlarze broni, bankierzy, wielcy kupcy zbożowi, właściciele stoczni, fabrykanci papieru, lekarze, nauczyciele Akademii — byli Żydami.

Główną synagogę w Aleksandrii zaliczano do cudów świata. Mogła pomieścić przeszło sto tysięcy ludzi, była to obok Świątyni w Jerozolimie największa budowla żydowska na świecie. Stało w niej siedemdziesiąt jeden krzesel z czystego złota, przeznaczonych dla przewodniczącego Synedrionu i przewodniczących rady gminnej. Nawet najpotężniejszy głos ludzki ginął w ogromie tej gigantycznej budowli; kiedy wierni mieli odpowiadać kantorowi: „amen”, trzeba to było sygnalizować chorągwiami.

Żydzi aleksandryjscy spoglądali z pychą na swoich rzymskich współwyznawców, na tych Żydów zachodnich, którzy przeważnie żyli nędznie, nie potrafili wyrwać się naprawdę ze swego proletariackiego bytu. Oni, Żydzi aleksandryjscy, pogodzili mądrze swoje żydostwo z formą życia i światopoglądem greckiego Wschodu. Już sto pięćdziesiąt lat temu przełożyli Biblię na język grecki, uważając, że ta ich Biblia nadaje się dla świata greckiego.

Mimo tego i mimo, że mieli w Leontopolis swoją własną świątynię, uważali górę Syjon za swe centrum. Kochali Judeę, patrzyli z głębokim współczuciem, jak wskutek politycznej nieudolności Jerozolimy państwu żydowskiemu grozi zagłada. Wielką ich troską było, żeby

choć utrzymać Świątynię. Dawali na nią pieniądze, jak wszyscy Żydzi, pielgrzymowali do Jerozolimy, mieli tam własne hotele, synagogi, cmentarze. Liczne bramy, kolumny i eksedry były wzniesione z ich ofiar. Również i Żydzi aleksandryjscy nie wyobrażali sobie życia bez Świątyni w Jerozolimie.

Kroczyli z wyniosłymi minami, nie dawali poznać po sobie, jak bardzo ich poruszają wydarzenia w Judei. Interesy kwitły, nowy cesarz miał dla nich zrozumienie. W luksusowych pojazdach jeździli po korsie, siedzieli z książęcymi minami na swych wysokich krzesłach w bazylice, zarabiali kolosalne sumy na giełdzie, wydawali wielkie uczyty w Kanopus, na wyspie Faros. Kiedy jednak byli między sobą, wtedy ich twarze pełne wyniosłości zasępiły się. Nie mogli tchu złapać, dumne ramiona opadały bezwładnie.

Kiedy Józef zszedł w orszaku nowego cesarza ze statku, Żydzi Aleksandrii przyjęli go serdecznie i z szacunkiem. Wiedzano, zda się, dokładnie, jaki był jego udział w proklamowaniu Wespazjana, udział ten nawet przeceniano. Młodzieńczość Józefa, jego trzymana na wodzy energia oraz poważne piękno jego chudej, namiętnej twarzy chwyciły za serce. Jak niegdyś w Galilei, tak wołano teraz w Aleksandrii, kiedy się pokazywał na ulicach: „*Marin, Marin, pan nasz, pan nasz!*”

Po chmurnym fanatyzmie Judei, po szorstkości wojskowej dyscypliny w Rzymie, wchłaniał teraz w siebie z rozkoszą swobodną promiennoscą stolicy świata. Pozostawił w Galilei swoje ciasne, barbarzyńskie życie, swoją żonę Marę. Terenem jego działania nie były intrygi polityki bieżącej ani pospolite zadania organizacji wojskowej, zajmował się sprawami ducha. Z dumą nosił na pasku złote przybory do pisania, ofiarowane mu jako dar honorowy przez młodego Tytusa w dniu, w którym opuścił Judeę.

Otoczony przepychem jeździł po korsie u boku przewodniczącego Synedrionu Teodora bar Daniela. Pokazywał się w bibliotekach, w łaźniach, w luksusowych restauracjach Kanopus. Żyd ze złotymi przyborami do pisania stał się wkrótce powszechnie znany. W niektórych szkołach na jego widok wstawali z miejsc nauczyciele i studenci. Fabrykanci i kupcy byli dumni, kiedy zwiedzał ich warsztaty, składy i spichrze z towarami; literatom pochlebiali, kiedy był obecny na ich prelekcjach. Mężczyźni słuchali go, kobiety Ignęły do niego.

Tak, spełniło się jego proroctwo. Wespazjan był naprawdę Mesjaszem. Inna sprawa, że za przyczyną tego Mesjasza wyzwolenie odbywało się inaczej, niż sobie wyobrażał, powoli, jasno i trzeźwo. Polegało na tym, że człowiek ten rozbijał skorupę żydostwa, chcąc, by jej zawartość rozlała się po świecie, zaś elementy żydowskie i greckie stopiły się z sobą. W życiu Józefa i jego światopogląd wdzierał się coraz gwałtowniej jasny, sceptyczny duch wschodnich Greków. Nie rozumiał już, jak mógł dawniej odczuwać wstręt do wszystkiego, co nieżydowskie. Bohaterowie mitu greckiego i prorocy biblijni nie wykluczali się wzajemnie, nie było przeciwieństwa między niebem Jehowy i Olimpem Homera. Józef zaczynał nienawidzić granic, które były dlań równoznaczne z wyodrębnianiem i pojęciem narodu wybranego. Chodziło o to, by to, co we własnym narodzie było dobre, wsączyć w innych — to, co u obcych było dobre, wessać w siebie. Był pierwszym człowiekiem, który ten światopogląd przykładowo wprowadził w życie. Stał się nowym typem człowieka. Nie był już ani Żydem, ani Grekiem, ani Rzymianinem, był obywatelem świata.

Miasto Aleksandria było od dawien dawna główną siedzibą elementów wrogich Żydom. Apion, Apolloniusz, Molo, Lizymach, egipski arcykapłan Maneton pouczali tutaj, że Żydzi są potomkami trędowatych, że w swym Najświętszym Przybytku czczą osli łeb, że tuczają w swej Świątyni dzieci greckie, zarzynają je na Święto Paschy i rokrocznie pijąc krew tych ofiar potwierdzają tajne przymierze żydowskie, wymierzone przeciw innym narodom. Trzydzieści lat temu dwaj dyrektorzy akademii sportowej, Dionizos i Lampon, zorganizowali fachowo ruch

wrogi Żydom. Biały trzewik akademii sportowej stał się stopniowo symbolem; wszyscy wrogowie Żydów w Egipcie zwali się teraz „białoobuci”.

Pojawienie się Józefa stało się dla nich równoznaczne z nową plagą, która nawiedziła Aleksandrię. Jak wyniośle jeździł po mieście, jak kazał się honorować. Był wcieleniem żydowskiej pychy. W swoich klubach, na spotkaniach towarzyskich śpiewali kuplety, częściowo bardzo dowcipne, o walczącym o wolność bohaterze żydowskim, który przeszedł do Rzymian, o przedsiębiorczym Makabeuszu, który wszędzie się wcisnął i patrzył, skąd wiatr wieje.

Pewnego dnia, kiedy Józef chciał wejść do łaźni „Agryppa”, minął w przedsiönku grupę młodych panów, obutych w białe trzewiki. Ledwie go ujrzeli, zaintonowali odrażającym, piskliwym, to znów charkoczącym, nosowym głosem refren: „*Marin, Marin*”, parodię entuzjastycznych okrzyków żydowskich na cześć Józefa.

Błada, opalona twarz Józefa stała się jeszcze bledsza. Ale kroczył wyprostowany, nie odwracając głowy ani w prawo, ani w lewo. Białoobuci widząc, że nie zwraca na nich uwagi, wzmoгли swe okrzyki. Kilku zawołało:

— Nie podchodźcie do niego za blisko, żebyście się nie zarazili !

Inni znowu wołali: — Jak ci smakuje nasza wieprzowina, Makabeuszu?

Ze wszystkich stron rozlegały się teraz wrzaski: „Józef Makabeusz !”, „Obrzezany Liwiusz !” Józef miał przed sobą mur nienawistnych twarzy.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał pierwszego lepszego młodzieńca o twarzy oliwkowej.

Ten odpowiedział z przesadną uniżonością:

— Chciałem cię tylko prosić o informację, czcigodny Makabeuszu. Czy ojciec twój był także trędowaty?

Józef spojrział mu w oczy i nie odpowiedział ani słowa. Inny młodzian w białych trzewikach zapytał, wskazując na złote przybory do pisania wiszące u pasa Józefa:

— Czy zdążył to zabrać jeden z twoich przodków, kiedy was wypędzano z Egiptu?

Józef milczał. Nagle, przerażająco gwałtownym ruchem wyciągnął zza pasa ciężkie przybory do pisania i uderzył nimi młodzieńca w głowę. Uderzony zwalił się na ziemię. Dokoła zapanowała głucha cisza. Z dumną miną, nie patrząc na powalonego, Józef wszedł do wnętrza łaźni. Białoobuci chcieli ruszyć za nim, ale rozdzielili ich łaźiebni i goście.

Obrażenia, jakich doznał Chaireas, potomek poważanego rodu, były dość ciężkie. Przeciwko Józefowi wdrożono dochodzenie, które wkrótce zostało umorzone. Cesarz powiedział mu:

— No tak, mój chłopcze, wcale nieźle. Ale właściwie nie po to darowaliśmy ci przybory do pisania.

Żydzi Aleksandrii urządzali co roku wielkie święto na wyspie Faros na pamiątkę zakończenia greckiego tekstu Biblii. Ptolemeusz II i kustosz jego biblioteki Demetriusz Faleron wystąpili przed trzema wiekami z projektem przełożenia Pisma świętego na język grecki. Siedemdziesięciu dwóch uczonych żydowskich, znających równie dobrze hebrajski, jak grecki, ukończyło trudne dzieło; miało ono zapoznać ze słowem bożym Żydów egipskich, którzy już nie rozumieli pierwotnego tekstu. Tych siedemdziesięciu dwóch uczonych pracowało pod klauzurą, w ścisłym odosobnieniu, mimo to tekst każdego z nich był co do słowa zgodny z tekstem pozostałych. Ten cud, przez który Jehowa stwierdził, że pochwała pojednawczość Żydów oraz ich zgodne współzycie z Grekami, czcili mieszkańcy Aleksandrii dorocznym świętem.

Wszyscy najwybitniejsi mężowie, nawet ci, którzy nie byli Żydami, zjawili się tego dnia na wyspie Faros, brakowało tylko białoobutych. W uroczystości brali także udział: cesarz, księżę Tytus oraz liczni panowie z Rzymu i wszystkich prowincyj, których obecność dworu

przyciągnęła do Aleksandrii. Były również kobiety. Józefowi przypadł obowiązek wyrażenia podziękowania obcym za przybycie na uroczystość. Uczynił to w sposób uprzejmy, ale nie zdawkowy, uczcił w gorących słowach pisarstwo łączące narody, Aleksandrię zaś, jako łączniczkę narodów świata.

Aby przemówienie wywarło pożądany efekt, musiał widzieć działanie słów na twarzach słuchaczy; chcąc to osiągnąć, zwykł wyszukiwać sobie na chybił trafił jakąś twarz spośród słuchającej go ciżby. Tym razem wzrok jego padł na mięsistą, ale surową, wybitnie rzymską głowę. Głowa ta odgrodziła się jednak od niego i podczas całego przemówienia pozostawała niewzruszona. Ta rzymska głowa spoglądała ponad niego cierpko, z dziwnie tępą pychą, co omal nie przerwało mu toku myśli.

Skończywszy przemówienie Józef zasięgnął informacji, do kogo głowa ta należy. Okazało się, że jest to Kajus Fabullus, malarz nadworny Nerona, autor fresków w Złotym Domu. Józef przyjrzał się dokładnie temu człowiekowi, który słuchał jego przemówienia z tak nieuprzejmą obojętnością. Na krępy, tęgim, niemal bezkształtnym tułowiu tkwiła mocna, surowa głowa. Kajus Fabullus był wyjątkowo starannie ubrany, nosił się sztywno i dostojnie, co przy jego otyłości robiło nieco komiczne wrażenie.

Józef słyszał w Rzymie wiele o dziwactwach tego Kajusa Fabullusa. Malarz, zaciekły hellenista, uprawiający sztukę lekką i zmysłową, był w sposobie bycia zdecydowanie majestatyczny; malował tylko w stroju galowym, odznaczał się niezwykłą pychą, nie rozmawiał ze swoimi niewolnikami, porozumiewał się z nimi jedynie przez znaki i skinienia. Choć sztuka jego cieszyła się sławą i popularnością — nie było miasta prowincjonalnego, które by nie miało fresków i obrazów malowanych na jego modłę — nie udało mu się dostać do wielkich rodów rzymskich. Ożenił się wreszcie ze zhellenizowaną Egipcjanką i przez to raz na zawsze zamknął sobie dostęp do warstwy rządzącej.

Józef dziwił się, że Fabullus w ogóle się tu pojawił; mówiono mu, że należy do najbardziej zagorzałych zwolenników białoobutych. Józef odczuwał niechęć do wszelkiego rodzaju malarstwa, nie przemawiało do niego. Słowa Pisma świętego: „Nie czyn sobie obrazu rytego”, wżarły się w niego głęboko. Nawet w Rzymie, gdzie ceniono bardzo wysoko pisarzy, malarze uważani byli za istoty niższej kategorii; Józef patrzył z podwójnie pogardliwą niechęcią na zarozumiałego artystę Fabullusa.

Cesarz odezwał się do Józefa. W wyjątkowo pięknym egzemplarzu Biblii greckiej, który mu wręczono jako dar honorowy, niezawodnym spojrzeniem znalazł pewne fragmenty erotyczne i prosił teraz Józefa skrzeczącym głosem o wyjaśnienia.

— Utyłeś trochę, mój Żydku — powiedział ze zdziwieniem. Zwrócił się do stojącego w pobliżu Fabullusa: — Żebyś był widział mego Żyda w Galilei, mistrzu. Był wtedy wspaniały. Nie ogolony, chudy jak szczapa, zaniedbany. Prawdziwy prorok, do malowania.

Fabullus stał sztywny, z kwaśną miną. Józef uśmiechał się uprzejmie.

— Odkryłem tutaj — ciągnął Wespazjan — lekarza Hekataio. Każe mi pościć raz na tydzień. Świetnie mi to robi. Co o tym myślisz, Fabullusie? Gdybyśmy tak kazali chłopakowi przez tydzień pościć, czy namalowałbyś go wtedy?

Fabullus stał sztywny, jak by połknął kij; Józef powiedział uprzejmie:

— Cieszy mnie, że wasza cesarska mość jest dziś w stanie tak swobodnie i żartobliwie mówić o Jodfat.

Cesarz roześmiał się:

— Przy zmianie pogody — powiedział — ciągle jeszcze czuję ból w nodze, w którą mi twoi żołnierze wpakowali kamienną kulę. — I wskazując na stojącą obok malarza damę, zapytał: — To twoja córka?

— Tak — odparł malarz sucho i z rezerwą — córka moja Dorion.

Wszyscy spojrzeli na dziewczynę. Dorion była dosyć wysoka, szczupła i delikatna, skórę miała żółtobrazową, pod-

łużną, wąską głowę, wysokie czoło, nos płaski, dosyć szeroki, profil subtelny i czysty. Na delikatnej, dumnej twarzy duże usta rysowały się zuchwale.

— Ładna dziewczyna — rzekł cesarz. I dodał na pożegnanie: — No tak. Zastanów się, Fabullusie, czy nie zechcesz malować mego Żyda.

Po tych słowach oddalił się.

Pozostali milczeli przez długą chwilę, zmieszani.

Fabullus przyszedł na uroczystość tylko ze względu na nowy reżym. Z trudem namówił Dorion, żeby mu towarzyszyła. Teraz żałował, że to zrobił. Ani mu w głowie portretować tego gnuśnego, nadętego literata żydowskiego. Józef ze swej strony ani myślał dać się portretować temu pyszałkowatemu, ograniczonemu malarzowi. Nie można zaprzeczyć, że Dorion jest zjawiskiem wpadającym w oko. „Ładna dziewczyna” — powiedział cesarz. Było to ujęcie płytkie i nietrafne. Stała teraz przed Józefem delikatna aż do przesady, pełna wdzięku, a jednak surowa w swej postawie. Lekki, tryumfujący, sprośny uśmiech błąkał się dokoła jej dużych ust. Józef zachwycał się, acz z niechęcią, jej nieco pierwotnym urokiem.

— No tak — powtórzyła dziewczyna ze szczyptą ironii ulubione słowa cesarza. — A może i my już pójdziemy, ojczy?

Głos miała wysoki, cienki, złośliwy. Józef otworzył usta, by do niej przemówić, ale, choć był zazwyczaj tak zręczny i obyty, nie przychodziło mu do głowy żadne właściwe słowo. W tejże chwili poczuł, że coś ociera się o jego nogi. Spojrzał w dół. Zobaczył dużą, rudą kocicę. Koty, święte zwierzęta, były w Egipcie rozpieszczane. Rzymianie i Żydzi nie cierpieli ich. Józef próbował odstraszyć i przepędzić kotkę. Ale nie ruszała się z miejsca, naprzykrzała mu się. Schylił się, chwycił zwierzaka. Nagle usłyszał głos dziewczyny:

— Proszę puścić tego kota!

Był to głos przeszywający, niemiły. Rzecz dziwna, jak czule dziewczyna przemawiała do kota:

— Chodź, moje zwierzątko, moja droga, mała bogini. — Poglaskała kocicę. Brzydkie zwierzę zaczęło miauczeć.

— Proszę wybaczyć — tłumaczył się Józef. — Nie chciałem kotce zrobić nic złego. W latach, kiedy nawiedza kraj plaga myszy, stworzenia te są bardzo użyteczne.

Dorion wyczuła bez trudu szyderstwo w jego słowach. Miała matkę Egipcjankę i egipską bonę. Kot to stworzenie boskie, jest w nim cząstka bogini lwów Bastet, jest siła i potęga prawników. Żyd chciał poniżyć jej boga, Żyd jest zbyt nędzną istotą, by mu odpowiadać. Nie należało przychodzić na tę uroczystość. Sztuka jej ojca jest jedyna w swoim rodzaju. Żaden rząd, żaden cesarz nie umiał się bez niej obejść, Fabullus mógł nie robić ustępstw nowemu reżymowi. Nie powiedziała nic, stała cicho z kocicą na rękę. Ładny to był obrazek: strojna dziewczyna bawi się kotką. Mile polectana licznymi zwróconymi na nią spojrzeniami, zastanawiała się nad tą całą sprawą. „Ładna dziewczyna” — powiedział cesarz. Chce, żeby ojciec jej malował tego Żyda. Jakież to ciężki, niedowcipny żart. Cesarz jest ordynarny, prawdziwy Rzymianin. Szkoda, że ojciec jej nie ma dosyć przytomności umysłu, żeby się przed takimi żartami obronić. Nie potrafił im przeciwstawić nic poza swoim nieco kwaśnym dostojeństwem, Żyd ze swą służalczą ironią lepiej się wykręcił z afery. Orientowała się doskonale, że mu wpadła w oko pomimo zuchwałego docinka na temat kotki. Jeżeli Dorion powie teraz jedno zdanie, Józef odpowie jej wieloma zdaniami, niezawodnie bardzo pochlebny i pojednawczy. Ale postanowiła nic nie mówić. Jeżeli Józef odezwie się jeszcze, wtedy może raczy mu odpowiedzieć. Jeżeli nie, pójdzie sobie i

to będzie jej ostatnie spotkanie z Żydem.

Józef ze swej strony rozważał: „Ta szelma Dorion jest szydercza i nadęta. Jeżeli wdam się z nią w bliższą znajomość, będę miał kłopoty i nieprzyjemności. Najlepiej zostawić ją z tą jej głupią, paskudną kocicą. Jak dziwnie brązowe są jej ręce w porównaniu z rudością kocicy. Ma ręce niezwykle cienkie i długie. Wygląda jak ostro zarysowana postać z jednego ze starych obrazów, których tu pełno.”

— Czy nie uważasz, że to przesada kazać mi jeszcze schudnąć po to tylko, aby mnie namalował twój ojciec? — zapytuje. Wypowiadając te słowa już żałuje, że nie odszedł.

— Sądzę, że odrobina postu to cena nie za wysoka, by żyć dla wieczności — odpowiada Dorion wysokim, dziecinnym głosem.

— A ja myślę — mówi Józef — że jeżeli będę żyć dalej, to w moich księgach.

Dorion rozgniewała ta odpowiedź. Znowu to słynne żydowskie zarozumiałstwo! Szukała odpowiedzi, która by Józefa dotknęła, zanim ją jednak znalazła, Fabullus odezwał się sucho po łacinie:

— Chodźmy, moja córko. Nie zależy to ani od nas, ani od niego, czy będę go malować. Jeżeli cesarz rozkaże, namaluję nawet ścierwo rozkładającej się świni.

Józef patrzył w ich stronę. Po chwili zniknęli za kolumnami okalającymi nasyp prowadzący na ląd stały. Nie dość ostro się odciął, ale jednak nie żałował, że się odezwał.

W owych dniach Józef napisał psalm, który później nazwany został *Psalmem obywatela świata*.

Pomnóż, o Jahwe, moje uszy,

O pomnóż moje oczy,

Żebym słyszał i widział ogrom tego świata. Poszerz mi serce, Jahwe,

Aby pojęło różność twego świata.

Wzmóż, o Jehowo, mój głos,

Abym mógł wyznać wielkość twego świata. Słuchajcie, ludy, uważcie, narody.

Nie oszczędzajcie ducha, mówi Jahwe,

Któregom na was zesłał.

Roztrwaniajcie swe serca, mówi Pan,

Bo ja pluję na skąpych.

Kto zaciska swe serce i zaciska mieszek,

Od tego odwracam oblicze.

O, zerwij się z kotwicy, mówi Jahwe,

Bo nie miłuję tych, co grzęzną w portach.

Ze zgrozą patrzę na ludzi,

Co gniją w smrodzie gnuśności.

Dałem im uda, by ich nosiły po ziemi,

I stopy, żeby biegali —

A nie tkwili wciąż w miejscu Jak drzewo wrosłe korzeniem.

Bo drzewo jedną ma karmę,

A człowiek żywi się wszystkim,

Co tylko dlań stworzyłem pod namiotem nieba.

Drzewo zna tylko dookolny łan,

A człowiek dale połyka oczyma

I skórą wszelką inność najczulej wyczuwa

Chwalcie Boga i serca roztrwaniajcie po lądach.

Chwalcie Boga i serca roztrwaniajcie po morzach.

Rabem ten, kto się w jeden zakotwiczy ląd.
Ziemia, którą wam chwałę, nie zowie się Syjon,
Jej imię — ziemski glob.

Tak tedy Józef stał się z obywatela Judei obywatelem świata, a z kapłana Józefa syna Mateusza pisarzem Flawiuszem Józefem.

Zeloci mieli swoich zwolenników i w Aleksandrii. Mimo związanego z tym niebezpieczeństwa nawet na ulicach ukazywali się ludzie z zabronioną opaską, na której widniało hasło Makkabi: „Któż jak ty, wśród bogów, o Panie.” Ludzie spod tego znaku przy każdej sposobności okazywali swą pogardę Józefowi, zdrajcy ich sprawy. Po incydencie z białoobutym Chaireasem przycichli nieco, ale teraz, po *Psalmie obywatela świata*, piorunowali ze zdwojoną, siłą przeciw obciążonemu licznymi przewinami Józefowi.

Józef śmiał się z początku. Ale później nie mógł nie zauważyć, jak pod wpływem agitacji Zelotów zaczęli się od niego odsuwać umiarkowani nawet członkowie Synedrionu. Żydowski przywódca Aleksandrii myśleli wprawdzie w głębi duszy tak samo jak on, ale dla większości gminy *Psalm obywatela świata* był szaleńczym kacerstwem. Zaledwie w dwa tygodnie po ogłoszeniu tego utworu doszło do skandalu w synagodze.

Kiedy Żyd aleksandryjski sądził, że przewodniczący Synedrionu oraz jego urzędnicy wydali niesłuszny wyrok w ważnej sprawie, stary obyczaj pozwalał mu apelować do całej gminy, i to w sabbat, przed otwartym zwojem Pisma. Liturgia sabbatu, odczytywanie Pisma, musiała być wtedy przerwana, dopóki cała gmina nie powzięła natychmiastowej decyzji w sprawie takiej skargi. Obwołanie tej decyzji było niebezpieczne, jeżeli bowiem gmina nie opowiedziała się za apelowującym, rzucano na niego anatemę na przeciąg lat trzech. Rzadko robiono użytek z tego prawa, tak było surowe; w ciągu ostatnich dwóch lat zdarzyło się to tylko trzykrotnie.

Teraz, kiedy Józef po raz pierwszy po ogłoszeniu swego psalmu ukazał się w synagodze, zdarzyło się to po raz czwarty. Było nabożeństwo sobotnie, podczas którego miał zostać odczytany ustęp zaczynający się od słów: „I pojawił mu się Jehowa w gaju Mamre.” Zaledwie przyniesiono zwój Pisma na kazalnicę, z której miano go odczytać, zaledwie zdjęto z niego kosztowną powłokę i otwarto go, przywódcą Makabeuszów z kilkoma poplecznikami rzucił się w stronę kazalnicy zabraniając odczytania. Wystąpili ze skargą przeciw Józefowi synowi Mateusza. Choć biegli w Piśmie cytując różne za wikłane klauzule oświadczyli, że klątwa Jerozolimy nie sięga obecnie aż do Aleksandrii, większość Żydów aleksandryjskich była innego zdania. Ten Józef syn Mateusza winien jest nieszczęścia Galilei i Jerozolimy, podwójny z niego zdrajca. Już jego haniebne, służalcze małżeństwo z nałożnicą Wespazjana wystarczy, by go wykluczyć ze społeczności żydowskiej. Wśród burzliwych potakiwań mówca domagał się usunięcia Józefa ze świętego przybytku.

Józef stał bardzo spokojny, z zaciśniętymi ustami. Przecież ten sam stutysięczny tłum jeszcze kilka tygodni temu wydawał na jego cześć entuzjastyczne okrzyki: „*Marin, Marin.*” Dlaczego teraz tak niewielu stanęło w jego obronie? Spojrzał na przewodniczącego Synedrionu Teodora bar Daniela i na siedemdziesięciu panów na złotych krzesłach. Siedzieli bliźsi od swych płaszczów modlitewnych i nie otwierali ust. Nie, nie mogli go ochronić i nie czynili tego. Nie chroniło go również to, że był przyjacielem cesarza. Wydalono go haniebnie z synagogi.

Niektórzy widząc jego sromotę mówili sobie: „To dlatego, ponieważ jest w świecie koło, koło czerpiące wodę. Koło to wznosi się w górę i opada, napełnia próżne wiadra, opróżnia pełne. Ten oto został ugodzony; wczoraj jeszcze był pełen dumy, a dziś okrywa go hańba.”

Zdawało się na pozór, że Józef nie bierze sprawy zbyt serio. W dalszym ciągu prowadził świetny tryb życia, otaczał się kobietami, literatami, aktorami, był wysoce poważanym gościem

w hulaszczycy kołach Kanopu. Książę Tytus wyróżniał go jeszcze bardziej niż dotychczas i prawie zawsze ukazywał się w jego towarzystwie,

Kiedy jednak Józef był sam, w nocy, trapiły go wstyd i gorycz. Surowo sądził sam siebie. Był nieczysty, trędowaty wewnątrz i na zewnątrz, żaden Tytus nie mógł z niego tego trądu zeskrobać. Hańba jego była namacalna, widoczna dla każdego. Miała imię, nazywała się Mara. Musi raz na zawsze zasypać to źródło zła.

Po kilku tygodniach, nie zasięgnąwszy niczyjej rady, udał się do sędziego najwyższego gminy, uczonego Basilidesa. Od czasu owego wypędzenia nie pokazał się u żadnego z możliwych Żydów. Sędziemu najwyższemu wizyta ta była niemiła. Szukał słów, wił się, wypowiedział parę kulawych frazesów. Ale Józef wyciągnął podartą myckę kapłańską, jak tego w tych wypadkach wymagał obyczaj, położył ją przed sędzią, rozdarł szatę i powiedział:

— Jestem twoim sługą i poddanym, rabbi, Józefem synem Mateusza, kapłanem z Jerozolimy. Popeliłem grzech złego popędu. Poślubiłem kobietę, której poślubienie było mi wzbronione, brankę wojenną, która uprzednio żyła z Rzymianinem. Zasłużyłem na anatemę.

Kiedy Józef wypowiedział te słowa, najwyższy sędzia Basilides zbladł; wiedział dobrze, co to znaczy. Dopiero po chwili dał przepisana formułą odpowiedź:

— Anatema, grzeszniku, nie należy do człowieka. To sprawa Boga.

Józef poszedł dalej i zapytał zgodnie z formułą:

— Czy istnieje, rabbi mój, środek, którym grzesznik może odwrócić anatemę od siebie i od swego rodu?

Sędzia najwyższy odparł:

— Jeżeli grzesznik podda się karze czterdziestu batów, wtedy Jehowa okazuje zmiłowanie. Ale grzesznik musi o tę karę poprosić.

Józef rzekł:

— Proszę o karę tych czterdziestu batów, przezacny rabbi.

Kiedy stało się wiadome, że Józef chce się poddać karze chłosty, w mieście zapanowało wielkie poruszenie. Chłosty dokonywano rzadko, wymierzając ją przeważnie niewolnikom. Makabeusze oniemieli, część ich, która w synagodze przy wypędzaniu Józefa najgłośniej wrzeszczała, żałowała tego w głębi duszy. Ale białoobuci zasmarowali ściany wszystkich domów karykaturami chłostanego Józefa i śpiewali w knajpach kuplety na jego temat.

Władze żydowskie nie podały do wiadomości publicznej terminu egzekucji. Mimo to w oznaczonym dniu dziedziniec synagogi Augusta był pełen ludzi, a ulice sąsiednie kipiały gwarem ciekawych. Błady, wychudzony, z oczami utkwionymi przed siebie, kroczył Józef ku najwyższemu sędzi. Przyłożył rękę do czoła; bardzo głośno, żeby go wszyscy mogli słyszeć, powiedział:

— Czcigodny rabbi, popeliłem grzech złego popędu. Proszę o karę czterdziestu batów.

Sędzia odrzekł:

— Przekazuję cię więc, grzeszniku, słudze sądowemu.

Siepacz Ananiasz bar Akaszja dał znak swym dwom pomocnikom. Zdarli z Józefa szaty. Podszedł lekarz, zbadał, czy Józef jest w stanie znieść chłostę, czy pod razami nie odda moczu i kału; byłoby to niegodne, gdyż Zakon mówi: „Brat nie powinien być w twoich oczach znieważany.” Józefa badał starszy lekarz gminy, Julian. Macał go, badał dokładnie serce i płuca. Wielu z przyglądających się sądziło, że lekarz uzna Józefa za niezdolnego do wytrzymania całej chłosty. W głębi ducha liczył na to i Józef. Ale lekarz, umywszy ręce, oświadczył:

— Grzesznik jest w stanie znieść czterdzieści uderzeń.

Siepacz kazał Józefowi uklęknąć. Pomocnicy przywiązali mu obie ręce do słupa; kolana Józefa znajdowały się w pewnej odległości od słupa, wszyscy widzieli, jak się na jego plecach

wyprężyła gładka, blada skóra. Potem przywiązali mu do piersi ciężki kamień, ściągający tułów ku ziemi. Ananiasz bar Akaszja chwycił za batog. Widać było, jak Józefowi serce wali pod żebrami. Akaszja długo przymocowywał do rączki szeroki rzemień z bawolej skóry. Koniec jaemia musiał dotykać brzucha chłostanego. Taki był przepis.

Najwyższy sędzia zaczął odczytywać słowa Pisma dotyczące chłosty: „Stać się ma tak: jeżeli grzesznik zasługuje na razy, sędzia każe go położyć i bić winnego przed swoim obliczem. Uderzyć go można czterdzieści razy, nie więcej. Brat twój nie powinien być w twoich oczach znieważany.” Siepacz wymierzył Józefowi trzynaście razów w plecy. Drugi sędzia policzył, pomocnicy zwilżyli ciało grzesznika. Potem rzekł trzeci sędzia:

— Wal!

I siepacz wymierzył trzynaście uderzeń w pierś. Pomocnicy znowu zwilżyli ciało grzesznika. Wreszcie siepacz wymierzył mu jeszcze trzynaście razów w plecy. Kiedy bił, panowała ogromna cisza. Słyszeć tylko było odgłos uderzeń oraz świszczący oddech Józefa, widać było, jak mu serce trzepoce.

Józef leżał związany nie mogąc tchu złapać pod razami. Uderzenia były krótkie i ostre, ale ból jak nieskończone, wzburzone morze napływał wysokimi falami, chwycił Józefa, porywał go, odpływał, znowu nań spadał. Józef jęczał, syczał, poczuł zapach krwi. Wszystko to cierpi przez Marę, której pożądał; nienawidzi jej teraz, każe ją ze swej krwi wypędzać batami. Modlił się: „Z głębokości wołałem do Ciebie, Panie.” Liczył uderzenia, ale stracił rachubę, zdawało mu się, że otrzymał setki razów, że go biją dalej. Właściwie prawo przewiduje, że powinno być trzydzieści dziewięć uderzeń, mówi bowiem wyraźnie: „Winno być uderzeń mniej więcej czterdzieści”, a więc trzydzieści dziewięć. Jakże łagodne były prawa rabbich i jak surowe Pismo. Jeżeli zaraz nie przestaną, umrze. Wydawało mu się, że Jochanan ben Zakkai powie, żeby dali spokój. Uczony rabbi przebywał w Judei, w Jerozolimie albo w Jawneh, ale mimo to będzie tutaj i otworzy usta. Chodzi tylko o to, żeby Józef wytrzymał do tej chwili. Ziemia i słup rozplływają mu się przed oczami, ale się trzyma na wodzy. Musi widzieć jasno i ziemię, i słup, dopóki nie przyjdzie Jochanan ben Zakkai, taki otrzymał rozkaz. Ale Jochanan bez Zakkai nie przyszedł i Józef wreszcie stracił przytomność. Zemdlał przy dwudziestym czwartym uderzeniu. Kiedy mu znowu zwilżono ciało, odzyskał przytomność i lekarz powiedział:

— Wytrzyma.

Usłyszawszy to sędzia dał rozkaz:

— Bij dalej.

Wśród widzów znajdowała się Berenika. Nie było trybun ani oddzielonych miejsc. Ale Berenika wysłała już poprzedniej nocy swego najmocniejszego niewolnika, żeby pilnował jej miejsca. Stała teraz w drugim rzędzie, w tłoku; usta miała na pół otwarte, dyszała ciężko nie odrywając spojrzenia ciemnych oczu od katowanego. W dziedzińcu panowała głucha cisza. Słyszeć było tylko głos najwyższego sędzi, który odczytywał słowa Pisma bardzo powoli, trzy razy od początku do końca. Z pobliskich ulic dochodził wrzask tłumu. Berenika przyglądała się uważnie, jak ten wyniosły Józef poddaje się chłoscie, by się uwolnić od dziewczki, z którą kazano mu związać swe nazwisko. Tak, był naprawdę jej kuzynem. Nie interesowały go małe grzechy ani małe cnoty. Rozumiała, że można się głęboko upokorzyć, żeby potem tym dumniej wypłynąć na powierzchnię. Sama zaznała na pustyni rozkoszy takich upokorzeń. Stała bardzo blada, niełatwo było się temu przyglądać, ale się przyglądała. Poruszała bezdźwięcznie wargami, liczyła machinalnie uderzenia. Była rada, kiedy padło ostatnie, ale mogłaby stać jeszcze dłużej, jeszcze dłużej się przyglądać. Żeby jej wyschły pod wąskimi wargami.

Józefa zaniesiono krwawiącego i nieprzytomnego do gmachu gminy. Pod nadzorem lekarza umyło go, namaszczone olejkami wsączono mu w usta trunek z wina i mirry. Kiedy

odzyskał przytomność, powiedział:

— Dajcie oprawcy dwieście sestercji.

Tymczasem Mara córka Lakisza chodziła uszczęśliwiona, ciesząc się myślą o dziecku, które miała urodzić, otaczając je najtroskliwszą opieką. Była bardzo pracowita, ale teraz nie kręciła ręcznego młynka, żeby jej syn nie stał się pijakiem. Nie jadła niedojrzałych daktyli, żeby dziecku nie łzawiły oczy, nie piła piwa, żeby nie miało brzydkiej cery, nie brała do ust musztardy, by nie było hulaką. Za to jadła jajka, żeby oczy dziecka stały się większe, kraby morskie, żeby je ludzie lubili, cytryny, żeby przyjemnie pachniało. Trwożliwie schodziła z drogi wszystkimu, co szpetne, aby się nie zapatrzeć, szukała widoku pięknych ludzi. Z trudem postarała się o kamień czarodziejski, wewnątrz wyżłobiony. Krył w sobie mniejszy kamień, symbol macicy, która, choć otwiera się do wewnątrz, owocu swego nie roni.

Kiedy już nadszedł czas, posadzono Marę na krześle porodowym, na którym mogła na wpół siedzieć, na wpół leżeć, przywiązano do niego kurę, by jej trzepotanie przyspieszyło poród. Poród był bolesny, Mara długo odczuwała po nim przejmujący chłód w krzyżach. Akuszerka wypowiadała zaklęcia, liczyła, wołała ją po imieniu, znów liczyła.

Wreszcie dziecko przyszło na świat. Był to chłopiec. Sinoczarny, brudny, oblepiony śluzem i krwią. Wrzeszczał tak głośno, że ściana oddawała echo tego wrzasku. Był to dobry znak. Dobrym znakiem było i to, że dziecko przyszło na świat w sabbat. Mimo sabbatu zrobiono ciepłą kąpiel, wiano do wody nieco kosztownego wina Eszkol. Ostrożnie wyprostowano członki maleństwa, miękkie ciemiączko posmarowano dla odstraszenia robactwa papką z niedojrzałych winogron. Namaszczone je ciepłą oliwą, posypano proszkiem z mirry, zawinięto w delikatne płótno; Mara oszczędzała na sukniach, żeby zdobyć dla dziecka najcieńsze pieluszki.

— *Jonki, tinoki, jaldi*, dziecko moje, dziecino — mówiła Mara. Dumna, że urodziła chłopca, kazała następnego dnia zasadzić drzewo cedrowe.

Przez całe dziewięć miesięcy zastanawiała się nad tym, jakie ma dać chłopcu imię. Ale teraz, na tydzień przed obrzezaniem, kiedy trzeba było coś postanowić, długo się wahała. Wreszcie powzięła decyzję. Wezwała pisarza i podyktowała mu list następujący:

„Mara córka Lakisza wita swego pana, Józefa syna Mateusza, kapłana, przyjaciela cesarza.

O Józefie, panie mój, Jehowa widział, że służebnica twoja nie była miła twemu obliczu, więc pobłogosławił moje ciało i uczynił mnie godną urodzenia syna. Urodził się w sabbat, waży 7 talentów, 65 zuzów. Krzyk jego odbija się echem od ściany. Nazwałam go Szymon, gdyż Jehowa wysłuchał mnie, kiedy byłam w niełasce. Józefie, panie mój, bądź pozdrowiony i stań się wielki w słońcu cesarza, niech oblicze Pana lśni nad tobą.

Nie jedz łądyg palmy, bo będziesz czuł ucisk w piersi.”

O tej samej porze, jeszcze przed otrzymaniem listu, Józef stał w sali posiedzeń gminy aleksandryjskiej. Był jeszcze blady i bardzo wyczerpany chłostą, ale trzymał się prosto. Obok niego stali jako świadkowie przewodniczący Synedrionu Teodor bar Daniel i Nikodem, przewodniczący gminy Augusta. Sędzia najwyższy Basilid sam przewodniczył, trzej rabbi pełnili funkcję sędziów. Pierwszy sekretarz gminy pisał na cielęcej skórze pod dyktando sędziego najwyższego, stosownie do przepisu, gęsim piórem i czarnym atramentem, bacząc, żeby dokument zawierał dokładnie dwanaście linijek, zgodnie z liczbowym znaczeniem liter słowa Get, co oznacza rozwód. Był to bowiem list rozwodowy.

Kiedy pióro skrzypiało na papierze, Józef słyszał w swym sercu szmer głośniejszy od tego skrzypienia. Był to ten sam ostry szmer, z którym Mara córka Lakisza rozdzierała suknię i sandały, gdy o szarym świcie wróciła od Rzymianina Wespazjana. Józef sądził, że zapomniał o tym szmerze, mylił się jednak, szmer dźwięczał w jego uszach głośniejszy niż skrzypienie pióra. Ale

ucho jego było nań głuche, serce otępiało. Sekretarz pisał, co następuje:

„Siedemnastego dnia miesiąca kislew roku 3830 po stworzeniu świata, w mieście Aleksandria nad Morzem Egipskim.

Ja, Józef syn Mateusza, zwany Flawiuszem Józefem, znajdujący się dziś w mieście Aleksandria nad Morzem Egipskim, zgodziłem się z własnej i nieprzymuszonej woli zwolnić cię, oderwać się od ciebie i rozwieść się z tobą, małżonko moja Maro córko Lakisza, przebywająca w mieście Cezarei nad Morzem Żydowskim. Byłaś dotychczas moją żoną. Teraz bądź swobodna, zwolniona, rozwiedziona ze mną, żeby ci było dozwolone na przyszłość rozporządzać sobą i żebyś na przyszłość była dostępna dla każdego.

Niniejszym otrzymujesz ode mnie dokument zwolnienia oraz list rozwodowy wedle ustawy Mojżesza i Izraela.”

Dokument został przekazany specjalnemu delegatowi z pisemnym zleceniem wręczenia go Marze córce Lakisza w obecności przewodniczącego gminy Cezarei oraz dziewięciu dorosłych Żydów.

Marę wezwano tego samego dnia, w którym kurier przybył do Cezarei. Nie miała pojęcia, o co chodzi. Pismo zostało jej wręczone przez zastępcę Józefa w obecności przewodniczącego gminy. Nie umiała czytać, poprosiła więc, by je odczytano. Uczyniono to — nie zrozumiała. Odczytano jej pismo po raz drugi, wytłumaczono, o co chodzi. Padła zemdlona. Na znak, że dokument został wręczony i odczytany zgodnie z przepisami, sekretarz gminy przedał go, dołączył do swych akt i wystawił kurierowi odpowiednie świadectwo.

Mara wróciła do domu. Zrozumiała, że nie znalazła łaski w oczach Józefa. Kiedy kobieta nie znajduje łaski w oczach mężczyzny, mężczyzna ma prawo ją odrzucić. Żadna jej myśl nie obróciła się przeciw Józefowi.

Od tej chwili poświęcała swe dni z lękliwą troskliwością małemu Szymonowi, pierworodnemu Józefa. Skrupulatnie wstrzymywała się od wszystkiego, co mogło zaszkodzić jej pokarmowi, unikała słonych ryb, cebuli, niektórych jarzyn. Nie nazywała już syna Szymonem. Naprzód nazywała go bar Meirem, synem promiennego, później bar Adirem, synem potężnego, później bar Nifli, synem chmury. Ale przewodniczący gminy wezwał ją powtórnie i zabronił dawania takich imion dziecku, gdyż „chmura”, „potężny”, i „promienny” są przydomkami Mesjasza. Dotknęła ręką niskiego czoła, skłoniła się, przyrzekła być posłuszną. Kiedy jednak była sama w nocy, kiedy jej nikt nie słyszał, dalej nazywała małego Szymona tymi imionami.

Wiernie strzegła przedmiotów, których Józef kiedyś dotknął, ręczników, którymi się wycierał, talerza, z którego jadał. Chciała, by dziecko było godne ojca. Przewidywała, że powstaną tu wielkie trudności. Syn bowiem, pochodzący z małżeństwa kapłana i branki wojennej, nie był uznany, był bękartem, wykluczonym ze społeczności. A jednak musiała znaleźć jakieś wyjście. W sabbat, w dni świąteczne pokazywała małemu Szymonowi pamiątki po ojcu, ręczniki, talerz, opowiadała mu o wielkości ojca, zaklinała, żeby został rabbim, uczonym w Piśmie tak samo jak on.

Po wręczeniu świadectwa rozwodowego odnośnemu urzędnikowi gminy w Aleksandrii, Józef został uroczyście wezwany przez synagogę do odczytania fragmentów Pisma. Przez wzgląd na swój stopień kapłański odczytał je pierwszy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nosił teraz myckę kapłańską oraz niebieski, tkany w kwiaty pas kapłański. Wszedł na wielką kazalnicę, stanął nad otwartym zwojem Pisma, sprzed którego przepędzono go kilka tygodni temu. Wśród ciszy stutysięcznego tłumu wypowiedział słowa błogosławieństwa: „Bądź błogosławiony, Jehowo, któryś nam dał prawdziwą naukę i zaszczerpił w nas życie wieczne.”

Potem odczytał gromkim głosem rozdział Pisma przeznaczony na ten sabbat.

W pełni zimy, około Nowego Roku, Wespazjan uświadomił sobie, że trzyma mocno

państwo w garści. Dzieło żołnierza zostało przezeń dokonane; teraz rozpoczynało się zadanie trudniejsze: rządy krajem. To, co się na razie działo w jego imieniu w Rzymie, było złe i nierozsądne. Mucjan wysysał z Włoch z bezlitosną chciwością wszystkie zasoby pieniężne, a młodszy syn cesarza, Domicjan, którego Wespazjan zawsze nie cierpiał, ziółko nie lada, w imieniu cesarza, jako jego namiestnik, rządził według własnego widzimisię. Wespazjan napisał do Mucjana, by nie aplikował krajowi zbyt wielkiej ilości środków przeczyszczających; ktoś zmarł już na biegunkę. Potem wezwał z Rzymu do Aleksandrii trzech ludzi: sędziwego ministra finansów Etruska, jubilera nadwornego i dyrektora cesarskich zakładów poławiania pereł Klaudiusza Reginusa oraz administratora swych majątków sabińskich.

Trzej rzeczoznawcy wymienili cyfry, porównali je. Imperialistyczna polityka cesarza Nerona oraz zamieszki po jego śmierci dokonały olbrzymich spustoszeń, suma długów państwowych, według obliczeń tych panów, była wysoka. Reginus wziął na siebie niewdzięczne zadanie przedstawienia jej cesarzowi.

Wespazjan i finansista nigdy się jeszcze nie widzieli. Teraz siedzą naprzeciw siebie w wygodnych fotelach. Reginus, o zaspanym wyglądzie, mruży oczy, skrzyżował tłuste nogi, luźno związane rzemienie trzewików kołyszą się. Dawno już stawał na tego Wespazjana, jeszcze wtedy, kiedy można było z nim robić bardzo mizerne interesy. Nawiązał kontakt z jejmością Cenis, z czasem, kiedy stały się aktualne wielkie dostawy dla judejskiej i europejskiej armii Wespazjana, płacił jej okazałe prowizje. Wespazjan wiedział, że finansista w rozliczeniach okazał się człowiekiem przyzwoitym. Jasnymi, twardymi oczyma wpatrywał się w mięsistą, smutną, nieprzeniknioną twarz Reginusa. Obaj badali się nawzajem i przypadli sobie do gustu.

Reginus wymienił cesarzowi cyfrę. Czterdzieści miliardów. Wespazjan ani drgnął. Może zasapał nieco gwałtowniej, ale głos jego brzmiał spokojnie, kiedy odpowiedział:

— Czterdzieści miliardów. Odważny z ciebie człowiek. Czy nie obliczyłeś aby pewnych pozycji zbyt wysoko?

Klaudiusz Reginus upierał się swym oleistym głosem:

— Czterdzieści miliardów. Trzeba tej cyfrze śmiało spojrzeć w oczy.

— Patrzę jej w oczy — rzekł cesarz sapiąc ciężko.

Mówili o tym, jakie środki należy zastosować. Można by uzyskać ogromne sumy, gdyby się dokonało konfiskaty mienia tych, którzy już po proklamowaniu Wespazjana stali jeszcze po stronie poprzedniego cesarza. Był to dzień, w którym cesarz trzymając się diety przepisanej przez lekarza Hekataiosa, zwykł był pościć. W dni te miewał niezwykle wyostrzony zmysł do interesów.

— Jesteś Żydem? — zapytał zniechęca.

— Pół-Żydem — odparł Reginus — ale z roku na rok staję się bardziej do Żyda podobny.

— Miałbym sposób — rzekł Wespazjan mrużąc oczy — na to, żeby się od razu pozbyć połowy tych czterdziestu miliardów.

— Jestem bardzo ciekaw — powiedział Klaudiusz Reginus.

— Gdybym zarządził — rozważał Wespazjan — że w głównej synagodze ma stanąć mój posąg...

— Wtedy Żydzi by się zbuntowali — dokończył Klaudiusz Reginus.

— Racja — rzekł cesarz. — I mógłbym im zabrać pieniądze.

— Racja — powiedział Klaudiusz Reginus. — Dałoby to około dwudziestu miliardów.

— Szybko liczysz — pochwalił cesarz.

— I pokryłoby połowę długów — oświadczył Klaudiusz Reginus. — Ale reszta niczym by się pokryć nie dała, gdyż życie gospodarcze i kredyt, nie tylko na Wschodzie, byłyby raz na zawsze zrujnowane.

— Obawiam się, że masz rację — westchnął Wespazjan. — Musisz jednak przyznać, że pomysł jest kuszący.

— Przyznaję — uśmiechnął się Klaudiusz Reginus. — Szkoda, że obaj jesteśmy na to za mądrzy.

Reginus nie znosił Żydów aleksandryjskich. Znadto się puszyli, byli dla niego zbyt wytworni. Irytowało go również, że patrzą z góry na Żydów rzymskich jak na kompromitujących ubogich krewnych. To jednak, co cesarz proponował, wydawało mu się zbyt radykalne. Wymyślił później dla Żydów aleksandryjskich coś innego, utoczy im krwi; nie tak, żeby aż mieli się wykrwawić, ale żeby go popamiętali.

Na razie doradził cesarzowi nałożenie innego podatku, godzącego we wszystkich, na który nikt dotychczas na Wschodzie się nie odważył: podatku od solonych ryb i konserw mięsnych. Nie ukrywał niebezpieczeństwa, na jakie może narazić taki podatek. Mieszkańcy Aleksandrii mają pyski jak rekiny i cesarz niejednego się od nich nasłucha. Ale Wespazjan nie boi się złośliwych kupletów.

Kiedy ogłoszono wprowadzenie podatku od solonych ryb, sympatie mieszkańców Aleksandrii dla cesarza uległy gwałtownej zmianie. Wymyślali straszliwie na podrożenie tego ulubionego pożywienia, przy jakiejś okazji obrzucili go zgniłymi rybami. Cesarz śmiał się do rozpuku. Błoto, końskie pyry, rzepa, teraz zgniłe ryby. Bawiło go, że nawet jako cesarz z tego nie wyłączył. Zarządził dochodzenie. Sprawcy zamieszek musieli dostarczyć jego administracji skarbowej dokładnie tyle złotych ryb, ile zgniłych znalazło się w jego rydwaniu.

W owe dni Wespazjan rzadko widywał Józefa. Stał się wielki na swym cesarskim urzędzie, oddalił się od swego Żyda, stał się obcy, był teraz człowiekiem Zachodu, Rzymianinem. Raz, zetknąwszy się z nim przypadkowo, powiedział mu:

— Słyszałem, że dla jakiegoś przesądu kazałeś sobie wlepić czterdzieści batów. — Jak by to było dobrze — westchnął — gdybym mógł uwolnić się od moich czterdziestu miliardów każąc sobie wymierzyć czterdzieści batów!

Józef i Tytus leżeli w otwartej hali jadalnej willi w Ka-nopus, w której książę spędzał większą część wolnego czasu. Byli sami. Łagodny dzień zimowy, choć zapadał już wieczór, pozwalał przebywać nadal w otwartej hali. Morze było spokojne, cyprysy nie poruszały się. Po hali kroczył wolno ulubiony paw księcia zjadając resztki.

Józef, leżąc na kanapie, widział przez otwór w ścianie niżej położony taras i ogród,

— Książę każe przycinać krzewy bukszpanu w kształcie litery? — zapytał wskazując głową na pracujących w dole ogrodników.

Tytus przegryzł kawałek smażonego w cukrze owocu. Był w dobrym humorze, skłonny do szczerych wypowiedzi. Uśmiech opromieniał jego szeroką, chłopięcą twarz osadzoną na nieco przykrótkim tułowi.

— Tak, mój Żydzie — odrzekł — nawet krzewom bukszpanu nadaję kształt litery w mojej willi w Aleksandrii.

— Kształt litery „B”? — uśmiechnął się Józef.

— Jesteś chytry, mój proroku — rzekł Tytus.

Przysunął się bliżej. Józef siedział, Tytus leżał założywszy ramiona pod głowę i spoglądał ku niemu.

— Ona uważa — rzekł poufale — że jestem podobny do mego ojca. Nie znosi mego ojca. Rozumiem to. Ale sądzę, że jestem do niego coraz mniej podobny. Niełatwe mam życie z ojcem — żalił się. — Wielki to człowiek, zna ludzi, a któż znając ich, nie miałby z nich pokpiwać? Ale on trochę przesadza. Niedawno, przy stole, kiedy generał Prysk bronił się przed zarzutem, że jest za gruby, kazał mu bez ceregieli obnażyć tyłek. Powiadam ci, to było po prostu wspaniale, jak

księżniczka patrzyła wówczas przed siebie. Siedziała cicho, nic nie widząc, nic nie słysząc. My byśmy tak nie potrafili — westchnął. — My w takich razach albo, się wstydzimy, albo stajemy się ordynarni.

— Toinie takie trudne — rzekł Józef nie spuszczać wzroku z ogrodników zajętych stryżeniem bukszpanowych krzewów. — Trzeba tylko przez trzysta lat władać państwem, a wtedy to już przyjdzie samo.

Tytus rzekł:

— Jesteś bardzo dumny ze swojej kuzynki, ale masz słuszne ku temu powody. Znam kobiety ze wszystkich czterech stron świata. W gruncie rzeczy są wszystkie takie same i przy odrobinie rutyny można je szybko doprowadzić do punktu, który się pragnie osiągnąć. Jej do tego punktu nie doprowadzę. Gzy wiesz o tym, że człowiek w moim wieku i na moim stanowisku może być nieśmiały? Przed kilku dniami powiedziałem jej: „Właściwie należałoby uznać cię, księżniczko, za brankę wojenną, sercem bowiem jesteś po stronie Zelotów.” Odpowiedziała po prostu: „Tak.” — Powinienem być pójść dalej, powinienem był powiedzieć: „Ponieważ jesteś branką wojenną, biorę cię jako mój łup prywatny.” Powiedziałbym to każdej innej kobiecie i byłbym ją wziął. — Jego rozpieszczona, chłopięca twarz miała wyraz zatroskany.

Józef siedząc spoglądał nieco z góry na księcia. Twarz jego skamieniała, od czasu do czasu pojawiał się na niej przerażający wyraz ponurej pychy. Wiedział teraz dobrze, czym jest władza, pokora i upokorzenie, czym są rozkosz, ból, śmierć, zwycięstwo, tryumf, klęska, wolna wola i gwałt. Była to wiedza uczciwie nabyta, drogo zapłacona. Lubił księcia. Łatwo znajdował w nim zrozumienie i wycucie, miał mu wiele do zawdzięczenia. Ale teraz, pomimo całej życzliwości, zasobny w drogo okupioną wiedzę, spoglądał na niego z góry. On, Józef, radził sobie z kobietami, dla niego Berenika nie była nigdy problemem, na miejscu księcia od dawna już byłby tę sprawę załatwił. Ale dobrze, że jest tak, jak jest. A kiedy książę poprosił go chłopięco, z pełnym zaufaniem i odrobiną zażenowania, o radę, jak się zachować wobec Bereniki, żeby ją zdobyć, kiedy wyraził prośbę, by Józef pomógł o nim z Bereniką, zgodził się dopiero po pewnym namyśle, dając do zrozumienia, że jest to trudne zadanie.

Nie było trudne od czasu, kiedy poddał się chłóście. Berenika zmieniła się. Zamiast owej mieszaniny nienawiści i sympatii istniała teraz między nimi cicha więź, wpływająca z pokrewieństwa natur i zbliżonych celów.

Berenika nie grała przed Józefem komedii, pozwalała mu na całkowity wgląd w swe życie. Nigdy nie droczyła się zbyt, kiedy się jej jakiś mężczyzna podobał. Spała z niejednym, miała dużo doświadczenia. Ale żaden taki związek nie trwał długo. Tylko dwóch mężczyzn nie potrafi wymazać z pamięci. Jeden to Tyberiusz Aleksander, z którym jest spokrewniona. Niemłody to już człowiek, w wieku cesarza. Ale jak wspaniałe giętki i zwinny, jaki uprzejmy, pomimo całej swej surowej stanowczości. Równie stanowczy jak cesarz, ale nigdy brutalny, gburowaty. Jest wielkim żołnierzem, trzyma swoich żołnierzy w najostrzejszej dyscyplinie. Drugi to jej brat. Egipcjanie postępują mądrze, żądając od swych władców, żeby rodzeństwa królewskie wstępowały w związki małżeńskie. Czy Agryppa nie jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie, a równocześnie najwytworniejszym, łagodnym i mocnym jak wino późnego zbioru? Człowiek staje się mądry i łagodny na samą myśl o nim, tkliwość do niego wzbogaca. Józef stwierdzał nie po raz pierwszy, że oblicze jej łagodnieje, kiedy o nim mówi, a podłużne oczy ciemnieją. Uśmiecha się, nie odczuwa zazdrości. Są kobiety, które zmieniają się tak samo, kiedy mówią o nim.

Ostrożnie skierowuje rozmowę na Tytusa. Berenika pyta od razu:

— Czyżbyś to wyczuł, rabbi Józefie? Tytus potrafi być piekielnie mądry, kiedy jednak o mnie chodzi, staje się niezręczny i tą swoją niezręcznością naraża nawet człowieka tak zręcznego

jak ty. Tak, mój Tytus to wielki, niemądry dzieciak. Naprawdę nie można nazywać go inaczej, tylko *Tinok*. Wymyślił sobie na to słowo własny znak stenograficzny, tak często je powtarzam. Zapisuje prawie wszystko, co mówię. Liczy, że usłyszy słowa, na których mnie później będzie mógł przyłapać. Jest Rzymianinem, dobrym prawnikiem. Powiedz mi, czy on naprawdę jest dobroduszny? Prawie zawsze taki bywa. I nagle, po prostu przez ciekawość zaczyna robić eksperymenty, przy których giną tysiące istot, całe miasta. Czy jego nabierają wtedy niemile zimnego wyrazu. Nie mam w takich chwilach odwagi mu się przeciwstawić.

— Tytus bardzo mi się podoba, jestem z nim zaprzyjaźniony — powiedział Józef z powagą.

— Boję się często o Świątynię — rzekła Berenika. — Jeżeli Bóg natchnął go skłonnością do mnie, to powiedz sam, Józefie, czy mógł to uczynić w innym celu niż po to, żeby uratować swoje miasto? Stałam się bardzo skromna. Nie myślę już o tym, że Jerozolima winna rządzić światem. Ale miasto musi przetrwać. Nie wolno im zdeptać domu Jehowy. — Po chwili zapytała cicho i lekliwie, z szerokim gestem rąk: — Czy to za wiele?

Józef zasępił się. Myślał o Demetriuszu Libanie, o Justusie. Ale myślał też i o Tytusie, który często leżał przy nim i patrzył na niego szczerymi, przyjaznymi oczyma. Nie, to niemożliwe, żeby ten młody, uprzejmy człowiek, żywiący taki respekt dla tego, co stare i święte, podniósł rękę na Świątynię.

— Tytus nie pozwoli sobie na żaden zbrodniczy eksperyment wobec Jerozolimy — rzekł zdecydowanym tonem.

— Masz bardzo wiele optymizmu — powiedziała Berenika. — Ja go nie mam. Nie wiem, czy już nie byłby mi się wymknął z ręki, gdybym się ośmieliła powiedzieć słowo przeciw jego eksperymentom. Przygląda mi się, kiedy chodzę, uważa, że mam rysy lepiej wyrzeźbione niż inne kobiety, twierdzą to zresztą wszyscy.

Podeszła do Józefa, stanęła tuż przy nim, położyła mu na ramieniu białą, wypielęgowaną rękę, na której nie było śladu zadraśnięć i blizn z okresu, kiedy przebywała na pustyni.

— Ty i ja znamy świat, kuzynie Józefie. Wiemy, że popęd istnieje w ludziach zawsze, że jest mocny, że człowiek mądry może wiele osiągnąć, jeżeli potrafi ten popęd należycie wyzyskać. Dziękuję Bogu, że zaszczerpił żądzę Rzymianinowi. Wierz mi jednak, że jeżeli będę z nim dzisiaj spała, to kiedy w oczach jego pojawi się wyraz zaciekawienia, z pewnością nie będzie zwracał uwagi na moje słowa.

Usiadła, uśmiechnęła się, Józef uświadomił sobie, że Berenika widzi jasno drogę, która się przed nią otwiera.

— Będę go trzymała krótko — zakończyła chłodno, z wyrachowaniem — nie dopuszczę go do siebie za blisko.

— Mądra z ciebie niewiasta — rzekł Józef z uznaniem.

— Chcę, żeby Świątynia nie została zburzona — powiedziała Berenika.

— Co mam powiedzieć memu przyjacielowi Tytusowi? — myślał głośno Józef.

— Słuchaj uważnie, kuzynie mój Józefie — zwróciła się doń Berenika. — Czekam na znak. Byłeś we wsi Thekoa, koło Betlejem, prawda? Kiedy przyszłam na świat, ojciec mój zasadził tam gaj piniowy. Chociaż obecnie, podczas wojny domowej, toczyły się o wieś Thekoa zaciekle walki, gaj nie ucierpiał. Słuchaj uważnie. Jeżeli gaj ostanie się do chwili wkroczenia Rzymian do Jerozolimy, to niech mi Tytus każe zrobić łoże ślubne z drzewa moich pinii.

Józef rozważał w wielkim napięciu. Czy to będzie znak rozstrzygający o losach Tytusa, czy o losach kraju? Czy Berenika zgodzi się dzielić łoże z Tytusem w nagrodę za oszczędzenie jej ojczyzny, czy też pragnie zabezpieczyć się przed pełnym ciekawości okrucieństwem tego człowieka? Czy ma powtórzyć Tytusowi to, co mu powiedziała? Czego ona właściwie chce?

Chciał o coś zapytać, ale podłużna, śmiała twarz księżniczki była dumna i nieprzenikniona: godzina szczerości minęła, Józef wiedział, że dalsze wypytywanie jest pozbawione sensu.

Pewnego ranka, kiedy Józef zjawił się w pałacu Wespazjana, ujrzał w jego sypialni portret Cenis, zrobiony przez malarza Fabullusa, z polecenia cesarza, w całkowitej tajemnicy. Portret był przeznaczony do kancelarii głównej skarbnicy cesarskiej. Pierwotnie Wespazjan życzył sobie, żeby obok Cenis stał jako opiekun bóg Merkury; myślał również o bogini szczęścia z rogiem obfitości oraz o trzech Parkach, które przędą złote nici. Ale malarz Fabullus oświadczył, że nie da sobie z tym rady. Sportretował Cenis w sposób bardzo realistyczny, siedzącą przy biurku nad rachunkami. Jej ciemne oczy patrzyły twardo i badawczo, twarz miała szeroką i mocną. Siedziała spokojnie, ale była niepokojąco żywa; cesarz żartował sobie, że trzeba przywiązywać portret w nocy do ściany, by mu Cenis nie uciekła. Niechaj siedzi tak nad biurkiem jego naczelnego skarbnika, bacząc pilnie, żeby nie było zaniedbań i uchybień. Cesarz ubolewał, że nie ma na obrazie Merkuriusza, ale mimo to portret mu się podobał. Cenis była równie zadowolona, gniewało ją tylko, że malarz nie zgodził się na to, by miała bardziej pompatyczną fryzurę.

Bystry obserwator mógł zorientować się bez trudu, że portret jest dziełem mistrza, który jednak nie zalicza się do kręgu przyjaciół jejmość Cenis. Była osobą nadającą się do wielkich interesów, zdolną do orientowania się w finansach całego państwa i uporządkowania ich, miała dużo serca dla Wespazjana i ludu rzymskiego. Na portrecie malarza stała się wyrachowaną, przebiegłą kumoszką. Czy stanowczość i okazałość tej kobiety na płótnie nie wkracza w granice płaskiej, ciężkiej karykatury? Było zapewne tak, że malarz Fabullus, zwolennik starych senatorów, wyładował w tym portrecie swą nienawiść do drobnomieszczańskich dorobkiewiczów.

Z wielkiej sali przyjęć prowadziły potężne, otwarte drzwi do sypialni cesarza. Zgodnie ze zwyczajem, dawał się tam ubierać na oczach wszystkich. Tam, obok Cenis namalowanej, siedziała Cenis żywa. Przyjaciel jej, człowiek, w którego wierzyła, kiedy był jeszcze bardzo niepozorny, jest teraz cesarzem, a ona siedzi obok niego. Portret odzwierciedlał jej istotę. Przyznawała to. Dworacy powoli przepychali się do sypialni, tłoczyli się przed portretem, mijali go z wolna w nie kończącym się szeregu. Każdy znajdował kilka obłudnych słów podziwu i szacunku. Cenis inkasowała je z surową miną, Wespazjan uśmiechał się.

Józefowi obraz nie był miły. Odczuwał lęk przed Cenis, wiedział dobrze, że w portrecie jest coś, co może być zarazem i pożywką dla jego niechęci, i jej usprawiedliwieniem. Mimo to odczuwał jako gwałt zadany naturze stwarzanie na nowo rzeczy, które stworzył niewidzialny Bóg. To Jehowa tchnął w tę kobietę prostactwo i zimne wyrachowanie; malarz Fabullus popełniał zuchwalstwo wyposażając ją w te cechy na własną rękę. Patrzył na niego z odrazą. Fabullus stał obok cesarza. Jego mięsista, surowa, bardzo rzymska głowa górowała ponad tłumem. Stał skwaszony, wyniosły, nieobecny, chłonąc chciwie pochlebne słowa gości.

Obecna była również Dorion. Wargi jej dużych, wydatnych ust uśmiechały się, promienny blask otaczał jej delikatną twarz. Ojciec jej miewa swoje dziwactwa, nikt nie wie o tym lepiej niż ona, ale obraz jest arcydziełem przepojonym sztuką i mądrością. Ta jejmość Cenis będzie żyła na wieki taka, jaką ją widział i chciał mieć jej ojciec; jej rubasznosc, jej niemiłosierne skąpstwo zostały ukazane we właściwym świetle, na zawsze osadzone w widzialnym świetle. Dorion kochała namiętnie obrazy, znała się na najsubtelniejszych odcieniach techniki. Może ojciec jej namalował w życiu obrazy silniej działające, ale to jest najlepszy portret jego pędzla; wykazał w nim całkowicie swoje możliwości, a zakres ich jest szeroki.

Sala przyjęć była przepełniona. Dorion stała oparta o kolumnę, wysoka, szczupła,

delikatna, z odrzuconą w tył głową o jasnobrzązowych włosach. Kręciła leciutko zadartym nosem, drobne jej zęby były odsłonięte; rozkoszowała się działaniem obrazu oraz nieco onieśmiałym zdziwieniem tych, którzy go oglądali. Ucieszyła się ujrzawszy Józefa. Stał daleko od niej, ale szybko zorientowała się, że i on ją zauważył. Wiedziała, że Józef postara się do niej precyzyjnie.

Od czasu zabawy na wyspie Faros nie widziała młodego Żyda. Kiedy jej opowiedziano o chłóście, zrobiła parę złośliwych i banalnych dowcipów, ale w głębi duszy miała uczucie podobne temu, jakie miewamy na huśtawce, kiedy wzbija się w górę i już, już ma zlecieć w dół, była bowiem święcie przekonana, że ten zuchwały, piękny i utalentowany człowiek poddał się chłóście, żeby sobie do niej utorować drogę.

Patrzyła w podnieceniu, jak się ku niej przedziera. Kiedy ją jednak przywitał, udała, że sobie dopiero przypomina, kto to taki. Ach tak, ten młody żydowski rabbi; cesarz życzył sobie, żeby ojciec go sportretował. Warunki cesarza zostały już podobno spełnione; słyszała, że Józef poddał się dobrowolnie różnym udrękom i pokutom. W każdym razie wychudł na twarzy i Dorion sądzi, że niewiele trzeba dodać, by znaleźć w nim owo piętno proroka, którego cesarz nie mógł się wówczas doszukać. Lustrowała go z powolną, drażniącą ciekawością, zapytała jasnym, cienkim głosem, czy blizny po chłóście jeszcze są widoczne.

Józef patrzył na jej szczupłe, ciemne ręce, potem spojrzął na portret Cenis, znowu zatrzymał wzrok na Dorion i powiedział:

— Ty, Dorion, i Cenis jesteście jedynymi kobietami w Aleksandrii, które mnie nie cierpią.

Jak było jego zamiarem, Dorion rozgniewało to porównanie,

— Myślę — ciągnął dalej — że mój portret nie zostanie namalowany. Ojciec twój nie ma dla mnie więcej serca niż dla kawałka świńskiego ścierwa, ty zaś uważasz, że na to, bym stał się godnym niego modelem, trzeba postów

i chłosty. Myślę, że potomni będą zmuszeni poznać mnie tylko z moich ksiąg, a nie z dzieła Fabullusa.

Wypowiadając te uszczypliwe słowa stłumił nieco głos; brzmiały wskutek tego prawie jak pochlebstwo, a dla Dorion ton jego słów zdawał się być ważniejszy od treści.

— Tak, masz rację, rabbi Józefie — powiedziała — ojciec mój cię nie znosi. Ale powinieneś starać się zwalczyć tę antypatię. Proszę mi wierzyć, że się to opłaci. Człowiek twojego pokroju, który dobrowolnie zniósł czterdzieści razy, nie powinien zbyt długo pamiętać malarzowi Fabullusowi słów wypowiedzianych w gniewie. — Głos jej nie brzmiał przejmująco, stał się łagodny, jak wtedy kiedy rozmawiała z kotką.

Wskutek ścisku Józef stał tak blisko, że jej niemal dotykał. Mówił cicho, żeby go inni nie słyszeli, poufnie. Spoważniał.

— Może ojciec twój jest wielkim człowiekiem, Dorion — powiedział — ale my, Żydzi, nienawidzimy jego sztuki. To nie żaden przesąd, mamy swoje powody.

Spojrzała na niego szyderczo oczami koloru morza i powiedziała również cicho i poufnie:

— Nie powinieneś być takim tchórzem, rabbi Józefie. Wszystko to płynie stąd, że jesteście tacy tchórzliwi. Wiecie dobrze, że nie ma lepszego środka jak sztuka na dotarcie do istoty rzeczy. Nie macie odwagi podporządkować się sztuce, to wszystko.

Józef uśmiechnął się współczująco z wyżyn swoich niewzruszonych przekonań.

— Dotarliśmy do tego, co niewidzialne, a co kryje się poza widzialnym. Tylko dlatego nie wierzymy w widzialne, ponieważ jest za tanie.

Dorion wszakże nie ustępowała, mówiła teraz krzykliwie i z pasją:

— Sztuka jest równocześnie widzialna i niewidzialna. Rzeczywistość małpuje nieudolnie sztukę, jest tylko niedoskonałym, błędnym naśladownictwem sztuki. Wierz mi, rabbi Józefie,

wielki artysta narzuca prawa rzeczywistości. Ojciec mój czynił to niejednokrotnie, mniejsza o to, czy chciał tego, czy nie.

Dorion zbliżyła do niego swą dziecienną głowę i szeptała mu tajemniczo do ucha:

— Czy pamiętasz, jak zmarła żona senatora Drusilla? Wskutek ukłucia w serce sztyletem przez lewe ramię. Nikt nie wie, kto był sprawcą jej śmierci. Rok przedtem ojciec mój malował jej portret. Na obnażonym ramieniu namalował plamę, coś niby bliznę; zrobił to z przyczyn technicznych, potrzebna mu była ta plama. Było to w tym samym miejscu, w które został wbity sztylet.

Stali w jasnej, wysokiej sali, wśród odświętnie ubranych dworaków; był dzień powszedni, wtorek, ale parę młodych osnuwał jak by tajemniczy welon. Dorion wymknęła się z uśmiechem z tego półmroku.

— Właściwie — powiedziała zdawkowym tonem — zagadnienia tego rodzaju powinny zbliżyć proroka Józefa z malarzem Fabullusem.

Argumenty dziewczyny trafiły Józefowi do przekonania i właśnie dlatego upierał się, że słowo góruje nad obrazem. Przede wszystkim przepojone duchem bożym słowo żydowskie. Dorion wykrzywiła usta; uśmiechnęła się, wreszcie roześmiała się głośno; był to śmiech złowrogi, zabrzmiał jak zgrzyt. Oświadczyła, że mało zna ksiąg hebrajskich, wie tylko, że pełno w nich niemądrych przesądów. Kazała sobie odczytać fragmenty jego dzieła o Makabeuszach. Przykro jej, ale są to puste słowa. Gdyby Józef był równie pusty jak ta księga, nie zależałoby jej na tym, żeby ojciec namalował jego portret. Józef sam wypierał się w ostatnich czasach księgi o Makabeuszach. Teraz jednak opinia Dorion wydała mu się zuchwałą i niemądra, rozgniewała go. Zapytał zaczepnie, czy jej bogowie, reprezentowani przez zwierzęta, wylizują gorliwie talerze i wykradają mleko. Odpowiedziała gburowato, brutalnie; była to zapewne najmniej dwoma rozmowa, jaką prowadzono w wielkiej sali przyjęć.

Książę Tytus zamówił u Fabullusa portret Bereniki, w związku z czym Dorion bywała dość często w żadnym zabaw kole, zbierającym się w willi w Kanopus. Spotykała się więc niemal co dzień z Józefem. Widział, jak ją traktują inni. Bardzo uprzejmie, z galanterią, lecz w gruncie rzeczy pogardliwie. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, panowie z Aleksandrii zwykli traktować w ten sposób piękne kobiety. W innych wypadkach postępował tak samo, ale do niej nie miał jakoś szczęścia. Drażniło go to. Rzucił się na oślep w wir namiętności. Wobec innych szydził z niej ostro, żeby ją później również wobec innych ubóstwiać. Przejrzała jego grę, jego żądzę błyszczenia, jego próżność i brak godności. Zrozumiała, czym jest godność. Widziała, jak ojca dręczy nieuznawanie go przez arystokrację, widziała, jak Rzymianie spoglądają z góry na Egipcjan. Jej matka Egipcjanka oraz bona pouczyły ją, że pochodzi ze starego świętego rodu, że przodkowie jej spoczywają pod spiczastymi, wysokimi, trójkątnymi górami. Czy Żydzi nie są ludźmi najbardziej godnymi pogardy, śmiesznymi jak małpy, niewiele lepszymi od nieczystych zwierząt? A teraz nie może oderwać się od tego Żyda i właśnie ten brak godności pociąga ją tak samo, jak całkowite oddawanie się temu, co go w danej chwili pochłapią, przerzucanie się z jednego nastroju w drugi, jak pociąga bezwstyd, z którym wypowiada swe uczucia. Głaskała kotkę Immutfru mówiąc:

— Nie rozumie cię. Nie ma serca, nie wie, czym jesteś, czym są obrazy, czym jest kraina Kemet. Immutfru, mały mój bożku, drap mnie, żeby krew tryskała; krew ta musi być zepsuta, jeżeli czuję do niego pociąg, jestem śmieszna, ponieważ lgnę do niego.

Kotka siedziała na jej kolanach, przyglądała się jej okrągłymi, błyszczącymi oczyma.

Pewnego razu, podczas gwałtownej sprzeczki z Józefem, powiedziała mu w obecności innych pełna tryumfu i nienawiści:

— Jeżeli uważasz mnie za taką głupią, to dlaczego pozwoliłeś się chłostać, żeby odzyskać

dla mnie wolność?

Był tak zdumiony, że omal nie wybuchnął śmiechem, ale opanował się i zamilczał.

Kiedy znalazł się sam, poczęły nim szarpać wątpliwości. Czy to znak losu, że Egipcjanka tak sobie tłumaczy jego poddanie się chłości? Postąpił słusznie, pozwalając na taką interpretację; wobec kobiety, którą się chce posiadać, milczące kłamstwo jest dozwolone. Czy to zresztą kłamstwo? Od dawna chciał mieć tę kobietę; czy mógł przypuszczać, że zgodzi się z nim spać bez ofiar i ceremonii? Pojąć tę kobietę za żonę jest wielką pokusą. Jako kapłanowi nie wolno mu jej poślubić, nawet gdyby przeszła na wiarę żydowską. Jakiż byłby cel poddania się chłości, gdyby zaraz potem znowu dopuścił się bezprawnego czynu? Makabeusze podniosą krzyk, co gorsza zaczną się śmiać. Dobrze. Będzie rzeczą słodką, rozkoszną ponieść ofiarę dla Egipcjanki. Grzech poślubienia tamtej, którą Rzymianin wypluł, był wstrętny, plugawy. Ten nowy grzech lśni wspaniale. Jest to grzech bardzo wielki. Nie poślubiaj córek cudzoziemców, mówi Pismo. Pinchas widząc, że jeden z synów Izraelowych grzeszy z Midianitką, „wziął puginał, poszedł za nim do nierządnych gmachu i przebił oboje, zaraz, to jest męża i niewiastę przez skryte miejsce”. Tak, to był grzech bardzo wielki. Z drugiej jednak strony kuzyn jego o tym samym imieniu, Józef, poślubił córkę egipskiego kapłana, Mojżesz — Midianitkę, Salomon — Egipcjankę. Mali musieli poprzestawać na małym, gdyż groziło im niebezpieczeństwo uznania bogów uznawanych przez córki cudzoziemców. Józef był dość silny na to, by wchłonąć w siebie to, co obce, i nie poddać się. „Wynidź z ziemie twojej”, mówi Jehowa. Józef zrozumiał nagle niejasne powiedzenie, że należy kochać Boga obydwoma popędami, złym i dobrym.

Przy następnym spotkaniu z Dorion mówił o zaręczynach i małżeństwie jak o starym, dawno przedyskutowanym projekcie. Śmiała się tylko, ale udawał, że śmiechu tego nie słyszy, był opętany tym planem, pełen żarliwości dla swego grzechu. Już omawiał szczegóły, datę oraz formalności związane z jej przejściem na żydowską wiarę. Czyż i w Rzymie, i w Aleksandrii nawet kobiety z najwyższych sfer nie przechodzą na judaizm? Wszystko to jest nieco za-wikłane, ale nie potrwa zbyt długo. Dorion już się nie śmiała, tylko spoglądała na niego jak na szaleńca.

Może pociągało ją właśnie szaleństwo jego projektu. Wspomniała twarz ojca, którego kochała i czciła. Wspomniała przodków matki, którzy spali zabalsamowani pod spiczastymi górami. Ale ten Żyd swym fanatyzmem obłąkańca odrzucał wszelkie zastrzeżenia. Nie było dla niego żadnych trudności, nie istniały żadne kontrargumenty płynące z rozsądku. Szczęśliwy, rozpromieniony, z ogniem w oczach, opowiadał Tytusowi i gościom willi w Kanopus o swych zaręczynach z Dorion.

Dorion śmiała się. Mówiła: „Jest szalony.” Ale Józef nic sobie z tego nie robił. Czy wszystko, co wielkie i ważne, nie uchodzi zrazu za szalone? Pod wpływem jego upartej zaciekłości zaczęła stopniowo ulegać. Kiedy inni nazywali ten projekt szaleństwem, protestowała. Przytaczała argumenty Józefa. Pomysł jego nie wydawał się jej już taki absurdalny. Słuchała pilnie, kiedy Józef omawiał szczegóły, targowała się z nim o drobiazgi.

Przejście na judaizm nie jest trudne. Kobiety nie są zobowiązane trzymania się licznych nakazów, są tylko związane zakazami. Józef jest gotów do dalszych ustępstw. Zadowolony się zapewnieniem, że Dorion nie przekroczy siedmiu memento dla nie-Żydów. Śmiała się, spierała. Co takiego? Ma się wyrzec swych bogów, swojej małej kotki, Immutfru, która jest bożkiem? Józef starał się ją przekonać. Mówił, że gdy się chce coś zmiękczyć, trzeba najpierw pozwolić, by to coś dobrze zajстыgło, gdy się chce coś ścisnąć, trzeba je naprzód rozdać do ogromnych rozmiarów. Był cierpliwy i niezmordowany w prowadzeniu ciągle tych samych rozmów.

Tylko przed Tytusem przestawał panować nad sobą, skarżył się gwałtownie na upór dziewczyny. Tytus był mu przychylny. Nie czuł niechęci do żydowskiej nauki ani do żydowskich obyczajów. Społeczność stwarzająca kobiety pokroju Bereniki zasługuje słusznie na szacunek.

Ale czy żądanie, żeby ktoś, przez urodzenie związany z inną wiarą, wyrzekł się widzialnych bogów swoich przodków i skłonił się przed niewidzialnym Bogiem żydowskim, nie idzie zbyt daleko? Książę grzebał się w swych notatkach stenograficznych, w których wynotowane były pewne szczególnie niedorzeczne nauki i powiedzenia żydowskich mędrców. Nie, trudno żądać od Dorion, by się opowiadała za takimi przesadami. Dorion, książę i Józef leżeli we trójkę przy stole, dyskutowali żarliwie i poważnie nad tym, czego można żądać od prozelity, a czego nie. Mały bożek Immutfru leżał na ramieniu Dorion, otwierał i zamykał błyszczące oczy, ziewał. Zlikwidować Immutfru? Nie, nawet Tytus był zdania, że to za wiele. Po licznych rozważaniach Józef zgodził się na to, żeby przejście Dorion na judaizm ograniczyło się do formalnej deklaracji przed urzędnikiem gminy.

Przyszła teraz kolej na żądanie Egipcjanki. Leżała w niedbalej pozie, filigranowa, delikatna. Pod zadartym nosem widniały szerokie usta. Uśmiechała się. Nie wysilając się zbyt mocno mówiła ciekawym głosem bardzo uprzejmie, ale od żądań swoich nie odstępowała. Pamiętała, jak ojciec przez długie lata walczył o pozycję towarzyską, i dziecinnie, spokojnie, z uporem domagała się, żeby Józef bezwarunkowo uzyskał obywatelstwo rzymskie.

Józef, popierany przez Tytusa, tłumaczył jej, jaka to długa i trudna sprawa. Wzruszyła ramionami.

— To niemożliwe! — zawołał wreszcie rozgoryczony.

Znowu wzruszyła ramionami, zbladła we właściwy sobie sposób; najpierw dokoła ust, po czym powoli cała twarz jej bielą. Nie przestała nalegać natargliwie:

— Chcę być żoną rzymskiego obywatela. — Widząc ponure spojrzenie Józefa, ciągnęła dalej: — Rabbi Józefie, proszę, żebyś w ciągu dziesięciu dni został rzymskim obywatelem. Wtedy będę skłonna oświadczyć przed urzędnikiem twojej gminy, że przechodzę do twego Boga. Jeżeli w ciągu dziesięciu dni nie zostaniesz obywatelem rzymskim, to, zdaniem moim, byłoby lepiej, żebyśmy się już więcej nie widzieli.

Józef patrzył na jej szczupłe, opalone ręce, które głąskały puszystą, szarą sierść kotki Immutfru, na jej dziecinnie czoło i lekko zarysowany, czysty profil. Był rozgoryczony i bardzo jej pożądał. Wiedział z największą pewnością, że tak się stanie. Jeżeli w ciągu dziesięciu dni nie będzie miał rzymskiego obywatelstwa, to naprawdę nigdy już nie zobaczy tej dziewczyny, która leży tu obok w niedbalej pozie.

Wmieszał się Tytus. Uważał żądanie Dorion za zbyt trudne, ale czy to, czego żąda Józef, jest rzeczą łatwą? Rozważał rzeczowo szanse Józefa, patrzył na to wszystko po sportowemu, jak na wyścig. Nie jest wykluczone, że cesarz, przychylny Józefowi, udzieli mu obywatelstwa. Ale to nie będzie tanio kosztowało. Prawdopodobnie cenę wyznaczy jejmość Cenis, a wiadomo, że jejmość Cenis nic nigdy tanio nie oddaje. Dziesięć dni to mało.

— Musisz się dobrze trzymać, mój Żydzie! — powiedział. I dodał: — Wdziej pas, wyrzuć ołów z obuwia. — Były to okrzyki, którymi w igrzyskach sportowych zagrzewano biegaczy.

Dorion słuchała. Jej oczy koloru morza spoczywały to na Tytusie, to na Józefie.

— Niechaj mu nie będzie łatwiej niż mnie — powiedziała. — Proszę bardzo, niech książę pozostanie bezstronny i nie interweniuje ani za nim, ani przeciwko niemu.

Józef poszedł do Klaudiusza Reginusa. Tylko on mógł w ciągu dziesięciu dni zdobyć obywatelstwo rzymskie, o ile w ogóle ktokolwiek mógł to uczynić.

Klaudiusz Reginus stał się w Aleksandrii jeszcze cichszy, jeszcze bardziej niepokazny i zaniedbany. Niewielu wie, jaką odgrywa tu rolę. Ale Józefowi jest to wiadome. Wie na przykład, że to za przyczyną tego Reginusa panowie z tutejszej gminy żydowskiej patrzą na Żydów

zachodnich zupełnie innymi oczyma niż dawniej. Wie, że temu Reginusowi zawsze w ostatniej chwili przychodzi do głowy jakiś pomysł, kiedy już nikt nie jest w stanie pomóc. Jak błahymi na pozór środkami potrafił doprowadzić do tego, że Wespazjan, bardzo niepopularny od czasu wprowadzenia podatku od solonych ryb, teraz nagle stał się znowu ulubieńcem ludu. Po prostu kazał cesarzowi czynić cuda. Cuda na Wschodzie mają tę właściwość, że ten, co je czyni, zyskuje sobie sympatię, stało się więc, że zjawił się człowiek z Zachodu i sięgnął po stary, wypróbowany sposób. Józef sam był świadkiem, jak cesarz sprawił, że znany wszystkim w mieście chromy kaleka zaczął chodzić, że pewien ślepiec odzyskał wzrok, kiedy mu Wespazjan położył ręce na oczy. Od tego czasu Józef był jeszcze głębiej przeświadczony o nadprzyrodzonych właściwościach Reginusa.

Ociężały, senny, mrużąc oczy, słuchał Reginus Józefa, który nieco sztywno i nieśmiało tłumaczył, że musi zdobyć obywatelstwo rzymskie. Kiedy Józef skończył, Reginus milczał przez chwilę. Potem oświadczył z wyrzutem, że Józef miewa zawsze takie kosztowne zachcianki. Wpływy z udzielania prawa obywatelstwa stanowią jedno z najważniejszych źródeł dochodu prowincji. Aby prawo to nie straciło na swej wartości, trzeba obchodzić się z nim oględnie i utrzymywać wysokie opłaty. Józef odparł z uporem:

— Muszę mieć to prawo, i to prędko.

— Jak prędko? — zapytał Reginus.

— W ciągu dziewięciu dni.

Reginus siedział leniwie w fotelu bębniąc palcami po poręczy.

— Muszę mieć to obywatelstwo, ponieważ chcę się ożenić — rzekł Józef zaciekle.

— Z kim?

— Z Dorion, córką malarza Fabullusa.

Reginus pokręcił głową niechętnie.

— Z Egipcjaną? Żenić się? I w dodatku musisz mieć to obywatelstwo?

Józef siedział z wyniosłą, chłodną miną.

— Naprzód napisałeś *Psalm obywatela świata*, rabbi Józefie — myślał głośno Reginus — i to było dobrze. Potem bardzo ostrymi środkami zdobyłeś sobie z powrotem pas kapłański, i to było jeszcze lepiej. Teraz chcesz go znowu odrzucić. Niespokojny z siebie duch, młodzieńcze.

— Chcę mieć tę kobietę — powiedział Józef.

— Zawsze chcesz wszystko mieć, rabbi Józefie — zganił go Reginus swym kleistym głosem. — Zawsze chcesz wszystkiego na raz, Judei i świata, ksiąg i twierdz, cnoty i rozpusty. Zwracam ci uprzejmie uwagę, że trzeba być bardzo wyplącalnym, żeby móc za to wszystko zapłacić.

— Chcę mieć tę kobietę — upierał się Józef dziko i niemądrze. Stał się natarczywy. — Dopomóż mi, Klaudiuszu Reginusie. Zdobądź to obywatelstwo. Zasłużyłem na odrobinę twojej wdzięczności. Czy to nie błogosławieństwo dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla ciebie, że ten człowiek jest cesarzem? Czy nie przyczyniłem się do tego? Czy byłem fałszywym prorokiem, kiedy go nazwałem *adirem*?

Reginus spojrział na swoje ręce z wierzchu, odwrócił dłonie do góry, po czym znów obejrzał ręce z wierzchu.

— Tak, to prawda — powiedział — błogosławieństwo dla nas wszystkich. Inny cesarz słuchałby może raczej ministra Talasa niż starego Etruska i mnie. Ale czy wierzysz — to mówiąc obrzucił nagle Józefa niespodziewanie przeszywającym spojrzeniem — że Jerozolima ostoi się, ponieważ Wespazjan został cesarzem?

— Wierzę w to — odparł Józef.

— A ja nie wierzę — rzekł Klaudiusz Reginus znużonym głosem. — Gdybym wierzył,

nie pomógłbym ci w poślubieniu tej niewiasty i w pozbyciu się kapłańskiego pasa.

Józefa przeszły ciarki.

— Cesarz nie jest barbarzyńcą — bronił się.

— Cesarz jest politykiem — odparł Klaudiusz Reginus. — Prawdopodobnie masz rację — ciągnął — prawdopodobnie jest to błogosławieństwo dla nas wszystkich, że został cesarzem. Prawdopodobnie ma naprawdę dobrą wolę uratowania Jerozolimy. Ale — skinął na Józefa, żeby się zbliżył, kleisty jego głos stał się cichy, przebiegły, tajemniczy — chcę ci coś powiedzieć w ścisłej tajemnicy. W gruncie rzeczy to rzecz obojętna, kto jest cesarzem. Z dziesięciu decyzji politycznych, które człowiek musi powziąć, dziewięć dyktują okoliczności — bez względu na zajmowane stanowisko. Im wyżej kto stoi, tym swoboda jego decyzji jest bardziej ograniczona. Mamy do czynienia z piramidą. Szczytem jej jest cesarz, a cała piramida obraca się. To nie on ją obraca, ona sama kręci się u dołu. Wygląda tak, jak gdyby cesarz działał dobrowolnie. Tymczasem działanie jego dyktuje mu pięćdziesiąt milionów poddanych. Każdy cesarz postąpiłby tak samo jak Wespazjan w dziewięciu wypadkach na dziesięć.

Józef słuchał tego niechętnie. Zapytał szorstko:

— Chcesz mi pomóc w zdobyciu obywatelstwa, Klaudiuszu Reginusie?

Reginus odsunął się od niego, nieco zawiedziony.

— Szkoda, że nie można z tobą porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną — powiedział.

— Bardzo mi brak twego kolegi Justusa z Tyberiady.

Mimo to przyrzekł uprzedzić i przygotować Wespazjana.

Teraz, odkąd panowanie jego zdawało się ostatecznie utrwalone, odkąd zbliżał się termin jego wyjazdu do Italii, cesarz odgradzał się coraz bardziej od Wschodu. Jest rzymskim chłopem, który z Rzymu zaprowadzi na świat rzymski ład. Grunt, z którego wyrósł, zwie się Italią, sumienie — Cenis. Cieszył się, że wraca do ojczyzny. Czuł się dziarsko, trzymał się mocno na nogach. Z Rzymu nie jest daleko do jego sabińskich posiadłości. Wkrótce zapachnie mu urodzajna ziemia sabińska, zobaczy swoje pola, swoje winnice i oliwki.

Cesarz przestrzegał teraz bardziej niż kiedykolwiek porządku w swym życiu prywatnym. Trzymał się pedantycznie ustalonego planu dnia. Co poniedziałek pościł w myśl zaleceń doktora Hekataiosa. Trzy razy na tydzień, w niedziele, wtorki i piątki, zawsze bezpośrednio po jedzeniu, kazał sobie sprowadzać dziewczynę, za każdym razem inną. Był później przez kilka godzin w dobrym nastroju. Za audyencje, które wyznaczała na te godziny, żądała Cenis okazałych prowizji.

Była właśnie taka godzina w pewien piątek, kiedy Wespazjan na prośbę Reginusa zgodził się przyjąć Józefa. Cesarza bawił widok jego Żyda; lubił wszelkiego rodzaju doświadczenia związane z aklimatyzacją. Tak na przykład spróbuje zaprowadzić w swoich posiadłościach sabińskich afrykańskie bażanty i flamingi oraz zasadzić pewne azjatyckie odmiany cytryn i śliwek. Dlaczegoż nie miałby dać obywatelstwa rzymskiego swemu Żydowi? Ale niech się młodzieniec naprzód dobrze napoci.

— Masz bardzo wielkie wymagania, Flawiuszu Józefie — zganił go. — Wy, Żydzi, jesteście diabło ekskluzywni. Gdybym na przykład miał zamiar złożyć ofiarę w waszej Świątyni albo gdybym chciał, żeby mnie tu w Aleksandrii zaproszono do odczytania waszego Pisma świętego, robilibyście mi największe trudności. Musiałbym co najmniej dać się obrzezać i, na pioruna i Heraklesa, nie wiem co jeszcze! Ale ode mnie żądasz, żebym ci raz, dwa dał rzymskie obywatelstwo. Czy sądzisz, że twoje zasługi dla państwa są naprawdę tak wielkie?

— Sądzę — odrzekł skromnie Józef — że ten, kto pierwszy oświadczył, że Wespazjan jest człowiekiem, który uratuje państwo, ma pewne zasługi.

— Czy nie szalejesz zbyt, mój Żydku — uśmiechnął się cesarz — jeśli chodzi o

kobiety? Ale, ale, co porabia ta mała? Zapomniałem, jak się nazywa? — Zaczął szukać aramejskich słów, znalazł je: „Bądź słodka, moja gołąbko, bądź czuła, moja dziewczynko.” Wiesz, o kim mówię. Czy ma. dziecko?

— Tak — odparł Józef.

— Syna?

— Tak.

— Czterdzieści batów — uśmiechnął się cesarz. — Wy, Żydzi, jesteście naprawdę ekskluzywni. Nie sprzedajecie się tanio.

Siedział wygodnie, przyglądał się swemu Żydowi, który stał przed nim.

— Właściwie nie masz prawa powoływać się na swą dawniejszą działalność. Opowiadają mi, że się fatalnie prowadzisz. A więc w myśl swojej własnej teorii musiałeś całkowicie stracić zdolności proroka.

Józef milczał.

— Zobaczymy — ciągnął dalej Wespazjan sapiąc z zadowoleniem — czy zostało coś jeszcze z twojego daru proroczego. Wyprorokuj, czy dam ci obywatelstwo, czy nie.

Józef pochylił się głęboko, po chwili wahania powiedział:

— Kieruję się tylko rozumem, nie zaś darem proroczym, jeśli wierzę, iż mądry i dobry władca nie ma powodu do odmawiania mi obywatelstwa.

— Wykręcasz się, ty żydowski węgorzu — upierał się cesarz.

Józef zorientował się, że to, co powiedział, nie jest wystarczające. Trzeba znaleźć coś lepszego. Szukał nerwowo, znalazł.

— Teraz — powiedział — kiedy wszyscy się przekonali, kto jest wybawcą, moja poprzednia misja została spełniona. Mam nowe zadanie.

Cesarz obrócił ku niemu wzrok. Józef, nie spuszczać z niego gorących, namiętych oczu, ciągnął dalej śmiało i stanowczo:

— Moim przeznaczeniem nie jest uwiecznienie przyszłości, lecz utwalenie przeszłości, tak aby nigdy istnieć nie przestała. Napiszę księgę o czynach Wespazjana w Judei.

Wespazjan spojrział na Józefa ze zdumieniem, przysunął się do niego, owiał go swym oddechem.

— Hm, to niezły pomysł, mój chłopcze. Tylko że inaczej wyobrażałem sobie mojego Homera.

Przyłożywszy rękę do czoła Józef odpowiedział pokornie, ale z głęboką wiarą:

— Nie będzie to księga niegodna Wespazjana. — Widział, że cesarzowi myśl ta trafia do przekonania. Mówił więc dalej. Obnażywszy piersi zaklinał:

— Proszę o to obywatelstwo. Byłaby to największa łaska, za którą do końca życia pisałbym na klęczkach hymny dziękczynne na cześć waszej cesarskiej mości. — Otworzył serce przed cesarzem, błagał z pokorą i ufnością: — Muszę mieć tę kobietę. Jeżeli jej mieć nie będę, wszystko pójdzie na marne. Nie będę mógł przystąpić do dzieła. Nie będę mógł żyć.

Cesarz roześmiał się. Odpowiedział nie bez życzliwości:

— Burzliwie atakujesz, mój Żydzie. Zauważyłem już, że jesteś bardzo uparty, kiedy chodzi o twoje sprawy osobiste. Buntownik, żołnierz, pisarz, agitator, kajdan, pokutnik, dziwkarz, prorok. Wszystko, co robisz, robisz na całego. Powiedz mi, czy tej małej w Galilei posyłaś dosyć pieniędzy? Żebyś mi się tylko nie wykręcał, mój Żydzie! Nie chcę, aby mój syn głodował.

Józef stracił nagle dotychczasową pokorę. Prowokacyjnie i niemądrze odparł:

— Nie jestem sknerą.

Wespazjan zmrużył oczy. Józef bał się, że za chwilę wybuchnie, ale cesarz opanował się.

— Nie jesteś sknerą, mój chłopcze? To błąd — zganiał go po ojcowsku. — Błąd, który się zaraz zemści. Bo ja jestem sknerą. Miałem zamiar zażądać od ciebie za obywatelstwo sto tysięcy sestercji. Teraz zapłacisz mi te sto tysięcy, a oprócz tego pošlesz pięćdziesiąt tysięcy tej małej w Cezarei.

— Tak wielkiej sumy zapłacić nie mogę — rzekł Józef.

Wespazjan podszedł do niego.

— Przecież zamierzasz napisać księgę wielce obiecującą. Zastaw ją — poradził.

Józef stał przybity. Wespazjan dał mu lekkiego klapsa i powiedział z uśmiechem:

— Uszy do góry, mój Żydzie. Za sześć, siedem lat każemy sobie przysłać do Rzymu chłopca z Cezarei i przyjrzymy mu się. Jeżeli będzie do mnie podobny, zwrócę ci twoje pięćdziesiąt tysięcy sestercji.

Józef nigdy nie zaprzętał sobie zbyt wiele pieniędzy. Tereny jego w nowej dzielnicy Jerozolimy zostały oczywiście skonfiskowane przez Makabeuszy, ale kiedy Rzymianie stłumią rozruchy, oddadzą mu je z pewnością. Na razie żył z pensji, którą otrzymywał jako tłumacz i urzędnik sekretariatu cesarza. Część tych poborów przekazywał Marze. Ponieważ był prawie zawsze gościem Tytusa, żył w Aleksandrii szeroko i przyjemnie, wydając niewiele. Ale nie mógł nawet marzyć o tym, żeby z własnych środków zdobyć sto pięćdziesiąt tysięcy sestercji, których żądał od niego cesarz.

Może mógłby pożyczyć tę sumę od dostojników gminy żydowskiej, ale lękał się plotek, obelżywych, patetycznych wymyślań Makabeuszy, ordynarnych dowcipów tych białoobutych. Jego bystra fantazja widziała już na murach rysunki łączące go w plugawy sposób z Dorion. Nie, trzeba szukać innej drogi.

Po nocy wypełnionej gorzkimi myślami zdecydował się pójść do Klaudiusza Reginusa. Wydawca kiwał głową.

— Nie mogę sobie wyobrazić — sondował uporczywie — żeby twoje serce, rabbi Józefie, wierzyło jeszcze, że Świątynia się ostoi. Inaczej nie zrzuciłbyś swego kapłańskiego pasa. Józef odparł:

— Serce moje wierzy, że Świątynia się ostoi, i serce moje pożąda Egipcjanki.

— Byłem w Judei sześć razy — powiedział Reginus — byłem sześciokrotnie w Świątyni, oczywiście tylko w ekse-drze dla tych, którzy nie są Żydami, stałem przed bramą, której nie obrzezany nie wolno przekroczyć. Nie jestem Żydem, ale chętnie stanąłbym przed tą bramą po raz siódmy.

— Będiesz przed nią stał, Klaudiuszu Reginusie — rzekł Józef.

— Może ja tak — uśmiechnął się Reginus złowrogo. — Ale czy brama będzie jeszcze stała?

— Czy dasz mi te sto pięćdziesiąt tysięcy sestercji? — zapytał Józef.

Reginus zlustrował go od stóp do głów swym niemiłym, zamglonym spojrzeniem.

— Pojedź ze mną za miasto — zaproponował. — Tam zastanowię się, co ci odpowiedzieć.

Pojechali za miasto. Reginus odesłał pojazd, ruszyli dalej pieszo. Z początku Józef nie wiedział, gdzie się znajdują. Potem ujrzał niewielką białą budowlę z trójkątnym szczytem. Nigdy tu nie był, ale wiedział z obrazów, że jest to grób proroka Jeremiasza. Stał na piaszczystym, pustynnym gruncie w jaskrawym blasku promieni słonecznych. Przed południem grób wielkiego męża, który przepowiedział zniszczenie pierwszej Świątyni i oplakiwał je żałośnie, odwiedzali liczni pielgrzymi. Teraz, w porze popołudniowej, nie było nikogo prócz Reginusa i Józefa. Reginus szedł prosto w kierunku grobowca, Józef kroczył za nim po piasku z niepokojem w

sercu. O dwadzieścia kroków przed grobowcem zatrzymał się, gdyż jako kapłanowi nie wolno mu było zbliżać się zbyt do zmarłych. Reginus szedł dalej. Dotarłszy do celu przypadł do ziemi w postawie żałobnika. Józef, stojąc w odległości dwudziestu kroków, czekał, co Reginus teraz uczyni lub powie. Reginus nie mówił nic. Tkwił w niewygodnej pozycji w piasku i białym pyłe, kołysząc nieco swe otyłe cielsko. Józef zrozumiał po chwili, że ten człowiek oplakuje Jerozolimę i Świątynię. Jak kiedyś prorok pogrzebany tutaj przed z górą sześciuset laty, kiedy Świątynia jaśniała jeszcze przepychem, a Judea zadzierała nosa, głosił pokorę i kazał odczytywać słowa Pisma pełne najstraszniejszej żałoby po zburzonym mieście, które promieniało jeszcze pełnym blaskiem, tak tkwił teraz skulony na piasku wielki finansista niby obraz żalu i niemej rozpaczki nad losami miasta i Świątyni. Słońce zaszło, chłód zaczął dokuczać, ale Reginus nie ruszał się z miejsca. Józef stał i czekał. Zagryzał wargi, przestępował z nogi na nogę; było mu zimno, ale stał i czekał. To bezczelność ze strony tego człowieka, że każe mu patrzeć, jak boleje i rozpacza. Miało to być zapewne oskarżenie. Józef buntował się przeciw niemu. Ale chodziło mu o pieniądze, nie wolno mu było słowa powiedzieć. Stopniowo myśli jego odwróciły się i od tego człowieka, i od pieniędzy. Wbrew jego woli w sercu zaczęły mu wzbierać skargi, zaklęcia, przekleństwa pochowanego tu proroka, znane na pamięć, ustawicznie cytowane, najsza-leńsze, pełne największej udręki, jakie kiedykolwiek popłynęły z ludzkich ust. Ziąb był coraz dotkliwszy, myśli jego stawały się coraz bardziej gorzkie, zimno i gorzkie myśli spalały go i drażyły. Kiedy wreszcie Reginus podniósł się, Józef miał wrażenie, że wlecze z osobna każdą obolałą kość. Reginus wciąż jeszcze nic nie mówił. Józef posuwał się za nim jak pies, czuł się wobec wydawcy i siebie samego mały i wzgardzony, jak nigdy w życiu. Kiedy dotarli do pojazdu i Reginus wezwał go swym codziennym, kleistym głosem, by siadł obok niego, odmówił i pełen goryczy i udręki poszedł sam po długiej, zapyłonej szosie.

Któregoś dnia Reginus poprosił, by Józef go odwiedził. Jak zwykle zachowywał się dość szorstko.

— Dawno już nic nie napisałeś — powiedział. — Słyszałem od cesarza, że myślisz o księdze na temat wojny w Judei. Proponuję ci, Flawiuszu Józefie, żebyś mnie ją zadedykował.

Józef spojrział ze zdumieniem. To, co Reginus powiedział, było praktykowaną formą oferty wydawniczej. Choć człowiek ten budził w nim wstręt, cenił jego zdanie i był dumny z oferty. Szczęście jest z nim. Bóg jest z nim. Złościł wszystkich: Jochanana ben Zakkai, cesarza, Klaudiusza Reginusa. Kiedy jednak przyszło co do czego, wierzyli weń i stawali po jego stronie.

— Napiszę tę księgę, dziękuję, Klaudiuszu Reginusie.

— Pieniądze są do twojej dyspozycji — oświadczył Klaudiusz Reginus nieco szorstko.

Kiedy się okazało, że Józef spełni narzucony mu warunek, Dorion postanowiła dotrzymać słowa, choć małżeństwo to było śmieszne i nie mieściło się w głowie. Z żelazną energią zabrała się do przygotowań z nim związanych. Naprzód, i to było najtrudniejsze, zakomunikowała swą decyzję ojcu. Zrobiła to niby od niechcienia, z głupia frant, jak gdyby sama pokpiwała z siebie. Fabullus zdawał się w pierwszej chwili jej nie rozumieć. Potem zrozumiał. Wybałuszył oczy, zacisnął wargi, usta zwęziły się jeszcze, nie ruszył się z miejsca. Dorion, która go dobrze знаła, nie liczyła się z tym, że zacznie wymyślać lub kłąć, ale sądziła, że robi jakąś ostrą, szyderczą uwagę. To, że tak siedzi w milczeniu, z zaciśniętymi wąskimi wargami, było gorsze, niż oczekiwała. Wyszła z domu bardzo szybko; była to po prostu ucieczka. Wzięła z sobą tylko kotkę Immutfru. Poszła do Józefa.

Spokojnie, z dumną miną zniosła formalności związane z przejściem na inną wiarę i zaślubinami. Poprzestała na tym, by swym cienkim, dzieciennym głosikiem powiedzieć tam, gdzie należało, tak albo nie. Cesarz byłby chętnie zrobił ze ślubu swego Żyda z Egipcjanką równie wielkie widowisko jak swego czasu, gdy poślubił Marę. Tytus byłby również rad wyprawić

Józefowi huczne wesele. Ale Józef sprzeciwił się. Cicho, bez hałasu zamknęli się w małym, ładnym domu w Kanopus, oddanym im przez Tytusa do dyspozycji na okres pobytu w Aleksandrii. Zajęli górne piętro domu. Było urządzone jak namiot. W tym namiocie leżeli ze sobą po raz pierwszy. Obejmując tę kobietę Józef czuł bardzo mocno, że to grzech. „Nie zawieraj z nimi ślubów.” Ale grzech był tak łatwy i smakował doskonale. Skóra tej kobiety pachniała jak drzewo sandałowe, oddech jej miał woń wiosennego powietrza Galilei. Dziwna rzecz, Józef nie pamiętał, jak jej na imię. Leżał z zamkniętymi oczyma i nie mógł sobie przypomnieć. Z trudem otworzył oczy. Leżała obok niego, długa, wysmukła, brązowa, przez nie domknięte powieki widać było jej oczy koloru morza. Kochał jej oczy, jej piersi, jej łono, oddech, który płynął z na pół otwartych ust, kochał ją całą, ale nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Kołdra była lekka, noc chłodna, jej skóra gładka i nie gorąca. Głaskał ją łagodnie, ręce jego stały się w Aleksandrii miękkie i gładkie. Nie pamiętał, jak się nazywa, szeptał więc po hebrajsku, grecku i aramejsku słowa pieśnicy: „Droga moja, pasterko moja, oblubienico moja, Tinoketh.”

Z dołu dochodził cichy, gardłowy, równomierny śpiew egipskiej służby; kilka tonów, ciągle tych samych. Ludziom tym nie potrzeba było dużo snu, czuwali często nocami i niezamordowanie powtarzali swe nieliczne pieśni. Śpiewali: „O mój ukochany, słodko jest pójść nad staw i kąpać się przed tobą. Pozwól, żebym ci pokazała swoją piękność, swoją koszulę z najdelikatniejszego, królewskiego płótna, kiedy jest mokra i przylega do ciała.”

Józef leżał spokojnie. Obok leżała jego żona. Myślał: „Egipcjanie zmuszali nas, byśmy im zbudowali miasta Pithon i Ramzes. Egipcjanie zmuszali nas, byśmy nasze pierwotne dzieci żywcem zamuroywali w domach. Ale później córka faraona znalazła Mojżesza na brzegu Nilu; kiedyśmy opuszczali Egipt, dzieci wyskoczyły z murów; okazało się, że są żywe.” Poglądził skórę Egipcjanki.

Dorion całowała blizny na jego plecach i piersi. Był mężczyzną w pełni sił, ale skórę miał gładką jak dziewczyna. Może będzie można pozbyć się blizn, uczynić je niewidzialnymi; wielu pozbywa się takich blizn przy pomocy recepty Skrybona Larga. Ale ona nie chce, by się ich pozbył. Nie wolno mu tego zrobić nigdy. Dla niej poddał się chłóście, te słodkie blizny są dla niej zaszczytne, muszą pozostać.

Nie dopuszczali do siebie przez cały dzień nikogo, nawet służącego. Nie myli skóry, by nawzajem nie utracić swego zapachu, nie jedli nic, by jedno nie utraciło smaku drugiego. Kochali się, poza nimi nic dla nich nie istniało. To, co nie było ich skórą, było niczym.

Następnej nocy, o brzasku, leżeli nie śpiąc i wszystko się odmieniło. Józef rozważał. Dorion łączy do nienawistnych mu obrazów ojca, do swego bożka wylizującego talerze i kradnącego mleko, jest mu zupełnie obca. Mara była odpadkiem wypłutym przez Rzymianina, ale nigdy nie była obca. Urodziła mu syna, co prawda bękart. Ale obejmując Marę, obejmował bijące serce. A co obejmuje trzymając w ramionach Egipcjankę?

Dorion leżała z na pół otwartymi, pożądlivymi ustami; przez równe zęby świeżo i lekko płynął jej oddech. Z dołu dochodził gardłowy, równomierny śpiew służby. Śpiewali teraz: „Gdy całuję moją kochankę, a usta jej są otwarte, serce moje jest radosne i bez wina.” Chwilami Dorion wtórowała odruchowo. Ileż poświęciła temu człowiekowi, temu Żydowi, ale dzięki wam za to, bogowie — dobrze się stało. Wyparła się swego ojca, największego artysty epoki, dla mężczyzny, który jest tępy i ślepy i nie potrafi odróżnić obrazu od stołu. I za to dzięki wam, bogowie, dobrze się stało. Złożyła przysięgę głupiemu demonowi jerozolimskiemu, w którego Świętym Przybytku czczą głowę osła, a może, co gorsza, nic. Gdyby zażądała od tego mężczyzny, by złożył ofiarę jej kochanemu, małemu bożkowi Immutfru, roześmiałby się tylko. A jednak dzięki wam, bogowie — dobrze się stało.

Józef patrzył na nią. Leżała naga, robiła wrażenie małej dziewczynki, ciemna jej twarz

zdradzała zmęczenie miłosnym uniesieniem. Była blada, ciało miała chłodne, oczy miały kolor morza. Była bardzo obca.

Nadeszło promienne południe. Kilka godzin snu pokrzepiło ich; spoglądali na siebie, podobali się sobie, byli bardzo głodni. Zjedli obfite śniadanie, składające się z ostrych potraw, które służba przygotowała wedle własnego smaku. Wśród tych potraw znalazła się polewka z mąki i soczewicy i pasztet z jakiegoś podejrzanego, siekanego mięsa, wypili także niemało piwa. Byli zadowoleni, pogodzeni z sobą i swoim losem.

Po południu przerzucili do góry nogami całe mieszkanie. Wśród rzeczy Józefa Dorion znalazła kilka dziwnych kostek z hebrajskimi literami. Kiedy mu je pokazała, Józef zamyślił się. Oświadczył, że jest to amulet przynoszący szczęście, ale teraz, kiedy ma ją, amulet jest mu niepotrzebny. W skrytości ducha postanowił nigdy więcej nie grać fałszywymi kostkami. W gruncie rzeczy grał jeszcze o Dorion fałszywymi kostkami. Bo czyż nie utrzymywał jej w przekonaniu, że to dla niej poddał się chłóście? Ze śmiechem rzucił w jej oczach kostki do morza.

Wespazjan bacznie obserwował syna. Cenis miała go również na oku. Wiele języków i rąk pracowało nad tym, by młodego wysunąć na miejsce starego. Młody miał odwagę i roztropność, wojsko go uwielbiało; trzymała się go kurczowo ta histeryczna księżniczka żydowska, której fanatyzm obiecywał sobie po młodym, do szaleństwa rozkochanym księciu, o wiele więcej dla Judei niż po Wespazjanie. Cesarz widział to wszystko doskonale. Lubił nazywać rzeczy po imieniu. Pokpiwał sobie ze swojego chłopca, obliczał, jak długo jeszcze będzie musiał czekać. Często dochodziło do ostrej wymiany zdań. Tytus wytykając ojcu, jak szerokie pełnomocnictwa ma w Rzymie jego brat, to ziółko Domicjan, domagał się większej swobody ruchów tu, na Wschodzie. Między ojcem i synem panował naturalny, rubaszny ton. Wespazjan przestrzegał syna przed Żydówką dowcipnie, po ojcowsku: Antoniusz, upominał syna, łajdaczył się wprawdzie z Egipcjanką i stoczył w przepaść, ale przedtem zdobył chociaż Rzym, Tytus zawojował dotychczas tylko parę gniazd górskich w Galilei, nie ma więc prawa wylegiwać się ze wschodnimi damami. Tytus odpowiadał ojcu pięknym za nadobne. Oświadczył, że skłonność do wschodnich dam nie przyszła ni z tego, ni z owego, ma ją we krwi. Przypomniawszy ojcu Marę. Wespazjan śmiał się głośno. Tak, ta szelma nazywała się Mara. Zapomniał na śmierć, a ten Żyd Józef, ten pies, kiedy niedawno była o niej mowa, pozwolił mu na próżno szukać w pamięci, jak jej na imię.

Poza tym Wespazjan liczył na rozsądek syna. Nie będzie przecież taki głupi, by przy wątpliwych szansach sięgać po władzę, która za kilka lat przypadnie mu niezawodnie, jak dojrzały owoc. Kochał syna, chciał ugruntować dynastię, postanowił przyczynić synowi sławy. Sam opanował w Judei sprawy najtrudniejsze. Pozostawi Tytusowi bardziej efektowne zadanie.

Znowu jednak kazał czekać swemu otoczeniu, zanim wystąpił z decyzją. Zimowy pobyt w Aleksandrii przeciągał się. Ku wiośnie trzeba będzie podjąć na nowo operacje w Judei, inaczej sytuacja może ulec poważnej zmianie. Czy cesarz sam zakończy wyprawę, czy też zleci to komuś? Dlaczego się ociąga?

W owym okresie Józef został wezwany do cesarza. Naprzód Wespazjan pokpiwał sobie z niego swoim zwyczajem.

— Twoje małżeństwo jest, jak się zdaje, szczęśliwe, mój Żydzie — powiedział. — Wyglądasz jak z krzyża zdjęty; mam wrażenie, że twojej chudości nie należy przypisywać ani wewnętrznemu zapatrzeniu, ani ekstazom duchowym.

Mimo drwiącego tonu Józef wyczuł, że teraz nastąpi coś poważnego.

— Musisz jednak — ciągnął Wespazjan — znowu po-trudzić swój głos wewnętrzny. O ile oczywiście planujesz opisanie spraw żydowskich. Sprawy te zostaną mianowicie w

najbliższych miesiącach wyprowadzone na czyste wody. Ale ostateczne zlikwidowanie waszego buntu pozostawię memu synowi. Od ciebie zależy, czy za jakiś czas zechcesz udać się ze mną do Rzymu, czy też wolisz jechać zaraz z Tytusem do Jerozolimy.

Józef poczuł, że coś mu rozpięra pierś. Stary podzielił się z nim pierwszą decyzją, na którą czekano z tak dręczącym napięciem. Równocześnie czuł, jak trudna jest decyzja, do której go cesarz zmusza. Czy ma się udać do Judei, zobaczyć to, czego przedsmak miał przy grobie Jeremiasza, patrzeć własnymi oczyma na upadek swego miasta? Ten człowiek stojący przed nim ma znowu taki diablo twardy wzrok. Wie, że to gorzka decyzja, obserwuje go, czeka.

Jakieś wewnętrzne więzy łączą go z tym Rzymianinem, odkąd go ujrzał po raz pierwszy. Jeżeli uda się do Rzymu, więzy te staną się mocniejsze, człowiek ten będzie mu posłuszny, Józef zacznie iść w górę i wiele osiągnie. Ale łączą go również więzy z Egipcjanką. Dorion ma skórę gładką i brązową, ręce szczupłe i ciemne, jego skóra pragnie ich. Jest zazdrosny, kiedy swymi szczupłymi, ciemnymi rękoma głaszcze kotkę Immutfru. Pewnego dnia nie zdoła się opanować i zabije jej bożka Immutfru; nie z nienawiści do przesądów, lecz przez zazdrość. Musi uciec od Egipcjanki. Stoczy się w przepaść, jeżeli będzie się z nią dłużej wylegiwał. Jego oko wewnętrzne jest już prawie ślepe, skóra jego serca stępieła, nie ma w nim ducha. Musi odejść od tego człowieka, jeżeli bowiem nadal z nim zostanie, będzie w nim rosła coraz bardziej żądza władzy. A władza ogłupia i głos wewnętrzny milknie.

Słodką jest władza. Nogi same człowieka niosą, kiedy ma władzę. Ziemia staje się lekka, człowiek oddycha dobrze i głęboko. Gładka i brązowa jest skóra Dorion. Choć smukła i wysoka, wygląda jak mała dziewczynka, grzeszyć z nią jest łatwo i rozkosznie. Jeżeli pojedzie do Rzymu, dni jego będą szczęśliwe, gdyż będzie miał cesarza, noce szczęśliwe, gdyż będzie miał Dorion. Ale udając się do Rzymu nie zobaczy upadku swego miasta, nie opisze, jak zginął jego kraj wraz ze Świątynią. Zapadnie się na zawsze w nicłość i nikt z potomnych nie zobaczy jego upadku.

Nagle ogarnia Józefa ogromne pożądanie Judei. Pragnie obłądnie być tam, wypełnić oczy i serce widokiem, kiedy białe i złoty przepych Świątyni zostanie zrównany z ziemią, kiedy wlec będą za włosy kapłanów i zdzierać z nich wspaniałe, święte niebieskie szaty, kiedy roztopi się złote grono nad bramą wewnętrznego dziedzińca i rozplynie się we krwi i błocie. Kiedy cały naród padnie wraz ze swą Świątynią w dymie pożarów i wśród krwawej rzezi — ofiara całopalna złożona Bogu.

Zapatrzony w te wizje, słyszy skrzeczący głos cesarza:

— Czekam na twoją odpowiedź, Flawiuszu Józefie.

Józef dotyka ręką skroni, skłania się głęboko żydowskim obyczajem.

— Jeżeli wasza cesarska mość pozwoli, chciałbym na własne oczy zobaczyć zakończenie akcji wszczętej przez niego.

Cesarz uśmiecha się blado, z rezygnacją, złowrogo; postarzał nagle. Przywiązał się do swego Żyda, wyświadczył Żydowi niemało dobrego. A Żyd opowiedział się za jego synem. No cóż, syn jest młody, a on pożyje może jeszcze dziesięć lat albo tylko pięć, a już co najwyżej — piętnaście.

Dorion żyła spokojnie z dala od świata w małej willi w Kanopus, którą im pozostawił Tytus. Była cudowna zima, skórą i sercem rozkoszowała się świeżością powietrza. Bożek Immutfru pozostawał w dobrych stosunkach z krogulcem, paw domowy kroczył majestatycznie przez niewielkie pokoje. Dorion była szczęśliwa. Dawniej lubiła mieć dokoła siebie dużo ludzi; ambicja jej ojca udzieliła się i jej, lubiła błyszczeć, gadać, być przedmiotem podziwu. Teraz ciążyło jej nawet towarzystwo Tytusa, który bywał tu rzadko. Całą jej ambicją stał się Józef. Jakież jest piękny, jak gorące i żywe są jego oczy, jak delikatne i mocne jego ręce, jak

oszałamiający i słodki oddech; poza tym to najmądrzejszy z ludzi. Opowiadała o nim swoim zwierzętom. Cienkim głosem, nie o wiele piękniejszym od głosu pawia, śpiewała im stare pieśni miłosne, których się nauczyła od bony. „O, pogłaszcz moje uda, ukochany! Miłość ku tobie wypełnia całe moje ciało, wchłaniam ją, jak skóra moja wchłania wonny olejek.” Raz po raz prosiła Józefa, by jej recytował strofy Pieśni nad Pieśniami. A gdy już się ich nauczyła na pamięć, musiał jej powtarzać prastare, pierwotne słowa hebrajskie. Paplała je za nim, szczęśliwa, mimo że język jej z trudnością się do nich naginał. Dni, nawet najkrótsze, były jej zbyt długie, noce, najdłuższe, zbyt krótkie.

„Trudno będzie — rozmyślał Józef — powiedzieć jej, że wracam do domu i zostawiam ją tutaj. Będzie to również bardzo ostre cięcie dla mnie, trzeba go dokonać zaraz, bez ociągania się.”

Kiedy jej to oznajmił, w pierwszej chwili nie zrozumiała. Gdy zrozumiała, zaczęła swoim zwyczajem blednąć, stopniowo, naprzód dokoła ust, potem bladeść objęła policzki i czoło. Wreszcie padła na twarz lekko, powoli, bez słowa ani jęku.

Kiedy przyszła do siebie, siedział obok niej i coś jej ostrożnie perswadował. Spojrzała na niego, oczy koloru morza miały wyraz mętny i obłąkany. Po chwili, brzydko wykrzywając wargi, obsypała go najstraszliwszymi wymysłami egipskimi, greckimi, łacińskimi i aramejskimi, jakie tylko знаła. Jest synem parszywego niewolnika i trędowatej prostytutki, ulepiony jest ze ścierwa całego świata, wszystkie cztery wiatry nawiały śmiecie z całej ziemi, by z nich wyrósł. Józef patrzył na nią. Wydała mu się brzydka, niechłujna, kiedy tak siedziała skulona wyrzucając obelgi trzęsącym głosem. Ale dobrze to rozumiał, był pełen współczucia dla siebie i dla niej, kochał ją bardzo. Nagle nastąpiła w niej zmiana. Zaczęła go pieścić, twarz jej nabrała miękkiego, bezbronnego wyrazu. Cicho powtarzała wszystkie słowa rozkoszy, którymi ją darzył, prosiła, łaszcząc się pełna oddania i rozpaczy.

Józef nie mówił nic. Głaskał ją tylko lekko. Potem spróbował jej to jak najostrożniej wytłumaczyć. Nie, nie chce jej stracić. Żądanie, żeby Dorion, taka żywa z natury, siedziała tu i czekała, jest bezwzględne, ale kocha ją, nie chce jej stracić i żąda tego od niej. Nie, nie jest tchórzliwy ani chwiejny, ale nie jest również z drzewa, jak mu to w swoich zniewagach zarzucała. Jest zdolny ocenić, jaki skarb w niej posiadał, sięgać po nią, rozkoszować się nią, kochać ją. Zresztą nie na długo opuszcza Egipt, najwyżej na rok.

— To znaczy wieczność — przerwała mu.

Mówił dalej poważnie, odpierając jej zarzuty, dowodząc, iż odchodzi zarówno dla niej, jak i dla siebie. W oczach jej pojawił się wyraz napięcia, nadziei i lekkiej nieufności. Głaszcząc ją bez przerwy, wtajemniczył ją ostrożnie w swój plan, naginając go nieco przez wzgląd na nią. Wierzy w siłę słowa, swego słowa. Słowo jego będzie miało moc osiągnięcia czegoś, do czego i ona w głębi duszy dąży. Tak, jego książka wprowadzi ją w świat i zapewni stanowisko w warstwie panującej, do której ojciec jej przez całe życie na próżno starał się dostać. Broniła się nadal gwałtownie, ale już zaczynała ulegać urokowi kuszących obrazów. Szeptął jej fanatycznie do ucha, do ust i piersi.

— Państwo powstanie na Wschodzie, Wschód będzie panował. Ale Wschód zabiera się do tego zbyt ciężko, brutalnie i materialistycznie. Panowanie i władza to nie to samo. Wschód będzie decydował o losach świata, nie od zewnątrz jednak, lecz od wewnątrz. Przez słowo, przez ducha. A dzieło jego będzie na tej drodze ważnym kamieniem milowym. Dorion, dziewczyno moja słodka, pasterko, czy nie widzisz, że istnieje między nami druga, głębsza wspólnota? Twego ojca wpędza do grobu myśl, że Rzymianie patrzą na niego jak na rzadki okaz zwierzęcia, na królewskiego bażanta albo na białego słonia. Ja, mąż twój, otrzymam złoty pierścień, atrybut szlachty drugiego stopnia. Ty, Egipcjanka, pogardzana przez Rzymian, ja, Żyd, na którego Rzym

patrzy z nieufnością, lękiem i lekceważeniem, my oboje zawojujemy Rzym.

Dorion słuchała jego słów uszami i sercem, chłonęła je w siebie. Słuchała jak dziecko. Otarła łzy, jeszcze od czasu pociągała nosem, ale mu wierzyła. Przecież jest taki mądry i jego słowa brzmią tak mile. Ojciec jej przez całe życie tylko malował. Była to z pewnością rzecz wielka, ale ten, który jest przy niej, podburzył własny naród, brał udział w bitwach, a potem przekonał zwycięzcę, że mu sprzyja. Mąż jej to piękny, mocny, mądry człowiek, państwo jego ciągnie się od Jerozolimy aż do Rzymu. Świat to dla niego wino, które wlewa do swej czary, wszystko, co czyni, jest słuszne.

Józef głaszcze ją, całuje. Dorion rozkoszuje się jego oddechem, rękami, skórą. Po spazmie rozkoszy jest całkowicie przekonana. Wzdycha uszczęśliwiona, trzyma się go mocno. Zwinęła się w kłębek, podkuliła nogi jak dziecko w łonie matki, usnęła.

Józef leży obok niej i nie śpi. Łatwiej ją było przekonać, niż się spodziewał. Jemu nie pójdzie to tak łatwo. Uwalnia się ostrożnie z jej ramion, odsuwa jej głowę. Dorion pojękuje, ale śpi dalej.

Józef leży przy niej i myśli o swej księdze. Stoi przed nim wielka, groźna, jest ciężarem, obowiązkiem, który jednak uszczęśliwia. Słowa Wespazjana o Homerze ugodziły go głęboko. Nie będzie Homerem ani dla Wespazjana, ani dla Tytusa. Będzie opiewać swój naród, wielką wojnę swego narodu.

Jeżeli istotnie dojdzie do nieszczęścia i zagłady, nieszczęście i zagłada przemówią przez jego usta. Ale już nie wierzy w nieszczęście i zagładę, lecz w radość i trwałość życia. Sam będzie pośredniczył w zawarciu pokoju między Rzymem i Judeą, pokoju dobrego, honorowego, rozsądnego, który zapewni trwale szczęście. Słowo zwycięży. Słowo żąda, żeby teraz ruszył do Judei. Spojrzał na śpiącą Dorion. Uśmiechnął się, pogłaskał ją bardzo czule. Kochał ją, ale był od niej bardzo daleko.

Rozmowa, w której Wespazjan zakomunikował Tytusowi swą decyzję oddania w jego ręce końcowej fazy wyprawy na Judeę, była szorstka i serdeczna. Wespazjan położył synowi rękę na ramieniu, chodząc tam i z powrotem, przekonywał go poufale i ciepło, jak dobry ojciec.

Pełnomocnictwa, w które go wyposażył, były szerokie i rozciągały się na cały Wschód. Poza tym dał mu na wyprawę do Judei cztery legiony zamiast trzech, którymi sam musiał się zadowalniać. Tytus, pełen wdzięcznej radości, był szczerzy i serdeczny. Naprawdę nie dążył do przedwczesnego przejęcia tronu. W przeciwieństwie do „ziółka”, nie zżerała go żądza władzy, miał serce Rzymianina. Myśl, że kiedyś, po najdłuższym życiu Wespazjana, obejmie państwo karne i uporządkowane, napełniała go otuchą; nie był głupcem, by się pakować w grzęzawisko. Wespazjan słuchał go z zadowoleniem, wierzył mu. Przyglądał się twarzy syna. Twarz ta, latem w Judei czerwonawobrunatna, zbielała w ciągu zimy spędzonej w Aleksandrii, lecz wciąż jeszcze mogła się podobać armii i tłumom. Niebrzydkie czoło, podbródek krótki, stanowczy i żołnierski, tylko policzki nieco za miękkie. I czasem przesłania oczy chłopca jakaś mgła, stają się mętne i tępe, co się ojcu wcale nie podoba. Matka chłopca, Domicylla, miewała chwilami takie oczy; wyprawiała wtedy idiotyczne, histeryczne awantury i to było zapewne powodem, że patrycjusz Kapella, od którego Wespazjan przejął tę kobietę, chciał się jej swego czasu pozbyć. Tak czy inaczej, chłopiec nie jest głupi, sprosta zadaniu, poradzi sobie w Judei, zwłaszcza że Wespazjan daje mu wyjątkowo mądrego szefa sztabu, Tyberiusza Aleksandra. Do pioruna i na Heraklesa! Wszystko byłoby dobrze, gdyby chłopiec bardziej trzymał się wschodnich mężów niż kobiet.

Ostrożnie, korzystając z nastroju wzajemnego zaufania, jaki się wytworzył, Wespazjan porusza stary, bolesny temat: sprawę Bereniki.

— Rozumiem — zaczyna po przyjacielsku — że ta żydowska dama ma w łóżku powaby, których nie posiada Greczynka lub Rzymianka.

Tytus podnosi wysoko brwi, wygląda teraz naprawdę jak niemowlę, chce coś odpowiedzieć, słowa ojca drażnią go, ale nie może się przecież przyznać, że nie spał jeszcze z Żydówką, spadłaby na niego cała katarakta kpin, Tytus zacina więc szerokie usta i milczy.

— Przyznaję — ciągnie dalej stary — że ludzie Wschodu przejęli od swoich bogów pewne talenty, których my nie mamy. Ale wierzaj mi, że nie są to talenty ważne. — Położył chłopcu rękę na ramieniu, przekonywał go dalej. — Widzisz, bogowie Wschodu są starzy i słabi. Na przykład niewidzialny bóg tych Żydów, wiem to z wiarygodnych źródeł, mimo że dał swym wyznawcom dobre księgi, może walczyć tylko na morzu. Nie potrafił więcej zdziałać przeciw faraonowi egipskiemu niż „wrócić do wody i okryć nimi wszystkie jego wojska”, a zaraz na początku swego panowania nie potrafił uporać się z ludźmi inaczej niż przez zesłanie na nich potopu. Na lądzie jest słaby. Bogowie nasi, mój synu, są młodzi. Nie żądają tyłu skrupułów sumienia, co ci, ze Wschodu, są mniej wrażliwi, zadowolają się kilkoma wołami i świńmi oraz mocnym męskim słowem. Radzę ci, nie posuwaj się z Żydami zbyt daleko. To czasem dobrze wiedzieć, że na świecie istnieje jeszcze coś poza Forum i Palatynem. To nic, jeżeli od czasu do czasu pozwolisz połaskotać sobie nieco skórę i serce przez żydów-skich proroków i żydowskie kobiety. Ale wierzaj mi, mój synu, rzymski regulamin wojskowy i podręcznik polityczny cesarza Augusta to oręż, przy pomocy którego łatwiej poradzisz sobie w życiu niż przy pomocy wszystkich świętych pism Wschodu.

Tytus słuchał tego w milczeniu. Stary miał dużo racji. Ale widział w duchu, jak księżniczka Berenika wchodzi po stopniach tarasu i na ten widok rozwiewała się cała rzymska mądrość. Mówiła: „Zaczekaj, mój Tytusie, aż będziemy w Judei, aż poczuję pod stopami ziemię żydowską. Dopiero wtedy będę wiedziała, co mi wolno, a czego nie wolno.” Cóż znaczy wola zwycięzców i cesarza wobec tych jej słów, wypowiedzianych niepokojącym, lekko zachrypniętym głosem? Można panować nad światem, mieć moc przerzucania legionów z jednego końca ziemi na drugi, ale królestwo tej kobiety było starsze o wiele pokoleń, silniejsze nawet niż wielka potęga Rzymu. Ojciec jego jest stary. W gruncie rzeczy przemawia przez tego starca strach. Strach, że Rzymianin nie oprze się duchowej potędze Wschodu, jego bardziej subtelnej logice, jego głębszej moralności. Ale Rzym przetrwał grecką mądrość i grecką umysłowość. Tytus jest już dość wykształcony, żeby bez narażania się na niebezpieczeństwo przetrwać i żydowską umysłowość, i żydowską mądrość. W każdym razie czuł się dość mocny, by zjednoczyć w sobie: wschodni mrok i głębię oraz rzymskie, prostolinijne, jasne, władcze postępowanie.

Wiadomość, że Tytus zakończy wyprawę judejską, a cesarz wkrótce powróci do Rzymu, poruszyła miasto Aleksandrię. Białoobuci odetchnęli. Cieszyli się, że się pozbędą cesarza oraz surowego gubernatora Tyberiusza Aleksandra, dowiedzieli się z satysfakcją, że nareszcie cztery legiony wyruszą przeciw tej czelnej Judei. Stara, judząca opowieść o Żydzie Apelli odżyła. Gdziekolwiek jakiś Żyd się pokazał, rozlegały się okrzyki: „Apella, Apella.” Później docinki te zostały wyparte przez nowy judzący okrzyk, krótszy, celniejszy; zyskał popularność w mieście, na Wschodzie, na całym świecie. Wymyślił je ten białoobuty Chaireas, ów młodzian, którego Józef kiedyś powalił swymi przyborami do pisania. Były to inicjały zdania: „*Hierosolyma est perdita*” — Jerozolima jest zgubiona. Hep, hep!” — rozbrzmiewało teraz, gdziekolwiek pokazał się Żyd. „Hep, hep!” — wołały zwłaszcza dzieci. Połączono te słowa z poprzednim okrzykiem i całe miasto huczało: „Hep, hep, Apella! hep, Apella, Apella, hep!”

Do Józefa epitet ten nie przywarł. On, Berenika, Agryppa, marszałek Tyberiusz Aleksander — Żyd z pochodzenia — byli nadzieją narodu żydowskiego. I znowu gdziekolwiek się pojawił, witano go okrzykami: „*Marin, Marin.*” Promieniował wiarą. Znał Tytusa. Było rzeczą niemożliwą, żeby marszałek Tyberiusz Aleksander, którego ojciec złożył najcenniejsze

ofiary w darze świątyni, dopuścił do jej zniszczenia. Będzie to wyprawa ciężka, ale krótka. Potem Jerozolima się podda, kraj oczyszczony od Żelotów zakwitnie na nowo. Józef widzi już siebie jako jedną z czołowych osobistości bądź rzymskiej administracji prowincjonalnej, bądź rządu Jerozolimy.

To prawda, że stojące przed nim bezpośrednio zadanie jest trudne. Chce być uczciwym pośrednikiem między Żydami i Rzymianami. Obie strony nie będą mu ufały. Jeżeli Rzymianom coś się nie powiedzie, winę będą przypisywali jemu. Jeżeli Żydom noga się powinie, powiedzą, że to jego wina. Ale jak zawsze nie będzie odczuwał goryczy i bez goryczy szeroko otwierał serce i oczy. „O Jehowo, daj im więcej serca, żebym zrozumiał wielorakość twego świata. O Jehowo, daj mi więcej głosu, bym obwieszczał wielkość twego świata.” Zobaczy, poczuje. Potomność będzie dzięki niemu przeżywała tę wojnę, jej bezsens, ohydę i wielkość.

Zima egipska skończyła się, wylew Nilu minął. Ulewy, wskutek których trudno było przedostać się przez błotnistą część kraju, zwaną Pelesium, ustały, można było przerzucić armię z Nikopolis górnym brzegiem Nilu, a potem kazać jej maszerować starym szlakiem wiodącym przez pustynię.

Przywódcy Żydów Aleksandryjskich chodzili z dumnymi minami, jak zawsze z godnością i spokojem na twarzy. Brali udział w mobilizacji, robili dobre interesy na zbrojeniu i zaprowiantowaniu armii. Byli również oburzeni na buntowników w Judei i z całego serca pochwalali, iż Rzym podniósł wreszcie nogę, by tych buntowników doszczętnie rozdeptać. Jakże łatwo jednak ten rzymski but mógł ugodzić nie tylko buntowników, ale i miasto, a nawet Świątynię. Jerozolima była najmocniejszą twierdzą świata, buntownicy zaślepieni aż do samozagłady. Jeżeli wypadnie wziąć miasto przemocą, to gdzie kończy się ta przemoc i kto może nakazać, by przestała szaleć?

Rzym zachowywał się wobec Żydów Aleksandryjskich poprawnie i przychylnie. Wojna toczyła się przeciw rebeliantom prowincji Judea, nie przeciw Żydom zamieszkałym w państwie. W przeciwieństwie do rządu masy nie czyniły tego rozróżnienia. Miasto Aleksandria oddało na wyprawę większą część swego garnizonu. Żydzi tego nie okazywali, ale dręczyła ich obawa pogromu, podobnego temu, do którego doszło przed czterema laty.

Starali się tym bardziej okazywać lojalność cesarzowi i jego synowi. Choć wielu członków gminy oceniało sytuację ponuro, przewodniczący Synedrionu Teodor bar Daniel wydał bankiet pożegnalny na cześć księcia Tytusa.

Obecni byli cesarz, Agryppa, Berenika, szef sztabu Tytusa Tyberiusz Aleksander. Zaproszono również Józefa i Dorion. Mieli wygląd poważny, byli bardzo bladzi, skupieni, zwracali powszechną uwagę.

Leżało więc przy uczcie około stu osób, Żydzi i Rzymianie, świętując jutrzejsze wyruszenie armii, zwiększonej, składającej się z legionów piątego, dziesiątego, dwunastego i piętnastego, sformowanych w Syrii i Egipcie, by otoczyć zuchwałą stolicę żydowską i raz na zawsze ją upokorzyć. „Przeznaczeniem twoim, Rzymianie, jest panować nad światem oszczędzając poddających się, zwalczając zuchwalców.” Tak śpiewał poeta, a Żydzi i Rzymianie byli zdecydowani urzeczywistnić te słowa siłą miecza i Pisma.

Uczta nie trwała długo. Tytus odpowiedział na krótkie przemówienie przewodniczącego Synedrionu. W mundurze galowym wodza nie wyglądał młodzieńczo, oczy jego były twarde, zimne i jasne, wszyscy zauważyli, jak jest podobny do ojca. Mówił o rzymskim żołnierzu, o jego dyscyplinie, łagodności, harcie ducha i poszanowaniu tradycji.

— Inni myśleli głębiej — mówił — czuli piękniej. Nam bogowie dali, że w odpowiedniej chwili uczyniliśmy to, co należało. Grek ma swój posąg, Żyd swoje księgi, my mamy nasz obóz wojskowy. Jest mocny i ruchliwy, powstaje co dzień na nowo, tworzy małe miasto. Stanowi

ochronę dla pokornych, którzy się podporządkowują prawu, jest postrachem zuchwałych, którzy prawa nie uznają. Obiecuję ci, mój ojczy, obiecuję Rzymowi i światu, że w obozie moim panować będzie Rzym. Stary Rzym, twardy, kiedy trzeba, łagodny, kiedy to jest możliwe. Nie będzie to wojna łatwa, ale będzie zaszczytna, prowadzić ją będziemy na sposób rzymski.

Młody generał wypowiadał nie tylko słowa. Był w nich sens, była treść jego pokolenia. To przemawiała męskość, cnota męska, która mieszkańców owej małej osady na wzgórzach nad Tybrem uczyniła panami Latium, Italii i całej kuli ziemskiej.

Cesarz słuchał słów syna z przyjemnością, potakiwał od czasu do czasu, gładził obolałą nogę. Nie, Żydówka nie da sobie rady z jego chłopcem. Patrzył na Berenikę uśmiechając się w duchu. Słuchała nieruchoma, z ciemną, śmiałą twarzą wspartą na ręku. Była pełna smutku. Człowiek ten zapomniał o niej zupełnie, wyrugował ją z najgłębszych zakątków serca. Jest tylko i wyłącznie żołnierzem, nauczył się kłuć, strzelać, zabijać, deptać. Ciężko będzie powstrzymać jego rękę, kiedy ją raz podniesie.

Podczas przemówienia księcia w lśniącej przepychem sali panowała ogromna cisza. Wśród obecnych znajdował się malarz Fabullus. Portret Bereniki był gotów. Ale księżę nie chce go z sobą zabrać; jest to dla malarza wielki tryumf, gdyż Tytus oświadczył, że obraz jest tak żywy, iż niepokoiłby go, gdyby go miał w swojej bliskości; ma teraz prowadzić wyprawę i niepokój taki nie jest dla niego wskazany. Malarz Fabullus postarzał się. Rysy twarzy stały się jeszcze surowsze, schudł nieco. Patrzył przed siebie, jak by nic nie widząc, ale była to jak zwykle u niego mistyfikacja. Człowiek, który się w ciągu ostatnich tygodni postarzał, widział bardzo dobrze. Widział setki twarzy, Rzymian, panów, którzy wyruszali w pole, by poskromić zbuntowanych niewolników, widział Żydów poskromionych, liżących łapy swoim panom. Malarz Fabullus, choć skąpy w słowach, był mistrzem, rozumiał bez słów, co się dzieje pod maską nawet najszczelniej osłaniającą twarz. Widział marszałka Tyberiusza Aleksandra: siedzi zimny i wytworny, w całej pełni osiągnął to, o co Fabullus na próżno się trudził, widział, że ten twardy, mądry, potężny pan nie jest szczęśliwy. Nie, żaden chyba z tych wszystkich Żydów nie jest szczęśliwy. Ani król, ani Klaudiusz Reginus, ani przewodniczący Synedrionu. Szczęśliwi, w zgodzie z sobą i swym losem są tylko Rzymianie. Nie czują głęboko, mądrość i piękno nie stanowią dla nich problemów. Droga ich jest prosta i jasno wytknięta. Droga twarda i bardzo długa, ale mają mocne nogi i odważne serca, pójdą swoją drogą aż do końca. Żydzi, Egipcjanie i Grecy słusznie oddają im cześć.

Widział również twarz człowieka, do którego uciekła jego córka, tego łajdaka, psa i odstępcy, któremu się rzuciła na szyję. Ale, o dziwo, nie była to twarz łajdaka, lecz oblicze człowieka walki, który się długo opierał władzy, który nabrał świadomości, podporządkował się, uznaje władzę, ale z tysiącem chytrych zastrzeżeń, oblicze bojownika, który zrozumiał, ale się nie poddał. Malarz Fabullus nie zna się zupełnie na literaturze, nie chce nic o niej wiedzieć, nienawidzi jej, jest pełen goryczy, że Rzym uznaje literatów, a nie ma uznania dla malarzy. Fabullus zna się na ludzkich twarzach. Widzi, jak Józef słucha mówiącego Tytusa, wie, że ten człowiek, który śpi z jego córką, ten łajdak, ten pies, ruszy teraz w eskorcie Tytusa, będzie się przyglądał, jak ginie jego miasto, i opíše jego upadek. Gdy Tytus przestał mówić, Fabullus zmierza w stronę Józefa, trochę się ociągając, nie tak pewnie i majestatycznie jak zazwyczaj. Dorion przygląda mu się zatrwożona, co się stanie. Ale nie dzieje się nic. Malarz Fabullus mówi do Józefa głosem nie tak pewnym, jak zazwyczaj:

— Życzę ci szczęścia, Flawiuszu Józefie, życzę, żeby ci się udała księga o wojnie.

Następnego dnia Józef wsiada w Nikopolis na okręt, który popłynie w górę Nilu. Na brzegu pełno żołnierzy, skrzyń, tobołów, pakunków. Dopuszczono tylko garstkę osób cywilnych, gdyż pożegnanie odbyło się w Aleksandrii na zarządzenie dowództwa wojskowego. Tylko jeden

człowiek nie odmówił sobie odprowadzenia Józefa do Nikopolis: Klaudiusz Reginus.

— Otwieraj szeroko serce i oczy, młodzieńcze — powiedział, kiedy Józef wsiadał na statek — niech twoja księga stanie się naprawdę czymś. Sto pięćdziesiąt tysięcy sestercji to zadatek niesłychany.

Na chwilę przed wejściem na pokład Tytus dał polecenie, żeby wycofane przez Wespazjana posterunki, które miały zawiadomić Rzym o upadku Jerozolimy za pomocą sygnałów świetlnych, znowu zajęły swe stanowiska.

KSIĘGA PIĄTA

JEROZOLIMA

Poczynając od dnia pierwszego miesiąca nissan pokazali się na drogach Judei pielgrzymi ciągnący do Jerozolimy, żeby zabić jagnię paschalne przed ołtarzem Jehowy i zjeść wieczerzę w świętym mieście. Toczyła się wojna domowa, drogi były pełne zbójców i żołnierzy, ale nie miało to wpływu na pielgrzymki. Pojedynczo lub grupami płynęli drogą mężczyźni, poczynając od trzynastoletnich wyrostków. Większość szła pieszo, obuta, z kijem wędrownym w rękę, niosąc bukłak z wodą i worek z prowiantami przewieszony przez ramię. Niektórzy jechali na osłach, koniach i wielbłądach. Ludzie zamożni odbywali pielgrzymkę w pojazdach lub lektykach. Bardzo zamożni pielgrzymowali z żonami i dziećmi.

Ciągnęli z Babilonu wielkim, szerokim traktem królewskim. Ciągnęli licznymi wyboistymi drogami polnymi z Południa. Ciągnęli trzema dobrymi szosami wojskowymi zbudowanymi przez Rzymian. Zgrzytając zębami mijali kolumny boga Merkurego, ustawione wzdłuż tych szos, zgrzytając zębami płacili wysokie opłaty drogowe i mostowe. Ale po chwili rozpromieniali się i szli dalej z radosną twarzą, jak nakazywał Zakon. Wieczorem myli nogi, namaszczeni się olejami, wypowiadali formułę błogosławieństwa, cieszyli się, że ujrzą Świątynię i święte miasto, że spożywać będą baranka paschalnego, „samczyka rocznego bez zmaży, wedle obrzędu”.

Za pielgrzymami szli Rzymianie. Było ich cztery legiony. Wraz z kontyngentami wasali liczba ich dochodziła do stu tysięcy żołnierzy. 23 kwietnia, wedle rachuby żydowskiej dnia 10 miesiąca *nissan*, rozłożyli obóz pod Cezareą. 25 rozbili namioty w Gabathsaul, ostatniej większej osadzie przed Jerozolimą.

Żołnierze, maszerując w szeregach po sześciu, zajmowali całą szerokość szosy i spychali pielgrzymów na polne drogi. Nawiasem mówiąc, nie zaczepiali ich. Chwyтали tylko tych, którzy mieli na ramieniu buntowniczą opaskę ze słowem „Makkabi”. Na widok olbrzymiego węża legionów, podpeł-zającego pod miasto, pielgrzymów przeszywał dreszcz. Niektórzy z nich wahali się może przez chwilę, ale nie zawracali z drogi. Zapamiętali w swej żarliwości, przyspieszali kroku. Nie oglądając się dokoła, parli trwożliwie naprzód; była to już raczej ucieczka. Kiedy dnia 14 miesiąca *nissan*, w przeddzień święta a w sam dzień wieczerzy, ostatni pielgrzymi dotarli do bram miasta, bramy zamknęły się, gdyż na wzgórzach za nimi ukazały się straże przednie Rzymian.

Od dawna uchodziło za jeden z dziesięciu cudów, którymi Jehowa wyróżniał swój naród izraelski, że Jerozolima nie była za ciasna dla pielgrzymów przybyłych na Święto Paschy. W tym roku miasto, wtłoczone w swe mury, odcięte od okolicznych wsi, pękało od ludzi. Ale pielgrzymi nic sobie nie robili z ciasnoty. Wypełniali olbrzymie eksedry i dziedzińce Świątyni, podziwiali wspaniałość Jerozolimy. Mieli pieniądze, tłoczyli się na bazarach. Przyjaźnie ocierali się o siebie, ustępowali sobie uprzejmie miejsca, targowali się dobrodusznie z handlarzami, wręczali znajomym podarunki. W owym miesiącu *nissan* Jehowa uratował Żydów z rąk Egipcjan. Przyglądali się nadciągającym Rzymianom ze zdumieniem i ciekawością, ale bez strachu. Czuli pod nogami świętą ziemię. Byli bezpieczni, byli szczęśliwi.

Tytus i panowie jego świty spoglądali ze szczytu wzgórza na piękną okolicę. U ich stóp

leżało w promieniach słońca miasto porane głębokimi parowami.

Książę, który widział swoją słynną, buntowniczą Jerozolimę po raz pierwszy, zachwycał się pięknem miasta. Patrzyło na niego ze swych dumnych wzgórz, całe w bieli. Szeroko i samotnie rozpościerają się za nim nagie szczyty, gaje cedrowe i piniowe, doliny z żyznymi polami, oliwkami i winnicami, lśniące z oddali Morze Martwe, ale samo miasto pęka od nadmiaru ludzi, głębokie wąwozy ulic ledwo się tam mieszczą, każdą piędź ziemi pokrywają zabudowania. Jak cichy krajobraz wtapia się w gwarne i rojne miasto, tak znowu to miasto rozplywa się w bieli i złocie Świątyni, która, choć tak potężna, unosi się w powietrzu nieskończenie delikatna i przejrzysta. Tak, najwyższe punkty Jerozolimy, fort Antonia i dach Świątyni, leżą o wiele niżej niż teren, na którym stoi Tytus, a mimo to wydaje się, że i on, i jego koń są mocno przytwierdzeni do ziemi, podczas gdy miasto i Świątynia lekko i nieosiągalnie unoszą się w powietrzu.

Książę ocenia piękno miasta. Równocześnie ocenia okiem żołnierza, jak jest niedostępne: z trzech stron głębokie parowy, olbrzymi mur dokoła. Skoro ten zostanie zdobyty, przedmieście otacza drugi mur, górną część miasta trzeci, a Świątynia na swym wysokim, stromym wzgórzu oraz górne miasto to znów dwie nowe twierdze. Tylko od północy, tam gdzie teraz stoi Tytus, spływa łagodnie droga ku miastu i Świątyni. Ale tu właśnie mury i forty są najmocniejsze, patrzą w górę niezwykłe, zuchwałe. Napędza go coraz bardziej nieposkromiona chęć zburzenia tych obszernych, hardych pałaców, przebicia się przez grube mury żelazem i ogniem do brzucha tego nieprzystępnego miasta.

Książę potrząsa lekko głową z niezadowoleniem. Czuje na sobie wzrok Tyberiusza Aleksandra. Tytus wie, że marszałek jest pierwszym żołnierzem epoki, najpewniejszą podporą domu Flawiuszów. Podziwia tego człowieka; jego śmiałe oblicze, uskrzydłony krok przypominają mu Berenikę. Ale czuje się w jego obecności jak sztubak, przygniata go uczucie, że marszałek nad nim góruje.

Tyberiusz Aleksander, mimo dojrzałego wieku, dobrze siedzi na swym arabskim rumaku. Długa twarz o spiczastym nosie ani drgnie, Tyberiusz z góry spogląda na miasto. Jakie to wszystko zawikłane. To oblęd, że ci ludzie przy okazji swoich pielgrzymek tak się tłoczą i cisną jak solone ryby. Był długie lata gubernatorem w Jerozolimie, jest zorientowany. Jak zaprowiantować te setki tysięcy ludzi przez dłuższy czas? Czy ich przywódcy, owi panowie Szymon bar Giora i Jan z Giskali wierzą, że się go wkrótce pozbędą? Czy im się zdaje, że swoimi dwudziestu czterema tysiącami ludzi przepędzą jego sto tysięcy? Myśli o swojej artylerii, o taranach dziesiątego legionu, a przede wszystkim o „Grubym Juliuszu”, wspaniałej, nowoczesnej maszynie oblężniczej. Stary, doświadczony żołnierz patrzy na miasto wzrokiem niemal współczującym.

Te niepoprawne nieuki biją się jeszcze ciągle w obrębie swoich murów. Nienawidzą siebie nawzajem bardziej niż Rzymian. W swojej bezmyślnej wojnie domowej spalili olbrzymie zapasy zboża, Jan wystawił przeciw Szymonowi artylerię nawet pod kolumnami dziedzińców wewnętrznych świątyń. Spojrzenie marszałka, spokojne, nieco zmęczone, błądzi w kierunku Świątyni. Jego własny ojciec ufundował metalowe płyty pokrywające dziewięć bram wiodących do dziedzińców wewnętrznych, ofiarował złoto, srebro i spiż koryncki. Wartość tych metali odpowiadała wpływom podatkowym całej prowincji. Mimo to ojciec, przewodniczący Synedrionu w Aleksandrii, pozwolił na to, że Tyberiusz jeszcze jako chłopiec porzucił wiarę żydowską. Jest za to swemu ojcu wdzięczny. To przestępstwo i głupota stawiać się poza nawiasem ogładzonej, mądrej kultury greckiej.

Patrzy z nieznacznym, drwiącym uśmiechem na sekretarza i tłumacza księcia, który spogląda na miasto z zatroskaną twarzą. Ten Józef chciałby równocześnie dwóch rzeczy, kultury

żydowskiej i greckiej. To ci się nie uda, mój drogi. Jerozolima i Rzym, Izajasz i Epikur — to się nie da pogodzić. Zdecyduj się łaskawie albo na jedno, albo na drugie.

Stojący obok niego król Agryppa zachowuje swój zwykły uprzejmy uśmiech na pięknej, nieco zbyt tłustej twarzy. Wolałby być tutaj jako pielgrzym niż jako dowódca pięciu tysięcy konnych. Nie widział miasta od czterech lat, odkąd ten głupi lud przepędził go po jego wielkiej mowie pokojowej. Namiętny budowniczy spogląda teraz na Jerozolimę z wielką miłością i głębokim ubolewaniem, patrzy, jak cała w bieli wspina się na wzgórze. Sam wiele zbudował. Kiedy osiemnaście tysięcy robotników, zajętych przy budowie Świątyni, utraciło chleb po jej ukończeniu, kazał im na nowo wybrukować miasto. Makabeusze wtłoczyli teraz część robotników budowlanych w żołnierskie mundury. Jednego z nich, niejakiego Pinchasa, zrobili nawet arcykapłanem na pośmiewisko dla arystokratów. A co uczynili z jego domami, z pałacem Herodesa, ze starym pałacem Makabeuszy! Ciężko na taki widok zachować spokój serca i oblicza.

Dokoła pracują żołnierze. Wśród milczenia panów, stojących nieruchomo na wzgórze, rozbrzmiewają uderzenia ich rydli i toporów. Zakładają obóz, przygotowują teren dla celów oblężniczych, coś noszą, to znów wynoszą. Okolice Jerozolimy to jeden wielki ogród. Wycinają drzewa oliwne i owocowe, niszczą winnice. Burzą wille wznoszące się na Górze Oliwnej, pustoszą magazyny braci Chanan, równają kraj z ziemią. *Solo adaequare*, zrównać z ziemią, to wyrażenie techniczne. Trzeba je przed rozpoczęciem oblężenia wpajać każdemu, kto się para wojenną sztuką — to reguła elementarna. Król żydowski siedzi na koniu w dobrej, swobodnej postawie, twarz jak zazwyczaj zdradza zmęczenie. Ma już lat czterdzieści dwa. Zawsze potakiwał światu, mimo że pełno na nim głupoty i barbarzyństwa. Dziś przychodzi mu to z trudnością.

Tylko Józef nie potrafi opanować wyrazu twarzy. Tak patrzył kiedyś z Jodfat na legiony zamykające okrążający miasto pierścień. Wie, że opór jest beznadziejny. Mózg jego należy do tych, wśród których się znajduje. Ale serce jego jest z tamtymi. Z trudem znosi huk toporów, młotów i rydli, którymi żołnierze zamieniają promienne okolice miasta w pustynię.

Od strony Świątyni dolatuje potężny grzmot. Konie się płoszą.

— Co to takiego? — pyta książe.

— To psalterion o stu dźwiękach — wyjaśnia Józef. — Słysząc go aż do Jerycha.

— Wasz Bóg Jehowa ma potężny głos — mówi z uznaniem Tytus.

Po chwili przerywa długie, kłopotliwe milczenie.

— Jak panowie myślą? — zapytuje potężnym głosem, jak gdyby wypowiadał słowa komendy. — Ile czasu będzie wam potrzeba? Liczę, że jeżeli dobrze pójdzie, trzy tygodnie, jeżeli kiepsko, dwa miesiące. W każdym razie na październikowe Święto Konia chciałbym być z powrotem w Rzymie.

Było dotychczas trzech dowódców, którzy jako dyktatorzy Jerozolimy zwalczali się namiętnie. Szymon bar Giora władał górnym miastem, Jan z Giskali dolnym miastem i południową dzielnicą dokoła Świątyni, rabbi Eleazar ben Szymon wewnętrzną częścią tej dzielnicy, gmachem Świątyni i fortem Antonia. Kiedy w przeddzień Święta Paschy pielgrzymi zaczęli napływać do Świątyni, by ofiarować swego baranka Jehowie, Eleazar nie miał odwagi zabronić im wstępu do eksedr wewnętrznych. Jan z Giskali wprowadził między pielgrzymów wielu swoich żołnierzy; żołnierze ci, gdy znaleźli się w obrębie Świątyni, zrzuciwszy pielgrzymie szaty przed ołtarzem ofiar całopalnych, pozabijali oficerów Eleazara, jego zaś wzięli do niewoli. Zawładnąwszy w ten sposób całym terenem Świątyni, Jan z Giskali zaproponował Szymonowi bar Giorze wspólne zwalczanie wroga przed murami i zaprosił go, by spożył baranka paschalnego w jego kwaterze głównej, w pałacu księżnej Grapte. Szymon zgodził się.

Wieczorem Jan, drobny, chytry, zadowolony, czekał w otwartej bramie domu księżnej

Grapte na swego dawnego wroga, który stał się teraz nowym sprzymierzeńcem w walce. Szymon minął warty Jana, które oddały mu honory wojskowe, wszedł po schodach na górę. Zarówno on, jak jego orszak byli uzbrojeni. Rozgniewało to zrazu Jana, sam był bez broni, ale natychmiast się opanował. Z szacunkiem, jak nakazywał obyczaj, cofnął się o trzy kroki, skłonił się głęboko i powiedział:

— Dziękuję ci serdecznie, żeś przyszedł, mój Szymonie.

Weszli pod dach. Dom księżnej Grapte, której ród wywodził się z Transjordanii, niegdyś pełen przepychu, miał teraz wygląd zaniedbanych koszar. Krocząc głośno przez ogołocone komnaty, Szymon bar Giora lustrował Jana swymi wąskimi, ciemnymi oczyma. Ten Jan wyrządził mu bardzo wiele złego, chcąc go zmusić do ustępstw kazał porwać jego żonę; parskali na siebie z wściekłością jak dzikie zwierzęta, nienawidził go. Mimo to ma respekt dla jego sprytu. Może Jehowa przebaczy temu Janowi, że przed jego ołtarzem wykutym z nie ciosanych kamieni — nie wolno, by ołtarz tknęło żelazo — kazał spod szat pielgrzymich wyciągnąć poukrywane miecze; ale było to dzielne, chytne, śmiałe. Z zasępioną miną, lecz pełen szacunku kroczył obok Jana.

Jak nakazywał Zakon, pieczono baranka bezpośrednio nad ogniem wraz z kończynami i trzewiami. Odmawiali pacierze, przepisane opowieści o wyjściu z Egiptu, zjedli z apetytem baranka z praśnym chlebem, jak każe przepis, i, jak każe przepis, z gorzkimi ziołami na pamiętkę goryczy zaznanych w Egipcie. Właściwie wszystkie plagi, którymi Jehowa poraził Egipt, są nieco śmieszne w porównaniu z plagami, które spadały na nich samych, a armia rzymska jest z pewnością straszniejsza od egipskiej. Ale to nic. Siedzą oto razem w jednym pomieszczeniu, jako tako pogodzeni ze sobą. Wino Eszkol jest również dobre, rozgrzewa zdziczałe serca. Szymon bar Giora siedzi wprawdzie z miną poważną, ale reszta jest zadowolona.

Po jedzeniu wypili wszyscy razem ostatni z przepisowych czterech kubków wina. Potem obaj przywódcy odprawili kobiety i swoją świętą, Jan i Szymon pozostali sam na sam.

— Czy chcesz część swoich dział pozostawić mnie i moim żołnierzom? — zaczął Szymon bar Giora poważną rozmowę tonem nieufnym, raczej żądając niż prosząc.

Jan spojrzał na niego. Byli obaj wyniszczeni, zaniedbani, zgorzkniali od licznych trudów, mąk i rozczarowań. „Jak można być takim mrukiem w tak młodym wieku?” — myślał Jan. Jeszcze niespełna trzy lata temu bił od tego człowieka blask jak od Świątyni.

— Mogę ci oddać wszystkie moje działa — rzekł tamten szczerze, niemal tkliwie. — Nie chcę bronić się przed Szymonem bar Giorą, chcę się bronić przed Rzymianami.

— Dziękuję — odparł Szymon.

Był teraz w jego wąskich, ciemnych oczach cień dawnej, szaleńczej wiary.

— Piękny wieczór paschalny, w którym Jehowa sprawił, że nabrałeś dla mnie zrozumienia. Utrzymamy Jerozolimę, Rzymianie zostaną zdruzgotani.

Siedział wyprostowany, smukły przed barczystym Janem, widać było, że jest jeszcze bardzo młody.

Jan z Giskali podrzucił niezgrabną, chłopską ręką duży kubek. Kubek był pusty, nie wolno wypić więcej niż pełne cztery kubki.

— Nie utrzymamy Jerozolimy, bracie — rzekł. — To my zostaniemy zdruzgotani, nie Rzymianie. Ale dobrze, że istnieją ludzie z taką wiarą jak ty.

Spojrzał nań przyjaźnie, serdecznie.

— Wiem — rzekł z pasją Szymon — że Jehowa da nam zwycięstwo. I ty w to wierzysz, Janie. Po cóż w przeciwnym razie wszczynalibyśmy tę wojnę?

Jan spojrzał na opaskę z inicjałami Makkabi.

— Nie chcę prawować się z tobą, bracie Szymonie — rzekł pojednawczo — nie chcę

tłumaczyć, dlaczego wiara nie jest w Jerozolimie taka mocna, jak w Galilei.

Szymon opanował się.

— Nie mów o krwi i ogniu — rzekł — które nas dzieliły. Nie twoja to była wina i nie moja. Winni byli arystokraci i rabbi.

— No cóż — Jan szturchnął go poufale — tym dałeś szkołę. Skakali jak linoskoczkowie syryjscy ci zacni rabbi w swoich długich szatach. Stary arcykapłan Anan, który w Synedronie zachowywał się tak, jak gdyby był samym gniewnym Jehową, leżał wtedy martwy, obnażony, brudny, przestał być rozkoszą dla oczu. Ten już cię po raz wtóry z eksedr Świątyni nie wyrzuci.

— No cóż — rzekł Szymon i nawet na jego pooranej

bruzdami twarzy pojawił się blady uśmiezek. — Ty, mój Janie, nie należałeś także do najłagodniejszych. Załatwiłeś się nienajgorzej z resztą arystokratycznych synków arcyka-płańskich, zrobiłeś arcykapłana z robotnika Pinchasa, kazałeś tym matołom celebrować ceremonię wkładania szat i cały ten kram. Nie, nie są to metody, które można by przytoczyć jako przykład na lekcji poświęconej nabożnemu życiu.

Jan uśmiechnął się. — Nie mów nic przeciw memu arcykapłanowi Pinchasowi, bracie mój, Szymonie — rzekł. — To prawda, że jest trochę tępy, ale dobry z niego człowiek, robotnik, nie żaden arystokrata. Jest nasz. Poza tym sam los go przeznaczył.

— Czy nie pomagałeś trochę przy losowaniu? — zapytał Szymon.

— Pochodzimy z tego samego kraju — roześmiał się Jan. — Twoja Gerasa i moja Giskala nie są zbyt od siebie odległe. Chodź, bracie mój Szymonie, rodaku, pocałuj mnie.

Szymon ociągał się chwilę. Potem otworzył ramiona; ucałowali się.

Gdy zbliżała się już północ, udali się w obchód dla dokonania inspekcji murów i posterunków. Raz po raz potykali się o śpiących pielgrzymów, gdyż w domach nie było miejsca. We wszystkich bramach i przy drogach leżeli więc niektórzy pod prymitywnymi namiotami, inni tylko otuleni w płaszcz. Noc była chłodna, powietrze gęste od zapachu ludzi, dymu, drzewa, smażonego mięsiva, wszędzie widać było ślady wojny domowej, pod murami stał wróg. Ulice Jerozolimy nie stanowiły wygodnego legowiska. Ale pielgrzymi spali dobrze. Była to noc czuwania. Jak kiedyś Egipcjan, tak teraz Rzymian Jehowa wrzuci do morza wraz z końmi i pojazdami. Szymon i Jan starali się posuwać naprzód możliwie bez hałasu, obchodzili dokoła niejednego ze śpiących.

Jeden był ciekaw zarządzeń obronnych drugiego. Wszędzie stwierdzili dyscyplinę i porządek, warty odpowiadały na hasła jak należy.

Zbliżał się ranek. Zza murów dochodził odgłos rzymskich sygnałów. Potem, od strony Świątyni dobiegł głośny zgrzyt — to otwierano bramę wiodącą do Świętego Przybytku — a później potężny jęk psalterionu, zwiastujący rozpoczęcie nabożeństwa, zagłuszył sygnały Rzymian.

Zaczęto strzelać zza murów. Legiony wznoszące szańce nie ociągały się z odpowiedzią. Ilekroć gwizdnął ciężki pocisk Rzymian, warty wołały po aramejsku: „Pocisk nadlatuje” — i żołnierze śmiejąc się szukali osłony.

Szymon i Jan przyglądali się rozpoczętej bitwie z wieży Psefinusa.

— Będzie to pomyślny dzień, bracie mój Janie — rzekł Szymon.

— Tak, pomyślny — odparł Jan.

Pociski Rzymian, białe, widoczne z daleka, pruły z warkotem powietrze. „Pocisk nadlatuje”, rozlegały się wołania i żołnierze śmiejąc się padali na ziemię. Ale później nadlatywać zaczęły pociski niewidoczne, pomalowane przez Rzymian. Zmiotły z murów grupę obrońców. Teraz nikt się już nie śmiał.

Jedenastego maja fabrykant szkła Aleksas udał się ze swego domu, gdzie mieściła się

również pracownia, do ojca swego Nachuma mieszkającego w nowej dzielnicy. Dziś w nocy, mimo gwałtownego oporu, Rzymianie podsunęli pod mury swe maszyny oblężnicze. Całą nową dzielnicą wstrząsały głucho ciosy „Grubego Juliusza”, ich największego tarana. Teraz uda się Aleksasowi namówić ojca, by razem ze służbą i dobytkiem przeniósł się z zagrożonej nowej dzielnicy do niego, do górnego miasta.

Nachum ben Nachum siedział przed swoją pracownią na poduszkach ze skrzyżowanymi nogami pod wielkim szklanym gronem. Było kilku kupujących. Targowano się o pozłacaną ozdobę stanowiącą przybranie damskiej fryzury. Z dala od tego zgiełku kiwał się rabbi Nittai mrużąc jak zawsze swoje sentencje. Nachum ben Nachum nie zachęcał kupujących ani słowem. Wreszcie odeszli nie powziawszy decyzji.

Nachum zwrócił się do syna:

— Wróć, interes dojdzie do skutku. Najwyżej za tydzień zaopatrzone pieczęcią dokument kupna-sprzedaży znajdzie się w archiwum.

Czworokątna broda Nachuma była starannie utrzymana, policzki miał jak zawsze świeże, mówił z ufnością i pewnością siebie. Aleksas jednak orientował się doskonale, że za tym wszystkim kryje się strach. Żeby ojciec nie wiem jak udawał, że interesy idą normalnie, nawet on musi przyznać słuchając, jak wali „Gruby Juliusz”, że cała nowa dzielnica jest zagrożona wraz z jego domem i fabryką. Za parę tygodni, a może już za parę dni, tam gdzie teraz stoją i gawędzą sobie spokojnie, znajdą się Rzymianie. Ojciec musi to uznać i przeprowadzić się do niego. Wystarczy przejść kilka kroków, wyjrzeć za mur, żeby zobaczyć, jak pracują maszyny Rzymian.

Tymczasem Nachum ben Nachum w dalszym ciągu pławił się w optymizmie. Czy nie byłoby głupotą i przestępstwem, gdyby ulegając namowom syna, uciekł z miasta przed Świętem Paschy? Nie pamięta jeszcze tak ożywionego sezonu. Czy to nie błogosławieństwo, że pielgrzymi nie mogą na razie wydostać się z miasta? Nie pozostaje im nic innego, jak wałęsać się całymi dniami po sklepach i bazarach. Szczęście, że się nie dał synowi otumanić.

Aleksas pozwolił się ojcu wygadać. Potem nalegał dalej spokojnie i uporczywie:

— Dziś przyznają nawet w forcie Fazael, że nie potrafią utrzymać zewnętrznego muru. Na ulicach, zamieszkałych przez kowali i handlarzy odzieżą, zamknięto już mnóstwo sklepów. Wszyscy przenieśli się do górnego miasta. Bądźże rozsądny, zgaś piec, przeprowadź się do mnie.

Podszedł do nich mały Efraim. Pienił się na brata.

— Utrzymamy nową dzielnicę — wołał z zapałem. — Należałoby zrobić na ciebie doniesienie w forcie Fazael. Jesteś gorszy od tego z żółtą twarzą.

Mówiąc o tym z żółtą twarzą miał na myśli proroka, który dziś jeszcze szydził z Makabeuszów doradzając rozpoczęcie pertraktacji i poddanie się.

Aleksas uśmiechnął się złowieszczo.

— Chciałbym — powiedział — mieć siłę i wymowę żółtolicego.

Nachum ben Nachum kiwał głową potakująco, gładził kruczą czuprynę najmłodszego syna. Równocześnie rozważał w swym sercu słowa przemądrzałego najstarszego syna. „Gruby Juliusz” walił istotnie przerażająco równomiernie. Prawdą było również, że wielu mieszkańców nowej dzielnicy przenieśli się do bezpiecznego na razie górnego miasta. Nachum widział to na własne oczy; a że Zeloci, obecni panowie miasta, na to pozwalali, miało także swoją wymowę. Zeloci byli bowiem bardzo surowi. Wydmuchiawca szkła Nachum ben Nachum uważał nawet, że są zbyt surowi. Ale nie mówił tego głośno. Makabeusze mieli wyostrzony słuch, Nachum ben Nachum często bywał świadkiem, jak jego znajomych, poważanych mieszczan, pakowano do fortu Fazael lub stawiano pod murem i dokonywano na nich egzekucji za nie przemyślane wypowiedzi.

Nachum zwrócił się do rabiego Nittai:

— Syn mój Aleksas radzi, byśmy się do niego przeprowadzili. Syn mój Efraim twierdzi, że nowa dzielnica zostanie utrzymana. Co mamy robić, przezacny rabbi?

Chudy rabbi Nittai spojrział nań wąskimi, błędnymi oczyma.

— Cały świat jest matnią i zasadzką — powiedział. — Bezpieczeństwo daje tylko Świątynia.

Wydmuchiawcz szkła Nachum nie powziął dnia tego decyzji, ale nazajutrz włożył swe stare robocze ubranie, którego nie nosił od lat, pochłaniały go bowiem pertraktacje z kupującymi. A więc teraz wydobył robocze ubranie, włożył je, przycupnął pod piecem. Synowie i czeladź stali dokoła. Na staroświecką modłę, którą jego syn Aleksas dawno zarzucił, wygarnął szuflą z pieca płynną masę, wyrwał kawał obcęgi, utoczył w rękę piękny, okrągły puchar. Potem polecił zagasić wielki owalny piec, który płonął przez tyle dziesięcioleci. Przyglądał się, jak piec wygaszał, odmówił modlitwę przepisaną, gdy nadejdzie wiadomość o zgonie: „Bądź błogosławiony, Jehowo, sędzio sprawiedliwy.” Potem wraz z żoną, synami, czeladnikami, niewolnikami, koźmi, osłami i całym dobytkiem ruszył w kierunku domu swego syna Aleksasa.

— Kto się naraża na niebezpieczeństwo — powiedział — ten musi zginąć. Kto czeka zbyt długo, z tego Jehowa zdejmuje swoją rękę. Jeżeli chcesz nas przyjąć pod swój dach, zamieszkamy w twoim domu, dopóki Rzymianie nie odejdą.

Oczy Aleksasa utraciły zamglony, zatroskany wyraz. Po raz pierwszy od lat wyglądał świeżo, był podobny do ojca. Ze czcią cofnął się o trzy kroki, podniósł rękę do czoła i powiedział składając głęboki ukłon:

— Wola mego ojca jest moją wolą. Niskie progi mego domu będą szczęśliwe, jeżeli przekroczy je mój ojciec.

W trzy dni później Rzymianie zdobyli zewnętrzny mur. Splądrowali nowe miasto, splądrowali sklepy i warsztaty krawców, kowali, ślusarzy, garncarzy, pastwą ich padła również fabryka wydymacza szkła Nachuma. Zrównali z ziemią całą dzielnicę, by usypać wały i ustawić maszyny, i rozpocząć oblężenie drugiego muru.

Wydymacz szkła Nachum ben Nachum pogładził gęstą, czworokątną czarną brodę, w której widniały siwe pasma, i kołysząc głową powiedział:

— Po ustąpieniu Rzymian zbudujemy większy piec. Kiedy jednak znalazł się sam, miał wzrok zamglony i twarz zatroskaną, podobny był bardzo do swego syna Aleksasa. „Ojoj, ojoj! — myślał sobie. — Fabryka szkła Nachuma była najlepsza w Izraelu od lat stu. Rabbi pozwolili mi przystrzygać nieco brodę, którą mnie Jehowa obdarzył taką długą i piękną, żeby jej nie opaliła płonąca masa; doktor Nittai żył z fabryki szkła Nachuma. Gdzie jest teraz ta fabryka? Może Makabeusze są odważni i bogobojni, ale Jehowa nie może błogosławić przedsięwzięcia, w którym ginie fabryka szkła Nachuma. Należało pertraktować. Syn mój Aleksas zawsze to mówi. Należałoby pertraktować jeszcze teraz. Niestety nie wolno tego powiedzieć głośno, bo gotowi osadzić człowieka w forcie Fazael.”

W owym czasie ceny żywności w Jerozolimie ogromnie poszły w górę. Aleksas kupował wszystko, co tylko dało się nabyć. Ojciec Nachum kręcił głową. Brat, młodzian Efraim, gromił go ostro za pesymizm. Ale Aleksas kupował dalej, co się tylko dało. Część zapasów ukrył i zakopał.

Trzydziestego maja Rzymianie zdobyli drugi mur. Opłacili jednak to zwycięstwo wielkimi ofiarami w ludziach i materiale, gdyż Szymon bar Giora bronił muru zaciekle i zręcznie. Rzymianie przez cały tydzień stali dzień i noc pod bronią.

Tytus dał wyczerpanym żołnierzom chwilę wytchnienia. Na okres przerwy w działaniach wojennych wyznaczył wypłatę żołdu, paradę oraz uroczyste wręczenie odznak honorowych zasłużonym oficerom i szeregowcom.

Od chwili wymarszu z Cezarei odmawiał sobie widoku Bereniki. W namiocie swoim nie umieścił nawet pięknego portretu pędzla malarza Fabullusa w obawie, że sama jej obecność na płótnie mogłaby go odciągnąć od obowiązków żołnierskich. Teraz i on pozwolił sobie na wypoczynek i poprosił przez kuriera, by go odwiedziła.

Ale już w chwili, kiedy ją witał, wiedział, że popełnił błąd. Tylko z dala od tej kobiety czuł się pewny siebie, był dobrym żołnierzem, wiedział, czego chce. Z chwilą kiedy się pojawiła, myśli jego zaczęły się rozpraszać. Jej twarz, zapach, krok oraz lekko zachrypnięty głos pozbawiały go równowagi.

Rano trzeciego czerwca, mając u boku księżniczkę Berenikę, przyjął paradę. Wojska posuwały się poza obrębem zasięgu strzałów, ale jeszcze w polu widzenia obłożonych. Ciągnęły przed nim legiony w szeregach po sześciu, w pełnym uzbrojeniu, z obnażonymi mieczami. Jeźdźcy prowadzili za uzdy swe pięknie przybrane konie. Godła bojowe lśniły w słońcu srebrem i złotem. Z murów Jerozolimy patrzyli na to widowisko obłożeni. Cały mur północny wraz z dachami kolumnad Świątyni i całej Świątyni pełen był ludzi, którzy w jaskrawych promieniach słońca przyglądali się potędze, liczebności oraz blaskowi swego wroga.

Po defiladzie Tytus rozdawał odznaki honorowe — bardzo oszczędnie rozdzielano chorągiewki, lance, złote i srebrne łańcuchy. Spośród stutysięcznej armii oblegającej odznaki otrzymała niecała setka. Jeden z nich się wyróżniał: oficer niewysokiej rangi, kapitan Pedan, centurion pierwszego oddziału pierwszej kohorty piątego legionu, człowiek około pięćdziesięcioletni, czerwony na twarzy blondyn o włosach nieco przyprószonej siwizną. Zuchwały nos o rozdętych nozdrzach, jedno oko lśniące, niebieskie, jedno martwe, sztuczne. Kapitan Pedan miał już najwyższe odznaczenie, jakie zdobyć może żołnierz: wieniec z ziół. Nie udzielał go dowódca, lecz dawała armia, i to tylko takim wojownikom, których zręczność i dzielność uratowała całą armię od niebezpieczeństwa. Kapitanowi Pedanowi uwito wieniec z ziół pewnego wzgórza armeńskiego, tam bowiem, pod naczelnym dowództwem marszałka Korbulona, dzięki przebiegłości i zimnej krwi, wyprowadził swój oddział okrążony przez Partów mających nad nim znaczną przewagę liczebną. Kapitan Pedan, zuchwały, szaleńczo odważny, pyskawy i sprytny, był ulubieńcem armii.

Łańcuch honorowy, który mu teraz Tytus wręczył, nie był zbyt zaszczytnym odznaczeniem. Pierwszy centurion piątego legionu wypowiedział przepisaną formułę dziękczynną od niechcenia. Potem skrzeczącym, donośnym głosem dorzucił:

— Jedno pytanie, wodzu, czy i ciebie już wszy oblażyły? Jeżeli się tu wkrótce nie uporamy, obleżą cię z pewnością. Jeżeli chcesz mi zrobić łaskę, to proszę, zabierz swój łańcuch i pozwól kapitanowi Pedanowi, żeby pierwszy rzucił płonąca pochodnię do tej przeklętej dziury, w której ci parszywi Żydzi ukrywają swego boga.

Książę czuł, z jak wielkim napięciem Berenika czeka na jego odpowiedź. Rzekł więc nieco wymuszenie:

— Sprawa, co poczniemy ze Świątynią, jest sprawą mego ojca, cesarza. Ale nikt nie będzie bardziej rad ode mnie, jeżeli zdarzy się okazja udzielenia ci jeszcze jednego odznaczenia. — Był zły, że mu przyszła do głowy jedynie tak mizerna odpowiedź.

Józef także otrzymał odznaczenie: niewielką płytkę do noszenia na piersiach na pancerzu.

— Flawiuszu Józefie — powiedział Tytus — proszę przyjąć podziękowanie wodza naczelnego i armii.

Patrząc na srebrną płytkę, którą mu Tytus wręczał, Józef doznawał zmiennych uczuć. Płytkę przedstawiała głowę Meduzy. Tytus był z pewnością przekonany, że jeśli wśród niewielu odznaczonych zaszczytci Żyda, uszczęśliwi go. Ale tak mało zadawał sobie trudu, by go zrozumieć, że wybrał właśnie głowę Meduzy, która była zabronionym wizerunkiem nie tylko

postaci ludzkiej, ale równocześnie pogańskim symbolem. Nie, Żydzi i Rzymianie nie mogą się porozumieć. Księciu, który był Józefowi życzliwy, na pewno nie przyszło nawet na myśl, że tego rodzaju płytką jest dla Żyda raczej zniewagą niż odznaczeniem. Józef był przybity, pełen smutku. Ale się opanował.

— To ja — wypowiedział z czołobitnością przepisaną formułę — powinienem dziękować wodzowi i armii. Będę usiłował okazać się godnym tego odznaczenia.

Po tych słowach wziął płytkę. Berenika stała wyprostowana ze skamieniałą, dumną twarzą. Z muru, głowa przy głowie, przygnali się tej scenie Żydzi, stojąc w milczeniu pod palącymi promieniami słońca.

Tymczasem księcia ogarniała coraz większa złość. Po co ta cała parada?! Berenika wie równie dobrze jak on, czym jest rzymska armia. Demonstrowanie jej w tak pyszałkowaty sposób jest nietaktowne, barbarzyńskie. Oto tkwią na swoich murach i dachach stłoczone tysiące Żydów, przyglądają się, milczą. Byłoby lepiej, gdyby wrzeszczały, szydziły. Milczenie ich ma głębszą wymowę. Berenika również nie odezwała się podczas całej defilady ani jednym słowem. To żydowskie milczenie drażni Tytusa.

Nagle, wśród tego nastroju niechęci i niezadowolenia, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Rozpocznie nową, poważną akcję, pojednawczą. Jako wstęp do takiej akcji, parada nabiera sensu. Dowódcę takiej armii stać na zaproponowanie przeciwnikowi pertraktacji bez obawy, że to zostanie przyjęte za oznakę słabości.

Decyzja ta przyszła mu oczywiście niełatwo. Ojciec wciąż jeszcze stara się utrzymać fikcję, że nie chodzi tu o wyprawę wojenną, lecz o zarządzenie policyjne. Tytus nie podziela tego zdania. Podobnie jak i jego armia, jako nagrodę za trudy widzi przed sobą tylko tryumf w Rzymie, promienne, zaszczytne widowisko. Jeżeli jednak wyprawa zakończy się pojednaniem, z tryumfu będą nici. Ale nie chodzi tu o niego i jego sprawy. Rzym prowadzi politykę na daleką metę. Tytus wysunie propozycję mediacyjną.

Po powzięciu tej decyzji Tytus rozpromienia się. Teraz parada jego nabiera nagle sensu, nabiera również sensu obecność tej kobiety. Spojrzenie i głos księcia stają się młodzieńcze, pełne ufności. Radują go jego żołnierze, raduje widok tej kobiety.

Spotkanie Rzymian z Żydami nastąpiło w pobliżu wieży Psefinus, w zasięgu obstrzału żydowskiej broni. Z wałów swego obozu przyglądali się spotkaniu Rzymianie, z murów miejskich Żydzi. Rzecznikiem Rzymian był Józef, Żydów — rabbi Amram, przyjaciel Józefa z lat młodzieńczych. Żydzi trzymali się ściśle w odległości siedmiu kroków od Józefa; kiedy mówił, twarze ich miały wyraz zupełnie martwy. Nie odzywali się do niego ani słowem, zwracali się tylko do dwóch towarzyszących mu Rzymian.

Obozowano na gołej, nasłonecznionej ziemi. Józef był bez broni. Przygotował się z całą żarliwością do nawrócenia miasta na drogę rozsądku. Jego mieszkańcy dawali mu codziennie dowody nienawiści. Na kulach ołowianych i pociskach, miotanych przez obłożonych, wryte były po aramejsku słowa: „Ugodź Józefa.” Ojciec jego i brat byli osadzeni w lochach fortu, gdzie ich straszliwie dręczono. Nie zważał na to. Wytrawił z serca wszelką gorycz. Pościł, modlił się, by Jehowa dał siłę jego słowom. Kiedy Józef wreszcie doszedł do głosu, nie mógł usiedzieć na ziemi. Zerwał się, stał w słońcu. Pod wpływem postu i niezłomnej woli przekonania słuchaczy miał wzrok jeszcze promienniejszy niż zazwyczaj. Widział przed sobą zamkniętą, zdziczałą twarz rabbiego Amrama. Od czasu bitwy pod Jodfat Józef nie słyszał nic o Amramie, poza tym, że to on domagał się rzucenia na niego anatemy. Nie było dobrą wróżbą, że Żydzi wydelegowali jako kontrpartnera tego właśnie kolegę, który go równie namiętnie kochał, jak nienawdził. Tak jak zawsze, propozycje wysunięte przez Józefa są niezwykle łagodne. Rozsądek wymaga, by je rozważyć. Józef zaklina delegatów żydowskich przytaczając niezbite argumenty logiczne.

Rzymianie — wywodził — zobowiązują się przywrócić w całym kraju dawny stan rzeczy. Gwarantują życie wszystkim osobom cywilnym w oblężonym mieście oraz autonomię liturgii. Żądają jedynie, żeby garnizon zdał się na łaskę i niełaskę. Józef przekonywał rabiego Amrama przy pomocy formuł teologicznych i prawnych, które obaj znali z dysput prowadzonych za czasów studenckich. Zapytywał:

— Co macie do stracenia, jeżeli miasto oddacie? Co macie do wygrania, jeżeli tego nie uczynicie? Jeżeli oddacie miasto, uratujecie tą drogą ludność cywilną, Świątynię, służbę Jehowy. Gdyby jednak miasto miało być zdobywane szturmem, wszystko byłoby stracone: armia, ludność, Świątynia. Powiecie zapewne, że armia nie jest bardziej winna od was, że wykonywała tylko waszą wolę. Może. Ale czy nie wysyłacie na pustynię kozła ofiarnego i nie zrzucacie na niego wszystkich waszych grzechów? Niech armia złoży broń, niechaj zamiast wszystkich pokutuje tylko cząstka.

Wypowiedział to namiętnie z towarzyszeniem błagalnych gestów, zwracając się do rabiego Amrama. Ale tamten odsunął się od niego, zachowując odległość siedmiu kroków.

Kiedy Józef skończył, rabbi Amram przedstawił chłodno i obojętnie warunki Żydów. Wolałby mówić po aramejsku, ale nie chciał dysputować z Józefem, więc mówił po łacinie, Domagał się swobodnego wymarszu garnizonów, oddania honorów przywódcom: Szymonowi bar Giorze i Janowi z Giskali, żądał gwarancji, że wojska rzymskie nigdy już nie zostaną wysłane do Jerozolimy. Były to żądania niebywale zuchwałe, wyraźnie sabotujące rokowania.

Amram mówił po łacinie powoli, z wysiłkiem, osłaniając swoje zuchwałe bzdury maską rzeczowych warunków. Józef, który znowu usiadł na ziemi, słuchał zgnębiony swą bezsilnością. Z muru spoglądały liczne twarze. Jedna z nich, zaciekle, fanatyczna, o bezmyślnych oczach, szczególnie dręczyła Józefa i paraliżowała go; była jak część ściany, można równie dobrze mówić do ściany. Wydawało mu się, że już widział gdzieś tę twarz. Tak wyglądały twarze, które w Galilei patrzyły na niego z otępiąłym podziwem. Może ten młodzieniec jest jednym z tych, którzy wówczas wołali entuzjastycznie: „*Marin, Marin!*”

Pułkownik Paulin próbował jeszcze powiedzieć parę przyjaznych, rozsądnych słów.

— Nie rozchodźmy się tak, moi panowie — prosił. — Wysuńcie inną propozycję, taką, którą można byłoby rozważyć.

Rabbi Amram naradzał się przez chwilę półgłosem ze swoimi dwoma towarzyszami. Potem, w dalszym ciągu dobierając z wysiłkiem łacińskie słowa, powiedział uprzejmie, ale bardzo głośno:

— Dobrze, mamy inną propozycję. Przekażcie nam ludzi, których uważamy za winnych, a przyjmujemy wasze warunki.

— Jacyż to mają być ludzie? — zapytał nieufnie pułkownik Paulin.

— Są to — odparł rabbi Amram — Agryppa, niegdyś król żydowski, Berenika, niegdyś księżniczka judejska, i Fla-wiusz Józef, niegdyś kapłan jerozolimski.

— Szkoda — rzekł pułkownik Paulin.

Rzymianie wycofali się bez pożegnania.

W tejsze chwili od strony muru miejskiego doleciał przeraźliwy okrzyk: „Ugodź Józefa.” Wraz z okrzykiem świsnęła strzała. Józef widział jeszcze, jak Strzelca ściągnięto z muru. Potem padł. Strzałę wypuścił młodzieniec o tępej, fanatycznej twarzy. Trafiała Józefa w przedramię. Powalił go raczej serdeczny żal niż rana, którą mu zadano.

Księżę Tytus był bardzo rozgoryczony żalonym wynikiem akcji rozjemczej. To wina tej kobiety, że uczynił ten niemądry krok. To ona odebrała mu jasność myślenia, skrzywiła jego prostą linię. Musi skończyć z Bereniką.

Jaki postawiła mu warunek? Jeżeli w chwili gdy Rzymianie wkroczą do Jerozolimy, gaj

Thekoa będzie jeszcze nienaruszony, niech Tytus każe z drzewa moich pinii sporządzić ślubne łoże. Warunek został spełniony. Nie ulega wątpliwości, że Tytus zdobędzie Jerozolimę. Poleciał kapitanowi Walensowi, komendantowi Thekoi, by kazał ściąć w gaju trzy pinie. Dziś wieczorem łoże może być gotowe. Będzie dziś wczerał sam na sam z Bereniką. Nie chce dłużej czekać. Posłał ludzi po łóżko.

Ale łóżka nie przyniesiono. Nie było już gaju piniowego w Thekoa, polecenie księcia nie dało się wykonać. Tytus szalał. Czy nie wydał wyraźnego rozkazu oszczędzania gaju? Owszem, kapitan Walens otrzymał ten rozkaz, ale później, kiedy zabrakło drzewa na okopy i wały, marszałek Tybe-riusz Aleksander wydał rozkaz wprost przeciwny. Kapitan Walens ociągał się, targował. Może się powołać na pisemne zlecenie marszałka, który kazał wyciąć gaj wbrew pierwotnemu rozkazowi.

Kiedy księżę dowiedział się o tym, twarz jego zmieniła się w sposób zastraszający. Jasne, twarde oblicze żołnierza stało się twarzą oszalełego z wściekłości chłopaka. Wezwał do siebie Tyberiusza Aleksandra, zgrzytał zębami, ryczał. Im bardziej księżę szalał, tym marszałek stawał się chłodniejszy. Oświadczył uprzejmie, że zarządzenie podpisane przez wszystkie czynniki miarodajne a kontrasygnowane przez księcia nakazuje pod grozą surowych kar dostarczanie całego rozporządzalnego zapasu drzewa. Potrzeby wojenne mają pierwszeństwo przed potrzebami osobistymi jednostek. W wyprawach, którymi dotychczas dowodził, zawsze trzymał się tego i nie pozwalał na żadne wyjątki. Księżę nie znalazł odpowiedzi. Ten człowiek ma rację. Jest mu wstrętny. Czuje wstręt do siebie samego. Straszny ból głowy ściska mu skronie, rozszerza się na całą czaszkę. Wszystko dokoła mętnieje. Kocha Berenikę. Musi ją zdobyć. I zdobędzie.

Berenika chodziła po obozie jerozolimskim piękna i spokojna jak zawsze. Ale pod maską spokoju była pełna buntu. Liczyła dni, które spędziła w Cezarei bez Tytusa. Nie chce się do tego przyznać, ale było go jej brak. Odkąd objął dowództwo nad armią, nie jest już dobrodusznym chłopcem, jest mężczyzną, wodzem opętanym celem, do którego dąży. Berenika powtarza sobie, że jest tu razem z nim dla dobra Jerozolimy, ale wie, że to kłamstwo.

Kiedy Tytus wezwał ją do obozu, wyruszyła uszczęśliwiona. Kiedy jednak zobaczyła najbliższą okolicę Jerozolimy, jej Jerozolimy, radość pierzchła. Wspaniała okolica była zżarta do naga, jak by spustoszyła ją szarańcza, sady, gaje oliwne, winnice, domy, bogate sklepy na Górze Oliwnej jak gdyby zgolone brzytwą, wszystko straszliwie ogołocone, wdeptane w ziemię. Kiedy podczas parady stała na trybunie obok dowódcy rzymskiego, miała wrażenie, że z murów i dachów dziesiątki tysięcy oczu patrzy tylko na nią, oskarża ją.

Nie należała do natur sentymentalnych, nie był jej obcy zapach obozów wojskowych i żołnierzy. Ale pobyt w Jerozolimie okazał się cięższy niż sobie wyobrażała. Karność i dostatek obozu i nędza miasta, stłoczona w nim ciżba ludzka, żołnierska zapobiegliwość księcia, srogość Tyberiu-sza Aleksandra, naga, zhańbiona okolica Jerozolimy — wszystko to dręczyło ją. Tak samo jak księżę, chciała wreszcie doprowadzić rzecz do końca. Kilkakrotnie już miała ochotę otworzyć usta i powiedzieć:

— Co się dzieje z gajem w Thekoa? Czy jeszcze istnieje? — Nie wiedziała jednak, czy ma pragnąć potwierdzenia, czy zaprzeczenia.

Kiedy tego wieczoru przybyła do Tytusa, była zmęczona i rozdrażniona, on zaś ponury, zaciekły, płomienny. Bere-nika była mętna, niewyraźna, opuściły ją siła i wola, broniła się słabo. Wziął ją brutalnie, brutalnie i dzikie były jego oczy i ręce.

Berenika leżała rozbita. Usta miała wyschnięte, wzrok mętny, szatę podartą. Czuła się stara i smutna.

Księżę gapił się na nią z zaciętymi ustami, miał twarz niedobrego, bezradnego dziecka. A

więc zdobył wreszcie, czego chciał. Czy warto było? Nie, nie warto. Nie doznał rozkoszy; wszystko, tylko nie rozkosz. Wolałby, żeby się to nie stało. Wściekał się sam na siebie, nienawidził Bereniki.

— Jeżeli wierzysz naprawdę — powiedział złośliwie — że gaj w Thekoa ocalał, że to łóżko zostało zrobione z drzew tego gaju, to cię oszukano. Twój własny kuzyn dał rozkaz wycięcia gaju.

Berenika podniosła się powoli. Nie patrzyła na niego, nie znalazła słowa wyrzutu. Był mężczyzną, żołnierzem, w gruncie rzeczy dobrym chłopcem. Winien był ten obóz, winna była. ta wojna. Wszyscy zatracają się w tej wojnie, stają się zwierzętami i barbarzyńcami. Za murami i w obrębie murów dopuszczano się różnego rodzaju okrucieństw, znieważano ludzi. Tak jak bezczeszczono kraj, Jehowę i Świątynię. Wszystko razem jest krwawym igrzyskiem z dzikimi zwierzętami, jak na arenie, nie wiadomo, kto jest zwierzęciem, kto człowiekiem. A więc Tytus wziął ją wbrew jej woli, oszukał, później zaś, choć ją kocha, wyszydził. To wina obozu i wojny. Wszystko razem jest cuchnącą kloaką; została słusznie ukarana za to, że tu przybyła.

Wstała z żalną miną, z trudem, poprawiła i wygładziła szatę, strzepnęła jej fałdy, otrząsając z siebie tym ruchem brud tego obozu. Odeszła. Nie uczyniła Tytusowi nawet najłżejszego wyrzutu, ale się z nim nie pożegnała. Chód jej był, mimo ostatecznego wyczerpania i upokorzenia, chodem Bereniki.

Tytus gapił się na nią ospały, do cna wyczerpany. Zamierzał pozbyć się tej kobiety, która mu weszła w krew. Nie chciał, by mu kobieta zepsuła jego wyprawę i zadanie. Chciał to mieć poza sobą, potem zdobyć Jerozolimę, a wreszcie postawiwszy nogę na pokonanym mieście, zdecydować się, czy ma na nowo zaczynać z tą kobietą. Zamierzenie było piękne, niestety nie udało się go urzeczywistnić. Okazało się, że z tą kobietą przemocą nic się nie da osiągnąć. Tkwiła mu nadal we krwi. Nic nie pomogło, że ją wziął, mógł równie dobrze wziąć pierwszą lepszą. Jest mu bardziej obca niż kiedykolwiek. Myśli intensywnie, wysila pamięć i nic o niej nie wie. Nie zna jej zapachu, jej żądy, jej poddania się. Pozostała dla niego zamknięta na siedem pieczęci, zasłonięta siedmioma zasłonami. Ci Żydzi, piekielnie mądrzy, określają akt seksualny głębokim, szyderczym słowem. Nie mówią: spać ze sobą, wchłaniać się wzajemnie, wzajemnie się przenikać. Powiadają: mężczyzna poznał kobietę. Nie, nie poznał tej przeklętej Bereniki. I nie pozna jej dopóty, dopóki sama mu się nie odda.

Tymczasem Berenika biegła przez obóz. Nie mogła odnaleźć swej lektyki. Wreszcie dotarła do swego namiotu. Szybko, lekliwie dała parę zleceń. Potem opuściła obóz, uciekła do Cezarei. Po krótkim czasie opuściła Cezareę, uciekła do Transjordanii, do swego brata.

Tytus zwołał na osiemnastego czerwca radę wojenną.

Ataki Rzymian na trzeci mur zostały odparte. Z olbrzymim wysiłkiem otoczyli ten mur i fort Antonia czterema wałami, ustawili wieże oblężnicze, działa, tarany. Żydzi wykopali przeciw tej ciężkiej broni zaminowane podkopy, podpalili słupy tych podkopów smołą i asfaltem. Podkopy zawaliły się, a wraz z nimi i działa Rzymian. Cały wysiłek Rzymian poszedł na marne.

Nastrój na radzie wojennej był nerwowy i pełen goryczy. Młodszy domagali się ataku generalnego przy zastosowaniu wszystkich środków. Była to prosta, choć stroma droga do tryumfu, którego nadzieja wszystkim przyświecała. Starsi oficerowie oponowali. Zdobywać bez wież i taranów dobrze wyposażoną twierdzę, której broni dwadzieścia pięć tysięcy zaciekle walczących żołnierzy, to nie żarty. Nawet w razie powodzenia straty byłyby olbrzymie. Nie, choć niezawodnie potrwa to długo, nie pozostaje nic innego, tylko budować od nowa wały i okopy.

Zaległo ponure milczenie. Książę słuchał uważnie z chmurną miną, nie odzywając się ani słowem. Poprosił marszałka, by wypowiedział swoje zdanie.

— Gdyby — zaczął Tyberiusz Aleksander — czas do chwili szturm generalnego miał

się nam dłużyć, czy nie możemy postarać się, żeby się również dłużył przeciwnikowi?

Członkowie rady nie orientując się, co marszałek ma na myśli, wpatrywali się z napięciem w jego wąskie wargi.

— Mamy — ciągnął dalej marszałek cichym głosem — wiarogodne wiadomości i widzimy na własne oczy, jak wielkim naszym sprzymierzeńcem staje się coraz gwałtowniej wzmagający się głód, który trapi obłożonych. Proponuję oprzeć się jeszcze silniej na naszym sprzymierzeńcu. Proponuję zaostrzyć blokadę. Proponuję otoczyć w tym celu miasto murem, przez który nawet mysz nie mogłaby się przedostać.

To byłoby jedno. Druga sprawa wygląda tak: podajemy dotychczas codziennie z dumą cyfry uchodźców, którzy mimo ścisłych zarządzeń obłożonych przechodzą na naszą stronę. Traktowaliśmy tych zbiegów bardzo dobrze. Mam wrażenie, że przynosi to większy zaszczyt naszym sercom niż naszej mądrości. Nie widzę powodu, dla którego mamy tych panów z Jerozolimy uwalniać od troski wyżywienia tak poważnej części ludności. Czy jesteśmy w stanie zbadać i ustalić, że ci, którzy do nas przechodzą, to naprawdę osoby cywilne, a nie ludzie, którzy występowali przeciw nam z bronią w ręku? Proponuję księciu i szanownym członkom Rady, żeby w przyszłości traktować wszystkich bez wyjątku jako buntowników, jeńców wojennych i całe zbywające drzewo zużytkować na krzyżowanie tych pojmanych rebeliantów. Mam nadzieję, że ci, co siedzą jeszcze za murami, nabiorą rozumu i nadal tam pozostaną. Już obecnie znaczna część mieszkańców obłożonego miasta nie ma co do garnka włożyć. Mam nadzieję, że wkrótce wszyscy, nie wyłączając załogi, będą w tym samym położeniu. — Marszałek mówił cicho, bardzo spokojnie. — Im twardsi będziemy teraz, tym bardziej humanitarni będziemy mogli być w przyszłości. Proponuję księciu i członkom Rady wydanie kapitanowi Lukianowi, mistrzowi siepaczy, rozkazu, by przy krzyżowaniu rebeliantów nie postępowano zbyt łagodnie.

Marszałek mówił bez nacisku, tak jak gdyby prowadził rozmowę przy stole. Ale podczas jego przemówienia panowała głucha cisza. Książe był żołnierzem. Mimo to spoglądał z niemiłym zdziwieniem na Żyda, który proponował stosowanie tak surowych środków przeciw Żydom. Nikt z członków Rady nie wysunął żadnych zastrzeżeń przeciw słowom Tyberiusza Aleksandra. Postanowiono zbudować mur dla skutecznego przeprowadzenia blokady oraz odtąd wieszać na krzyżu wszystkich zbiegów.

Przywódcy Szymon bar Giora i Jan z Giskali przypatrywali się z fortu Fazael, jak rośnie nowy mur. Jan oceniał jego długość na siedem kilometrów i doświadczonego okiem wskazywał Szymonowi trzynaście punktów, w których niewątpliwie ustawione zostaną wieże.

— Trochę parszywy środek, czy nie sądzisz, bracie Szymonie? — rzekł z nieco złowrogim uśmiechem. — Byłbym się tego spodziewał po starym lisie, ale młody z całą swą gadaniną o cnotach żołnierskich powinien by właściwie stosować środki bardziej wytworne. Zeszliśmy teraz na suchy chleb, a nawet jeszcze gorzej.

Mur został skończony. Na drogach i wzgórzach Jerozolimy czerniały krzyże. Siepacze okazywali wiele inwencji w wymyślaniu nowych pozycji dla ukrzyżowanych. Przybijali ich nogami do góry albo przywiązywali do krzyża w poprzek, wykręcając im członki w wyrafinowany sposób. Z początku środki stosowane przez Rzymian doprowadziły do zmniejszenia ilości zbiegów. Ale później głód i terror rozpanoszyły się w mieście. Wielu uważało, że są zgubieni. Jak było mądrzej? Zostać w mieście, mając stale przed oczyma zbrodnie Makabeuszów przeciw Bogu i ludziom, umrzeć z głodu? Czy też zbiec do Rzymian i dać się ukrzyżować? Zagłada grozi i w obrębie muru, i poza nim. Kiedy kamień spadnie na dzban — biada dzbanowi. Zawsze, zawsze biada dzbanowi.

Zwiększała się liczba tych, którzy woleli umrzeć na krzyżu niż ginąć z głodu w Jerozolimie. Rzadko mijał dzień bez kilkuset zbiegów. Wkrótce zabrakło miejsca na krzyże i

krzyży dla ciał ludzkich.

Wydmuchiwacz szkła Nachum ben Nachum przeważnie wylegiwał się na dachu. Leżała tam również żona Aleksasa z dwojgiem dzieci, gdyż pod gołym niebem mniej odczuwało się głód. Głód mniej dokuczał, kiedy się ciaśniej zaciągało pasek, ale środek ten działał krótko.

Nachum ben Nachum wychudł bardzo, nie pielęgnował już gęstej brody, która utraciła kształt czworokątny. Pełno w niej teraz siwych włosów. Cisza panująca w domu była dla niego często udręką. Umęczona rodzina nie miała wielkiej chęci do rozmowy. Nachum szedł wtedy przez wąski most prowadzący z górnej części miasta do Świątyni i odwiedzał swego krewnego, rabiego Nittai. Ósmy stopień, stopień Abija został wylosowany, rabbi Nittai sypiał i mieszkał teraz w Świątyni. Jego obłąkane oczy były suche, śpiewnie wypowiedane słowa modlitwy spływały z trudem z osłabionych warg. Był to istny cud, że człowiek ten trzymał się jeszcze na nogach. Był nawet mniej małomówny niż zazwyczaj, nie wstydził się swego akcentu babilońskiego. Był szczęśliwy. Cały świat to matnia i pułapka, tylko w Świątyni jest się bezpiecznym. Serce rosło Nachumowi, kiedy patrzył, jak mimo biedy i nędzy dokoła, nabożeństwa wraz z tysiącami wspaniałych ceremonii, z ofiarami porannymi i wieczornymi odbywają się w dalszym ciągu. Całe miasto ginie, ale dom i stół Jehowy są nadal zastawione równie suto jak od wieków.

Ze świątyni Nachum wychodził często na giełdę zwaną Kippah. Mimo głodu schodzili się tam ze starego nawyku liczni mieszczanie. Oczywiście nie targowano się teraz o karawany wiozące korzenie albo o okręty wiozące drzewo, lecz o skąpe kęsy jądła. O funt czy dwa stęchłej mąki,

o garść suszonej szarańczy, o faskę sosu rybnego. Na początku czerwca trzeba było ważyć chleb kłaść na drugiej szali szkło, później sprzedawano chleb na wagę miedzi, wreszcie zaczęto sprzedawać go na wagę srebra. 23 czerwca płacono za pół korca pszenicy czterdzieści menów, pod koniec czerwca już całego talenta.

Handel ten musiał być oczywiście utrzymywany w tajemnicy, gdyż w przeciwnym wypadku władze wojskowe od dawna byłyby zarekwirowały dla siebie całą żywność. Żołnierze skrupulatnie przetrząsali wszystkie domy. Dowcipkując rubasznie, sztyletami i szablami wykrobywali wszystko, co było jadalne.

Nachum błogosławił swego syna Aleksasa. Jakiż byłby jego los, gdyby nie mądrość syna? Żywił cały dom, ojciec dostawał najwięcej. Nachum nie wiedział, gdzie Aleksas ukrywa swoje zapasy, nie chciał o tym wiedzieć. Pewnego dnia Aleksas wrócił do domu z ciężką, krwawiącą raną. Zapewne przyłapał go patrol wojskowy, kiedy wyciągał trochę zapasów ze swej kryjówki.

Zzerany strachem i gniewem siedział Nachum obok swego pierworodnego, który leżał nieprzytomny, z poszarzałą twarzą. Ojoj, ojoj, dlaczego przedtem nie słuchał syna swego Aleksasa? Syn jego Aleksas to najmądrzejszy z ludzi, tymczasem on, rodzony ojciec, nie miał odwagi przyznawać się do niego, ponieważ kręcili się dokoła szpicle tych, którzy są u władzy. Teraz jednak nie będzie już zamykał ust na kłódkę. Kiedy syn jego Aleksas stanie na nogi, pójdzie z nim do żółtoliciego. Mimo bowiem terroru wyłaniali się w podziemnych przejściach i pieczarach Jerozolimy coraz to nowi prorocy, mówili o pokoju i poddaniu się, po czym znikali w podziemiach, zanim zdążyli ich pochwyć Makabeusze. Nachum był przeświadczony, że syn jego Aleksas zna dobrze przywódcę tych proroków, owego tajemniczego osobnika, którego wszyscy nazywali żółtolicym.

Był tak pełen gniewu na ludzi spod znaku Makkabi, że ledwie odczuwał głód; gwałtowne wzburzenie głużyło czczość. Pienił się przede wszystkim na swego najmłodszego, Efraima. Chłopiec oddawał wprawdzie ojcu i rodzeństwu znaczną część obfitego przydziału, który otrzymywał jako żołnierz, ale w głębi duszy Nachum obawiał się, czy to nie Efraim poszczuł

żołnierzy na Aleksasa. To podejrzenie w połączeniu z poczuciem bezsilności i gniewu doprowadzało Nachuma niemal do obłądu.

Aleksas wracał do zdrowia. Ale głód stawał się coraz dokuczliwszy, skąpe jedzenie było straszliwie jednostajne, skwarne lato dawało się we znaki. Najmłodszy, dwuletni synek Aleksasa zmarł, w kilka dni po nim umarł również starszy, liczący lat cztery. Dwuletniego dało się jeszcze pogrzebać. Kiedy jednak umarł czteroletni, trupów było za dużo, a sił za mało; trzeba się było zadowalać wtrącaniem zwłok do parowów otaczających miasto. Nachum wraz z synami i synową zaniósł trupka pod bramę południowo-wschodnią, żeby kapitan Maneus bar Lazarus, któremu podlegała sprawa grzebania zmarłych, kazał go tam wrzucić do wąwozu. Nachum chciał wygłosić mowę pogrzebową, ale był za słaby. Słowa plątały mu się i zamiast mówić

o małym Jannai bar Aleksasie, powiedział, że kapitan Maneus uprzętnął już czterdzieści siedem tysięcy dwieście trzy trupy i otrzymał czterdzieści siedem tysięcy dwieście trzy sesterce, za którą to sumę może kupić na giełdzie prawie cały korzec pszenicy.

Aleksas skulony na ziemi odbywał siedmiodniową żałobę. Kiwał głową, gładził brudną brodę. Drogo zapłacił za miłość do ojca i braci.

Kiedy po siedmiu dniach przywłókł się znowu do miasta, zdziwił się wielce. Myślał, że nędza nie może być większa, tymczasem była większa. Dawniej Jerozolima słynęła ze swej czystości, teraz w całym mieście panował straszliwy smród. W niektórych dzielnicach gromadzono zmarłych w budynkach publicznych, a kiedy były pełne, zamykano je. Jeszcze bardziej zatrważająca od smrodu była cisza tak zawsze ożywionego miasta; nawet najbardziej ruchliwi i ożywieni tracili chęć do rozmowy. Milczące i śmierdzące, otoczone rojami robactwa, leżało miasto w promieniach letniego słońca.

Na dachach, na ulicach snuli się do cna wyczerpani mieszkańcy z suchymi oczyma i szeroko otwartymi ustami.

Wielu miało chorobliwe opuchlizny, wielu robiło wrażenie kościotrupów. Nawet kopniaki żołnierzy nie były zdolne ruszyć ich z miejsca. Leżeli głodni, gapili się na Świątynię, która lśniła na wzgórzu w sonej poświęcanej bieli i złotem. Czekali na śmierć. Aleksas zobaczył jakąś kobietę grzebiącą w śmietniku razem z psami w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Znał tę kobietę. Była to stara Channa, wdowa po arcykapłanie Ananie. Nie tak dawno temu wyściełano ulice dywanami, kiedy wychodziła z domu, gdyż noga jej była zbyt dostojna, żeby dotykać pyłu ziemi.

A potem przyszedł dzień, w którym i Aleksas, najmądrzejszy z ludzi, siedział także skamieniały i bezradny. Zastał swoją kryjówkę w podziemiach pustą, natrafiono na resztki jego zapasów.

Kiedy Nachum z trudem wydusił z syna tę wieść nieszczęsną, siedział długo nieruchomo i rozmyślał. Grzebanie umarłych było zasługą. Ostatnią zasługą wobec Jehowy było pogrzebać się samemu, jeżeli nikt się o to nie zatroszczy. Nachum ben Nachum postanowił zdobyć tę ostatnią zasługę. Gdy ktoś wyglądał już tak, że nie pozostawało mu więcej do życia niż dzień czy dwa, wartownicy wypuszczali go za bramę. Jego puszcza na pewno. Położył rękę na głowie syna, który tępo przyglądał się gasnącej żonie, pobłogosławił go. Potem wziął łopatę, księgę rachunkową, klucz od starej fabryki szkła; zabrał również kilka gałązek mirtu i kadzidło i z tym wszystkim powłókł się do południowej bramy.

Przed bramą ziała głęboka jama, gdzie składano kości. Istniał bowiem zwyczaj, że po roku, kiedy z trupa pozostał tylko szkielet, umieszczano kości w maleńkich kamiennych trumnach i ustawiano te trumny jedną na drugiej. Oczywiście obłożenie nie oszczędziło jamy ze zwłokami. Nie wyglądała teraz zbyt dostojnie, była właściwie kupą zdruzgotanych płyt kamiennych j kości.

Nachum usiadł na żółtawej, oświetlonej słońcem ziemi, tej ziemi umarłych. Obok niego

leżeli pokotem wygłodzeni, nie odrywając wzroku od Świątyni. Od czasu do czasu wypowiadali słowa: „Słuchaj, Izraelu, jedyny i wieczny jest nasz Bóg Jehowa.” Chwilami wspominali żołnierzy. Tych w Świątyni, którzy mieli chleb i rybne konserwy, tych w obozie rzymskim, którzy mieli tłuszcz i mięso. Gniew przepędzał wtedy głód, niestety na krótko.

Nachum był bardzo wyczerpany, ale nie było to niemiłe wyczerpanie. Rozkoszował się gorącym słońcem. Z początku, kiedy był jeszcze czeladnikiem, odczuwał straszliwy ból, kiedy się oparzył gorącą masą szkła. Teraz skóra jego przywykła do tego. Syn jego błdził, zastępując całkowicie pracę ręczną rurą, która wydyma szkło. W ogóle syn jego Aleksas zanadto zadziera nosa. Przez tę jego nadmierną pychę zmarły mu dzieci, odumarała go żona, skradziono mu zapasy. Jakże to jest napisane w księdze Hioba? „Bogactwa, które pożarł, zwróci. Przeniesie się urodzaj domu jego.” Kto właściwie jest Hiobem, on czy jego syn Aleksas? To sprawa bardzo trudna. Ma wprawdzie ze sobą łopatę, ale czy śwędzi go wrzód? Nie, nie śwędzi, wobec tego Hiobem jest syn jego Aleksas.

Ten, kto oddaje zmarłemu cześć, zdobywa sobie zasługę, zwłaszcza jeżeli człowiek sam jest tym zmarłym. Ale Nachum musi wpierw zajrzeć do księgi rachunkowej, sprawdzić, czy ostatnie pozycje są należycie odnotowane. Chce mieć w grobie porządnie prowadzoną księgę. Słyszał historię o niejkiej Marii Beth Ezob. Żołnierze Makabeusze, zwabieni dolatującym z kuchni zapachem pieczeni, wtargnęli do domu owej Marii, gdzie istotnie znaleźli pieczone mięso. Była to pieczeń z dziecka owej Marii. Zaproponowała żołnierzom taki układ: ponieważ urodziła dziecko, niechaj połowa mięsa należy do niej, druga zaś do żołnierzy. Była to porządna kobieta. Właściwie należało zrobić taką umowę na piśmie i zdeponować w ratuszu. Ale to teraz trudna sprawa. Urzędników nigdy nie ma. Mówią, że są głodni, ale to żadna wymówka. Głód nie powinien być przyczyną absencji. To prawda, że niektórzy zmarli z głodu — szczęśliwszy jest dzień śmierci niż dzień narodzin — ci są do pewnego stopnia usprawiedliwieni.

Siedzi oto syn jego Aleksas, ten mędrzec nad mędrkami, i pomimo całej swej mądrości nie ma co jeść. Nachum odczuwa nagle ogromną litość dla syna. To oczywiste, że on jest Hiobem. Aleksas ma brodę o wiele bardziej siwą niż on, choć jest przecież o tyle młodszy. To prawda, że broda Nachuma nie jest już czworokątna; gdyby się na niego zapatrzyła kobieta w ciąży, nie urodziłaby ładnego dziecka.

Mimo wszystko jest rzeczą irytującą, że Nachumowi ben Nachumowi, wydymaczowi szkła, wielkiemu kupcowi, nie oddawano należnych honorów, że sam jeden stanowi cały orszak pogrzebowy, to twarda próba, którą mu zesłał Jehowa. Nachum rozumie Hioba i zdaje sobie teraz jasno sprawę: to on jest Hiobem, nie jego syn Aleksas. „Do dołu rzekę: Ojcem moim jesteś; a do robaków: wy jesteście matką moją i siostrą.” No, łopato moja, grzeb!

Lekko postępując podniósł się z wielkim wysiłkiem. Te paskudne muchy, które siedzą na jego twarzy, zasłaniają mu wszystko. Wzrok jego wznosi się bardzo powoli nad szaro-żółtą ziemią, kośćmi i szczątkami kamiennych trumien. Nagle, tuż przy sobie, widzi coś lśniącego, opalizującego; dziwne, że dawno tego nie spostrzegł. Jest to kawałek szkła *murrino*. Czy prawdziwy? Jeżeli nieprawdziwy, to trzeba było zastosować wyjątkowo kunsztowną procedurę, żeby szkło takie otrzymać. Gdzie stosowana bywa ta kunsztowna procedura? Gdzie fabrykują podobne szkło? W Tyrusie? W Karmami? Musi się dowiedzieć, gdzie produkują tak kunsztowne szkło i jak. Syn jego Aleksas będzie to wiedział. Od czegoż jest najmądrzejszym pośród ludzi. Zapyta syna swego Aleksasa.

Nachum ben Nachum podpełza, bierze szkło, chowa je do torby wiszącej u pasa. Szkło jest zapewne odłamkiem buteleczki perfum, którą włożono jakiemuś zmarłemu do kamiennej trumny. Ma je teraz. Nie jest prawdziwe, ale falsyfikat tak ładząco przypomina oryginał, iż tylko fachowiec może stwierdzić, że ma do czynienia z falsyfikatem. Nachum ani myśli już kłaść się

do grobu, pragnie jedynie

i wyłącznie zapytać syna Aleksasa o ten przedziwny kawałek szkła. Wstał, wysunął naprzód prawą nogę, później lewą. Wlecze się, potyka o kości i kamienie, posuwa się jednak naprzód. Wlecze się w stronę bramy. Dzieli go od niej jakieś osiem minut drogi, jemu zajmuje to prawie godzinę. Wreszcie stanął przed bramą. Wartownicy żydowscy są przypadkowo w dobrym humorze, otwierają furtkę wypadową i zapytują:

— Znalazłeś co do żarcia, ty nieboszczyku? Jeżeli tak, musisz się z nami podzielić.

Nachum wskazuje z dumą kawałeczek szkła. Żołnierze śmieją się, pozwalają mu przejść. Nachum wraca do domu swego syna Aleksasa.

Rzymianie wzniesli przeciw miastu cztery nowe wały. Żołnierze, którzy nie byli zatrudnieni przy ich wznoszeniu, pełnili przepisową służbę obozową, ćwiczyli, objali się beczynnie, spoglądali na ciche, białe, śmierdzące miasto, czekali.

Chcąc zabić dręczącą nudę oficerowie urządzali polowania na liczne zwierzęta, które, zwabione zapachem padliny, pojawiały się pod miastem. Pokazały się zwierzęta, których od wielu pokoleń nie widywano w tych stronach. Z Libanu przychodziły wilki, z obszaru Jordanu nadciągnęły lwy, z Gileadu i Bazanu pantery. Lisy obrastały tłuszczem bez wielkiego nakładu przebiegłości i podstęp. Dobrze powodziło się również gromadom wyjących hien i szakali. Na krzyżach, których pełno było przy drogach, siedziały całe stada kruków, na wzgórzach czaiły się sępy.

Łucznicy zabawiali się od czasu do czasu strzelaniem do wygłodzonych Żydów, którzy siedzieli w kucki na cmentarzyskach. Ci i owi spośród rzymskich żołnierzy, którzy pojedynczo lub po kilku zjawiali się przed murami poza linią ostrzału, pokazywali oblężonym obfitość swego jada, żarli, połykali i wołali:

— Hep, hep, *Hierosolyma est perdita*.

Od rozpoczęcia oblężenia minęło zaledwie siedem tygodni. Żydzi obchodzili żałosne Zielone Świątki. Nie nastąpiła żadna zmiana. Minął lipiec i dalej nic się nie zmieniło. Urządzano daremne wypady na nowe wały rzymskie. Mimo to wyprawa ta bardziej stargała nerwy legionistów rzymskich niż inne wyprawy niebezpieczniejsze i trudniejsze. W obliczu śmierdzącego i milczącego miasta oblegających zaczynała ogarniać bezsilna wściekłość. Gdyby Żydom udało się zniszczyć te cztery wały, wzniesienie nowych obwarowań byłoby już niemożliwe, gdyż zapasy drzewa się wyczerpywały. Nie pozostałoby nic innego, tylko czekać, aż oblężeni pozdychają z głodu. Żołnierze patrzyli gniewnie na Świątynię lśniąca bielą i złotem, nietkniętą na swym wzgórzu. Już nie nazywali jej Świątynią, lecz pełni lęku, wściekłości i obrzydzenia mówili „to coś”. Czy wiecznie trzeba będzie obozować przed tą białą, budzącą grozę twierdzą? W obozie rzymskim panowało ponure, rozpaczliwe napięcie. Żadne miasto nie wytrzymałoby tak długo bratobójczych walk, głodu i wojny. Czy nigdy nie doprowadzi się do opamiętania tych szaleńców, tych przeklętych głodomorów? Z powrotu do Rzymu na październikowe Święto Ofiarowania Konia będą nici. Wszyscy, poczynając od generała legionów, kończąc na ostatnim ciurze obozowym, byli przepełnieni gniewem na tego boga Jehowę, który przeszkadza temu, by rzymska sztuka wojenna zatryumfowała nad fanatyzmem żydowskich barbarzyńców.

Pewnego dnia, przy końcu lipca, Tytus wezwał Józefa, by mu towarzyszył w wieczornym roncie. Obaj mężowie, wódz naczelny bez odznak, wskazujących jego wysoką rangę, Józef bez broni, poruszali się wśród ogromnej ciszy. Równomiernie rozlegały się okrzyki wartowników wywołujących hasło: „Rzym przoduje.” Okolice Jerozolimy leżały w promieniu dwudziestu kilometrów opustoszałe i nagie, spełniły się słowa Pisma: „Jehowa zesłał swój gniew na to miejsce, na ludzi i zwierzęta, na drzewa pól i owoce kraju.”

Dotarli nad głęboki wąwóz, do którego miasto zwykle było rzucać swoje trupy. Unosił się nad nim ostry, gryzący smród, aż dech zapierało; ciała leżały spiętrzone igniły. Tytus przystanął. Józef poszedł za jego przykładem. Tytus przyglądał mu się z boku, patrzył, jak Józef cierpliwie znosi wstrętny odór. Książę otrzymał dziś znowu poufne informacje, że Józef uprawia szpiegostwo, pozostaje w tajemnym kontakcie z obłączonymi. Tytus nie dawał temu wiary. Wiedział, jak ciężka jest sytuacja Józefa, wiedział również, że zarówno Żydzi, jak i żołnierze rzymscy uważają, że jest zdrajcą. Lubił tego człowieka, uważał go za uczciwego przyjaciela. Były jednak chwile, gdy był mu obcy i daleki, tak jak jego żołnierzom. Tu nad urwiskiem śmierci chciał wytropić w nim jakiś przejaw wstrętu

i smutku. Ale Józef miał twarz nieprzeniknioną. Książę, zmrożony tym, pytał sam siebie: „Jak ten Żyd może to wytrzymać?”

Józefa gnało coś do miejsc, w których okrucieństwa obłączenia występowały w najbardziej potwornej formie. Przysłano go tutaj, żeby był okiem, które widzi wszystkie te potworności. Poruszanie się było łatwe, stanie i przyglądanie się znacznie trudniejsze. Często chwycił go ostry, gryzący ból, że stoi poza murami, chwyciła go niedorzeczna tęsknota za tymi, co są tam w mieście; pragnął się do nich przedostać, wsiąknąć w nich. Są szczęśliwi. Wolno im walczyć, cierpieć wraz z milionem współbraci.

Niewiadomą drogą otrzymał z miasta list bez podpisu: „Przeszkadzasz. Zniknij.” Wie, że list ten napisał Justus. Znowu ma rację, a Józef jest w błędzie. Jego próby pośrednictwa są beznadziejne, osoba jego stanowi przeszkodę nie do pokonania we wszelkich pertraktacjach.

Ta zima pod murami Jerozolimy jest dla Józefa bardzo gorzka. Zablizniona rana na prawym ramieniu nie należy do ciężkich, ale boli i uniemożliwia mu pisanie. Czasami Tytus zapytuje żartobliwie, czy nie chciałby mu dyktować, dodając, że jest najlepszym stenografistą w obozie. Może to jednak dobrze, że Józef nie jest teraz w stanie pisać. Nie chce sztuki, retoryki, uczucia. Winien być cały tylko i wyłącznie okiem.

Stoi oto z Tytusem wśród nagiej okolicy, która była kiedyś jednym z najpiękniejszych zakątków świata i jego ojczyzną. Teraz jest ogołocona i opustoszała, jak przed jej stworzeniem. Ostatniego, już zachwianego, muru miasta bronią jego rodacy, wyniszczeni, zdziczali, przekonani o czekającej ich zagładzie; nienawidzą go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Wyznaczyli za jego głowę nagrodę najwyższą, na jaką ich stać: korzec żyta. Stoi w milczeniu i patrzy. Za nim, przed nim, obok niego widnieją krzyże, na których wiszą ludzie jednego z nim szczepu, u stóp jego zieje czeluść, do której wrzucani są ludzie jego szczepu; w powietrzu, w całej opustoszałej okolicy, na każdym kroku jakiś zwierz czyha na żer. Tytus

otwiera usta. Mówi cicho, ale w pustce słowa jego brzmią donośnie:

— Czy uważasz to za okrucieństwo, mój Józefie, że zmuszam cię, byś tu pozostał?

Józef odpowiada jeszcze ciszej niż książę, ważąc każde słowo:

— Sam tego chciałem.

Tytus kładzie mu rękę na ramieniu.

— Dobrze się trzymasz, mój Józefie. Czy mogę spełnić jakieś twoje życzenie?

Nie patrząc na niego Józef odpowiada z tym samym spokojem:

— Niechaj książę pozostawi Świątynię nietkniętą.

— Pragnę tego tak samo, jak ty — mówi Tytus. — Ale chciałbym, żebyś poprosił o coś dla siebie.

Józef zwraca wreszcie swe oblicze ku księciu. Widzi, że Tytus patrzy na niego z zaciekawieniem, nie pozbawionym przychylności. Powoli, ostrożnie mówi:

— Po upadku miasta niech książę da mi jako łup... — Po tych słowach milknie.

— Co ci mam dać, mój Żydzie? — zapytuje Tytus.

— Niechaj mi książkę da — prosi Józef — siedem zwojów Pisma i siedmiu ludzi.

Są zupełnie sami. Tytus odpowiada z uśmiechem:

— Dostaniesz siedemdziesiąt zwojów i siedemdziesięciu ludzi.

Kapłani pełniący służbę zbierali się codziennie w ekse-drze Świątyni, by ciągnąć losy, który z nich weźmie udział w ceremoniach ofiarnych. Rankiem piątego sierpnia, wedle rachuby żydowskiej dnia siedemnastego miesiąca *tammuz*, zjawili się wśród zgromadzonych kapłanów dowódca armii Szymon bar Giora i Jan z Giskali. Obaj byli uzbrojeni;

towarzyszył im sekretarz Amram w licznym otoczeniu zbrojnych. Szef służby Świątyni, kierujący losowaniem, zapytał usiłując zachować zimną krew:

— Czego chcecie?

— Losowanie jest dziś zbędne, przezacny rabbi — powiedział Jan z Giskali. — Będzie również zbędne na przyszłość. Możecie iść do domu. Wszyscy. Kapłani, lewici, laicy. Służba Świątyni skończona.

Kapłani stali przerażeni. Twarze mieli zwiędłe z głodu, białe jak ich szaty, byli bardzo osłabieni. Zbyt słabi, żeby krzyżeć, zareagowali na słowa Jana charkotem i dziwnie piskliwym pojękiwaniem.

— Ile jagniąt ofiarnych zostało jeszcze w hali? — zapytał brutalnie Szymon bar Giora.

— Sześć — odparł szef służby Świątyni.

— Mylisz się, rabbi — sprostował łagodnie sekretarz Amram i uprzejmy, złośliwy uśmiech obnażył jego zęby. — Jest ich dziewięć.

— Proszę zwrócić dziewięć baranków — powiedział Jan z Giskali niemal dobroduszenie. — W tym mieście Jehowa jest od dawna jedyną istotą jedzącą mięso. Baranki nie powinny być spalone. Jehowa miał na swoim całopalnym ołtarzu dosyć słodkich zapachów. Ci, którzy walczą o świętość, winni również żyć z niej. Zwróćcie te dziewięć baranków, czcigodni rabbi.

Szef służby Świątyni przetykał z wysiłkiem ślinę, szukał odpowiedzi. Zanim ją znalazł, wystąpił z szeregu rabbi Nittai. Gromiąc Jana z Giskali suchym, dzikim spojrzeniem, wyrzucił z siebie twardym babilońskim akcentem:

— Wszędzie pełno sieci i zasadzek, tylko w Świątyni jest bezpiecznie. Chcecie teraz i w niej zastawić swe sidła? Źle na tym wyjdziecie.

— To się okaże, przezacny rabbi — odparł Jan z Giskali ze spokojem. — Może zauważyłeś, że fort Antonia padł. Wojna podpełzła aż do Świątyni. Świątynia nie jest już mieszkaniem Jehowy, jest jego twierdzą.

Rabbi Nittai grzmiał w dalszym ciągu:

— Chcesz obrabować ołtarz Jehowy? Kto kradnie Jehowie jego chleb i jego mięso, ten wykrada kręgosłup całemu Izraelowi.

— Milcz — ofuknął go Jan ponuro. — Służba Świątyni skończyła się.

Sekretarz Amram podszedł do rabiego Nittai, położył mu rękę na ramieniu i ukazując w uśmiechu poźółkłe zęby powiedział:

— Daj spokój, czcigodny rabbi. Jakże to napisano u Jeremiasza? „To mówi Pan Zastępów, Bóg Izraelski: całopalenia wasze przydajcie do ofiar waszych, a jedzcie mięso. Bom nie mówił z ojcy waszymi, i nie rozkazałem im onego dnia, któregom je wywiódł z ziemi egipskiej o słowie całopalenia i ofiar.”

Jan z Giskali spoglądał szarymi oczyma na bezradnych kapłanów. Zatrzymawszy wzrok na twardej czaszce rabiego Nittai, powiedział pojednawczo:

— Jeżeli, moi panowie, chcecie dalej pełnić służbę, śpiewać, grać na waszych instrumentach, wypowiadać błogosławieństwa — nie stawiamy przeszkód. Ale chleb, wino, oliwa i mięso zostają zarekwirowane.

Na wiadomość o tym, co się dzieje, zjawił się arcykapłan Pinchas. Kiedy losowanie zarządzane przez Jana z Giskali powołało go na najwyższy urząd w mieście i Świątyni, tępy ten, uparty człowiek przyjął dopust boży z ciężkim sercem. Był świadomy swego prostactwa, nie umiał nic, nie posiadał ani nauk tajemnych, ani nawet najprostszych zasad Pisma świętego, nauczył się tylko pracować kielnią, znosić kamienie, układać je. Teraz Jehowa przyodział go w święte szaty, których osiem części oczyszcza z ośmiu grzechów. Choć ubogi rozumem i uczonością, ma jednak w sobie świętość. Ale ciężko dźwigać tę świętość. A więc ci żołnierze oświadczają, że służba w Świątyni skończyła się. Nie można się na to zgodzić. Ale co robić? Wszyscy patrzą, czekają, żeby coś powiedział. Gdyby był włożył na siebie szaty kapłańskie, Jehowa poddałby mu z pewnością właściwe słowa. Teraz wydaje się sobie nagi, stoi bezradny. Nareszcie otwiera usta.

— Przecież — mówi do Jana z Giskali — nie zdołacie dziewięcioma barankami nakarmić armii. A my moglibyśmy tu przez cztery dni pełnić dalej służbę.

Kapłani uważają, że słowa Pinchasa są wyrazem pobożnej i prostej mądrości ludu. Szef służby przychodzi mu z pomocą.

— Jeżeli mężowie ci żyją jeszcze — tu wskazuje na otaczających go kapłanów — to tylko dzięki temu, że zgodnie z Pismem chcą służyć Jehowie.

Szymon bar Giora odpowiedział na to po prostu:

— Bramy Świątyni przyglądały się dostatecznie długo temu, jak napełnialiście wasze brzuchy ofiarami składanymi Jehowie.

Po tych słowach zbrojni jego wtargnęli do hali i zabrali baranki. Wtargnęli również do drugiej hali, z której zabrali wino i oliwę. Wtargnęli wreszcie do Świętego Przybytku. Od istnienia Świątyni z wyjątkiem kapłanów noga ludzka tu nie stanęła. Teraz po chłodnej, surowej, mrocznej hali ciężko maszerowali żołnierze uśmiechając się z zakłopotaniem. Stał tam siedmioramienny świecznik, kadzielnica, stół z dwunastoma chlebami ze złota i chlebami pokładnymi z mąki. Nikt nie troszczył się o złoto. Ale na widok wonnych pszennych chlebów Szymon rozkazał:

— Bierzcie!

Wypowiedział ten rozkaz opryskliwie, żeby ukryć swą niepewność. Żołnierze podeszli nieśmiało, na palcach do stołu z chlebami pokładnymi. Potem szybkim ruchem pochwycili chleby. Nieśli je niezgrabnie, jak gdyby bochenki były małymi dziećmi, z którymi trzeba obchodzić się ostrożnie.

Arcykapłan Pinchas dreptał z głupawą miną za żołnierzami, nieszczęśliwy, trawiony niepewnością, co ma począć. Trwożliwie patrzył na zasłonę kryjącą Święte Świętych, miejsce przebywania Jehowy, którego próg wolno mu było przestępować jedynie w dniu Pojednania. Ale Szymon i Jan nie dotknęli zasłony, odwrócili się. Olbrzymi ciężar spadł z serca arcykapłana Pinchasa.

Po opuszczeniu miejsc, których przekroczenie było zabronione, żołnierze odetchnęli. Byli żywi i cali, żaden ogień nie spadł na nich z nieba. Nieśli chleby. Były bielusień-kie, ale to jednak tylko chleby, można ich dotykać bez narażenia się na niebezpieczeństwo.

Tego wieczora Szymon i Jan zaprosili oficerów swego sztabu oraz sekretarza Amrama na wieczerzę. Wszyscy od tygodni nie jedli mięsa, wchłaniali więc w siebie chciwie zapach pieczeni. Było także dużo szlachetnego wina Eszkol, na stole leżał chleb nie tylko do jedzenia, ale również, jak śmiejąc się mówili uczestnicy wieczerzy, do wycierania nim sosu z talerzy. Wykąpali się, namaścili oliwą ze Świątyni, przyszygli i wygładzili czupryny i brody. Spoglądali na siebie ze zdumieniem: w jakich wytwornych, dostojnych panów przemieniły się dzikusy.

— Kładźcie się wygodnie i jedzcie — zachęcał Jan z Giskali. — Zdarza się nam to chyba

po raz ostatni, a zasłużyliśmy sobie na to.

Żołnierze umyli im ręce, Szymon bar Giora pobłogosławił i przełamał chleb. Była to obfita uczta, którą podzielili się również z żołnierzami.

Obaj przywódcy byli w dobrym, łagodnym nastroju. Myśleli o swej ojczyźnej Galilei.

— Myślę o drzewach twego miasta Gerasa, bracie mój, Szymonie — rzekł Jan. — To piękne miasto.

— Myślę o figach i oliwie twego miasta Giskala, bracie mój, Janie — rzekł Szymon. — Przybyłeś do Jerozolimy z Północy, ja przywędrowałem z Południa. Powinniśmy byli po przybyciu porozumieć się.

— Tak — uśmiechnął się Jan — byliśmy zacierzewieni jak głupie koguty. Parobek, który trzyma je za nogi, wie, gdzie je na dziedziniec, by im ukręcić łeb, a one, wisząc i kołyszając się, dziobią się po łbach.

— Daj mi ten kawałek piersi, który masz na talerzu, bracie Janie — rzekł Szymon — dam ci za to udko. Jest tłustsze i bardziej soczyste. Kocham cię bardzo i podziwiam, bracie Janie.

— Dzięki ci, bracie mój, Szymonie — odparł Jan. — Nie wiedziałem, jaki z ciebie dorodny i piękny mężczyzna. Widzę dopiero teraz, w przeddzień śmierci.

Zamienili się mięsem i winem. Jan zaintonował pieśń na cześć Szymona, który puścił z dymem machiny i artylerię Rzymian, Szymon ze swej strony zaśpiewał piosenkę wychwalającą Jana za to, że za pierwszym murem fortu Antonia wzniósł drugi.

— Gdybyśmy mieli tyle szczęścia, co odwagi — uśmiechnął się Jan — Rzymian dawno by tu nie było.

Śpiewali pieśni pijackie i sprośne oraz pieśni o piękności Galilei. Opiewali miasta Sepphoris i Tyberiadę oraz miasto Magdalę, w którym było osiemdziesiąt warsztatów tkackich, zniszczonych przez Rzymian. „Pod Magdala od krwi czerwone jezioro — śpiewali — pod Magdala trupem zasłane wybrzeże.” Wypisali swe imiona na opaskach z inicjałami Makkabi, zamienili się tymi opaskami.

Z zewnątrz dochodziły w równomiernych odstępach uderzenia w główne mury. Był to „Gruby Juliusz” dziesiątego legionu.

— Niech sobie wali — śmieli się oficerowie — jutro spalimy go. — Leżeli, jedli, żartowali, pili. Była to dobra wieczerza i ostatnia.

Noc stawała się coraz głębsza. Wpadli w zadumę, wesołość ich stała się dzika, ponura. Wspominali zmarłych.

— Nie mamy fasoli ani jaj — rzekł Jan z Giskali — ale opróżnimy dziesięć kubków żałobnych i poprzewracamy poduszki.

— Jest bardzo wielu zmarłych — powiedział Szymon bar Giora — wieczerza na ich cześć winna była być lepsza.

Wspominali zmarłych oficerów. Osiemdziesięciu siedmiu oficerów nauczyło się rzymskiej sztuki wojennej. Siedemdziesięciu dwóch spośród nich padło.

— Niechaj pamięć ich będzie błogosławiona.

Wypili.

— Wspominam arcykapłana Anana — rzekł Jan z Giskali.

— Z tym murem to dobrze zrobił.

— To była Świnia — powiedział z furią Szymon bar Giora — musieliśmy go zamordować.

— Tak, musieliśmy — zgodził się Jan — ale był to człowiek dobry. Niechaj pamięć o nim będzie błogosławiona.

Znowu wypili.

— Wspominam innego zmarłego — odezwał się sekretarz Amram. — Był moim przyjacielem w latach młodości, ale to pies. Zgłębiał razem ze mną tajemnice wiedzy. Nazywa się Józef syn Mateusza. Wspomnienie o nim nie przynosi spokoju.

Wpadł mu do głowy pomysł, po którym obiecywał sobie wiele śmiechu. Namówił mianowicie Szymona i Jana, żeby

z lochów fortu Fazael ściągnąć tutaj rabiego Mateusza, ojca Józefa.

Wychudzony starzec przesiedział długie, wstrętne dni w śmierdzącym lochu, był potwornie wyczerpany, ale jakoś się trzymał. Bał się tych zdziczałych łobuzów, przebranych w wojskowe mundury. Tylu ludzi pozabijali. To istny cud, że go pozostawili przy życiu, musi teraz pilnie baczyć na każde swoje słowo. Podniósł trzęsącą się rękę do czoła, skłonił się.

— Czego chcecie ode mnie — wyjąkał — od starego, bezbronnego człowieka?

Zmrużył oczy osłepiony światłem, mimo woli wciągał w nozdrza woń potraw.

— Żle z nami, rabbi Mateuszu — rzekł Jan. — Tu, gdzie stoimy obecnie, znajdują się wkrótce Rzymianie. Nie ustaliliśmy jeszcze, co z tobą zrobimy. Nie wiemy, czy mamy cię pozostawić Rzymianom, czy też zabić.

Starzec stał skulony, niemy, drżący.

— Słuchaj, rabbi — rzekł sekretarz Amram — jak ci może wiadomo, miasto odczuwa brak żywności. Nie mamy już mięsa, musimy się zadowalać suchym chlebem. Widzisz przed sobą kości ostatnich dziewięciu baranków, które miały być złożone na ołtarzu w ofierze Jehowie. Zjedliśmy te baranki. Nie patrz z takim osłupieniem. Smakowały nam. Czy widzisz na ścianie Mane, Tekel? Ja nie. Na początku tej wyprawy syn twój stał po naszej stronie. Po jakimś czasie przeszedł na stronę wroga. Wypadałoby, żeby przy końcu stał po naszej stronie. Jesteśmy ludźmi o szerokim geście. Zapraszamy cię do wzięcia udziału w naszej ostatniej wieczerzy. Jak widzisz, zostało jeszcze sporo kości. Możesz również dysponować chlebem, którym wyjadaliśmy sos z talerzy.

— Syn twój to śmieć, wyrzutek — powiedział Jan z Giskali, a w jego chytrych, szarych oczach pojawiły się błyski gniewu. — Spłodziłeś grudę błota, czcigodny rabbi Mateuszu, kapłanie. Kości i chleb należą się raczej żołnierzom niż tobie. Ale idąc za przykładem rabiego Amrama, zapraszam cię także.

Szymon bar Giora był mniej uprzejmy. Obrzucając starca groźnym, ponurym spojrzeniem, wrzasnął:

— Jeść!

Starzec trząsał się jak w febrze. Był bezgranicznie dumny z kariery swego syna. Sam nigdy nie ważyłby się posunąć tak daleko. Rozumiał doskonale, dlaczego Józef przeszedł z czasem do Rzymian. Ale ci ludzie śmiertelnie nienawidzili jego syna. Teraz każą mu jeść. Może ma to być próba; jeżeli zacznie jeść, będą tryumfować, szydzić z niego i zabiją go za to, że resztkę życia chciał zachować za cenę takiego występku. Pleśń i smród ciemnego lochu doprowadziły go niemal do obłądu, słał się z głodu i wyczerpania. Patrzył na kości. Były soczyste, wypełnione szpikiem, z młodych, rocznych zwierząt, można je z pewno-cią rozgryźć i przełknąć. A oprócz kości ten cudownie pachnący chleb, nasiąknięty sokiem z mięsa i sosem. Starzec rozkazywał sam sobie nie ruszać się z miejsca, ale nogi nie słuchały go. Coś pchało go naprzód. Podszedł więc ociągającym się krokiem, cheiwie sięgnął brudnymi rękami po kości. Gryzł, wysysał, przełykał, sos ściekał po jego zmierzwionej, siwej brodzie. Nie wypowiedział modlitwy przed jedzeniem — byłoby to podwójne bluźnierstwo. Wiedział, że jest to mięso z ołtarza Jehowy, że jest to chleb z jego stołu, że to, co czyni, jest straszliwym grzechem. Raz na zawsze wykluczył siebie i swoje potomstwo od zbawienia. Ale siedział na ziemi, trzymając oburącz kości, rwał je swymi starymi, zepsutymi zębami, wgryzał się w nie, żuł, mlaskał, był szczęśliwy.

Pozostali przyglądali mu się.

— Patrzcie — powiedział rabbi Amram — jak przez żarcie traci zbawienie duszy.

— Tak wyglądają ludzie, którzy nas doprowadzili do takiego stanu, bracie mój, Janie — rzekł Szymon.

— Oto ludzie, dla których umieramy, bracie mój, Szymonie — powiedział Jan. Nie wyrzekli ani słowa więcej. Przyglądali się w milczeniu, jak, skulony, uczony w piśmie rabbi Mateusz żre w blasku pochodni.

Nazajutrz, szóstego sierpnia, rabbi Nittai obudził wylosowanych na ten dzień kapłanów stopnia Abija. Rabbi Nittai objął po bezradnym szefie kierownictwo służby Świątyni, kapłani byli mu posłuszni. Poszli za nim do eksedry, gdzie rabbi Nittai powiedział:

— Chodźcie i losujcie, kto ma zarzynać, kto kropić krwią, kto składać na ołtarzu ofiarę z mięsa, mąki i wina.

Ciągnęli losy. Potem rabbi Nittai oświadczył:

— Niechaj ten, kto został przeznaczony, wyjdzie i zobaczy, czy nadszedł czas zarzynania.

Przeznaczony wyszedł i zawołał po chwili:

— Dnieje. Rozjaśnia się na wschodzie.

— Czy jasność rozciąga się do Hebronu? — zapytał rabbi Nittai, a tamten odpowiedział:

— Tak.

Rabbi Nittai dał rozkaz:

— Idźcie i przynieście z hali jagnię.

Ci, którzy zostali do tego wylosowani, poszli do hali jagniąt. Nie zważali na to, że nie ma ani jednego jagnięcia, przyprowadzili nie istniejące, stosownie do przepisu napoili je ze złotego kubka.

Ci, na których padł los, udali się tymczasem z dwiema olbrzymimi misami ze złota do Świętego Przybytku i otworzyli wielką bramę. W chwili kiedy potężny huk, towarzyszący otwieraniu bramy, dotarł do jego uszu, wylosowany kapłan zarznął ofiarę, której nie było. Potem położono nie istniejące zwierzę na marmurowym stole, zdarto z niego skórę, pokrajano je w kawałki, zgodnie z przepisem Zakonu, dziewięciu kapłanów złożyło poszczególne części na skraju ołtarza. Potem losowali, kto ma je złożyć na ołtarzu. Zjawili się urzędnicy niższego stopnia i odpowiednio przydzielili tych, na których padł los. Potem rozpalili ogień ofiarny i zaczęli sypać złotymi łyżkami kadzidło umieszczone w złotej wazie. Równocześnie rozległy się dźwięki psalterionu rozbrzmiewające stoma tonami na raz. Z chwilą kiedy zaczynał grać potężny psalterion, wszyscy wiedzieli, że oto dokonuje się ofiara, i padali na ziemię.

Podano wylosowanym wino. Rabbi Nittai stanął na rogu ołtarza i czekał tam z chustą w rękę. Przeznaczeni do tego kapłani rzucili części ofiary w ogień. Z chwilą kiedy kapłan pochylił się, żeby wylać wino, rabbi Nittai zamachał chustą. A kiedy wzniósł się w górę słup dymu, lewicy zaintonowali psalm, kapłani zaś zaczęli z rogów ołtarza błogosławić klęczący lud.

Tak w dniu szóstego sierpnia składali ofiarę wylosowani kapłani w całym blasku, przestrzegając ściśle setek przepisów. Wyczerpani, przygotowani na to, że dziś, jutro umrą, nie wiedzieli, że bójnia przeznaczona dla jagniąt ofiarnych i ołtarz Pana są puste. Ożywiła ich wiara rabbiego Nittai. Wiara ta sprawiła, że widzieli jagnię. Ofiara, którą czynili, była dla nich sensem i koroną życia. Tylko dla niej z trudem wciągali powietrze w płuca i wyrzucali je z siebie, tylko to dzieliło ich jeszcze od śmierci.

Kiedy doniesiono Tytusowi, że Żydzi pożarli ostatnie jagnięta, przeznaczone dla ich Boga, zdumiało go to niezwykle. Przecież to są ludzie niesamowici, obłąkani, rozgromieni przez bogów. Dlaczegoż ci niepojęci, którzy poza Jehową nie mają innej ochrony, obrabowali jego ołtarz?

Tak czy inaczej, oblężeni byli u kresu sił. Przypuścić szturm na wyczerpane miasto stanowiło teraz wielką pokusę. Po długim, męczącym oblężeniu armia gorąco tego pragnęła. Była to również najkrótsza i najpewniejsza droga do tryumfu. Ojciec nie ma już podstawy do utrzymywania fikcji, że chodzi tu o akcję policyjną. Siedzi w Rzymie dostatecznie mocno, chociaż sam nie zakończył wyprawy. Jeżeli Tytus zdobędzie teraz miasto, Rzym nie będzie go mógł chyba pozbawić tryumfu.

Księżę spędził niespokojną noc, pełną wątpliwości. Tryumf to rzecz dobra. Ale czy nie przysiągł Berenice i sobie samemu, że gniewu swego przeciw powstańcom nie wyładuje na Świątyni? Stosowanie gwałtu wobec Bereniki nie dało pożądaných rezultatów. Jeżeli uszanuje Świątynię i zaczeka, aż mu się sama podda, to czy nie zmaże w ten sposób swych przewinień wobec tej kobiety?

Polecił Józefowi, by po raz ostatni wszczął rokowania. Dał mu pełnomocnictwa wybiegające daleko poza dotychczasowe koncesje.

Józefowi serce biło gwałtownie. Skłonił się Tytusowi głęboko, żydowskim zwyczajem przyłożywszy rękę do czoła. To, co proponował Rzymianin, było wielkim darem. Ofiarowywała go silna ręka, która mogła bez trudu wolę swą narzucić. Musi doprowadzić miasto do tego, żeby sobie to uświadomiło.

Okoliczność, że jest tu w Jerozolimie, wśród Rzymian, a nie jak ów Justus za murami, nabrała teraz sensu.

O wyznaczonej godzinie udał się wprost pod mury Jerozolimy, sam, skromnie przyodziany, bez broni, bez oznak kapłańskich. Mały człowiek stał teraz między oblegającymi i obleganymi na gołej ziemi u podnóża olbrzymiego muru.

Mur przed nim był gęsto obsadzony przez Żydów, za nim ciągnął się drugi mur — mur oblegających — gęsto obsadzony przez Rzymian. Panował upał, smród, dręczące milczenie; Józef słyszał tylko, jak tętni jego własna krew. Na plecach czuł zimne, szydercze spojrzenie Tyberiusza Aleksandra, przed sobą widział pełne nienawiści oczy Szymona bar Giora, obłąkany wzrok kolegi z lat młodości Amrama, pogardliwe spojrzenie Jana. Choć słońce prażyło, było mu zimno.

Zaczął mówić. Z początku miał wrażenie, że słowa jego brzmią pusto i obco, ale potem porwało go, mówił skromnie, gorąco, prosto, jak jeszcze nigdy w życiu. Oświadczył, że Rzymianie w razie poddania się wezmą wprawdzie do niewoli tych, co noszą broń, ale żaden nie przypłaci tego życiem. Oświadczył dalej, że Rzymianie dziś jeszcze pozwolą dostarczyć do Świątyni zwierzęta ofiarne, jeżeli równocześnie przyjęte zostaną i jak dawniej złożone na ołtarzu przeznaczone dla Jehowy ofiary od cesarza, ludu i senatu rzymskiego.

Kiedy Józef zjawił się, ci na murach patrzyli na niego ponuro i ze smutkiem. Teraz nawet ludzie spod znaku Makkabi spoglądali błagalnie na Szymona i Jana. Propozycja była naprawdę wielkoduszna i łagodna, w głębi serca mieli nadzieję, że przywódcy ją przyjmą.

Oni jednak nawet słyszeć o tym nie chcieli. Gdyby się poddali, jakież mieliby życie? Naprzód pognano by ich w pochodzie tryumfalnym, później zesłano jako niewolników do pierwszej lepszej kopalni. A gdyby ich nawet Rzymianie puścili wolno, czy po tym wszystkim, co się wydarzyło, mogliby żyć dalej wśród swoich współwyznawców? Z chwilą kiedy ostatecznie przegrają wojnę, będą na wieki znienawidzeni przez Żydów. Mieli prócz tych zastrzeżeń i głębsze powody. Doprowadzili do tego, że kraj został zrównany z ziemią, że Świątynia stała się twierdzą wśród morza krwi, pożarli nawet jagnięta Jehowy. Uczyniwszy to wszystko chcieli iść dalej tą samą drogą aż do końca.

Nie wiedząc więc jeszcze, co Rzymianie zaproponują, z góry przygotowali odpowiedź. Kiedy Józef skończył mówić, nie oplwali go, nie otrząsali pyłu ze swych szat i obuwia, ani im w

głowie było dać odpowiedź pełną gniewu i pogardy. Nie, otworzyli tylko małą furtę wypadową koło bramy; kwicząc wyszła przez nią Świnia. Wykradli Rzymianom parę świń, jedną z nich wypuścili teraz na Józefa.

Józef zbladł. Świnia zbliżała się sapiąc i chrząkając, ci na murach wybuchnęli śmiechem. Potem, przez tubę i po łacinie — nie było to łatwe dla wyczerpanych do cna ludzi, musieli się w tym długo ćwiczyć — rozległy się słowa:

— Czy odrósł ci napletek, Flawiuszu Józefie?

Śmieli się, Rzymianie nie mogli również powstrzymać się od śmiechu. Tym przeklętym Żydom udał się naprawdę diablo dobry kawał. Józef stał sam między dwoma obozami ze swoją świnią w obliczu zhańbionej, naszpikowanej działami Świątyni, Żydzi i Rzymianie wyśmiewali się z niego, rycząc ze śmiechu.

Owe chwile, długie jak lata, były dla Józefa pokutą za dumę i pychę, którą grzeszył przez całe życie. „Wasz rabbi Józef to łajdak”, powiedział kiedyś ten żółtolicy; w Meron zasiali trawą drogę, którą nadszedł, inni trzymali się od niego w odległości siedmiu kroków, jak gdyby był trędowaty; wśród dźwięku trąb rzucono na niego anatemę, w Aleksandrii leżał spętany pod batogiem. Ale czym było to wszystko wobec tych chwil? Przybył w najlepszej intencji, chciał ratować miasto, mężczyzn, kobiety, dzieci i dom Jehowy. A ci wypuszczają na niego świnie. Wiedział, że musi teraz odejść, ale się ociągał. Mur trzymał go mocno. Musiał zdobyć się na wielki wysiłek woli, żeby odejść. Co-fał się z wolna, nie spuszczał oka z murów. Było mu straszliwie zimno. Ból i pycha opadły z niego jak liście. Nie należy ani do Rzymian, ani do Żydów, ziemia jest pustynna i naga, jak przed stworzeniem świata, jest sam, otaczają go tylko szyderstwa i śmiechy.

Kiedy Żydzi puszczali na Józefa świnie, Tytus nie śmiał się. „Właściwie, mówił sobie, mogę być zadowolony. Przewyciężyłem się. Chciałem naprawić to zło, które ci obłąkańcy poczynili swemu Bogu, teraz jestem z tym Jehową na bardziej przyjaznej stopie niż moi wrogowie.” Ale refleksje te nie trwały długo. Spojrzał w stronę lśniącej białą i złotem Świątyni. Nagle ogarnęła go przerażająca chęć podeptania tego, co jest przeszkodą i przyczyną całego zamętu. Sami ją zhańbili, on wtrąci ją do reszty w błoto, razem z jej dostojeństwem i czystością. W mózgu brzmią mu dzikie okrzyki, które padły z ust jego żołnierzy: „Hep, hep!” Przy każdym z nich spada czyjaś głowa i wali się kawał Świątyni.

Przeląkł się. Odpędził te myśli. Nie, zadawanie się z tym Jehową nie było jego zamiarem. Pozostawia to Żydom po tamtej stronie muru.

Ogarnął go ponury smutek i tęsknota za Żydówką. Stał gniewny i bezradny przed żydowskim fanatyzmem, przed ich zaślepieniem. Berenika jest jedną z nich, niepojętą jak oni, nigdy nie posiadzie jej naprawdę.

Poszedł do Józefa. Józef leżał na łożu śmiertelnie wyczerpany, mimo upału zlany zimnym potem. Chciał się podnieść.

— Leż, leż — powiedział Tytus — ale mów ze mną. Może zaślepią mnie gniew na tych ludzi. Wytlumacz mi, mój Żydzie, czego oni chcą. Nie mogą przecież osiągnąć swego celu, dlaczego więc wolą umrzeć niż żyć? Mogą utrzymać Świątynię, o którą walczą, dlaczegoż więc chcą, żeby spłonęła? Czy rozumiesz to, mój Żydzie?

— Rozumiem — odparł Józef. Był potwornie zmęczony, twarz jego miała ten sam smutny wyraz, co twarze tych na murze.

— Czy jesteś naszym wrogiem, mój Żydzie? — zapytał Tytus bardzo delikatnie.

— Nie, mój księżę.

— Należysz do tych za murami? — zapytał Tytus.

Józef skulił się, milczał.

— Należysz do tych za murami? — powtórzył Tytus natarczywie.

— Tak, mój książę — odparł Józef.

Tytus spojrział na niego bez nienawiści, ale ci dwaj nigdy nie byli sobie bardziej obcy. Tytus wyszedł, do ostatniej chwili nie spuszczać oka z Żyda, pogrążony w smętnych rozmyślaniach.

W swym cichym, pięknym domu w Tyberiadzie, na wzgórzu nad morzem, Berenika próbowała opowiedzieć bratu swemu Agryppie, co się wydarzyło w obozie. Kiedy wróciła rozbita i złamana, Agryppa nie zapytał o nic. Czy pogardzała Tytusem za jego prostactwo? Nie. To właśnie jest najgorsze, że barbarzyństwo jego nie wywołało w niej nienawiści. Poprzez zawziętą, złośliwą twarz chłopaka, którą jej ostatnio ukazywał, widziała mocne, świadome celu oblicze żołnierza. Nie pomagały kpiny z jego pedanterii, z bezmyślnej manii stenografowania, zarówno przed bratem, jak przed samą sobą. W swym śmierzącym obozie, w pustyni otaczającej Jerozolimę, Tytus był mężczyzną, prawdziwym mężczyzną.

Agryppa dobrze rozumiał wyjaśnienia siostry, które przychodziły jej z trudem. Czy ta straszna wojna mniej szarpała jego własne nerwy? Dostarczył Rzymianom należny kontyngent, ale uczyniwszy to, natychmiast wrócił do swego transjordańskiego królestwa i nie chciał słyszeć o tym, co się dzieje w obozie. Jego piękny pałac w Tyberiadzie, jego obrazy, książki, posągi, wszystko to zostało mu zatrute.

— Tobie łatwiej, siostrze — powiedział ze smutnym uśmiechem na pięknej, nieco zbyt otyłej twarzy. — Kochasz swój kraj i jego ducha, a śpisz ze swoim Rzymianinem, problem jest dla ciebie rozwiązany. Kochasz, Nikion, twojego Tytusa. Zazdroszczę mu, ale nie mam prawa ci tego odradzać. Co jednak pozostaje mnie, Nikion? Rozumiem i Żydów, i Rzymian. Ale jakże mam się trzymać i jednych, i drugich? Gdybym mógł być taki, jak ci w Jerozolimie i jak Rzymianie! Widzę fanatyzm jednych, barbarzyństwo drugich, ale nie potrafię się zdecydować.

W ciszy Tyberiad Berenika z napięciem chwytiała wiadomości z obozu pod Jerozolimą. Z początku widziała jeszcze przed sobą pustynię, w którą się przemieniła ta niegdyś kwitnąca okolica; czuła w nozdrzach smród obozu, brzmiały jej w uszach wycia zwierząt węszących padlinę. Stopniowo jednak wspomnienia te przestały budzić odrazę, oblęd wojny zaczynał i ją zarażać. Wojna to krew i pożoga, to wielkie widowisko. Wojna ma miły zapach. Wojna to szaleńcze, fanatyczne oblicza mężczyzn, pałających chęcią szybkiej, chwalebnej śmierci. W zamyślanej, pięknej Tyberiadzie tęskniła coraz gwałtowniej za wielkim, patetycznym zgiełkiem obozowym. Dlaczego ten człowiek milczy? Dlaczego do niej nie pisze? Czy nie podoba mu się jej ciało? Całą wściekłość i wstyd skierowała przeciw sobie, nie przeciw niemu.

Gdy nadeszła wieść, że decyzja o losie Świątyni jest kwestią dni, że sprawą tą już się zajmuje rada gabinetu cesarza, nie mogła dłużej wytrzymać. Miała dostateczny powód, by wrócić do obozu.

Kiedy się zameldowała, księcia ogarnęło uczucie wielkiego tryumfu. Odkąd ta kobieta uciekła od niego, przeżył dwa ciężkie do zniesienia miesiące skwarne, smrodliwe lata, czekając na upadek miasta. Starał się zagłuszyć swe zdenerwowanie pracą. Posunął się z wojskiem naprzód tuż pod Świątynię; tam gdzie kiedyś wznosił się fort Antonia, stał teraz jego namiot składający się z pracowni, sypialni i jadalni. Powiesił podobiznę Bereniki w swej pracowni; portret był przerażająco żywy, jak wszystko, co wyszło spod pędzla Fabullusa. Patrzył często w ciemne, złotawe, podłużne oczy tej kobiety. Jak mógł wpaść na obłąkany pomysł wzięcia jej, jak gdyby była hiszpańską dziewczką? To obca kobieta, bardzo dostojna i obca. Palił się do niej jak pierwszego dnia.

Szperał w swoich notatkach, w których były zastenografowane jej słowa, porównywał je, rozważał. Nieraz stał długo przed portretem, przyglądał mu się uważnie, pełen wątpliwości.

Niczego nie przedsiębrał, zmuszał się do czekania.

Teraz przyszła do niego sama z własnej woli. Wyjechał po nią konno daleko poza obóz. Berenika była łagodna i dziewczęca, nie czyniła wyrzutów. Szara okolica, lud skazany na ukrzyżowanie, drapieżne ptaki, zdziczałe groźne twarze żołnierzy, nastrój śmierci dokoła — wszystko to nie przerażało jej. Przez ten Hades szedł bowiem mocnym krokiem książę; znalazłszy się u jego boku poczuła wielki spokój.

Leżeli razem przy wieczerzy. Opowiadał jej o swoich junakach, o swoich żołnierzach. Ci Żydzi to diablo trudny orzech do zgryzienia. Są fanatyczni i obłąkani, jak ranione dziki. Stawiają na kartę życie za korzec pszenicy. Ciągłe mają nowe, barbarzyńskie pomysły. Oto na przykład obłożyli dach kolumnady łączącej fort Antonia z wewnętrznym dziedzińcem Świątyni suchym drzewem i smołą; po czym, zwabiwszy na dach Rzymian, usmażyli ich jak ryby. Ale i z jego zuchami nie było żartów. Książę opowiadał, jak gdyby to były piękne wyczyny sportowe, nie zaś walka na śmierć i życie. Jeżeli zachodziła potrzeba, sam się nie oszczędzał, rzucał się w wir walki; był dwukrotnie ranny, zakłuto pod nim konia, oficerowie przekonywali go niejednokrotnie, że dowódca winien pospolitą robotę wojenną pozostawiać pospolitakom.

Tytus opowiadał płynnie. Był w dobrym humorze, nie zwracał zbytnio uwagi, czy Berenika go słucha. Nagle zauważył, jak mu się przygląda. Nie były to oczy z por- # tretu. Sposób patrzenia na niego, jej zamglony wzrok, nie były mu u kobiet obce. Wziął Berenikę władczo, ale bardzo czule w ramiona. Nie opierała się. Nie dokończył zaczętego zdania, złączyli się w miłosnym spazmie.

Leżała potem spokojnie z zamkniętymi oczami, uśmiechnięta. Tytus przyciskał do jej piersi szeroką chłopską głowę, drążył nią jej ciało — księżniczka wyglądała teraz świeżo i młodzieńczo.

— Wiem — powiedział, starając się złagodzić swój mocny głos rozkazodawcy — wiem, że nie zjawiałaś się tutaj z mego powodu. Ale pozwól mi wierzyć, że tak jest. Słodka moja, królowo, kochanko. Przybyłaś zapewne, by ratować Świątynię. Jeżeli tak, niechaj będzie błogosławiona. Miałem niezłomny zamiar pozostawienia jej nietkniętą. Słodka moja, gdybym nawet miał poświęcić w walce jeszcze dziesięć tysięcy żołnierzy, Świątynia pozostanie na miejscu. To twoja Świątynia. To rama dla ciebie, i dziesięć tysięcy żołnierzy nie stanowi ceny zbyt wysokiej. Odbuduję również dom twojej matki. Będiesz wchodziła po jego stopniach, Nikion, krokiem, który mnie uszczęśliwia, a za tobą wznosić się będzie twoja Świątynia.

Berenika leżała z zamkniętymi oczyma, uśmiechała się, upajała się jego słowami. Powiedziała szeptem:

— Mężu, dzieciaku. Przybyłam dla ciebie, *Tinoki, Tinok, Tinoki*.

Dwudziestego pierwszego sierpnia, wedle rachuby żydowskiej pierwszego dnia miesiąca *ab*, „Gruby Juliusz” rozpoczął swą akcję przeciw murom okalającym Świątynię. Pracował bez przerwy przez sześć dni. Z kolei uruchomiono inne maszyny; dnia dwudziestego siódmego sierpnia pracowały wszystkie równocześnie. Bez powodzenia. Przedsięwzięto próbę bezpośredniego ataku, podstawiano drabiny, dwie kohorty podpełzły pod osłoną tarcz złączonych nad głową, tworzących niby skorupę żółwia. Żydzi z góry strącali drafeyny, gęsto obsadzone zbrojnymi. Kilku legionistów niosących godła bojowe dotarło aż na mur, ale zostali pozabijani i Żydzi zagarnęli ich orły.

Tytus kazał podłożyć ogień pod bramy. „Kolumnady zewnętrzne — uspokajał siebie i Berenikę — to jeszcze nie Świątynia.” Podłożono więc ogień pod bramy, topiące się srebro otworzyło płomieniom drogę do drewnianych belkowań. Pożar szalał przez cały dzień i następną noc. Północne i zachodnie kolumnady zostały zniszczone; Rzymianie stali teraz bezpośrednio przed Świątynią.

Dnia dwudziestego ósmego sierpnia, wedle rachuby żydowskiej dnia ósmego miesiąca *ab*, podczas gdy rzymskie straże ogniowe pracowały nad przebicciem drogi, która by przez gruzy, popioły i płonące zgliszcza prowadziła bezpośrednio do Świątyni, Tytus zwołał radę wojenną. Miała na niej zapaść decyzja, jak postępować dalej ze Świątynią.

Oprócz marszałka Tyberiusza Aleksandra brali w radzie udział generałowie dowodzący czterema legionami, Cerealis, Lepidus, Litemus i Frygus oraz Marek Antoniusz Julian, gubernator Judei. Na sekretarza ściągnął Tytus Józefa.

Najpierw odczytano z polecenia Tytusa list cesarza. Berenika miała dobre informacje — cesarz zwołał posiedzenie rady ministrów, by zasięgnąć ich opinii co do dalszych losów Świątyni. Niektórzy ministrowie uważali, że należy zrównać z ziemią to siedlisko buntu, ten symbol i ośrodek nieokiełznanej żydowskiej pychy. Tylko w ten sposób można Żydów pozbawić raz na zawsze punktu zbornego. Inni byli zdania, że wojna prowadzona jest przeciw ludziom, a nie przeciw przedmiotom martwym, że prestiż Rzymu wymaga, by tak wspaniała budowla została oszczędzona. Sam cesarz, brzmiały końcowe słowa listu, doszedł do wniosku, że należy zalecić dowódcy, by, o ile to możliwe, oszczędził Świątynię.

Członkowie rady wojennej słuchali listu z przerażeniami minami, w skupieniu: wiedzieli, że chodzi tu o tryumf. Gdyby Świątynia została zdobyta, byłoby to pełne chwały zakończenie wyprawy; nikt nie mógłby wtedy opowiadać bajek o ekspedycji karnej, senat musiałby się zgodzić na ten tryumf. Pociągał ich blask takiego dnia tryumfu, pociągała perspektywa wywyższenia wszystkich, którzy by uczestniczyli w pochodzie tryumfalnym. Ale o tym nie wolno mówić ani tutaj, ani na posiedzeniu rady koronnej cesarza.

Można sobie bez trudu wyobrazić, jaki był przebieg tego posiedzenia. Otyły Junius Thrax wypowiedział się zapewne w kilku ostrożnych słowach za zachowaniem Świątyni; również tłusty Klaudiusz Reginus wygłosił prawdopodobnie kilka mętnych, pojednawczych zdań. Tym bezwzględniej wypowiedział się niezawodnie za zburzeniem Świątyni minister Talas. Ostatecznie zrodził się z tego ów kompromis, zrodziło się owo „o ile to możliwe”, zrodził się ów list, który odpowiedzialność za to, co się stanie lub nie stanie, przerzucił na armię. No cóż, armia może ponieść tę odpowiedzialność. Armia pragnie tryumfu, nastrój wojsk, które tęsknią za tym, by podeptać świętość butami, udzielił się również dowódcom. Wołali w głębi duszy „hep, hep”. „Jeżeli to możliwe, utrzymać budowlę.” Łatwo to Rzymowi powiedzieć, ale gdzie zaczyna się „możliwe”, a gdzie się kończy?

Pierwszy przemówił marszałek Tyberiusz Aleksander. Wie dobrze, że tamci chcieliby tryumfu w Rzymie. Jeżeli o niego chodzi, to pragnie rozsądnego podbicia kraju. Mówił krótko i jak zawsze spokojnie. Utrzymanie budowli będzie wymagało ofiar. Ale dziesięć tysięcy żołnierzy można zastąpić innymi, natomiast Świątynia jest czymś jedynym i nie da się zastąpić. Trzeba uporać się przy pomocy stu tysięcy zbrojnych z piętnastu tysiącami, które walczą za murami. Oszczędzenie budowli jest możliwe.

Generał Frygus z 15 legionu, wspierany okrzykami generała Litemusa, przeciwstawiał się. Utrzymanie Świątyni dla państwa i świata za cenę mniej więcej dziesięciu tysięcy legionistów rzymskich jest oczywiście możliwe. Nie sądzi jednak, żeby cesarz, przyjaciel żołnierzy, pojmował granice możliwości aż tak szeroko. Już i tak, wskutek prowadzenia wojny przez Żydów w sposób nielojalny, tysiące żołnierzy zginęło żałośnie, straszliwie zmiażdżonych, smażonych na ogniu. Nie wolno narażać dalszych tysięcy. Żołnierze pragną za wszelką cenę spalić Świątynię, zabrać z niej złoto. Jeżeli im się tej słusznej zemsty odmówi, powstanie w armii uzasadnione niezadowolenie.

Generał Litemus potakiwał hałaśliwie. Tyberiusz Aleksander uśmiechał się zachowując jak zwykle spokój. Frygus reprezentuje typ oficera, którego nienawidzi, jest tępy, pyszni się swą

siłą. Ten cały generał chce mieć swój tryumf i nic go poza tym nie obchodzi. Ten cały generał nigdy nie zrozumie, czym jest budowla, którą stworzył duch stuleci, depce ją żołnierskimi butami, dąży do swego tryumfu, nie jest zdolny do najmniejszego choćby zboczenia z drogi.

Z kolei zabrał głos Marek Antoniusz Julian, gubernator prowincji Judea. Jest urzędnikiem, interesuje się jedynie swoim resortem oraz przyszłą administracją prowincji. Nie chce w dalszym ciągu ponosić odpowiedzialności. Nie wątpi, wywodził, że armia, nawet jeśli oszczędzi Świątynię, zdepce powstanie. Ale jest to rozwiązanie na krótki czas, nie na dłuższą metę. Nikt bardziej od niego nie podziwia mistrzostwa budowli, ale Żydzi zrobili twierdzą ze Świątyni, pozostanie nią nadal po stłumieniu powstania. Kiedyż to Rzym pozostawiał twierdzą powstańcom na podbitych obszarach? Trzeba zniszczyć Świątynię, jeżeli się nie chce, żeby Żydzi po wycofaniu części wojsk pomyśleli o nowym rokoszu. Oszczędzanie budowli z pewnością nie zostanie uznane przez ten niespokojny, niesforny naród za dowód łagodności, lecz raczej za słabość. Jako gubernator Judei odpowiedzialny przed Rzymem za spokój i porządek w tej trudnej do rządzenia prowincji, musi domagać się stanowczo, by Świątynia została zrównana z ziemią. Oszczędzenie jej nie jest możliwe.

Tytus słuchał tego wszystkiego, od czasu do czasu stenografował odruchowo pewne fragmenty przemówień. Dobrze rozumiał pragnienie swoich generałów i żołnierzy. Czy sam nie palił się do tryumfu?

Ale ten Jehowa to niebezpieczny przeciwnik. Już sam upór, z którym ten lud go broni, stanowi dowód, że pomimo całej swej śmieszności nie jest bogiem ani małym, ani zasługującym na pogardę. „Jeżeli to możliwe.” Westchnął, ale tak, żeby go nikt nie usłyszał. Szkoda, że list Wespazjana nie jest jaśniejszy, wyraźniejszy.

Tymczasem panowie wchodzący w skład Rady wypowiedzieli swe opinie. Trzy głosy były za utrzymaniem Świątyni, dwa za jej zburzeniem. Czekano w napięciu na decyzję księcia. Nawet zrównoważony Tyberiusz Aleksander nie mógł zapanować nad lekkim drganiem twarzy.

Józef wodził nerwowo rysikiem po stole. Baczył pilnie na każde wypowiedziane słowo, notował niedbale, ale miał niezawodną pamięć. Argumenty przytaczane przez żołnierzy nie były złe. Stał za nimi jeszcze silniejszy argument: pragnienie tryumfu. Tytus przyrzekł jemu, Berenice i sobie samemu, że oszczędzi Świątynię. Jest jednak żołnierzem.

Najwyższym celem żołnierza jest tryumfalne wkroczenie do Rzymu. Czy potrafi się temu oprzeć? Czy wyrzeknie się tryumfu w Rzymie, żeby utrzymać dom Jehowy?

Tytus zastanawia się. Ten Jehowa, myśli sobie, to Bóg bardzo podstępny. To on zapewne wsączył we mnie zgubne uczucie dla tej kobiety. Oddała mi się, znam ją, to zapewne ten Jehowa sprawia, że pragnę jej jeszcze ciągle. Dowiedziawszy się, że spaliłem Świątynię, ojciec mój uśmiechnie się i powie: „No, Cenis, moja stara, nie umiał się tego wyrzec. Zgódźmy się na ten jego tryumf.”

Kilkanaście sekund upłynęło w milczeniu. Potem Tytus powiedział:

— Przyłączam się do zdania tych, którzy uważają za możliwe oszczędzenie Świątyni. Liczę na to, że legiony rzymskie zachowają karność i dyscyplinę, nawet jeżeli jakiś rozkaz nie będzie po ich myśli. Dziękuję wam, moi panowie.

Przed namiotami Tytusa zebrały się wedle starego zwyczaju obozowego jak co wieczór orkiestry wojskowe, żeby odtrąbić fanfarę, symbol najwyższej władzy naczelnego dowódcy. Tytus stał przed wejściem do namiotu. Ceremoniał fanfary sprawiał mu zawsze wyjątkową przyjemność: muzykanci, było ich dwustu, ustawili się w szereg. Na dany znak rozległy się potężne, niezbyt miłe dla ucha dźwięki bębnow, odezwały się rogi, piszczałki i flety, ryknęły trąby, zadźwięczały czynele. Serce Tytusa radowało się barwnym orszakiem, hukiem i hałasem.

Po jakimś czasie muzykanci odmaszerowali. Teraz przyszła kolej na rzecz znacznie

ważniejszą, na wydanie hasła i rozkazu dziennego. Odbywało się to uroczyście, z wielkim ceremoniałem. Każdy z czterech legionów wysłał na zmianę pierwszego centuriona dla odebrania od dowódcy rozkazu dziennego i hasła i podania go dalej w równie uroczystej formie.

Tytus był niemile zaskoczony, kiedy wieczorem owego 28 sierpnia zjawił się po odebraniu rozkazu kapitan Pedan, pierwszy centurion piątego legionu. Był to najważniejszy rozkaz, jaki został wydany od szeregu miesięcy. Książę zmieniał go trzykrotnie. Wręczył kapitanowi tabliczkę. Kapitan Pedan sięgnął po nią szerokimi, krótkimi, brudnymi rękami. Zaczął czytać: „Hasło: Giń, Judeo! Rozkaz: w ciągu dnia 29 sierpnia wszystkie roboty związane z gaszeniem i uprzątniem mają być po północnej i zachodniej stronie Świątyni doprowadzone do końca, tak żeby teren wczesnym rankiem 30 sierpnia był gotów do ataku. Gdyby przeciwnik chciał przeszkadzać pracom oddziałów zajętych przy gaszeniu i uprzątniu, należy go energicznie odeprzeć, z oszczędzaniem budowli należących do obrębu właściwej Świątyni.”

Zgodnie z regulaminem kapitan Pedan odczytał rozkaz donośnym głosem. Pierwszy centurion piątego legionu obdarzony bystrą inteligencją, lotnym umysłem, od razu zrozumiał sens rozkazu, który odczytywał powoli skrzeczącym głosem. Zażywny, o różowej twarzy, potężnych barach i nie mniej potężnym karku, stał wyprostowany przed swoim dowódcą. Czytał wyraźnie, powoli. Słowa: „należy przeciwnika odeprzeć”, wypowiedział ze specjalnym naciskiem. A słowa końcowe: „oszczędzanie budowli”, wypowiedział jak gdyby od niechcenia. Czytając patrzył badawczo zarówno żywym okiem, jak i martwym raczej na dowódcę, niż na tabliczkę, zacinał się od czasu do czasu, jak gdyby nie mógł odczytać tekstu. Pod spojrzeniem tych oczu Tytus poczuł znowu — jak to już często bywało — wyraźną niechęć do tego hałaśliwego, nieokrzesanego człowieka i tę samą pokusę, tę samą szaleńczą żądzę, która go porywała, gdy generałowie namawiali, by dalej puszczać wszystko z dymem, nie oszczędzając Świątyni. Nastąpiła chwila milczenia. Kapitan wciąż jeszcze patrzył na niego z niedowierzaniem i wyczekująco. Tak, nie ulega wątpliwości, czekał. Masz zupełną rację, mój Pedanie, ale tamci również ją mają. Róbcie, co chcecie. Zawsze przerzucacie odpowiedzialność na innych. Wszyscy chcą to zrobić, ale nikt nie chciałby przyznać się, że on to uczynił. Jesteś mężczyzną, mój Pedanie, zdobądź się na odwagę. Tak zapewne odczuwał Tytus, gdy kapitan Pedan stał przed nim i czekał. Tytus nie wyraził swej myśli słowami, o nie, wystrzegął się tego. Jedyną reakcją był lekki, nieznaczny uśmiech. Ale pierwszy centurion piątego legionu zauważył go. Czy powiedział coś? Wódz naczelny miał wrażenie, że tak. Brzmiało to jak „hep, hep”. Oczywiście musiał się przesłyszeć. Kapitan Pedan wziął tabliczkę, wsunął ją zgodnie z regulaminem za pas, złożył ukłon wyciągając ramię. Wódz podziękował, kapitan oddalił się, jak gdyby nigdy nic.

Tej nocy Tytus spał z Bereniką. Spał niespokojnie, Berenika słyszała, jak mówił przez sen: „Daj mi tabliczkę.”

Tymczasem kapitan Pedan wrócił do swego namiotu. Choć dobrze pamiętał słowa rozkazu, wyciągnął tabliczkę raz jeszcze, odczytał, co było na niej napisane. Szerokie usta rozszerzyły się jeszcze bardziej — był zadowolony. To prawda, że spiekota panująca w tym kraju, natrętne komary, które upodobały sobie jego różowe ciało, dręcząca nuda oblężenia, wszystko to razem mu obmierzło. Bojownik, odznaczony wieńcem z ziół, ulubieniec armii, mógł sobie tego oszczędzić. Ubiegłego roku, kiedy działania wojenne w Judei stanęły na martwym punkcie, ruszył z oddziałem Mu-cjana do Włoch, by wziąć tam udział w wyprawie przeciw

Witellowi. Trzeba było tam zostać, wstąpić do gwardii, dać się awansować na pułkownika, na generała. Teraz trzymając w ręku tabliczkę nie żałował, że jako pierwszy centurion wrócił do piątego legionu, do tej parszywej Jerozolimy, do tego przeklętego oblężenia.

Pedan był żołnierzem. Służbę rozpoczął jako zupełnie młody chłopiec. Lubił jeść tłusto i niewyszukanie, zadawać się z dziewczkami, pić, śpiewać sprośne piosenki. Nauczył się kłuć,

strzelać, fechtować, mimo tuszy był zgrabny, obrotny i silny. Bardzo się sobie samemu podobał. Często przeglądał się nie tylko w kosztownym złotym lustrze, które zabierał na wszystkie wyprawy wojenne, ale w każdej mijanej tafli wodnej i w swym błyszczącym puklerzu. Podobała mu się własna twarz. Kiedy stracił oko, zamówił nowe u najwybitniejszego spośród specjalistów wprawiających oczy posągom. Teraz dopiero podobał się sobie naprawdę. Nie żałował straconego oka. Kochał niebezpieczeństwo. I łupy. Ze swego udziału w łupach, z gratyfikacji za szczególne wyczyny, ze zręcznych transakcji obozowych zebrał pokaźny majątek, który pozostawał pod opieką pewnego bankiera w Weronie i przynosił grube odsetki. Kiedy będzie już bezzębnym starcem, osiadzie w tej Weronie, gdzie jako odznaczony wieńcem z ziół i ulubieniec armii odgrywać będzie wielką rolę. Każę miastu tak tańczyć, jak mu zagra.

Na razie ma coś lepszego do roboty. Weźmy na przykład ten dziwaczny rozkaz. Rozkaz bardzo pocieszający, gdyż w gruncie rzeczy tylko on go właściwie rozumie i potrafi wykorzystać. Warto było wrócić z bogatych Włoch do piątego legionu choćby tylko po to, aby otrzymać ów dziwaczny rozkaz. Pierwszy bowiem centurion piątego legionu, na ogół bardzo w stosunku do ludzi obojętny, zabijający przeciwnika dla sportu, bez najmniejszego zainteresowania jego osobą, pełen jest nienawiści do Żydów.

Wszystko go złości w tych ludziach: mowa, obyczaje, wiara, oddech, powietrze. Inni ludzie Wschodu ze swoimi niesmacznymi obyczajami to także leniwi, śmierdzący barbarzyńcy. Ale ci Żydzi, trudno w to uwierzyć, tak kochają próżniactwo, że w żaden sposób, choćby im nawet miała za to grozić śmierć, nie można ich skłonić, żeby w ten swój siódmy dzień cośkolwiek robili. Mają nawet w kraju rzekę Sabbat, która siódmego dnia przestaje płynąć. A na początku wojny, widział to na własne oczy, dawali się siódmego dnia mordować nie stawiając oporu, tak im bowiem nakazują zasady przepisane przez Zakon lenistwa. Ci idioci wierzą, że dusze tych, którzy się trzymają owych parszywych nakazów, będą przez ich Boga zakonserwowane na wieki. To czyni tych arogantów tak nieczułymi na to, co innych pociąga i odstrasza. Uważają się za lepszych od innych ludzi, jak gdyby byli rzymskimi legionistami. Nienawidzą każdego, kto nie jest Żydem, odnoszą się do niego z pogardą. Dają się obrzezać, żeby się tylko czymś wyróżnić. Są prowokacyjnie różni, uparci jak kozły. Kiedy umierają, kiedy się ich krzyżuje, wrzeszczą: „Jehowa, Jehowa! Jehowa jest naszym Bogiem.” Z początku myślał, że ten ich bóg jest osłem, niektórzy twierdzą, że w swoim Najświętszym Przybytku składają hołdy osłu. Ale tak nie jest, ci obłąkańcy i przestępcy wierzą w Boga, którego nie można ani zobaczyć, ani skosztować, w Boga równie zarozumiałego jak oni, tylko górującego nad nimi rozumem. Kapitan Pedan urządzał sobie często na własną rękę zabawę polegającą na łaskotaniu ukrzyżowanych oraz na próbach nauczania ich rozsądku przy pomocy gróźb i obietnic. Ale nie osiągał celu. Wierzą naprawdę w swego niewidzialnego Boga, wołają: „Jehowa, Jehowa”, i umierają. Kapitan Pedan jest zaciekłym, nieubłaganym przeciwnikiem takich bzdur. Chce je wytępić. Życie nie byłoby nic warte, gdyby ci Żydzi mieli choć trochę, choć odrobinę racji. Ale to, co wrzeszczą, nie jest prawdą, nie może nią być.

Kapitan Pedan idzie kołyszącym się krokiem do swego namiotu z szyderczym grymasem na szerokich ustach. Gdyby coś z tego Boga Jehowy istniało, umiałby przecież ochronić swój dom. Ale nie potrafi tego dokonać, pierwszy centurion już się o to postara. Tylko w tym celu stoi wśród skwaru i smrodu lata przed tą parszywą Jerozolimą. Da temu Bogu Jehowie szkołę. Udowodni mu, że go w ogóle nie ma, że ten jego dom tutaj jest tylko pustą skorupą opuszczoną przez ślimaka.

Kapitan Pedan widzi przed sobą twarz księcia, kiedy odczytywał tekst tabliczki: „Z oszczędzaniem budowli należących do obrębu właściwej Świątyni.” Co to znaczy „oszczędzanie”, co znaczy „właściwa Świątynia”? Należy odeprzeć przeciwnika z energią. To

już bardziej rozumiały. To jest coś, czego można się trzymać.

„Hep, hep” — myśli sobie kapitan. Jest tego wieczoru w wyjątkowo dobrym humorze. Pije, opowiada dykteryjki, nawet koledzy oficerowie, dla których jest zawadą, przyznają, że są dziś wyjątkowo dowcipne. Nie darmo jest ulubieńcem armii.

Następnego ranka Pedan ruszył ze swymi ludźmi do prac związanych z gaszeniem i uprzątaniem. Odrzucano łopatami płonące zgliszcza, by umożliwić zrobienie szerokiej, prostej drogi, prowadzącej do bramy. Brama ta, wykładana złotem, nie była duża; wysoko nad nią mieścił się niewielki, obramowany złotem otwór okienny. Białe mury stały potężne, niewzruszone, miejscami tylko widniały na wielkiej wysokości nieduże okna.

Praca przy uprzątaniu gruzów była ciężka w skwarze i brudzie. Żydzi nie ruszali się, w otworach murów nie widać było ani jednej twarzy, brama pozostawała zamknięta. Pedan złościł się, że musi tym Żydom uprzątać ich brudy. Żołnierze pocili się przy pracy, mieli niezadowolone miny.

Pedan kazał im śpiewać. Sam zawtórował skrzeczącym głosem rubaszną piosenkę piątego legionu:

Nasza Piąta, nasza Piąta
Dzielnie zwija się i krząta,

Raz, raz!

Bo ta Piąta, wiedz, kolego,

To jest legia do wszystkiego.

Pierze wroga — i koszule,

W kocioł trony — i cebulę —

Raz, raz!

Wozi śmieci, granic strzeże,

Karmi dzieci na kwaterze.

W naszej Piątej, wiedz, kolego,

Każdy żołnierz do wszystkiego —

Raz, raz, raz!

Kiedy odśpiewali piosenkę po raz trzeci, ukazał się przeciwnik. Brama nie była jednak taka mała, jak się zdawało; w każdym razie była dostatecznie szeroka, żeby w nieprawdopodobnie krótkim czasie wypluć nieprawdopodobną ilość Żydów. Żołnierze zamienili łopaty na tarcze i miecze. Było diabło mało miejsca, kogo zepchnięto na płonące zgliszcza, tego trudno było ratować.

— Makkabi! — wołali Żydzi.

— Giń, Judeo! — wrzeszczeli Rzymianie.

Wywiązała się prawdziwa potyczka. Żydzi nic sobie z tego nie robili, że wielu z nich dostało się także w płonące zgliszcza. Zwartą masą oblegali rzymskie godło bojowe. Padł ten, który je niósł, podniósł je następny i również został zabity.

— Makkabi! — wołali Żydzi zawładnąwszy godłem, które triumfalnie wnieśli w obręb murów.

Rzymianie otrzymali posiłki. Przy następnym wypadzie Żydzi nie dotarli tak daleko, jak za pierwszym razem, ale mała brama raz po raz wypluwała nowe szeregi. Pedan kłął, walił swoich żołnierzy kijem z winorośli. Odrzucili

Żydów, kilku wtargnęło do bramy, która się za nimi zamknęła.. Ci byli zgubieni. Ale przeciwnik został z energią odparty.

Pedan uśmiechnął się. Przeciwnik nie został odparty z dostateczną energią. Pedan kazał sformować żółwia. Ludzie zdziwili się. Mur, przed którym stali, był bardzo wysoki, maszyny nie przygotowały natarcia, nie mieli za sobą artylerii. Czego żąda ich pierwszy centurion? Czy mają

obalić mur gołymi rękami? Wypełniając jednak rozkaz zwarli nad głowami tarcze i ruszyli naprzód. Ku ich zdumieniu Pedan nie kazał atakować bramy, lecz miejsce, w którym mieścił się obramowany złotem otwór okienny.

Szli ciągle naprzód. Byli pod murem, czołówki uczepliły się już tego muru. Teraz stało się coś, czego pierwsza kohorta piątego legionu, choć przywykła do wielu dziwów, nigdy jeszcze nie widziała. Kapitan Pedan skoczył w ciężkiej zbroi, w butach podkutych gwoździami na ustawione tarcze i szeroko rozstawiając nogi, zaczął się po nich posuwać naprzód. Nie upadł, na Herkulesa, zachował równowagę. Trzymając w rękę zapaloną żagiew cisnął ją przez obramowany złotem otwór, po czym zawołał:

— Dajcie mi jeszcze jedną!

Żołnierze podali mu z płonących zgliszczy drugą głównię, po chwili trzecią. Ci pod tarczami, spoceni, stłoczeni, z trudem utrzymujący się na nogach, nie wiedzieli, co się dzieje ponad ich głowami, słyszeli tylko wołanie swego kapitana:

— Dajcie jeszcze jedną, hep, hep!

Ale tak samo, jak ci, którzy podawali głównie, byli pełni ogromnego napięcia, czekali, co się teraz stanie. Pierwszy pośród nich, ich kapitan Pedan, ulubieniec armii, wie z pewnością, co czyni, co się stać musi.

Kapitan Pedan istotnie wiedział, co robi. Znał plan Świątyni, wiedział, że w tym miejscu, w pomieszczeniu z otworem okiennym obramowanym złotem, przechowywano zapasy drzewa, które znosili w dzień Święta Drzewa mieszkańcy Jerozolimy i pielgrzymi, każdy po jednym polanie. Przeciwnika należy pokonać z energią. Kazał podawać sobie głównie, ciskał je, krzyczał: „hep, hep, podaj jeszcze jedną!” Słyszeli, jak pod jego podkutymi butami trzeszczały tarcze, wytrzymywali ciężar. Pochyleni, stękając z wysiłku, czekali.

Nareszcie rozległ się wrzask zza murów, nareszcie buchnął dym, który z każdą chwilą stawał się gęściejszy. Kapitan Pedan wydał rozkaz:

— Podać drabinę.

Była za krótka, więc kazał ją postawić na żółwiu z tarcz. Wdrapał się na nią, chwiała się, ale ci pod tarczami trzymali ją mocno i kapitan Pedan wdrapał się do wnętrza Świątyni przez okno. Skoczył w sam środek buchających kłębow dymu. Gwałtownym ruchem odsunął rygiel bramy, w uchylonych wrotach Świątyni ukazała się jego twarz, zasmolona i uśmiechnięta. Brama, która jeszcze przed chwilą wypluwała niewiarogodne rzesze ludzkie, poślknęła teraz w jednej chwili stu żołnierzy Pedana.

Świątynia była wewnątrz wykładana taflami cedrowymi. Lato było skwarne, drzewo wyschnięte. Dym ustąpił miejsca płomieniom. Zanim się ktokolwiek zorientował, co się stało, podniósł się w obozie rzymskim niebывały wrzask. „Hep, hep — wołali żołnierze — rzucajcie żagwie. Oslaniać się tarczą!” Nic czekali już na żadne rozkazy, nie można ich było powstrzymać. Niewielka brama połykała ich setki, wdarli się również do innych bram. Odrzucono żydowskie straże pożarne, legiony parły naprzód, w dwuszeregach, tarcza przy tarczy, ramię przy ramieniu, siekli mieczami na prawo i na lewo.

Większość żołnierzy żydowskich umieszczona była w fortach i na wieżach górnego miasta, w samej Świątyni liczba ich sięgała zaledwie tysiąca. Kiedy Rzymianie podpalili Świątynię, Żydzi podnieśli wielki wrzask i próbowali zagasić ogień. Był z początku nikły, ale uporczywy, nie sposób było sobie z nim poradzić. Wkrótce okazało się, że nie można równocześnie walczyć z Rzymianami i zajmować się gaszeniem pożaru. Jan z Giskali i Szymon bar Giora, pośpiesznie wezwani z górnego miasta, zorientowali się, że nie da się uratować Świątyni od Rzymian i od ognia. Wydali rozkaz, by większość broniących jej żołnierzy wycofała się do górnego miasta. Małe oddziały miały zabezpieczać odwrót, bronić poszczególnych bram

Świątyni.

Wszyscy wiedzieli, że pozostawieni tu żołnierze są skazani na zagładę, ale nikt nie zawahał się przed zgłoszeniem się na ochotnika. Mały Efraim również się zgłosił i został przyjęty. Jan z Giskali odchodząc położył mu rękę na głowie i powiedział:

— Jesteś godny. Rozprzestrzeniaj naszą wiarę, mój synu.

Tak rabbi i uczeni w Piśmie kładli ręce na głowach swoich uczniów, kiedy im dawali tytuł i prawo krzewienia wiedzy.

Rzymianie szybko poradzili sobie z małym oddziałem, który bronił bramy Świątyni. Zdobyli schody, wtargnęli na dziedziniec, na którym stał ołtarz ofiar całopalnych z ogromną balustradą, o potężnych rogach, wykonany na wieczne czasy z nie ciosanych bloków, gdyż nie wolno, by go dotknęło żelazo. Oddział składający się z jakichś pięćdziesięciu żydowskich żołnierzy ustawił na nim działo. Wołali: „Mak-kabi!” Rzymianie odpowiadali okrzykami: „Hep, hep, giń, Judeo!” I parli w kierunku ołtarza. Działo miotało na nich kamienie i żelazo, ale oni parli naprzód z obu stron. Wkrótce okrążyli ołtarz, teraz brali szturmem balustradę. Byli to żołnierze piątej kohorty, żołnierze Pedana. Poprzez straszliwą wrzawę przebijał się skrzeczący głos, śpiewał zuchwałą, rubaszną pieśń piątego legionu. Zawtórowało mu kilka głosów, po chwili śpiewali ją wszyscy. Nie słychać już było okrzyków: „Makkabi”, wszystko zagłuszały słowa pieśni:

Nasza Piąta, nasza Piąta Dzielnie zwija się i krząta,

Raz, raz!

Bo ta Piąta, wiedz, kolego,

To jest legia do wszystkiego.

Pierze wroga — i koszule,

W kocio! trony — i cebulę —

Raz, raz!

Wozi śmieci, granic strzeże,

Karmi dzieci na kwaterze.

W naszej Piątej, wiedz, kolego,

Każdy żołnierz do wszystkiego.

Raz, raz, raz!

Opanowali teraz inne bramy zewnętrzne tej części muru, otworzyli je, zaczęli wdzierać się przez nie zewsząd. Po dwóch, osłonięci tarczami, ramię przy ramieniu prą naprzód w takt pieśni, koszą, depcą wszystko, co im staje na drodze, są już blisko ołtarza. Na prawym jego rogu, tam gdzie zazwyczaj szef służby Świątyni dawał znak kapłanom składającym ofiarę i lewitom, stoi teraz kapitan Pedan. Śpiewa rubaszną pieśń piątego legionu wymachując mieczem, od czasu do czasu chwytą dla odmiany za kij z winnej łoży. Żydzi gnani w stronę ołtarza wrzeszczą:

— Słuchaj, Izraelu!

A na ołtarzu stoi kapitan Pedan, woła „hep, hep”, wznosi kij, wali nim po łbach wrogów. Miecze koszą, krew spływa z ołtarza strumieniami, piętrzą się na nim stopy trupów.

Tytus położył się na chwilę. Zobaczywszy legiony prące naprzód bez niczyjego rozkazu, ujrawszy dym i płomień, wyskoczył ze swego namiotu tak, jak stał, bez oznak wojskowych i bez zbroi. Bez namysłu rzucił się w dziką, radosną wrzawę. Wielu spośród żołnierzy poznało go, ale nic sobie z niego nie robili. Rozpromienieni wołali:

— Chodź z nami, kolego! Biegnij z nami, wzniecaj ogień, rzucaj żagiew. Hep, hep!

Chciał zapanować nad dzikim chaosem. Czy naprawdę chciał? Mimo woli wrzeszczał, jak inni: „Hep, hep!” Wrzeszczał również: „Rzucaj żagiew, bracie!”

Warty, pełniące straż przed namiotem, zauważyły nieobecność księcia. Zaalarmowały

oficerów, gwardia zaczęła się ku niemu przedzierać. Wreszcie, już za bramą Świątyni, która go wchłonęła wraz z innymi, dotarli do niego. Zdażył się już opanować. Czy to on wydawał przed chwilą okrzyki zagrzewające do walki? Wrzeszczał teraz:

— Wody! Gasić! Wody!

Za jego przykładem oficerowie wrzeszczeli również:

— Gasić! Wody! — Centurionowie zaczęli okładać kijami oszalałych żołnierzy.

Próba powstrzymania szalejących była pozbawiona sensu. Całą armię ogarnęła furia, żądza mordowania. Czekali nieskończenie długo w upale i beczynności, by wreszcie zdeptać tutaj świętość podkutymi butami. Chcieli wreszcie pomścić swe udręki, parli naprzód; legiony rzymskie złączyły się w tym szaleństwie z syryjskimi i arabskimi kontyngentami wasalów. Nikt nie chciał pozostać w tyle, było im spieszo, każdy chciał być pierwszy. Droga, która miała zostać zbudowana, nie była gotowa. Parli naprzód przez płonące zgliszcza, tratowali się nawzajem, nie cofali się przed dymiącymi gruzami, przebijali się przez zwąły trupów.

Widząc, że nie opanuje szaleństwa swych żołnierzy, Tytus wszedł ze swoimi oficerami do środkowej nawy Świątyni, oddzielonej od części płonącej grubym murem. Wysoka, chłodna nawa Świętego Przybytku wznosiła się nietknięta żarem, zgiełk z zewnątrz nie dochodził do niej. Wszystko było na swoim miejscu: świeczniki, stoły na chleby pokładne, ołtarz. Powoli, ociągając się, doszedł Tytus do zasłony, za którą ukryta była tajemnica — Święte Świętych. Od czasów Pompejusza nie stanęła tu rzymska noga. Co się mieści za tą zasłoną? Czy kryje się tam jakiś upiór zrodzony z przesądów, ośła głowa, potwór, na pół zwierzę, na pół człowiek? Tytus ujmując zasłonę krótką, szeroką ręką. Twarze stojących za nim oficerów są pełne napięcia, zwłaszcza szeroka, różowa twarz kapitana Pedana. Co też się kryje za tą zasłoną? Książę zrywa zasłonę. Oczom obecnych ukazuje się mroczny, niewielki czworobok. Tytus wchodzi. Pachnie ziemią i zbutwiałym drzewem. Mieści się tu nagi, nie ociosany głaz. Poza tym nic, ogromna, dręcząca pustka.

— No tak — skrzeczy kapitan Pedan wruszając ramionami. — Obląkani.

Wydostawszy się znowu na światło, książę odetchnął. Patrzył na szlachetną skromność Przybytku, na jego symetrię, na rytualne naczynia stojące pod ścianami.

— Musimy to uratować, moi panowie — powiedział niezbyt głośno, ale stanowczo. — Nie możemy dopuścić, żeby to zginęło — oświadczył tonem rozkazu.

Kapitan Pedan uśmiechnął się. Już tliło się pod wszystkimi bramami, pod które podłożono ogień. Było za późno.

W wielkim pośpiechu wnoszą żołnierze święte sprzęty i naczynia rytualne. Są ciężkie, z masywnego złota. Dziesięciu stęka pod ciężarem świecznika, potykają się, przewracają. Świecznik spada na ziemię zabijając jednego z tych, który go niósł. Żołnierze, przynaglani okrzykami księcia oraz razami centurionów, schylają na nowo grzbiety, wnoszą sprzęty z płonącego, walącego się w gruzy Świętego Przybytku. Wnoszą dwanaście złotych chlebów pokładnych, dary ofiarne, srebrne trąby kapłanów, zwijają wspaniałą zasłonę babilońską, na której wyhaftowane jest niebo. Książę stoi na stopniach Świątyni, na tle luny pożaru patrzy, jak świecznik i stół kołyszą się nad głowami i tarczami niby okręty na wzburzonym morzu.

Tymczasem legionieci szaleli w Świętym Przybytku, pijani krwią i tryumfem. Plądrowali, co się tylko dało, zdzierali z bram i ze ścian złote i srebrne ozdoby. Narażając się na złamanie karku, wdrapywali się na mury, by tam zdobyć godła bojowe i broń królów syryjskich oraz orły dziesiątego legionu, zabrane przed czterema laty Cestiuszowi Gallusowi. Splądrowali magazyny odzieżowe i żywnościowe, w których znajdowały się zamorskie korzenie, oraz hale z instrumentami muzycznymi. Obladowani kosztownymi i niezwykłymi naczyniami i sprzętami pędzili przez olbrzymi dziedziniec Świątyni. Było to ukoronowanie wyprawy. Aby zniszczyć ten

przybytek niewidzialnego Boga i splądrować go, zginęły dziesiątki tysięcy żołnierzy, pozostali zaś przy życiu mieli moc niewygód i kłopotów. Teraz chcieli w całej pełni nasycić się zwycięstwem. Wrzeszczeli, przewracali wszystko, co im stało na drodze, śmieli się głupawo, tratali podkutymi butami posadzkę, której marmury i mozaiki zaściełały trupy i opaski z inicjałami Makkabi.

W ciemnych przejściach, prowadzących na dół, do skarbców, nastąpił zator. Komory były dobrze zamknięte, lecz niecierpliwi nie czekali na odsunięcie rygli przy pomocy hebli i narzędzi, lecz podłożyli ogień pod metalowe okucia. Ale pożar wybuchł wewnątrz, zanim drzwi zaczęły się palić, i ze skarbców popłynął gęsty, rwący strumień roztopionego metalu. Płynęły w nim dary ofiarne królów rzymskich i królów partyjskich, oszczędności ubogich z Galilei, skarby bogaczy z Jerozolimy i miast portowych, setki tysięcy monet złotych, srebrnych i miedzianych, wybitych przez Zelotów ze znakiem Makkabi i datami: „pierwszy, drugi, trzeci rok oswobodzenia”.

Z trzaskiem rozdarły się wielkie zasłony, ich płonące strzępy fruwały w powietrzu. Z hukiem zawaliło się wiązanie belek, runęły resztki murów. Nagle rozległ się dźwięk, potężniejszy od syku i trzaskania płomieni, od walenia się belek, śpiewu żołnierzy, wrzasków umierających, dźwięk przepełniający powietrze rykiem i skomleniem, dźwięk zarazem groźny i złowieszczy. To psalterion o stu tonach. Próbowano ruszyć z miejsca tego potwora, ale dano spokój, teraz wiatr pędził płomienie po strunach; pod ich działaniem poczęły dźwięczeć.

Można by przysiąc, że głos ten obudził górne miasto, które, po zniszczeniu przez żydowskich żołnierzy mostów prowadzących do Świątyni, leżało odcięte na wzgórzu. Wygłodniali, wyczerpani jego mieszkańcy widzieli dym, błysk ognia, widzieli, jak płomienie zaczęły się szerzyć, jak stopniowo całe wzgórze, na którym stała Świątynia, zdawało się płonąć od podstaw. Z wysuszonych gardzieli mieszkańców górnego miasta wydobywały się jedynie słabe pojękiwania. Kiedy jednak rozległ się potężny ryk psalterionu, konający ożywili się. Jęki ich zamieniły się w nieprzerwany lament, odbijający się od gór potężnym echem.

Tego dnia wielu ludzi z górnego miasta przybyło do Świątyni. Wezwał ich rabbi Nittai. Ukazało mu się oblicze i usłyszał głos. Ruszył do górnego miasta mimo wyczerpania, zagrzewał energicznie jego mieszkańców, by udali się do Świątyni, gdzie ukaże się dzisiaj Jehowa jako wybawca. Starczy głos tego opętanego człowieka był tak pełen wiary i brzmiał tak władczo, że wszyscy, kto tylko mógł powłóczyć nogami, usłuchali go. Były ich całe setki. Z owych wiernych tylko niewielu zdołało się uratować wraz z cofającymi się wojskami; mosty prowadzące do górnego miasta były wąskie, wojsko, wykorzystawszy je, pozrywało je za sobą. Z góry, od strony Świątyni, buchały płomienie, napierali Rzymianie. Wiernym nie pozostało nic innego, jak schronić się pod wielką kolumnadą tuż nad urwiskiem.

Rzymianie, wyganiając Żydów z wnętrza Świątyni, dotarli aż tam. Pędząc w dół po schodach, ujrzeni na dziedzińcu mężczyzn, kobiety, bogaczy i biedaków, całą górę żywego mięsa. Choć cena niewolników spadła gwałtownie wskutek znacznej ilości jeńców, tysiące zgromadzone na dziedzińcu przedstawiały pewną wartość. W najgorszym razie można ich było sprzedawać na tuziny organizatorom igrzysk. Ale żołnierze byli teraz dalecy od handlowych rozważań. Chcieli mieć zabawę, dość drogo ją okupili. Ci z piątego legionu zablokowali kolumnadę. Żydzi mieli przed sobą Rzymian, za sobą przepaść. Przyłączyli się oficerowie i pułkownicy. Przyłączył się generał Lepidus z dziesiątego legionu. Dali rozkaz zaczekania na instrukcję wodza naczelnego. Ale tym z piątego ani w głowie było czekanie. Przed chwilą odebrali godła bojowe, które dziesiąty legion utracił przed czterema laty, mieliby teraz pozwolić, żeby im jakiś generał tego legionu psuł zabawę? Nie odmawiali wręcz posłuszeństwa, śmieli się dobrodusznie. Przecież chyba panowie oficerowie nie wyobrażają sobie, żeby armia dała sobie zabrać tę masę żywego mięsa. Ze znajomością rzeczy, ustawivszy się pod kolumnadą, podpalili wiązanie dachu z

cedrowego drzewa. Kawał był istotnie wspaniały! Rozkosz było patrzeć, jak ci tam na dziedzińcu zaczęli tańczyć, jak tych, którzy pierwsi rzucili się do ucieczki, wycięto w pień, jak się wdrapywali, jak się staczali w przepaść, jak się przez chwilę zastanawiali, czy zginąć od miecza, czy też skoczyć w otchłań lub zginąć w płomieniach. Żołnierze przyglądali się z napięciem tym wahaniom przed ostateczną decyzją. Legiony słuchały z przyjemnością tak dobrze im znanych żydowskich okrzyków przedśmiertnych: „Słuchaj, Izraelu, Jehowa jest jedyny.” Słyszeli ten okrzyk często, ale nigdy z tylu ust. „Jehowo, Jehowo”, małpowali, rycząc jak osły: „Jeh, Jeh!”

Wśród okrażonych byli dwaj członkowie Synedrionu, których pułkownik Paulin znał osobiście — Meir bar Belgus i Józef bar Daleus. Paulin wezwał ich, by podeszli i poddali mu się. Przyrzekł, że im daruje życie. Ale nie ruszyli się z miejsca, aż zawałiła się kolumnada, chcieli zginąć wraz z innymi — ofiary całopalne złożone Jehowie.

Wylosowani kapłani pełnili swe funkcje jak gdyby dookoła nie działo się nic niezwykłego. Jak codziennie włożyli szaty kapłańskie, oczyścili ołtarz oraz naczynia rytualne. Już buchnęły pierwsze płomienie, już pojawili się pierwsi Rzymianie, a kapłani snuli się wśród zgiełku i wrzawy, jak gdyby nic nie widzieli.

Biało odzianych, przepasanych błękitnym pasem kapłańskim, Rzymianie na razie nie tykali. Potem jednak zmiotli ich z powierzchni tak samo jak innych. Stwierdzili nie bez zadowolenia, że człowiek przepasany błękitnym pasem Jehowy, kiedy mu się wpakuje w ciało żelazne ostrze, umiera zupełnie tak samo jak każdy zwykły śmiertelnik.

Opuszczając ze swoimi oddziałami Świątynię Jan z Giskali wyraził gotowość zabrania z sobą arcykapłana Pinchasa. Ale Pinchas odmówił. Żeby też móc pomiarkować, czego Jehowa od niego chce! Bardzo to trudno, ponieważ Jehowa obdarzył go ograniczonym rozumem. Jak by to było pięknie, gdyby był mógł pozostać robotnikiem budowlanym. Teraz snuje się bezradny, płaczliwy, szuka mętnym wzrokiem kogoś, kogo mógłby zapytać o radę, nasłuchuje trwożliwie, czy nie przemówi w nim głos Jehowy, ale nic nie słyszy. Wszystko to przypisać należy temu, że ulegając pilnującym skarbu kazał w niedostępnej kryjówce umieścić ośmiodziałową szatę, która oczyszcza z grzechów. Gdyby miał teraz na sobie tę szatę oraz święte klejnoty używane w Dniu Pojednania, płomienie kładłyby się u jego nóg jak posłuszne psy, a Rzymianie padaliby trupem.

Wraz z innymi kapłanami dostał się w ręce Rzymian. Żołnierze przygotowywali się do zgładzenia kapłanów. Kapłani błagali o litość, krzyczeli, że jest wśród nich arcykapłan. Żołnierze zawlekli ich przed Tytusa.

Tytusowi spieszo, domagają się go oddziały stojące przed południową bramą. W otoczeniu jego znajduje się generał Litem. Księżę widzi, z jakim napięciem generał patrzy na niego, uśmiechając się nieznacznie. Ten Litem nie mógł wtedy na radzie wojennej zrozumieć, dlaczego Tytus opowiadał się za oszczędzeniem Świątyni, z pewnością uważa go za estetyzującego mięczaka. A więc ten matoł to arcykapłan.

— Oszczędźcie go — mówi Tytus — chcę go pokazać w tryumfalnym pochodzie.

Potem widzi innych kapłanów, dwadzieścia nędznych szkieletów, ledwie się trzymają na nogach w swych białych, uroczystych, o wiele za szerokich szatach. Twarz jego nabiera wyrazu kapryśnego, złośliwego, dziecinnego. Odwraca się. Na odchodnym mówi do kapłanów przez ramię:

— Moi panowie, byłbym wam może darował życie z uwagi na waszą Świątynię. Ponieważ jednak, jak widać, bóg wasz nie zamierza utrzymać Świątyni, wam, jako kapłanom, wypada zginąć wraz z nią. Czy nie mam racji? — Kiedy odszedł, żołdacy zaopiekowali się kapłanami w myśl jego życzenia.

Wprowadziwszy swoich wiernych do Świątyni stary rabbi Nittai, podobnie jak pozostali kapłani, zajął się poważnie i z otuchą pełnieniem służby. Płomienie buchały, ale na jego starej,

ponurej twarzy błdził uśmiech. Wiedział, że dziś pojawi się znak. Kiedy Świątynia płonęła, nie uciekał jak inni przez dziedziniec, przeciwnie, wraz z ośmioma kapłanami wszedł po schodach do wnętrza Przybytku. Dobrze było tak kroczyć coraz wyżej, za chwilę będą na górze, pod niebem, blisko Jehowy.

Byli na dachu, na najwyższym punkcie Świątyni, mieli teraz płomienie i Rzymian u swych stóp. Dochodziły do nich wrzaski umierających i rubaszne śpiewki żołnierskie, w górnej części miasta wył psalterion. Duch wstąpił w znajdujących się na szczycie, głód wyrzeźbił ich twarze. Kołysząc się do taktu, śpiewali i recytowali pieśni wojenne i zwycięskie, zawarte w Piśmie. Powyrywali złote dzidy, umieszczone na dachu Świątyni dla ochrony przed ptakami, i miotali je na Rzymian. Śmieli się. Byli ponad płomieniami, a nad nimi unosił się Jehowa, czuli jego tchnienie. Gdy nadeszła godzina błogosławieństwa kapłańskiego, podnieśli ręce, rozstawili palce, jak nakazywał przepis, poprzez buchające płomienie wykrzykiwali błogosławieństwo kapłańskie; było im lekko na duszy.

Kiedy skończyli, Nittai wziął ciężkie klucze wielkiej bramy Świątyni, uniósł je w górę, by wszyscy mogli je zobaczyć, i zawołał:

— O Jehowo, nie uznałeś nas za godnych zarządzania Twym domem. O Jehowo, zabierz nam klucze.

Podrzucił klucze w górę. Potem zawołał:

— Czy widzicie rękę? — wszyscy ujrzeli sięgającą z nieba rękę, która pochwyciła klucze.

Potem pękły wiązania, dach się zawalił. Byli najgłębiej przekonani, że umierają błogosławioną śmiercią.

Tuż przed południem Pedan rzucił żagiew. O piątej po południu stanęła w ogniu cała góra. Pierwszy wartownik, którego wyznaczył Tytus, zauważył, pożar; skoro zapadł zmrok, dał sygnał: Świątynia padła. Zapłonęły dalsze sygnały. W ciągu godziny wiedziała o tym cała Judea i cała Syria.

W Jawneh rabbi Jochanan ben Zakkai dowiedział się o upadku Świątyni. Starzec rozdarł szaty, posypał głowę popiołem. Tej nocy zwołał naradę.

— Do dziś — obwieścił — Synedrion Jerozolimy miał moc interpretowania słowa Bożego, określania, kiedy ma być nów księżycy, kiedy pełnia, co jest słuszne, a co niesłuszne, co jest święte, a co nim nie jest; miał również moc wiązania i rozwiązywania. Od dziś upoważniona jest do tego Rada miasta Jawneh.

Pierwszym naszym zadaniem jest ustalenie, jakie są granice Pisma. Świątynia nie istnieje, całym naszym państwem stało się Pismo. Księgi jego to nasze prowincje, poszczególne jego zdania to miasta nasze i wsie. Do tej chwili słowo Jehowy było pomieszane ze słowem ludzkim. Teraz chodzi o ustalenie, które sprawy należą do Pisma, a które nie. Drugim naszym zadaniem jest utrwalenie po wsze czasy uzupełnień Tanaitów. Dotychczas cała ta nauka mogła być pod karą klątwy przekazywana jedynie z ust do ust. Zdejmujemy tę klątwę. Chcemy spisać tę tradycję ustną, obejmującą sześćset trzysta nakazów, na mocnym pergaminie, ustalić, gdzie się zaczynają, a gdzie się kończą, podmurować je tak, żeby Izrael mógł się na nich oprzeć na wieki.

My, w liczbie siedemdziesięciu jeden mężów, jesteśmy teraz wszystkim, co pozostało z państwa Jehowy. Oczyszćcie serca wasze, żebyśmy byli państwem trwalszym niż Rzym.

Powiedzieli: amen. Jeszcze tej samej nocy zdecydowali: dwadzieścia cztery księgi są święte. Czternaście ksiąg, które dotychczas uchodziły za święte, wyłączyli. Spierali się zaciekle. Badali księgi dokładnie, bacząc na to, żeby wypowiadały jedynie słowo Jehowy, a nie własne napuszone mądrości. Nie opadła ich senność podczas tej selekcji ksiąg, która miała obowiązywać na wieki, byli opętani przez Jehowę.

Rozstali się o wschodzie słońca. Teraz dopiero poczuli wyczerpanie; mimo bólu z powodu zagłady Świątyni wyczerpanie to nie było jednak beznadziejne. Kiedy inni już się rozeszli, przypomniał uczeń Arach rabbiemu Jochanan ben Zakkai:

— Doktorze mój i panie, jeszcześ mi nie podyktował słów na dzień dzisiejszy.

Pomyślawszy chwilę, rabbi podyktował:

„Kiedy cię zaproszono do stołu władcy, to raczej przyłóż nóż do gardła, zanim skuszą cię przysmaki; są bardzo zwodnicze.”

Arach patrzył na zmęczoną, zgorzkniałą twarz sędziwego rabbi; wyczuł, że rabbi lęka się w głębi serca o swego ulubieńca Józefa syna Mateusza.

Upadek Świątyni nastąpił 29 sierpnia roku 823 po założeniu miasta Rzymu, dnia 9 miesiąca *ab* roku 3830 wedle rachuby żydowskiej. Również 9 dnia miesiąca *ab* pierwsza Świątynia została zburzona przez Nabuchodonozora. Ta druga Świątynia stała sześćset trzydzieści dziewięć lat, jeden miesiąc i siedemnaście dni. Przez cały ten czas rankiem i wieczorem składano całopalną ofiarę ku czci Jehowy, tysiące kapłanów dokonywały ceremonii zgodnych z rytuałem i przepisami zawartymi w Trzeciej Księdze Mojżesza, które uzupełniły pokolenia uczonych w Piśmie.

Świątynia płonęła jeszcze dwa dni i dwie noce. Trzeciego dnia z licznych bram zostały tylko dwie. Pośród gruzów, na potężnych blokach ołtarza, naprzeciw samotnej bramy wschodniej, zatknęli teraz Rzymianie swoje orły i składali im ofiarę zwycięstwa. Kiedy więcej niż sześć tysięcy nieprzyjacielskich trupów pokrywało pole walki, armia zwykła była obwoływać swego dowódcę cezarem. Z wysokiego ołtarza Tytus przyjął w tym charakterze hołd swych wojsk.

Tam, gdzie kiedyś unosiły się kłęby dymu ku czci Jehowy, stał teraz zamiast niewidzialnego Boga Tytus, bożek z krwi i kości. Trzymał w ręku buławę marszałkowską, na plecy miał zarzucony czerwony płaszcz, złoty orzeł rozpiął nad nim swe skrzydła. Legiony defilowały przed nim, uderzały tarczą o tarczę, wołały: „Witaj, cesarze Tytusie!” Zgrzyt żelaza i tryumfalne okrzyki żołnierzy brzmiały godzinami w uszach Tytusa.

Tęsknił za tą chwilą, odkąd ojciec jego powierzył mu w Aleksandrii dowództwo wyprawy. Teraz reagował na nią chłodno. Nie ma Bereniki, uciekła przed widokiem płonącej Świątyni, przed nim, który złamał słowo. Czy złamał? Przecież dał wyraźny rozkaz oszczędzania Świątyni. To bogowie postanowili inaczej, prawdopodobnie sam Bóg żydowski, oburzony na zuchwalstwo i zakamieniałość swego ludu. Nie, dowódca nie jest winien zagłady Świątyni. Tytus postanawia ukazać całemu światu przebieg wypadków we właściwym świetle.

Kilku pojmanych Żydów zeznało, że pożar zaczął się w komorze, w której przechowywano drzewo. Próbowali go ugasić, ale żołnierze rzymscy rzucali przez okno coraz nowe płonące żagwie. Mogły to zrobić tylko oddziały przeznaczone do gaszenia i uprzątnięcia gruzów. Tytus oddał Pedana i jego żołnierzy pod sąd wojenny, któremu sam przewodniczył.

Przed zebraniem się sądu miał rozmowę z marszałkiem Tyberiuszem Aleksandrem.

— Czy nienawidzi mnie pan za to, że spaliłem Świątynię tego Jehowy? — zapytał marszałka.

— Czy to ty, cesarze Tytusie, spaliłeś Świątynię? — odpowiedział marszałek pytaniem na pytanie.

— Nie wiem — rzekł Tytus.

Zapytano oskarżonych:

— Czy pierwsza kohorta rzucała do Świątyni płonące głownie?

— Nie wiemy, cesarze Tytusie — odpowiedzieli żołnierze tubalnie, szczerze, po koleżeńsku. Żaden z nich nie widział, żeby kapitan Pedan rzucił choćby jedną głownię.

— Możliwe — oświadczył Pedan — żeśmy się ogniem bronili przed Żydami. Rozkaz brzmiał: „Odeprzeć z energią wroga.” „Z energią” — można rozumieć przez to również ogień, jeżeli się ma właśnie głównię pod ręką.

— Czy miałeś zamiar oszczędzać budynki, kapitanie? — padło dalsze pytanie.

Pedan wzruszył ramionami. Stary, dzielny żołnierz patrzył prosto i dobroduszenie na swoich sędziów.

— Był to — oświadczył — gruby, kamienny mur, którego nie mogła skruszyć żadna machina. Wewnątrz znajdowały się kamienne posadzki i kamienne schody. Kto mógł przypuszczać, że ogień chwyci kamień. Takie było widocznie zrządzenie bogów.

— Czy widziałeś, kapitanie — pytano dalej — plan Świątyni? Czy wiedziałeś, że za oknem obramowanym złotem mieści się komora z drzewem?

Kapitan Pedan ociągał się nieco z odpowiedzią. Jego żywe oko spoglądało na księcia, na sędziów i znowu na księcia. Uśmiechnął się chytrze, podkreślając tym uśmiechem, że rozumie Tytusa, wszyscy to widzieli. Potem zwrócił się wprost do księcia, skrzeczącym głosem oświadczył czelnie i beztrusko:

— Nie, cesarze Tytusie, nie wiedziałem, że za oknem jest drzewo.

Tyberiusz Aleksander był pewien, że kapitan Pedan kłamie. Był również pewien, iż Pedan uważa, że postąpił słusznie; był przekonany, iż wykonał tylko nie wypowiedziane przez księcia polecenie. Marszałek zdawał sobie sprawę, że księżę i ten kapitan, choć tak wydawali się różni od siebie, byli w gruncie rzeczy takimi samymi barbarzyńcami. Księżę przysiągł sobie i wszystkim utrzymać Świątynię. Zapewne czynił to szczerze i uczciwie, ale w głębi duszy chciał od początku, zupełnie tak samo jak Pedan, zmiażdżyć tę świętość, zdeptać butami.

Pozostali, kapitanowie, podoficerowie, szeregowcy twierdzili nadal, że nic nie widzieli. Żaden nie potrafił sobie wytłumaczyć nawet w przybliżeniu, wskutek czego powstał pożar. Na wszystkie pytania mieli jedną i tę samą odpowiedź: „Nie wiemy, cesarze Tytusie.”

Tytus był podczas rozprawy jakoś dziwnie niespokojny. Bezczelne spojrzenie porozumiewawcze, które mu rzucił ten plugawy Pedan, oburzyło go do głębi. Odsunął teraz od siebie trapiące go niegdyś wątpliwości, czy też nie współuczestniczył w wybrykach tego nicponia. Czy rozkaz jego nie był dość jasny? Czy nie dbał zawsze o żelazną dyscyplinę? Czekał z napięciem na opinię swoich generałów, postanowił sobie jednak z góry, że nie ulaskawi ulubieńca armii, gdyby go skazali na śmierć.

Ale żaden z nich nie myślał o podobnej demonstracji. Rozprawiali mętnie. Może należałoby tego lub owego przenieść do oddziałów karnych.

— A Pedana? — zawołał Tytus gwałtownie, syczącym głosem.

Nastąpiło niemiłe milczenie. Nikt nie chciał wziąć na siebie ryzyka dania po łbie Pedanowi, odznaczonemu wieńcem z ziół. Generał piątego legionu, Cerealis, miał właśnie powiedzieć coś w tym duchu, kiedy zabrał głos marszałek Tyberiusz Aleksander. To, co Pedan prawdopodobnie uczynił — wywodził zawile — albo na co przynajmniej z całą świadomością pozwolił, tego chciała cała armia. Nie jednostka jest winna haniebnego czynu, który na wieki wieków splamił rzymskie imię. Cichym, uprzejmym głosem zaproponował, żeby zwołać wszystkich oficerów i szeregowców, którzy brali udział w pracach nad uprzątnięciem terenu Świątyni, i co dziesiątego rozstrzelać.

Właśnie dlatego, że przemówieniu marszałka nie można było odmówić logiki i konsekwencji, wywołało ono jednomyślne i gwałtowne oburzenie. To bezczelność, że ten Żyd chce swoje żale i urazy wyrzucić na rzymskich legionach. Ogłoszenie wyroku zostało odłożone.

Skończyło się na niczym. W mdłym rozkazie dowództwo wyraziło pierwszej kohorcie swe niezadowolenie za to, że nie umiała zapobiec pożarowi.

Tytus był do głębi oburzony wynikiem dochodzenia. Usprawiedliwianie się przed tą kobietą jest teraz beznadziejne. Lękał się dowiadywać, dokąd się udała, obawiał się, czy nie ogarnął jej ów dziki kaprys, który już trzykrotnie wypędził ją na pustynię, żeby tam, umartwiając ciało, usłyszeć głos swego Boga.

Po jakimś czasie dowiedział się, że udała się do małej miejscowości Thekoa. Miejscowość ta była odległa zaledwie o parę godzin od Jerozolimy. Ale wiadomość ta go nie pocieszyła. Czego szukała w tej na pół zburzonej dziurze? Czy chciała mieć przed oczyma zrąbane pnie gaju pinio-wego, jako ciągłe przypomnienie, że nie spełnił nawet tej małej prośby, którą wyraziła?

Szeroka twarz Tytusa stała się posępna, trójkątna broda wysunęła się jeszcze bardziej naprzód, wyglądał teraz jak przekorny, złośliwy chłopak wiejski. Co ma robić? Nie ma nic do powiedzenia, co by ją mogło przekonać. Czy ma mówić brutalnie i grzmiąco o prawie wojennym, dowieść jej, że jest panem, Rzymianinem? Nie osiągnie więcej aniżeli owej nocy, kiedy ją wziął gwałtem.

Zabraniał sobie myśleć o tej kobiecie. Ma dosyć pracy, żeby się od niej oderwać. Stoi jeszcze stare miasto, górne miasto. Ma grube, potężne mury, nie można ich zdobywać gołymi rękami, trzeba od nowa pracować machinami, podminować bramy. Wyznaczy sobie termin. Po zdobyciu górnego miasta stanie przed tą kobietą.

Na razie kazał zrównać z ziemią wszystko, co się tylko na zdobytym terenie zrównać dało. Kazał rozbijać kamienie, burzyć ściany. Ogarnęła go żądza niszczenia. Wytworne domy na skraju urwiska za Świątynią, dzielnica plebejska Ofla, stare, solidne budowle dolnego miasta zostały spustoszone. Ratusz i archiwum, podpalone już na początku wojny domowej, zostały teraz zniszczone doszczętnie. Akta hipoteczne, dokumenty kupna-sprzedaży, wyryte w spiżu traktaty państwowe, uwiecznione na pergaminie rezultaty długich rokowań i namiętnych targów na giełdzie — wszystko to zostało obrócone wniwecz. Całe terytorium Świątyni oraz przylegające do niej części miasta zostały wydane na pastwę żołnierzy. Z gruzów i pogorzeliisk żołnierze przez wiele tygodni wyławiali coraz to nowe złoto, coraz to nowe skarby. Schodzili również, nie bez narażania się na niebezpieczeństwo, do podziemnych korytarzy wzgórze, na którym wznosiła się Świątynia; wielu zablądziło tam i nie ujrzało już światła dziennego, niektórzy znajdowali śmierć w walce ze zbiegami, którzy się w tych podziemiach ukryli. Ale niebezpieczeństwo opłacało się, podziemia były kopalnią złota. Wypływały na powierzchnię coraz nowe, ukryte dotychczas skarby Świątyni; natrafiono wśród nich na słynną ośmiodziałową szatę, której brak arcykapłan Pinchas tak boleśnie odczuwał. Klejnoty, szlachetne metale, rzadkie tkaniny piętrzyły się w rzymskich składach, handlarze mieli pełne ręce roboty, cena złota na całym Wschodzie spadła o dwadzieścia siedem procent.

W dolnym mieście wznosiła się jeszcze jedna świętość żydowska: mauzoleum królów Dawida i Salomona. Osiemdziesiąt lat temu Herodes w nocy, potajemnie otworzył kryptę, skuszony pogłóskami o ukrytych tam rzekomo olbrzymich skarbach. Kiedy jednak usiłował dotrzeć do środka, tam gdzie spoczywały szczątki dawnych królów, zagroziły mu drogę płomienie; pochodnie, którymi oświecano mu drogę, zapaliły nagromadzone w krypcie gazy ziemne. Tytus nie uląkł się. Wtargnął ze swoimi oficerami do ostatniej komory. Leżały tu zwłoki obu królów w złotych zbrojach i koronach na skroniach, olbrzymie barwne pierścienie wisiały luźno na kościach ich palców. Zaopatrzone ich w lampy, wazy, talerze i dzbany, dano im książki rachunkowe Świątyni, żeby mogli udowodnić Jehowie, że postępowali uczciwie i zbożnie. Marszałek Tyberiusz Aleksander otwierał księgi i przyglądał się wyblakłym literom i cyfrom. Tytus zdjął olbrzymią koronę z jednej z czaszek, szerokimi, krótkimi rękami wsadził ją na własną głowę, zwrócił się w stronę otaczających go panów.

— Nie do twarzy ci w tej koronie, cesarze Tytusie — rzekł sucho marszałek.

Józef patrzył na pożar Świątyni z napiętą uwagą, jak badacz obserwujący zjawisko natury. Zawział się, chciał być tylko okiem, chciał widzieć cały przebieg: początek, środek, koniec. Podchodził raz po raz jak najbliżej pożaru, przemierzył setki razy płonąca dzielnicę; mimo ogromnego zmęczenia nie odczuwał senności. Patrzył, słuchał, wachał, stwierdzał, wrażliwa jego pamięć notowała wszystko.

25 września, miesiąc po upadku Świątyni, pięć miesięcy po rozpoczęciu oblężenia, padło górne miasto Jerozolima. Podczas gdy kohorty rzucały kości o poszczególne dzielnice, które miały być splądrowane, ulica za ulicą, Józef udał się naprzód do fortu Fazael, w którym przywódcy żydowscy umieścili swych jeńców. Chciał wydostać z więzienia ojca i brata. Ale fort był pusty, piętrzyły się w nim tylko trupy zmarłych z głodu. Nie znalazł tych, których szukał. Może przy wdzieraniu się Rzymian ludzie spod znaku Makkabi pozabijali swoich więźniów, może część ich uratowała się w podziemiach.

Józef szedł dalej w głąb miasta wśród pożogi i wrzawy, uzbrojony w chłodną rzeczowość kronikarza. Przez cały długi, skwarny dzień letni przemierzał strome ulice, schody i przejścia, poczynając od pałacu Herodesa, kończąc na górnym rynku. Po tych ulicach i zakamarkach obijał się przez lat trzydzieści, jako dziecko, młodzieniec i dorosły mężczyzna. Znał tu każdy kamień. Ale zagłuszał ból, chciał być tylko i wyłącznie okiem i rysikiem.

Był bez broni, miał jedynie u pasa złote przyrządy do pisania. Kręcenie się po wydanej na łup wroga Jerozolimie nie było bezpieczne, zwłaszcza kiedy się wyglądało na Żyda. Chroniłaby go otrzymana od Tytusa odznaka z głową Meduzy. Ale nie umiał zdobyć się na jej nałożenie.

Poszedł po raz trzeci na ulicę Rybacką, do domu swego brata. Dom był pusty, wszystkie ruchomości zostały wyniesione. Żołnierze splądrowali właśnie dom sąsiedni i zabierali się do podpalenia go. Józef spojrział przez otwartą bramę na dziedziniec. W zgiełku, wśród gruzów stał tam jakiś starzec w płaszczu modlitewnym na ramionach, z filakteriami na czole i na ramieniu. Józef podszedł bliżej. Stary modlił się głośno, kiwając się, kłaniając w pas, była to bowiem godzina Osiemnastu Prośb. Modlił się żarliwie, całym ciałem, jak nakazywał przepis; kiedy przyszła kolej na czternastą prośbę, modlił się tak, jak się modliło podczas wygnania w Babel: „Niechaj ujrzą oczy nasze, gdy powrócisz do Jerozolimy, w miłosierdziu.” Były to słowa zaginione, zachowane jedynie przez uczonych, należały do historii, od lat sześciuset pięćdziesięciu żaden człowiek już się tak nie modlił. Ale stary wypowiadał je w dniu, w którym znowu nabrały sensu, z wiarą, jak coś zrozumiałego samo przez się. Modlitwa jego zrobiła większe wrażenie na Józefie niż wszystkie okropności owego dnia. Poprzez narzucony siłą woli pancierz obojętności przełamało się nagle szarpiące duszę wzruszenie wywołane upadkiem rodzinnego miasta.

Żołnierze, zajęci płonącym domem, nie troszczyli się dotychczas o starca. Teraz, pokpiwając sobie z niego, otoczyli go kołem, zaczęli go małpować, wołając: „Jeh, Jeh”, dopadli go, zdarli mu z głowy modlitewną szatę, kazali mu powtarzać: „Jehowa jest osłem, a ja jestem parobkiem tego osła.” Targali go za brodę, poszturchiwali. Wówczas wdał się w to Józef. Zażądał władcym tonem, żeby żołnierze zostawili starca w spokoju. Ani-myśleli go usłuchać. Kimże jest, że im chce rozkazywać? Józef oświadczył, że jest sekretarzem osobistym księcia i działa w porozumieniu z nim. Czy Tytus nie zgodził się, żeby sobie wyprosił siedemdziesięciu jeńców? Żołnierze odpowiedzieli, że każdy może tak twierdzić. Wpadli w furję, wymachiwali bronią. Sam jest zapewne Żydem, skoro nie ma broni i mówi po łacinie z żydowska. Byli pijani, żądni widoku krwi. Wmieszanie się obecnie, bez możliwości okazania pisemnego rozkazu, było ze strony Józefa szaleństwem. Wyszedł cało z bitwy pod Jodfat, z wielu innych niebezpieczeństw, ale teraz zginie tutaj śmieszłą śmiercią, padnie ofiarą pomyłki pijanych

żołdaków.

— Popatrzcie na mnie — zwrócił się do żołnierzy. — Czy nie byłbym chudszy, gdybym naprawdę należał do obłączonych?

Przekonało ich to, puścili go wolno.

Józef poszedł do księcia. Zastał go w złym humorze. Termin, który sobie Tytus postawił, minął. Jerozolima padła, jutro, najpóźniej pojutrze ruszy konno do Thekoa. Rozmowa z tą kobietą nie będzie przyjemna.

Józef prosi potulnie o skrypt na zwolnienie siedemdziesięciu ludzi, których wolność książę mu zagwarantował. Tytus napisał zlecenie z wyraźną niechęcią. Pisząc je powiedział od niechcenia:

— Dlaczego nigdy nie prosiłeś mnie o pozwolenie, żeby tu przybyła twoja Dorion?

Józef, zdziwiony, milczał przez krótką chwilę.

— Obawiałem się — powiedział wreszcie — że obecność Dorion nie pozwoliłaby mi wziąć tak żywego udziału w twojej wyprawie, ceszarze Tytusie, bym ją mógł potem opisać.

Tytus rozgniewany odparł na to:

— Wy, Żydzi, jesteście wszyscy tak obrzydliwie konsekwentni.

Józefa uraziły te słowa. Miał zamiar żądać więcej niż siedemdziesięciu jeńców, stanąwszy jednak przed obliczem księcia poniechał swego zamiaru. Teraz uświadomił sobie nagle, że wszystko zależy od tego, by Tytus dał mu do dyspozycji jak najwięcej istnień ludzkich.

Ostrożnie, bardzo uniesienie poprosił:

— Cezarze Tytusie, nie pisz: siedemdziesięciu, napisz: stu.

— Ani mi to w głowie — rzekł książę. Spojrzał na Józefa złowrogo, głos jego miał rubaszne brzmienie głosu ojca. — Dziś nie dałbym ci nawet tych siedemdziesięciu — powiedział.

Józef nigdy nie byłby się odważył prosić dalej. Ale tym razem coś go do tego pchało. Musi się upierać. Jeżeli się dziś nie uprze, jest zgubiony.

— Cezarze Tytusie, daj mi siedemdziesięciu siedmiu — prosił.

— Milcz — rzekł Tytus. — Miałbym ochotę odebrać ci siedemdziesięciu.

Józef wziął tabliczkę, podziękował, poprosił o eskortę i ruszył z powrotem do miasta.

Ze zbawczą tabliczką za pasem przemierzał ulice. Na każdym kroku morderstwa. Kogo ratować? Nie miał wielkiej nadziei, że zostanie przy życiu ojca i brata. Miał w Jerozolimie przyjaciół, wśród nich i kobiety. Zobaczyłby się z nimi chętnie, ale wiedział, że nie dla nich wzbudził wtedy nad śmiertelną przepaścią litość w sercu Tytusa. I nie dla nich nalegał teraz na księcia z taką zuchwałą natarczywością. Ratowanie ludzi to rzecz dobra i niemała zasługa, ale czymże jest ta jego żalosna siedemdziesiątka w porównaniu z setkami tysięcy, które tutaj umierają? Jeszcze nie chce sobie tego uświadomić, jeszcze to z całą siłą odpycha od siebie, zamyka oczy, ale już wyrasta przed nim określone oblicze.

Tego właśnie szuka.

Tak, szuka i musi znaleźć. Nie ma czasu, nie wolno mu rezygnować, wśród setek tysięcy musi odnaleźć tego jednego. Nie chodzi o siedemdziesięciu jakichś tam, idzie o kogoś wyraźnie określonego. Ale dokoła niego mordują ludzi, a on ma za pasem zbawczą tabliczkę, a w piersi bijące serce. Powinien iść dalej, nie zatrzymywać się, ma swoje zadanie, musi znaleźć wiadome oblicze. Ale ciężko jest w poszukiwaniu tego oblicza przechodzić w milczeniu i obojętnie obok tych, których mordują, gdy się ma możliwość powiedzieć im: „żyj!” I Józef nie przechodzi obojętnie, mówi: żyj, jednemu, bo wzruszył go jego strach, drugiemu, bo jest taki młody, trzeciemu, ponieważ spodobała mu się jego twarz. Powtórzył słowo: „żyj”, pięciokrotnie,

dziesięciokrotnie, dwudziestokrotnie. Potem opamiętał się. Miał przecież wyraźne zadanie. Więc zmusił się, by mijać ludzi, którzy umierali dlatego tylko, że się przy nich nie zatrzymał. Ale nie mógł tego znieść długo. Znowu zaczął powtarzać napotkanym: „żyj!” Dopiero kiedy złorzeczącym żołnierzom, którzy niechętnie słuchali rozkazu, wydarł z kolei pięćdziesiątego, znowu stanęło mu w pamięci zadanie, które miał wypełnić, i poskromił swój zapał. Jeżeli tak będzie postępował dalej, stanie przed tym, którego szuka, z pustymi rękami.

Ucieka sam przed sobą do synagogi pielgrzymów aleksandryjskich. Zabierze teraz te siedemdziesiąt zwojów Pisma świętego, które mu przyrzekł Tytus. Grabieżcy byli już w synagodze. Wyrzucili ze skrzyń święte księgi, zdarli z nich kosztowne haftowane osłony. Szlachetne zwoje, pokryte cennymi znakami, leżały teraz postrzępione, splamione krwią, podeptane żołnierskimi butami. Józef schylił się ociężale, podniósł z krwi i pyłu jeden ze zhańbionych pergaminów. W dwóch miejscach coś było wycięte. Wycinek miał formę ludzkiej stopy. Józef zrozumiał: żołnierze powycinali sobie ze zwojów wkładki do butów. Odruchowo zrekonstruował brakujące miejsca: „Nie uciskaj w swoim kraju cudzoziemca, nie bądź wobec niego zbyt twardy, sam bowiem byłeś cudzoziemcem w Egipcie.”

Józef pozbierał powoli postrzępione zwoje, podniósł je ostrożnie w górę, przyłożył do nich w pokorze czoło i usta, jak nakazywał obyczaj, ucałował je. Nie mógł ich powierzyć rzymskim rękóm. Wyszedł na ulicę poszukać Żydów, którzy by mu je zanieśli do namiotu. Ujrzał grupę ludzi wspinających się na Górę Oliwną, zorientował się, że to jeńcy schwytani z bronią w ręku. Poddano ich chłóście, potem na wychłostane karki położono poprzeczne belki i przywiązano do nich wyciągnięte ramiona. Wlekli sami drzewo, na którym mieli zawisnąć i umrzeć. Na widok umęczonych twarzy Józef zapomniał o swym zadaniu, krzyknął: „Stać!”, pokazał kapitanowi, który prowadził skazańców, tabliczkę z podpisem Tytusa. Mógł uratować życie jeszcze tylko dwudziestu ludziom, a skazańców było dwudziestu trzech. Dwudziestu zdjęto z pleców belki, spoglądali tępo, byli na pół żywi po chłóście, nie zdawali sobie dobrze sprawy, co się dzieje. Zamiast belek otrzymali teraz zwoje Pisma, zamiast na Górę Oliwną kazano im udać się do obozu rzymskiego, do namiotu Józefa. Była to dziwna procesja, żołnierze śmieli się do rozpuku. Na czele jej ciągnął przez miasto Józef ze złotymi przyborami do pisania u pasa, ze zwojami Pisma na ramieniu; niósł je tak czule, jak by to były małe dzieci. Za nim wlokła się obładowana zwojami Pisma, ledwie trzymająca się na nogach grupka Żydów.

Tytus przebył drogę do Betlejem bardzo szybko; między Betlejem i Thekoa ściągnął cugle, jego wierzchowiec zwolnił nieco kłusa. Ma przed sobą ciężkie zadanie. Na imię mu Berenika. Najgorsze, że nie może walić w prawo i w lewo, nie jest w stanie nic zrobić. Może tylko czekać na decyzję tej kobiety.

Droga jest teraz bardzo stroma. Thekoa leży na skale naga i odludna, za nią rozciąga się pustynia. Miejscowy komendant ustawił swoich ludzi na przyjęcie wodza. Jest to ów kapitan Walens, który kazał wyrąbać gaj. Twarz ma ani mądrą, ani głupią, uczciwą, męską. Otrzymał rozkaz oszczędzania gaju i oszczędzał go; otrzymał rozkaz wyrąbania gaju i wyrąbał go. To dziwne, że Tytusowi nie udało się dotrzymać słowa danego tej kobiecie.

Stoi przed jej domem. Dom położony na skalnym szczycie jest niewielki, spróchniały. Zbudowany został swego czasu dla księżąt Makabeuszów, których wygnano na pustynię. Widać stąd pustynię. Tak, Berenika mimo wszystko poszła na pustynię.

Na spotkanie gościa wychodzi jakiś obdartus bez liberii. Tytus każe mu powiedzieć księżniczce, że przyjechał. Nie zawiadomił jej zawczasu o swoim przybyciu, może nie zechce go widzieć. Czeka jak oskarżony na sędziego. Nie chodzi o to, że spalił Świątynię. Przed sądem staje nie to, co uczynił, lecz jego istota, to, czym jest. Twarz jego, jego postawa są równocześnie oskarżeniem i obroną. Władca stu tysięcy znakomitych żołnierzy i ogromnego sprzętu

wojennego, człowiek o nieograniczonych pełnomocnictwach na obszary Wschodu od Aleksandrii po granice Judei, stoi teraz oto i dalsze jego życie zależy od tego, czy ta kobieta powie tak, czy nie. Jest bezbronny, może tylko czekać.

Tam, na górze, otwiera się brama, ukazuje się w niej Berenika. Właściwie to rzecz sama przez się zrozumiała, że przyjmuje ze czcią wodza naczelnego, pana tego kraju, ale dla Tytusa ulgą jest już to, że Berenika tam stoi, że jest tutaj. Ma na sobie skromną szatę z jednej sztuki, jakie noszą kobiety w tym kraju. Jest piękna, królewska. Tytus stoi, spogląda w górę, opętany, pokorny. Czeka.

Berenika wie, że teraz po raz ostatni trzyma w rękę swój los. Przewidywała, że człowiek ten kiedyś przyjdzie, ale nie przygotowała się na spotkanie z nim, licząc na to, że Bóg, jej Bóg Jehowa, każe jej w odpowiedniej chwili odpowiednio postąpić. Stoi na górze, na schodach, widzi żądę Tytusa, jego opętanie i pokorę. Nieraz łamał dane słowo, wziął ją przemocą, znowu zastosuje wobec niej przemoc. Ma najlepsze zamiary, ale jest barbarzyńcą, synem barbarzyńcy, a to jest silniejsze od jego zamiarów. Nic już jej nie zmusza, ten człowiek pozrywał wszystko, przeszłość nie powróci. Musi się na nowo zdecydować, wolno jej to zrobić. Dotychczas mogła mówić, że odwiedza Tytusa przez wzgląd na Świątynię. Teraz nie ma już pretekstu, ten człowiek spalił Świątynię. Do kogo ma odtąd należeć, do Żydów, czy do Rzymian? Zależy to od niej po raz ostatni. Dokąd ma pójść? Do Tytusa? A może do Jawneh, do Jochanana ben Zakkai, który chytrze, wspaniale buduje od nowa żydostwo, bardziej uduchowione, bardziej giętkie, a jednak mocniejsze niż dotąd? A może ma pójść do swego brata, prowadzić życie wielkiej damy, zgiełkliwe i puste? A może winna udać się na pustynię i czekać, aż usłyszy głos?

Stoi i patrzy. Czuje płynący od niego zapach krwi, w uszach jej brzmi budzące grozę „hep, hep”, które dyszała w obozie i które niezawodnie rozbrzmiewa również w sercu tego człowieka. Byłoby lepiej, gdyby wróciła do domu. Za domem zaczyna się pustynia, jest tam tak dobrze. Ale Berenika nie cofa się, stoi, lewą nogę trzyma jeszcze na progu, prawą już go przekroczyła. Rozkazuje sobie: „Cofnij się.” Ale się nie cofa. Zeszła stopień w dół, potem jeszcze jeden. Wie, że jest zgubiona. Zdobywa się na odwagę, chce być zgubiona. Schodzi po schodach.

Człowiek stojący na dole widzi to. Widzi, jak idzie ku niemu wspaniałym, ukochanym krokiem Bereniki. Tytus promienieje szczęściem, rzuca się naprzód, wspina się pod górę. Ma twarz młodzieńca, uszczęśliwionego chłopaka, którego błogosławią wszyscy bogowie. Wyciąga do niej ramiona, biegnąc w górę wydaje radosny okrzyk:

— Nikion!

Noc spędza w małym, opuszczonym domu. Następnego dnia, uszczęśliwiony, rusza konno do Jerozolimy. Spotyka Józefa. Zapytuje go:

— Mój Józefie, chciałeś siedemdziesięciu siedmiu jeńców, prawda? Weź ich sobie.

Z tabliczką, na której widniało pełnomocnictwo Tytusa, za pasem, udał się Józef do Świątyni, na dziedziniec kobiet, który służył teraz za punkt zborny jeńców. W ciągu wszystkich tych dni trapiło go bardzo, że swoje możliwości ratowania ludzi od śmierci roztrwonił w sposób tak lekkomyślny. Teraz rozpoczął na nowo dręczące poszukiwania w nadziei, że dadzą pożądany rezultat.

Organizacją punktu zbornego kierował nadal Fronto, który tymczasem awansował na pułkownika. Fronto zajął się osobiście oprowadzaniem Józefa. Nie cierpi tego Żyda, ale wie, że Józef ma polecenie napisania księgi, i chciałby się dobrze zaprezentować. Tłumaczy mu, jak trudno zarządzać punktem zbornym o takim zasięgu. Rynek na niewolników jest beznadziejnie zatłoczony. Jak aprowidować tę hołotę, dopóki się nie dostanie do swego Pana? Jego drogie dziatki zeszły na psy, nic tylko skóra i kości, poza tym srożą się wśród nich zaraźliwe choroby.

W ciągu jednego tygodnia zmarło jedenaście tysięcy. Nawiasem mówiąc, wielu z nich są sami sobie winni. Nasi legioniści są dobrodusznymi, skłonni do żartów i dowcipów, niejednokrotnie częstują jeńców wieprzowiną. Ale to po prostu nie do wiary, te draby wolą zdychać niż zjeść świńskie mięso.

Jeńców, których schwytano z bronią w ręku, Fronto nie żywi, lecz każe ich oczywiście z miejsca zabijać. Co się tyczy pozostałych, to stara się znaleźć krewnych, którzy by zapłacili okup. Ma nadzieję, że nie wykupionych pozbędzie się w ciągu jakiegoś pół roku drogą przetargów w wielkim stylu. Jeńców, którzy nie przedstawiają wartości rynkowej, starszych, słabowitych mężczyzn, starsze kobiety, wszystkich, którzy nie odznaczają się zręcznością, odrzuca, dostarcza ich jako przynętę dla dzikich zwierząt w czasie igrzysk.

Józef kroczył wolno, w milczeniu, obok wygadanego pułkownika Fronto. Jeńcy mieli zawieszane na szyi tabliczki z nazwiskiem i krótką charakterystyką, siedzieli albo leżeli w skwarze i smrodzie, od tygodni mieli przed oczyma widmo śmierci, wysączyli do ostatniej kropli czarę nadziei i strachu.

Józef przechodził teraz obok grupy przeznaczonych na przynętę dla dzikich zwierząt podczas igrzysk.

— Rabbi Józefie — zawołał żałośnie i równocześnie z radością jakiś stary człowiek, zarośnięty, z szarą twarzą i zmierzwionym włosiem. Józef szukał na próżno w pamięci, kto to być może.

— Jestem wydymacz szkła Aleksas — powiedział stary.

Co takiego?! Ten człowiek miałby być rozsądnym, obrotnym kupcem? To ma być dorodny niegdyś, tęgi Aleksas, rówieśnik Józefa?

— Ostatni raz widziałem cię na jarmarku w Cezarei, rabbi Józefie — przypomniał mu tamten. — Rozmawialiśmy o tym, że ten, kto się opowiada za rozsądkiem, musi cierpieć.

Józef zwrócił się do pułkownika Fronto:

— Mam wrażenie, że ten człowiek nigdy nie należał do buntowników.

— Przekazała mi go komisja śledcza — odparł Fronto wzruszając ramionami.

— Rzymska procedura sądowa nie jest zła — wtrącił się nieśmiało Aleksas uśmiechając się lekko — ale bywa tu czasem stosowana trochę bezwzględnie.

— Niezły kawał — roześmiał się Fronto. — Do czego byśmy jednak doszli, gdybyśmy mieli rewidować wszystkie decyzje? „Lepsza niesprawiedliwość niż naruszenie porządku”, brzmiał rozkaz wodza przy powierzaniu mi punktu zbornego.

— Nie troszcz się o mnie, rabbi Józefie — powiedział Aleksas z rezygnacją. — Jestem tak przywalony nieszczęściami, że najlepsze chęci już na to nie pomogą.

— Proszę o tego człowieka — rzekł Józef i pokazał tabliczkę.

— Jak sobie życzysz, rabbi — odparł uprzejmie pułkownik Fronto. — Masz jeszcze sześcioro, których możesz

oswobodzić — stwierdził, umieszczając na tabliczce swój podpis.

Józef kazał zaprowadzić Aleksasa do swego namiotu, gdzie czule i tkliwie zaopiekował się wyczerpanym, smutnym człowiekiem. Aleksas opowiadał, jak przy wtargnięciu Rzymian zawlókł swego ojca do podziemi, żeby ratować siebie i jego. Stary Nachum opierał się. Jeżeli zginie w domu swego syna, wywodził, to jest cień nadziei, że go ktoś znajdzie i pogrzebie. Jeżeli jednak zginie w podziemiach, będzie leżał nie pogrzebany, ziemia go nie przykryje, straci oblicze swe w dniu zmartwychwstania. Wreszcie namowami i przemocą sprowadził starego do podziemi, ale wkrótce zgasała im pochodnia i zabłądzili. Po jakimś czasie pochwyliło Aleksasa dwóch żołnierzy. Połaskotany ich mieczami pokazał im nieco z tego, co zakopał. Ponieważ dał im do zrozumienia, że jest tego więcej, zachowali go na razie dla siebie i nie dostarczyli na punkt

zborny. Byli to dwaj weseli chłopcy, dobrodusznym, poza tym z dwoma żołnierzami można porozmawiać, ale na punkcie zbornym rozmowa z armią rzymską jest wykluczona. Musiał im opowiadać dowcipy. Kiedy im się nie podobały, przywiązywali mu ręce i nogi do drzewa i huścili go. Było to nieprzyjemne. Na ogół jednak dowcipy jego im się podobały. Obaj żołnierze nie należeli do najgorszych, można było sobie z nimi poradzić. Włóczyli się tak z nim przeszło tydzień, kazali mu pokazywać przed innymi sztuki, opowiadać dowcipy. Żydowski akcent jego łaciny bawił zarówno ich, jak ich kolegów. Doszli wreszcie do przeświadczenia, że się nadaje na odzwiernego, i chcieli go zatrzymać dopóty, dopóki go komuś nie sprzedadzą. Odpowiadało mu to. Było to lepsze niż zgnieć w kopalni egipskiej lub zakończyć życie na syryjskiej arenie. Ale po jakimś czasie dwaj żołnierze ulotnili się, a ich koledzy przekazali go na punkt zborny.

„Wszystko to spotkało mnie dlatego — medytował Aleksas — ponieważ nie słuchałem głosu rozsądku. Gdybym w porę opuścił Jerozolimę, miałbym jeszcze przynajmniej żonę i dzieci. Ale chciałem mieć wszystko, chciałem mieć także ojca i brata.” Poprosił Józefa, żeby pozwolił ofiarować sobie wazę *murrino*. Tak, ten mądry Aleksas miał jeszcze rezerwy. Oświadczał z goryczą, że ostatnio niemało uratował, ale nie zdołał ocalić tego, co najważniejsze. Gdzie jest jego ojciec Nachum? Gdzie jest jego żona Channa, jego dzieci, jego uroczy, porywczy, niemądry brat Efraim? To, co on sam wycierpiał, przechodzi ludzkie pojęcie. Aleksas będzie dalej wyrabiał szkła i inne piękne rzeczy. Ale nie ma łaski u Boga i nie miałby odwagi znowu obdarzyć ten świat dzieckiem.

Następnego dnia Józef raz jeszcze udał się na punkt zborny. Ma już w ręku tylko sześć istnień ludzkich, nie skorzysta z pełnomocnictwa, dopóki nie odnajdzie tego, kogo szuka. Ale jak go odnaleźć wśród zmarłych, jeńców i nędzarzy? To tak, jak by szukać ryby w morzu.

Kiedy Józef zjawił się na trzeci dzień, pułkownik Fronto zaczął sobie z niego pokpiwać. Dał wyraz swej radości, że Józef okazuje więcej zainteresowania dla jego towaru niż wszyscy handlarze niewolnikami. Józef nie zważał na tę gadaninę. Szukał również i tego dnia. Daremnie.

Późnym wieczorem dowiedział się, że w wyniku oblawy w podziemiach dostarczono ośmiuset jeńców, których pułkownik Fronto bez namysłu przeznaczył na ukrzyżowanie. Józef leżał już zmęczony i wyczerpany. Otrzymaawszy tę wiadomość wstał i ruszył w drogę.

Była głęboka noc, kiedy dotarł do Góry Oliwnej, na której dokonywano egzekucji. Krzyże stały tu gęsto, setkami. Tam gdzie niegdyś piętrzyły się tarasy, na których rosły oliwki, gdzie się mieściły magazyny braci Chanan, gdzie stały wille arcykapłanów, teraz wznosiły się krzyże.

Wisiele na nich nadzy, wychłostani ludzie; głowy mieli pochylone, opadnięte szczęki, ciężkie jak ołów powieki. Józef wraz ze swoją eskortą oświeślał potwornie zniekształcone twarze. Kiedy padało na nie światło, ukrzyżowani zaczynali mówić. Niektórzy przeklinali, większość wypowiadała słowa: „Słuchaj, Izraelu.” Józef chwiał się na nogach ze zmęczenia. Miał ochotę powiedzieć przy pierwszym z brze-ga: „Zdejmijcie go, zdejmijcie!” Bez wyboru, żeby skończyć z tym potwornym szukaniem. Tabliczka dająca władzę ciążyła mu coraz bardziej. Tylko odejść stąd, zasnąć, spać. Dojść do liczby siedemdziesiąt siedem, pozbyć się tabliczki. Wrócić do namiotu, zwalić się, spać.

Wtedy znalazł tego, kogo szukał. Żółtolicy był potwornie zarośnięty; twarz nie była żółta, lecz raczej szara, spuchnięty, białawy język zwisał z popękanych ust.

— Zdejmijcie go! — powiedział Józef.

Mówił z trudem, coś go dławilo, ledwo przełykał ślinę. Dozorcy ociągali się. Muszą najpierw wezwać pułkownika Fronto. Trwało to nieskończenie długo dla zniecierpliwionego Józefa. Stojąc u jego stóp, miał wrażenie, że żółtolicy za chwilę skona. To się stać nie powinno. Wielka rozmowa między nim i Justusem nie jest skończona. Justusowi nie wolno umrzeć przed

jej zakończeniem.

Nadszedł wreszcie Fronto zaspany i zły, miał za sobą wyczerpujący dzień. Mimo to, uprzejmie jak zawsze, wysłuchał Józefa. Wydał niezwłocznie rozkaz, by zdjęto tego człowieka i przekazano Józefowi.

— Pozostaje ci jeszcze pięciu, rabbi Józefie — powiedział i zrobił znak na tabliczce.

— Zdejmijcie ich! zdejmijcie! — wołał Józef i wskazał następnych pięciu.

— Teraz — stwierdził pułkownik — nie masz już ani jednego.

Żółtolicy był przybity do krzyża gwoździami. Taką procedurę w zasadzie uważano za łagodniejszą, ale przy zdejmowaniu okazała się surowsza. Wisiał od pięciu godzin, niedługo jak na silnego mężczyznę, ale żółtolicy nie był silnym mężczyzną. Józef posłał po lekarzy. Pod wpływem bólu żółtolicy odzyskał przytomność, potem znowu ją stracił i znowu powróciły mu zmysły. Zjawili się lekarze. Powiedziano im, że chodzi tu o żydowskiego proroka, którego na polecenie księcia zdjęto z krzyża. Wypadkiem zainteresowali się najlepsi lekarze obpzu, co się rzadko zdarzało. Józef nalegał, chciał usłyszeć ich zdanie. Zachowywali rezerwę. Przed upływem trzech dni nie są w stanie powiedzieć, czy człowiek ten będzie żył.

Józef szedł do obozu obok noszy, na których złożono Justusa. Justus nie poznał go. Józef, choć śmiertelnie zmęczony, był pełen spokoju; w sercu jego brzmiały słowa wdzięczności i podzięką za uratowanie z wielkiego niebezpieczeństwa. Sen nie przyniósłby mu wytchnienia, jadło nie nasyciłoby go, księgi nie dałyby mu poznania, powodzenie nie stałoby się zadośćuczynieniem, gdyby Justus nie żył lub zaginął. Leżąc obok Dorion nie zaznałby szczęścia, napisanie księgi również by mu szczęścia nie dało. Teraz odnalazł człowieka, z którym można, z którym warto się zmierzyć. „Twój rabbi Józef to łajdak.” Słowo ma inny smak, gdy je chwytają ucho, niż gdy je wymawiają usta — oto, o czym ten człowiek winien był pamiętać. Józef odczuwa wielki spokój i lekkość, ma uczucie, że coś się dokonało. Śpi dobrze i długo, prawie do południa.

Podchodzi do łoża Justusa. Lekarze ciągle jeszcze zbywają go milczeniem. Józef nie opuszcza łoża. Żółtolicy leży przez cały dzień nieprzytomny. Następnego dnia zaczyna fantazjować; wygląda okropnie. Lekarze wzruszają ramionami, nie liczą już, że wyjdzie z tego żywy.

Józef siedzi u wezłowania. Nie je, nie przebiera się, nie goli. Prawuje się z Jehową. Dlaczego oszczędził go w tylu zmiennych kolejach, jeżeli teraz nie może mu użyć wielkiej dysputy z Justusem? Księżę przysłała po niego. Przysłała po niego również Berenika, prosząc, żeby przybył do Thekoa. Józef na to nie zważa. Siedzi u łoża Justusa, wpatrzony w niego, powtarza rozmowy, które z nim prowadził. Wielka rozmowa nie została zakończona. Justusowi nie wolno umrzeć.

Czwartego dnia lekarze amputują Justusowi lewą rękę. Ósmego oświadczają, że jest uratowany.

Dowiedziawszy się, że Justusowi nie grozi już utrata życia, Józef odszedł od jego łoża pozostawiając pewną ilość pieniędzy i nie troszcząc się dalej o tego człowieka. Choć zawsze pragnął coś znaczyć, nie zależało mu na tym, żeby odegrać wobec Justusa rolę wybawcy. Wystarczyło mu, że nastąpi pewnego dnia dalszy ciąg wielkiej z nim rozmowy.

Tytus poprosił Józefa w owym czasie o pewną przysługę. Księżę cieszył się tym, co osiągnął w Thekoa, ale we wszystkim, co dotyczyło Żydówki, wciąż jeszcze czuł się niepewny. Nie miał odwagi posunąć się dalej. Co się stanie, jeśli teraz opuści ten kraj? Poleciał Józefowi, by starał się wybadać, czy Berenika chciałaby z nim pojechać do Rzymu.

W zaniedbanym domu w Thekoa stali naprzeciw siebie Józef i Berenika, oboje równie przegrani. Całe ich życie, rzucenie się w objęcia Rzymu miało przecież tylko wówczas sens,

jeżeli poświęcili je dla uratowania Świątyni. Świątyni nie ma, są małżami bez skorupy. Ale są oboje z tego samego tworzywa i nie wstydzą się nawzajem swej nagości. Trzeźwo, bez złudzeń, spoglądają na swoje ubóstwo. Teraz trzeba bez oparcia o swoje plemię zdobyć nowy grunt jedynie o własnych siłach. Józef ma swoją księgę i swoją ambicję, Berenika ma Tytusa i swoją ambicję. Przyszłość ich obojga jest w Rzymie. Tak, uda się oczywiście do Rzymu.

Dla księcia zgoda tej kobiety na udanie się do Rzymu była wielkim sukcesem. Czuł, że ma wobec Józefa ogromny dług wdzięczności.

— Czy nie posiadasz terenów w nowym mieście, mój drogi Józefie? — zapytał. — Musiałeś odziedziczyć ziemię po swoim ojcu. Wywłaszczę w Jerozolimie wszystkie grunty na rzecz legionu, który mam zamiar osadzić tu jako załogę. Proszę o dokładny wykaz poniesionych przez ciebie strat. Wyrównam je ze skonfiskowanej ziemi.

Józefa ucieszył ten podarunek. Załatwił swoje sprawy w Judei z zimnym, trzeźwym zmysłem do interesów. Opuszczając kraj chciał pozostawić wszystko w zupełnym porządku.

Tytus zniszczył Jerozolimę całkowicie, podobnie jak uczynili kiedyś zwycięscy dowódcy Kartaginy i Koryntu. Pozostawił tylko wieże Fazael, Miriam i Hippikus na dowód, jak wspaniale i mocno obwarowane było miasto, które musiało ulec jego szczęśliwej gwiazdzie.

Dwudziestego czwartego października, z okazji urodzin tego ziółka Domicjana, swego brata, Tytus urządził na stadionie w Cezarei igrzyska, do których dostarczono moc materiału ludzkiego spośród pojmanyh Żydów.

— Przyjdź i popatrz — powiedział do Józefa.

Józef przyszedł.

Po przeprowadzeniu przez arenę dwóch tysięcy pięciuset uczestników utworzono dwie grupy Żydów: jedna składała się z obrońców, druga z napastników. Kazano im zademonstrować zdobycie muru miejskiego. Rzucali się na siebie; żalosne, brodate postacie miały się groteskowo w śmiertelnym zmaganiu. Kto był zbyt tchórzliwy, tego zagrzewano do walki batami i rozpalonym żelazem. Przeciwko nielicznym jednostkom, których w żaden sposób nie można było skłonić do tego, by się nawzajem atakowały, wysłano wytrawnych gladiatorów, rekrutujących się spośród niewolników. Słudzy teatralni w maskach boga podziemi Hadesu badali przy pomocy pochodni, czy jeńcy przypadkiem nie symulują śmierci. Arena huczała od okrzyków: „Słuchaj, Izraelu, Jehowa jest jedyny.”

Wielu umierało, zdaniem widzów, zbyt opieszale. Wołano: „Jakże można w tak niedołążny sposób kogoś zabijać. Przecież to łaskotki, a nie prawdziwa walka. Jazda, ty brodaczu, naprzód, ty staruchu! Trochę prędzej, jeżeli łaska. Nie umierajcie tak ospale, sraluchy!” Józef słyszał te okrzyki. No cóż, opowiadano tej publiczności, że Żydzi, walcząc, umierali poważnie i przyzwoicie, a teraz doznała zawodu, że jej tego przyzwoitego umierania nie demonstrowali.

Nie było łatwo uniknąć monotonii na dłuższą metę. Wysłano przeciw jeńcom lwy afrykańskie, słonie, indyjskie, niemieckie bawoły. Przeznaczeni na śmierć Żydzi byli częściowo przybrani odświętnie, niektórym kazano przywdziać białe płaszcze modlitewne z czarnymi wypustkami i niebieskimi chwastami. Piękny to był widok, kiedy owe płaszcze zabarwiły się czerwienią. Licznych mężczyzn i liczne kobiety pędzono na arenę nago, by widzowie mogli obserwować grę mięśni, gdy umierali. Kilku wyjątkowo silnych jeńców postawiono z bronią w rękę przeciwko jednemu ze słoni. Posępni, zrozpaczeni, zadali mu poważne rany, zanim oszalałe i ryczące zwierzę nie rozdeptało ich na miazgę. Publiczność litowała się nad słoniem.

Widownia miała poczucie humoru. Wielu jeńców umierało w śmiesznych maskach. Pewną ilość starców ogolono i ostrzyżono im głowy do skóry z jednej strony, z drugiej zaś zostawiono długie włosy i siwe brody. Innym znów kazano biegać po arenie przebranym w

łatwopalne szaty; zapalały się w biegu. W odległości dwustu metrów od nich znajdował się basen z wodą; gdyby do niego dotarli, byłiby może uratowani. Zabawnie było patrzeć, jak wyciągali nogi, chwyтали ustami powietrze, rzucali się do wody, nawet nie umiejąc pływać. Wiele uciechy sprawiała również drabina, którą przystawiono do zdobywanych murów. Przeznaczeni na śmierć musieli piąć się po niej, ale była posmarowana śliską masą, więc spadali, trafiając na nastawione włócznie.

W ten sposób na stadionie w Cezarei umarło w ciągu dwóch dni dla zabawy nie obrzezanych dwa tysiące pięciuset Żydów. Przez dwa dni Józef patrzył i słuchał, jak umierali. Często wydawało mu się, że widzi znajome twarze, ale musiała to być pomyłka, gdyż Fronto przeznaczył na ten cel bezimienną masę, chłopów i plebejuszów z prowincji. „Widziałem to,” mógł powiedzieć Józef opisując później te igrzyska. „Oczy moje to widziały.”

Wkrótce Józef będzie zmuszony opuścić Judeę prawdopodobnie na zawsze. Wahał się długo, czy powinien zobaczyć się z Marą. Odmówił sobie tego. Wyznaczył jej rentę, z której mogła wyżyć, zaproponował, by zamieszkała w dolinie Jesrael w jednym z majątków, które Tytus oddał mu do dyspozycji.

Żydzi widzieli Józefa udającego się na igrzyska. Nienawidzili go, pogardzali nim, trzymali się od niego w odległości siedmiu kroków. Kiedy odpływał do Italii, nikt go nie odprowadzał.

Znikł z oczu port w Cezarei, znikły olbrzymie posągi bogini Rzymu i cesarza Augusta, nie widać już było portu Straton, fioletowych wzgórz Judei, zielonego wierzchołka góry Karmel. Józef znajdował się w drodze do Rzymu. Z Judei wioził ze sobą tylko wspomnienie tego, co widział, siedemdziesiąt zwojów Pisma i małą skrzynkę z ziemią wygrzebaną spod gruzów Jerozolimy.

Na szczycie Via Appia, tam gdzie stał grobowiec Cecylii Metelli, woźnica zatrzymał się na zwykły postój. Przed Józefem otworzyła się rozległa panorama miasta. Był chłodny dzień marcowy, miasto Rzym leżało w pełnym słońcu, Gewurah — symbol siły, robiło wrażenie potężniejsze niż wtedy, kiedy je opuszczał, udając się na wyprawę do Jerozolimy. Osiągnął to, o czym marzył wtedy, kiedy z Kapitolu po raz pierwszy spoglądał na miasto: teraz wystarczy mu sięgnąć ręką. Cesarz i książę proszą go o jego słowo, o słowo i ducha, ducha Wschodu.

Józef zaciska wargi z goryczą. Niestety czcigodny rabbi Jochanan ben Zakkai ma rację: To, co mu się wtedy wydawało końcem, jest dopiero początkiem. Stopień mądrości wschodniej z techniką zachodnią to sprawa wymagająca ciężkiego trudu i niezbyt pełna blasku.

Pojazd ruszył dalej, zatrzymał się po jakimś czasie przed bramą. Józef nie zawiadomił Dorion o swym przyjeździe. Kocha Dorion, nie zapomniał jej obrazu. Pamięta, jak stała przed nim po raz pierwszy z kotką na ramieniu, pamięta jej wysoki, ukochany dziecięcy głos, pamięta, jak tuliła do niego w zapamiętaniu, omdlewająco, z pełnym oddaniem, swe smukłe, ciemne ciało. Ale tyle jest teraz twarzy między nim i nią, tyle spraw, z których jest wyłączona. Chce odczekać, nie chce w niej budzić nadziei, chce zobaczyć, poczuć, czy łączy ich jeszcze dawna więź.

Dom Dorion jest mały, miły, nowoczesny. Niewolnik odźwierny zapytuje Józefa, czego sobie życzy. Józef wymienia swe imię, odźwierny składa głęboki ukłon, biegnie po swoją panią. Józef stoi sam w przedsionku. Zasepił się. Dookoła pełno obrazów, posągów, mozaik; to zapewne dzida Fabullusa. Czy tu jego miejsce? Nie może żyć tutaj.

Wchodzi Dorion. Jak dawniej na wysokiej szyi unosi się lekko podłużna, szczupła głowa o dużych, wydatnych ustach.

Stoi i patrzy na niego oczami koloru morza, które stają się coraz ciemniejsze. Chciałaby uśmiechnąć się, ale jest taka słaba, że nie może się zdobyć na uśmiech. Czekala na niego tak długo, bała się, że ta wstrętna Judea na zawsze go pochłonie, no i teraz, dzięki wam, bogowie,

przybył. Blednie najpierw dookoła ust, później na całej twarzy, nie spuszcza z niego oczu. Potem podchodzi do niego, wydaje cichy, przeszywający okrzyk; chwieje się, Józef musi ją podtrzymać. Dotyka ciemnej, żółtej skóry dziewczyny, którą kocha. Jakaż słodka i gładka jest ta skóra, jaka chłodna.

Mijają minuty, żadne z nich nie wypowiedziało jeszcze słowa. Jest słodyczą świata. Kiedy śmiertelnie blada, nieprzytomna z podniecenia opiera się o niego, słabną mu kolana. Słyszy słowa: „...ani się małżeństwa z nimi złączać będziesz.” Widzi przed sobą swoją księgę, widzi nagą okolicę, przepaść, z której zrzucane są trupy, płonące wzgórze, na którym stoi Świątynia. Co tu robią te głupie mozaiki, te bezmyślne, pogodne obrazki życia domowego? Czy tu jego miejsce? Czego chce ta kobieta? Jest zupełnie obcy w tym domu.

— Jesteś tu zupełnie obcy — mówi Dorion. To pierwsze słowa, które wypowiada do niego po roku. Kładzie mu ręce na ramionach, patrzy mu w oczy. Mówi: „Jesteś tu zupełnie obcy”, stwierdza to poważnie, bez skargi. Kocha go, dlatego wie, że tak jest.

Małe kłamstewka na pocieszenie nie mają sensu.

— Tak — odpowiada Józef. — Nie mogę żyć tutaj. Nie mogę teraz żyć z tobą Dorion.

Dorion nie sprzeciwia się ani słowem. Czuje, że nie jest to już jej Józef, że to inny człowiek, który zachował w pamięci inne, obce jej twarze. Ale ona należy do niego, nawet jeżeli ukazał się jej w innej postaci, jest wytrwała i dzielna, zdobędzie go również i w tej nowej postaci.

— Jeżeli mnie zechcesz, wezwij mnie — mówi.

Józef odchodzi. Czuje się w Rzymie bardzo obco. Przepycha się przez ulice i kolumnady. Kiedy widzi znajome twarze, odwraca głowę; nie chce z nikim mówić. Po pewnym wahaniu decyduje się, idzie do Klaudiusza Reginusa.

Wydawca ma wygląd zmęczony, mięśnie twarzy obwisłe.

— Witaj, który przybywasz — mówi z uśmiechem. — No cóż, mój proroku, co z twoją księgą? Proroctwa twoje spełniły się, tylko w nieco dziwny sposób. Myślę, że mógłbyś się teraz zabrać do pracy. A może chcesz się z tego wykręcić?

— Nie wykręcałem się nigdy — rzekł Józef z zaciętością. — Nawet nie wiesz, Klaudiuszu Reginie, jak czasem było mi ciężko. Ale nie wykręcałem się.

— Od czasu do czasu spotykałem twoją piękną żonę, Egipcjanekę — mówi wydawca.

— Nie połączę się z Dorion — oświadcza Józef — dopóki nie napiszę mojej książki. Reginus spojrział na niego ze zdziwieniem.

— To dziwne — rzekł. — Przecież ta dama jest właściwą przyczyną, dla której postanowiłeś napisać tę księgę.

— Może tylko pretekstem — zaprzeczył Józef.

— Gdybyś chciał u mnie zamieszkać, rabbi Józefie, dom mój jest do twojej dyspozycji — powiedział wydawca.

Józef ociągał się.

— Chciałbym być sam podczas pisania.

— Myślę, że cesarz pozostawi ci dom, w którym dawniej mieszkał. Jest trochę pusty, ale wiadomo ci przecież, że jego cesarska mość był zawsze oszczędny.

Józef zamieszkał w owym domu. Był duży, ciemny, opuszczony. Miał przy sobie zaledwie jednego niewolnika. Nie dbał o siebie, jadał tylko to, co było niezbędne do życia. Nie zawiadamiał nikogo, że jest w Rzymie. Przemykał się chyłkiem przez ulice wówczas, gdy były najbardziej wyludnione, widział przygotowania do wjazdu tryumfalnego. Wszędzie pracowano, wznoszono trybuny. Na ścianach domów, na murach i bramach widniały olbrzymie podobizny Wespazjana, Tytusa, otoczone aforyzmami sławiącymi imperatora, szydzącymi ze zwyciężonej Judei. Zewsząd wytrzeszczały oczy na Józefa gigantycznie powiększone gęby cesarza i księcia,

bezmyślne, grubo ciosane, karykaturalne; znikło wszystko, co było mu bliskie; były to twarze podobne do Pedana.

Pewnego dnia pod kolumnadą Pola Marsowego Józef natknął się na lektykę senatora Marulla. Chciał ją szybko minąć, ale senator dojrzał go.

— Zrobiłeś karierę, młodzieńcze — stwierdził. — Zmieniłeś się. Tak los tworzy człowieka. — Przyglądał mu się przez szmaragd. — Pamiętasz, rabbi Józefie, jak na wielkim stadionie informowałem cię o Rzymie? Było to pięć lat temu. Już wtedy czułem, że udzielanie ci informacji opłaca się. W odpowiednim momencie stanąłeś po odpowiedniej stronie.

Nie pozwolił mu odejść, zaprosił go do lektyki, opowiadał o sobie. Napisał krotoczwilę, która ma być grana w teatrze Marcella na otwarcie tygodnia tryumfalnego. Bohaterem krotoczwili jest Żyd Zachariasz, jeniec skazany na igrzyska. Będzie go grać aktor Demetriusz Liban. Jeniec Zachariasz ma umrzeć w walce wręcz. Śmiertelny strach Żyda, jego prośby, jego oczekiwanie, że mimo wszystko zostanie ułaskawiony, jego walka, a raczej jego nieumiejętność walki, wszystko to służyło za kanwę wielu komicznych scen, kawałów, tańców i kupletów. Wątpliwości budziło tylko zakończenie. Wielką atrakcją byłoby znalezienie sobowtóra dla Libana — wybór teraz był duży — tak podobnego, żeby własna matka nie potrafiła go odróżnić od aktora; pociągający był również pomysł zgładzenia go przez zawodowego zapaśnika. Ale publiczność jest już przesycona widokiem ukrzyżowań i trupów żydowskich. Może jednak lepiej ułaskawić jeńca Zachariasza. Radość z nowego życia to niezły pomysł. Na zakończenie mógłby dla okazania wdzięczności przynieść skarby ze swej kryjówki i porozdzielać je wśród widzów. A może udałoby się zostawić go na krzyżu i ktoś przyszedłby i zdjął go z krzyża — czy nie robiłeś czegoś podobnego, Józefie Flawiuszu? A potem z wysokości krzyża rozrzucałby między publiczność pieniądze, świeżo wybite monety zwycięstwa?

Józef musiał spędzić wieczór u senatora Marulla, spożyć z nim wieczerzę. Szczupły, rozsądny dostojnik interesował się mnóstwem szczegółów wyprawy, eksploatował Józefa gruntownie. Mógł również nawzajem poinformować Józefa o nowinkach. Ustalono, że spośród trzech reprezentantów żydowskich, którzy mają być prowadzeni w pochodzie tryumfalnym, stracony zostanie publicznie, zgodnie z obowiązującym zwyczajem, tylko Szymon bar Giora. Dwaj inni, Jan z Giskali i arcykapłan Pinchas, mają być po zakończeniu uroczystości tryumfalnych sprzedani jako niewolnicy. Jest ma nich trzech reflektantów: Mucjan, minister Talas i sam senator. Ma podstawy do przypuszczenia, że jego szanse są największe. Jejmość Cenis zażąda niemało, ale on nie jest sknerą. Kogo Józef mu radzi? Wodza czy arcykapłana?

Następnego dnia Józef przezwyciężył się i odwiedził Demetriusza Libana. Uderzyło go, że aktor dziwnie postarzał i nerwy jego są w bardzo złym stanie.

— Jesteś więc — powitał go Liban. — Oczywiście nie mogło tu ciebie zabraknąć. Właściwie oczekiwałem cię już dawno.

Był w stosunku do Józefa pełen wrogiej ironii. Józef zrozumiał go powoli: ten człowiek przypisuje sobie winę zburzenia Jerozolimy. Zaprowadził Józefa do Poppei, w gruncie rzeczy uzyskał amnestię dla owych trzech; czyż całe zło nie wynikało z tej amnestii? Amnestia, edykt w sprawie Cezarei, powstanie, puszczenie z dymem Świątyni — wszystko to tworzy łańcuch. Na początku łańcucha był on. Od niego wtedy zależało, czy zagra Żyda, czy nie. Jehowa złożył w jego ręce losy, mające zadecydować o istnieniu lub zagładzie, jego nieszczęsna ręka wyrzuciła los zagłady.

Podniósł się. Zaczął wypowiadać słowa anatemy z księgi piątej Mojżesza. Nigdy nie widział żadnego z tych prawdziwych i fałszywych proroków, którzy w ostatnich dziesięcioleciach pojawili się w Jerozolimie, ale w jego ruchach był gest tych proroków, w jego greckich słowach była ich śpiewna intonacja. Aktor Liban nie należał do ludzi postawnych, był

raczej niskiego wzrostu, ale teraz strzelał w górę jak ciemne drzewo. „W smutku serca twego mówić będziesz rano: «kto mi da wieczór? A w wieczór: kto mi da zaranie?»” — Ponure przekleństwa brzmiały w jego ustach groźnie, monotonna, potężnie. — Tak się też stało — stwierdzał od czasu do czasu z dziką, rozpaczliwą satysfakcją.

Po tym spotkaniu z Demetriuszem Libanem Józef spędził dwa samotne dni w swoim wielkim, mrocznym domu. Na trzeci dzień przeszedł przez most Emiliusza na Zatybrze, do Żydów.

Żydzi, zamieszkali w Rzymie, okazali rządowi swą lojalność przez cały czas trwania wyprawy. Pozostali nadal lojalnymi poddanymi — buntownicy są sobie sami winni — nie bali się jednak okazywać rozpacz z powodu zburzenia Świątyni. Nie ukrywali również swego obrzydzenia, że Żydzi byli pomocni przy dziele zniszczenia. Przekroczywszy prawy brzeg Józef natrafia na niebywałą nienawiść. Wszyscy trzymają się od niego w odległości siedmiu kroków. Idzie wśród pustki pomiędzy tworzącym się na prawo i na lewo murem pogardy.

Zwraca swe kroki ku domowi Kajusa Barcaarone. Prze wodniczący gminy Agryppa, który kiedyś chciał mu dać swą córkę za żonę, stoi naprzeciw niego w odległości siedmiu kroków. Twarz przebiegłego, jowialnego Kajusa jest ponura, skażona wrogością. Kajus Barcaarone stał się nagle bardzo podobny do ojca, starego, mrukliwego Arona. Józef stoi przed nimi onieśmieszony.

— Proszę wybaczyć — mówi rozkładając bezradnie ręce. — To nie ma celu. — Zawraca. Wśród szpaleru śmiertelnych wrogów opuszcza dzielnicę żydowską, wraca przez most Emiliusza.

Na drugim brzegu, skręcając w jedną z ulic, już poza zasięgiem żydowskich spojrzeń, słyszy czyjeś kroki, ma wrażenie, że słyszał je już od pewnego czasu. Odruchowo sięga po złote przybory do pisania, żeby się nimi obronić. Nagle głos za nim woła po aramejsku:

— Nie trzeba się mnie lękać! Proszę się nie bać! To ja!

Jest to człowiek bardzo młody, twarz wydaje się Józefowi znajoma.

— Widziałem cię już, rabbi Józefie — mówi młodzieniec. — Kiedy byłeś w Rzymie po raz pierwszy.

— To tyś jest?... — przypomina sobie Józef.

— Jestem Kornel, syn Kajusa Barcaarone.

— Czego chcesz, młodzieńcze? — pyta Józef. — Dlaczego nie zachowujesz odległości siedmiu kroków?

Ale młodzieniec podchodzi bliżej.

— Wybacz tamtych, rabbi — prosi. Głos jego brzmi ciepło, serdecznie i dzielnie. — Tamci nie rozumieją cię, ale ja cię rozumiem. — Podszedł doń bardzo blisko i powiedział: — Czytałem twój Psalm Kosmopolityczny. Często, kiedy dookoła mnie panuje zamieszanie i mrok, wypowiadam go na głos. Tu, w tych murach, wszystko jest ciasne, ty wybiegasz spojrzeniem w dal. Jesteś wielki w Izraelu, Flawiuszu Józefie, jesteś jednym z proroków.

Józefowi serce rośnie. To, że po jego stronie stanął ten młodzieniec, znający tylko jego słowa, jest dla niego potwierdzeniem, że obrał słuszną drogę.

— Cieszę się, Kornelu — mówi — cieszę się bardzo. Z gruzów Jerozolimy przyniosłem trochę ziemi oraz zwoje Pisma, pozwól, żebym ci to pokazał. Chodź do mnie, Kornelu.

Chłopiec promienieje.

Tymczasem Tytus dotarł do Italii. Na Wschodzie musiał jeszcze zwalczyć niejedną pokusę. W imieniu piątego i piętnastego legionu, które to oddziały miały otrzymać niemiłe im kwatery nad dolnym Dunajem, kapitan Pedan zwrócił się doń z prośbą, żeby bądź pozostał z tymi legionami, bądź zabrał je z sobą do Rzymu. Książę zorientował się od razu, że za sprytnymi,

naiwnymi słowami starego, uczciwego żołnierza kryje się propozycja obwołania go cesarzem na miejsce starego Wespazjana. Było to dla Tytusa kuszące, ale bardzo ryzykowne, nie wahał się odpowiedzieć odmownie w równie żartobliwych i naiwnych słowach. Mimo to Wschód czcił go dalej jako władcę i Tytus uległ pokusie — w Memfis, przy poświęceniu byka Apisa włożył na głowę diadem Egiptu. Była to nieostrożność, która mogła być dwuznacznie komentowana; księżę zapewnił ojca pisemnie, że oczywiście uczynił to tylko w jego zastępstwie. Wespazjan odpowiedział odwrotną pocztą, że oczywiście inaczej sobie tego nie wyobrażał, ale równocześnie zarządził, by kilkadziesiąt tysięcy zbrojnych żołnierzy trzymało się w pogotowiu przeciw Wschodowi.

W odpowiedzi na to Tytus zjawił się bardzo śpiesznie, bardzo skromnie, prawie bez eskorty. Wedle starego zwyczaju wolno mu było wkroczyć do Rzymu dopiero w dniu pochodu tryumfalnego. Wespazjan wyjechał więc na spotkanie syna na Via Appia.

— Jestem, ojcze, jestem — przywitał go Tytus dobrodusznie.

— Nie wyszłoby ci to na zdrowie, mój chłopcze — zaskrzeczał Wespazjan — gdybyś jeszcze dłużej uganiał się po Wschodzie.

Po tych słowach ucałował go.

Zaraz po spożyciu posiłku doszło w obecności Mucjana i Cenis do nieuniknionej wymiany zdań między ojcem i synem.

— Nie zawsze — rozpoczęła rezolutna jejmość Cenis — sprawiałeś swemu ojcu radość swym postępowaniem, Tytusie. Nie bez troski wysłuchaliśmy pewnych wiadomości o twojej koronacji przy poświęceniu byka Apisa.

— Nie chcę robić z byka słonia — powiedział Wespazjan dobrodusznie. — Interesują nas inne pytania. Czy naprawdę nie można było uratować żydowskiej Świątyni?

Spojrzeni na siebie twardo, zmrużonymi oczyma.

— Byłbyś pragnął, żeby to było możliwe? — zapytał Tytus po chwili.

Wespazjan pokiwał głową.

— Gdyby akcja pacyfikacyjna przeciw Jerozolimie — powiedział chytrze — została istotnie podniesiona do rangi wojennej wyprawy i miała się zakończyć tryumfem, który z mego polecenia senat zaakceptował dla nas obu, wówczas może byłoby to niemożliwe.

Tytus oblał się pąsem.

— To było niemożliwe — odparł krótko.

— Ustalmy więc — powiedział cesarz uśmiechając się — że było to niemożliwe. Inaczej oszczędziłbyś Świątynię już choćby przez wzgląd na swoją Berenikę. Doszlibyśmy w ten sposób do punktu drugiego, który wszystkich nas tutaj interesuje. Berenika to nie lada kobieta. Łatwo zrozumieć, żeś chciał ją mieć przy sobie podczas tej długotrwałej akcji pacyfikacyjnej. Czy musisz jednak mieć ją w Rzymie?

Tytus zamierzał odpowiedzieć, ale Wespazjan, cicho po-sapując i nie odrywając od niego spojrzenia twardych, szarych oczu, nie dał mu przyjść do słowa.

— Popatrz tylko — ciągnął dalej koleżeńskim tonem — ta oto Cenis jest prostą kobietą, prawda, stara? Bez pretensji, bez wielkich tytułów. Przysparza mi kupę pieniędzy, widząc swymi bystrymi oczami to, czego moje już dojrzeć nie potrafią. Mimo to lubi ją cały Rzym, oczywiście ten Rzym, który nie płaci jej prowizji. Jest Rzymianką. Ale ta twoja Żydówka, ta księżniczka, jej wspaniały chód i ten cały wschodni obyczaj! Jesteśmy młodą dynastią, mój synu, ja jestem pierwszy, tyś drugi, nie możemy sobie pozwolić na tę dziwaczną damę. Na coś podobnego mógł sobie pozwolić taki Nero, pochodzący ze starej rodziny. Ale kiedy my to czynimy, biorą nam to za złe, gniewają się. Tak, mój chłopcze, gniewają się. Powiedz, Cenis, powiedz, stary Mucjanie: gniewają się czy nie? Słyszysz? Gniewają się.

— Chcę ci coś powiedzieć, ojcze — zaczął Tytus takim głosem, jak gdyby rzucał słowa komendy. — Mogłem nałożyć diadem w Aleksandrii. Legiony chciały tego, byłem tego bliski. Wystarczyło jedno słowo księżniczki, a byłbym to uczynił. Księżniczka słowa tego nie wypowiedziała.

Wespazjan wstał. Mówiono Tytusowi, że się bardzo postarzał, ale była to pusta gadanina, gdyż w tej chwili ten chłop z Sabinii miał w sobie siłę i prężność. Podeszedł do syna zupełnie blisko. Stali naprzeciw siebie jak dwoje dzikich zwierząt gotowych do skoku. Mucjan przyglądał się z zainteresowaniem, twarz mu drżała, na surowych, wąskich ustach pojawił się uśmiech, Cenis chciała rzucić się między ojca i syna. Ale stary opanował się.

— Opowiadasz mi tu interesujące rzeczy — powiedział. — Nie jesteś jednak teraz w Aleksandrii, lecz w Rzymie, nawet gdyby tego chciała twoja miła przyjaciółka,

chyba nie przyjdzie ci do głowy pozbawić mnie tronu. No, więc tak — usiadł, lekko postępując zaczął pocierać obolałe ramię. Przemawiał teraz do rozumu syna: — Nie możesz jej trzymać w ukryciu jak pierwszą lepszą dziewczynę. Ta dama będzie chciała pokazywać się z tobą, i słusznie, przecież jest księżniczką, pochodzi z rodu znacznie starszego niż nasz. Ale Rzymianie nie przyjmą tej kobiety. Czy chcesz, żeby w teatrze robiono na jej temat dowcipy? Czy chcesz, żeby podczas pochodu tryumfalnego śpiewano kuplety o tobie i tej damie? Czy potrafisz tego zabronić? Bądźże rozsądny, mój chłopcze. To nie uchodzi.

Tytus dusił się ze złości.

— Nie znosiłeś jej od samego początku.

— Racja — przyznał stary. — I ona mnie nie znosiła. Gdyby sprawy potoczyły się zgodnie z jej życzeniem, nie siedzielibyśmy tutaj. Mógłbym rzucić parę dobrych dowcipów, ale ugryzę się w język. Kochasz tę damę, nie chcę występować przeciw niej. Ale nie chcę jej mieć w Rzymie. Powiedz jej to. Przywiezienie jej tutaj było z twojej strony idiotyzmem. Możecie robić, co się wam podoba, ale Bere-nika musi się ulotnić z Italii. Powiedz jej to.

— Ani myślę. Chcę, żeby przy mnie została.

Wespazjan spojrział na syna. Tytus miał ów mętny, obłąkany wyraz oczu, który niepokoił cesarza u matki chłopca, Domicylli. Położył mu rękę na ramieniu.

— Masz lat trzydzieści, mój synu — powiedział. — Nie bądźże dzieckiem.

— Czy mogę wysunąć pewien projekt? — wtrącił się giętki Mucjan. Podeszedł bliżej, trzymając laskę za plecami. Tytus patrzył podejrzliwie na jego usta. Senator Mucjan, który udawał, że się ledwie trzyma na nogach, odgrywał rolę zgrzybiałego starca po to, żeby na tym tle jeszcze jaskrawiej rysowała się rzeźkość Wespazjana. Cesarz orientował się doskonale w tej komedii i chętnie ją tolerował.

— Stosunki między cezarem, Tytusem i księżniczką — zaczął Mucjan — drażnią ludzi. Pod tym względem jego cesarska mość ma niezawodnie rację. Ale tylko dlatego, ponieważ księżniczka należy do buntowniczego narodu. My wszyscy, jak tu jesteśmy, wiemy, że księżniczka zalicza się do lojalnych poddanych żydowskich. Ale dowcip ludu rzymskiego nie zna różnicy między Żydami. Należałoby wpłynąć na to, żeby księżniczka jasno i niedwuznacznie opowiedziała się po naszej stronie. Sądzę, że wystarczyłoby, gdyby przypatrywała się pochodowi tryumfalnemu z łoży.

Wszyscy zastanawiali się nad sensem propozycji. Wespazjan uważał, że jego mądry przyjaciel wmanewrował Żydówkę w sytuację, z której niełatwo znajdzie wyjście. Synowi trudno będzie odrzucić projekt Mucjana. Cóż ma zrobić Berenika? Jeżeli weźmie udział w tryumfie nad swymi rodakami, ośmieszy się w oczach Rzymian. Wówczas Tytus nie mógłby nawet myśleć o tym, żeby ją uczynić swą żoną. Cenis również natychmiast się w tym zorientowała.

— Jeżeli kobieta należy do mężczyzny — popierała rezolutnie i banalnie propozycję

Mucjana — to musi mieć odwagę stanąć przy jego boku.

Wszyscy czekali z napięciem na odpowiedź Tytusa. Nie miał nic do powiedzenia przeciw argumentom Cenis. W gruncie rzeczy ma rację, myślał sobie. Skoro święci tryumf, ma prawo do tego, żeby jego przyjaciółka, którą chce uczynić swoją żoną, przyjrzała się temu tryumfowi. Rozmowa na ten temat nip będzie przyjemna. Przyjemniejsza jednak niż wyprawienie jej z Rzymu. Mruczy pod nosem, że nie można tego wymagać od księżniczki. Tamci oświadczają, że nie można tego również wymagać od Rzymian. Tytus zastanawia się, rozważa. Berenika czuje jak kobieta Wschodu, miewa pustelnicze nastroje. Ale ma również poczucie rzeczywistości. Po półgodzinnej rozmowie Tytus zgadza się na takie rozwiązanie: albo księżniczka będzie uczestniczyć w tryumfie, w łoży cesarskiej, albo opuści Italię.

Prosi Berenikę do siebie. Jest pewien, że załatwi sprawę w ciągu pięciu minut. W przedśionku, czekając na jej przybycie, postanawia raz jeszcze potraktować całą sprawę możliwie lekko, jako coś samo przez się zrozumiałego.

Zjawia się Berenika. Jest pogodna i równocześnie poważna, z ufnością skłania ku niemu swą wielką, dumną głowę, mówi spokojnym głosem. I nagle realizacja powziętego zamiaru wydaje się Tytusowi niemożliwa. Jak ma wysunąć wobec tej kobiety to prostackie żądanie? Dodaje sobie odwagi. Tylko żadnych przygotowań. Czuje się jak ktoś, kto wciąga w płuca powietrze, zanim skoczy do lodowatej wody.

— Uroczystość tryumfalna — zaczyna swobodnym głosem, bez odchrząkiwania — ma się więc odbyć nieodwołalnie za dziesięć dni. Zobaczę cię chyba w łoży, Nikion, prawda?

Poszło właściwie bardzo gładko; mówił przed siebie, nie patrząc na nią, i teraz na nią nie spogląda.

Berenika blednie. Dobrze, że siedzi, inaczej upadłaby. Ten człowiek wyrąbał gaj w Thekoa, wziął ją siłą, potem dopuścił do spalenia Świątyni. A ona, nie przeciwstawiając się, nie mówiąc nic, ciągle mówiła: tak. Przeżyła wszystko, ponieważ nie mogła oderwać się od szerokiej, chłopskiej twarzy tego człowieka, od jego brutalności, od jego dziecinnego okrucieństwa, od jego drobnych zębów. Wciągała w płuca zapach krwi i pożogi, zrezygnowała z pustyni, z głosu swego Boga. A teraz człowiek ten zaprasza ją, by z łoży przyglądała się jego tryumfowi nad Jehową. Właściwie postępuje konsekwentnie. Dla Rzymian byłoby to pikantny dodatek, gdyby księżniczka żydowska, kochanka zwycięzcy, przyglądała się pochodowi. Łatwiej byłoby iść w pochodzie w kajdanach, razem z jeńcami, ale dobrowolnie siedzieć w łoży, być pióropuszem u szyszaka zwycięzcy, na to zgodzić się nie może.

— Dziękuję ci — mówi cicho, ale głosem bardzo ochrypniętym. — W dniu tryumfu nie będzie mnie już w Rzymie. Pojadę do mego brata.

Tytus patrzy, widzi, że śmiertelnie zranił tę kobietę.

Nie chciał tego. Wszystko, co wobec niej uczynił, stało się mimo woli. Zawsze był pionkiem — teraz także. Ojciec popychał go, a on się nie opierał. Jak mógł żądać od niej, żeby się przyglądała temu pochodowi tryumfalnemu? On sam zrezygnuje z niego, powie, że jest chory. Jąka się, gorączkuje. Ale słowa jego padają w próżnię. Berenika już sobie poszła, nie ma jej.

Ogarnia go dzikie szaleństwo. Obrzuca Berenikę żołnierskimi przekleństwami. Przeklina jej wschodnie ceregiele. Dlaczego nie może przyglądać się tryumfowi? Czy inni, na przykład książęta germańscy, nie przyglądali się pochodom tryumfalnym, w których prowadzono w kajdanach ich synów, braci i wnuków? Powinien był nie dać się wodzić za nos, traktować ją jak mężczyzna. Nie byłoby rzeczą trudną oskarżyć ją o nielojalność, o działalność buntowniczą, wsadzić ją do więzienia, kazać jej iść w pochodzie w kajdanach, a potem, upokorzywszy ją straszliwie, wyciągnąć ją z upadku, okazać siłę, dobroć, łagodność, być mężczyzną. Wtedy

opętana pychą zrozumiałaby wreszcie, gdzie jest jej miejsce.

Wiedział jednak już wtedy, kiedy o tym wszystkim myślał, że to chłopięce fantazje. Nie jest z rodu barbarzyńców, nie jest taka, jak ów książę niemiecki Segest, jest prawdziwą królową, pełną prastarego wschodniego dostojeństwa i mądrości. Cała jego wściekłość zwróciła się przeciw samemu sobie. Obrzydziło mu to Rzym. Zepsuło tryumf.

Tylko na Wschodzie można żyć, tutaj wszystko jest nędzne i marne. W porównaniu ze Świątynią Jehowy, Kapitol to gówno, a on w swojej tępotcie kazał tę Świątynię spalić, kobietę zaś, która mu się trzy razy oddała, odstraszył swą rzymską brutalnością, tym razem na zawsze.

Następnego dnia zjawił się Józef, by powitać księcia. Tytus przyjął go z jowialną, chłodną uprzejmością, której Józef nienawidził. Ten tryumf, żartował, przysparza więcej pracy niż cała wyprawa. Chciałby już mieć to poza sobą, chciałby dostać się wreszcie do swego miasta, a tymczasem zgodnie z głupim obyczajem musi tu czekać do dnia pochodu. Czy to nie rozpacz? Nie może nawet zobaczyć Demetriusza Libana w teatrze Marcella. Kazał Józefowi uważać na próbach, żeby nie popełniano błędów w odtwarzaniu żydowskich obyczajów.

— Urządzenie tryumfalnego pochodu — mówił — i wszystko, co jest z nim związane, wziąłem teraz sam w ręce. Ciekaw jestem, jakie wywrze na tobie wrażenie, Józefie Flawiuszu, chyba będziesz mu się przyglądać z wielkiego stadionu?

Józef widział, że książę czeka w napięciu na jego odpowiedź. Właściwie powinno by być dla tych Rzymian rzeczą zrozumiałą, że jako kronikarz wyprawy przygląda się jej zakończeniu. Rzecz dziwna, sam nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy pójdzie na pochód, czy nie. Pięknie byłoby powiedzieć: „Nie, cesarze Tytusie, nie przyjdę, zostanę w domu.” Byłoby to nie tylko satysfakcją, ale byłby to gest wielki, pozbawiony sensu. Powiedział:

— Tak, cesarze Tytusie, przyjdę zobaczyć pochód.

Tytus odmienił się. Spadła z niego maska ostentacyjnej uprzejmości.

— Mam nadzieję, mój Żydzie — rzekł poufale, przyjaźnie — że się postarano, by ci w Rzymie było dobrze i wygodnie. Chcę, żeby ci się dobrze żyło w stolicy. Przyczynię się do tego. Wierzaj mi.

Chcąc się przygotować do udziału w tryumfalnym pochodzie, Józef obejrzał widowisko w teatrze Marcella, którego główną postacią był jeniec Zachariasz. Demetriusz Liban to wielki aktor, był naprawdę Zachariaszem, niewia-rogodnie prawdziwym i niesamowicie komicznym. Przy końcu nałożono mu niewielką, idiotyczną maskę kłowna, aby jej komizm kontrastował z umieraniem skazańca. Nikt nie widział, jak pod maską aktor Liban z wysiłkiem łapie powietrze, jak jego serce pompuje krew, a chwilami ustaje. Wytrzymał jednak. Przywiązali go do krzyża. Wykrzykiwał słowa roli: „Słuchaj, Izraelu, Jehowa jest naszym Bogiem.” Jedenastu kłownów tańczyło dookoła niego w oślich maskach, wołając razem z nim: „Jeh, Jeh!” Wytrzymał aż do końca, dopóki mu nie powiedziano, że zostanie zdjęty z krzyża, i póki mu nie kazano z krzyża rozrzucić pieniądze. Tu się załamał. Ale nikt tego nie zauważył, wzięto to za wspaniałą grę, poza tym rozrzucanie monet wywołało taki entuzjazm, że przestano zwracać uwagę na aktora.

Józef również chwycił trochę monet, dwie srebrne i kilka miedzianych. Puszczono je w obieg tego dnia, na jednej stronie widniała podobizna cesarza, na drugiej siedząca pod drzewem palmowym spętana kobieta, a pod nią napis: „Pojmana Judea.” Kobieta — może to sprawka jejmość Cenis? — miała rysy księżniczki Bereniki.

Nazajutrz wezwał go do siebie wydawca Klaudiusz Re-ginus.

— Zostałem upoważniony — oświadczył — do wręczenia ci, rabbi Józefie, biletu wstępu na wielki stadion. — Było to miejsce na jednej z ławek przeznaczonych dla szlachty drugiego stopnia. — Otrzymasz wysokie honorarium za swoją kronikę — rzekł Reginus.

— Ktoś musi być przy tym obecny i patrzeć — rzekł Józef złośliwie.

Reginus uśmiechnął się złowrogo.

— Oczywiście — powiedział — jako wydawca jestem zainteresowany w tym, żebyś tam był. Będziesz, Flawiuszu Józefie, jedynym Żydem, który się temu przygląda.

Józef chciał odpowiedzieć, ale Reginus nie dopuścił go do słowa i tak zakończył rozmowę:

— Wierzę, że będzie ci przykro. Ja także krocząc w pochodzie pośród urzędników cesarza mocno ścisnę trzewiki rzemieniami, mnie także będzie niełatwo.

Rankiem ósmego kwietnia siedział Józef na wielkim stadionie. Mieściło się tu trzysta osiemdziesiąt trzy tysiące ludzi, kamienne ławy były wypełnione do ostatniego miejsca. Józef osiągnął swój cel, siedział wśród szlachty drugiego stopnia, o miejscu tym marzył przed pięciu laty. Siedział sztywny i zamknięty w sobie wśród podnieconego tłumu, jego dumna twarz z daleka przyciągała oko. Na ławach szlachty wiadano, że cesarz polecił napisać mu historię wojny. Księgi były w Rzymie otaczane wielkim szacunkiem. Z ciekawością przypatrywano się człowiekowi, który tylu ludzi mógł wynieść pod niebiosy lub pognębić. Józef siedział pozornie spokojny i opanowany, ale pełen wewnętrznego buntu. Przeszedł przez rozradowany, wyczekujący Rzym. Domy, kolumnady były ozdobione, na trybunach, drzewach, łukach bram, na dachach stały tłumy ludzi z wieńcami na głowie. I tutaj, na stadionie, wszyscy mieli uwieńczone głowy, trzymali w ręku kwiaty, by rzucać je pod nogi idących. Jedynie Józef śmiał ukazać się z nie uwieńczoną głową i pustymi rękami. Na czele pochodu kroczyli z pewnym wysiłkiem dostojni senatorowie w czerwonych butach o wysokich podeszwach. Większość z nich brała udział w tym pochodzie niechętnie, z wieloma zastrzeżeniami. W głębi serca byli pełni pogardy dla dorobkiewiczów, których musieli uczcić. Spedytor dorwał się wraz z synem do rządzenia państwem, ale obaj nawet na tronie pozostali chłopami i gburami. Józef widział chudą, sceptyczną twarz Marulla, delikatną, zmęczoną, okrutną głowę Mucjana. Mu-cjan, mimo że był w pełnej gali, trzymał za plecami laskę, przez twarz jego raz po raz przebiegały drgawki. Był niegdyś taki dzień, kiedy szale wagi stały na równej linii i może wystarczyłoby jedno mocniejsze słowo Józefa, a szala Mucjana spadłaby w dół, Wespazjana zaś poszłaby w górę.

Szli teraz ministrowie. Schorowanemu, wychudzonemu Talasowi ciężko było wlec się w pochodzie, ale pochód był jego dziełem i stary nie chciał pozostać poza nawiasem wielkiego dnia. Potem kroczył samotnie — w niewielkim oddaleniu od innych — Klaudiusz Reginus, poważny, wyprostowany jak nigdy. Jemu także było niełatwo. Rzucił złe, ostre, baczne spojrzenia, psując zabawę ciekawym; na próżno szukali na trzecim palcu jego nogi słynnej perły, sznurowadła miał mocno zawiązane.

Zabrzmiała muzyka. Defilowały teraz orkiestry. Wszystkie grały melodie wojskowe. Największą popularność zdobył sobie marsz piątego legionu: „Nasza piąta, nasza piąta...”

Z kolei defilowały łupy, o których opowiadano istne dziwy. Ludzie byli zepsuci i przesyleni, kiedy jednak popłynął cały potok złota, srebra i kości słoniowej, publiczność straciła głowę. Wyciągano szyje, patrzono sąsiadom przez ramię, kobiety wydawały okrzyki pełne pożądliwości i podziwu. Nie kończącym się strumieniem płynęło złoto, srebro, płynęły kosztowne tkaniny i szaty, ale najwięcej było złota w różnych postaciach, w monetach, w sztabach, w naczyniach wszelkiego rodzaju. Potem przyszła kolej na sprzęt wojenny, broń, opaski z inicjałami Makabeuszów, czyste, brudne, przepojone krwią, tysiące opasek w koszach, na wozach. Za nimi godła bojowe, chorągwie z napisami hebrajskimi i aramejskimi, przeznaczone kiedyś ku podniesieniu serc, teraz zręcznie pozostawiane ku uciechu zblazowanych widzów. Z kolei ruchome estrady, na których rozgrywały się krwawe sceny wojenne, olbrzymie, niekiedy czteropiętrowe rusztowania; przerażeni widzowie przechylali się w tył, kiedy ich mijały, w obawie, że wszystko to zwali się i pozabija ich. Potem statki podziurawione w bitwie na

wybrzeżu Joppe, zdobyte w Magdali czółna. I znowu złoto, złoto. Nic dziwnego, że cena złota spada, że wynosi już tylko połowę wartości przedwojennej.

Teraz robi się cicho. Nadchodzą urzędnicy skarbu cesarskiego w mundurach galowych, z gałązkami wawrzynu, eskortując najważniejszą część łupu. Żołnierze niosą złote stoły na chleby pokładne, potężny, siedmioramienny świecznik, dziewięćdziesiąt trzy naczynia rytualne, zwoje praw Zakonu. Unoszą zwoje wysoko, by wszyscy mogli zobaczyć, że Zakon, ustalony przez Jehowę, zdobyty został przez wielkiego, dobrego Jowisza Rzymian.

Za urzędnikami — groteskowa muzyka. Są to instrumenty Świątyni, cymbały pierwszego lewity, wrzaskliwe rogi baranie, srebrne trąby obwieszczające co lat pięćdziesiąt, że wszelka własność ziemską znowu przypada państwu. Rzymianie grają na tych instrumentach. Robią po prostu parodię, brzmi to śmiesznie i po barbarzyńsku. Nagle jakiś dowcipniś wpada na szczęśliwy pomysł. Wrzeszczy oślim głosem: „Jeh, Jeh!” Wszyscy wrzeszczą razem z nim przy wtórze świętych żydowskich instrumentów. Na stadionie wybuchają huragany śmiechu.

Józef siedzi z kamienną twarzą. „Musisz to wytrzymać. Wszyscy patrzą na ciebie. Kapłani uczą się dziesięć lat, zanim dostąpią zaszczytu zagrania na tych opornych instrumentach. Trzymaj się na wodzy, Józefie, reprezentujesz Izrael. Niechaj gniew twój spadnie na te wszystkie narody.”

Ukazują się z kolei żywe łupy. jeńcy wojenni. Z olbrzymich rzesz wybrano siedmiuset, przyodziano ich w pstre szaty świąteczne, kontrastujące jaskrawo z ich ponurymi twarzami i kajdanami. Nawet kapłani muszą defilować w swoich myckach i pasach. Ludzie na stadionie patrzą z zainteresowaniem na zwyciężonych wrogów. Oto idą. Pozwolono im dobrze się nażreć, by nie padli w drodze i nie pozbawili Rzymian zasłużonego widowiska. Po skończonej uroczystości część ich zostanie wysłana na ciężkie roboty do kopalń, młynów i kloak, część do amfiteatrów — gdzie odbędą się igrzyska — na pastwę dzikich zwierząt.

Ludzie na stadionie ucichli, patrzą tylko. Ale po chwili zrywa się nienawistny, ‘obłąkany okrzyk: „Hep, hep, psy, psubraty parszywe, bezbożne!” Ludzie obrzucają jeńców zgniłą rzepą i błotem. Plują, mimo że ślina nie może osiągnąć tych, w których jest wymierzona. Idą spętani, upokorzeni przez bogów wrodzy przywódcy, budzący kiedyś strach i grozę, Szymon bar Giora i Jan z Giskali. Wielka to rozkosz, najszczęśliwszy dzień dla Rzymian. Patrzą, jak giną ich wrogowie, jak się depcze tych, których niegdyś rozpierała pycha, którzy sprzeciwiali się rozkazowi bożemu, nakazującemu powiększenie państwa.

Nałożono Szymonowi koronę z pokrzywy i suchych gałązek, zawieszono mu na piersi tabliczkę: „Szymon bar Giora, król Żydów.” Jana, „wodza Żydów”, wtłoczono w śmieszny zbroję blaszaną. Szymon wiedział, że zostanie zabity, nim pochód zdąży się rozwiązać. Rzymianie postąpili tak z Vercingetorixem, z Jugurtą i wielu innymi, którym kazano umrzeć u podnóży Kapitolu, podczas gdy na górze zwycięzca składał ofiarę bogom. Dziwna rzecz, Szymon nie był teraz tym wrzaskliwym, gniewnym człowiekiem, jakim w ostatnich czasach znali go jego żołnierze, miał w sobie promienną pierwszych dni. Zakuty w kajdany szedł spokojnie obok spętanego Jana z Giskali i prowadził z nim rozmowę.

— Ładne jest niebo nad tym krajem — powiedział Szymon — ale jakie blade w porównaniu z niebem naszej Galilei. Pięknie to, że idąc na śmierć, mam nad sobą błękitne niebo.

— Nie wiem, dokąd idę — rzekł Jan — ale sądzę, że mnie pozostawią przy życiu.

— Wielka to dla mnie pociecha, mój Janie — ciągnął dalej Szymon — że cię pozostawią przy życiu. Wojna ta bowiem nie skończyła się jeszcze. To dziwne, że miałem kiedyś chęć zgładzenia cię. Choć sprawy wzięły taki zły obrót, dobrze, żeśmy rozpoczęli tę wojnę. Nie skończyła się jeszcze i nasi potomni nauczyli się niejednego. Tak, bracie mój Janie, będą mnie biczowali, będą mnie prowadzili przez plac, gdzie ich pospólstwo opluje mnie, obrzuci zgniłą

rzepą, zamordują mnie w nikczemny sposób. Mimo to dobrze się stało, żeśmy tę wojnę wydali. Żał mi tylko, że zwłoki moje spoczną byle gdzie, nie pogrzebane.

Ponieważ Jan z Giskali milczał, Szymon dodał po chwili:

— Wiesz, Janie, trzeba było jednak ten podminowany podkop L. umieścić bardziej na prawo. Wtedy zawaliłaby się ich wieża F. i co by zrobili?

Jan z Giskali był człowiekiem zgodnym, ale w sprawach mających związek z taktyką nie znał żartów ani ustępstw. Wiedział, że miał rację z podkopem L. Ale on pozostanie przy życiu, Szymon zaś umrze. Opanował się więc i powiedział:

— Tak, mój Szymonie, trzeba było umieścić podkop bardziej na prawo. Ci, którzy przyjdą po nas, zrobią to lepiej.

— Gdybyśmy się tylko byli w porę połączyli, mój Janie — rzekł Szymon — dalibyśmy im radę. Widziałem teraz z bliska tego ich Tytusa. Dobry z niego chłopak, ale żaden wódz.

Józef widział ich obu, jak nadchodzą, jak go mijają. Szli wolno, dostrzegł lśnienie w oczach Szymona takie samo jak wówczas, kiedy się spotkali w Świątyni. Teraz i on nie potrafił się już opanować. Chciał stłumić głos w krtani, ale nie mógł. Wydobył się z niej jęk tak straszny i rozpaczliwy, że sąsiad jego, który przed chwilą wrzeszczał razem z innymi: „psy, psubraty”, urwał w pół słowa, przerażony, pobladły. Józef patrzył na obu jeńców, bał się, że mogą na niego spojrzeć. Był człowiekiem zuchwałym, nie uchylał się od odpowiedzialności za swoje czyny, ale gdyby teraz na niego spojrzeli, byłby zmarł ze wstydu i upokorzenia. Czuł, że się dusi, że go coś dławi za gardło. Jest tu jedynym Żydem, który na to patrzy. Znosił głód i straszliwe pragnienie, znosił biczowanie i wszelkiego rodzaju upokorzenia, stał często w obliczu śmierci. Ale tego znieść nie może, tego nie zniósłby nikt. To nieludzkie, to kara cięższa, niż zasłużył.

Ci dwaj są zupełnie blisko niego.

Ufunduje synagogę. Wszystko, co posiada, nawet wpływy ze swej księgi, obróci na jej budowę. Musi to być synagoga, jakiej Rzym jeszcze nie widział. Ofiaruje jej święte zwoje Pisma z Jerozolimy. Ale Żydzi nie przyjmą od niego tej synagogi. Przyjmowali dary od nie obrzezanych, ale od niego nic nie przyjmą i będą mieli rację.

Ci dwaj są teraz tuż przed Józefem. Nie widzą go. Józef wstaje. Choć we wrzawie i zgłębku nie mogą go usłyszeć, otwiera usta, rzuca im wyznanie; zabiorą je z sobą w dalszą drogę. Żarliwie, jak nigdy w życiu, woła do nich:

— Słuchaj, Izraelu, Jehowa jest naszym Bogiem, Jehowa jedyny Bóg.

Nagle, jak gdyby go usłyszeli, rozlegają się wśród jeńców zrazu pojedyncze okrzyki. Jest ich coraz więcej, wreszcie wszyscy wołają: „Słuchaj, Izraelu, Jehowa jest naszym

Bogiem. Jehowa jedyny Bóg.” Z początku widzowie wybuchają śmiechem, ryczą oślim rykiem: „Jeh, Jeh!” Ale po chwili cichną, niektórzy zaczynają wątpić, czy istotnie Żydzi wznoszą głos do osła.

Słyszac okrzyki Józef staje się spokojniejszy. Nie ulega wątpliwości, że we wszystkich żydowskich synagogach rozlega się wołanie: „Słuchaj, Izraelu.” Czy kiedykolwiek się tego wyparł? Nigdy. Wszystko, co zrobił, uczynił tylko po to, by wszyscy tę prawdę poznali. Napisze księgę, będzie to księga pobożna, Jehowa będzie z nim. Księga nie znajdzie uznania ani u Rzymian, ani u Żydów. Upłynie wiele czasu, zanim zostanie zrozumiana. Ale czas taki kiedyś nadejdzie.

Któż to lśni i błyszczy tak wspaniale w swej słynnej, ośmiodziałowej szacie, kroczac za obydwojma żydowskimi dowódcami? To arcykapłan plebejusz, robotnik Pinchas. Idzie wychudzony, z oczyma utkwionymi w dal, wpatrzony w siebie, przygnębiony i jakby opętany. Zobaczył go senator Marull. To naprawdę niewielka różnica, czy będzie miał za niewolnika tego Pinchasa, czy też Jana z Giskali. Jan wygląda inteligentniej, można by z nim prowadzić

interesujące rozmowy, ale byłoby pikantniej mieć arcykapłana jako odzwiernego.

Znowu muzyka, zwierzęta przeznaczone na ofiarę, wreszcie korona pochodu: wspaniały rydwan tryumfatora. Poprzedzają go liktorzy, trzymając w ręku uwieńczone wa-wieynem pęki różeg, za nimi idą notariusze, niosąc akt zezwolenia na tryumfalny wjazd, potem pędzi chmara kłownów, ci w sposób bezczelny i dobroduszny zarazem parodiują powszechnie znane cechy tryumfatorów: oszczędność Wespazjana, dokładność Tytusa i jego manię stenografowania. Z kolei przesuwają się karykatury zwyciężonych w interpretacji ulubionych aktorów. Jest wśród nich Demetriusz Liban, pierwszy aktor epoki. Przewyciężył chorobę i osłabienie, zapanował nad buntem serca. Szło o jego sztukę, jego ambicję: cesarz wezwał go, zebrał więc wszystkie siły, był na posterunku. Przedstawiał Żyda Apellę, skakał, tańczył, gładził brodę, miał z sobą swoje filakterie; swego niewidzialnego Boga. Mając do wyboru sztukę czy zbawienie duszy — jedno musiał opłacić drugim — opowiedział się za sztuką. Józef widział, jak wchodzi ten człowiek szarpany wewnętrzną rozterką: wielki aktor — biedny człowiek.

Teraz maszerowali generałowie legionu oraz oficerowie i żołnierze, którzy zdobyli wysokie odznaczenia. Jednego witano z największym entuzjazmem. Gdzie się tylko pojawiał ulubieniec armii, nasz Pedan odznaczony wieńcem z ziół, zaczynało śpiewać soczystą piosenkę piątego legionu i serca rosły. Tak, to była krew ich krwi, to był Rzym. Rozpromienionemu, pewnemu siebie człowiekowi nic się stać nie może, jest z nim Jowisz Kapitoliński. Krążyły mętne pogłoski, że i tym razem on to wszystkiego dokonał. Czego mianowicie, o tym z pewnych względów nie można mówić, ale że było to coś wielkiego, wynikało już choćby stąd, iż znowu otrzymał tak wysokie odznaczenie. Józef patrzył na jego odrażającą, jednooką twarz. Pedan kroczył głośno, mocno, kuty na cztery nogi, zadowolony z siebie, bardzo męski. Nie, tej sytej nikkczemności nikt nie potrafi się przeciwstawić. Świat należy do tego żołnierza, który nigdy nie wątpił, zawsze jest w zgodzie z sobą. Dla takich Jowisz stworzył świat.

Teraz ukazał się wysoki jak wieża, uwieńczony wawrzynem, ciągniony przez cztery białe konie, rydwan tryumfalny, a na nim Wespazjan. Twarz miał uszmkowaną, żeby być podobnym do Jowisza. Szeroką, osłoniętą, chłopską czaszkę zdobi wieniec z wawrzynu, starcze, krępe ciało przybrane jest w gwiazdzistą purpurową szatę, której mu Jowisz Kapitoliński musiał na ten dzień odstąpić. Patrzył na szalejącą tłuszczę z pewnym znudzeniem. Potrwa to jeszcze dobre trzy godziny. Szata Jowisza jest ciężka, długie sta-nłe na kiwającym się pojeździe nie należy do przyjemności. Wziął to na swe barki naprawdę tylko ze względu na synów. Stworzenie dynastii to sprawa wymagająca wysiłku. Jest ciepło. Jowiszowi musi być w lecie gorąco, jeżeli człowiek już w kwietniu tak się w jego szatach poci. Trudno sobie wyobrazić, ile ten tryumf kosztuje. Reginus wyłożył już dwanaście milionów. Cyfra ta wzrośnie na pewno do trzynastu, czternastu milionów. Naprawdę można by te pieniądze lepiej zużytkować, ale te obrośnięte tłuszczem, otępiełe mózgi zawsze chcą mieć swoje widowiska i nic na to poradzić nie można. Przyjemna to rzecz, że Świątyni już nie ma. Chłopiec zręcznie tym pokierował. Jeżeli czyn haniebny przynosi korzyść, trzeba się go dopuścić, ale później człowiek ma skrupuły. Tylko tak można stawić czoła życiu i bogom. Stojący za nim niewolnik, który trzyma nad jego głową ciężką, złotą koronę Jowisza, wykrzykuje przepisana formułę: „Patrz za siebie i nie zapominaj, że jesteś człowiekiem!” No tak, miejmy nadzieję, że wiele jeszcze czasu upłynie, zanim zostanie bogiem. Przypomina sobie posągi dawnych cesarzy, którzy stali się bogami. Ten tryumf sprawi, że stanie się bogiem o tydzień wcześniej. Rydwan chwieje się. Pojękując patrzy Wespazjan na zegar słoneczny.

Na drugim rydwanie Tytus spogląda często na amulet, który go ma chronić od zawiści i złego oka. Obok niego bowiem jedzie konno to ziółko Domicjan. AJe troska o zawiść brata nie może mu zepsuć poczucia dumy, jaką go ten dzień napelnia. Stoi promienny na swoim rydwanie,

wyższy ponad wszystko, co ludzkie. Żołnierz, który osiągnął cel, wcielony Jowisz. Kiedy mija lożę cesarską, ogarnia go przygnębienie, które jednak trwa tylko chwilę. Nie ma tej kobiety, zabrali mu ją. Komuż to ma się pokazywać w całym swym blasku, jaki to wszystko ma sens bez niej? Skierował spojrzenie na dum, na miejsce zajęte przez szlachtę drugiego stopnia. Ujrzawszy Józefa pozdrawia go podniesieniem ramienia.

Rydwany tryumfatorów zatrzymują się u podnóża Kapitolu. Świadkowie meldują: Szymon bar Giora został po wychłostaniu uduszony. Heroldowie obwieszczają to ludowi. Rozlegają się tryumfalne okrzyki, wojna została zakończona. Wespazjan i jego syn schodzą ze swych rydwanów. Składają w ofierze świnie, barana i kozła; ofiara ta ma rozgrzeszyć ich i wojsko, gdyby podczas wyprawy uczynione zostało coś niemilego któremuś bóstwu.

Tymczasem przez wielki stadion defiluje armia. Z każdego legionu idą dwie kohorty, ciągną maszyny, katapulty, „Gruby Juliusz” i wszystkie tarany. Tłum wita burzliwie rzymskie godła bojowe, złote orły. Ze szczególnym entuzjazmem witany jest złoty orzeł dwunastego legionu, odebrany w tej wojnie Żydom, podobnie jak odebrano swego czasu Niemcom orły, które zdobyli pod wodzą zdradzieckiego barbarzyńcy Hermanna. Józef patrzy na radosny przemarsz armii — gwarancję ładu i pokoju. Zna inne jej oblicze. Wie, że składa się ona z samych Pedanów. Słyszał, jak wrzeszczała: „Hep, hep” — widział, jak tańczyła na zakrwawionej posadzce Świątyni, której marmur stał się niewidoczny pod stosem trupów.

Przemarsz wojsk trwał długo. Wielu widzów, zwłaszcza tych, którzy zajmowali ławki szlachty, wyszło przed końcem. Ale Józef pozostał. Jeszcze raz aż do końca patrzył na legiony, które spustoszyły miasto i Świątynię.

Wieczorem owego dnia ósmego kwietnia kilku mężów żydowskich zjawilo się u pełniącego służbę naczelnika więzienia na Mamertynie. Okazali mu opieczętowane pismo. Przeczytawszy je naczelnik zaprowadził ich do piwnicy więzienia, do tak zwanej zimnej łaźni, była to bowiem dawna cysterna. W tym ponurym pomieszczeniu zakończył żywot Szymon bar Giora. Stosownie do obyczaju zwłoki miały być wyrzucone jak padlina na śmietnisko za wzgórzem Eskwilinu. Ale przybyli mieli upoważnienie do zabrania zwłok i rozporządzenia nimi wedle swego uznania. Pozwolenie to uzyskał Klaudiusz Reginus. Zapłacił za nie jejmość Cenis tyle, ile uzyskał ze sprzedaży swej perły.

A więc mężowie żydowscy przejęli skrwawione zwłoki żydowskiego wodza, położyli je na nosze, przykryli, przenieśli przez odświętnie iluminowane miasto. Szli boso. Przy bramie Kapena oczekiwały ich setki Żydów, wśród nich Kajus Barcaarone. I oni byli boso i mieli podarte szaty. Zanieśli trupa, co pięćdziesiąt kroków nieśli go inni, na Via Appia, aż do drugiego kamienia milowego. Tam czekał na nich Klaudiusz Reginus. Przenieśli zwłoki do podziemi, w których Żydzi chowali swych zmarłych. Włożyli uduszonego do trumny, ułożyli sinoczną głowę na ziemi z Judei, oblali go wonnościami. Potem przykryli grób płytą. Wryli na niej niezgrabnymi literami greckimi: „Szymon bar Giora, żołnierz Jehowy.” Potem obmyli ręce i opuścili podziemia.

Józef wrócił z wielkiego stadionu do domu. Spełnił swoje zadanie, nie oszczędzał się, przyjrzał się wojnie żydowskiej aż do końca. Ale teraz siły się wyczerpały. Zwalił się z nóg, zapadł w sen podobny do śmierci.

Był sam w wielkim, pustym, zaniedbanym domu, z wyjątkiem starego niewolnika, nikt się o niego nie troszczył. Spał dwadzieścia godzin. Potem podniósł się i usiadł na podłodze w postawie żałobnej.

Zjawił się kurier z cesarskiego pałacu ze zwiastującą szczęście gałązką wawrzynu. Kiedy niewolnik zaprowadził go do swego pana, który siedział na ziemi, nie ogolony, w podartych szatach, kiedy zobaczył głowę posypaną popiołem, ogarnęła go wątpliwość, czy trafił do

właściwego adresata. Z wahaniem wręczył mu pismo. Był to list odręczny Wespazjana, zawiadamiający, że sekretariat otrzymał polecenie dania Józefowi wglądu we wszystkie dokumenty, które będą mu potrzebne do napisania kroniki. Ponadto cesarz obdarzył go złotym pierścieniem, atrybutem szlachty drugiego stopnia. Zdarzyło się po raz pierwszy, że kurier, przynoszący wawrzyn, nie otrzymał napiwku. Józef poprzestał na potwierdzeniu odbioru pisma. Potem znów usiadł na ziemi.

Zjawił się mały Kornel. Niewolnik nie miał odwagi wprowadzić go do Józefa.

Po tygodniu podniósł się. Zapytał, czy nic w tym czasie nie zaszło. Dowiedział się, że był u niego Kornel. Posłał po niego.

Kiedy chłopiec zjawił się po raz drugi, niewiele ze sobą rozmawiali. Józef oświadczył, że potrzebny mu jest dobry, pewny sekretarz. Czy Kornel nie chciałby mu pomóc przy pracy nad książką? Kornel promieniał.

Jeszcze tego samego dnia Józef przystąpił do roboty.

„Zapewne, dyktował, niejeden spróbuje opisać wojnę prowadzoną przez Żydów przeciw Rzymianom. Będą to pisarze, którzy nie byli świadkami wydarzeń i są zdani na bałamutne a pełne sprzeczności wieści. Ja, Józef syn Mateusza z Jerozolimy, kapłan Świątyni Pańskiej, od początku naoczny świadek, postanowiłem dać dzieje tej wojny zgodnie z jej przebiegiem. Współczesnym, ku pamięci, potomnym ku przestrodze.”

Tu kończy się pierwsza z trzech powieści o historyku Józefie Flawiuszu.